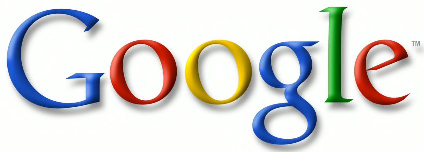
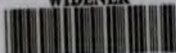






PARYŻ. — DRUKARNIA J. CLAYE

PRZY ULICY Ś. BENEDYKTA, Nr 7

ŻYWOT

ADOLFA

JANUSZKIEWICZA

I JEGO

LISTY

ZE STEPOW KIRGIZKICH



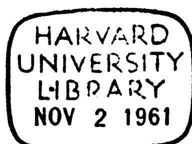
KSIĘGARNIA B. BEHR'A

(E. BOCK)

BERLIN
27, BULWAR POD LIPAMI

POZNAŃ
21, ULICA WILHELMOWSKA

1861


HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
NOV 2 1961

Przeznaczeniem téj książki jest raczéj stać się pamiątką dla rodziny, przyjaciół, towarzyszy jéj autora, niżeli rozrywką dla czytającéj publiczności; pamiątka ta wszakże, nietylko przeto że wchodzi w dziedzinę publiczną druku, ale z wielu innych względów ma znaczenie ogólniejsze: może kiedyś będzie ona kroplą z wyschłego morza łez, w któréj odbite światło rzuci promyk na długi przeciąg cierpień narodowych, dziś pogrążonych głęboko w cieniu i bodaj zapomnieniu...

Lat temu trzydzieści, pod uderzeniem ciężkiego ciosu rozbryzgło się z ziemi naszéj daleko po świecie

niemal całe pokolenie dorosłe, z mnóstwem starców i dzieci. Tysiące dobrowolnych tułaczy i skazanych wygnańców, w różnych stronach wschodu i zachodu, w różnych kolejach doli znosiło lub jeszcze znosi swoje przeznaczenie; tysiące rodzin pozostałych w domu pokryło się dotąd nie startą żałobą. Pióro dziejopisarskie nie zbierze nigdy liczby statystycznéj ofiar, a daleko bardziéj nie zdoła skreślić prawdziwego obrazu ich cierpień, bo sztuka pisania dziejów jak były opisane cierpienia Hioba, nie dostała się w spadku cywilizacyi europejskiéj. Męczeństwo, tak narodów jak pojedyńczych ludzi, ma swoją stronę widoczną i tajemną, a częstokroć miara pierwszéj nie jest prawdziwą miarą drugiéj, i zewnętrzne położenie niedostatecznie, albo nawet mylnie przedstawia udręczenia wewnętrzne. Wielka zagadka cierpień narodu leży w tajemnicy pragnień i dążeń jego ducha: póki jedyném słowem téj zagadki jest poddanie się i ufność, póty niemasz zrozumiałego słowa na wyrażenie jego boleści. Dzieje wewnętrznych cierpień Polski piszą się dotąd na kartkach urywkowych męczeńskiego żywota jéj synów, którzy dlatego tylko byli męczennikami, że mieli w duszy iskierkę narodowego ducha, że przyszedłszy z nią na świat, nie mogli pogodzić się z porządkiem panującym na świecie, i nigdzie nie znajdując ni spo-

czynku ni zadowolenia, przenieśli ją niezgaszoną przez całą ciernistą swą drogę. Może więc kilka rysów dających bliżéj poznać duszę i żywot jednego z takich męczenników, dogodzi nietylko potrzebie serc ściślej z nim złączonych, ale będzie i dopełnieniem pewnéj powinności publicznéj.

Czytelnicy, którzy znali już większą cześć *Listów ze stepów kirgizkich*, mieli podaną sobie i krótką wiadomość o ich autorze[1]. Listy, pomnożone nawet tutaj wyjątkami z *Dziennika podróży*, lubo wiele świadczą o zdolnościach umysłowych, mało jednak dają poznać wewnętrzny stan tego, co je pisał. Kilkomiesięczna podróż po stepie, była wyjątkowym ustępem w długich jego latach wygnania. Więcéj wtedy zajęty nowemi wrażeniami, niżeli powszednim swym smutkiem, rzucał je na papier z właściwą sobie swobodą humoru i rzadko kiedy tęskny zwrót myśli, albo bolesny jęk serca, mimowolnie wymknął mu się z pod pióra. Wiadomość o nim, chociaż skreślona ręką znakomitego pisarza, serdecznego przyjaciela i przez niejaki czas współtowarzysza niedoli, nie mogła być czém inném, jak pobieżném opowiedzeniem kilku szczegółów zgasłego już żywota i ogólną wzmianką o zaletach zmarłego. Wszy-

1. W *Kronice wiadomosci krajowych i zagranicznych*. Warszawa, 1857 roku, 21 pazdziernika, przez G. Z.

stko co stanowiło najważniejszy okres w tym żywocie i było najmocniejszym dowodem tych zalet,-musiało być przemilczane. Trudno jednak treściwiéj i z większą mocą zrobić chlubny rys charakteru, nad zawarty w następnych słowach zmuszonego do lakonizmu życiopisarza.

« Rzadko może — powiada on — zdarzy się spotkać drugiego człowieka, w którymby obok powierzchowności w całém znaczeniu pięknéj, tyle się jednocześnie moralnych przymiotów łączyło. Czysta wiara, *miłość rodzinnéj ziemi* (co ma znaczyć patryotyzm), wielostronnie ukształcony umysł, hart duszy, szlachetny i prawy charakter, na który nawet zawiść targnąć się nie śmiała, niezmordowana pracowitość, ścisłość w wypełnianiu każdego przyjętego obowiązku, a obok tego swobodny humor, porywy poetyczne i ta łatwość pożycia, która mimowolnie wszystkich serca ku niemu garnęła : liczne te i wielkie przymioty w tak doskonałéj harmonii łączyły się w osobie zgasłego Adolfa, że stanowiły jakąś wzniosłą i odrębną postać na tle dzisiejszego społeczeństwa. »

Jest to wiarogodne świadectwo, bo złożone na grobie przez towarzysza cierpień, w których ludzie najlepiéj dają się poznać i ocenić. Co on musiał przemilczeć, czego w krótkim zarysie nie mógł objąć ani dotknąć,

to zebrane rękami przyjaznemi i uplecione jak możność dozwoliła w wieniec suchych nieśmiertelniczek, znajdzie się po większéj części przynajmniéj, w niniejszém *Wspomnieniu.*

ŻYWOT

ADOLFA JANUSZKIEWICZA.

I

Adolf (Michał-Waleryan-Julian) Januszkiewicz, syn najstàrszy Michała i Tekli z Sokołowskich, urodził się w zamku Nieswiéżskim dnia 28 maja (9 czerwca) 1803 roku. Trzymał go do chrztu Michał-Hieronim Radziwiłł.

Rodzina Januszkiewiczów należała do zasłużonych oddawna w domu książąt Radziwiłłów, a po kądzieli spowinowaconą była z rodziną Kościuszków. Karol-Maciej Januszkiewicz, towarzysz chorągwi pancernéj księcia Podkanclerzego litewskiego Radziwiłły, i skarbnik województwa Brzeskiego, miał za sobą Magdalenę Kościuszkównę; siostra Tadeusza Kościuszki, Anna,

poślubiona Gałeckiemu, wniosła mu w posagu Żabinkę, oddzieloną od Siechnowicz: jéj córka wyszła za Sokołowskiego i była matką Tekli Januszkiewiczowéj. Powinowactwo to czyniło silne wrażenie na młodocianym umyśle Adolfa, w którego duszy uczucie patryotyzmu od dzieciństwa poczęło być środkowym i górującym punktem wszystkich szlachetnych popędów.

Pierwsze jego lata upłynęły we wsi Ussowie położonéj blizko Kopyla, którą rodzice jego trzymali zastawą, nim późniéj, około r. 1821, nabyli na dziedzictwo wieś Dziahylnę, niedaleko Kojdanowa, w teraźniejszéj gubernii mińskiéj. Oddany potém do szkół księży Dominikanów w Nieświeżu, odbył w nich początkowe trzy klasy. Następnie, wziął go na swego wychowańca bezdzietny krewny, Podkomorzy Michał Januszkiewicz, niegdyś podpułkownik wojsk narodowych*, właściciel wsi Kraśne w powiecie jampolskim, gubernii podol-

* Nominacya na ten stopień brzmi jak następuje:

« Tadeusz Kościuszko, Naczelnik najwyższéj Siły zbrojnéj narodowéj, oznajmuję niniejszym Listem patentem, komu o tym wiedzieć należy: Iż Ja mając zaleconą sobie dobrą applikacyą i zdatność do służby wojskowéj obywatela Michała Januszkiewicza, a chcąc do dalszych Rzeczypospolitéj zachęcić usług, umyśliłem mu szarżę Podpułkownika w wojsku Rzeczypospolitéj dać i konferować; jakoż niniejszym Listem Patentem moim z należącemi do niej według opisu i ustawy Rzeczypospolitéj porcyami, tudzież ze wszystkiemi prerogatywami aż do śmierci, lub postąpienia na wyższą szarżę wojskową, daję i konferuję. Co mianowicie Generałom oraz wszystkim wyższéj rangi oficerom, a osobliwie wojska Rzeczypospolitéj wiadomo czyniąc, rozkazuję aby pomienionemu obywatelowi Michałowi Januszkiewiczowi szarżę Podpułkownika w wojsku Rzeczypospolitéj mającemu, z miejsca i praw do tego stopnia przyłączonych odpowiadali, i aby od innych odpowiadano było, starali się. Na co dla lepszéj wiary ręką własną podpisawszy, pieczęcią związku narodowego ztwierdzam. Dan w obozie pod Mokotowem, dnia 14 lipca 1794 roku. (Podpisano) T. Kościuszko. »

(W pieczęci czarnéj wyciśniętéj na sucho, wyrazy: Pieczęć Naczelnika Siły zbrojnéj narodowéj. Wolność, Całość i Niepodległość.)

skiéj, i posłał w r. 1819 do słynnego wówczas gimnazyum winnickiego. Odtąd miał Adolf dwa ogniska domowe i rodzinne : jedno na Litwie, drugie na Podolu.

Ukończywszy gimnazyum w Winnicy, z chlubnémi świadectwami wzorowego prowadzenia się i celującego postępu w naukach, przybył w r. 1821 na uniwersytet do Wilna, gdzie przez dwa lata słuchał kursów w oddziale literackim.

Były to owe świetne czasy uniwersytetu wileńskiego, kiedy w przybytkach jego rozlegał się głos sławnych nauczycieli i jaśniał kwiat młodzieży, którego listki miały wkrótce rozproszyć się i więdnąć daleko od ojczystéj ziemi. Adolf przyniosł z sobą na świat ten przywiléj osobisty, którym obdarzeni nie nikną w żadném gronie, w jakiém zwykła koléj albo los wyjątkowy ich postawi, i wszędzie gdzie się znajdą, zabierają jakby z prawa należne im pierwszorzędne miejsca. Równie jak w szkołách, tak na uniwersytecie pozyskał zaraz przyjaźń i szacunek wszystkich towarzyszy, co wyższością ducha, talentu lub pracy, przewodniczyli innym. Usposobienia jego poetyczne i literackie trafiły na silny prąd przykładu i zachęty : probował lotu skrzydeł w dziedzinę natchnienia, i niektóre jego rymowe utwory, umieszczane w ówczesnych pismach peryodycznych, mogłyby go ośmielić do dalszéj Ikarowéj podróży, gdyby poczynał w kilkanaście lat późniéj. Ale przy świcie wielkiéj naszéj poezyi, któréj główny płomień wystrzelał z głębi narodowego uczucia, każdemu czyje serce mocno tém uczuciem biło, przedewszystkiém

stało na widoku pole rzeczywistości; a nikt bardziéj nad Adolfa nie był stworzony do rzeczywistego życia i działania. Umiał on cenić skarby umysłowe, miał prawdziwy zapał dla płodów geniuszu i szczerą cześć dla nauki: wszędzie i zawsze książka była dla niego potrzebą, miłą rozrywką, wypoczynkiem i orzeźwieniem, sam posiadał dar wydania swych myśli z wdziękiem i łatwością; nigdy jednak zatrudnienie literackie nie mogło stać się dla niego głównym przedmiotem téj dziwnie energicznéj w nim czynności, która również wszędzie i zawsze, pragnęła choćby w najdrobniéjszym zakresie, byle bezpośrednio, roztaczać się po ziemi. Okoliczności zresztą prędko otworzyły właściwą mu drogę.

Za powrotem na Podole, w niedługim przeciągu czasu, tyle i tak korzystnie stał się znajomym ogółowi współobywateli, że szlachta na sejmikach gubernialnych w Kamieńcu, powołała go do zajęcia urzędu, dawanego zwykle ludziom poważnym zasługą i wiekiem. Nie mając jeszcze lat przepisami prawa wymaganych, to jest 24ch skończonych, dnia 26 lutego 1828 roku został jednomyślnie obrany Deputatem sądu głównego izby cywilnéj. Współcześnie niemal z tym zaszczytem, jakby smutna wróżba świetnie otwierającego się zawodu, spadła nań żałoba po ojcu, w tymże roku i miesiącu, dnia 14/26, zmarłym w Wilnie.

Gorliwość, takt, charakter młodego urzędnika odpowiedziały chlubnie położonemu w nim zaufaniu. Po trzech latach urzędowania, otrzymał od władzy pismo pochwalne, a od współobywateli najwymówniejszy

dowód miłości i szacunku w usilném naleganiu, aby drugie trzy lata pełnił zaszczytną służbę. Nie mógł wszakże uczynić zadość ich i własnemu życzęniu, z powodu słabości zdrowia. W szczęśliwie ze wszech miar obdarzonéj jego organizacyi, zdrowie stanowiło słabą albo raczéj delikatną stronę, w którą zawsze uderzał naprzód szereg przeciwności, przygotowanych na dalsze probowanie mocy jego ducha, ilekroć zamyślał sobie znaleść jakikolwiek stalszy spoczynek przed grobem. Wszystko zdawało się budować dla niego błogi przybytek pogodnego i użytecznego żywota na miejscu, gdzie otoczony przychylnością powszechną, poznał też od dwóch lat młodą osobę, któréj wzajemne uczucie otwierało mu drogę do szczęścia, nie zagrodzoną żadną przeszkodą. Tymczasem lekarze uznali za rzecz konieczną podróż do wód zagranicznych — podróż, co miała być początkiem dozgonnéj pielgrzymki. Chwilowa rozłąka, z pewnością powrotu nie trwożną o wpływ czasu i oddalenia, umilona przytém widokiem zwiedzenia obcych krajów, tak ponętnym dla ognistéj wyobraźni i podnioślejszego umysłu, nie mogła mieć na sobie cienia żałoby; serce jednak odezwało się jakiémś smutném przeczuciem. Na początku wiosny 1829 wyjeżdżając do Karlsbadu, pożegnał ziemię rodzinną i swoją Stefanią sonetem, w którego ostatniéj zwrótce brzmi złowieszcza wróżba*.

* Odjazd. Do S. G. Sonet, drukowany w *Noworoczniku Litewskim*, na rok 1831, wydanym przez H. Klimaszewskiego, w Wilnie 1830.

Północ — gwałtowny wicher bije w okienicę,
Gieniusz nocy czarne wyciągnął ramiona,

Dwadzieścia miesięcy pobytu za granicą przeszło mu wszakże w tak roskoszném upojeniu ducha, że ten krótki okres czasu na końcu dni swych błogich, zawsze nazywał potém najszczęśliwszym w życiu, często wśród tęsknych pustek wygnania zwracał nań łzawe oko jak na oazę kwitnącą w przeszłości, wspominał o nim z zapałem i rzewném westchnieniem.

Pokrzepiony kąpielami w Karlsbadzie, udał się przez Niemcy i Szwajcaryą do Włoch, gdzie bawiąc całą zimę, cieszył się towarzystwem Adama Mickiewicza, z nim razem zwiedzał czarowne okolice, stąpał po miejscach pełnych wielkich wspomnień, oglądał arcydzieła sztuki. Italia porwała jego duszę drgającą do wszystkiego co wzniosłe i piękne, rozwinęła i ukształciła w nim wrodzone i nabyte usposobienie. Ale tę pierś zalaną spokojnym zdrojem słodkich uczuć, wkrótce miały poruszyć głębiéj inne wrażenia. Chwila, w któréj bieg swéj wycieczki zawrócił ku domowemu ognisku, była chwilą załamania się kierunku całéj jego przyszłości.

Serce moje, jak łódka burzą pochwycona,
Nie zdoła na spoczynku natrafić kotwicę.

Nadaremnie snu wołam na mokrą źrenicę,
W zbolałéj piersi palą tęsknoty nasiona,
I w duszy skołatanéj błądzi myśl wzburzona,
I wrzących łez potoki zalewają lice.

Jutro mi jeszcze wichry gwałtowniéj zawieją,
Bo jutro trzeba rzucić ojczystą krainę,
Bo jutro trzeba rzucić kochaną drużynę,

I jutro smutne lice gęściéj łzy obleją,
Bo jutro lubą trzeba pożegnać dziewczynę
A może i na zawsze rozstać się z nadzieją.

Latem 1830 r. wracając przez Paryż i Bruxellę, znalazł się naocznym świadkiem tych wstrząśnień narodowych, co w jego sercu polskiém musiały wywołać dźwięk silniejszéj nad wszystkie struny. Przybywszy we wrześniu do Warszawy, poczuł zaraz w jéj atmosferze moralnéj dym podziemnego wulkanu. Lelewel wreszcie otworzył się ufnie przed swoim dobrze znajomym uczniem, opowiedział mu co mógł natenczas z pewnością wiedzieć, lub przewidywać. Zmieniła się natychmiast scena widzenia przed wzrokiem duszy, w któréj uczucie obowiązku przemagało zawsze nad wszelkie inne uczucia, a miłość Ojczyzny nie mogła mieć współzawodniczki w żadnéj miłości. Rozkoszny obraz Italii zastąpiło widmo Polski dźwigającéj się w kajdanach; biegący przed podróżnikiem płomyk pochodni hymenu, zaćmiła krwawa pochodnia wojny. Spieszył na Podole, już nie żeby znaleść szczęście w spokoju, ale żeby zwiastować niespokój szczęśliwy.

Ledwo mu czas wystarczył na powitania, przy których wszystkie kółka rozległych swych stosunków przenizał tajemniczą nadzieją, kiedy wieść o powstaniu listopadowém wstrzęsła tak mocno całym tym łańcuchem, że z odbiciem się jego drgnięcia w swoich piersiach, uczuł powinność odnieść tam odpowiedź gotowości, zkąd przyniosł hasło do przygotowań; zapewnić stolicę o duchu prowincyi południowych, zapał ich i środki związać z kierunkiem ogólnym narodowego działania.

W grudniu, pod pozorem odwiedzenia rodziny litewskiéj, niby przed podróżą do Petersburga, przybiegł

do Wilna, zabawił kilka dni mało komu dając się widzieć, pojechał z bratem Eustachym do Kowna, tam pieszo przemknął się za Niemen po lodzie i przez Augustowskie udał się do Warszawy.

Kto pamięta, albo dowiedzieć się zechce, jak rozpaczliwą dla kraju zabranego politykę utrzymywała *żelazna wola* Dyktatora, łatwo sobie wyobrazi bolesne położenie tych synów Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, co szczęśliwym trafem znaleźli się w ognisku narodowego powstania, lub z niebezpieczeństwem i trudem przybiegli w niém stanąć. Nie tracili oni jednak otuchy, że powszechne uczucie wołające z dołu o Polskę całą i niepodległą, przemoże zimne i fałszywe rachuby u góry. Adolf wziął natychmiast najczynniejszy udział we wszystkich ich usiłowaniach i zabiegach : stał się jednym z najenergiczniejszych pomocników Wereszczyńskiego w tworzeniu Legii, do któréj zaciągnął się jako żołnierz ; z jego zachęty Juliusz Słowacki napisał hymn budzący Litwinów, który należy do małéj liczby prawdziwie poetycznych utworów rewolucyi Listopadowéj.

Dopiero na dniu 3 lutego 1831, uchwała sejmowa dozwoliła formować pod nazwiskami czterech prowincyi legie « które miały służyć jako zarodek wojska w swoich rodzinnych ziemiach do wyjarzmienia onych. » Dla czuwania nad ich organizacyą i funduszami, utworzono komitet. Prezesem jego został ówczesny minister spr. wew. Bonawentura Niemojowski ; członkami zaś obrani byli : Alexander Wereszczyński, Antoni Bernatowicz, Adolf Januszkiewicz i Karol Kaczkowski, który

pełnił razem obowiązki kassyera. Gdy w tymże czasie wojska moskiewskie weszły w granice królestwa, wielu co się zapisało na legionistów, pragnąc prędszego spotkania się z nieprzyjacielem powstępowało do innych pułków; członek komitetu Kaczkowski oddalił się z niego także, jako naczelny lekarz wojska polskiego. To spowodowało niektóre zmiany : formacya ograniczyła się do dwóch hufców, pieszego i konnego, a miano jéj do jednego nazwiska Legii Litewsko-Wołyńskiéj; kassyerstwo objął Januszkiewicz. Na liście składek, drukowanéj poźniéj z rejestrów przez niego utrzymywanych, znajdują się dwie ofiary, których on sam tylko mógł znać cenę względną : od siebie, z podróżnego zapasu na wycieczkę, obrachowaną zapewne do rychłego powrotu, złożył złotych 1,000, a od « pewnéj Litwinki » (zapewne matki), pierścień brylantowy, przyniesiony z wizerunkiem kochanki, pod chłopską sukmaną na piersiach.

Prezes, odkrywał codzień nieoszacowane przymioty w młodym współpracowniku: zabrał go do pałacu Mostowskich, gdzie komitet miał swoje siedlisko, i bardzo się zmartwił gdy postrzegł, że ta ręka, co tak zdolnie i pożytecznie władała piórem, drga bezustanku do szabli. W marcu, posunięty na stopień podporucznika Adolf, nie mógł znieść epoletów nie odymionych prochem, i pomimo najusilniejsze zatrzymywania tak ze strony prezesa jak współkolegów, wyszedł na linią bojową z oddziałem legii konnéj jako adjutant jéj dowódzcy.

Nie długi był jego zawód wojenny. Towarzysząc plutonowi posłanemu na wzwiady, znalazł się razem

z nim obskoczony przez daleko większą siłę nieprzyjacielską. Nie wielu uszło z porażki, a niektórzy z nich widząc go padającego z konia, mniemali że poległ. Za takiego był podany w raporcie; nie była to jednak ostatnia chwila jego życia, tylko pierwsza wieloletniego ciągu cierpień aż do śmierci.

Otrzymawszy siedem ran w nogę, rękę i głowę, wzięty został przez kozaków. Odwieziono go do główněj kwatery rossyjskiéj, zkąd po opatrzeniu na prędce, odprawiony do rezerwy będącéj pod dowództwem Gerstenzwejga, znalazł u niego ludzkie przyjęcie i staranie lekarskie, o czém zawsze z wdzięcznością wspominał. W początkach kwietnia, gdy się już rany goiły, stawiony był przed Dybiczem. Przytomność, rozsądek i przyzwoity ton w odpowiedziach, zrobiły wrażenie na feldmarszałku : zaproponował mu, czyby się nie podjął zawieść do Warszawy Rządowi narodowemu warunków zawarcia pokoju, które miały być korzystne dla Polski. Oświadczył gotowość tego poselstwa i zaręczenia słowem, że jeśliby nie wzięło skutku, wróci do obozu rossyjskiego jako jeniec. Ale wkrótce okoliczności nadały inny obrót rzeczom. Dybicz zostawiony spokojnie po klęsce zadanéj mu 31 marca, miał czas skupić i uporządkować swe siły; gdy przytém porażka korpusu jenerała Sierawskiego, w połowie kwietnia, uspokoiła go od obawy na lewém skrzydle, nie myślił już o układach, mianowicie korzystnych dla nas. Jeńców i z nimi Adolfa, wyprawiono do Brześcia, zkąd poszli na całe lato w drogę do Moskwy, do Symbirska i potém do Wiatki. W téj podróży, przechodząc przez

domowe okolice, miał szczęście widzieć się z matką, i otrzymać jéj błogosławieństwo.

Jakże to inna była podróż od przeszłorocznéj dla biédnego wędrowca! Nie utrzymywał jéj dziennika, nie zostawił żadnéj pismiennéj wzmianki o tém, co się w nim i z nim działo podczas téj ciężkiéj i gorzkiéj pielgrzymki, w któréj przez pół roku, oderwany od wszystkiego co mu było drogiém na świecie, bez wiedzy dokąd i na jaki los zajdzie, wewnątrz tylko ze swoim smutkiem i z Bogiem, zewnątrz znany jako numer żywy, uszedł pieszo wiorst przeszło trzy tysiące.

W Wiatce dopiéro poczęto klasyfikować ofiary i dopytywać się o ich pochodzenie. Skoro powiedział kim był i zkąd rodem, kazano natychmiast odesłać go do Kijowa, gdzie pod naczelnictwem Sakena odbywał się sąd na powstańców naszych Ziem Ruskich. Na końcu roku 1831 przywieziony do twierdzy kijowskiéj, zamknięty został w jéj kazamatach.

Straszna i głęboka dramatyczność tego rodzaju śledztw i sądów u nas, nie ogranicza się szczupłym zakresem między komnatką więźnia i stołem sądowym; rozwija się ona w boleśnéj grze tysiąca dotkniętych uczuć po za obrębem strażą osadzonéj sceny, w tém rozległém kole krewnych, przyjaciół, znajomych i nieznajomych współrodaków, zkąd wszystkie sposoby zabiegów, starań, poświęceń, jakich tylko miłość i rozpacz dostarczyć może, prężą ku środkowi, usiłując skruszyć mury kazamatów i twardsze od nich serca inkwizytorskiego trybunału. Pod takiém prężeniem wówczas całéj moralnéj atmosfery Ukrainy, Podola i

Wołynia na Kijów, przybycie nowego więźnia nie mogło być długo tajném : wieść o tém przeniknęła zaraz jego ukraińską rodzinę i pobiegła do litewskiéj.

Domowe gniazdo na Litwie było bardzo opustoszałe. W tym samym czasie, kiedy los rozdzierający szczątki upadłego powstania na dwie połowy, pchnął Adolfa w stronę wschodnią, dwaj jego młodsi bracia, Eustachy i Romuald, dążyli z mnóstwem innych ku zachodowi. Sędziwéj matce, pozbawionéj trzech dorosłych synów, pozostał najmłodszy, kilkunastoletni student, January. Z córek, po niedawnéj stracie najstarszéj, Julii, i wydaniu za mąż Zofii, miała przy sobie ostatnią, ledwie wyszłą z dzieciństwa, Kasyldę. Do tego grona należała małoletnia wnuczka Michasia, sierota po zmarłéj córce, siostrze szczególnie ukochanéj przez Adolfa. Wśród tak słabych podpor, obarczona szóstym krzyżykiem wieku, całym ciężarem familijnych interesów, a nadewszystko boleścią matki Polki, stała nieszczęśliwa niewiasta, kornie przed Bogiem ugięta, ale dla wszystkich przeciwności tego świata niezłomna. Ile w téj zacnéj, pobożnéj, a równie mężnéj jak tkliwéj duszy, kryło się wewnętrznéj mocy, to trzydzieści lat nieustannych cierpień miało pokazywać codzień. Godzina rozpoczęcia się téj dopuszczonéj i bez zachwiania się wytrzymanéj próby, wybiła dla niéj w chwili, gdy dowiadując się o swoim pierworodnym że wrócił od granic Azyi, nie wiedziała jak go nazwać : odzyskanym, czy straconym!

Dwa miesiące ważył się niepewny los więźnia. Nie brakowało gorących i potężnych starań za nim. Co

tylko mogło przechylić szalę ocalenia, wszystko było położono na niéj; ale szło o to, żeby on sam zdjął z drugiéj słowa, któremi ją obciążył od razu i ciągle w nieruchomości utrzymywał. Stawiony przed komisyą śledczą, przecinając wszelkie dobadywania się powodów i kolei, jakie przywiodły go do « *bezmyślnego* » i nigdy dosyć « *nieodżałowanego* » postępku, odpowiadał zawsze, że co uczynił, to uczynił *rozmyślnie*, z wolnéj woli, z *niezmiennego* przekonania, iż obowiązkiem każdego dobrego syna Ojczyzny jest, poświęcić wszystko w jéj sprawie. Uczucie dopełnienia tego obowiązku, było dla niego tak świętym skarbem w duszy, że skazić je najmniejszym cieniem choćby pozornego zaparcia się lub żalu, uważał za odstępstwo, do którego nic go skłonić nie zdołało.. A jednak, ileż to potężnych pokus mogło mu cisnąć się do głowy i serca! W kwiecie wieku, miał przed sobą stanowcze rozdroże na resztę życia, i chwilkę do wyboru. Od lekkiego pochylenia się w pojęciach powinności, od małéj tranzakcyi z sumieniem wymagającém ciężkich ofiar bez widocznego ich pożytku, od kilku wyrazów fałszywéj skruchy, tak dających się usprawiedliwić względem na konieczność, zależało skierowanie się ku jedynéj nadziei, choć powolnego, stopniowego powrotu na stracone stanowisko, zkąd matka, rodzina, kochanka, wyciągały do niego ręce, gdzie mógł jeszcze — jak się teraz zwyczajnie mówi — pożytecznie służyć *krajowi*. Z drugiéj strony ciemna niepewność osłaniała długą drogę smutnéj doli, kończącą się aż w kopalniach Sybiru. Nie zrobił wszakże wstecznego kroku. Sercu,

co tak umiało kochać, rozsądkowi co tak umiał panować nad sercem, nakazał milczenie; słuchał tylko głosu wewnętrznego, któremu sprzeciwić się było mu niepodobna, bez zgaszenia ufności w Bogu. Szala potępienia na stole sądu carskiego przeważyła nieodzownie.

Oświadczenie rozmyślnej woli i niezmiennego przekonania, stało się naprzód podstawą surowego wyroku, potém — co czas dopiero wyświecił — niezłomną zaporą do *najwyższego* ułaskawienia. Imperator miał je w ręku na rejestrze polskich potępieńców, wypisane dosłownie obok nazwiska Adolfa Januszkiewicza.

Dnia 4 marca (v. s.) 1832, przeczytano osądzonemu wyrok, skazujący go na utratę szlachectwa, konfiskatę wszelkiego majątku i *posielenie* w Sybirze.

Wkrótce, na kilka dni przed przybyciem matki do Kijowa, musiał udać się w nową podróż do Tobolska, dokąd przybył 6 (18 v. s.) maja.

II

Posieleńcy, czyli osadnicy, za karę przeznaczeni zaludniać Syberyą, są dwojakiego rodzaju: zwyczajni i polityczni. Położenie tych ostatnich, już pod samym tylko względem przepisów prawa, daleko jest cięższe.

Przestępca pospolity, złodziéj naprzykład, przybywszy do włości wskazanéj mu przez Zarząd posieleńców (Prikaz o ssylnych), może zaraz zająć się rolnictwem,

albo zarobkowaniem, do lat trzech żadnego nie płacąc podatku. Jeżeli chce osiąść na miejscu, dostaje 15 dziesięcin ziemi; jeżeli zaś przedsiębierze zarobkować, otrzymuje kartę do swobodnego krążenia w swoim obwodzie. Po trzech latach płaci podatek osobisty, i gdy nie ściągnął na się żadnéj nagany, może brać paszport na całą gubernią. Dziesięć lat dobrego prowadzenia się, daje mu prawo zapisać się w skazki włościańskie lub miejskie, zostać kupcem, jezdzić za paszportem po całéj Syberyi. Zawsze wolno mu korespondować wprost przez pocztę z rodziną i otrzymywać tyle pieniędzy, ile mu tylko będzie przysłano.

Przestępca polityczny, przywiązany jest do miejsca wyznaczonego mu pobytu i zostaje tam pod dozorem policyi. Może także otrzymać wydział ziemi i nawet po trzech latach nie płaci podatku, ale choćby mieszkał lat pięćdziesiąt, żadnych przez to prerogatyw nie nabywa. Dzieci jego prawe w Syberyi zrodzone, nie zaciągają się do skazek rewizkich, czyli spisu ludności wiejskiéj i miejskiéj, lecz też nie mają praw stanu, które ojciec utracił. Nigdy nie daje się jemu paszportu, tylko pozwolenie tak na przeniesienie się z miejsca na miejsce, jak na przyjazd do Tobolska. Musi podawać o to prośbę do samego gubernatora, wymieniając ważne przyczyny, za jakie w ostatnim razie uznane są dwie: ciężka słabość zdrowia i spowiedź. Niewolno mu mieć żadnéj broni, chyba również za szczególném dozwoleniem najwyższéj władzy. Niewolno pisywać za granicę Syberyi i otrzymywać ztamtąd listów inaczéj, jak przez ręce policyi. Tąż koleją może odbierać od

rodziny różne posyłki : w rzeczach, jak naprzykład bieliznie, odzieniu i t. p. bez ograniczenia ilości, w gotowiznie zaś nie więcéj nad 1,000 rubli assygnacyjnych na rok.

Tak brzmią przepisy, które nietylko, jak wszelka litera prawa w Rossyi, są giętkiém prawidłem dla władzy wykonawczéj, ale szczególniéj jeszcze zdają na jéj dyskrecyą los politycznego wygnańca. Łatwo ztąd widzieć, ile położenie jego zewnętrzne zależy od ciągłych wysileń wewnętrznych, żeby pod ciężarem całéj hierarchii samowładnego nad nim dozoru, utrzymać się z godnością na delikatnéj linii między niebezpieczeństwami niełaski i łaski. W podziale różnych doświadczeń, na jakie Opatrzność przeznaczyła dwie połowy naszego pielgrzymstwa, braciom sybirskim dostała się ta próba, stanowiąca najtrudniejsze ich zadanie.

Adolf miał wiele szczęścia do ludzi, wiele pomocy z rodzinnego kraju; ale najwięcéj ulgi i ochrony w swém przykrém położeniu był winien własnéj dzielności charakteru. Udało mu się, za staraniem Piotra Moszyńskiego, dawniéj zamieszkałego na Syberyi, otrzymać pozwolenie pobytu w samym Tobolsku; przepis ograniczający ilość pieniężnych zasiłków od rodziny, dał się także uchylić : podkomorzy Januszkiewicz przysłał dla niego zaraz na ręce jenerał-gubernatora 6,000 r. as., od matki przyszła w ciągu roku większa od dwuletniéj kwota. Zabezpieczony ze strony materyalnéj, wkrótce wszakże znalazł się dotknięty z innego powodu.

Pierwsze lata dwoistéj naszéj pielgrzymki, nacecho-

wane są symptomatami moralnego stanu, który w patologii historycznéj nie został jeszcze zadeterminowany i nazwany, bo mianować go po prostu szałem, nie jest ani dokładnie ani nawet słusznie. Cokolwiek bądź, był to stan niezmiernego cierpienia w duchu rozciągniętym przez wszystkie garstki wędrowców dążące ku dwóm przeciwnym biegunom, stan zapalny głęboko zranionych uczuć, który objawił się gorączkowém marzeniem słabszych umysłów i strasznemi rzutami téj wielkiéj siły, co nie użyta na właściwém polu, wydzierała się gwałtownie z uciśnionych piersi i z wszelkich karbów rozwagi. Zaledwo czoło kolumny wschodniéj dociągnęło na miejsce swego przeznaczenia, zaraz rozpoczęły się przedsięwzięcia odpowiednie ówczesnym ruchom wychodztwa zachodniego, bez względu na całą różnicę Francyi, drgającéj jeszcze wstrząśnieniem lipcowém, od pustego i zimnego Sybiru. Jeden z towarzyszy Adolfa, uwolniony daleko pierwéj od niego, przesyłając krótką wiadomość o nim braciom do Paryża, opisał ten wypadek w następnych słowach :

« Była to właśnie epoka, w któréj Syberya zaczęła obficie zaludniać się naszémi wygnańcami różnego stanu, rożnego wieku, różnego stopnia i oświaty, rozsądku i doświadczenia. Wielu ludzi młodych, pełnych zapału a razem niedojrzałych wyobrażeń, uniosło się niepohamowanym zapędem imaginacyi. Nie mając najmniejszych pojęć jeograficznych kraju, w którym się znaleźli, nie znając zgoła ludności, wśród któréj chcieli działać, uroili oni sobie, że mogą na Syberyi zrobić powstanie! Daremnie Adolf i inni rozważniejsi

przekładali im szaleństwo takiego zamiaru. Perswazye, zaklinania, rozumowania przekonywające najoczywiściéj, nic nie pomogły. Zawiązała się pomiędzy twórcami planu, rozrzuconymi po różnych punktach Syberyi, korespondencya niezmiernie czynna, na któréj trop wpadłszy policya, ostrzegła rząd o jakimś szeroko rozgałęzionym spisku. Porwano zaraz do więzienia przeszło sto osób i na wyśledzenie zamachu ustanowiono komisyą wojenną w Omsku. Komisya ta, zamiast wystawienia całéj rzeczy we właściwem świetle, to jest przypisania wszystkiego zaślepionéj płochości młodego wieku, wymalowała ją przed najwyższą władzą w ogromnych rozmiarach i rażących kolorach. Śledztwo dotykające winnych i niewinnych, trwało lat kilka i skończyło się bardzo smutnie. Sześciu uznanych za najwinniejszych, skazanych zostało na pędzanie przez rózgi, do liczby sześciu tysięcy. Niektórzy z nich, jak Drużyłowski, Wróblewski, Meledin i ksiądz Sierociński skonali pod razami; doktor Sokalski i drugi, co równie jak on zdołał wytrzymać chłostę, razem z innymi, lżéj osądzonymi, poszli na Kaukaz w sołdaty *. Adolf objęty kategoryą najmniéj podejrzanych i wkońcu zupełnie uwolnionych od zarzutu winy, nie był aresztowany, ani stawiony przed komisyą, odpowiadał piśmiennie na jéj zapytania; wiele miał jednak przykrości z tego powodu: dwa razy przetrząsano jego mieszkanie i papiery. Zresztą, nieszczęśliwa ta sprawa zaraz na wstępie mocno pogorszyła dolę sybirskich wygnańców

* Obszerniejsze szczegóły tego morderstwa znaleść można w Pamiętnikach na Syberyi Rufina Piotrowskiego, t. III, str. 23 do 83.

politycznych. Rząd ostrzejsze wydał względem nich przepisy. Wielu siedzących dotąd w samym Tobolsku, otrzymało rozkaz udać się na mieszkanie do różnych włości albo miast powiatowych, skutkiem czego i Adolf musiał pod koniec 1833 roku, przenieść się do Iszymu.

Naznaczono mu na pobyt wieś Żelakówkę w powiecie iszymskim o 360 wiorst od Tobolska, ale zatrzymał się czas niejaki w Iszymie, gdzie późniéj stale zamieszkał. Okoliczności te znajdują się opisane w jego własnych listach, o których tu powiedzieć wypada, jako o główném i niemal jedyném źródle całéj historyi jego wygnania.

Od przybycia do Tobolska, korespondencya z krajem stała się dla niego nietylko osłodą, pociechą, ale niezbędną potrzebą do życia, jak oddychanie. Najmniejsza w niéj zwłoka lub przerwa, wprawiała go w drażliwość moralną, która zaraz zadawała cios osłabionemu zdrowiu. Pisywał często do wszystkich krewnych i przyjaciół, stale zaś dwa razy na miesiąc do domu na Litwie. W ręku matki i brata zebrało się do 600 listów, które składają kilka grubych poszytów. Jestto najdokładniejszy obraz, dnia po dniu przeżytych, przecierpianych, przetęsknionych lat dwudziestu pięciu. Niepodobna rozwinąć go w porządku chronologicznym, bez zmęczenia uwagi tysiącem różnorodnych, ciągle przeplatających się drobnych szczegółow; ale w całości swéj objęty myślą, przedstawia widok pełen harmonii łagodnéj, niekiedy jasnych i powabnych kolorów, którego każdy punkt wszakże otwiera daleką perspektywę w głąb bolesnych uczuć.

Co tu od razu uderza i aż do końca nie przestaje przyświecać pięknym blaskiem, to wielka i rzadkiéj mocy miłość rodzinna. Korzystając z dozwolenia opatrywania potrzeb wygnańca, troskliwość matki, siostr, krewnych pośpieszyła za nim w pogoń : zaledwo wysiadł z wozu, począł odbierać posyłki, których szereg kończy się z ostatniemi dniami pobytu na Sybirze; obok pierwszych doniesień o sobie, dziękuje na wszystkie strony za dowody pamięci i nawzajem szle upominki. Po przeczytaniu kilkunastu tych listów, z których każdy szedł pocztą 3,600 wiorst, i w miesiąc albo sześć tygodni przybywał na miejsce, ginie wyobrażenie odległości; zdaje się, że je pisze syn, bawiący gdzieś o dziesiątek mil od rodzicielskiego domu. Nic się tam nie dzieje, o czémby nie wiedział, niczego też o sobie donieść nie zaniedbuje : skarży się na najmniejszą słabość zdrowia, opowiada ją jak przed lekarzem, i zaraz potém, w drugim lub trzecim liście jest ślad, że rada któregoś z wileńskich doktorów posłużyła wybornie, przysłane pigułki sprawują dobry skutek, plasterek na ból w palcu, wyborny! Co kilka kartek napotyka się rejestr żądanych albo otrzymanych rzeczy wszelkiego rodzaju: Bielizna, sukno, obuwie, flanela i futro (bo pokazało się, że łatwiéj o szopy i baranki na Litwie niż w Syberyi), cygara, tytuń, fajki, nóż składany i krzesiwo, machinka do kawy i kalendarz, zegarek i mappy, wszystko to dochodzi w całości. Raz tylko zdarzyła się niespodziewana mitręga z winy samego Adolfa. Przyznając się do niéj, powiada : « Odebrałem list Mamy najdroższéj z 400 rublami, ale po-

syłka razem z nim wyprawiona nie doszła rąk moich. Powodem tego stały się przyłączone do niéj — siarniczki! Prosiłem o nie, niewiedząc że to kontrabanda. JW. Gubernator kazał mię o tém objaśnić i razem zawiadomić, że Pocztamt zrobił przedstawienie do Ministra spr. wew. jak z témi nieszczęśliwemi siarniczkami postąpić. Niech jednak Mama będzie zupełnie spokojna; nie wyniknie ztąd żadna dla niéj nieprzyjemność : gdy sprawa przejdzie wszystkie koleje *po formie*, resztę rzeczy mi oddadzą. » Obok koszul i siarniczków, przychodziły też tłumem inne przedmioty, dogadzające potrzebom umysłu i serca : książki, wizerunki drogich osób i miejsc znajomych, robotki niewieście, nad któremi ślepiła sędziwa matka, siedziały zapłakane siostry, opłatek rozłamany w wigilią Bożego Narodzenia, cukierki zachowane dla kochanego wujaszka przez małą Michasię. « Tyle mi nasyłacie rzeczy, pieniędzy i miłych pamiątek, że nie wiem jak już wam wszystkim podziękować ! » — wołał z rozrzewnieniem biedny wygnaniec i starał się wzajemnością wywdzięczyć. Dla jednéj siostrzenicy rysował jajko wielkanocne, dla drugiéj strugał igliczkę z kości mamuta : nowo narodzonemu synkowi siostry posyłając czapkę sybirską, pisał do niéj : « Niech twój synek zdrów tę czapkę nosi, albo raczéj niech w niéj wygodnie leży, gdyż bardziéj podobna do kolebki, niż do czapeczki dla malca. Ale pocóż moja Zosienko, każesz mu być Adolfem? Od szwedzkiego Gustawa zacząwszy, wszyscy nasi Adolfowie nie byli bardzo szczęśliwi. Dałyby nieba, ażeby twój infant urodził się wyjątkiem. Za

moich czasów w Kamieńcu, kiedy ja, a raczéj moje imie było bardzo *à la mode*, cztéry matki powiły czterech Adolfów. Ciekawy jestem, jaki ich los spotkał czy spotka. Wszakże nie życzę im, aby listy datowali kiedy z nad Irtysza. »

Ten nieustanny stosunek listowny, prowadzony najczęściéj trybem potocznéj rozmowy w kole rodzinném, sprawuje złudzenie, które niekiedy jeden wyraz, jeden wykrzyknik rozchwiewa nagle. Dwie strony rozmawiające, są jakby przedzielone cienką ścianą, czemś nakształt granicy między światem widomym i niewidomym. Słyszą się, rozumieją się, współczują, tylko ujrzeć się, uścisnąć się nie mogą. A bez tego wszystko dla nich jest niedostateczném. Obie wysilają się całemi duszami na rozdarcie zaklętéj przegrody, i w jęku jednéj można poznać rozpacz drugiéj. Wtedy, na miejscu znikłéj przestrzeni staje rozciągłość czasu, którego straszną miarą jest oczekiwanie. Oczekiwanie... czegoż i jakie? To tylko zdoła pojąć ten, kto kiedykolwiek i gdziekolwiek był wygnańcem : oczekiwanie powrotu.

Nadzieja nie opuściła zbolałéj matki, co nie dziwnego; nie opuściła także i pełnego męzkiéj siły syna, co trudniéj od razu pogodzić z jego mocą charakteru i jasnością rozsądku. Matka ufała w skuteczność swoich starań, wpływu osób możnych, wreszcie potęgi tych prośb, z jakiémi rodzicielka rzuca się na kolana przed lwem unoszącym jéj dziecię; syn polegał na zabiegach matki, na miłosierdziu Bożém, a zresztą na wszystkiém nieprzewidzianém i nieokreślonem, jak to czyni każdy, kto żadnéj pewności nie ma przed sobą, a spodziewać

się musi, bo tajemniczego ognia, który lubi karmić się rachubą, ale i bez niej żyje, zgasić w sobie nie może. Nie domyślał się on, albo domyślać się nie chciał, że spalił za sobą okręty; nie zważał na to, że był nie pod lwią, ale pod tygrysią łapą: z jakiémś opuszczeniem się dobrowolném czy niezależném od ludzkiéj woli, oddawał się nadziei, która stała się soczewką skupiającą wszystkie promienie jego duszy na punkt jeden. « Jeżeli Bóg da — pisał z Tobolska w styczniu 1833 — że się spełnią życzenia moje a nadzieje Mamy, nie umiem nawet wyobrazić całéj potęgi uczuć, całego gmachu szczęścia, jakiego serce moje dozna w téj chwili, kiedy u stóp jéj zobaczę ziemię moją, niebo moje i wszystko co mi jest najmilszém. »

Próg domowy był teraz dla niego tym jedynym punktem do zdobycia, do przejścia, za którym leżał cały raj utracony, cały widokręg życzeń aż do najwyższych, najświętszych, krwią oblanych, przeniesionych nad wszelkie względy osobiste. Drogie, uwielbione, najczulszą miłością otoczone imie matki, przybrało nadto jeszcze jakieś znaczenie symboliczne: często w listach wygnańca, z których każdy przypieczętowany orłem dwugłowym, brzmi za jedno z wyrazem *ojczyzna*.

Myśl, żądza powrotu, z dwóch krańców pielgrzymstwa wytężona do środka, miała przed sobą dwie przeciwne strony jednego zadania: na czém dla wychodźców zachodnich kończył się, na tém dla wschodnich zaczynał się widok odzyskania wszystkiego; ale nadzieja, mimo niezliczonéj rozmaitości barw swoich,

jednakim trybem obchodziła się z nimi. Nigdzie podobno nie znajdzie się tak szczegółowy, żywo namalowany i boleśnie przejmujący obraz biegu za nią, jak w listach Adolfa. Zrazu świeciła mu zblizka i ciągle, późniéj umykała się daléj i kryła się niekiedy w mgłe zwątpienia, nigdy wszakże nie dała mu ochłonąć, zastygnąć, spocząć — « choćby na mrówisku. » Jeżeli nie mogła łudzić umysłu prawdopodobieństwem, przybierała postać snu ujmującego łatwowierność serca, albo wkradała się do duszy pod kształtem tajemniczym przeczucia. W kilka miesięcy po przybyciu do Tobolska, cieszył się z wiadomości, że wesele siostry Kasyldy, które miało być w listopadzie, odłożono do Trzech Królów « bo przynajmniéj mógł sobie obiecywać być na niém. » Niedługo potém, patrząc posępnie przez okno, wzdychał : « Sanna droga wyborna; możnaby za 16 dni być u Mamy. Cóż! kiedy trzeba siedzieć i marzyć tylko o szczęściu, które może i dla mnie nastąpi. » Innym razem, dziękując za przysłane pieniądze, powiadał z ufnością : « Spodziewam się że mi posłużą na podróż do Dziahylny. » To znowu zniecierpliwiony i stęskniony wołał : « Ach! już trzeci rok upływa mojéj niedoli, kiedyż będzie jéj koniec! »

Te i tym podobne wyrazy, mają w sobie cóś strasznie smutnego, zwłaszcza gdy się wie, ile to jeszcze lat było do końca i na czém się wszystko skończyło. Powtarzają się one wciąż przez ćwierć wieku w nieskończenie rozmaity sposób, odzywają się wśród rozmowy o każdym najobojętniejszym, najmniéj zdolnym nasuwać chmurne myśli, a nawet wesołym i zabawnym

przedmiocie. Zdaje się, że cały ten zbiór kartek dających słyszeć żywy głos wygnańca, przenizuje jakaś ukryta struna, która nieustannie dzwięczy jękiem tak tkliwym, tak bolesnym, tak napiętym w najcichszych nawet tonach, że aż dziw jak nareszcie nie zużyje się i nie pęknie. Jęki te wszakże z początku głuchną niejako przy mocnych akordach innych uczuć, między któremi góruje nierozczarowane jeszcze uczucie zakochanego serca. Pierwszy list do matki, 16 lipca 1832, zawiera następne wyrazy, rozpoczynające poufną z nią rozmowę w tym względzie : « Za dni 13 skończy się rok piąty od chwili kiedy poznałem Stefanią. Jak to czas upływa! W przeciągu tego półdziesiątka lat jakie to koleje przechodziłem, gdziem był, com widział i jak los mną obracał. »

Po tém wspomnieniu połączoném tylko ze skargą, nastąpiło wkrótce wynurzenie wzruszeń, świeżym ożywionych ogniem. W listopadzie tegoż roku pisał : « Od czasu kiedym zapadł na zdrowiu, wyjechał za granicę i nie miał nadziei przywiedzenia do skutku moich zamiarów, przerwały się nasze stosunki ze Stefanią. Milczałem będąc za granicą; po powrocie, przed wyjazdem do Warszawy, raz tylko byłem z nią przez godzinę, byłem obojętnie : list jéj pierwszy, który do mnie napisała we wrześniu, odmienił postać rzeczy — rozłączonych czasem, odległością i różnémi okolicznościami, łączy na nowo. »

Matka, która w czasie podróży na Podole dla starań w Kijowie, poznała Stefanią, poglądała na ten związek przychylnie, rozciągnęła nad obu sercami troskliwą

opiekę. Nic milszego, nic bardziéj malującego miłość synowską i macierzyńską, nad tę zamianę z jednéj strony ufności bez granic, z drugiéj wyrozumiałości najdelikatniejszéj. Syn w kwiecie wieku, otwiera się przed matką jak małe dziecię, powierza jéj wszystkie swoje uczucia i myśli; matka obciążona laty staje się bliższą niż młode siostry powiernicą jego męk i roskoszy serdecznych, jak anioł stróż czuwa poważnie i bacznie nad płomieniem, który gasić lub utrzymywać należało ostróżnie. Z odpowiedzi Adolfa widać jakie odbierał upomnienia i uwagi. « Kilka moich słów dla żartu, dla rozweselenia smutnych naszych rozmów, napisanych do Zosi, dało Mamie powód mniemać, że nie jedną Stefanią jestem zajęty... Jéj obraz nadto mocno jest w mojém sercu wyryty, ażeby jaki drugi mógł ją zastąpić. Kiedy w Rzymie, kiedy w Medyolanie, w Wenecyi, w tylu innych miejscach nie padłem ofiarą pięknych oczu, to już Stefania może być pewną, że nie tak łatwo utraci nademną swoją władzę. » — « Nie mogę posiąść się z radości, że Stefania tak się Mamie podobała. I mnie się ona podobała, i nie bez przyczyny! Bardzo Mamie dziękuję za powtórzonych kilka jéj wyrazów: były tu one dla mnie największym balsamem. Niech się Mama nie dziwi, że poczciwy, najlepszy, najzacniejszy Tomasz ma przeciwne naszemu wyobrażenie o niéj. Przy wszystkich swoich zaletach Tomasz mój, za którego dałbym życie, jest często babą, powiernikiem sekretów pół gubernii kobiét, które w znacznéj części obrażone są na Stefanią, że piękna, że była celem hołdów tylu moich współzawo-

dników. Sto razy gadał on mnie to samo co Mamie. Nie mam mu tego za złe, bo wiem że czynił to przez przyjaźń dla mnie; ale ja mam tysiąc powodów mniemać że się mylił... Stefania nie jest pospolitą osobą; nie jest to jaka sobie Basia lub Marysia, która dlatego tylko żyje aby żyła, aby zawróciła głowę jakiemu Maciejowi lub Janowi. Jedna tylko Stefania umie pojąć szczęście Adolfa, on jeden może pojąć jéj szczęście, ocenić ją należycie. To wszystko mówię tylko do jednéj Mamy... Ta siostra! najlepsza istota, jest drugim Tomaszem w swoim rodzaju. Prędko także przyjmuje wszystkie wrażenia, i ztąd poszło że nie schwyciwszy prawdziwego stanu moich uczuć, pisała do Mamy o mojém zajęciu się kim innym, a do mnie znowu niedawno, że powinienem myśleć jeszcze o kim innym. Mnie to tak łatwo można serce przemienić! Bojąc się więc wszelkich nadal nieporozumień oświadczyłem i oświadczam, że dla pierwszéj mam najszczerszą wdzięczność, dla drugiéj największą przyjaźń, ale dla jednéj tylko Stefanii, jednéj jéj tylko na całym globie, miałem, mam i mieć będę to uczucie miłości, jakiego żadna we mnie kobiéta nie wzbudziła. Rzecz więc skończona. »

Nie była jeszcze skończona. Zbliżał się fatalny moment, kiedy słodkie marzenia musiały trącić się o twardą rzeczywistość. Błoga pewność wzajemności dosięgała szczytu, na którym nie mogła stać długo w równowadze. List 5 maja 1833, kończy się zapytaniem zwiastującém przesilenie. « Dla pocieszenia kochanéj mojéj Mamy — powiada uniesiony zapałem kochanek — donoszę, że jestem zdrów i jestem już zaręczony.

Stefania za zezwoleniem swojéj matki przysłała mi ślubną obrączkę ze swojém imieniem. Widzi Mama, że mój los nie jest tak zupełnie nieszczęśliwy, żeby tyle nad nim łez wylewać, ile Mama mnie ich poświęca z narażeniem swego zdrowia tak drogiego tylu osobom. Nie jestże on teraz znośniejszym, kiedy i w złéj doli nie opuszcza mię serce téj, którą tak mocno pokochałem za szczęśliwych moich czasów. Stopniami coraz więcéj znajduję pociechy w mojém położeniu; może więc dobroczynne niebo wkrótce położy koniec i troskom matki i nieszczęściom syna... Częste listy Stefanii zdają mi się Sybir w raj przemieniać. Ale co jednak z tego będzie kiedy się mój los nie odmieni?... »

Smutne to zapytanie, z różnych powodów i stron stawało nieraz przed myślą Adolfa. Ilekroć musiał sobie lub innym dać na nie doraźną odpowiedź, odzyskiwał całą moc charakteru i trzezwość rozwagi. Póki szło o niego samego, pozwalał sobie patrzeć w przyszłość przez tęczowy pryzmat nadziei, ale kiedy chodziło o związanie cudzego losu ze swoim, widział tylko obecność i czuł się obowiązanym uważać ją za niezmienną, aż się nie zmieni. « Jabym się tu miał żenić! — wołał — Ja miałbym serce sprowadzać tu kogoś aby ze mną i dla mnie cierpiał! Ja śmiałbym narażać przyszłe potomstwo na znoszenie następstw mojego nieszczęścia! To tak niepodobne do mnie, że gdybym to uczynił, nie byłbym sam sobą, nikt z moich przyjaciół co mię dobrze znali, nie uwierzyłby temu. »

Ten sposób widzenia rzeczy wyrażał się niewątpliwie i w listach do Stefanii; ale młodość czuje się tak

bogatą panią chwil życia, ale czysta miłość tak zuchwale staje do walki z czasem, że obie strony, choć nie z równą cierpliwością, mogły jeszcze wiele poświęcić oczekiwaniu. Zdaje się przytém, że obie tłumacząc się szczerze, lękały się nawzajem przyjść do ostatniego słowa. Stefania nie zrażała się odrzuceniem jéj ofiary przyjazdu na Sybir; Adolf odkładając ślub do swego powrotu, nie zrzekał się tytułu narzeczonego, który tak go uszczęśliwiał: wola więc została na swojém miejscu, ale nadzieja z podwójną siłą owładnęła myśl i serce.

W takiém usposobieniu opuścił Tobolsk.

III

Przybycie do Iszymu rozpoczyna nowy, bez mała ośmioletni okres życia na wygnaniu, życia w pełni lat mężkich między 30^{m} a 40^{m} rokiem. Był on też niejako przejściem z doskwierających upałem, do jesiennych, coraz posępniejszych dni wieku. Przed zaczęciem, poglądał nań Adolf bez obawy, po skończeniu, z żalem i miłém wspomnieniem. Rozkaz wyjazdu na wieś, nie miał dla niego nic strasznego. Step uśmiechał się do jego imaginacyi poetyckiéj; gospodarstwo rolnicze odpowiadało jego wielkiemu zamiłowaniu natury i nienasyconéj potrzebie zajęcia się, jeśli tak wyrazić się godzi, plastycznego; pustynia zresztą wabiła serce zanurzone w świecie marzeń i pamiątek.

Listy jego, są odtąd jakby przesuwającymi się w latarni czarnoksięzkiéj obrazkami, w których widzimy go z różnéj strony.

Na wyjezdném z Tobolska pisał do matki : « W téj chwili dowiaduję się, że w niedzielę, to jest 10 grudnia opuszczam Tobolsk i jadę w powiat iszymski, do wsi Żelakowéj... Jestem teraz jak posesor w czasie tak zwanéj rumacyi. Kupiłem sobie ogromne sanie, w które spakowawszy siebie i całe moje gospodarstwo przez półtora roku zgromadzone, odkoczuję w inną stronę, i skromny wieśniak, sadzić będę rzepę gdzieś tam nad brzegami Iszymu czy Karasuli. » — Potém 1 stycznia 1834 : « Dziś odebrałem list Mamy, Zosi, Kasylki, Stefanii i Tomasza. Ledwie co oczy przetarłem kiedy mi przyniesiono tyle miłych dowodów pamięci najdroższych mi osób w świecie. Nie mogłem więc przyjemniéj zacząć nowego roku... Dotąd mieszkam w Iszymie, ale jak tylko wybiorę i najmę kwaterę na wsi, natychmiast się do niéj przeniosę i będę co tydzień jeździł do Iszymu dla odebrania listów z poczty, która tu raz tylko w niedzielę z Tobolska przychodzi. » Następnie już z Żelakowéj, 4 lutego : « Błogosławię doskonałą drogę sanną, która mi tak rychło przynosi wiadomości o najdroższém zdrowiu Mamy. Ostatni jéj list szedł do mnie nie więcéj jak dni 30. Januarkowi i Misiutce dziękuję za przypiski. Widzę że Misia postąpiła w kaligrafii. Z jaką to rozkoszą słyszałbym ją deklamującą bajki, których musi teraz umieć kopami, kiedy przed laty tyle ich umiała... Miałem dzisiaj list od Stefusi, pełen najczulszych wyrazów. Biédna dziewczyna! Jaki

to nasz los nieszczęśliwy, że musimy tak daleko być od siebie. »

Matka ze swojéj strony, myśliła o tym « losie nieszczęśliwym » i jéj serce niewieście lepiéj rozumiało stan « biednéj dziewczyny. » Przypomniała tedy synowi z upomnieniem owe dolegliwe pytanie : « co będzie? » Pociągnięty do tłumaczenia się, odpowiadał 27 lutego: « Troszczy się Mama o Stefanią. Ach! i ja, ile ją kocham, tyle się dręczę jéj położeniem. Ale cóż ja temu winien? Wszak wiadomo Mamie jak to wszystko było... Kiedy do mnie raz pierwszy sama z natchnienia swego serca napisała, odpisałem, ale bardziéj z wyrażeniem wdzięczności za pamięć, niż w chęci odnowienia naszych stosunków. Bolało mię to, ale tak mi kazały honor i sumienie, gdyż widziałem niepodobieństwo uwieńczenia pomyślnym skutkiem zobopólnych naszych życzeń. Lecz kiedy pomimo téj odpowiedzi mojéj oświadczyła mi, że Sybir nie jest żadną przeszkodą dla niéj, kiedy mi wszystkie jéj siostry i sąsiadki doniosły w jakiéj byłaby rozpaczy, gdybym nie przystawał na jéj żądanie, kiedy mi sam zimny stryj napisał, ażebym z nią mówił po dawnemu, i kiedy mi ciągle daje dowody najmocniejszego przywiązania, mogłemże i mogęż udawaną oziębłością dręczyć ją i trapić? Przedstawiłem jéj wszystko, co tylko byłem powinien, może w piętnastu moich listach; lecz gdy te żadnego nie zrobiły wrażenia, nie pozostaje mi nic więcéj, jak prosić Boga, aby los mój terazniejszy przemieniwszy na pożądańszą dolę, dozwolił mi otrzeć łzy Stefanii i położyć koniec zobopolnym naszym i tak długim cierpie-

niom. Niech więc Mama osądzi czy ja winienem? » — W tymże liście dodaje : « Za trzy dni imieniny Remuszka (Romualda), a niezadługo Staszutki (Eustachego) : jakże to gorzko o tak blizkich sercu osobach niewiedzieć nawet czy żyją! » Niemal współcześnie, pisząc do siostry, powiada : « Powinszuj odemnie Kazimierzowi twemu nadchodzących imienin; pamiętam o nich bardzo dobrze, gdyż właśnie w ten dzień przeczytano mi dekret skazujący na rozstanie się z wami. »

W takichto ciągłych zwrotach myśli i westchnień to do kochanki, to do rodziny, upływały chwile zimowe samotnikowi zamkniętemu w chacie chłopa sybirskiego. Miał on dziwną pamięć, jakby umyślnie uorganizowaną do karmienia duszy wspomnieniami. Przez cały czas wygnania, gdziekolwiek był, czémkolwiek się zajmował, nigdy nie zapomniał o żadnych imieninach i urodzinach osób kochanych, o żadnéj uroczystości rodzinnéj, o żadnéj rocznicy wypadków wzruszających jego uczucie. Każdego dnia budził się z gotowém wspomnieniem, w każdéj okoliczności niewidzialny kalendarzyk kieszonkowy dostarczał mu daty do porównania. Na stepie kirgizkim, oblany znojem, wśród tysiąca nowych przedmiotów, nie przepomniał dnia popisów szkolnych, wejścia wojsk Napoleońskich, oswobodzenia Wiednia! Listy jego tak ciągle unoszą uwagę w przeszłość i kraj ojczysty, że częstokroć sama jego osoba zdaje się być tylko jakimś cieniem na Sybirze, i potém dziwno, gdy nagle ten cień rozwija rzadkiéj sprężystości czynność ludzką.

Póki go mrozy czterdziestostopniowe trzymały w zamknięciu, resztę chwil wolnych od nieustannéj korespondencyi, przepędzał na czytaniu. Prócz zapasu książek ponasyłanych pierwéj, nie przestawał otrzymywać nowych zasiłków tego rodzaju. « Moja Zosiu! — zapytywał siostry w lutym — Komu winienem wdzięczność za to, że przychodzi tu pod moim adresem *Tygodnik Petersburski?* Odbieram go regularnie każdéj niedzieli po południu; wiedźcie zatém, że o téj porze zawsze siedzę nad nim przy skromnym obiadku, jaki mieć można pod 56° 6″ szerokości jeograficznéj, co najdokładniéj po raz pierwszy oznaczył przejeżdżający tędy niedawno astronom. » Ale skoro nadeszła wiosna, listy jego poczęły tchnąć wolném powietrzem i obejmować rozleglejszy widokręg.

« Kopię ogródek — donosił pod koniec kwietnia — biegam za kaczkami i zającami, łowię ryby, ciągłym ruchem bronię się od melancholii, która tak łatwo napastuje w podobném mojemu położeniu. Kupiłem sobie konia, hoduję kilka sztuk bydła, wyszedłem na pasterza, szkoda tylko, że kraj nie jest Arkadyą. » — « Mam się teraz lepiéj niż zimą — pisał w czerwcu — Piękna pora wiosenna, przechadzki, jazda na koniu, zajęcie się ogrodem i bydłem, wstawanie do dnia, najścislejsza dyeta, wpływają na zmniejszenie cierpień, których doznaję; najlepszém zaś dla mnie lekarstwem jest każdy list donoszący, że kochana moja Mama cieszy się dobrém zdrowiem i nie traci nadziei uściśnienia swego syna na domowym progu. »

Pomimo tych środków, słabość różnemi symptoma-

tami objawiająca się od roku « rozwijała się sobie swobodnie, bo w Żelakowéj, bez doktora i apteki nie było komu i czém wziąść jéj w kluby. » Musiał więc prosić rządu o pozwolenie udania się na kuracyą do Tobolska, dokąd wyjechał pod koniec czerwca, a 30 lipca oznajmiał już rodzinie : « Po sześciu tygodniach leczenia się pod przewodnictwem biegłego lekarza, wyruszam jutro napowrót do mojéj siedziby, znacznie zdrówszy i weselszy. Przyznam się, że śpieszę na wieś ochotnie, bo chciałbym jeść mojego zasiewu ananasowe melony i podolską kukuruzę ; bo przytém pasie się tam na stepie mój Farys, który będzie miał honor nosić mię na swoim grzbiecie jeszcze jakich pięć lub sześć tygodni, nim śnieg pokryje brzegi Karasuli. Zresztą klimat iszymski daleko jest łagodniejszy od tobolskiego... » — Nieco późniéj, dodał w jednym liście : « Muszę też uspokoić obawę Mamy, jaką ją nabawiłem donosząc, że mając wydzieloną sobie ziemię, zajmę się postawieniem na niéj chałupki. Mama z tego wniosła, że będę w niéj mieszkał sam jeden na odludnym stepie... Rzecz się ma zupełnie inaczéj. U nas kto posiada grunt, pospolicie stawi sobie małą, tak nazwaną *izbuszkę*, najczęściéj darniem pokrytą, aby w czasie orania, siewu i zbierania mógł znaleść schronienie od deszczu i spieki : otoż i ja o takiego rodzaju chatce pisałem, ale i to dotąd nie przyszło do skutku, i podobno nawet w tym roku nie przyjdzie, bo jeszcze nie mam wręczonéj sobie ziemi ; co z wielu miar jest dla mnie niedogodném : miałbym przynajmniéj gdzie nakosić siana i zasiać trochę owsa dla mojego konia. »

Istotnie, projekta agronomiczne spełzły na niczém. Od września do końca roku 1834 bawił ciągle w Iszymie, a na początku 1835 otrzymał pozwolenie stałego pobytu w tém mieście. « Proszę Mamy być spokojną o moje finanse — pisał donosząc o tem. — Póki sądziłem że będę mieszkał na wsi, przewidywałem wydatki na zbudowanie sobie domku, gdyż niepodobna było mieścić się z gospodarzem pod szczupłym jego dachem; teraz daleko mi taniéj przyjdzie żyć w kwaterze najętéj razem ze stołem, niżeli prowadzić własne gospodarstwo... O jakże ja wdzięczen jestem zrządzeniu Opatrzności, że dozwoliła uwolnionemu ztąd współwygnańcowi memu widzieć się z Mamą! Na kilka godzin przed odebraniem téj wiadomości, śniło mi się, że Mama przysłała mi cukierki i wyczytałem w jéj liście zaspokojenie się rozmową z Sadowskim. To przynajmniéj dowodzi, jak miałem tém nabitą głowę i jak pragnąłem, żeby naoczny świadek przedstawił Mamie prawdziwy mój stan, który jéj czułe serce wyobrażało zawsze w najczarniejszych kolorach. Nieszczęście moje wielkie jest z natury swojéj, w codzienném jednak życiu nie doznaję biédy i ucisku. Pieniądze, które odbieram z łaski Mamy i pamięci rodziny, wystarczają mi dostatecznie na opatrzenie potrzeb... Bardzo dziękuję za przysłane podaruneczki noworoczne; złożyłem je obok dawnych, wśród świętego dla mnie zbioru dowodów przywiązania drogich mi osób... Chustkę, która Mamie służyła, nie wiedząc jak ją godnie użyć dla siebie, szkłem pokryłem i patrzę jak na relikwie. »

Z nudami długiéj zimy wracały znowu coraz częstsze

narzekania na wątłe zdrowie, na smutną obecność, na niepewną przyszłość. W ciągłém pasowaniu się cierpiącego serca z wytężoną mocą duszy, wpadał niekiedy mimo swéj wiedzy, w tę niezgodę z sobą samym, co jest oznaką najgłębiéj dojmującéj męczarni. « Nic tak nie zabija zdrowia — wołał — jak brak rozerwania się wśród smutku i nieustannych zmartwień, brak uśmiechu przyjaznéj twarzy, głosu współczujących piersi. » Na słowa perswazyi odpowiadał jednak siostrom z niejakiém oburzeniem. « List wasz i załączoną receptę pana Ferdynanda onegdaj odebrałem. Wam za pamięć, a szanownemu i kochanemu doktorowi za radę najpiękniéj dziękuję. Gniewam się wszakże i na was i na niego widząc z waszych listów i z jego recepty, iż myślicie, że ja oddaję się rozpaczy, nie umiem znosić mojego nieszczęścia i z téj przyczyny jestem słaby, a przeto dajecie mi moralną i medyczną naukę o potrzebie spokojności umysłu i tym podobnych pewnikach. Moje drogie siostry, i ty synu Eskulapa, wierzcie mi, że jeżeli jestem chory, to dlatego że chory jestem, nie zaś z braku mocy duszy potrzebnéj do znoszenia mego nieszczęścia. Miałbym wiele do wyrzucenia sobie, gdybym w złym losie nie umiał być wyższym nad jego pociski. » — Powtarzał Stefanii « aby uważała siebie za wolną i rozporządziła swym losem, » a w kilkanaście dni późniéj chlubił się przed matką : « Stefania przysławszy mi niedawno woreczek, grozi teraz czapeczką swojéj roboty... Co to za rozkosz widzieć się niezapomnianym przez tych, których się tak kocha, a osobliwie po rozłączeniu się tyloletniém. » — Potém

znowu, w dzień wielkanocy, wylewając swoje tęsknoty, dodawał ze skargą i rezygnacyą razem : « Stefania niebardzo pojęła moje listy. Ja przez dwa lata piszę, że dla jéj dobra zrzekam się mojego szczęścia i radzę aby szła za mąż, a ona sądzi, że ja się w drugiéj zakochałem... W ostatnim liście napisała mi, że będzie się starała spełnić moje żądania, być mi posłuszną. Ja życzyłem jéj szczęścia — szczęścia — szczęścia !... I dałby Bóg żeby się moje życzenia spełniły, bo ona tego warta. »

Tymczasem, wzmagająca się słabość zdrowia stawała się głównym przedmiotem korespondencyi, zwłaszcza gdy zabłysły piękne dni szybko rozwijającéj się wiosny sybirskiéj. « Od tygodnia, rozpocząłem kuracyą majową — pisał na początku czerwca. — Kiedy Mama kochana bierze ją w Mirze, ja tu piję codzień po ośm szklanek kumysu, to jest tęgiego napoju z kobylego mléka, robionego przez czarnookie Kirgizki; szkoda tylko że tutejsze nie umieją go robić jak należy, i chcąc mieć dobry, trzeba o 200 wiorst sprowadzać, z okolic Petropawłowska, gdzie dużo bogatych Kirgizów, kiedy tu ich niewiele i to ubogich tylko pastuchów. Przytém, ciągłe przechadzki piesze i przejażdżki konne, pożywienie lekkie i bardzo ograniczone, sprawiają wyborny skutek. Ból piersi zmniejszył się znacznie, krew nie tak już bije do głowy, sen mi wrócił jak niegdyś po kąpielach w Tryescie... Śmiało jednak powiedzieć mogę, że nic mi tak nie pomaga, jak ciągle odbierane dowody najczulszéj miłości macierzyńskiéj. Téj to pamięci najdroższéj mojéj Mamy winienem

całą osłodę mojéj doli i możność cierpliwego jéj znoszenia. »

« Mogę się pochwalić — donosił w lipcu — że zdrowie moje znacznie się polepszyło, przynajmniéj tak mi się zdaje, co już wiele dla chorego. Wypiłem tatarskiego trunku dwie beczki z górą i piłbym jeszcze więcéj, gdyby nie trudność w sprowadzaniu. Na przyszłą wiosnę, jeśli zmiana losu nie da mi najskuteczniejszego lekarstwa, będę prosił o pozwolenie przebycia trzech miesięcy w Petropawłowsku. »

« Napiwszy się dowoli kumysu przez dni 40 — opowiadał pod koniec sierpnia — wziąłem jeszcze 28 kąpieli w jedném sąsiedniém Iszymowi jezierze. Jest to szczególne jezioro : niewielkie, w kształcie trójkąta, którego dwa boki mają po wiorście, a trzeci ćwierć wiorsty. Naokoło zostawiony osad, tworzy jakby marmurowe białe ramki. Woda jest ciemnawa, mętna, zgniła, słona, nieznośna. Najmniejsze jéj użycie sprawuje womity i rozwolnienie, najmniejsze jéj poruszenie nogami, zwłaszcza w niewielkiéj głębokości, zamienia ją w rzadkie błoto. Woda ta ma przytém szczególną własność mineralną, jest nadzwyczajnie lepka i zastępuje zupełnie mydło : żadném mydłem doskonaléj wymyć się nie można; zanurzona w nią głowa natychmiast pokrywa się jak gdyby szumowinami mydlanémi. Słowem, jestto jezioro osobliwsze i wielce ciekawe, a zasługujące na moją wdzięczność, bo mi bardzo dobrze posłużyło. Lud je nazywa *gorkoje ozero* (gorzkie jezioro) i we wszystkich słabościach i ranach ucieka się do niego. Dziwnym sposobem pomaga koniom. Gdyby

leżało w miejscu ludniejszém, pewnieby brzegi jego wkrótce zakwitnęły w dostatek; teraz nikt nad niém nie mieszka. Musiałem więc codzień dwa razy jeździć ze wsi odległéj o trzy wiorsty, a w niéj przez cały ten czas żyć tylko kurczątkami, kartoflami i rzepą. »

Pomimo tych zbawiennych skutków kumysu i gorzkiego jeziora, nie długa była pociecha z poprawy zdrowia : z mrozami i słotami listopada przyszła « niewiedzieć zkąd » ciężka gorączka, która chociaż przy braku apteki i biegłych lekarzy, skończyła się szczęśliwie po kilku tygodniach.

Przy końcu grudnia donosząc matce o zupełném wyzdrowieniu, dołączył następne wyrazy. « Jakże zdołam wynurzyć całą mą wdzięczność Mamie za poświęcenie tyle trudu, tyle wzroku na tak długie pismo do mnie, które ile mię rozmaitemi szczegółami przyniosło ukontentowania, tyle głęboką filozofią, religią, moralnością i najzacniejszemi uczuciami ożywiło duszę wskazaną na długie może jeszcze walki z nieprzepartym losem. O najdroższa Matko! Jakże Ci wdzięczen jestem, żeś nie żałowała czasu i pracy, kreśląc obraz swojego życia, terazniejszego położenia i wszystkich kolei nieszczęśliwych. Obraz ten mocno utkwi w moim umyśle i będzie dla mnie najlepszą nauką jak mam przebywać ciernistą drogę mojego smutnego przeznaczenia. Oby Bóg mi dał podobną wytrwałość. Oby kiedyś pozwolił u stóp jéj złożyć podziękowanie za tak zbawienny przykład. »

Na początku roku 1836 pisał. « Ostatnia poczta przyniosła mi życzenia świąt i drogie upominki. Nie

uwierzy Mama ile każde święto kosztuje mię zdrowia. Wyobrażam, jak w każdy taki dzień Mama przypomina sobie, że kiedyś wszyscy osobiście składaliśmy jéj powinszowania, a teraz nas niema, i na to wspomnienie nie jedna łza skrapia jéj zrzenicę. To wszystko rozdziera mi serce i duszę. Mam już od Mamy z czterech lat opłatki, które o 3,000 wiorst przez pocztę tylko łamaliśmy z sobą. Leżą one przed mojemi oczyma, jak ogniwa ciągłego łańcuszka mojego nieszczęścia i smutku drogiéj rodziny... Oby dzisiejszy dowód jéj pamięci był już ostatnim ogniwem!... Tymczasem pocieszam się pamiątkami. Nabyłem niedawno sprzęt, którego od lat kilku szukałem daremnie, bo tu niezmiernie trudno o stolarskie roboty : mam teraz wyborne bióro do pisania, czytania i chowania moich bogactw. Jedenaście szufladek zamyka wszystkie listy i pamiątki najdroższych mi istot w świecie : jestto nieoceniona moja skarbnica... Jak uważam, Mama kochana, z porównania dawniejszych moich listów zagranicznych z terazniéjszemi azyatyckiemi, sądzi o moim duchu, czyli stanie moralnym umysłu. To bardzo niepewny termometr. Kiedym był zagranicą i kiedy ciągle miałem tysiące nowych widoków przed sobą; kiedy ze szczytu Alp spuszczałem się na błogie doliny Italii; kiedy z Kapitolu patrzyłem na ruiny Forum, lub w weneckiéj gondoli marzyłem o kochance; kiedy z nad brzegów Dunaju jak orzeł przelatywałem całą Germanią by napić się wody z Renu, Rodanu, lub przynajmniéj Duransy : wtenczas styl mego listu musiał być żywy jak pełne życia było życie moje. Lecz dzisiaj, kiedy

siedzę na jedném cichém, głuchém miejscu, kiedy zawsze jedno a jedno mam przed sobą i nad sobą i w około siebie, podobnaż aby list mój nie był martwy jak moja atmosfera dzisiejsza! Gdybym i tu wędrował po Uralu i Ałtaju, gdybym żeglował po burzliwym Bajkale, lub spuszczał się po Lenie na ocean polarny, dziedzinę lodów i białych niedźwiedzi; gdybym w kraju Samojedów patrzał codzień prawie na boskie światło borealnéj zorzy, lub na stepie Kirgiza umizgał się do czarnookiéj córy jakiego sułtana: wtenczasbym pewno wystąpił z opisami daleko więcéj mającemi interesu, niż dziś, kiedy muszę donosić o katarze lub gorączce. Dlatego niech Mama termometrowi swemu nie wierzy i niech będzie pewną, że trzymam się jak mogę na umyśle.»

Coż są takie wspomnienia i co znaczą pamiątki? Oto cała skarbnica ich tylko co nie poszła z dymem. Wszczął się ogień w przyległym domu, przedzielonym tylko dziedzińcem, na którym stało kilka stogów siana. «Kiedy spaliśmy jak zabici — powiada Adolf — posłyszałem ogromne stukanie do bramy i w téj chwili usłyszałem głos sąsiadki Kałmuczki, miotającéj moją okienicą: Adolko! pożar u wąs! — Na takie *dictum acerbum* zerwałem się z łóżka, pobiegłem zbudzić moich gospodarzy i przekonałem się naocznie o grożącém niebezpieczeństwie. Ledwo w pół odziany, musiałem w pięć minut zebrać, złożyć, związać, i popakować wszystkie moje manatki... Szczęściem, że wiatru nie było i przy skorym ratunku skończyła się klęska na zgorzeniu jednéj budowli i przestrachu całego miasta drewnianego, a dla mnie na katarze.»

Zresztą, rok ten upływał podobnym trybem jak poprzedni, tylko przy lepszém zdrowiu : zimą « z fajką w zębach, nad szachami, nad książką, » na wiosnę i latém pod otwartém niebem, na stepie lub w ogródku. Kwiaty i dzieci, były dwie rzeczy koniecznie potrzebne Adolfowi : szukał ich, zgromadzał koło siebie, pielęgnował. Trzy małe córeczki gospodarza domu są często przedmiotem jego opowiadań listowych. Chwalił że ładne jak aniołki, ubolewał gdy chorowały na ospę, starszą, skoro cokolwiek podrosłą, uczył czytać i pisać. O ich rodzicach też wyrażał się zawsze z wielką przychylnością. « Są to ludzie prości — mówił — ale najuczciwsi w świecie; kontent z nich jestem jak oni również ze mnie. Trzeci rok już u nich mieszkam, a niedoświadczyłem żadnéj nieprzyjemności, ani szpilka mi nie zginęła, chociaż wychodząc nigdy kluczów nie biorę z sobą. Mam stół nieokazały wprawdzie, ale zdrowy i posilny, we wszystkim mi dogadzają. Teraz na ich dziedzińcu zakładam z moim towarzyszem i współmieszkańcem (Józefem Nowakiem), jednonogim jak mój szwagier Michaś, ogródek przed naszémi oknami. Coś to będzie bardzo osobliwego, bo on ma swoją połowę stroić w kwiaty, a ja swoją zasadzić sosną, brzozą i tarniem; on w swojéj dzielnicy ma zrobić kanapkę, ja zaś w mojéj zamierzam usypać wysoką górę, z któréj będę patrzał w stronę gdzie leży Dziahylna : trzeba zaś wiedzieć, że miejsce całe do rozwinięcia naszych planów i talentów ogrodniczych, nie przechodzi jedenastu kroków długości. » W czerwcu ogród już był gotowy, choć trochę inaczéj urządzony :

zawierał 120 gatunków kwiatów, groch cukrowy i kukuruzę z trzech stron, a z czwartéj kanapkę z darnia, na któréj Adolf sam jèden — bo wspólnik ciężko zachorował — o 4éj rano i o 5éj wieczorem pił kawę lub herbatę, palił turecki tytuń « worami przysyłany przez kochanego Tomasza » czytał książki dostarczane troskliwie z Wilna przez braciszka Januarka, a najczęściéj swoim obyczajem marzył « o drogiéj rodzinie i słodkiéj niegdyś przeszłości. »

Kanapka w ogródku stała się tém milszém schronieniem, gdy upały dzienne, a o wschodzie i zachodzie słońca chmury dokuczliwych komarów i muszek, nie dozwalały robić wycieczek w okolice. Podróż do Petropawłowska na kumys była nie potrzebną, bo « piersi już nie bolały, a głowa uwolniona od humorów zdawała się lekka i jasna jak czeska butelka. » Kąpiel jednak w błotno-słono-mydlanem jezierze zabrała parę ostatnich tygodni sierpnia.

Ale z wrześniem nadeszła jesień, ten ogrodek, co niedawno wyglądał « jak mały raj, » z którego uszczknięta rezeda szła w liście aż na Litwę, « stał się podobnym do żebraka w łachmanach : olbrzymie strzały kukuruzy pospuszczały głowy, malwy białe poskręcały swoje zżołkłe kwiaty, gwiazdy astrów jakby tknięte paraliżem blask straciły; słowem z całéj téj bujnéj zieloności zostało także tylko wspomnienie! O jakżebym — dodaje smutny dziedzic opustoszałego ogródka — zamiast wspomnień wolał cieszyć się widokiem rzeczywistości w Dziahylnie. Co Mama porabia? jak się ma jéj drogie zdrowie? Czemuż to wiek terazniejszy,

tak płodny w wynalazki, nie obmyśli sposobu, żeby o mil kilkaset w jednéj chwili można było zamieniać słowa, żeby jaką nicią elektryczną można połączyć oddalone serca!»

Chociaż wynalazek telegrafu elektrycznego, mógł wtedy być tylko marzeniem myśli udręczonéj tęsknotą, rozległy jednak okręg korespondencyi zbiegającéj się do biórka w Iszymie, rozszerzył się jeszcze bardziéj i zaczepił o nić sięgającą Paryża.

Od niejakiego czasu matka poczęła pisywać do przyjaciołki i późniéj małżonki drugiego syna swojego, Eustachego, mieszkającéj w Galicyi. Udzielając Adolfowi coraz częściéj wiadomości o braciach, otrzymywanych za jéj pośrednictwem, przesłała mu jeden jéj list własnoręczny.

List ten stał się przedmiotem głębokich studyów psychologicznych. «Bilecik Panny Eugenii ze sto razy już przeczytałem — pisał dziękując matce — Z charakteru ręki, z toku słów, z wyrażeń, ze stylu i z myśli pragnąłem zbadać jéj charakter i serce. Zdaje mi się, że ją widzę przed sobą i znam najdoskonaléj. Wyobraziłem ją sobie taką, że nie podobna jéj nie kochać i nie wielbić. Ale czy wie Mama, czego dla mnie w tym ideale brakuje? Oto, wnoszę ze wszystkiego, że to musi być piękność żywa, wesoła, na któréj jasne czoło, wolne od trosk wszelkich, nigdy najmniejszy promień słodkiéj melancholii nie pada... Choćbym zgadł, nic to jéj wdzięku i zalet nie ujmuje, tylko to pokaże Mamie, jakie moje usposobienie. Piękną jest zapewne hoża gazella swobodnie latająca po piasczystych doli-

nach Arabii; ale ja wolę alpejską jéj siostrę, wolę bojaźliwą sarneczkę, kryjącą się przed strzałem po przepaściach, skałach i lodach ś. Gotarda. Ludzie całe życie szczęśliwi lubią słońce, wesołość i zabawy; nieszczęśliwy większą rozkosz znajduje w księżycu, tęsknocie i samotności. Dlatego i ja większym jestem przyjacielem księżyca niż słońca, dlatego unikam wrzawy a szukam zacisza, dlatego urok świetnych powabów mógłby mię oślepić, ale nie wzruszyłby mego posępnego serca. Byłby to dla mnie brylant nadto rażący oczy, a ja nie wiem czy zniosłbym teraz skromniejszy blask perły Cejlanu. »

Późniéj posłał na ręce matki list następny.

Do Eugenii Larys. Iszym 16/28 listopada 1836.

« *Nieznajoméj, dalekiéj, nieznany daleki.* »

Nie mogę właściwiéj zacząć mojéj rozmowy z osobą która o mnie w swoich listach wspominać raczy, jak témi wyrazami wielkiego wieszcza, z którym w niedawnych czasach, ale za szczęśliwych dni moich, błądziłem po ruinach dawnéj stolicy świata. Nie powiedziały wtedy Sybille, że wkrótce fortuna, to zimne i nieubłagane bóstwo Rzymian, rozbije łódkę moją o lodowate skały północy i że na dzikich pustyniach Sybiru powtarzać będę rymy, których w podobnym prawie wypadku i w podobnych okolicznościach użył autor Wallenroda. Szczęśliwy jestem, że choć w tych kilku wyrazach mogę przesłać moją wdzięczność za

jéj wspomnienie. Będzie mi ono tak drogiém jak uśmiech nadziei wśród tęsknych myśli wygnańca. Obym kiedyś miał szczęście wynurzyć Jéj osobiście uczucia, jakie wzbudziło w mojém sercu to niespodziewane i drogie wspomnienie!

« A ponieważ u nas w Azyi nie ma zwyczaju podpisywania się najniższym sługą, darujesz mi zacna Europejko, że się tylko podpiszę,

ADOLF JANUSZKIEWICZ.

Obok tego, w liście do matki pisał: « Cieszę się niezmiernie z wiadomości, iż pan January, znakomita podpora upadłego domu naszego, przenosi się z Wilna na wieś i będzie pomocą Mamie. Zazdroszczę mu tego szczęścia. — Po pierwszych zimnach mieliśmy czas przecudowny. Polowałem w ostatnich dniach jesieni i własną ręką 46 zajęcy ubiłem: będą z ich skórek futerka dla córeczek moich gospodarzy. Szkoda że tu nie ma soboli: miałbym z nich lepszy dochód niż na Litwie można mieć z żyta; za skórkę zaś zajęczą ledwo płacą 8 kopiejek, a mięsa, prócz nas — i psów, niestety! — nikt tu nie je, bo lud prosty mà zająca za stworzenie *pohanne*.

Rok 1837 rozpoczął się wśród zwyczajnych zatrudnień zimowych miłośnika samotności. Matka troszcząc się, żeby czytaniem nie osłabił sobie wzroku, radziła mu zajmować się dla rozrywki tokarstwem. « Niech Mama nie myśli, że ja ciągle siedzę nad książkami — odpowiedział jéj na to. — Umiem ja sobie zawsze wynaleźć co nowego na pożyteczne użycie czasu. Ba-

wiłem się dawniéj introligatorstwem, dawałem lekcye, dwóch moich kolegów tyle nauczyłem po francuzku, że każdą książkę mogą czytać ; teraz wziąłem się do spekulacyi — proszę zgadnąć jakiéj? Żebym kochanéj Mamie nie męczył głowy dochodzeniem, powiem odrazu : tą ogromną spekulacyą są *duhy*, które wespół z moim poczciwym gospodarzem przedaję tutejszéj publiczności. Pusłowski, który tak wielki zostawił majątek, zaczął swoją karyerę od handlu łapciami — i dobrze na tém wyszedł, gdyż łapcie jestto artykuł niezmiernie potrzebowany. Komuż także duhy nie są potrzebne, osobliwie w kraju, gdzie wszystkie powozy urządzone są do hołobli? Skutek sprawdza moją zasadę, bo odbyt mamy wyborny; jaki zaś będzie ostateczny rezultat, późniéj doniosę, a tymczasem spodziewam się, że ta wiadomość pewnie rozśmieszy Mamę. Co na to powie Staszutko? »

Ważniejsze jednak zamiary rozwiązały wkrótce spółkę handlową, a na tę porę przypadło i rozwiązanie węzłów miłości, nie mogących wytrzymać dłużéj siły czasu. Już prawie dwuletnie trwało między kochankami milczenie, bo obie strony « dla spokojności » jedna drugiéj, nakazały sobie przestać pisywać. Przyjazne tylko osoby nie zaniedbywały uwiadamiać niekiedy Adolfa o Stefanii, i nareszcie, z usłużnością zwykłą w podobnych razach, pośpieszyły mu donieść, że idzie za mąż. Dzieląc się tą nowiną z matką, pisał do niéj w lutym : « Stefania jest już, czy ma być żoną sławnego w naszych stronach i bogatego, a przytém bardzo zacnego doktora — który ją wyleczył ze słabo-

ści dla mnie, i jak ja niegdyś w komitecie zasiadłem po nim, tak on przy niéj zastąpił moje miejsce. Nie mówię tego z ironią, bo jak Bóg na niebie, tak zaręczam Mamę, że życzę Stefanii wszelkiego dobra, i jak szczerze niepokoiłem się jéj położeniem, tak ta wiadomość przywraca mi spokojność... A co Mamo będzie z wyprawą przygotowaną dla mnie? Czy nie możnaby choć ze sześć koszul przysłać z niéj na Sybir dla biédnego wdowca? »

Niezadługo potém otrzymał list od saméj Stefanii datowany 15 stycznia, pełen prostoty, szczerości i téj loiki, jakiéj dostarcza powszedni porządek rzeczy, kiedy buntownicze uczucia broń przed nim złożą. « Muszę myśleć o sobie — mówiła po kilku żałośnych westchnieniach nad koniecznością zrzeczenia się miłéj nadziei — Widząc się już bardzo zmienioną, widząc moją matkę w złém zdrowiu i w latach podeszłych, nie mogę zostać na świecie bez opieki... Znam twoją dobroć i twoje serce, wiem że nie wezmiesz mi tego za złe, gdyż sameś mię na to namawiał... Kiedy Bóg i cesarz nie chcieli, żebyś był moim, przyjm napowrót swoją obrączkę, a wróć mi moją. » Naturalnie, zamykało się wszystko prośbą o wzajemną i dozgonną przyjaźń...

Przesyłając kopią tego listu matce, pożegnany autentycznie kochanek, dodał z właściwym sobie humoryzmem : « Dziś więc ostatni raz piszę do Stefanii. Odsyłam jéj obrączkę z tysiącem życzeń szczęścia w całém jéj życiu, i — na tém się kończy historya mego romansu, z którego p. Balzac mógłby cztery tomy napisać i wziąść za nie najmniéj 20,000 franków. A ja

com zyskał na nim? Wspomnienie tylko, wspomnienie!»

Godzi się posądzać, że te wyrazy tchnące nieprzyjemnym chłodem, były wymuszoną pokrywą tego, co się istotnie w sercu działo. Uczucie szlachetnemi względami tłumione, dotkliwemi przeciwnościami zagnane na cmentarz wspomnień, nie dało się jednak zabić, nie zgasło, poszło tylko w głąb duszy, zkąd w dziesiątek lat późniéj, wśród stepów kirgizkich, na sam dzwięk imienia, które Stefania nosiła — odezwało się głosem żywéj boleści.

Tymczasem wszakże, spokojność stała się niejako hasłem codziennych myśli i starań zmordowanego napowietrznemi nadziejami wygnańca. Pierwéj nim się ucieszył, że — jak mniemał — odzyskał ją w sercu, szukał jéj koło siebie, na ziemi, w zakreślonym sobie obrębie stałéj działalności, na nieskreślony czas wygnania: zapragnął własnego dachu, własnéj zagrody. Zaczęły się utyskiwania przed matką na niedogodności najętéj kwatery, gdzie ciasno, dymno i często niespokojnie, bo podczas jarmarków trzeba mieścić się w szczupłym kątku, obok którego za przepierzeniem, kupcy przyjezdni dzień i noc hałasują. «Gdyby to mieć własny domek! — choć malutki, o dwóch pokoikach, ale osobny.» — «Ile tylko było w Iszymie książek francuzkich, angielskich, niemieckich, i t. p. wszystkie przegalopowałem, a dzisiaj siedzę posępny nad staremi kalendarzami jak Maryusz na ruinach Kartagi, albo wielkiemi krokami chodzę po małym pokoju i dumam o domku, w którymbym miał gdzie pójść, co

zobaczyć, czém się zająć w kuchni, w spiżarni, na dziedzińcu, w stajence : zima wtedy nie byłaby dla mnie tak straszną figurą. » — « Mój już wiek i niepewne zdrowie wymaga wygody; w mójém położeniu chatka własna byłaby wielką rozrywką : marzę o tém, przebiegam miasteczko od końca do końca, targuję wszystkie domy, znalazłem jeden, któryby można nabyć za 400 lub 500 rubli. Jeżeli Mama zechce mi dopomódz, należałoby uwinąć się prędko z kupnem, żeby lato zostało na niezbędne reparacye. »

Takie i tym podobne odezwy do macierzyńskiego serca nie mogły być długo bez skutku, chociażby przyszło Dziahylnę zastawić. Pomoc żądana wyprzedziła wiosnę; znalazło się też przytém cokolwiek i w biórku, gdzie obok wszystkich pamiątek przeszłości, były w jednéj szufladce oszczędzone na nieprzewidziany wypadek cząstki zasiłków z lat przeszłych : dom został kupiony i rozradowany jego nabywca pisał 4 kwienia v. s.

« Przeszłéj poczty otrzymałem rezolucyą wyższéj władzy dozwalającą mi kupić dom w samém mieście Iszymie i dziś zostałem aktualnym jego właścicielem. Przed kilką godzinami wypłaciłem za niego jak lodu 325 r. sr.. Jutro, z całą moją ruchomością odbędę pontyfikalny wjazd do własnego pałacu. Mogę więc teraz śmiało powiedzieć « po mojéj tu stąpam ziemi » mam dziedzictwo w Azyi i zabezpieczony pobyt w mieście, a razem przedmiot ciągłéj pracy, najlepszéj pocieszycielki w niewoli... Nim przeszlę urzędowie odrysowany, załączam tu naprędce skreślony plan mojego hrabstwa. »

W tém miejscu listu znajduje się naprzód mały planik ogólnego położenia miasta, potém większy, w regularnym prostokącie obejmujący całą nabytą posiadłość. Z treści zaś dodanych objaśnień wypada : Rzeka Iszym, nie szersza jak Niemen pod Świętym Dworem, robiąc wielki skręt eliptyczny, z trzech stron oblewa miasto tegoż nazwiska. Główna ulica ciągnie się prosto przez cały półwysep, a ostatnim domem na jéj końcu, po lewéj stronie, najbliżéj wody, jest dom kupiony. Ma on pięć okien na ulicę, wnijście z tyłu od dziedzińca, który otacza go dokoła. Z sieni na prawo, przedpokój, z oknem na dziedziniec, daléj « gabinet pracy i sala audyencyonalna » a za nią sypialnia, z oknami od frontu; na lewo zaś kuchnia i mieszkanie kucharki. Z jednéj strony domu brama wjezdna, z drugiéj skład na drzewo. Od wjazdu w rogu dziedzińca spichlerz i przy nim « w budce pies na łańcuchu. » Na przeciw sieni stajnia z wozownią, przy których szopa na siano i chlew dla bydła plecione z chróstu. Za tém wszystkiém rozległy ogrod warzywny, a w głębi jego « *bania* » to jest łazienka.

« Dosyć jest klatek — dodaje — i będzie ciepło gdy się wyrestaurują; bo szczerze mówiąc, wielka to starzyzna : dom stoi na bakier jak czapka ułana, ściana od ulicy jak brzuch wydęta, okna patrzą zyzem... ale cóż lepszego być mogło za takie pieniądze ! »

Po tym pierwszym raporcie, szły inne, donoszące o rozwijaniu się gospodarstwa, o postępie robot koło domu, o kłopotach i korzyściach z nabytku, przyczém nastręczała się okoliczność i do nowych prośb i do po-

nawianych dzięków. Przez dwa miesiące pisał kolejno :

« Gdzie spójrzę wszędzie koło mnie to zamki to garnki, to sita, to krobie, wory mąki, stosy marchwi, rzepy, cébuli... Zamęczyłem moją dawną gospodynię sprawunkami, nim zgromadziłem wszystko co potrzeba na początek... Może Mama wyobrazić w jakim jestem ruchu... Teraz na nudy skarżyć się nie mogę, bo jak tylko zmęczę się czytaniem, porywam rydel lub siekierę i daléj na dziedziniec!... Gdyby nie dom, pewnobym w tym roku zwaryował z braku czynnego życia. Dawniéj polowanie było mi największą rozrywką, ale właśnie w tych dniach władze tutejsze odjęły nam sposobność do tego... Coraz więcéj wdzięczen jestem kochanéj Mamie, że mi pomogła chatkę nabyć... »

« Zakorkowałem 30 butelek piwa (za nic hanowerskie!), piję swój własny kwas, jem już swój chléb i do kawy mam swoje marymontskie bułki... Od początku niepodległéj gospodarki żadne mi jeszcze nie zdarzyło się nieszczęście, wyjąwszy że kucharka, pospolicie tu zwana *striapką*, przeszłéj niedzieli upiła się niemiłosiernie. Tutaj największym ambarasem dla mających swoje gospodarstwo jest owa striapka, gdyż zwykle bywa to kobiéta z klasy *posielanek*, jaka ex-złodziejka, ex-dusicielka swojego dziecka, trucizniarka lub tym podobna dama, któréj wilcza natura zawsze ciągnie do lasu, a jeżeli z obawy knuta nie kradnie, nie dusi, nie truje, to za to na kabak pogląda czułem okiem jak na kochanka. Otoż i moja Wasylisa jest z posielanek, i pewnie że za cóś złego przysłana, choć nie wiem za co (bo pytać o to byłoby największą niegrzecznością); ale

wziąłem ją na téj zasadzie, że od lat czterech nie popełniła żadnego występku i umie *koje szto sostrapat'*, to jest zgotować jako tako, bylebym ja i mój Trezor głodny nie był... Może też nałożek do pijaństwa da się jakkolwiek zmodyfikować. Pogroziłem jéj, że gdy zobaczę pjaną, zamknę bramę i do domu nie puszczę; ponieważ zaś wychodząc na spotkanie wracającéj z rynku widzę odtąd zawsze trzezwą, w nagrodę sam jéj za każdym razem nalewam kieliszek tęgiéj wiszniówki. »

Nic to jednak nie pomogło i następny list zawierał te słowa : « W dodatku do mojego raportu muszę zamieścić, że przepędziłem moją striapkę i mam teraz drugą, o połowę młodszą, cichą, skromną, bardzo dobrze *wychowaną*, bardzo ładną! — prawdziwą Sybiraczkę, sierotę po inwalidzie, imieniem *Marylę!* Jestto dosyć na zawrócenie sobie głowy; ale niech się Mama nie lęka o swojego romantycznego syna. Minęły wulkaniczne dni jego, przeszła już kanikuła jego życia. A wreszcie, Maryla przy garnku lub z wiadrami na plecach, to nie poetyczny ideał Dziadów Mickiewicza... »

Ten kłopot został załatwiony, wybor był szczęśliwy i nie potrzebował już zmiany; ale dokuczały inne troski : « Od dwóch tygodni trwa reparacya domu — wołał biédny gospodarz — mieszkam w sieni, a około mnie ruiny. Do czego dotkniemy się siekierą, wszystko się wali, wszystko spróchniałe. Strach ile potrzeba restaurować! Aż mię głowa boli, kiedy pomyślę ile to kosztować będą okna, piece, podłogi, wrota, płoty! Jeżeli Mama mię nie wspomoże większym niż zwyczaj-

nym zasiłkiem, nie wiem co pocznę. Ach moja Mamo! Co to za szczęście mieć taką matkę jaką się my cieszymy! Nie wiele jest takich matek, do którychby można tak otwarcie pisać jak ja dzisiaj piszę. Boże dobry! Ty tylko przedłużaj jéj życie, a syn jéj, jakkolwiek długo los przeciwny zatrzyma go w Syberyi, zawsze będzie spokojny o swoje skromne potrzeby. »

Pod koniec czerwca wszystko się uładziło. Dom wyprostowany, wylepiony, wybielony świecił jasnemi oknami. W wygodnych pokoikach pełno było sprzętów, które zdarzyło się nabyć po jednym uwolnionym w tym czasie współwygnańcu. Na ścianach wisiały oprawne w ramy widoki kościoła świętéj Anny i Ostréj bramy w Wilnie, obok innych obrazów i rycin pamiątkowych. W stajni koń dobry ; w chlewie krowa nazwiskiem Siniucha « zapewne tak nazwana że 10 sinych bumażek kosztowała; » na dziedzińcu mnóstwo drobiu; w ogrodzie zieleniały ogórki i melony i wszelkiego rodzaju jarzyny. Uszczęśliwiony dziedzic, chciał być godnym uczniem pana Strumiły, którego *Ogrody północne* miał u siebie na stoliku i chlubił się że mieszka « jak jaki szach Kochinchiński. »

Według posłanego matce rejestru poniesionych wydatków, restauracya kosztowała prawie drugie tyle co nabycie własności, ogółem 600 rubli sr. kopiejek 10.

Pierwéj nim ten rejestr doszedł do matki, już właśnie taka suma przyszła od niéj.

Tak tedy życzenia co do zewnętrznego spokoju zostały spełnione; ale niespokojność w głębi duszy nie dawała się niczém uśpić ani zagłuszyć. Wśród najgo-

rętszych zatrudnień koło ustalenia wygnańczéj siedziby, myśl powrotu stawała ciągle przed oczyma, we śnie i na jawie. Zmordowany całodziennym pilnowaniem cieśli i mularzy, ledwie oczy zmrużył, widział siebie w Dziahylnie otoczonego całem gronem znajoméj i nieznajoméj rodziny. « To sen, — powiadał sobie — już nie raz tak mi się marzyło. » Widzenie jednak trwało dzień jeden, drugi i trzeci : ranki i wieczory następowały zwykłą koleją; wszystkie kąty zwiedzał, wszystkie miłe twarze witał. Uwierzył złudzeniu, serce przepełniło się niewypowiedzianą słodyczą. « To nie sen! — zawołał — wróciłem rzeczywiście, jestem u mojéj drogiéj mamy! » — i wtém się zbudził, żeby zalać się gorzkiemi łzami. Wyliczając czego mu jeszcze brakuje, co w roku przyszłym będzie starał się nabyć, zatrzymywał się nagle i dodawał : « A! może Bóg da,, że tego już nie będzie potrzeba. » — Opisując bratu radość swoją z nabytego przytułku, kończył temi wyrazami : « Nigdy tak mocno jak téj wiosny nie mówiło mi przeczucie, że to ostatnia na wygnaniu, że przyszłą przepędzę już z wami. » — Pomimo to, matka, która niczego nie szczędziła dla najmniejszéj pociechy syna, zasępiała się myślą o jego sadowieniu się na Sybirze : radość, jaką ztąd okazywał, raziła jéj delikatne uczucie, jak gdyby była ujmą dla miłości należnéj matce i ojczystéj ziemi. Uspakajał ją odpowiadając : « Po co Mama smutne myśli przywiązuje do kupna mego domu? Wielu z moich kolegów mają swoje własne domy dla zajęcia się i lepszéj wygody. Cóż one przeszkodzą na wypadek, jeżeli pomyślna gwiazda powrotu zaświeci?

Zostanie przynajmniéj pocieszające wspomnienie o życiu przepędzoném w niewoli. »

Owoż to życie, które istotnie miało zostawić, z jednéj strony przynajmniéj, powabny obraz w pamięci niewolnika, wzdychającego późniéj nawet za przeszłością sybirską, przybrało jednostajny tok na ostatnie cztery lata przebyte w Iszymie. Wszystko odtąd szło tym samym trybem według kalendarza astronomicznego, któremu nieodstępnie towarzyszył kalendarz wspomnieniowy. Listy do rodziny, szykują się już teraz w ciąg szczegółowych opisów, dających widzieć miejscowość z całym jéj niezmiernie odmiennym kolorytem por roku.

Zaledwie minął dzień ś. Tekli (23 września) i poszły do matki najczulsze życzenia, z prośbą przyjęcia załączonéj jakiéj pamiątki, naprzykład obrazku niewiadomego świętego, rytego na kamieniu z gór ałtajskich « któryby jéj przypominał Sybir i nieszczęśliwego syna » następują dni krótkie, słotne i chłodne, spadają nagle ogromne śniegi, zamieniają się w rozwodź, marzną i całą ziemię pokrywają lodem, nim ich nowa odwilż nie roztopi. Na dobitkę nud poczta coraz się bardziéj opóźnia: « Jak tu być w dobrym humorze i nie narzekać. A cóż dopiero będzie, kiedy przyjdzie listopad i grudzień, kiedy sama zima sybirska zawita ze swémi mrozami 40^{stu} i 45^{ciu} stopni Reaumura, ze swemi nocami trwającemi po 17 godzin, ze swemi nareszcie *burjanami* i *purgami* (wichrami i burzami). »

W listopadzie, biédny więzień, po ruchu letnim zmuszony siedzieć przy piecu, rozwodzi daléj swe narzeka-

nia na podwójną niewolę. « Od tygodnia — powiada — taka ślizgawica na ulicy, iż zdaje się że ktoś jedno wielkie zwierciadło położył na niéj, jakby umyślnie dla pozbawienia przechadzki i co gorsza, ogłodzenia swojskich i dzikich stworzeń... Kiedy to piszę, stadko kuropatw szarych (bo mamy tu i białe) przyleciało ze stepu szukać pożywienia w mieście, o 50 kroków od moich okien. Spodziewam się, że nic podobnego nie można widzieć w Wilnie ani w Mińsku. Biédaczki! nie mogąc swémi słabemi nóżkami przebić lodowatéj powierzchni i wygrzebać ziarnka zboża lub nasionka jakiéj rośliny, zbliżają się do siedlisk ludzkich i z zaufaniem godném pierwiastkowych czasów świata « Jak niepłoszone zwierzęta, których stado nie ucieka, widząc pierwszą twarz człowieka » bezpiecznie biegają i ślizgają się po szklistéj ulicy śród bab idących po wodę i jadących z sianem wieśniaków. Czemuż tak miłym widokiem nie pozwolił mi dłużéj cieszyć się mój głupi Trezor, który zwietrzywszy zwierzynę, poczytał za największy dowcip wypędzić ją z miasta. »

W grudniu jednak, inne widowisko można mieć na ulicach Iszymu. Dwa razy do roku, przed Bożém Narodzeniem i koło Wielkanocy, odbywa się tu jarmark, każdy trwa z tydzień, a zimowy szczególniéj bywa liczny. Z rozmaitych dalekich stron ściągają się kupcy, do sześciu tysięcy gości przepełnia miasteczko, którego mieszkańcy muszą na ten czas mieścić się po kątkach « jak śledzie w beczce. » Głuche i puste ulice ożywiają się nagle gwarem i ruchem. « Jest na co pogawronić. » Wszędzie snują się w swych narodowych

ubiorach Kirgiży, Tatarzy, Bucharcy, Taszkińcy; wszędzie nawał towarów: piramidy łoju i masła, stosy skórek zajęczych, baterye garnków żelaznych, wieże różnokolorowych pak i skrzynek, trzody bydła, tabuny koni, niezliczone szeregi gęsi. To wszystko nieźmiernie bawi i zajmuje oko znudzone jednostajnością, ale kto ma swoje gospodarstwo, musi nie dla saméj rozrywki mięszać się do ciżby jarmarcznéj: trzeba na całe półrocze zaopatrzyć się we wszystko, czego przed następnym jarmarkiem nie będzie można dostać. Nasz gospodarz, ze swego zamczystego domku na przedmieściu Kisielówce, wychodzi do miasta z wcześnie ułożonym i dobrze obrachowanym rejestrzykiem sprawunków; biega, targuje, kupuje, a nawet i przedaje; zebrało się bowiem masła dziesiątek pudów, stary koń *Gniedko* już się wysłużył za swoją cenę, po co go karmić przez zimę, lepiéj na wiosnę kupić innego, a i jedna z krów mało daje mléka, więc niech idzie do rzezników. O tém wszystkiém szczegółowe doniesienia « najdroższéj Mamie » zapełniają « część administracyjną » listów, przeznaczoną na raporta podobnego rodzaju, od czasu zaprowadzenia własnéj gospodarki. Ile zaś listów rozchodziło się w rozmaite strony, można miarkować z następnego zmniejszenia w budżecie wydatków. « Ponieważ przekonałem się, że listy pisane na prostym papierze równie dochodzą jak na pocztowym, postanowiłem nie kupować papieru pocztowego, tylko prosty, co mi czyni oszczędności do ośmiu rubli w rok. »

Pośpiech i regularność w przybywaniu poczty ka-

zały czasem zapominać o wszelkich przykrościach zimy. « Pod tym względem, bogdajby zima trwała ciągle, czyli raczéj — bogdajby sanna droga trwała nawet latem! »

Obok wszystkich pociech jakie korespondencya mogła przynosić, przyszły zewsząd życzenia noworoczne. « Lecz cóż są życzenia? Niestety! miłe wprawdzie wyrazy dla zbolałego serca, ale bezsilne, jak promienie słońca w zimie; pochlebiające imaginacyi, ale nieleczące, jak lekarstwa podawane suchotnikowi, który się do nich uśmiecha, chociaż w pomyślny ich skutek i sam chory i doktorowie nie wiele wierzą. »

Pogrążonego w smutnych myślach, nie rozrywała już tyle co jarmark maskarada iszymska, o któréj dla ciekawości donosił siostrze: « Jeżeli nie wiesz, to ci powiem, że u nas od wigilii Nowego Roku do wigilii Trzech Królów, słowo w słowo, czyli — jak mówią piękne Litewki — *rychtyk* jak w Wenecyi, skoro słońce zajdzie, co ma się rozumieć zaraz prawie po obiedzie następuje, ze wszystkich kątów, zaułków i *pereułków* wychodzą *słuszalniki*, to jest maskowani, ale bez masek, bo zkąd tu dostać tego towaru? Przebiera się tylko każdy jak może, a twarz czerni węglem, lub ją zakrywa chustką, najczęściéj zaś kawałkiem papieru. Takie tedy maski śpiewają sobie gromko pewną, wiecznie jedną piosenkę i zachodzą do domów, gdzie chwilę pokręciwszy się i pomruczawszy, idą znowu daléj. To się mówi o klasie niższéj, o *prosto-narodju;* klasa zaś *błahorodna* przebiera się okazale, sprowadza sobie nawet maski z Rossyi i często ma występować

wcale przyjemnie, ale ja o tém mówię tylko ze słyszenia, gdyż nigdzie nie bywając, nie widziałem *słuszalników* wielkiego tutejszego świata. »

« Niech jednak Mama nie sądzi — powiada w innym liście — że zdziczałem, że jestem pustelnikiem. Widuję ludzi, ale wtenczas tylko kiedy sam chcę. Niemasz tego dnia żebym nie widział kilku z moich kolegów. Odwiedzamy się wzajemnie, jezdziemy razem na przejażdżki, czytamy często razem, gramy w szachy lub na miłéj gawędce o rodzinnym kraju spędzamy długie godziny. »

Przez cały czas pobytu Adolfa w Iszymie, było zawsze kilkunastu Polaków. Jedni ubywali, przybywali drudzy. Zastał tam podpółkownika Seweryna Krzyżanowskiego i Anzelma Iwaszkiewicza, skazanych jeszcze w 1825 roku. Z wojskowych i powstańców 1831 znajdowali się : Tomasz Kiciński, Kasper Babski, Lipski, Woroniecki, Cypryan Grodecki, Mikołaj i Leon Grocholscy. Za chęć ucieczki z Moskwy i przyłączenia się się do powstania przysłani zostali Litwini : Paweł Ciepliński, Kasper Szaniawski i Michał Moraczewski ; za emisaryuszów roku 1833, Gustaw Zieliński, Eugeni Łempicki i Józef Nowak z Królestwa ; nakoniec za związek demokratyczny 1839°, Alexander Ratuld, Michał Łempicki i Karol Baliński. Krzyżanowski przeniosł się do Tobolska, gdzie późniéj (1839) w zupełném pomięszaniu zmysłów zakończył życie. Mikołaj Grocholski, Iwaszkiewicz, Lipski, Woroniecki, Kiciński, Babski, kolejno otrzymywali wolność przesiedlenia się do Rossyi europejskiéj, albo zupełnego powrotų do

domów. Leon Grocholski i Grodecki poumierali na ziemi wygnania. Zdarzyło się, że kiedy Kiciński wyjeżdżał do Permu, tejże chwili trzeba było oddać ostatnią posługę Grodeckiemu. « Łatwo sobie Mama kochana wyobrazi — pisał Adolf w lutym 1839 — co czuć musiałem, przeprowadzając obydwóch w dwie tak przeciwne drogi. » Powrót każdego ze współwygnańców na łono rodziny, napełniał go radością i nadzieją. « Może więc i moja kolej przyjdzie — powiadał — Jest w tém i dla mnie ziarnko dobrej wróżby, daj Boże tylko żeby wzeszło. »

Tylu rodaków, z różnych stron, z różnych powodów, a za jedną sprawę zgromadzonych w niewielkiém mieście Sybiru, składało towarzystwo mocno związane i wystarczające sobie. Dzwięki ojczystéj mowy nieraz pozwalały im zapominać, że byli śród obcych i w kraju wygnania. Jedność i dobra harmonia nadawały siłę, o którą rozbijały się wszelkie zamachy miejscowych urzędników chcących zakłócić ich spokojność. Rozważném i godném postępowaniem przywiedli władzę do szanowania ich osób i położenia. Ta chwała (jak świadczy jeden z grona) należała się w największéj części Adolfowi, który taktem i mocą charakteru dawał przykład innym.

Nie wszystkich było jednakie położenie osobiste. « Tém przynajmniéj jestem szczęśliwy — powiadał Adolf — że wiedzieć mogę o drogiém zdrowiu mojéj Mamy i jéj stałemu przywiązaniu winienem wszelką ulgę w niedoli. Iluż to bowiem z moich towarzyszy nie zna téj słodkiéj pociechy! Iluż tu jest, którzy nie odbierają żadnéj wiadomości od swoich krewnych, już to

z powodu śmierci, już to z boleśniejszego nad samą śmierć powodu — zapomnienia! »

Takiemu cierpieniu zaradzała ile mogła miłość i uczynność braterska, już to pomocą bezpośrednią, już pisaniem do kraju o lepszą pamięć na zapomnianych. W ogólności, choć imie Sybiru zdaje się ze wszech miar przedstawiać antytezę Zachodu, jednak pod względem bytu materyalnego i nędzy z niedostatku pochodzącéj, los naszych wygnańców sybirskich o wiele był znośniejszy od losu wychodźców zachodnich. Znaleźli się oni w kraju niższéj kultury od własnego, mieli większą łatwość i ograniczenia potrzeb wymysłowych i zaspokojenia istotnych; sam zresztą sposób życia odpowiadał lepiéj nawyknieniom i skłonnościom naszym ziemiańskim. W listach Adolfa znajdują się często opisane sceny tego życia, które niemal całkiem mogłyby być przeniesione na grunt polski. Jedna z nich daje razem wyobrażenie jak tam niektórzy z wygnańców żenili się — po staremu, a choć posag chybił, nie byli jeszcze w ostatecznym kłopocie.

« Dni kilka temu — powiada — tylko co po obiedzie, patrzę, aż jedne, drugie, trzecie sanie zajeżdżają przed moje wrota. Co takiego? Co za goście? Nikt do mnie tak huczno, tak gromadnie nie jeździ. Myślałem że omyłka; ale wjeżdżają na dziedziniec. Drzwi się nakoniec otwierają i wchodzi jeden z moich towarzyszów niedoli, Podolanin Teodor Kowalski, za nim dosyć przystojna, młoda, z żywemi oczyma kobiéta, a za nią *szafir* (rodzaj adjutanta na weselu): reszta poszła grzać się do kuchni. Łatwo tedy było zgadnąć, że to

swat'ba, czyli że P. Kowalski ze swoją małżonką, przyjechał w gości do swego kolegi. — Rekomenduję ci moją żonę, z domu Eudokją Ilniczną. Ożeniłem się wczoraj; nie wiem czy głupstwo, czy co rozumnego zrobiłem, ale już się stało, — takie były pierwsze słowa pana młodego, na które naturalnie wypadło odpowiedzieć : Kiedy tak jest, nie pozostaje mi jak tylko życzyć wam szczęścia. Niech was Bóg błogosławi, a tymczasem pozwól mi uścisnąć twoją połowicę. — A że tu jesteśmy bliżsi natury i nie znamy dygów, ani ukłonów, ani nadstawiania rączki, więc po prostu, cmok — cmok, ona mnie, a ja ją dwa razy pocałowałem w prawą i lewą stronę twarzy. Po tym wstępie, w braku wina, musiałem wypić za zdrowie państwa młodych kielich pomarańczowéj *nastojki*, gorzkiéj jak co złego. Nowożeniec z szafirem, na podziękowanie wychylili toast gospodarza, a panna młoda usta tylko przytknęła do tego nektaru, zupełnie jak królowa Wiktorya, kiedy musiała pić zdrowie kilkunastu londyńskich aldermanów. Na zakąskę wystąpiły rodzenki, które szczęściem zostały się od ryżowéj kaszy. Jak się zaś ta para skojarzyła, opowiem w krótkości. P. Teodor prowadząc handelek zbożem, pojechał po swój towar o wiorst 85 do Berdiuży, i kiedy tam nocował u jakiegoś *miełocznika*, to jest kramarza przedającego na wsi igiełki, wstążki, mydło i t. p. artykuły, wchodzi wieczorem młoda dziewczyna kupić kawałek ałunu. Czuły P. Teodor, na pierwszy jéj widok tak zostaje w niéj rozkochany, jak ja niegdyś w Heluni, jak ja niegdyś... ale nie, inaczéj, bo chwała Bogu ze mną nie tak się skończyło. Po wyj-

ściu jéj, pyta się gospodarza: co to za jedna? jakiego prowadzenia się, jakich rodziców, majętnych czy ubogich i t. d. Gdy gospodarz na wszystko odpowiadał « *ładno — ładno* » co znaczyło że i skromna, i dobra, i pracowita, i bogata, zapytał: a czy nie możnaby się z nią ożenić? « *Nu, nie znaju, razwie ubiegom* (to jest chyba ukradkiem). » — A to dlaczego? — « A, bo u rodziców jest czworo dzieci, *wsio doczeri*, żadnego syna, a że panna Eudokja najstarsza, ma lat 19, musi więc sama i siać, i *pachat'* (orać) i *wołoczyt'* (bronować) i *wsiakuju wsiaczyńu obrabotywat'*. Miała już wielu konkurentów, i bogatych; ale rodzice nie chcą jéj oddawać. póki młodsze nie podrosną i nie będą mogły *pachat'* i *wołoczyt'*. » Taka odpowiedź nie wstrzymała miłośnych zapałów Podolaka. W kilka dni potém, kiedy mu się nie udało, mimo sekretnéj zmowy z Eudokją, wykraść jéj dla zaprowadzenia do cerkwi, wprost oświadczył się rodzicom, a ci po silnym oporze musieli nareszcie zezwolić, bo panna stała jak mur i odgroziła się, że co złego zrobi sobie, jeśli jéj za Fiedora Piotrowicza nie wydadzą. Tak więc tedy romans przyszedł do skutku. Co się zaś tyczy bogactwa — kto patrzy na takie marności! Ojciec obiecał podarować *koroweczku*, matka dała na wyprawę trzy koszule, chusteczkę ukośną, sukienkę i półszubkę baranią — resztę da Pan Bóg. Byłem wczoraj z rewizytą. Mieszkają w izbie pokrytéj ziemią i mają 1,000 rubli — długu. Ale że on obrotny a ona pracowita, wyjdą z biédy. Można tu dać sobie radę, byleby rąk nie opuścić i nie próżnować. »

Oprócz wizyt i rewizyt, były między naszymi mieszkańcami iszymskimi stosunki bardziéj koleżeńskie. Dostatniejsi nawet, którzy nie chcieli zaprowadzać własnego gospodarstwa, stołowali się u zagospodarowanych. Adolf miewał jednego i dwóch takich stołowników. Domowa też służba jego nieograniczała się na saméj striapce. Pierwszego roku wziął do pomocy jéj na zimę podrostka chłopca, który nie wiele kosztował: « parę butów i jedzenie, a był bardzo pożyteczny. » Potém na stałą służbę przyjął rodaka żonatego, odbywającego lata pokuty jako żołnierz komendy inwalidnéj w Iszymie. « Sztat mój — donosił w raportach matce — to jest, Pan Leonard Korycki i szanowna jego małżonka Łukerya są nieporównanéj cnoty, dobroci i usługi. Wszystko idzie jak w zegarku, a cicho jak w uchu. Dodać jeszcze trzeba, że Madame jest wyborną praczką i kucharką, a Pan Leonard przez zimę wyuczył się szewstwa i mnie już jedne buty doskonale wyrestaurował. A jaki zrobiliśmy pekenflejsz i jaką wędlinę, to *czudo!* »

Domek więc na Kisielówce był cichy, ale nie pustelniczy. Zresztą, w niedostatku innego, bardzo miłe towarzystwo składały książki, zwłaszcza kiedy niepodległy pan swego domu i czasu, mógł z niémi postępować jak z gośćmi — widywać lub nie widywać, wedle woli. Sybirscy nasi bracia nie znali jednéj z ciężkich klęsk cywilizowanego świata, w Iszymie przynajmniéj, wolni byli od czytania i pisania z musu, od tego życia papierowego, które jest straszną pokutą, gdy mu trzeba poświęcić życie rzeczywiste, żeby nie umrzeć z głodu.

Nie należy jednak mniemać, że umysły ich otaczała ciemność kimeryjska i cały świat dziejów ludzkich był dla nich « deskami zabity. » O wszystkiém co się działo w świecie europejskim, wiedzieli oni tak dobrze jak wychodźcy na zachodzie, wiedzieli nawet co, kto i jak mówił w izbach francuzkich i angielskich, wiedzieli czém się kończyła każda mowa z tronu Ludwika-Filipa i odpowiedź na nią : a jeżeli dowiadywali się o tém nieco późniéj, i tylko z dwóch lub trzech dzienników, oddychając świeżém powietrzem stepu, przy świeczce łojowéj, nie zaś z kilkuset codziennych arkuszy w zapachu gazowym i kawiarnianym, że nie dochodziła do nich cała masa dowcipu, szermierstwa i kłamstwa dziennikarskiego, to zapewne nie to stanowiło ich nieszczęście : wiedzieli dosyć, żeby się mogli domyślić reszty. Obecność nie była dla nich tajemnicą ; przeszłość i przyszłość, ile jéj tylko zmieścić się może pod okładkami książek, stała dla nich również otworem. Spożywali « pełną gębą i z wielkim apetytem » najwyborniejsze płody literatury dawnéj i nowéj, poważnéj i nadobnéj. Gdyby ten pokarm istotnie był, jak go nazywają, *obrokiem duchowym*, niczegoby już im nie brakowało. Duch niemiecki możeby się tém nasycił, ale polski nie przestawał cierpieć boleśnéj czczości; umysł wszakże miał pożyteczny zasiłek i przyjemną rozrywkę.

O téj potrzebie wygnańców troskliwie pamiętano w kraju, dogadzali przytém jedni drugim zamianą między odległemi nawet punktami. Iszym, Tobolsk, Omsk obdzielały się nawzajém. Niemasz żadnego z ważniej-

szych i znakomitszych dzieł ówczesnych, któregoby Adolf nie miał w ręku. Odczytywał « jedne po wiele razy, inne po raz pierwszy i ostatni. » Robił nad niektóremi uwagi pokazujące, jak miał bogaty zapas zebranych dawniéj wiadomości, jak starał się ciągle ukształcać, dopełniać i przez miłość prawdy choćby całkiem zmieniać swoje pojęcia o ludziach, krajach i rzeczach. Gdzie zaś myśl jego zwracała się z upragnieniem, co było jéj igłą magnesową w różnostronnéj, bez pewnego celu żegludze po morzu drukowanéj wiedzy ludzkiéj, to można wnosić z tego, jak go mocno zajęła i przywiązała do siebie *Historya podbicia Anglii przez Normandów*, dzieło *Augustyna Thierry*, które oprócz nazawsze wielkiéj swéj wartości, miało nadzwyczajną wagę i szczególny pociąg dla ówczesnego usposobienia umysłów.

Na początku tych wstrząśnień, co odrazu i gwałtownie poruszyły wszystkie zagadnienia, dziś po części rozwiązujące się szykowną koleją opatrznych wypadków, objawiał się powszechnie zwrot do badań przeszłości. W przerwach pomiędzy wybuchami, po klęskach i zawodach, strona pragnąca i cierpiąca dopytywała się natarczywie, podług jakich praw i dokąd idzie wszystko tu na tym świecie, gdzie postępu zaprzeczyć niepodobna, a najwznioślejsze aspiracye, najsprawiedliwsze żądania, ciągle padają ofiarą tryumfu nizkich chuci i okrutnéj przemocy? Wierzono, że przeszłość powinna i może dać na te pytania zupełną odpowiedź; mniemano, że ta budowniczka potępianego porządku rzeczy, jest jedyną mistrzynią do wzniesienia nowego

gmachu. Przez szczeliny porysowanego sklepienia społeczeństw, między klamrami wiążącemi sztuczną jedność państw politycznych, dały się widzieć pierwiastki plemienne ludów, uwarstwowane szeregiem podbojów: badacze różnie usposobieni, rzucili się je odgrzebywać z zapałem przeświadczenia, że idąc wstecz wieków znajdą teoryą, a na dnie dziejowych czasów zasady do rozstrzygnięcia wszczętych sporów o niepodległość klas i narodów ujarzmionych. Ztądto pochodził ten zapęd do poszukiwań dawniéj zaniedbanych, który teraz nierozumiejącym jego pobudek, zdaje się dziwnym, a częstokroć śmiesznym, zwłaszcza gdy przerodził się w jałową zabawkę, albo chorobliwą monomanią mnóstwa pseudo-etnografów, etymologów i archeologów, nie zdających sobie sprawy, czego i na co szukają.

Augustyn Thierry, był jednym z tych, co w nadziei znalezienia słowa zagadki mordującéj obecność, puścił się w zamierzchłą dziedzinę przeszłości. Równie jak inni, stracił on zaraz z przed oczu cel swojéj podziemnéj wędrówki i zaczął chciwie garnąć bogactwa niespodziewanie odkryte w zatęchłych pargaminach średniowiecznych pomników; ale nie uwięznął w żadnéj epoce, nie zalazł w żaden zakątek dociekań, łowiący próżną ciekawość, jak samotrzask niebacznego ptaszka. Pełen ognia najszlachetniejszych uczuć, obdarzony rzadką siłą i jasnością umysłu, wrócił z głębin niebezpiecznych i wyniosł na biały świat piękny owoc potężnéj swéj pracy, który nie był wszakże niczém innném, tylko cudownie żywym obrazem szeregu podbojów i ujarz-

mień najezdniczych, zamkniętego najpóźniéj w części Europy zachodniéj.

Autor, ściśle trzymając się roli bezwzględnego opowiadacza, nie pozwolił sobie nawet tak ustawiać faktów, żeby prowadziły do jakichkolwiek z góry założonych widoków metafizyki historycznéj. Ciągle przejęty tkliwém współczuciem dla narodowości pognębionych, przedstawiwszy w najdrobniejszych odcieniach słuszność ich sprawy, ogrom cierpień, długie koleje niedoli, ostatniemi kartami rzucił na to wszystko jakąś żałobną zasłonę fatalistycznéj konieczności, z pod któréj nie przebija się żadna myśl pocieszająca moralnie. Dzieło jego atoli dostarczyło historycznych podstaw do oparcia teoryi ściągającéj wszystkie kwestye społeczeńskie pod formułę antagonizmu demokracyi z arystokracyą, i dało tém większy pochop do szukania końca sporów między narodami w rozbiorze ich pierwiastków plemiennych; pośrednio więc i bezpośrednio miało wielki wpływ na umysłowość naszego pielgrzymstwa.

Nikt zapewne nad nas nie przebiegał z większym interesem obrazu tych walk narodowych, co tworzyły « nieprzyjazne stosunki dwóch ludów gwałtownie na jednéj ziemi złączonych » tak dobrze, tak boleśnie nam znajome; ale nikomu też nie było pilniéj dobadać się zagadki ich rozwiązania. Dlatego może, wychodźcy zachodni nie zatrzymywali się długo nad samém dziełem, a śpieszyli daléj różnemi ścieszkami do zastosowań z niego wyciągniętych, nim jedni nie pozapadali w jamy bez wyjścia, a drudzy nie zaczęli dostrzegać téj prawdy, że na drodze postępu ludzkości Opatrzność

rzuca światło przed nią, nie za nią. Przeciwnie, na Sybirze jak się zdaje, wnioski mało obchodziły, a zajmowało nieźmiernie opowiadanie, na każdéj niemal karcie przypominające nasze biédy i żale, podstępy i ciemięztwa wrogów; bo inaczéj zapewne czytali historyą ci, którym kwestya powrotu stawała pierwszą, nie ostatnią w szeregu « kwestyi żywotnych » zadanych na budzenie ducha w pokutniczéj pielgrzymce.

Adolf odkładał na stronę, albo puszczał w dalszy obieg Guizotów, Capefiguów, Jaquemontów, Bulverów, ale z Thierrym rozstać się nie mógł. Nie dość mu było odczytywać te wzruszające i ponętne karty : pociągnięty wrodzoną nam chęcią przywłaszczenia sobie cudzego słowa, kiedy z ulgą i rozkoszą znajdujemy w niém wyraz naszych niemych uczuć i myśli, wziął się do przekładu ich na język polski, bez żadnego zamiaru prócz dogodzenia swojéj nienasyconéj potrzebie « pocieszycielki pracy. »

Robota szła szybko. Zaczął ją po jarmarku grudniowym 1839, a w lutym następnego roku donosił matce, że już kończy tom drugi; żeby zaś nie lękała się z tego powodu o jego oczy, dodał jakim trybem odbywała się ta operacya. « Oto zrana o godzinie 9éj, pies Walet, wierny towarzysz zacnego mego towarzysza i współziomka Litwina, zrywa się ze swego legowiska i zaczyna okazywać wielki ruch, który jest znakiem, że nadchodzi pora ażeby jego pan opuszczał kwaterę i szedł w codzienną drogę. Na takowe hasło, wielmożny Paweł Ciepliński, wkłada ogromne bóty, bierze futro na plecy, kij w rękę i maszeruje wiorstę do mnie,

gdzie go już czeka przygotowany stolik z papierem, atramentem, piórem i piaskiem. Skoro tylko *odmarznie*, to jest rozgrzeje się, zasiada przy stoliku, czyta mi głośno text francuzki, a ja mu dyktuję jak ma napisać po polsku, co on najpiękniéj spełnia. Miła ta rozrywka zajmuje nas tylko do obiadu; wieczorem zapominamy o Normandach i' Anglii, a gadamy o sobie i swoim kraju, marzymy nieraz po kilka godzin, cobyśmy czuli w téj chwili, kiedyby nam objawiono, że jesteśmy wolni i możemy jechać do domu. Tak się daleko zapędzamy w tych słodkich marzeniach, że już (ma się rozumieć myślą tylko) targujemy furę, jedną, pod rzeczy i kozaka, drugą dla siebie; rozporządzamy naszemi gratami, spisujemy rejestr, co mamy wziąść z sobą, a co zostawić. Ja nawet przygotowałem już tłomok na drogę i 5 rubli dla pocztyliona, który przywiezie pakiet z nowiną naszego wybawienia. »

Oczekiwany pocztylion nie przybywał i tłumaczenie dokonane bez przeszkody, poszło na dalsze operacye, wedle rad, które tłumacz przed rokiem dawał młodemu bratu, a teraz surowie zastosował do swojéj pracy.

« Mój drogi bracie i literacie — pisał do niego w 1838 r. — Odebrałem miły dla mnie twój przypisek, w którym mi donosisz o twoich trudach gospodarskich i zajęciach się literackich, o owcach i o tłumaczeniu « Żydów Capefigua. » Wszystko to tak mię cieszy, iż gdybym cudem jakim mógł cię w téj chwili dostać w moje objęcia, zamęczyłbym uściskami. Łzy rozrzewnienia stają mi w oczach kiedy sobie wspomnę, że przed kilką laty zostawiłem cię dzieckiem — bo cóż innego

był w 1830 roku ów Naik, jak go siostry przezwały, ów skromny i rumieniący się studencik wileński — a dziś, mój Januarek podniosł się na nogi, porosł w pierze i już swoich skrzydeł probuje do lotu : rządzi sobą i drugimi, zakłada źródła gospodarskich dochodów, daje zdanie o umysłowych płodach, rozprawia o metafizyce niemieckiej (któréj starszy jego braciszek, choć był w Niemczech, na szczęście lub nieszczęście swoje niewiele rozumie), gotuje się nawet wystąpić przed publicznością z drukowaną pracą... Ciekawy jestem komu ją zadedykujesz? Czy nie panu Dziahylnieńskiemu arendarzowi, albo poczciwemu Ajzikowi Iwienieckiemu, u którego kiedyś piłem taki doskonały porter? Bo co do mnie, gdybym był w podobnym przypadku, bez żadnego namysłu kazałbym na pierwszéj karcie wydrukować złotemi literami: Nathanielowi Rotschildowi, baronowi, pierwszemu na kuli ziemskiéj bankierowi, potomkowi wielkich Machabeuszów i Herodów, którego skarby ogromniejsze od gór Libanu, na którego głos wytryskają z łona Kordylierów piastry i dukaty, jak niegdyś wody ze skały na rozkaz Mojżesza, który potężném ramieniem rozrzuca drogi żelazne po całéj Europie, którego gieniusz ożywia ruch handlowy i przemysłowy w pięciu częściach świata, a imie żyć będzie dłużéj, niż nawet owego sławnego bankiera w XVI^m wieku, co kilkomilionowe bilety Karola V^go, spalił na kominku roznieciwszy ogień z cynamonowego drzewa. Taka dedykacya możeby cóś więcéj przyniosła niż główkę cukru lub beczułkę śledzi... Ale żart na stronę, powiem ci szczerze, że twoja skwapliwość do druku bar-

dzo mi się nie podoba. Dobrze tłumaczyć nie jest tak łatwo jak się zdaje. Można czysto pisać po polsku, a mimo to jednak zrobić nędzne tłumaczenie, osobliwie z francuzkiego, jak tego mamy tysiąc przykładów. Nie uwodź się popędem, jeśli nie chcesz żeby cię Kraszewski w *Tygodniku* rózgą krytyczną nie oćwiczył. Przetłumacz naprzód wiernie myśl autora, rzuć go potém na stronę i całą robotę odléj w swoim języku. Jak to zrobisz, zamknij ją do kuferka, a weź się znowu do naszych dobrych dawniejszych i nowszych pisarzy, przejmij się duchem ojczystéj mowy, naucz się używać wszystkich jéj skarbów i gdy potém odczytawszy twoje tłumaczenie postrzeżesz, że nie złe, to możesz i dać je drukować, jeśli zechcesz. »

Zgodnie z temi prawidłami, sam też ukończywszy przekład « z grubszego » począł całą robotę « *da capo* od pierwszéj stronicy. » Poprawiał, wyrabiał, polerował, mazał, przepisywał na czysto « nie żałując ni trudu ni swiecy » i nakoniec wszystko schował. Dopiero w lat ośm, posyłając jednemu z przyjaciół tom pierwszy, starannie przepisany własną ręką i oprawny, napisał ołówkiem na kartce przedtytułowéj : « Jeśli masz czas, przeczytaj to tłumaczenie, którego nie przeglądałem od czasu kiedym je skończył. Sądzę, że mnie samemu wydałoby się teraz lichém, co gdy się i tobie tak wyda, możesz z niém postąpić jak tylko ci się podoba, zwłaszcza że nie mam żadnéj pretensyi, ażeby imie moje figurowało w rzędzie drukowanych bazgraczy. Trzeci tom gdzieś zaginął w czasie przenosin z kwatery na kwaterę, a drugi i czwarty nie przepisane. »

Gdyby jednak szło o to, możnaby powiedzieć, że skromność tłumacza była zbyteczna. Przekład jest piękny, ma wielką potoczystość i prostotę stylu, a celuje rzadką poprawnością języka. W tym względzie Adolf sam zawsze się pilnował i drugim nie przebaczał. Często upominał brata za lada błąd w liście, pilnie rozbierał przysyłane sobie próby jego pióra, nie zaniedbując nawet przestrog z powodu « niewyraźnego pisania maczkiem. » Po jednéj takiéj admonicyi dodaje : « Czytam teraz Reja z Nagłowic. Powiada on : *jednochmy my Polacy w swym języku prawie zadrzemali.* Nie drzemajżeż, mój kochany Januareczku, w swoim języku, bo źle nim pisać, jak *onże author na innym mieyszczu* mówi, *bardzo wstydliwa a nyeprzistojna rzecz iesth.* »

Piśmiennictwo krajowe zajmowało szczególnie jego uwagę. Z upodobaniem zatrzymując się nad tém, co mu się zdawało godném pochwały, nie taił zdziwienia albo niechęci, gdy jaki utwor pojedyńczy lub kierunek ogólny raził jego smak dobry i czerstwy rozsądek. Odbierając coraz więcéj z Wilna płodów rymotwórczych, wołał : « Mój Boże ! co też to tam nowych poetów i jaka poezya ! Pokazuje się, że nie sprawdza się co Krasicki powiedział, iż Pan Bóg uchował nasz kraj od szarańczy, powietrza i poetów. » O nie jednym z rozwijających się podówczas talentów wyrzekł zdanie, które dziś jeszcze warto byłoby powtórzyć, gdyby nie ta myśl, że jeżeli *de mortuis aut bene aut nihil*, to nawzajem, tu przynajmniéj, lepiéj zachować w milczeniu słowa umarłych o żywych.

Zresztą, literatura nie stała mu nigdy przed oczyma

jak najwznioślejszy cel życia albo najpotężniejsza dzwignia losów człowieka i narodów. Nie odrywała go ona od przedmiotów bezpośredniego zatrudnienia, które często w zabawny sposób spotykają się z nią w listach, bez przymusu oddających bieg myśli posłusznéj skłonnościom piszącego. Po kilku trafnych uwagach nad Dumasem i panią d'Abrantes, jednym ciągiem pióra dodaje : « Trzoda moja powiększyła się urodzeniem się byczka! » — Wyraziwszy, że mu bardzo przypadło do smaku dzieło Wiszniewskiego : *Rodzaje rozumów ludzkich*, i będzie się starał « zadeterminować wedle niego swoją mozgownicę, wiele jest w niéj domięszanego głupstwa » śpieszy z doniesieniem : « Gospodarstwo moje idzie zwykłym trybem, tylko Trezor, jedyny stróż domu, był zachorował onegdaj; ale jak mu wlałem w gardło tęgą dozę pomarańczówki, upił się biédak, przespał się i dzisiaj zdrów zupełnie. » — Od Mochnackiego i Grabowskiego o literaturze i krytyce, przechodzi wprost do sérów. « Pamiętam te smaczne sérki śmietanowe z czerwonemi słojami, które zajadałem w Dziahylnie : czy nie mogłaby Mama przysłać mi przepisu jak się robią. Kilka lekcyi poczciwéj naszéj Symonowéj (piastunki wszystkich dzieci i ochmistrzyni w domu) lepiejby się mi teraz przydało, niż cała filologia Grodka. » — « Cóż mi z tego dzisiaj — powiada w inném miejscu — że umiem po angielsku i znam najwyborniejsze przysmaki łaciny. Nie wyżywiłbym się tym zasobem intellektualnym, gdyby środki do życia nie przychodziły zkąd inąd. To mi daje powod do wynurzenia mego żalu przeciwko systemowi naszéj

edukacyi, która dobra jest tylko póty, póki szczęście człowiekowi służy; przeciwnie zaś, kiedy się mu noga powinie, na cóż mu się przydają owe grammatyki, retoryki, poetyki, któremi głowę jego przez lat sześć lub siedem mozolnie nabijano? Nie lepiéjżeby więc było, gdyby w młodośći przy tych wszystkich uczonych specyałach, dawany był i kurs skromniejszy prostych robot wieśniaczych i bardziéj skomplikowanych rzemieślniczych? Wtenczasby człowiek w złéj czy dobréj doli był zupełnie o siebie spokojnym, bo wszędzie i zawsze mógłby sobie zaradzić. » — « Mój Januareczku — pisze do brata jednego razu — nie troszcz się zbytecznie o to, żebym miał co czytać, z ujmą dla twoich i moich potrzeb istotniejszych. Jakkolwiek lubię literaturę, wyznać niestety! muszę ze wstydem, że lubię także i pieniądze. Niech cię to nie gorszy. Cóż robić, kiedy biédny ten człowiek na świecie musi naprzód myślić o takich prostych, pospolitych, prozaicznych artykułach jak naprzykład obiad, surdut lub bóty! W mojém terazniejszém położeniu często mi więcéj idzie o grosz, jak o najpiękniejszy jaki poetyczny dityramb! »

Gdy jednak, dzięki Bogu, nie brakowało ani obiadu, ani nawet grosza, w cichéj i ciepłéj *chiżynce*, jak mówią na Sybirze, czyli po naszemu we dworku, obok powyższych zdań mogło utrzymać się i nieco retoryczne wyrażenie, że « żyjącemu samotnie, niemasz milszéj zabawy i pociechy jak w rozumnéj książce. » A chociaż każdą trzeba pierwéj przeczytać, żeby się dowiedzieć czy rozumna, i ta niedogodność wielka dla

tych, co muszą *czas* i *pieniądz* uważać za synonim, nic nie szkodziła w błogim stanie cywilizacyi, z tego podobnym do naszego krajowego, że często czas i nudę przychodziło zabijać razem jak nierozdzielnych sprzymierzeńców.

Nud zimowych nie widać końca, ale w lutym przecież « zima *perekaczewajetsia,* to jest ma się ku schyłkowi, czyli spuszcza nos na kwintę. Już sroki i gołębie nie marzną, merkuryusz w termometrach nie krzepnie i często o południu porządnie pada woda z dachów. W tak polepszonéj konjunkturze rzeczy, biédny pan Adolf Januszkiewicz, co wielkiemi krokami chodził po swojéj komnacie, odziewa się w końską jagę i rusza z nad brzegów Iszymu aż za wody Karasuli, a wśród tych kursów zagranicznych, Bóg wie jakie myśli níe przychodzą mu do głowy. Szczęśliwy! jeżeli strudzenie obali go na łóżko a sen mocny każe mu zapomnieć na chwilę o wszystkich niespokojnościach, które go w czasie dziennego czuwania dręczyły... »

Niedługo wszakże kapryśna zima sybirska pozwala cieszyć się niespodziewaną swoją łaską. Wiatr od morza Lodowatego wieje i nanosi snieżne zawieruchy. Zamknięty znowu więzień w domu, opowiada matce: « Kilka dni temu mieliśmy *purgę,* która przeszło 20 godzin trwała. Nigdy w życiu nie widziałem takiéj burzy. Dom mój stary, wystawiony frontem do stepu, był w wielkiéj obawie o swoje kości. Już myślałem nieraz, że ogromne fale śniegu, pędzone wyjącym wiatrem, wywrócą go i zasypią; ale on jak piramida Egiptu wytrzymał gwałtowność huraganu i dzisiaj dumnie

spoglą da z dziurawego swego szczytu na wał śniegu, który jak wąż potężny rozwija się u stop jego. Piękny to był dzionek! Kilku ludzi wracających ze stepu, zmarzło w drodze. Wśród białego dnia zrobiło się ciemno jak w nocy; nie mogłem więc czytać, trzeba było tylko szukać rozrywki w fajce i chodzić po pokoju na wzór kapitana okrętu, kiedy w podobnym wypadku na morzu, spokojnie przebiega zalany pokład. Za próg ani wyjrzeć, bo tyle przed nim nawiało sniegu, że nazajutrz ledwośmy się wykopali. Na ulicy ryczało, huczało, świstało, zrywało dachy. Siedziałem jak w oblężonéj twierdzy, a taki był hałas jak w Antwerpii, kiedy na głowę jéj komendanta spadały bomby z olbrzymiego moździerza. Nakoniec wszystko ucichło, mróz scisnął powietrzę, wypogodziło się niebo, a światło zorzy borealnéj fantastycznemi swojemi kolorami rozweseliło duszę moją. Co to za czarujące zjawisko! Kto go nie widział, warto żeby umyślnie jechał na Sybir — byle z warunkiem wolnego powrotu. »

Z burzami lutowemi minęły dni imienin brata Romualda i zgonu ojca, poświęcone wspomnieniem. Minęły także i zapusty, podczas których « *kataszka* z gór lodem oblanycn i *kalanka,* czyli szlichtada po długich ulicach Iszymu, są zwykłemi zabawami wyższéj i niższéj publiczności, bez żadnych balów, żadnych maskarad. » W roku 1839 było cós więcéj. « Zabawił nas — powiada Adolf — widok *maślanki* (karnawału) przybyłéj ze wsi i żegnającéj mieszkańców miasta. Były to szerokie i długie sanie, a na nich jak wieża Babel wznosiła się piramida okryta matami. Na niéj

stał drab ogromny, z potężną chorągwią w jedném, a ze sztofem w drugiém ręku. U spodu piramidy na ławeczkach stało także czterech olbrzymów, pstro ubranych, w około których, na samych saniach mieściło się również stojących ze dwudziestu wieśniaków. Dziesięć koni ciągnęło ten wóz tryumfalny; na każdym koniu siedział chłopiec, a z przodu, z boków i z tyłu jechało mnóstwo jezdzców dziwacznie odzianych. Wszystko to śpiewało, krzyczało, skakało aż do północy, póki post nie kazał zaprzestać tych wesołości. Ów orszak *maślanki* przeniosł mnie w czasy moje italskie, kiedy pod bezzimowém niebem przypatrywałem się zabawom południowego ludu Europy. »

Wkrótce potém większa jeszcze osobliwość obudziła mocniejsze przypomnienie.

« Co Mama na to powie — pisał pod świeżém wrażeniem marzący o Italii więzień Sybiru — kiedy jéj doniosę, że mieliśmy tu koncert wokalny i instrumentalny! Pan Adolf Kermès de Pricinico, tenor rodem z nad Arno, zrobił epokę w dziejach naszéj mroźnéj Syberyi. Istotnie, czy może być co osobliwszego, jak *cavatina* Rossiniego lub Belliniego na lodach i śniegach tutejszych. Po raz pierwszy wśród stepów dzikich, brzmiących dotąd posępną nutą śpiewu kirgizkiego, rozległy się słowicze dzwięki południowego głosu; ale niestety! był to głos wołającego na puszczy, i niemasz co się temu dziwić, bo publiczność nasza słysząc nigdy nieznane tony w nieznanym dla niéj płynące języku, nie mogła w nich znaleźć tyle uroku, ileby go znalazła w rodzinnéj muzyce i mowie. Co do mnie, który od

lat dziewięciu nie słyszałem italskiéj harmonii, która tyle razy, na tylu teatrach Europy, raj dla duszy mojéj otwierała, jakkolwiek wspomniony śpiewak nie mógl iść w porównanie z pierwszymi artystami, wyznam szczerze, że po powrocie z koncertu, na który jak niedzwiedź z mojéj jamy wyszedłem, całą noc spać nie mogłem, pełen jakiegoś nieopisanego uczucia, którego wpływu dotąd jeszcze doznaję. Została we mnie jakaś czczość i tęsknota, które chyba rozproszy pierwszy uśmiech nadchodzącéj wiosny, lub witający zmartwychwstanie natury śpiew skowronka — bo słowika... nie zna step Iszymu! »

Ale jeszcze nieprędko i skowronek zaśpiewa, bo na święty Kazimierz, w dniu pamiętnym wyroku podpisanego przez feldmarszałka Sakena, zima leży niewzruszona jak ten wyrok. Darmo i kalendarz Warszawski nazywa dzień 21 marca pierwszym dniem wiosny. « Zawierzyłem temu kalendarzowi — powiada Adolf — wyszedłem na przechadzkę w letniéj czapce, i odmroziłem sobie kawał lewego ucha. » Za kilka dni wszakże weselszą donosi nowinę, która rozpoczyna szereg radośnych powitań :

« Wczoraj, kiedy czytałem list Mamy, słyszę że cóś tętni po szybach... Patrzę, aż to krople deszczu! Więc już koniec tobie nieznośna zimo! W uniesiéniu radości wybiegłem na dziedziniec, otworzyłem usta, żeby kilką kroplami orzezwić podniebienie uwędzone dymem tytuniu... Po jutrze imieniny Eustachego... Czy oni tam tak wzdychają jak my do wiosny?... » — « Kaczki pokazały się już w okolicy — stado szpaków przele-

ciało po nad moim ogrodem — ptastwo wodne coraz częstszemi sznurami ciągnie z południa na północ — ziemia wychodzi z pod śniegów, gdzie niegdzie pokazuje się trawka : patrzę na zbliżającą się wiosnę jak wilk na jagnię. » — « Miałem honor zerwać pierwszy kwiatek polny i jeść zieleninę z młodéj pokrzywy. »

Jednego razu, współcześnie z ptastwem przelotném zawitał do Iszymu inny gość wędrowny, odwiedzający go wedle możności, w różnych porach roku. « Tydzień temu — pisze Adolf — mieliśmy tutaj naszego proboszcza, księdza z zakonu Dominikanów. Mieszka on ze swoim wikarym przy katolickiéj kaplicy w Tomsku, a parafia jego rozciąga się od Uralu po za brzegi Obi wzdłuż, w szerz zaś od Lodowatego morza do stóp Ałtaju. W obwodzie jéj możnaby pomieścić z parę Francyi, ze trzy Anglie i ze cztéry tuziny małych księztw niemieckich. Na téj jednak rozległéj przestrzeni, rzadko gdzie pasie się zabłąkana jaka owieczka z trzody, któréj on jest pasterzem; największa bowiem część ludności należy do wyznania greko-rossyjskiego, reszta trzyma się zasad Koranu, Ostiaki zaś, Samojedy i Tunguzy chwalą Boga podług swoich wyobrażeń. W Iszymie znalazł nasz proboszcz ze czterdziestu parafian, rachując w tę liczbę kilku Cyganów i trzy czy cztéry Sybille, szanowne ich połowice. Wyspowiadał nas, mszę odprawił i pobłogosławiwszy pojechał daléj. Widok jego wielkie na mnie zrobił wrażenie. Od wyjazdu mego z kraju, księdza w oczy nie widziałem; łatwo więc Mama sobie wyobrazi, ile zjawienie się kapłana wiary mojéj rodzinnéj działało na mój umysł.

Przeniosłem się myślą w czasy szczęśliwe najrańszéj mojéj młodości, kiedy raz pierwszy szedłem do spowiedzi w potężnym naszym grodzie Kopylu, w obecności Mamy i kochanéj Cioci : przypomniała mi się i owa kawa (odgrzewana), którąśmy z sobą przywiezli z Usowa; stanęły przed oczyma i owe szwedzkie mogiły z czasów Karola XII°, mimo których jechaliśmy do Kieli. Przywiodłem sobie na pamięć, jakto późniéj, w gronie dwiestu towarzyszy, odmawiałem różaniec w kościele Dominikanów nieświeżskich. Odżyła nakoniec w mojéj wyobraźni ta dojrzalszego wieku chwila, kiedy wśród stu tysięcy ludzi okrywających plac Watykanu, słuchałem błogosławieństwa papieża. Porownywałem owe czasy z terazniejszym... Jaka różnica! Gdzie są teraz przy mnie rodzice i krewni; gdzie koledzy, przyjaciele; gdzie tłumy współwyznawców? Obrządek religijny odbył się cicho, skromnie, jak w pierwiastkowych czasach chrześciaństwa, jak w pośród sawan Ameryki, pod wigwamem Indyanina, pod kopułą naturalną uplecioną z zieloności, wśród uroczystéj ciszy lasów nowego świata. Te porównania i zwrót do przeszłości tak rozczuliły moje serce, że w nieznajomym sobie kapłanie widziałem ojca, matkę, braci, siostry, przyjaciół, słowem wszystko co mi jest drogiém. Ach Mamo! czemuż los tak chce, ażebym podobnych widoków był pozbawiony w rzeczywistości? Czemuż ich mieć nie mogę przed oczyma lub w mojém objęciu. »

Z wielkanocą nadchodziły inne podobnego rodzaju wspomnienia, porównania i żale.

« U Mamy w tym czasie zapewne wszystkie domowe

baby zajmują się wielkanocnemi babami, plackami, mazurkami. Musi być ruch wielki, jakto zazwyczaj na Litwie w wielkim tygodniu. U mnie cicho i głucho, jak przed zwyczajną jaką niedzielą, i gdyby nie striapka, która mnie dzisiaj prosiła o pozwolenie żrobienia piwa na święta, niebardzobym wiedział, że za trzy dni post się kończy. Uczyniwszy wzmiankę o piwie, muszę dodać, że nasze Sybiraczki (jak podobno prawdziwe Litwinki i Żmudzinki) posiadają szczególny talent warzenia piwa, bez kilsztoków i czopów, poprostu w dwóch dużych garnkach, zwanych tu *korczagami*, i to z mąki żytniéj. A piwo wyborne, niech się schowa i Szczorsowskie!

« Ja, każdą wielkanoc przepędzam smutnie i prawie samotnie, gdyż przykro mi niezmiernie w podobne dni bywać, jak tu mówią : w gościach. Domyślisz się zapewne, mój January, dlaczego; na przypadek zaś gdybyś się nie domyślił, to ci powiem. Przypomnienie, że kiedyś w te dni jadło się święcone w gronie rodziny lub przyjaciół; pewność, że teraz w te dni rodzina i przyjaciele wspominają sobie jak jestem daleko : jedno i drugie przyczynia się do tego, że wielkie święta są dla mnie uroczystościami niemal żałobnémi. Choć nawet muszę tu i ówdzie zanieść i odebrać niezbędne pocałowanie wielkanocne, nigdzie ani kawałka bułki w usta nie biorę. Pierwszego dnia świąt, jeżeli jest jeszcze śnieg, najmuję za 50 kopiejek saneczki, jeżeli zaś pogoda i sucho, to za pomocą moich nóg niekrótkich, w parę godzin obiegam wszystkie domy, w których z powodu interesów i stosunków miejscowych

jawić mi się wypada. Nacałowawszy się dowoli różnych bab, mężatek i dziewcząt, wracam do siebie, wdziewam szlafrok, zapalam fajkę i albo myślę o was, albo już i nie wiedząc gdzie myśl moja odleciała, patrzę przez okno na urządzoną z drugiéj strony ulicy hojdawkę, na któréj chustają się chłopcy moich sąsiadów, lub jakie *diewoczki* przybyłe *w gosti*, do moich szanownych sąsiadek. Całuję się jednak z prawdziwą przyjemnością i serdeczném rozczuleniem w jednym domu, przypominającym mi niejako dom rodzicielski, to jest u mojego dawniejszego gospodarza i siabra Gajewa. Uściskając jego ładne i dobre córeczki, zdaje mi się że przytulam do serca dziatki któréj z siostr moich. Najwięcej zaś całusów dostaje się odemnie pannie Anastazyi, którą w siedemdziesiąt dni nauczyłem czytać i bazgrać litery alfabetu. »

Nieszczęściem, wkrótce po wielkanocy 1839 roku, przyszło Adolfowi przesłąć matce następny opis z ubolewaniem nad tym domem. « Rano, między drugą a trzecią godziną 7 maja, złowieszczy głos grzechotki, dzięki Bogu nieczęsto dający się słyszeć w Iszymie, postawił mię na nogi. Ubrałem się w minutę, i chwyciwszy w jedną rękę portrecik Mamy, w drugą — wstyd mi wyznać — pieniądze, poleciałem galopem na miejsce pożaru. Zajął się on o 1,300 kroków odemnie, w bani jednego kupca otoczonéj zabudowaniami, które zaraz zgorzały, z kilkunastą sztukami bydła, bo wiatr był silny, a ratunek nie mógł być dość spieszny w nocy i w mieście rozrzuconém na rozległéj przestrzeni. Kiedym przybiegł na plac zniszczenia, palił się już

dach, tuż przy nim stojącego domu mego poczciwego Gajewa, gdzie po mnie mieszkał od dwóch lat nasz współwygnaniec Gustaw Zieliński. W téj chwili wyskakiwał on przez okno ze swoim psem Ałtajem. Cisnął mi płaszcz i puilares, a sam czémprędzej począł przerzucać na drugą stronę ulicy niektóre wyratowane rzeczy, z obawy żeby się nie zajęły ogniem. Szczęściem, niedaleko mieszkający Paweł, pośpieszył z wozem, a tak zdołaliśmy ocalić największą część szczupłéj ruchomości naszego towarzysza i być pomocą wielu innym. Mój Gajew w pół godziny został pozbawiony domu z całém gospodarstwem. Ledwo mu ocalało bydło i kilka kufrów. Nie udało się wycofać nic więcéj z przyczyny, że dziedziniec był zawalony wozami kupców przybyłych na jarmark, i drzewem do budowli. O mały włos nawet tylko co nie stracił najmłodszéj swojej córeczki, którą w pośpiechu zawiązano z pościelą w prześcieradło i przywalono różnemi rzeczami. Tymczasem dom po domu padał ofiarą płomieni i to niezawsze koleją, bo często dalsze zapalały się pierwéj niż bliższe. W kilku z nich ratowałem co mogłem, wynosiłem sprzęty jakie mi nawinęły się pod rękę, wyprowadzałem mdlejące i nieprzytomne kobiéty. Nadszedł moment, że i moja ulica znalazła się w strachu. Z całego środkowego i najpiękniejszego kwartału miasta, zostało tylko półtora domu, a zaczęła zapalać się słoma rozłożona kupami na bazarze do pokrycia stawianych bałaganów jarmarcznych. Wtedy wszyscy moi sąsiedzi rzucili się zabezpieczać swoje majątki; wtedy i ja pobiegłem do mojego domku, gdzie zasta-

łem striapkę zapłakaną, ale przecie przy zdrowych zmysłach. Kazałem więc najpierwéj wypędzić bydło, potém wynosić najważniejsze rzeczy i pakować na telegę, do któréj sam zaprzągłem konia. Tak przygotowani, czekaliśmy stanowczéj chwili do wyjazdu w pole; ale obawa nasza i wszystkich moich Kisielowczanów wkrótce ustała, dzięki zmianie i uciszeniu się wiatru. Łuny pożaru poczęły gasnąć, weszło słońce, a złote jego promienie padły na smutne zgorzeliska mieszkań i smutniejsze jeszcze twarze ich mieszkańców. Tu dopiero nastąpiła dla mnie scena, na któréj samo wspomnienie łzami napełniają mi się oczy. Pobiegłem zobaczyć co się działo z biédnym Gajewem. Stał nieborak, w pożyczoném już odzieniu, otoczony szlochającą rodziną, z załamanemi rękoma i płakał patrząc na obrócony w popioł owoc pracy całego życia swojego i cały fundusz przyszły trzech małych córeczek, pięknych jak aniołki. Moja uczennica, Anastazya, tuliła się do matki w jednéj koszulce i bosa, jak wyskoczyła z łóżka uciekając od ognia. Dawno już nie miałem tak bolesnego wzruszenia i nie wylałem tyle łez z głębi serca. Co to jest jednak być poczciwym człowiekiem i jakto cnota odbiera zawsze swoją nagrodę! Ledwo mój zacny przyjaciel (bo tak tego prostaka z chlubą nazywam) odwrócił oczy od gruzów tlejącego jeszcze domu, wnet ujrzał ze wszech stron spieszących do niego z pomocą, i w całém mieście niemasz nikogo, ktoby nie żałował poczciwego Gajewa. Na ten raz życzyłbym sobie być bogatym, żebym go mógł wesprzeć dostatecznie. Przyjemnie wszakże będzie zapewne Mamie dowiedzieć się,

że wedle mojéj możności starałem się przynieść mu ulgę w nieszczęściu. »

Ale urok wiosny prędko rozpędza smutne myśli i bolesne wrażenia. Niemasz czasu rozpamiętywać i rozwodzić żale, trzeba kopać grzędy, siać, sadzić, polewać. « Ogród podnosi już głowę. Jest w nim, czego ani tu ani w Europie nikt nie ma : tybetański jęczmień z gór Himalajskich, chińska pszenica, semipołatyńska kukurudza; jeśli uda się zebrać z nich nasiona, pójdzie ich część na Litwę, żeby January w swoich Alpach i i dolinach Dziahylniańskich rozmnażał te piękne płody. » — Po gniadoszu, przedanym w zimie Kirgizom na befsztyk, rży w stajni nowo kupiony (za 96 rubli i 10 kopiejek!) « *Kařek*, istny rumak Farysa, czarny jak burzliwa chmura, a łagodny jak baranek, przytém rączy i silny, równie pod wierzch jak do zaprzęgu zdatny. Co za rozkosz będzie przerzynać na nim zielone fale stepowego oceanu! »

Prześliczna to pora roku ta wiosna, nikt jéj bardziéj nad Adolfa nie czekał z upragnieniem, ale miała dla niego tę nieprzyjemną stronę, że zawsze spóźniała o kilka tygodni listy z rodzinnego kąta, a często mroziła mu wszystkie rozsady, wszystkie kalafiory i galarepy, nieznane w Iszymie, póki ich nasiona nie przeszły z Dziahylny. Kwiecień bowiem w klimacie iszymskim zwykle bywa pogodny i suchy, a maj przeciwnie słotny i zimny. « Po dniach prawie letnich, po deszczach ciepłych, po grzmotach i błyskawicach, zrywa się wiatr północny, dmie ciągle przez tydzień i więcéj, nanosi mrozu i śniegu : rozkwitłe pierwiosnki Sybiru,

złote sasanki, rozwinięte pączki gajów, padają zwarzone szronem, cała ziemia biała jak w listopadzie. »

Uskarżając się na podobną zmianę, pisał do siostry : « Oto już 15^y^ maja, dzień twoich imienin kochana Zosiu, na które niegdyś na złamanie szyi leciałem z Wilna do Siemionowicz, na które później posyłałem ci powinszowanie z Rzymu, a które teraz obchodząc w Azyi, ledwo mogę pióro utrzymać w ręku od zimna; bądź jednak pewna, że w złych czy w dobrych dla mnie chwilach, życzenia moje równie gorące, towarzyszą każdemu wspomnieniu o najlepszéj siostrze. »

Prędko wszakże następuje znowu zmiana, bo natura północna musi spieszyć z dokonaniem letnich prac swoich. Przy nadchodzącém z kolei wspomnieniu na dzień 9^ty^ czerwca, wcale już inny obraz. « Niegdyś ten dzień bywał dla mnie bardzo przyjemnym; ale teraz... bywa tylko powodem smutku. Mogęż w tym dniu być wesołym, kiedy wraz z obudzeniem się staje przed oczyma memi obraz Mamy, wylewającéj łzy po stracie tego, któregoby w ten dzień chciała do swego łona przycisnąć i osobiście pobłogosławić... A jak tu wszystko dziś pięknie koło mnie. Cała okolica tak pokryta kwiatem poziomek i truskawek, że się zdaje być śniegiem przypruszoną. Ostrzę zęby na wydanie im wojny — za tydzień! Róży polnéj tak wiele tutaj kwitnie, że w niektórych miejscach można widzieć całe morgi, jak gdyby czerwonym dywanem usłane; a niezabudek takie mnóstwo ozdabia step Iszymu, że ktoby sądził, iż miliony turkusów spadły z nieba i umalowały ziemię. Zrobiłem z nich cyfrę Mamy kochanéj. »

I oto, ledwie tydzień upłynął, już huk truskawek i wszelkich jagod, wypełnione kłosy zboża żółknieć zaczynają, trawa na stepie po piersi człowiekowi, lato w całém znaczeniu, ze swemi skwarami i dokuczliwémi owadami. « Pomimo upałów, komarów, bąków, much, muszek i gorszych nad to wszystko rojów smutnych myśli, krążących po głowie wygnańca » zdrów on i cieszy się tą krótką porą roku; żeby zaś Mama miała wyobrażenie jak żyje, posyła jéj szczegółowe opisy swoich zatrudnień i rozrywek letnich.

« Rano, jak tylko dzień, stuk — stuk w okienicę; miejski pastuch woła: *wyganiajtie korowu.* Budzę się i wrzeszczę na striapkę: *wyganiaj korowu!* Ona leci doić Siniuchę, co prędko się odbywa, bo moja Siniucha w poważnym stanie i daje teraz mleka jak na lekarstwo. Krowa wychodzi, a ja biorę konia, prowadzę go do rzeki i napoiwszy siodłam, siadam na niego z workiem w ręku i lecę na bazar kupić mięsa. Ztamtąd ruszam jeszcze za tym lub owym interesem w inny koniec miasta, naprzykład do pana Gawrońskiego bednarza, żeby przyszedł zasmolić mi beczkę z ogórkami, które nasoliłem po naszemu. Obaczymy, czy Paweł, mój wieczny emulant w gospodarstwie, będzie miał podobne. O piątéj wracam, daję jeść koniowi, smaruję telegę, polewam moje kwiaty, piję herbatę, czytam Silvio Pellico, poję mlekiem kotkę, którą hoduję na postrach myszy w zimie, karmię mego niezrównanego Trezora, słucham raportu striapki o kurczętach i nowonarodzonych gołąbkach, daję jéj rozkaz żeby na obiad *sostriapała chołodiec* i *użaryła biełuju kuropaszku,* na

co mi ona, à la Odillon Barrot stawi opozycyą, kładąc za przyczynę, że niema smietany, bo Siniucha *rawno zdurała*. Spór kończy się tém, że ja muszę dać 16 kopiejek na smietanę, żeby mieć w perspektywie chłodnik i sałatę do kuropatwy. Po śniadaniu, jeśli niezbyt gorąco, pracuję w ogrodzie; po obiedzie zaś, gdy się słońce cokolwiek zniży, zaprzęgam konia do telegi, czego długi czas nauczyć się nie mogłem, a osobliwie trudno mi było ściągać ten nieszczęśliwy chomąt z duhą, ale teraz jestem w tym względzie artystą. Zabrawszy na telegę cały mój dwór i którego z towarzyszy, jadę w step po jagody lub zwierzynę i siano. Póki słoneczny skwar nie spali truskawek, zbieramy je garściami, potém czepiamy się po wąwozach szukając czarnych porzeczek, najczęściéj jednak polujemy, to jest, gdy nam strzelać niewolno, łapiemy psami kuropatwy i cietrzewie. Kiedy to piszę, szesnaście młodych kuropatw szarych, żywcem wziętych do niewoli przez Trezora, biega po moim pokoju. Podczas gdy my pędzamy się za zwierzyną, striapka z kosą, która tu zowie się *litowką*, kosi siano. Po kilku godzinach, mając ze trzydzieści sztuk ptastwa, a czasem i parę zajęcy przytém, wracamy tryumfalnie do miasta, na wysokim wozie świeżéj trawy. Za powrotem, wyprząglszy konia i złożywszy widłami siano na dachu, pijemy herbatę. Po herbacie idę napoić i poczęstować obrokiem mojego Karka, następnie ubieram się w pyszny szlafrok przysłany mi niedawno od Stryja, czytam książkę przez resztę wieczora, a za nadejściem nocy, zamykam sam okienice, wrota, spichlerz, wozownię, spuszczam konia

z uzdzienicy, żeby sobie bujał po dziedzińcu, wypijam szklankę wody z lodem i idę spać.

« Straszne mamy upały. Od miesiąca raz tylko deszcz padał, a codzień najmniéj 30 stopni ciepła. Czasem termometr Réaumura do 45 dochodzi! Szczęściem że mam rzekę o kilkadziesiąt kroków. W niéj cztery razy na dzień szukam ochłody. Gdyby nie to, że się rano i wieczor kąpię, a jem jak panna wybierająca się na bal, pewniebym się jak wosk roztopił. Widzi Mama, że w tym okrzyczanym za swoje zimno Sybirze, bardziéj mi gorąco niżeli niegdyś było u stóp Wezuwiuszu. O 9éj rano trzeba już zamykać okienice i siedzieć cicho w domu, jak w Neapolu w czasie godzin południowych, czyli siesty. Z tych upałów taki skutek, że trawa schnie na proch i siana nie będzie, warzywa wszystkie przepadną, a ludzi muchy pojedzą: cały jestem jak w osypce od nich. Dziś niebo się chmurzy, ale na nieszczęście wiatr wielki; może znowu skończyć się jak wczoraj na kilku kroplach deszczu. W téj chwili wychodzi z miasta procesya za rzekę, dla odmówienia modlitwy o odmianę powietrza.

« Tydzień temu, w końcu lipca, mieliśmy tu w nocy, przez ośm godzin z rzędu, ogromną ulewę z ciągłym akompaniamentem grzmotów i piorunów. Jak się Mamie zdaje, gdzie się jéj synek znajdował w czasie téj strasznéj sceny atmosferycznéj? — Pod wozem! Pojechałem na pokosy oglądać siano, w tém nadeszła burza, która nie pozwalała ruszać z miejsca, musiałem więc schować moją figurę pod wóz, a że tak długo nie można było popasywać w deszcz prawie potopowy, po-

biegłem do niedaleko stojącéj *izbuszki*. Zrazu znalazłem tam wygodne schronienie, ale kiedy dach téj budy ubity z ziemi przemokł, można sobie wyobrazić co się stało z tymi, których pokrywał. Już nie wodę, lecz strumienie błota dostaliśmy na nasze głowy. W takim stanie doczekaliśmy dnia, a nieprędko potém końca naszéj biédy, bo do 10éj rano deszcz lał jak z wiadra.

« Ach moja Mamo, byłem w niezmiernym kłopocie i zmartwieniu! Dni temu dziesiątek, krowa moja nie wróciła z paszy... Na drugi i trzeci dzień hasaliśmy z Leonardem po stepie, szukając jéj od rana do wieczora. Nigdzie najmniejszego śladu zguby mojéj wytropić nie mogliśmy. Podobny także skutek przyniosła galopada moich towarzyszy, Pawła i Gustawa, którzy zwiedzili wszystkie okoliczne wioski, badając czy nie została gdzie zajętą w zbożu. Byłem we włości sąsiedniéj miastu, w policyi i w sądzie ziemskim, ale i tu nikt nie objawił, że ją znalazł żywą lub nieżywą. Przepadła jak kamień w wodę! Najpodobniejszy do prawdy wniosek kazał domyślać się, że znana sprawność tutejszych złodziei, zrobiła z niéj ofiarę, bo na wilka zwalić winy nie można, jako nieznajdującego się w okolicach Iszymu. Tak więc w łeb wzięła moja nadzieja cieszenia się cielęciem i na nic się nie przydał przepis kochanéj Mamy, robienia sérów... Ale nakoniec, po tygodniu poszukiwań, trudy nasze uwieńczone zostały : znalazłem moją mlekodawczynię żywą i zdrową, tylko ciągłym rykiem narzekającą żałośnie, że tak długo nie była dojoną... W ciągu tych wycieczek zdarzyła się ze mną zabawna awantura. Zmęczony jazdą i silnym

upałem, gdy przytém i koń potrzebował popasu, zatrzymawszy się przed jedną samótną izbuszką, przywiązałem go mocno do brzozy, a sam poszedłem szukać jakiego posiłku. Przez kilka minut mój Karek, jadł sobie spokojnie trawę, ale gdy miliony owadów znęconych zapachem jego potu, obsiadło go od oczu do ogona, niecierpliwém wstrząśnieniem się i podskokiem zerwał przywięź, rzucił się na ziemię, wytarzał się kilka razy, a potém puścił się jak strzała znajomą drogą do domu! Proszę sobie wyobrazić położenie jezdzca pozostałego na stepie o 15 wiorst od wszelkich mieszkań ludzkich, wśród nieznośnego skwaru i tylko z kawałkiem cukru w kieszeni na cały zapas żywności! Nie było jednak co robić; udałem się pieszo w pogoń za moim wiatronogiem. Całe roje skrzydlatych pijawek, którym się on wymknął, jakby mszcząc się na mnie, otoczyły moją głowę. Szedłem sam jeden nieokreślonym stepem, a słońce nie widząc więcéj nikogo, we mnie topiło wszystkie swoje ogniste strzały! Szedłem z tą myślą, że w dodatku do krowy stracę jeszcze i konia! Nieraz sądziłem już, że się rozpłynę albo spalę. Nic mi się wszakże złego nie stało. Na ósméj wiorście znalazłem mego Rossynanta uplątanego w powróz kirgizki pleciony z końskiéj szerści, którym był do drzewa przywiązany. Wziąłem go jak dziecko, dosiadłem i w pół godziny stanąłem u wrot mojéj zagrody...

« W połowie sierpnia przepędziłem dwa dni na Burłakowskim i Pieściakowskim stepie, mało co jedząc, a nocując pod stogami siana. I po co? żeby kto spytał. Po biédne ptastwo, co się tam sobie rozkosznie mnoży

i hoduje. Aleź bo to step, aż miło! Świata nie widać za trawą i zaroślami łozy lub brzozy. Trzeba dobrze trzymać uwagę napiętą żeby nie zbłądzić i trafić do powózki, bo na przestrzeni sześćdziesięciu wiorst, ani jednéj chaty ludzkiéj nie zobaczyć. A ptastwa ledwie nie tyle co bąków i komarów, które na moje szczęście zaczynają już ginąć. Przez całe lato miałem takie mnóstwo młodych kaczek różnego gatunku, cietrzewi, pardw, kuropatw, przepiórek, kwiczołów, że mógłbym niemi pół Wilna nakarmić. Nie wiedziałem już co robić z tą zwierzyną. Leonard przedawał ją na swój dochod, ale tu ledwie 25 kopiejek płacą za parę cietrzewi, a kupują — zgroza powiedzieć — nie na pieczyste, ale na *pochlopkę*, to jest na zupę. »

Z sierpniem kończy się i lato; na początku września białe przymrózki pokrywają ziemię, a nieraz przed dniem świętéj Tekli, spadają śniegi i marzną strumienie. Wespół z powinszowaniem imienin Mamie, idzie do niéj raport o przygotowaniach na przyjęcie śpiesznym krokiem zbliżającéj się zimy. « Parę dni temu, wezwałem sześć bab, moich sąsiadek, na tak zwaną tu *pomocz mazania domu*, która jest tém, co tłoka na Litwie. Damy zaproszone, bez zapłaty pieniężnéj pracują cały dzień nad wylepieniem gliną ścian zewnątrz i wewnątrz, a pan gospodarz powinien im za to dać obiad, wieczerzę, banię do wykąpania się po pracy, a po bani czaj z winem, ma się rozumieć krajowém, to jest z wódką. Daleko to dogodniéj i prędzéj niżeli za pomocą rąk najętych. Robota idzie ochoczo i kończy się jednego dnia. Szanowne sąsiadki

spiewając i chichocząc, do zachodu słońca opatrzyły wszystkie rany mojéj chałupy, a w godzinę potém wymyte i rumiane zasiadły do herbaty, przy któréj zjadły kopę *oładiów*, czyli pączków, wypiły parę sztofów wódki i pożegnały mię z' uprzejmém oświadczeniem gotowości na rok przyszły. »

W pazdzierniku lub listopadzie, smutny wykrzyknik : « Otoż już i zima! » rozpoczyna znowu długi szereg uskarżań się na nudę i brak ruchu, na rażącą wzrok białość śniegu i nieznośny oczom blask świécy łojowéj, przy któréj « niemasz o czém inném pisać, jak chyba o katarze lub literaturze. »

Taką koleją, z niewielką odmianą w drobnych szczegółach, upłynęły cztéry lata spokojnego i wygodnego życia na kupionéj siedzibie w Iszymie. Życie to, powierzchownie uważane, byłoby idealem szczęścia, szczytem dopiętych zamiarów dla jakiego Szwaba lub Flamanda, który dobrowolnie opuszczając kraj ojczysty, wynosi się w stepy nad Wołgę, albo nad morze Azowskie; mogłoby nawet być przedmiotem zazdrości dla nie jednego z naszych wychodzców zachodnich, który ziębnąc na poddaszu bez komina, miałby za rozkosz siedzieć w dobrze ogrzanym domu sybirskiego wygnańca, lub wolałby szukać po zielonéj pustyni własnéj krowy zbłąkanéj, niżeli po bruku ludnego miasta franka na obiad... Z tém wszystkiém, życie to nie przyniosło Adolfowi ani uspokojenia, ani choćby zgłuszenia żalów i tęsknot wewnętrznych, sprzykrzyło się nakoniec i zdało się być ciężkiém. W roku 1840 chciał już dom sprzedać, żeby pozbyć się tych kłopo-

tów gospodarskich, w których zrazu znajdował tyle rozrywki i pociechy. Byłby to uczynił, gdyby wiedział co potém począć, czém nasycić swoją nieokreśloną potrzebę działalności, potrzebę w gruncie duchową i przeto niepodobną do zaspokojenia staraniami koło siebie i dla siebie.

Męczeństwem dusz polskich na Sybirze było zupełne pozbawienie niezbędnego dla nich żywiołu, który jakkolwiek nazwiemy, politycznym, publicznym, obywatelskim, zawsze będzie on zależał na tém poczuciu, że się jest jednostką wielkiego ogółu, idzie się z jego ruchem na przód, i choćby najdrobniejszą ścieszką swoją dąży się czynnie do wielkiego celu, nietylko ogarniającego wszelkie widoki osobiste, ale górującego po nad niémi. Błogość agronomiczna, dylletantyzm literacki, rozpamiętywanie przeszłości, pieszczenie się pamiątkami, dla dusz prawdziwie polskich wystarczyć nie może: trzeba im ojczyzny, albo drogi do niéj. Z téj strony, pielgrzymstwu naszemu na zachodzie, przypadła dola nieskończenie szczęśliwsza. Tym co wszystko stracili, pozostało jeszcze najwyższe zadowolenie na ziemi: służba sprawie ojczystéj, sprawie świętéj. Jakkolwiek ją kto pojmował, jakichkolwiek chwytał się środków, widoków i rachub, miał przed sobą cel wielki, prawdziwy i pewny, bo dla chrześcianina i wiernego sługi dobréj sprawy, lepsza przyszłość jest prawdą i pewnością. Samo napięcie ducha do takiego celu, choćby do otrzymania jego nie mógł przykładać się niczém inném, jak tylko dobrowolném znoszeniem cierpień, daje już człowiekowi to uczucie własnéj go-

dności, przy którém z podniesioném czołem depce nędze żywota i patrząc daleko po za grób, gdzie mu się uśmiecha szczęście młodych pokoleń, nie postrzega nawet prawie, że się starzeje. Braciom Sybirczykom, odjęta była wszelka spółka z ruchem ludzkiego świata, któregoby kierunkom, jako synowie Polski, błogosławić lub złorzeczyć mogli; odjęta była nawet wszelka własnodzielność w zbliżaniu się do jedynego ich celu, do wyjścia z niewoli i cywilnego nicestwa. Nieruchomość oczekiwania z odradzającą się ciągle niecierpliwością powrotu, stanowiły ich Prometeuszową męczarnię. Bieg czasu wywierał na nich dziwnie sprzeczne wrażenie: pragnąc tego co miał przynieść, musieli lękać się o to co unosił. Myślą przykutych do zostawionéj za sobą młodości, trwożyła i jak choroba, któréj się boimy, ogarniała przedwczesna starość.

O jednym ze swoich towarzyszy pisał Adolf, że wpadł w chorobliwą posępność umysłu; o drugim, że przed trzydziestym rokiem życia osiwiał zupełnie; sam też coraz częściéj począł zwracać uwagę na siebie, z jakiémś smutném poczuciem zbliżania się ku schyłkowi wieku. Kilka ostatnich lat pobytu w Iszymie, upłynionych cicho i nieznacznie, sprawiło wiele zmian w tym obrazie stron rodzinnych, który o pół tysiąca mil przesuwał się przed jego oczyma. Stojąc nad nim, jak posąg nad potokiem, postrzegał w nim postać swoją zmieniającą się także. Każde wspomnienie, każde spójrzenie w przyszłość było mu powodem do smutnego obejrzenia się na siebie.

Matka, co roku prawie przysyłała mu w liście

kwiatki z ulubionego miejsca. Cieszyły go zrazu jako dowód macierzyńskiéj czułości; późniéj poglądając na nie, powiadał. « Niezabudka z pod owego dębu, w cieniu którego biegałem niegdyś z braćmi i siostrami, doszła szczęśliwie. Patrzę na tak dalekiego gościa okiem napełnioném łzami. Czemuż nie mogę napić się wody z kaskady, co spadając przy tym dębie, bryzgami swémi orzezwiała biédny kwiatek, któremu pewno nigdy się nie śniło, że od brzegów Niemna pojedzie pocztą za Ural, na Sybir, połączyć się z zerwanym jak on wygnańcem. Ale jak to dawno być musi od moich chwil młodości, kiedy Mama pisze, że i dąb już się wali... A cóż będzie ze mną, co nie jestem dębem! »

Siostry otoczyły się dziatkami. Winszował im przyjścia na świat to córuni, to synaczka, ubolewał nad zgonem to Adolfka, to Emilki i wkrótce straciwszy rachunek, prosił żeby zrobiły tablicę statystyczną, do przesyłania mu wiadomości o znajoméj i nieznajoméj rodzinie. « Niech każda z was położy w rubrycce, naprzykład : Mąż 1, synów 2, córek 3, dodając jakie ma imie, kolor włosów i oczu. Tym sposobem przyjdę do ładu, bo teraz nie wiem dobrze, do któréj z was Izabelka, a do któréj Paulinka należy i czy obiedwie macie po Stachu. » Późniéj nie tak już wesoło mówił o tém młodém pokoleniu : « Wszystko to być musi ładne, miłe i podrosłe. O jakżebym całował, jakbym uściskał, gdyby wpadły w moje ręce te Izabelki, Paulinki, Michalinki. Ale możeby nie rade były z prostaczych uścisków Azyaty, witającego rodzinę jak za cza-

sów dawnych i dawno już wyszłych z mody, Abrahama lub Józefa; możeby ze wstrętem odwracały się od szpakowatego wujaszka-Sybiraka. »

Siostrzeniczka Michasia, którą zostawił dzieciną szczebioczącą nauczone bajeczki, która do Tobolska posyłała wujaszkowi cukierki, do Żelakowéj przypiski wielkiemi literami w listach babuni, teraz stawała mu w myśli inaczéj. « Podług mego rachunku — pisał do matki — Misia ma już piętnaście latek : musi być słuszna panienka. Jakżebym cieszył się jéj widokiem! Ciekawy jestem czy podobna do naszéj nieszczęśliwéj Juleczki i czy tak czuła jak jéj matka? Pewno tak jest, bo pamiętam że w Dziahylnie widziałem ją często płaczącą, bez żadnéj ważnéj przyczyny... Ach! może i na jéj weselu los mi być nie pozwoli; a przecież niezadługo zapewne zostanę dziadunią... »

Brat najmłodszy, któremu posyłał kolejno szkolne, literackie, gospodarskie, obywatelskie rady i przestrogi, który stopniami wychodząc « z młodzieniaszka na myślącego młodzieńca, ze studenta, na tłumacza dzieł, przemyślnego gospodarza i Jaśnie Wielmożnego deputowanego gubernii mińskiéj, stał się jedyną podporą obciętego domu Januszkiewiczów » brat ten w r. 1840 doniosł, że się ma żenić. Po otrzymaniu téj wiadomości, pisał Adolf do matki. « Kilka lat temu nosiłem go na ręku, a dziś mój kochany January — bo nie mogę już go teraz tytułować Januarkiem, ani Naikiem, gdy niezadługo zapewne będzie miał własnego Naiczka — wyprzedzając trzech starszych braci, zabiera się do stanu małżeńskiego. Szczęśliwszy od nich, w nowym

swoim stanie będzie mógł tém więcéj przynieść pomocy i pociechy sędziwym latom Mamy. Używając tedy po raz ostatni powagi starszeństwa, w zastępstwie drogiego ojca naszego, błogosławię mu wespół z Mamą i proszę Najwyższego, aby na młodą parę zlał wszelką szczęśliwość... » Odtąd ciągle myśl jego była zajęta zmianą mającą nastąpić w domu rodzinnym. Na wiosnę biegał po polu szukając najrańszego pierwiosnka dla przyszłéj bratowéj, pod jesień, powtarzając Januaremu, jakby pragnął być na jego weselu, dodawał: « Wyobrażam, że wyporządziłeś apartamenta na przyjęcie żony... i ja wyporządzam moją chałupkę na przyjęcie — zimy, z obawy żebym nie umarł w jéj uściskach. » Nareszcie, gdy już czas naznaczony na wesele minął, i przyszły listy z dowodami pamięci o nieobecnym przy cukrowéj wieczerzy, pisał nawzajem:

« Muszę ci donieść, mój kochany bracie, jak przepędziłem dzień, w którym spełniło się twoje najdroższe życzenie. Pragnąc należycie go uświęcić, kazałem striapce dom zamknąć i odpowiadać przychodzącym do mnie, że mnie niemasz, że wyjechałem na ślub mojego brata. Nie myśl jednak ażebym skazawszy siebie na taką dobrowolną samotność, oddał się czarnym myślom i smutkowi. Owszem, dzień ten, pomimo śniegu, który bezprzestannie padał, pomimo posępnéj pory i zamknięcia, przepędziłem bardzo wesoło, ożywiony jakiemiś wewnętrznémi przeczuciami, że brat mój, którego tak kocham, będzie szczęśliwy i że jeszcze go uścisnę. Kiedy zaś przyszła chwila, w któréj przypuściłem sobie, że z rąk kapłana odbierasz błogosła-

wieństwo nieba, spójrzawszy na obraz drogiéj naszéj matki, westchnąłem i modły moje za tobą, poszły do Najwyższego. Nazajutrz zaś jako w dzień twojego wesela i imienin kochanéj mamy, z dobrym moim towarzyszem i stołownikiem Zielińskim, wychyliliśmy parę toastów. Oby się one spełniły! »

Wkrótce potém pisał do matki. « Rączki Mamy całuję za wszystkie rzeczy, a w szczególności za jéj pamięć w zostawieniu kilku butelek weselnych, które mam wypić za mojém przybyciem do Dziahylny. Któżby prócz Mamy pamiętał o takiéj siurpryzie dla mnie!... Ale co tam Mama lęka się jeszcze, żebym się i ja nie zakochał nagle i nie ożenił na Sybirze? Nie ten już jestem co byłem niegdyś... Jeślibym jechał do Dziahylny, zatrzymałbym się na granicy w jakiém miasteczku u fryzyera i kazałbym sobie powyrywać czy pofarbować siwe włosy, żeby nie przerazić Mamy widokiém sybirskiego szronu na mych skroniach. Mnie to myśleć o miłostkach tutaj! Ja teraz myślę tylko, jakby nakupić mąki żeby wystarczyła do przyszłéj zimy, jak przeżyć rok i zawsze mieć grosz w kieszeni — a romanse!... I o dawnych już zapominam. Takto, moja Mamo, wszystko się zmienia, jedna tylko miłość dla mojéj Mamy nigdy się zmienić nie może! »

Wyrazy te, pisane w 37^{m} roku życia, istotnie pokazują smutną i szybką zmianę. Ten, co jeszcze przed pięcią laty, z młodzieńczym zapałem widział cały Sybir opromieniony kilką słowami kochanki i zdawał się czas wyzywać do walki, teraz przystygły, zwątpiały, zobojętniony, zawisł jak pająk na swojéj pajęczynie, na

jedném tylko uczuciu, które w jego piersiach nie zniżyło temperatury. Tą nicią przyczepiony do rodzinnego kąta, nie śmiejąc już i myślić o tém, co wyżéj nad nim zostawił, póki mu do niego odszczeblować nie będzie wolno, poglądał w dół na lodowatą ziemię « która rychło pożera rośliny z obcego klimatu przeniesione na nią. » Nadzieja nawet, co mu sprawiała tak gorące, tak niecierpliwe bicie serca, stała się w ostatku jakby uprzykrzoném światłem, przerywającém drzemanie. « Ach! Mamo — wołał — po cóż Mama pisze mi znowu o swoich nadziejach, które wszystko mi w głowie przewracają do góry nogami i spać nie dają. Każdéj poczty będę oczekiwał mego zmartwychwstania; kilka ich przyjdzie próżno, i jak zawsze trzeba będzie pożegnać się ze złotemi marzeniami szczęścia. »

Ale komu przeznaczono przeżyć żywot w cierpieniach ducha, ten ni spocząć, ni zdrzemać, ni odrętwieć nie może. Właśnie kiedy wszystkie bodźce oczekiwania poczęły tępieć, zbliżał się zwrót na inny kierunek widoków przyszłości, i gotowało się nowe położenie dla oswojonego z długo doświadczanemi dolegliwościami wygnańca.

Pod koniec lata 1840 roku, cesarz Mikołaj odwiedzając Kijów, okazał niejaką skłonność do przebaczenia swych uraz naszym prowincyom południowym. Nieszczęśliwi, tak pochopni do wróżenia sobie ulgi z lada pozoru, oddali się przewidzeniom następstw pożądanych. Wuj Adolfa mieszkający na Ukrainie, pośpieszył przesłać do Dziahylny wywód pomyślnych i dla niego wniosków, opartych na usposobieniu monarchy.

Nowina ta, z dodatkiem wszystkiego, co na ubarwienie jéj serce matki i brata podyktować mogło, poszła niezwłócznie do Iszymu. Nie zrobiła ona zrazu na Adolfie mocnego wrażenia. Nie wierzył w autentyczność pogłosek wziętych przez wujaszka za podstawę nadziei, « którą kochana Mamunia i braciszek raczyli podnieść do stopnia pewności. » Gdy jednak współcześnie wyczytał w gazecie Berlińskiéj, że po odjeździe cesarza, jenerał gubernator Bibikow oświadczył zgromadzonéj szlachcie łaskawość dla niéj Najjaśniejszego Pana i kazał spodziewać się wkrótce widocznych tego dowodów, okoliczność ta, jak się wyraził « zabiła mu ćwiek w głowę, na który możeby nie zważał, gdyby jakieś tajemne przeczucie nie szeptało mu ciągle, że to ostatni rok pobytu w Iszymie. »

Przeczucie tym razem było nie omylne, a chociaż wiele miesięcy upłynęło głuchych i nic nie zwiastowało spełnienia się oczekiwań, odzywało się silnie. Na wiosnę 1841 roku zajął się sporządzeniem tranzakcyi urzędowéj, odłożonéj na późniéj przy nabyciu domu, żeby w danym razie, żadna formalność nie była mu na przeszkodzie do zbycia rychło swéj własności. Podczas jarmarku majowego, nie robił sprawunków « ani za pół kopiejki, z obawy (bardzo miłéj) ażeby na wypadek opuszczenia Iszymu nie ponieść straty. » Wkrótce potém, pisał do Januarego : « Niemasz dnia żeby ktoś nie przychodził z zapytaniem, czy nie przedaję krowy, konia, sprzętów, domu. Co to wszystko znaczy? Przecież nikt mię tu nie ma za bankruta i owszem powszechnie uchodzę za dostatniego człowieka. Mia-

łyżby to być wróżby rychłéj zmiany w moim losie? Ja przynajmniéj tak sobie tłumaczę te pytania i pocieszam się nadzieją, że w tym roku pożegnam Iszym. »

Niepewność trwała niedługo. Dnia 3 czerwca v. s. kuryer z Omska przywiozł manifest cesarski wydany z powodu zaślubin następcy tronu, a skutkiem tego manifestu, stosownie do przedstawienia księcia Gorczakowa, jenerał gubernatora Syberyi Zachodniéj, ułaskawienie dla siedmiu naszych pokutników iszymskich. Dwóm, będącym rodem z Królestwa i przysłanym tylko na pobyt czasowy, nie zaś na *posielenie*, dano wolność powrotu do domu; pięciu innym dozwolono wstąpić do służby cywilnéj na kancellarzystów, lub do wojskowéj na prostych żołnierzy, ale tylko w granicach Syberyi. W liczbie tych ostatnich znajdował się Adolf i jego przyjaciel Paweł Ciepliński.

Taka łaska była ciężkim ciosem dla uczuć, które przed komisyą śledczą w Kijowie wyrażone, z całą świeżością i mocą swoją leżały na dnie duszy Adolfa; otwierała wszakże jedyną drogę do wyjścia zaraz ze stanu posieleńca, a kiedykolwiek późniéj z Syberyi; przywracając odjęte prawa osobiste, dawała sposobność dosługiwania się powrotu na łono rodziny, zmieniała bierne oczekiwanie na czynne dążenie do tego celu. Wahał się chwilę, bolał długo, lecz odrzucić jéj nie mógł.

Donosząc o tém matce, starał się ile możności wystawić wszystko w korzystném świetle, przekonywał ją, że powinna cieszyć się z tego wstępu do pewniejszych nadziei, « Zmieniło się dziesięcioletnie położenie

moje — wołał — Wyrok skazujący mię na osiedlenie w Syberyi, należy już do mojéj przeszłości. Odemnie samego będzie teraz zależało, pracą, wytrwaniem, pilnością w pełnieniu włożonych na mnie obowiązków na los mój wpływać. Dla wieku i tylu cierpieniami sił zwątlonych, nie mogąc przedsiębrać zawodu wojskowego, prosiłem jenerał gubernatora o przyjęcie mię do służby cywilnéj w którémkolwiek z miast gubernialnych. Jeżeli spełni się moje życzenie, ufam sobie, że pracując pod okiem wyższych naczelników, będę słusznie oceniony od nich, a Mamy nie potrzebuję zaręczać, że byleby Bóg dobry pozwolił mi cieszyć się zdrowiem, nie oszczędzę trudów i usiłowań, kiedy w widoku nagrody za nie, jest szczęście powrotu do niéj. »

W lipcu, jeden z uwolnionych, Kasper Babski, wracał do domu w Augustowskie i obiecał Adolfowi skierować swą podróż na Dziahylnę. W danéj mu na piśmie notatce, co tam komu ma powiedzieć, były przy wielu innych te punkta : « Proś Mamy, żeby sama napisała kilka słów grzecznych do naszego księcia jenerał gubernatora i postarała się o listy od wysoko położonych osób, polecające mnie jego względom i opiece... Nie trzeba teraz podawać żadnych prośb za mną, ale dopiero po upływie kilkunastu miesięcy starać się, nie o zupełne uwolnienie, bo to jak widać byłoby daremném, ale o przeniesienie mnie na służbę do Rossyi europejskiéj, do Saratowa, Tambowa, lub Czernihowa, gdzie piersi moje, zmęczone tylu zapaleniami i gorączkami, oddychałyby łatwiéj, i zkąd możeby udało się z

czasem otrzymać choć chwilowy urlop na odwiedzenie rodziny... Jeżeli ci się zdarzy być w Nieświéżu, zwiedź zamek (nawiasem mówiąc, miejsce mego urodzenia) i donieś mi, czy jeszcze exystuje napis : *Vanitas vanitatis, et omnia vanitas*. Piękne godło nad kolebką człowieka, którego losy zagnały na Sybir! »

Pierwszych dni sierpnia, przyszła pożądana odpowiedź : Gorczakow dał rozkaz, żeby Adolfa, równie jak jego towarzysza Pawła, przyjęto do służby cywilnéj i zapisano « w sztat kancellaryi omskiego *okrużnego* (okręgowego) sądu. » Odpowiedź ta dogadzała na teraz wszystkim życzeniom : Omsk, miasto stołeczne Syberyi zachodniéj, położone o 323 wiorst na południe od Iszymu, obiecywało nawet klimat znośniejszy.

Nowo mianowani kancellarzyści sądu *okrużnego*, radzi ze wspólności zawodu, zajęli się szybko przygotowaniami do wspólnego wyjazdu « nie bez smutku i żalu po miejscu, gdzie upłynęło tyle lat, gdzie zostawało tylu towarzyszów wygnania. » Adolf « zwijał w trąbkę ruchomość i rozporządzał gospodarstwem. » Dom ze sprzętami i koniem odstąpił Gustawowi Zielińskiemu « którego mama pokocha jak syna, jeżeli kiedy będzie wracał przez Dziahylnę do swojéj rodziny. » Leonardowi zostawił 300 r. as. « szczupły fundusik, jaki zapasy oszczędności udzielić pozwoliły, który wszakże przy pomocy Bożéj, może go postawić na nogi. » Striapce darował krowę, samowar i część naczyń kuchennych. Nastąpiły rzewne pożegnania, przypominające dawne boleści rozłąki. Oblani łzami, obsypani błogosławieństwami i życzeniami, dwaj podróżni

w nocy 31 sierpnia opuścili Iszym, a rano 3° września n. s. stanęli w Omsku.

IV

Zmiana zaszła w dziesiątym roku pobytu na Sybirze, rozpoczyna drugi peryod niewoli Adolfa, peryod dłuższy i smutniejszy od poprzedniego, bo trwał niemal lat dwanaście, a przy pozorach zmniejszenia kary, był rzeczywiście cięższym jéj stopniem. Wszystko składało się teraz na uciśnienie go dotkliwiéj. Swobodę wiejskiego ustronia zastąpiła dolegliwość życia w mieście, mającém liczne przykrości, a mało korzyści miast cywilizowanych; praca, która była pociechą i rozrywką, stała się trudem obowiązkowym, jednym z najnudniejszych, z najnieznośniéj morzących umysł i ciało; służba samemu sobie zamieniła się w służbę carską; same wreszcie zawody nadziei przybrały charakter tém rozpaczliwszy, że obracały wniwecz już nie oczekiwania bezzasadne, ale najoczywiściéj wyrozumowane rachuby.

Matka przeczuła, czy odgadła niepomyślne następstwa zmiany: Omsk przedstawiał się jéj w czarnych kolorach; Adolf widział także jasno co musiał stracić i co go czekało, ale gdy trzeba było uledz konieczności, gdy w Iszymie żaden się widok służby nie otwierał, raz zrobiwszy wybor, uzbroił się w właściwą sobie

moc woli, mężnie wytrzymywał niesmaki nowego położenia, nie użalał się na nie, starał się owszem przekonywać matkę, że wspólnie z nim cieszyć się powinna. Czasem tylko zdradził się mimowolném westchnieniem za przeszłością iszymską.

Pierwsze jego listy do matki i brata, składają ciąg doniesień o sobie, przerywany na przemian wyrazami dwóch przeciwnych uczuć, któremi napełniły jego serce wiadomości otrzymane z domu. We wrześniu 1841, winszował Januaremu przyjścia na świat pierwszego syna; w październiku, opłakiwał zgon siostry Kasyldy, która w młodym wieku, zostawując kilkoro dziatek, po wielu miesiącach ciężkich cierpień zakończyła życie. Następne wyjątki z tych listów, dają wyobrażenie początku nowéj kolei w latach wygnania.

« Nazajutrz po przybyciu, pojechaliśmy do różnych osób z uszanowaniem i wizytami. Wszyscy nas przyjęli jak najlepiéj i zapewnili, że będą się starali pobyt nasz w Omsku uprzyjemnić. »

« Książe Gorczakow, któremuśmy mieli zasczyt przedstawić się, raczył przyjąć nas łaskawie i rzekł: Będąc teraz obdarzeni łaską monarszą, starajcie się ją usprawiedliwić, a pilnością, prowadzeniem się i *wiernością* zasłużyć, żeby was można było posunąć daléj. »

« Znaleźliśmy tu wielu znajomych z Tobolska i wielu takich, dla których los nasz nie jest obojętnym, lub w których towarzystwie, po tylu latach odosobnienia, przyjemnie czas przechodzi. Wszystko nas przekonywa, iż zrobiliśmy najmędrzéj, żeśmy prosili o przeniesienie nas do Omska. »

« Poznaliśmy się ze znajomym Mamie i Januaremu panem Krupskim, który tu używa reputacyi dobrego lekarza i cieszy się powodzeniem. Mówił mi wiele o Dziahylnie. Jedliśmy u niego obiad w towarzystwie dwóch innych lekarzy z Wilna. »

« Omsk zanosi się na gród wielki : składa się, oprócz fortecy, z kilku części rozrzuconych na znacznéj przestrzeni i rozdzielonych od siebie rzeką Omią, wpadającą w mieście do Irtysza, dosyć szeroko płynącego po stepie. Wiele jest gmachów pięknych, murowanych, kilka cerkwi, meczet tatarski, z którego minaretu codziennie rozlega się głos muezzina. Na ulicach ruch pojazdów i ludzi wszelkiego stanu i koloru. Właśnie teraz przybył tu poseł kokański, jadący do Petersburga. W niedziele i święta muzyka gra dla publiczności przechadzającéj się po tak zwanym sadzie, który jest niczém więcéj jak brzozowym gaikiem, przerzniętym kilką ulicami. Mamy więc przyjemność nasycać się harmonią Hugenotów lub Roberta-Djabła. Damy w amazonkach jeżdżą konno. Na bazarze codzień targ i zawsze można znaleść kilkanaście wozów z melonami i kawonami. To wszystko bawi nas i cieszy po tylu latach życia w Iszymie, gdzieśmy prócz sadła i masła nic nie widzieli i nie słyszeli. »

« Przez pięć dni szukaliśmy sobie mieszkania, o które tu dosyć trudno w środku miasta, gdyż wszystkie magistratury pomieszczone są w jednym gmachu i każdy ciśnie się mieszkać jak najbliżéj niego. Znaleźliśmy jednak kwaterę, jaką mieć życzyliśmy : trzy pokoje w domu położonym o 125 kroków od tak zwa-

nych *prysudztwiennych miest.* Nie będziemy więc potrzebowali jeździć do kancellaryi i kiedy przyjdzie kilka razy w dzień do niéj chodzić, nie narazimy się na przeziębienie podczas mrozów. Stół najęliśmy u naszéj gospodyni, dobréj jakiéjś kobiéty, sołdatki, która chociaż oprócz *szczeju* nic *sostrapat'* nie umie, stara się jednak jak może nam dogodzić i słucha naszych rad w przedmiocie gastronomii. Paweł po kilka minut co ranek wykłada jéj kurs téj sztuki i już tyle postąpiła, że umie zrobić rosoł i naleśniki. Przykro wszakże przywykać do tutejszego pokarmu, po mojéj wybornéj kuchni, jaką miałem w Iszymie. »

« Służbę w kancellaryi zaczęliśmy 24 września i już nie jeden arkusz zabazgraliśmy z zupełném zadowoleniem naszych naczelników, ludzi wielce grzécznych. Pracujemy z Pawłem w jedném biórze i przy jednym stole, od 8ej do 2ej rano i od 6ej do 9ej wieczorem. Pomału oswajam się z siedzeniem, tak przeciwném mojéj naturze potrzebującéj nieustannego ruchu. Ręka odzwyczajona od długiéj pisaniny, z początku bolała i nie chciała służyć, ale coraz idzie lepiéj i już mam przyjemność donieść, że zarabia 20 r. as. na miesiąc. Jestto moja pensya, która z czasem podrośnie. »

« Mam się dobrze i nawet lepiéj niż zazwyczaj o téj porze roku miewałem się w Iszymie, gdzie każdéj jesieni, zwłaszcza w ostatnich dniach pazdziernika, napadała na mnie jakaś melancholia, która kilka dni panowała nad moim umysłem i szkodliwy wpływ wywierała na zdrowie. Możeby i w Omsku to samo było ze mną, gdyby nie SŁUŻBA, która nie daje przystępu

smutnym myślom, zabierając cały czas, jakiego dawniéj miałem do zbytku. Zresztą, może być Mama spokojna o moje zdrowie, bo na pochwałę Omska i to jeszcze dodać winienem, że posiada teraz piętnastu lekarzy, w liczbie których kilku jest znakomitych nauką i talentem. Nasz Jazon Michajłowicz nie poślednie trzyma między nimi miejsce. Bywa on u nas często i bardzo szczęśliwy jestem, że mam z kim rozmawiać o najdroższych mi osobach i stronach rodzinnych. Polecenie, które mi dał January do niego, spełniłem z największą szkrupulatnością w następny sposób. Bojąc się ażeby tak smutna wiadomość nie była dla niego gromem lub sztyletem, zapytałem go naprzód, czy jest zupełnie zdrów i czy usposobiony należycie do przyjęcia nieprzyjemnéj wiadomości. Kiedy mnie upewnił, że i zdrów i rachuje na swoją moc duszy, kazałem podać dzban zimnéj wody i kawałek *acidum tartaricum*, a wtedy dopiero oświadczyłem mu, że panna Ewa obcym już przykuta pierścieniem... Coby się z tobą stało w takim razie, mój January? Pewniebyś stanął w osłupieniu, a serce twoje zaklekotałoby jak bocian w gnieździe. Nasz pan Jazon zaś, nietylko że się nie skonfundował twojém doniesieniem, ale jeszcze zobowiązał mię podziękować ci za nie najmocniéj, jako za wielce przyjemną i pożądaną nowinę. Taki rezultat czemu przypisać: doktorskiéj zimnéj krwi, czy zimnemu klimatowi naszemu? — nie wiem. Co do klimatu wszakże, ile go znam z własnego już doświadczenia i z powieści tutejszych mieszkańcow, ani trochę nie lepszy od iszymskiego: te same i téj samej próby

purgi, burjany, mrozy i upały jak tam tak i tutaj.»

« Z kwatery naszéj jesteśmy kontenci. Z początku wilgoć nowych ścian, z niedość wyschłego drzewa postawionych, i wyziewy pierwszy raz palonych pieców nabawiały nas kataru; ale to minęło. Gospodarze wyborni ludzie. Sama pani Kuźmowna przez sześć tygodni karmiła nas jak najstaranniéj, chociaż jéj talent kucharski nie daleko sięgał. Potém oświadczyła nam, że mając pięcioro dziatek i cały dom na swojéj głowie, pomimo najszczerszéj chęci dłużéj nas żywić nie może i widzi się zmuszoną prosić, żebyśmy zaprowadzili własną kuchnię. W takim stanie rzeczy musieliśmy pisać do naszych kolegów w Iszymie, żeby nam przysłali na kucharkę niejaką Bohdanowiczową, rodem ze Żmudzi, która służyła rok u jednego z nich, a przed kilką tygodniami sama nas prosiła o wzięcie jéj do Omska. Od przybycia jéj uczuliśmy wielką ulgę; mamy przynajmniéj komu zostawić kwaterę wychodząc, i w domu jaką taką usługę; a cicha sobie kobiecina i nieźle jeść gotuje. Wszystko to jednak nie moja Łukerya, która robiła bifsztyk choćby na stół samego Welingtona. Jéj zaś teraz mieć nie mogłem, bo jest w służbie i przytém wybiera się za mąż*. »

« Gospodarstwo nasze urządziliśmy na stopę jak najskromniejszą, jednakże drożéj będzie nas kosztowało niżeli w Iszymie; każdy bowiem artykuł potrzebny do

* Wyżéj, na stronicy LXXI, skutkiem mylnego wyczytania, Leonard Korycki został podany za żonatego, a Łukerya za jego szanowną małżonkę. Leonard nie miał żony, a Łukerya, było to drugie i powszednie imie striapki, pierwszy raz wspomnianéj pod imieniem Maryi.

życia, droższy tu we dwoje, a czasem i we troje. Ktoby dał temu wiarę, że w kraju stepowym, gdzie takie tabuny bydła, za *kryszkę*, to jest za garnek mleka, trzeba płacić 15 kopiejek. To nas zmusza trzymać własną krowę, za którą przyjdzie zapewne najmniéj 50 rubli zapłacić... Dla wiadomości Januarego dodaję, że teraz, jako przywrócony do moich praw osobistych, mogę otrzymywać zasiłki pieniężne z domu wprost na moje ręce i bez żadnego ograniczenia. »

« Pod koniec grudnia przybył tu nasz wędrujący wiecznie ksiądz proboszcz. Codzień chodzimy z Pawłem na mszę i nieszpory, a nasza Bohdanowiczowa ma zręczność popisać się ze swoim dyszkantem, śpiewając godzinki, które przenoszą mnie w czasy mojego dzieciństwa i przywodzą mi na pamięć najdroższe wspomnienia rodziny. Tutejsze zgromadzenie katolickie zupełnie przypomina nasze kościoły, gdyż nie brakuje w niém i dam wyższego rzędu. I tak, mamy tu jedną jenerałowę i cztéry pułkownikowe, które wszystkie są wyznania katolickiego i rodem z naszych stron, lub z królestwa polskiego; w téj liczbie trzy z samego Podola. Pominąwszy więc inne dogodności Omska, czyliż mała i to przyjemność, po tylu latach odosobnienia znajdować się w towarzystwie swoich rodaczek, albo wraz z niémi zanosić modły do Boga? Zaręczam Mamę, że kiedy raz pierwszy wszedłem do naszego tymczasowego kościoła, zdawało mi się, że jestem na mszy w Kojdanowie czy w Kraśnem, a co serce moje czuło, wyrazić niepodobna. »

« Porobiłem tu już niektóre znajomości, ale w ogóle

więcéj jestem w domu niż za domem. Nie mogę się jeszcze przyzwyczaić do ubierania się i do kłopotów wizytowych, od których wolny byłem w Iszymie przez lat tyle. Niepodobna jednak będzie pozostać długo na dawnéj stopie, jakkolwiek humor mój terazniejszy wcale nie do towarzystwa. »

« Dzięki ci, kochany January, za doniesienie o zdrowiu wszystkich nam drogich i twojego Michasia, który jak piszesz, okazuje już, acz w tak młodym wieku, niezaprzeczone dowody rozumu. Co to być musi za pociecha dla ciebie! Jakbym ją pragnął podzielić i w zaślepieniu mojéj miłości stryjowskiéj przyznać wraz z tobą, że niemasz w świecie rozumniejszego dziecięcia nad naszego Michasia. Nie wątpię zaś, że jego matka i babunia zgodziłyby się na nasze zdanie... Ale cóż się tam dzieje z osierociałemi dziatkami naszéj drogiéj Kasylki? Prosiłem naszego proboszcza, ażeby w kościele tomskim odprawił mszę za jéj duszę. Tak więc o pięć tysięcy wiorst od świeżéj mogiły biédnéj naszéj siostry, wzniosą się na jéj intencyą modły do nieba. Ach! na wspomnienie téj straty serce mi się rozdziera i łzy płyną, jak gdybym dzisiaj dowiedział się o niéj. »

« Od nowego roku (1842), z rozkazu księcia przeniesieni zostaliśmy do kancellaryi Pogranicznego Naczelnika sybirskich Kirgizów. Tym naczelnikiem jest teraz przybyły niedawno z Rossyi pułkownik Wiszniewski, którego władza rozciąga się nad całym stepem zamieszkałym przez Średnią Hordę kirgizką, i któremu przysyłają urzędowe raporta sułtani, naczelnicy okręgów, prezesowie dystryktów, często nawet potomkowie

Dzingischana lub Tamerlana. Rad jestem z tego przeniesienia, bo chociaż mam zajęcia nierównie więcéj niż w *okrużnym* sądzie, ale za to większą pensyą (25 r. as.) i co ważniejsza nadzieję dosłużenia się jakiéj nagrody. Byleby tylko Bóg dał zdrowie, bez którego źle każdemu człowiekowi, a cóż dopiero temu, komu tylko jedna praca może otworzyć wrota do lepszéj przyszłości. »

« Właściwie mówiąc, wypadałoby mi teraz, ni ztąd ni zowąd dziwném losów zrządzeniem rzuconemu w świat mahometański, datować moje listy podług Hegiry, którą ciągle mam przed oczyma; ale ponieważ u was w Litwie data takowa wymagałaby tłumacza, lub przynajmniéj zaglądania do lexykonów, zostawiam ją na stronie i piszę po waszemu, póki zupełnie nie *zkirgizieję*. Pragniesz, kochany January, żebym napisał co wam o Kirgizach. Tak jeszcze mało znam te dzieci stepu, że żadną miarą ciekawości waszéj zaspokoić nie mogę. Wreszcie chcąc cóś o nich powiedzieć, trzebaby ich widzieć na miejscu ich życia, wśród jurt, wśród stad baranów i koni. Kto zaś, tak jak ja, siedzi tylko nad samemi papierami przychodzącemi ze stepu pod rozbior Pogranicznego Rządu, ten może zapewne liznąć po wierzchu trochę wiadomości o naturze kirgizkiego narodu, ale jeszcze nie ma z czém występować przed innymi. Bądź więc cierpliwy do czasu mego powrotu, a wtedy zasiadłszy u kominka, szczupłym zapasem mojéj wiedzy może ci uprzyjemnię długość zimowego wieczoru... Piszę do ciebie wśród tak pięknéj zawieruchy, iż zdaje się, że za każdym powiewem wia-

tru, zawali się nasza cedrowa kwatera. Mój Boże! co w téj chwili musi dziać się na stepie. Jakże nędzne życie nieszczęśliwego mieszkańca wątłéj jurty, po któréj wiatr swobodnie buszuje, lub którą zaspy śniegu przywalają. I tożto życie, którego nie jeden zazdrości, czytając sobie spokojnie jaki pasterski romans! Ale niechby jaki cud przeniosł go nagle z wygodnéj kanapy i ciepłego pokoju pod koszmową jurtę, zobaczylibyśmy czy długo podobałaby mu się ta metamorfoza. Latem jeszcze pół biédy, choć i wtenczas roje owadów odbierają ci wszelką przyjemność świeżego powietrza i lubego widoku natury; ale zimą, i nieprzyjacielowi nawet nie życzyłbym żyć na stepie.»

« Mój Leonard przybył z Iszymu w odwiedziny do mnie, z odmrożonym nosem w drodze, chociaż luty tegoroczny nie jest jeszcze najsroższy. »

« W końcu marca zostałem mianowany *stoła naczelnikiem*, co będąc krokiem na mojéj drodze, pociesza mię myślą, że się zbliżam do celu moich życzeń. Chociaż po kilku tygodniach, z porady doktora, musiałem prosić o uwolnienie mię od tego obowiązku i wróciłem do dawnéj czynności, nic to jednak nie zawadzi do przedstawienia mię za pilność... Klimat tutejszy, ciągle zmienny i nadewszystko wietrzny, bardzo zgubny wpływ wywiera na całe moje zdrowie, a w szczególności na oczy. Omsk odznacza się chorobami oczu. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł w nagrodę méj służby otrzymać, jeżeli nie powrót na łono rodziny, to przynajmniéj przeniesienie się do któréj z południowych gubernii, do saratowskiéj, astrachańskiéj lub

tym podobnéj. Zdaje mi się, że to byłoby lepszém lekarstwem niż wszystkie proszki, mixtury i pigułki, których już tyle zjadłem, wypiłem, połknąłem w Sybirze. »

« Za dwa dni wielkanoc, u nas mrozy po 12 i 15 stopni, z czego jestem kontent, bo przynajmniéj nie zadrypię się po uszy odbywając na pierwszy dzień przeszło 60 powinnych wizyt z *pozdrowlenjem.* Nie uwierzycie, ile tu kłopotu w czasie świąt, a jak żadna przyjemność nie wynagradza tego ruchu, w którym przez kilka dni zostawać muszę. Ach! Iszym, Iszym! ile to razy cię żałuję, porównywając moje teraźniejsze, niby lepsze, a tylko dolegliwsze położenie. »

« W drugiéj połowie maja, doczekaliśmy dni pięknych — odżyłem! Ciepło jest niezbędnie potrzebne mojéj naturze, która na to zdaje się mieć cóś wspólnego z roślinami krain południowych, żebym lepiéj poczuł męki wygnania. Od trzech dni gości u nas mój kochany Leonard, którego już drugi raz ogladam w Omsku. Co to za przyjemność widzieć się z człowiekiem, z którym przeżyło się lat tyle w takiéj zgodzie. A co przypomnień! Ile to set razy mokliśmy razem wśród stepu, polując na cietrzewie, kuropatwy i zające. Wszystkie te wypadki naszego życia w Iszymie, przypominaliśmy sobie wczoraj wieczorem i tak zagadaliśmy się, że ledwie zegarek przyniosł nam na myśl potrzebę spoczynku... Co się tyczy polowania, teraz gdy mi już i strzelbę wolno trzymać w ręku, pozwolę sobie téj najmilszéj rozrywki... Głos przepiórek i derkaczy (chruścieli) wrzeszczących za rzeką, od wielu dni spać mi nie daje... »

« Muszę ci też, kochany January, opowiedzieć pierwszą moją wycieczkę myśliwską za rogatki Omska. Zawczoraj (19 lipca) korzystając z dnia wolnego od służby, jeździliśmy na step, o wiorst 40 za Irtysz. Możesz sobie wyobrazić jak jestem zagorzałym myśliwym, kiedy odważyłem się bez siatki na twarzy stawić czoło chmurom owadów, które bynajmniéj nie miały względu na czynownika Pogranicznego Zarządu i cięły go nielitościwie. Polowanie niebardzo się udało : zabiłem tylko sztuk dziesiątek, gdyż przewodnik nasz zbłądził i nie zaprowadził nas w to miejsce, gdzie miało być niesłychane mnóstwo ptastwa, a co gorsza, tak nas wykierował, żeśmy kilkanaście godzin byli bez kropli wody. W powrocie zajechaliśmy do kirgizkiego aułu, mającego jurt ze czterdzieści, który pierwszy raz w życiu widziałem. Przyjmował nas kumysem aulny starszyna, p. Dżanybek. Zebrało się na przypatrzenie się nam do dwadzieściorga Kirgizów i Kirgizek, z których jedna cud piękności! Biała jak śmietanka, nos grecki, zęby jak perły, włosy krucze, splecione w secinę lśniących warkoczy, wzrost okazały, i przy tém wszystkiém lat 17! Niezmiernie była uszczęśliwiona, kiedym jéj ofiarował bułkę chleba. Rozdzieliła ją zaraz po kawałeczku całemu aułowi. Wszyscy się oblizywali jak u nas dzieci kiedy dostaną po cwiartce pomarańczy. Dżanybek, zachwycony widokiem mojej dubeltówki, chciał przekonać się czy umiem jéj używać i kazał mi strzelać małe kuliki ulatujące nad jeziorem. Gdy bez pudła zabiłem ich parę, zawołał : *Nu, master, master! Ja sam master strelat' z wintowka utki i zajca, no ty*

master bolsza! Bracia jego Kazybek i Bałbek powtórzyli : *master! master!* Za niémi cały auł trzykroć zawrzeszczał : *master! master! master!* Nic zaś téj dziczy tak nie dziwiło, jak cygaro. Utrzymywali, że to największy wynalazek Europejczyków i po sto razy wykrzykiwali : *Nienada trubka, nienada czybuk, a kuryt'!* Coby to było gdyby zobaczyli parochod lub balon. »

Przytoczone tu urywki listów, składając pewien rodzaj pamiętnika spisywanego z biegiem czasu, dają niemal całkowite wyobrażenie życia naszych wygnańców w Omsku, zimą i latem, a ten zarys pierwszego roku, może służyć za tło do obrazu lat następnych, zmieniającego się nieznacznie, koleją drobnych zdarzeń i wypadków.

Jednym z takich wypadków było przyjście uwolnienia dla Gustawa Zielińskiego. Adolf wziął w sierpniu urlop na dni kilkanaście, pojechał do Iszymu podzielić się radością ze swoim przyjacielem, pożegnać go i wyprawić w drogę z poleceniami do Dziahylny, gdzie był dawno zapowiedzianym, a późniéj serdecznie przyjętym gościem.

Za powrotem z téj podróży, na początku września, zaszła radykalna zmiana w ministeryum spraw wewnętrznych gospodarstwa omskiego. Oddawna już szły do matki skargi na kucharkę. Pokazało się z czasem, że ta « cicha kobiécina » co tak celowała w spiewaniu godzinek, była pełna kaprysów i złości, a przytém miała nałożek pijaństwa, który z niesłychaną hipokryzyą pokrywała pozorami słabości zdrowia. « Musimy ją łajać codziennie — powiadał Adolf — żeby zaś je-

dnemu nie było za ciężko, łajemy koleją : jednego dnia ja, drugiego Paweł. W niedzielę mamy odpoczynek, gdyż zazwyczaj albo wyjeżdżamy na polowanie, albo jemy obiad u któréj z naszych rodaczek. » Nareszcie doniosł : « Wczoraj doprowadzeni do ostateczności przez naszą panią Bohdanowiczowę, wypowiedzieliśmy jéj na wieki wieków służbę i pozbyliśmy się téj jędzy z domu. Trzeba było widzieć naszą radość, kiedyśmy ją ujrzeli za wrotami. Jeżeli takie wszystkie Baby na Żmudzi, to za co tę ziemię nazywają świętą? — Tymczasem jeść nam gotuje znowu nasza poczciwa gospodyni, nim przybędzi z Iszymu Łukerya, która po wyjeździe Gustawa oświadczyła życzenie przenieść się do Omska i służyć u dawnego swego pana. »

Na początku pazdziernika, dawny pan i jego towarzysz, z wielkiém uradowaniem doczekali się « biegłéj dyrektorki ich kuchni » a to tém bardziéj było im na rękę, że niezadługo wypadło przyjmować dalekiego gościa.

« Pani Stanisławowa Kozakiewiczowa — pisał Adolf, 5 listopada — szczęśliwie przybyła do Omska i zabawiwszy dwa dni, które najmiléj przepędziliśmy, pośpieszyła do swego męża. Jest on teraz w Syberyi wschodniéj, na służbie prywatnéj u przedsiębierców dobywania złota. Nieźle mu się powodzi : bierze do 2,000 r. as. pensyi rocznéj, tylko latem musi pędzić życie w *tajgach*, to jest w obozowiskach kopaczy na pustyni. Za dni sześć lub ośm uściśnie on swoją Penelopę. Dwa razy mieliśmy przyjemność służyć jéj naszym obiadem, który dał jéj wyobrażenie o kuchni sybirskiéj, o talen-

tach naszéj striapki i o guście kancellarzystów kirgizkiego rządu. Żałujemy tylko bardzo, że w liczbie wszystkich przysmaków, nie mogliśmy ją poczęstować młodém źrebięciem, coby było prawdziwie kirgizkiém ugoszczeniem. »

Tak tedy oprócz korespondencyi, zdarzała się i ustna zamiana wiadomości z krajem, a zdarzenia te poczynały być coraz częstsze.

« Drugi z moich zacnych towarzyszy — donosił Adolf matce, 25 listopada — z którym lat ośm mieszkałem w Iszymie, Eugeni Łempicki, otrzymał uwolnienie i wkrótce opuszcza Sybir. Dziś go właśnie o tém szczęściu uwiadamiam i proszę (a co on, nie wątpię, z wielką przyjemnością spełni) ażeby jadąc do domu, wstąpił do Dziahylny. Jestto sąsiad Gustawa, od którego odebrałem list z Moskwy, a który, wedle mego rachunku, powinien był stanąć u was około 25 pazdziernika. »

Garstka naszych posieleńców iszymskich, rozpraszała się coraz bardziéj, chociaż w różny sposób. Najdawniejszy towarzysz Adolfa, który z nim razem przybył z Tobolska do Iszymu, Józef Nowak, dotknięty ciężką chorobą piersiową, przyjechał na kuracyą do Omska, ostatnich dni grudnia. Dwaj koledzy tu zamieszkali, przyjęli go do siebie i otoczyli najtroskliwszém staraniem, a doktor Jazon zajął się mało obiecującym stanem jego zdrowia.

Odjazd każdego ze współpokutników do kraju, przynosił teraz Adolfowi tém więcéj pociechy i pokrzepienia, że i postępy na drodze służbowéj zdawały się go

zbliżać do celu życzeń. Pod koniec 1842 r. chlubił się przed matką : « Praca moja, mogę powiedzieć, nad siły, zasłużyła na uwagę. Rząd pograniczny przedstawił mnie naszemu naczelnikowi do nagrody, lecz czy ją otrzymam i jaka będzie, o tém zapewne nie prędko się jeszcze dowiem. »

Nagrodę tę otrzymał i była ona « podziękowaniem za pilność, » Rok 1843 niemal cały jednak upłynął bez mocniejszego zbudzenia się nadziei; ale pod względem uczuć związanych z przeszłością, poruszył jedno ich bardzo tkliwe ogniwo.

W kole rodzinném, oprócz najżywszéj miłości wzajemnéj siostr i braci, była szczególna jeszcze spójnia moralna między Adolfem i Eustachym. Najbliżsi siebie latami, najpodobniejsi może w niektórych usposobieniach umysłu, przed rozstaniem się widni już jeden drugiemu na polu czynnego życia, byli oni połączeni nietylko najserdeczniejszém przywiązaniem, ale nadto tym szacunkiem wzajemnie uznawanych w sobie przymiotów, jaki bez związku pokrewieństwa nawet, staje się węzłem nigdy nie gasnącéj przyjaźni. Rzuceni na dwa przeciwne krańce naszego rozproszenia, przedzieleni zupełną niemożnością zamiany choćby kilku wyrazów braterskiéj miłości, tęsknili do siebie zawsze, a braknęli sobie wtedy najwięcéj, kiedy ich myśl padała na to, co ich najmocniéj obchodziło. « Ach gdyby tam był mój Staszutko! » — wiele razy powtarzał Adolf, rozpamiętywając o interesach domu, o troskach matki, o środkach przedsiębranych do uwolnienia jego z Sybiru. « Czemuż tu niemasz mego Adolfa! » — wołał

Eustachy, ilekroć w naszym trudzie emigracyjnym dała się uczuć potrzeba silnego charakteru i zdolnego robotnika, albo na widokręgu naszych przeznaczeń zabłysło jakie światło nadziei i nowego powołania. Miłość i uwielbienie dla starszego brata, zrodziły w nim to przekonanie, że los mylnie naznaczył im stanowiska wygnańcze, a naprawa téj myłki byłaby nawet czynem patryotycznym... « Niech Adolf będzie uwolniony, a ja dobrowolnie pójdę zastąpić jego miejsce na Sybirze, i żądam tylko jednéj łaski, żebym mógł po drodze odwiedzić moją matkę i wziąść od niéj ostatnie błogosławieństwo. » Tak wyraził jeszcze w roku 1836 swoje życzenia, którym jeżeli nie stało się zadość, to nie z przyczyn zależnych od jego woli. Nie mogąc ani skutkiem, ani choćby wprost przesłanemi słowami, okazać bratu swych uczuć, powierzył je późniéj kartce drukowanéj, która podobno nigdy rąk Adolfa nie doszła, a zwróciła na niego podejrzliwe oko rządu*. Długo

* Jestto stronica na końcu dzieła: PANOWANIE STANISŁAWA AUGUSTA, przez LELEWELA. Wydanie czwarte. Paryż, w księgarni Polskiéj, rue des Marais Saint-Germain, 17 *bis*. 1839.

Zawiera ona co następuje:

Do ADOLFA JANUSZKIEWICZA

w Iszymie (Syberya).

Bracie Adolfie,

Szeroką nas Pan Bóg rozgrodził przestrzenią: ciebie skazał na samotność śród pustyń i lasów; mnie zostawił w samotności uczuć śród zamętu gwarnego świata

Z ogniska europejskiéj oświaty, po jéj promieniu, jeśli tam który dochodzi, posyłam ci tę powieść o rzeczach narodowych, jako niezabud miłości i tęsknoty.

Czytając ją, przypomnisz myśli, co stanowiły między nami najświętsze pokre-

i

pocieszali się obadwaj, krótkiemi tylko wiadomościami jeden o drugim, a nakoniec pośredniczka Galicyanka, znalazła sposób, że własnoręczne jéj i Eustachego wyrazy, poszły do Omska jako przypiski do listu matki dodane niby w Dziahylnie.

Otrzymawszy je w marcu 1843, uszczęśliwiony Adolf, odpisałobojgu, 4/16 t. m.

Do Eustachego. « Najdroższy przyjacielu! Są w życiu naszém chwile, których pamięć zostaje nazawsze w duszy człowieka. Jedną z tych chwil jest dla mnie ta, w któréj po tylu latach milczenia, odebrałem dowód twojéj czułéj przyjaźni. Com czuł na widok twoich wyrazów, napróżnobym się starał wypowiedzieć. Była to chwila takiego szczęścia, co blask swój uroczy rzuciło nawet na samą noc mojego wygnania. Lecz pocóż mam nad tém się rozwodzić : ty wiesz, że cię kocham nad życie, a ja wiem, że serce twoje czyta w mojém, jak w swojém własném.

« O jakże ci wdzięczen jestem, mój drogi towarzyszu młodości, za te kilka wyrazów, co spadły na mnie jak z nieba. Ty piszesz, iż za jedną chwilę widzenia się ze mną... dałbyś wszystko. Ach! cóżbym ja dał za nią, ja który lat tyle rozłączony ze wszystkiémi i ze wszystkiém, co stanowiło moje szczęście, usycham wśród

wieństwo; a w kolei historycznych wydarzeń dojrzysz, że wolno spodziewać się wiele temu, co mocno chcieć umie.

Proś ze mną Boga, abyśmy mogli żyć jeszcze razem w poczciwéj, użytecznéj spółbliźnim pracy, jako dziś żyjem w jednémże wspomnieniu i nadziei.

EUSTACHY.

Paryż, 29 listopada 1839.

pustyń Syberyi, jak afrykańska palma, przesadzona pod chłodną strefę, i jeżeli żyję, to samemi tylko wspomnieniami, których urok silniéj mię przywiązuje do życia, niż nadzieja, co już tyle razy mnie zawiodła, i z którą zaczynam już być, jeśli mogę użyć tego wyrażenia, na coraz bardziéj etykietalnéj stopie.

« Cóż ci powiem o sobie? Wiesz zapewne wiele szczegółów o mnie od mojéj rodziny. Jeżeli zaś nie często miewasz stosunki z Dziahylną, powiem ci w krótkości, że od 2° września 1841 r. przeniosłem się do Omska, gdzie zostaję w służbie cywilnéj, w stopniu kancellarzysty i biorę 25 r. as. na miesiąc. Pracuję w Rządzie pogranicznym sybirskich Kirgizów, i jednym z moich naczelników jest kirgizki sułtan, członek tegoż rządu. Cała Średnia Horda jest pod naszą władzą i często się zdarza, że piszę wyrok w sprawie jakiego potomka Dzingischana lub Tamerlana, przekonanego o barantę, to jest o rabunek złodziejski. Tarbogatajskie i Ałatauskie góry, brzegi Bałchasza obfite w tygrysy, Ajaguza dumna swémi bażanty i Karkarały pyszne ze swych aszerytów, nieraz już drżały na widok ukazu napisanego moją ręką. Czyż ci się kiedy śniło, aby twój dawny towarzysz, wyszedł w Azyi na tak strasznego człowieka!

« Jakkolwiek z wielu względów na Omsk narzekać nie mogę, żal mi jednak mego cichego Iszymu, gdzie miałem swoją chatę, ogród, konia, psy, koty i gołębie, i gdzie pędziłem życie zupełnie niezależne, kiedy tu wśród szumu stołecznego miasta Syberyi, pilnować się muszę godziny i męczyć wzrok nad *bumagami*. Tam

istny liber baron, hasałem na moim Farysie po stepie, lub z poczciwym Karpatem polowałem na cietrzewie albo białe kuropatwy. Tak więc i w Syberyi mam już moją przeszłość i tęsknotę za przeszłością.

« Zdrowie moje od niejakiego czasu znacznie się poprawiło, nawet oczy, co już tyle strat opłakały, co odwykły od blasku nadziei, mniéj jednak potrzebują lekarskiéj pomocy. Z tego mógłbyś mieć wcale niezłe o mojém *ja*, pod względem fizycznym wyobrażenie, gdybym ci nie dodał, że głowa skutkiem dwunastoletniego cierpienia, od przechodzących przez nią myśli, znacznie pobielała.

« Pisząc z Syberyi, muszę też cokolwiek powiedzieć coby miało na sobie barwę miejscową. Donoszę ci więc, że w tych dniach przywieziono do Tobolska cząstkę, to jest 2,000 pudów mamuta, z mięsem i szerścią. Zbudziliśmy go ze snów czterdziestowiecznych niedaleko ujścia Obi, w ojczyźnie Samojedów, reniferów i borealnéj zorzy. Leżał on do góry nogami, a obok niego drugi, mały, zapewne syn obok matki nieodłącznéj od swego dziecięcia w strasznéj chwili kataklizmu; ale ten ostatni zgnił zupełnie. Czemuż tu nie mamy drugiego *Cuvier*, któryby mógł rozmowić się z tym przedpotopowym obywatelem świata?

« Bądź zdrów mój drogi, uściśnij odemnie twego brata i wszystkich, których znałem, kochałem, wielbiłem, a teraz zawsze wspominam. Powiedz im, że ich pamięć największą jest dla mnie pociechą. Oby Bóg wam wszystkim błogosławił!... »

Do Eugenii. « Kilka słów Pani było dla mnie tém,

czém kropla wody spragnionemu na pustyni. Jak blask północnéj zorzy rozwesela posępną noc Syberyi, tak Jéj pamięć o mnie, rozjaśniła tęskną duszę wygnańca. Z dzikich stepów Kirgiza, z nad dalekich brzegów Irtysza, cóż Ci poszlę na znak mojéj wdzięczności?... Niestety! jedną tylko łzę, co skropiła Twoje wspomnienie... lecz i tę racz przyjąć od nieszczęśliwego i wierzyć, że nic nie zrówna mojemu szacunkowi jaki mam dla Niéj... »

Po téj korespondencyi ożywionéj radośnémi wzruszeniami, w parę miesięcy nastąpił list pełen cienia żałoby.

« Wczoraj otrzymałem od Mamy smutną wiadomość o zgonie szanownego ojca naszéj Maryli. Oby Najwyższy pocieszył ją po téj nieodżałowanéj stracie... Proszę Mamy oświadczyć jéj, że całém sercem podzielam jéj smutek.

« Ach i my także, kilka dni temu, ponieśliśmy stratę w osobie niegdyś towarzysza naszego wygnania, i wylewaliśmy łzy na wczesnéj jego mogile. Biédny Józef, po kilkomiesięcznéj chorobie, na ręku naszém skończył swoje cierpienia 4/16, a 6/18 t. m. (maja) pochowaliśmy go na omskim cmentarzu. Całą noc ostatnią przepędziliśmy obok jego łoża, co chwila czekając skonania, albowiem doktor nam powiedział, że już są policzone godziny jego i sam chory znał to doskonale. Będąc w suchotach, zachował przytomność do śmierci i troszczył się tylko o to, żeby jak najprędzéj przestał cierpieć. Ostatnie jego wyrazy były : « Ach kiedyż skończę!... »

W początku czerwca, odbył Adolf pierwszą wycieczkę w stepy kirgizkie, którą opisał następnie w liście 20° t. m. (2 lipca n. s.)

« Na wsiadaniu do pocztowéj taradejki, ledwo miałem czas donieść, że wyjeżdżam z Omska, nie dodając dokąd i na jak długo. Może takie doniesienie nabawiło trochę niespokojności; ale gorzéj byłoby, gdyby Mama wówczas wiedziała o celu mojéj podróży : bo przez dni kilkanaście zostawałaby w obawie o swego synka, przypuszczając że go dzikie Kirgizy zjedzą jak barana. Teraz zaś, kiedy w ciągu dni trzynastu, zrobiwszy wiorst 2,000 z górą, cały i zdrów wróciłem, mogę bez wszelkiego niebezpieczeństwa powiedzieć, że z polecenia mojego naczelnika, jeździłem w głąb' kirgizkiego stepu, dla ułatwienia niektórych interesów skarbowych i wręczenia summ naczelnikom w Kokczetawie i Akmołłach, stolicach okręgów tychże imion.

« Jakkolwiek krótka była moja podróż, jeśli mi jednak Bóg pozwoli ujrzeć kiedy rodzinne progi, będę miał dużo do gadania o niéj i może gawędka moja większą zbudzi ciekawość, niż opowiadanie podróży za powrotem z krajów każdemu znanych i po tysiąc razy opisanych. Dziś zdrożony, zmęczony i zajęty nie jedną robotą, w krótkości tylko powiem : że po niezmierzonych obszarach stepów leciałem jak strzała; że obok mego faetonu, pędziło ciągle w cwał kilku od stóp do głów uzbrojonych kozaków; że przebywałem dość znaczne góry, odziane lasami i zamieszkane przez niedźwiedzi, marałów, łosi i jeleni; że w pław przejeżdżałem bezmostne rzeczki, nikomu w Europie nieznane, a

nad brzegami ich, pierwszy raz po dwunastu latach, słyszałem miły śpiew słowika; że widziałem kirgizkie plemiona, koczujące razem w liczbie tysiąca i więcéj jurt, na przestrzeni jakich dwudziestu pięciu lub trzydziestu wiorst, zasianych krociami koni, wielbłądów, baranów i bydła cudnéj piękności; że napotykałem karawany kupieckie idące z Taszkentu i Kokandu, stada sajg, dzikich koni, zwanych kułanami; że nareszcie musiałem wązką drogą stepową lecieć w pośród płomieni palącego się na okoł stepu... Czyż to wszystko nie ciekawe? Czy nie ciekawsze, jak widok pól niemieckich zasadzonych kartoflami, albo neapolitańskich lazaronów zajadających makaron? Tu ja nigdzie źdźbła zboża nie widziałem; nigdzie płotu, wszędzie przestrzeń bez końca. Oddychałem pełno, szeroko, jak Arab na pustyni. Upał tylko i kurz nieznośny, dokuczały mi niemało. Pomimo tych nieprzyjemności, wielce rad jestem z mojéj wyprawy i nie obejrzałem się jak te parę tygodni przeleciało. Teraz ciągle mi się marzą jurty, wielblądy, pożary stepu, sajgi, kułany, a podróż taki miała wpływ na moje zdrowie, że jem za trzech, a śpię za sześciu; ale bo też trzeba wiedzieć, że przez cały ten czas nie zjadłem ani kawałeczka wołowego mięsa i ani razu nie spałem dłużéj nad dwie godziny. Przepraszam za tak krótki i pobieżny opis : może późniéj będę miał sposobność to wynagrodzić. »

Z sierpniem kończyły się dwa lata mieszkania w Omsku i na téj saméj, od początku najętéj kwaterze; ale kwatera ta « w zimie chłodna, latem gorąca, pełna myszy, tarakanów, pluskiew, dojadła do żywego » obu

lokatorom. Jedną tylko miała zaletę, że blizko była od kancellaryi, lecz i ta dogodność stała się największą niedogodnością; każdy bowiem, potrzebny czy niepotrzebny, pożądany czy niepożądany, wstępował po drodze, żeby się ogrzać i czas zabić. « Łatwo pojąć, że człowiekowi lubiącemu odetchnąć z książką w ręku, odwiedziny te nie przypadały do smaku i kwatera zbrzydła bardziéj dla nich, niżeli dla wszystkich żyjątek gnieżdżących się w jéj ścianach. »

Niełatwo wszakże w Omsku o wygodne mieszkanie. « Właściciele domów po większéj części są ludzie biédni, którzy z początku budują jeden pokoik i sionki, a w miarę wzrastających z najmu funduszów, przydają potém pokój drugi, trzeci i tak daléj. Ztąd rodzi się niekształtna i najniewygodniejsza budowa, a w dodatku do tego jeszcze najczęściéj zimna. » Pomimo to, udało się znaleść domek właśnie tylko co powiększony i świeżo wyporządzony. Koledzy z całém swém gospodarstwem, na początku września wprowadzili się do niego, a w połowie pazdziernika przyjmowali w nim bardzo z daleka przybyłych gości.

« Wyobraź sobie mój January — pisał Adolf do brata — jaką miałem onegdaj niespodziankę. Zmęczony kilkogodzinną pracą, wracam z kancellaryi i przechodząc mimo okien, postrzegam w mojéj kwaterze dwa czépki, z pod których wyglądają dwie damy. A to cóż za goście? — pomyślałem sobie. Czy postój jaki zajął naszą kwaterę? Czy dwie jakie panie postanowiły sobie wziąść nas za mężów? Ale przypomniawszy, że kwatera wolna w tym roku od postoju, że

Paweł łysy a ja siwy, musiałem uznać moje przypuszczenia za bezzasadne. Cóż więc znaczą te czépki? Przyśpieszam kroku, wchodzę na dziedziniec, aż na dziedzińcu stoi karéta, wielka jak arka Noego, a w niéj, na niéj, za nią i pod nią moc krobek, pak, pudeł, kufrów i tłómoczków. Na progu rozwiązuje się zagadka. Dwie owe damy były : pani Rosakowska i pani Umińska z Wołynia, jadące do swych mężów na wschodnią Syberyą. Niestety! kilka tylko godzin cieszyliśmy się ich miłém towarzystwem, gdyż zabawiły tyle tylko, ile było potrzeba dla naprawienia powozu, a śpieszyć się musiały, jużto z niecierpliwości ujrzenia swych mężów, już to żeby korzystać z cudnéj pogody, którą się cieszymy od dwóch tygodni. Kilka te godzin tak dla nas niespodziewanych, na długo w naszéj pamięci zostaną. »

Zresztą, czas upływał jednostajnym, powszednim trybem. « Dzięki wygodnéj kwaterze — donosił Adolf o sobie — siedzę po większéj części w domu i w chwilach, które mi pozostają od prac skarbowych, czytam co mi wpadnie w ręce... Niech jednak Mama nie sądzi, że prowadzę życie zupełnie pustelnicze. Od początku zimy, najmniéj dwa razy w tydzień bywam na wieczorach, gdzie wszystko co żyje, nie wyłączając młodych panienek, gra w karty — nie na pacierze, jak to u nas za moich czasów bywało. Grają tu pospolicie w preferansa, a że ja téj gry nie umiem i nauczyć się jéj (jako wielce głupiéj, podług mojego i całéj nawet tutéjszéj publiczności zdania) nie chcę, grywam więc po staremu w wista i to jak najtaniéj, ażeby tylko

uczynić zadość tutejszym zwyczajom i nie grać w bałwana wśród towarzystwa siedzącego około zielonych stolików. Ale dodać muszę, że w tych dniach zdarzyło mi się widzieć dwie osobliwości. Oto ujrzałem naprzód *ćwika*, którego od czasów pani Oraczewskiéj, to jest od 1811 roku nie widziałem; pokazano mi późniéj *tygrysiątko*, złapane w stepie kirgizkim nad Bałchaszem, które znajduje się teraz tu w kuchni u pewnego doktora. »

Jednostajność tak zatrudnień jak i rozrywek równie bezbarwna, oswojenie się z nudą powolnego dążenia do założonego sobie celu, pewna spokojność, albo przynajmniéj cierpliwość, wynikająca z oparcia się na rozumowéj rachubie, to wszystko poczynało znowu tworzyć na długo ten cichy, regularny prąd życia, który nieznacznie usypia ducha. W tém nagle, zjawiła się budzicielka nadzieja i zatliła w piersiach iskierkę, która rozpłomieniła się prędko, a jednocześnie z różnych stron rozniecana podmuchami, sprawiła pożar trwający niemal dwa lata.

Początek był bardzo nieznaczny. Para małych okoliczności dało powód myśli, do wyciągnięcia na przyjętéj drodze logicznych przewidywań wniosku, który stał się pierwszym materyałem palnym. Całą tę kombinacyą sformułował Adolf w liście pisanym do matki pod koniec listopada, jak następuje.

« Ciągłe moje trudy, pożyteczna praca i należyte postępowanie, zwróciły oko mojéj zwierzchności, i ufam, że tą razą nie skończy się na samém tylko podziękowaniu, jakie w roku przeszłym otrzymałem. Po-

graniczny naczelnik zrobił o mnie przedstawienie księciu jenerał-gubernatorowi; książe, w przyszłym miesiącu jedzie do Petersburga, gdzie nie wątpię, osobiście odda mi sprawiedliwość, jako najbliższy świadek mojéj służby : jego przedstawienie będzie miało zapewne większą wagę, niż wszystkie starania. Niech więc kochana Mama oddaje się słodkiéj nadziei, niezawodnéj zmiany w mojém terazniejszém położeniu, nadziei, którą ja pieszczę w sercu jak gdyby promień łaski spuszczony z nieba, ożywiający mnie blaskiem jakiegoś nieznanego szczęścia. Pod wpływem tego lubego uroku, nie zważam nawet na wszystkie dolegliwości nudnéj pracy, cierpkiego powietrza i często kapryszącego się zdrowia. »

Tegoż dnia pisał do Januarego :

« Chociaż nie mogę nazwać się zupełnie zdrowym, trzymam się jak mogę. Z obawy ażebym do was nie powrócił z kwaśną miną tylko co wypuszczonego z łazaretu pacyenta, strzegę zdrowia jak źrzenicy w oku : odziewam się ciepło, tryndam się po świecie jak najmniéj, siedzę w domu i żyję regularnie. Spodziewam się więc, że kiedy tyle zim sybirskich wytrzymałem, to i téj ostatniéj sprostam, zwłaszcza że jest bardzo łaskawa : dotąd mieliśmy tylko raz 20 stopni mrozu, a dziś tak jest ciepłe zimno, że nie kazaliśmy palić w piecach... Marchocki z Podola, otrzymał w tym czasie pozwolenie przeniesienia się na mieszkanie do Kaługi; dwaj inni otrzymali pewne ulgi w swoim losie : to wszystko jest dobrą wróżbą dla mnie, co lat dwanaście przesiedziałem na wygnaniu, a od trzech pracuję jak wół

podolski (bo nie porównam siebie do kirgizkiego, który nie zna ni pługa, ni wozu). »

W miesiąc potém, na końcu grudnia, powtórzywszy jemu wykład powodów nakazujących ufać nadziei, dodał: « Na téj zasadzie oparty, proszę cię mój bracie, ażebyś jak można najprędzéj postarał się dla mnie o *certum quantum*, które w razie pomyślnego rozwiązania moich oczekiwań byłoby bardzo na swojém miejscu. Z Omska do Dziahylny piękny kawał drogi, a jako zostający teraz w służbie, musiałbym jechać o swoim koszcie. Mając piąty krzyżyk na plecach i mnóstwo rzeczy nagromadzonych przez lat dwanaście, których rzucić szkoda, potrzebowałbym koniecznie kupić sobie mocny i wygodny powóz. A do tego, przejeżdżając przez Ekaterynenburg, Niżny Nowogrod i Moskwę, chciałbym zaopatrzyć mój tłómok w niektóre pamiątki dla tych wszystkich, co o mnie przez tyle lat pamiętać raczyli. Zadziwiałaby się Mama, gdybym w téj chwili mógł jéj pokazać przygotowany już rejestrzyk owych miłych dla mnie sprawunków, w liczbie których figurują: bucharskie chałaty, chińskie kanfy, fandze, czuczuńcze, ekaterynburskie kolczyki i pieczątki z topazu, kazańskie meszty, i t. d., i t. d. Przy każdym zaś przedmiocie jest adnotacya dla kogo przeznaczony. Staraj się więc mój drogi, abym był, jak mówią Francuzi, *à la hauteur des événements*, a za to bądźcie pewni, że skoro tylko Bóg spełni nasze życzenia, prędzéj do was będę leciał, niżeli parowóz po Birminghamskich relsach. — Książe nasz od dwóch tygodni choruje na powszechną tu chorobę oczu, ale jednak w

tym miesiącu wyjedzie i niezawodnie przed końcem stycznia będzie w stolicy. »

Rok 1844 rozpoczął się pod niezachmurzoną niczém konstellacyą powrotu. Dzień jego pierwszy, poświęcając jak zwykle uroczystym myślom o rodzinie, rozpisywał Adolf listy do bliższych i dalszych jéj członków. Obsypawszy matkę wyrazami pełnemi najmilszych życzeń i najmocniejszéj dla nich otuchy, nie mógł wstrzymać się od wynurzenia rozkoszy, jaką mu zawsze pamiątki sprawiały. « Przypisek drogiéj Misiutki mocno mnie rozczulił. O jakże jéj wdzięczen jestem za tak czułą pamięć i przywiązanie do mnie. Czemuż mi nie napisała, która to z jéj przyjaciółek chciała mieć na pamiątkę włosy szpakowatego jéj wujaszka? Wielka to pociecha wiedzieć, że są jeszcze serca, co pamiętają o człowieku tak dawno pogrzebanym dla swoich przyjaciół. W tych dniach miałem niezrównaną z niczém przyjemność, odebrawszy od nieznajoméj mi panny z Wołynia (siostry jednego mego przyjaciela) przepyszny obraz, szyty na kanwie i przedstawiający polowanie na jelenia. Trzech myśliwych na koniach, dziewięć psów i jeleń przepływający rzekę : wszystko to jak malowane. Obraz ten wisi u mnie teraz nad łóżkiem i mój gospodarz wiele razy wejdzie, zawsze go dotyka palcami, nigdy nie mogąc uwierzyć żeby był igłą a nie pędzlem robiony. »

Charakterystyczna jest odpowiedź, téjże chwili dana Eustachemu na jego powtórnie otrzymanych kilka wyrazów.

« Ty mi zarzucasz, że żyję tylko samemi wspomnie-

niami przeszłości i zdajesz się posądzać, jakobym już zupełnie stracił wiarę w przyszłość. Nie tak jest bracie. Prawda, iż wielką osłodą mojéj smutnéj terazniejszości są wspomnienia, i możeż być inaczéj, kiedy mi one stawią przed oczyma was i tyle, tyle pogodnych dni młodości; ale czyż sądzisz, że byłbym w stanie walczyć lat trzynaście z przeciwnym losem, że nie upadłbym pod ciężarem jego, gdybym na uroczém niebie przyszłości nie wyglądał gwiazdki i nie wierzył, że prędzéj czy późniéj zabłyśnie jeszcze i dla mnie... sieroty! »

Ostatnie tu słowa szczególniéj czynią przykre wrażenie. Oh! jaki to był straszny przedział, co najbliższe siebie dusze porozgradzał. Dwaj bracia tak ścisle uczuciami spojeni, już się tą razą zrozumieć nie mogli. Mówiąc o niebie przyszłości, o gwiazdce nadziei, każdy z nich w inną patrzał stronę, co innego miał na myśli. Biédny więzień Sybiru, teraz bardziéj niż kiedykolwiek wpatrując się w szczupły otwor wyjścia ze swego domu niewoli, widział tylko jedną drogę i siebie na niéj. Tém boleśniejsze też czekały go zawody,

Wyjazd księcia Gorczakowa zwlękał się z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, a każda godzina téj zwłoki zdawała się być stratą jednéj z godzin oczekiwanego szczęścia. Co dni kilkanaście, powtarzały się w listach do Dziahylny z niecierpliwością, utęskiwaniem lub rezygnacyą wyrazy: « Książe dotąd w Omsku i przewidzieć niemożna kiedy pojedzie. » Przyszła wiosna, popsuły się drogi, o podróży księcia w tym roku już nie było mowy... Runął gmach złotych marzeń i nastąpiło gorzkie zwątpienie.

Kiedy tak upadały widoki syna, matka tymczasem, podawszy w styczniu do cesarza prośbę, którą miały wesprzeć wstawienia się wysokiéj wagi, pełna sama najlepszych nadziei, chciała niemi jego pocieszyć. Przyjął je z obojętnością, przy podziękowaniu dodając : « Daj Boże! daj Boże! żeby co z tego było. Po tylu wszakże zawiedzionych staraniach, przyznam się Mamie, że serce moje, czy z przeczucia, czy z jakiego otrętwienia, pomimo najszczerszych moich chęci, nie chce się cóś oddawać radośnym wzruszeniom. »

W połowie marca przyszły posyłki z domu. Przy pieniądzach były i różne rzeczy na drogę : ciepłe kaftaniki, futrzane rękawiczki, chustki do obwinięcia się od mrozu. Obok tego, szpinki, obrączki, sakiewki i tym podobne upominki, wszystkie z życzeniami zastosowanemi do rychłego powrotu. Następne wyrazy pokazują z jakiém usposobieniem zostały przyjęte.

« Odpowiadam ci, kochany January, na list twój pisany w sam dzień twych urodzin, przy którym przysłałeś mi na drogę 100 r. sr. Odebrałem je w dzień, w który przed trzynastą laty feldmarszałek Sacken podpisał wyrok mojego wygnania. Nie wiem czemu bardziéj mam się dziwić, czy stałości ciągle mi przeciwnego losu, czy wytrwałości waszéj w niezmiennych uczuciach dla mnie. Może teraźniejsza posyłka pod lepszą przyszła wróżbą. Niepodobna aby wasze prośby nie zasłużyły na uwagę, nie wątpię także, że nasz naczelnik przyczyni się za mną, zwłaszcza jeśli będzie zapytany o mój stan służby. Miejmy cierpliwość i ufność w miłosierdzie Boskie.

« List ten piszę już w mesztach twojéj Maryli i jak kokietka swoje pierścienie lub wdzięki, tak ja ciągle wysuwam nogi naprzód, ażeby wszyscy widzieli malowniczy ich ubior. Wybacz, że krótko rozmawiam z tobą. Od dni ośmiu ledwo mam czas zjeść obiad i godzinkę spocząć dla nabrania nowych sił do pracy. Ślęczę nad ważném *dziełem* kryminalném, obejmującém przeszło 1,000 arkuszy. Napisałem już 50 stronic *dokładu*, to jest referatu, a jeszcze trzeba ze sto ich nabazgrać dla dopełnienia treści. »

Niepokój wewnętrzny uciszał się tedy i widok przyszłości niknął pod stosami papierów; ale nie tak było przeznaczono : na niedogasłe żarzewie powiał wietrzyk z innéj strony, aż z Petersburga, gdzie przebywająca dawna przyjaciółka matki, która od początku niedoli Adolfa nie przestawała najtroskliwiéj zajmować się jego losem, napisała teraz do niego. W końcu kwietnia, donosił o tém matce i bratu z widocznie już ożywioną wiarą. « Starania zacnéj Konstancyi robią mi znowu niejakie nadzieje. Życzy ona sobie wejść z wami w korespondencyą dla skuteczniejszego osiągnienia celu. Napiszcie więc jak najprędzéj do niéj. Ja widzę z jéj listu, że idzie o podanie prośby i widzę jak na dłoni, że moje położenie dawno zmienićby się mogło, gdyby kto czuwał nad tém w stolicy i umiał radzić Mamie w tym względzie. »

Po pierwszym powiewie nastąpiły inne, coraz mocniejsze. Przez cały maj i czerwiec myśl o kombinacyach starań w Petersburgu, zajmowała głowę i w różny sposób wyrażała się w listach Adolfa. Jeden z

nich, 10/22 czerwca, po surowym rozbiorze argumentów wzmacniających i osłabiających nadzieję, tak się kończył pogodniejszym ustępem od dolegliwego przedmiotu.

« Muszę wam donieść jak przepędziłem moje imieniny. Nie chcąc w ten dzień przyjmować ludzi u siebie, nic nie mówiąc nikomu, postanowiłem, z jednym tylko Pawłem, jako z najdawniejszym z moich tutaj przyjaciół, wyjechać gdzie w step i pod gołém niebem obchodzić świętego Adolfa. Kupiwszy więc butelkę porteru (co u nas jest niepospolitym traktamentem), butelkę madery, pół funta holenderskiego séra, funt suchych konfitur, i kazawszy Łukeryi zbudować francuzki tort, przekładany smażonemi w cukrze porzeczkami, nająłem zwoszczyka, któremu zaleciłem stawić się nazajutrz o 4éj zrana. Jakoż, ledwiem się zbudził, już mój zwoszczyk był na dziedzińcu. Ale niestety! zamiast pogody, która dotąd panowała, deszcz kropił rzęsisty; jednakże tak był grzeczny, że wkrótce ustał i słońce błysnęło. Wypiwszy tedy herbatę i zabrawszy króbkę z owemi trunkami i specyałami, w towarzystwie Karpata, ze strzelbami w ręku, z cygarami w ustach, puściliśmy się w drogę. Czas był piękny, deszczyk przybił kurzawę do ziemi, komary niebardzo dokuczały : jechaliśmy wesoło traktem tobolskim, lubując się widokiem zielonego stepu i pocieszając się nadzieją, iż kiedyś tą samą drogą będziemy jechali w rodzinne strony. Wtém, za nami dał się słyszeć grzmot : obejrzeliśmy się, aż czarna chmura na niebie, tuż, tuż nad naszemi głowami. Dalejże więc w nogi! Lecz chmura

w pogoń za nami: widząc że kręto, przypomnieliśmy sobie najbliższą wioskę, leżącą o pięć wiorst w stronie z drogi. Zwróciliśmy ku niéj, ale cóż! zaledwo ujechaliśmy wiorstę, deszcz lunął jak z wiadra, z akompaniamentem grzmotów i piorunów, z których jeden okropnie nas przestraszył, gdyż zdawało się że uderzył pomiędzy zwoszczykiem a nami i to w samą króbkę. Bez żadnego wszakże szwanku, przemokli tylko należycie, wpadliśmy do wsi Charyny, leżącéj nad samym brzegiem wspaniałego Irtysza i sławnéj w okolicach Omska ze swego rybołowstwa. Radzi, żeśmy znaleźli schronienie pod dachem, wzięliśmy się natychmiast do rozpakowania naszéj króbki. Ale jakiż był nasz smutek, kiedyśmy ujrzeli butelkę porteru w gruzach!... Ów mniemany piorun, był to wystrzał korka, obciągniętego drótem. Jak na złość, madera, którą pijamy tylko dlatego, że lepszą jest tutaj w porównaniu win innych, została w całości, a porter, porter, który obadwaj przekładamy nad wszystkie burgundy i szampany, przedawane pod tém imieniem w Omsku, rozerwawszy swoje więzy jak pyszna Tamiza cembrowane brzegi, rozlał się po całéj krobi, i zostawując tylko swoje szumne ślady na torcie, na sérze, na cukrze i herbacie, zniknął! W tak smutnéj konjunkturze rzeczy, musieliśmy pokrzepić się kieliszkiem madery i zakąskami, również jak my przemokłemi. Tymczasem deszcz ustał i my nie mając co lepszego robić, poszliśmy nad brzeg rzeki, przypatrywać się rybakom łowiącym rybę. Zdobycz ich była niewielka: cztery czy pięć małych sterletów i młody jesiotr. Kupiliśmy u nich dwa żywe

sterlety, które natychmiast zgotowała nam gospodyni domu. Wydały się onę nam lepsze niż kiedykolwiek, i wistocie nic smaczniejszego jak ta ryba, jeżeli idzie wprost z wody do garnka, a z garnka do gęby. Po obiedzie, ponieważ znowu lać poczęło, zasnęliśmy sobie parę godzin, a podwieczor, nagadawszy się z gospodarzami o tegorocznych zasiewach i zarazie bydła, puściliśmy się napowrót do Omska, gdzie u progu kwatery powitał nas deszcz ulewny, któremu wdzięczen jestem, że padał prawie przez cały dzień moich imienin, bo to znak błogosławieństwa. Robiąc więc dobrą wróżbę i z deszczu, i z tego żeśmy przemokli, i z tego nawet żeśmy porter stracili, wyglądam niecierpliwie chwili, która zapewne sprawi, że przyszłe imieniny będę obchodził już nad Niemnem, nie nad Irtyszem.»

Z upałami letniemi wzmagał się ogień nadziei i w lipcu począł silnie dopiekać. « List nieoszacowanéj Konstancyi, który otrzymałem zawczoraj — pisał Adolf na początku tego miesiąca — każe mi wierzyć, że według wszelkiego podobieństwa, w tym roku skończą się moje cierpienia... Od dwóch dni tak jestem zelektryzowany listami Mamy i Konstancyi, że myśli moje latają sobie samopas to w tę, to w tamtą stronę. Szczęściem że piękna pogoda, mogę kąpać się i dużo chodzić, bo inaczéj dostałbym gorączki lub czegoś gorszego. »

Do tych zapalnych wieści z Dziahylny i Petersburga, dolała jeszcze spirytusu powzięta na miejscu wiadomość, że jenerał gubernator ze swojéj strony zrobił jak

najkorzystniejsze przedstawienie dla obu naszych kancellarzystów rządu kirgizkiego*.

List Adolfa do brata, pisany 8 sierpnia n. s. wyrażał zupełne zaufanie szczęściu. « Zdrów jestem — powiadał z wesołością prawie dziecinną — i jakżeby mogło być inaczéj, kiedy tak piękna przyszłość otwiera się przedemną? Mnie się zdaje, że w terazniejszém usposobieniu mego umysłu, żadna choroba przystąpićby do mnie nie mogła. Na pochyłe drzewo, jak to mówią, i kozy skaczą. Kiedym był nieszczęśliwy, cóż dziwnego, że nieraz siaka taka choroba wpadła na mnie i mogła mnie na łóżko powalić; lecz teraz, kiedy mi się raj uśmiecha, czyż nie znalazłbym w sobie dosyć siły do zwalczenia jéj napaści. »

Ale po krótkich dniach radośnych uniesień, przyszły długie dni oczekiwania skutku i nastąpił szereg stopniami rosnących utęskiwań.

Września 23 n. s. « Zbliża się już czas, w którym rozwiążą się nasze losy. Trzeba być w naszéj skórze, żeby sobie wyobrazić co czujemy w téj chwili, z jaką niecierpliwością wyglądamy każdéj poczty, jakie myśli

* Proszony przez matkę o protekcyą książe Ludwik Wittgenstein, napisał do niéj z Werek, 12 pazdziernika 1844 :

« Miło mi uwiadomić Panią Dobrodziejkę, żem odebrał wiadomość od księcia Gorczakowa, 4º t. m. z Omska, iż on jeszcze 8 lipca przełożył hrabiemu Orłow, aby raczył wyjednać u Tronu przebaczenie dla syna pani, p. Adolfa, z dozwoleniem powrotu na rodzinne miejsce i nagrodą pierwszą rangą, przez wzgląd na jego bardzo piękne postępowanie i stateczną pilność w obowiązku na Syberyi, który od lat czterech z żarliwą gorliwością sprawuje. Książe Gorczakow nie wątpi bynajmniéj, że zwierzchność przychyli się do prośb Pani i syna do niéj powróci. »

Pierwéj nim o tym liście Adolf mógł wiedzieć, wiedział już o treści przedstawienia w nim wyrażonéj i widząc się blizkim całego celu swéj służby, miał powód oddawać się radości.

przechodzą przez nasze głowy! Za dni kilka, może najdaléj za kilkanaście, dowiemy się o naszém zmartwychwstaniu, lub... lecz pocóż przypuszczać wyrok przeciwny, kiedy mnóstwo okoliczności każe wierzyć w najpomyślniejsze rozwiązanie... Ja tak pewien jestem dobrego wypadku, i to w rychłym czasie, iż wątpię nawet czy otrzymam tu na miejscu pieniądze, które January wysłać obiecał. Pewność tę podzielają ze mną i drudzy. Jazon przygotował już dla swego brata niedźwiedzie, które mam jemu zawieźć. »

Pazdziernika 24. « Ani jestem w stanie wyrazić, w jakiéj mój umysł niespokojności. Każdéj poczty oczekuję jak zbawienia, a dotąd nic a nic nie zwiastuje zmiany mego losu, i Bogu tylko wiadomo, jak długo jeszcze trzeba będzie tak się męczyć i oczekiwać — żebyż przynajmniéj nie napróżno! Ale zdaje się że nadzieje nasze są niemylne... »

Listopada 17. « Otoż i zima, a ja ciągle oczekuję i wzdycham... List Januarego nie mógł przyjść w lepszą porę jak dzisiaj, kiedy i tą pocztą zawiedziony, tęskném okiem poglądałem w przyszłość. Wiadomość o zdrowiu i powodzeniu waszém rozpędziła chmury, gromadnie zbierające się nad mojém czołem, i powoli, powoli nadzieja poczęła wstępować do serca, że i ja wkrótce będę mógł wywdzięczyć się wam dobrą nowiną. Kiedy to jednak nastąpi, trudno przewidzieć...»

Grudnia 22. « I znowu nie mam nic pomyślnego do doniesienia, oprócz tylko że zdrów jestem, jeśli zdrowiem nazwać można ten stan umysłu, w jakim od roku zostaję, i na który nie znajduję innego lekarstwa,

jak w pokorném poddaniu się niezbadanym wyrokom Najwyższego. »

Skończył się rok 1844, z pomiędzy wszystkich lat wygnania najpamiętniejszy udręczeniami nadziei; ale końca tym udręczeniom jeszcze nie było. Zaraz na początku roku 1845, jenerał gubernator, już na pewno zapowiedział swój wyjazd do Petersburga : to kazało ufać, że będąc sam w stolicy, przyspieszy skutek swoich przedstawień.

Pierwszy list pisany w styczniu, zawierał te słowa: « Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok, dały się nam we znaki. Odbyliśmy dwukrotnie po 70 z górą wizyt! Nie uwierzy Mama ile ta ceremonia zawsze kosztuje trudów. Kiedy człek wróci do domu, to wszystkie boki, od ciągłego zdejmowania i wkładania futra i ciepłych butów, tak go bolą, iż zdaje mu się jak gdyby dostał na grzbiet 50 batogów. Wszyscy bez wyjątku skarżą się na ten nieznośny zwyczaj, a jednak ile to czasu upłynie nim go zarzucą. Nam zaś jako obcym i zmuszonym stosować się do miejscowych zwyczajów, nie pozostaje nic więcéj, jak pocieszać się tém, że zapewne poraz ostatni odbywamy tę pańszczyznę. — Książe, w przyszłym miesiącu wyjeżdża niechybnie. »

Książe Gorczaków wyjechał w lutym, a nim mógł stanąć w Petersburgu, wyszła już ztamtąd owa szczęśliwa, tak długo oczekiwana poczta, która na początku marca przyniosła do Omska błogą nowinę, przyniosła uwolnienie — ale nie dla Adolfa, tylko dla Pawła.

Zdaje się, że ten różny wypadek oczekiwań dla dwóch towarzyszy jedną kategoryą objętych, powinien

był zmniejszyć otuchę i nasunąć przykre myśli Adolfowi. Przeciwnie jednak, pisał zaraz do brata. « Możesz sobie wyobrazić, jaka radość dla Pawła i jaka nadzieja dla mnie. Spodziewam się, że podzielisz jedną i drugą i będziesz mógł pocieszyć naszą nieszczęśliwą matkę, nadzieją rychłego rozwiązania i mojego losu... Paweł w tych dniach wyjeżdża, biega teraz jak szalony to za tym to za owym interesem. Ja za każdym razem jak tylko wracam z kancellaryi, zbieram, układam, pakuję jego rzeczy... Ledwo mam czas podziękować tobie za przysłanych 200 r. sr., jestem spokojny, że chwila mojego wyjazdu, nie zaskoczymię bez zapasu.»

Pomiędzy rzeczami Pawła szły do tłómoków różne upominki, które on miał dopełnić sprawunkami w drodze i zawieźć do Dziahylny, dla rozdziału podług danéj jemu notatki *.

Upakowawszy odjeżdżającego towarzysza Adolf, odprowadził go 17 marca n. s. o 95 wiorst drogi, a za powrotem do miasta, zajął się zaraz zwinięciem swego gospodarstwa, odprawieniem służącéj i przenosinami na kwaterę i stół do pierwotnéj swojéj gospodyni Kuź-

* NOTATKA.

Proszę cię Pawle, wręcz mojéj Mamie połowę kanfy czarnéj, Pana Jezusa z gliny i którąkolwiek z filiżanek chińskich, podług jéj wyboru. Resztę zaś rzeczy, podług poniższego rejestru, Januaremu.

Z tych, January, błękitny chiński chałat zwany « manłyk » odeszle p. Ludwikowi z prośbą, ażeby raczył go przyjąć odemnie, jako słabą oznakę wdzięczności.

ZOSI, kańczę mahoniową, czuczuńczę jasną, woreczek chiński (jednakowy z obu stron) i flakonik z pachnącemi pigułkami.

KAZIMIERZOWI, czapkę gagarkową.

WUJENCE p. Ignacowéj, czuczuńczę ciemnego koloru.

WUJASZKOWI p. Ignacemu, czapkę gagarkową.

KSIĘDZU WUJASZKOWI, czapkę gagarkową.

mowny, o czém wszystkiém posłał matce i bratu następne sprawozdanie.

« Pierwéj zapewne nim ten list odbierzecie, będzie już u was Paweł, któremu tego szczęścia zazdroszczę, a który, chociaż wam nieznajomy, gorąco go pragnął. Dowiecie się od niego, że go przeprowadzałem do Tiukały, gdzie z obawy ażebyśmy się nie rozpłakali, w kilku sekundach skończyliśmy nasze pożegnanie. Przykro mi było wracać samemu do Omska; pocieszałem się więc jak mogłem tą myślą, że może Bóg dobry da mi wkrótce równie uszczęśliwionemu jechać w tęż stronę. Nie wyrzekłszy ani słowa przez całą drogę, ani nie wysiadłszy nigdzie z sanek, przybyłem wieczorem do domu. Tu zastałem naszą striapkę pijaniusieńką, z żalu po Pawle, a właściwie ze smutku nad stratą służby, bo przewidziała to dobrze, że ja zostawszy sam jeden, kuchni swojéj nie będę trzymał. Wróciłem z okropnym katarem, gdyż straszny huragan ciągle mi sypał w oczy śniegiem. Katar ten powiększył się jeszcze bardziéj od kurzu, przy pakowaniu się do przenosin. Kiedy to piszę, mam się już lepiéj i mieszkam na nowéj, czyli

Michalince, kańczę błękitną na kacawejkę, chiński woreczek (różnobarwny), kwiaty chińskie na dzień ślubu i bransoletkę chińską.

Januarowéj, kańczę pąsową (co od ciebie), chińskie : toaletkę, wachlarz, ubiorek na głowę, różaniec i lusterko.

Januaremu, chińska czapka (biała), tabakierka, talerz i filiżanki, Burchan (bożek), sztuciec stołowy (do którego niech każe dorobić kościaną pałeczkę, używającą się w miejscu widelca), aszeryt z kirgizkiego stepu, tusze większe i mniejsze, kirgizki postronek, kirgizkie zboże, połowa makaronów i połowa trociczek chińskich, toaletka (pamiątka po naszym ojcu, przysłana mi przez stryja) którą zachowa dla mnie.

Dwie topazowe pieczątki kupić w Ekaterynenburgu i oddać także Januaremu.

Dziatkom Januarego, Kasylki i Zosi nic teraz nie posyłam, ale sam przywiozę, gdyż pragnąłbym, poznając się z niemi osobiście, wręczyć im gościńce.

staréj kwaterze, gdzie naprzód mieszkaliśmy z Pawłem, nim nas wypędziły z niéj tarakany, pluskwy i myszy, które jakimś sposobem wyginęły, że ich teraz ani śladu. Kontent więc jestem, ale nikt tak nie kontent jak moja gospodyni, że dostała znowu choć jednego ze swoich *dobrejszich postojalców*. Sama nie wie jak mnie dogodzić, i lubo często robi grube pomyłki w obcym dla niéj zawodzie kucharskim, bo naprzykład dziś zabieliła rosoł, a wczoraj nasypała do barszczu krup jęczmiennych, ja jednak i mój Karpat zupełnie zadowoleni jesteśmy z jéj stołu. Zresztą, gdzie mnie teraz myśleć o takich ziemskich rzeczach jak pokarm, kiedy mię karmi słodka myśl zobaczenia was, a serce to drga radością, to zasępia się smutkiem. Jak żyd wysiaduję żałobę po moim poczciwym Pawle. Dziesiąty już dzień od naszego rozstania się, a jeszcze nigdzie, prócz kancellaryi, nie byłem. Szczęściem, że książki przysłane przez Januarego, przyszły jak w porę na rozrywkę w mojém sieroctwie. Chociaż to ten, to ów robi mi wizytę konsolacyjną, ja jednak najczęściéj przez gospodynię, albo nawet i przez siebie samego odzywam się, że mnie niemasz w domu. Wątpię żeby udało się Pawłowi dojechać saniami; mnie zaś, gdyby nawet Bóg pozwolił ruszyć ztąd w tym jeszcze miesiącu, wypadłoby już wziąść powóz kołowy... »

Nim doszedł list Januarego, datowany 13 kwietnia z doniesieniem o przybyciu Pawła, Adolf ciągle troszcząc się o niego, pisał na początku maja : « Dziwno mi, że Paweł po napisaniu do mnie z Kazania, nie dał więcéj żadnéj wieści o sobie. Miałżeby gdzie zachoro-

wać w drodze? Ale któż kiedy choruje, wracając na łono rodziny! Jabym się przynajmniéj tego głupstwa nie dopuścił, gdybym wracał do was.» Biédny! zbyt śmiało ręczył za siebie i ani się spodziewał, że mu przyjdzie kiedyś zadać kłamstwo własnym słowom.

Tymczasem zbliżała się chwila rozchwiania się na długo marzeń o podróży «na łono rodziny.» Książe Gorczakow, pod koniec maja wrócił z Petersburga, i nic takiego nie wychodziło od niego, coby mogło być objaśnieniem dotychczasowych zawodów, albo obietnicą nadal. Gorliwość w służbie zyskiwała tylko coraz nowe dowody zaufania zwierzchników.

W czerwcu, powtórnie wysłano Adolfa z poruczeniami rządowemi do Hordy kirgizkiéj. Wyjechał niepewien jeszcze rozstrzygnienia swojego losu; ale w Dziahylnie otrzymane ze stolicy doniesienia, nie zostawiały już wątpliwości o rozbiciu się wszelkich starań, i kiedy przebiegał stepy, zła nowina czekała już na niego w Omsku. Jak ją przyjął, pokazuje to odpowiedź jego, 22 lipca.

«Powróciwszy z mojéj kilkotygodniowéj podróży, znalazłem wasze listy, uwiadamiające mnie o zawiedzionych naszych wspólnych nadziejach uściśnienia się na domowym progu. Zahartowany w szkole nieszczęścia, przyjąłem wiadomości wasze z całą rezygnacyą, na jaką tylko Bóg mi zdobyć się pozwolił. Nic mi teraz nie pozostaje, jak zdać się na wolę Opatrzności i prosić Najwyższego, aby natchnął Mamę tym spokojem, bez którego najlepsze zdrowie ostać się nie może... Mama kochana, jakby przeczuwając moją terazniejszą

wycieczkę, lęka się w swoim liście, żeby mię nie komenderowano w step, jak w roku zaprzeszłym i żebym się nie opalił jak wtedy pod ogniem trzydziestostopniowego skwaru; ja zaś przeciwnie, wdzięczen jestem moim zwierzchnikom, że mi dali sposobność rozstać się na czas jakiś z biórem i stosami zapylonych papierów, a rozerwać się w mojém niezazdrośném położeniu widokiem pięknych, ciekawych krain. Przebiegałem Agadyrskie, Aldżiańskie, Archackie góry i byłem aż w Tarbogatajskich na pograniczu Kitaju... Nie miałem innego przypadku w drodze, prócz złamania się osi na bezludnéj pustyni, którą związawszy końskiemi włosami, dociągnęliśmy 25 wiorst do kozaczego posterunku, i pęknięcia koła w największym pędzie, którego okuty kawałek warknął koło głowy mojéj i woznicy, zostawując je nam, ku najżywszéj naszéj radości, całe na karkach. Najmocniéj zadowoleni jesteśmy : ja z mojéj podróży, a moi zwierzchnicy ze mnie. Wezwany do zdania osobiście sprawy memu naczelnikowi i samemu księciu, miałem zaszczyt usłyszeć z ust ich uprzejme podziękowania. Teraz wypoczywam na wygodném łóżku, i jak w stepach od much, opędzać się muszę od nieskończonych karesów Karpata, uszczęśliwionego z mojego powrótu. Gospodyni i wszyscy co odwiedzali moją kwaterę powiadają, że nieborak tęskniąc po mnie, wył ciągle i nic jeść nie chciał. »

Pomału wszystko wchodziło w karby spokojnego życia i korespondencya znowu zwróciła się do szczegółów obejmujących tylko rodzinne stosunki; w ciągu jéj znajduje się jednak list pisany 11/23 pazdziernika,

który zawiera obraz przypominający amerykańskie powieści Coopera.

« Zbytek pogody, nietylko my mieszkańcy omskiego okręgu, ale nawet późne jego pokolenia pamiętać będą. Po kilku tygodniach ciągłéj posuchy, na Irtyszskiéj linii zapaliła się trawa. Z jednéj iskierki wszczął się pożar stepu tak silny, tak niesłychany w dziejach Syberyi, że w półtory doby przeleciał 600 wiorst i zatrzymał się dopiéro u brzegów rzeki Tartas, płynącéj w gubernii tomskiéj. Obejmował on od 70 do 100 wiorst szerokości. Na całéj téj przestrzeni, lawa ognista pożerała wszystko, co tylko napotkała. Tysiące stért zboża i stogów siana, mnogie stada bydła i koni, dzikie zwierzęta i ptaki stawały się pastwą płomieni; ale co okropniejsza, kilka wsi leżących na tym pasie obróciło się w perzynę. Kilkadziesiąt ludzi utraciło życie, a mnóstwo ich tak się opaliło, że albo zakończą śmiercią, albo nazawsze zostaną kalekami. W jedném miejscu, ludność całéj wsi schroniła się do jeziora i tym sposobem uratowała się od zguby. Na koniu nie można było uciec przed płomieniem, który biegł z prędkością, ledwie nie powiem, zapalonego prochu. Jeden człowiek, 18 wiorst uciekał w całym pędzie konia, lecz widząc że niemasz ratunku, rzucił się na ziemię i nakrywszy się sukmaną, czekał niezawodnéj śmierci. Bóg ocalił go jednak. Rzeka ognia przeszła po nad nim i tylko stracił konia, który o kilkadziesiąt kroków leżał trupem. Teraz często zdybują wilków ślepych z osmaloną szerścią. Klęska ta dotknęła dwa przyległe naszemu okręgi, a powszechna posucha była także przyczyną

pożarów, znacznego w Tobolsku, mniejszego w Iszymie. Omsk sam nie był dotknięty, ale drożyzna zboża, siana i drzewa, da się i jemu we znaki. »

Jakby dogadzając życzeniom Adolfa, zwierzchność wyprawiła go znowu na przejażdżkę stepową. Odbył ją w przeciągu trzech tygodni, poczęści sanną, poczęści kołową drogą i na początku grudnia wrócił do Omska. Ostatni jego list z tego miesiąca, poświęcony całkiem rozpamiętywaniom dawnéj i świeższéj przeszłości, zawiera doniesienie o losie dwojga byłych sług iszymskiego dworu na Kisielowce, a zamyka się wzmianką o marzeniach sennych — nie bez znaczenia odpowiedniego temu, co odkryła późniéj smutna przyszłość.

« Leonard, którego spodziewam się w tych dniach, za rok od pierwszego stycznia, kończy swoją służbę i wróci w domowe strony. Bardzo życzy on sobie zająć się jakim obowiązkiem u Januarego : mocnobym się cieszył, gdyby to być mogło i proszę o uwiadomienie za wczasu, czy może stać się zadość moim i jego życzeniom. Pani Łukerya zaś wyszła za mąż, i sama łyktus, dostała męża podobnego kalibru.

« Pisze Mama, że nigdy mię we śnie nie widzi, a January prawie codzień. Co do mnie, jestem przynajmniéj z téj strony szczęśliwy, że rzadko która noc upłynie, aby mi się przed oczyma duszy nie przesuwały drogie obrazy Mamy i rodziny. Nic zaś tak często mi się nie śni, jak podróż moja do *Staszutków* (do braci, Eustachego i Romualda), *lecz nigdy ich zobaczyć nie mogę*. Ten sen mało tysiąc razy mnie się powtarzał i zawsze jednakowo. »

Rok 1846 nie był jednak przeznaczony do rozpamiętywań, marzeń i wzdychań na miejscu; miał owszem w różańcu znizanych lat wygnania, pozostać najświetniejszą paciórką, mieniącą się żywemi kolorami. Pierwsze dwa jego miesiące przeszły martwo, jakby ściśnięte mrozami nadzwyczaj ostréj zimy; w marcu, przy nadzwyczajnie też wczesnych odwilżach, poczęła układać się owa wyprawa, któréj owocem są *Listy ze stepów kirgizkich.* Przyszły ich autor, przewidując oddalenie się z Omska na czas dłuższy, myślał wszakże tylko o urządzeniu korespondencyi z rodziną dla dogodzenia potrzebie własnego serca, i w liście 17 kwietnia n. s. pisał do matki : « Wkrótce wyjeżdżam w step, gdzie przez kilka miesięcy będę na świeżém powietrzu i w ciągłym ruchu, nie mając innego pokarmu jak końskie albo baranie mięso, zakrapiane stosownym do tych przysmaków napojem, to jest kumysem lub ajranem. Wprawdzie pismiennéj pracy nie uniknę, gdyż czynność moja jest takiego rodzaju, że bez pióra i kałamarza ani kroku; ale co innego pisać pod wiotką oponą jurty, w kurtce albo chałacie, i potém galopować na koniu do drugiego aułu, a co innego siedzieć kilka godzin z rzędu za stolikiem biórowym, w niewygodném odzieniu, i wróciwszy do domu, mieć na przechadzkę tylko podłogę swego pokoju, lub pylną ulicę naszego miasta. Kiedy więc Bóg tak zrządził, że zamiast podróży ku domowym progom, zabieram się do koczowniczego życia Kirgizów, niech Mama pociesza się przynajmniéj tą myślą, że ta wędrówka pokrzepi moje siły i przyniesie mi niejaką ulgę. Proszę Mamy

i Januarego pisywać do mnie jak najczęściéj, podług zwyczajnego adresu. Listy wasze regularnie dochodzić mnie będą, choćbym znajdował się na drugim końcu stepu, a jaka to będzie dla mnie rozkosz czytać ich wyrazy w takiém oddaleniu, łatwo sobie wyobrazicie! Co do mnie, nie opuszczę żadnéj zręczności doniesienia wam o sobie. »

Następny z kolei list, pisany 8 maja na wsiadaniu już do powozu, rozpoczyna ten zbiór, który dopełniony wyjątkami z *Dziennika podróży*, stanowi drugą część niniejszéj książki. Ale obok tego, co późniéj obce ręce wybrały i ułożyły dla wydania na widok publiczny, wiele ćwiartek papieru było poświęconych rozmowie rodzinnéj, o rzeczach domowych, o sprawach tego drugiego świata na ziemi, w którym Adolf duszą przebywał, gdziekolwiek znajdował się i czegokolwiek doświadczał swoją osobą. Powiększona odległość między dwoma stronami jego jestestwa, zdawała się bardziéj jeszcze natężać i czynić tkliwszą nić przechodzącą przez serce. W stepach, drażliwiéj niż w Omsku niepokoił się spóźnieniem listów od matki i brata, czytał je z większą chciwością, odpłacał najdokładniejszą odpowiedzią. O 5,000 wiorst, wśród tysiąca nowych przedmiotów, zajmował się z najżywszą troskliwością nietylko tém, co się działo w Dziahylnie, ale i interesami swoich przyjaciół w kraju. Otrzymawszy wiadomość, że ukochana siostrzenica Michalinka ma wkrótce wyjść za mąż, do nieznajomego sobie przyszłego jéj męża zanosił najczulsze prośby, żeby pamiętał ile od mężczyzny zależy kierunek współtowarzyszki jego życia, i

starał się ją uszczęśliwić; zmartwiony kłopotami Pawła, rozwodził się przed matką nad jego położeniem, jakby nad własném. Od Tobolska do Paryża, od Odessy do Petersburga, gdziekolwiek miał kogo miłego sercu, nie zapomniał o nikim, a pisał do wszystkich, do których mu wolno było pisać. Dziwić się potrzeba, jak przy trudach ciągłéj podróży i pracy obowiązkowéj, czas mu wystarczał i sił niezabrakło. Często, ledwo zsiadłszy z konia, chwytał kawałek papieru i pod gołém niebem, kolanami zastępując stolik, spieszył skończyć list przed odjazdem zdarzonego gońca. Nieraz późno w nocy, odegrzewając zmarzły atrament przy ognisku z suchego gnoju, tém samém piórem co cały dzień spisywało kirgizkie konie i barany, kreślił piękne swoje opowiadania, albo wynurzał rzewne uczucia dla rodziny i przyjaciół.

Ostatnia notatka w dzienniku podróży, nosi datę 10° pazdziernika, a 13° t. m. wyprawując już z Karkarałów pierwéj przygotowany list do matki, dołożył do niego kartkę z wyrazami: « Pyta mnie Mama, czy żyjąc w stepie wiem, że nowy papież wstąpił na tron? Nietylko wiem o tém, ale zapewne ją zadziwię gdy jéj powiem, że przybywszy do Karson kirejewskich Kirgizów, tam pierwszy raz dowiedziałem się o wyborze nowego papieża i o wynalezieniu centralnego słońca przez jakiegoś Niemca. Tu zaś — co ją bardziéj jeszcze zadziwi — znalazłem jedną pannę, która zna doskonale Mamę, Januarego, Michalinkę i Połońskiego. Za pół godziny idę do niéj na kawę, przy któréj będę miał nieopisaną rozkosz rozmawiać o całéj mojéj rodzinie.

« To to dziś z serca dziękowałem Bogu, że tak trudną podróż udało mi się odbyć tak szczęśliwie. »

W dni kilkanaście późniéj był już w Omsku, dokąd dążył z niejakiém znużeniem, obiecując sobie « siedzieć w niém, jak motyl gdy w bursztyn utonie, i w zaciszu swojéj komnatki opisywać dzieje odbytéj wyprawy. » Nie tak się stało i z tym bursztynowym spoczynkiem i z zamiarem opisu. Pierwszy list z miejsca stałego pobytu, 18/30 pazdziernika pisany do matki, zaczyna się od wzmianki żałobnéj.

« Po półrocznéj podróży, wróciłem nareszcie zdrów i cały do Omska, gdzie na pierwszym zaraz wstępie, spotkał mię smutek : dowiedziałem się bowiem z listu Mamy, o zgonie księdza wujaszka, który przez cały ciąg życia tyle dawał mi dowodów przywiązania i którego kochałem jak ojca...

« Kwatera moja, po tylu miesiącach mieszkania w jurtach, wydała mi się pałacem. Ale czy uwierzy temu Mama, że pomimo niezaprzeczonéj wyższości zalet, jakie ma dom opatrzony dobrze nad koszmową budą, pierwszéj zaraz nocy dostałem takiego kataru, że ledwie mi głowa i nos nie pęknie. Przyzwyczajony tak długo do świeżego powietrza, nie mogę ani spać, ani znosić sztucznego ciepła. A cóż dopiero za rewolucya zrobiła się w moim żołądku, kiedy zamiast wiecznéj baraniny i kumysu, gospodyni moja poczęła weń pakować rosoł, bifsztyk, naleśniki i tym podobne specyały! Zachorowałem po prostu. Spodziewam się jednak, że ten stan niedługo potrwa i że wkrótce przywyknę znowu do życia cywilizowanego, które pomimo wszystkich swoich

przykrości, zawsze jest lepsze od półdzikiego, jakie pędziłem w stepie. »

Lepsze to życie cywilizowane, wkrótce przywiodło wszystko do właściwego sobie porządku. Zaczęły dni i godziny iść tym tokiem regularnym i jednotonnym, który rychło przytłumił rozigraną wyobraźnię i skierował umysł do innych widoków. Strudzonemu codziennie pracą biórową, zapadającemu coraz bardziéj w zwykłą tęsknotę, ręka i myśl nie służyły do opisywania dziejów odbytéj podróży.

Chociaż listy, które stały się głównym jéj pomnikiem, mają wykończenie jakby pism przygotowanych do druku, i może być że Adolf zamierzał użyć téj formy do odlania całości, widocznie jednak pokazuje się ze słów jego pisanych do Januarego w listopadzie 1846, że nie myślał i nie chciał żeby były drukowane.

« Ostrzegam cię — powiadał bratu — żebyś przypadkiem nie dał którego z moich listów kirgizkich do jakiego dziennika, bo *primo*, listy te pisane są tylko dla ciebie i Mamy, naprędce, bez najmniejszego obrobienia i nie zawierają nic w sobie, coby obchodziło ogół czytelników; *secundo*, że nie chcę grać roli literata, do któréj nie mam żadnego prawa; *tertio*, że nam niewolno publikować żadnych naszych prac piśmiennych. Ostrzeżenie to wpadło mi na myśl z powodu, iż Paweł żąda, abym mu opisał moją podróż, a onby ją umieścił w jakiejś *Grodzieńskiéj Ondynie*. Bóg z nimi! Jest i bezemnie dużo bazgraczy; ja piszę dla siebie i dla was, a pani Ondyna może się obejść bezemnie, jak ja bez niéj. »

Zamiar opisania stepowéj wyprawy, czy dla siebie, czy dla swoich tylko, nie był wszakże zupełnie zarzucony, od czasu do czasu przypominał się Adolfowi; ale z początku mnóstwo okoliczności odbierało mu ochotę i możność, a potém kiedy innych przeszkód nie było, zabrakło już potrzebnéj do tego siły.

Od powrotu ze stepów do Omska, położenie jego przybrało jakąś nieruchomość otrętwiającą i na długie lata wprowadziło go w ten stan powolnego gaśnienia, który sam wyraził w tych słowach. « Moja przyszłość w coraz smutniejszych przedstawia mi się kolorach. I nic dziwnego! Starość, słabość zdrowia i tylokrotnie zawiedzione nadzieje, nie sąż dostatecznemi do wlania w serce wygnańca jakiejś tęsknoty, która mu na wszystko każe patrzeć posępném i nieufném okiem? » Odtąd przez lat siedem, dzieje każdego roku ograniczają się do niewielu wypadków i korespondencya, zamieniając się prawie w jakieś ciche szeptanie o drobnych sprawach familijnych, o zdrowiu, zimnie i upałach, rzadko zawiera kartkę błyszczącą nowém uczuciem albo obrazkiem.

Rok 1847 zaczął się od zwrotu do wspomnień i pamiątek, które w miarę zaciemniającéj się przyszłości stawały się znowu głównym żywiołem dla serca sybirskiego wygnańca. Dziękując bratu za przysłane różne rzeczy, pisał w lutym. « Właśnie gdy zbliża się rocznica śmierci ś. p. naszego ojca, otrzymałem od ciebie zegarek pozostały po nim. Ucałowałem go ze czcią i rozrzewnieniem, długo nie mogąc od niego oderwać łzą zabiegłych oczu; ale wyobraź sobie moje zadziwie-

nie, gdy po dwumiesięcznéj drodze, położony na stoliku niemy, nagle iść począł. Jakkolwiek ten ruch niespodziewany, daje się wytłumaczyć podług praw mechaniki, niemniéj wszakże zrobił na mnie silne wrażenie, pod którego wpływem dotąd zostaję. Zdaje mi się, żem usłyszał głos tego, który niegdyś był jego właścicielem, a teraz jakby z radości że ujrzał swego syna, przemawiał do niego. Przebaczcie mi to złudzenie i wierzcie zarazem, że mi ono nie jedną myśl pocieszającą sprowadziło do głowy i pokrzepiło udręczone serce. »

Ale pole przeszłości pokrywało się coraz bardziéj grobami i do wspomnień żałobnych, przybyła świeża żałoba. List z 30° sierpnia, zawiera te słowa : « Z boleścią serca donoszę Mamie o dotkliwéj, nowéj stracie. Wczoraj otrzymałem wiadomość o śmierci stryja. Biédna stryjenka, jak widać sama w nienajlepszym stanie zdrowia, ledwo kilka wyrazów mogła skreślić. Przeżywszy lat 80, w dniu 30^m^ czerwca, po czterodziennéj słabości, nieodżałowany mój opiekun rozstał się z tym światem. Na dzień przed śmiercią podyktował krótki list do mnie, który jednak własną podpisał ręką. List ten będzie nazawsze drogą mi pamiątką, jako dowod, że i w ostatniéj chwili byłem przytomny jego myśli. Ach! czemuż nie mogłem oddać mu przynajmniéj ostatniéj posługi i garstki ziemi rzucić na jego mogiłę. Niech Mama pisuje do stryjenki. Jestto najgodniejsza w świecie osoba i kocha mnie jak syna. »

Podkomorzy Januszkiewicz, który ciągle ze swojéj strony opatrywał posyłkami na Sybir potrzeby swego

wychowańca, zostawił jeszcze dowod pamięci o nim, przeznaczając mu testamentem roczny dochód, oparty na summie ulokowanéj w pewném ręku. Do wykonania tego artykułu zobowiązany wierny i troskliwy przyjaciel, Tomasz Kulczykowski, zaraz w następnym roku 360 rubli sr. Adolfowi przesłał i późniéj każdego lata tażąż kwotę regularnie przesyłał. To dozwoliło jemu z czasem uwolnić zupełnie brata od dostarczania zasiłków pieniężnych, i całéj rodzinie litewskiéj zostawić tylko otwarte pole do oznak przywiązania przez niekończące się nigdy transporta użytecznych i pamiątkowych podarunków.

Tegoż, 1847° roku, dopełniły się lata służby Leonarda. Adolf wyprawiwszy go do Dziahylny, nie miał już nikogo, z kimby mógł pomówić o pierwszéj epoce swego wygnania. Jakby na domiar tego osamotnienia, ostatni z towarzyszy iszymskich, wyżeł Karpat, skonał u nóg swojego pana, darmo usiłującego wszelkiemi sposobami nieść mu ratunek.

Cała korespondencya z roku 1848°, toczyła się niemal tylko około dwóch przedmiotów, którémi były: cholera i nowo stawiony dom w Dziahylnie. Sledząc pilnie w gazetach doniesienia o zarazie stopniami ogarniającéj Litwę i Podole, troszczył się Adolf, to o matkę, która przebywała natenczas w Nieświéżu « gdzie pełno żydowstwa » — to o stryjenkę w Kraśnem « gdzie zapewne niema ani doktora, ani apteki, bo za jego czasów stryj był razem doktorem i aptekarzem. » Oddając się milszym myślom, rozpatrywał przysłany sobie plan wewnętrzny i zewnętrzny budowy, robił

nad nim uwagi, dopytywał się brata o postępie robot ciesielskich, mularskich i stolarskich, czekał niecierpliwie dnia przenosin, przy czém wszystkiém pióro jego, z nałogu i niewyczerpanéj łatwości zwrotów, wpadało często na wyraz nadziei.

W styczniu 1849°, spełniło się jedno z wielkich oczekiwań, dopięty został jeden z celów długiego dążenia. Po siedmiu latach ciężkiéj pracy, kancellarzysta Pogranicznego rządu, otrzymał rangę *kolezkiego regestratora!* Z tego szczebla mógł widzieć przed sobą, w odległości mniéj więcéj drugich lat siedmiu, stopień *tytularnego sowietnika*. Jakóbowa drabina do carskiego nieba przewyższała rachubę choćby stuletniego życia; ale żeby niezawodnie i w przeciągu czasu niezastraszającym najwytrwalszéj cierpliwości, miała wyprowadzić z Syberyi, to według doświadczenia było bardzo wątpliwém. Zresztą, chociażby upor miłości własnéj, albo brak lepszego wyboru zatrzymywał na raz obranéj drodze, zdrowie już nie pozwalało iść nią daléj.

Przesiedziawszy jeszcze w biórze półrocze « zatrwożony coraz bardziéj słabiejącym wzrokiem i częstemi bolami głowy » musiał Adolf prosić o uwolnienie go od służby. Dnia 20 sierpnia v. s. jenerał gubernator kazał Pogranicznemu rządowi wydać mu dymissyą. « Otrzymam ją za dni kilka — pisał donosząc o tém bratu — i będę jak dotąd mieszkał w Omsku, gdzie mam pod bokiem dobrych doktorów i aptekę. »

Opuszczenie służby, przypadło prawie na samą rocznicę opuszczenia przed laty ośmią Iszymu. Wyjechał ztamtąd politycznym *posieleńcem*, był teraz *odstawnym*

urzędnikiem: ta różnica okupiona zrzeczeniem się nie jednéj swobody i wygody, miała obok siebie do porównania drugą. Silny jeszcze i pełen zaufania w sobie posieleniec, porzucał spokojne ustronie dla obrachowanych widoków nadziei; stargany i zwątpiały kolezki regestrator, porzucając swój zawod, szukał tylko okiem cichego spoczynku. Droga, która wedle wszelkich przewidzeń zdawała się być najprościéj prowadzącą do wyjścia z niewoli, przywiodła go jakimś kręgiem na dawne położenie, ale w cięższych, smutniejszych warunkach. Byłże jednak temu winien? Nie zgłębiając przyczyn cierpkiego swego losu, poddając się kornie zrządzeniom Opatrzności, patrzał posępnie w przyszłość, prawie już bez troski jaki i kiedy będzie jéj koniec. Ale w tém, pożar stepowy o mało co nie położył wszystkiemu rychłego końca. O zdarzeniu tém, jakby o czémś obojętném, napisał Adolf do matki nie zaraz i w niewielu słowach.

« Trzeci tydzień temu, byliśmy przez całą dobę w okropnym strachu. Z jednéj iskry zapaliła się zeschła trawa na stepie i w oka mgnieniu potoki ognia popłynęły w różnych kierunkach. Z trzech stron największe niebezpieczeństwo groziło Omskowi, i gdyby łaska Najwyższego nie odwróciła wiatru, który pędził na nas ogniste fale, bylibyśmy wszyscy zginęli; bo jeden tylko, i to bardzo wątpliwy ratunek, pozostawał w nurtach Irtysza. Mówię bez przesady, że dzień 6[y] października, był to czysty dzień ostateczny. Mieszkańcy tutejsi inaczéj go nie nazywają, i jestem pewien, że nieprędko go zapomną. »

Gdy tedy Omsk nie uległ losowi Sodomy lub Gomory, rezydentowi naszemu pozostawało myślić o urządzeniu sobie jak najznośniejszego w nim pobytu. Brała go chętka nabyć znowu własny domek; ale na to środki funduszowe, które mogłyby być dostatecznemi w Iszymie, nie wystarczały w Omsku. Chciał zmienić kwaterę, ale rozważywszy lepiéj ten zamiar, powiadał: « Możebym i znalazł mieszkanie nieco dogodniéjsze, lecz gdzież znajdę choć taki stół, jaki mam u mojéj poczciwéj gospodyni i razem najlepszéj *striapuchy*, która ze wszystkiemi swemi dziećmi, z Grunkami, Kalinkami, Jaszkami i Miłkami, zawsze jest na moje zawołanie. A gdyby jeszcze Mama ujęła ją czasem jakim upominkiem, naprzykład chustką dla niéj, lub kólczykami dla córki, to już nie wiem jakby starała się mi dogodzić. »

Przebywszy więc zimę po staremu, zaraz na wiosnę 1850 r. gospodarny niegdyś pan dworku na Kisielówce, wziął się swoim trybem do urządzeń lokalu w domu zacnéj pani Kuźmowny. Pora roku i najmocniejsza podobno ze skłonności, kazały naprzód zająć się ogrodnictwem.

W maju, January otrzymał takie doniesienie.

« Będąc teraz panem mego czasu, pracuję koło ogródka, ktory przed mojém okném, wychodzącém na dziedziniec, *stworzyłem*. Mogę śmiało użyć tego wyrazu, bo na miejscu gdzie był skład opałowego drzewa i gospodarskich sprzętów, błyszczy teraz najczarowniejsza oaza zieloności. »

Odtąd ten ogrodek stał się na kilka lat przedmiotem

wielu listów, napisanych z ujmującym wdziękiem. « Moje georginie — chlubił się raz przed matką — wyrosły do wysokości pięciu arszynów i swoją pięknością cały Omsk zachwycają, co niezmiernie cieszy i wprawia w dumę moją gospodynię, że ma tak mądrego postojalca, który potrafił na kawałku piasku dokazać podobnych cudów... Żałuję mocno — powiadał inną razą — że nie mogę posłać Mamie na wiązanie cudownie pięknego kaktusa, który właśnie rozkwitł wczoraj, a dziś stoi na oknie i od wszystkich przechodzących odbiera hołd uwielbienia. January zapewne znając moją miłość dla Flory, obdarzył mnie taką kwiecistą materyą na kamzelkę, że będę w niéj wyglądał jak mój lilipucki ogródek ze swemi olbrzymiemi roślinami... Przyszlij mi — prosił brata — nasion wszystkich kwiatów waszych, żebym miał kopiją dziahylniańskiéj wegetacyi; ja nawzajem posyłam wam nasiona roślin i jarzyn chińskich, przytém szyszkę świeżą sybirskiego cedru, którego nasiona posiejcie w ogrodzie, abym kiedyś za powrotem miał przypomnienie kraju, w którym pół życia przeżyłem... Jeśli Bóg da, że wrócę do was, weźcie mnie za ogrodnika, a zobaczycie, że będziecie mieli takiego, jak nikt w okolicy. Kiedy ja tu, w takim klimacie jak omski, potrafiłem tyle dokazać, że wszystkie damy tutejsze zachwycają się moją małą Brazylią, jak ją nazywam, to czegoż nie dokażę pod mojém rodzinném niebem! Zresztą, do czegoż ja teraz więcéj zdolny jak chyba do uprawiania kwiatów... W téj chwili, jakaś kobiéta weszła do mego ogródka i załamawszy ręce zawołała : ach co za rozkosz! Nie

widzi mnie, bo ja siedzę w pokoju za przymkniętém oknem i ten list piszę. »

Mała Brazylia, najczęściéj zastępowała swemu twórcy nietylko publiczne przechadzki, ale i myśliwskie na step wyprawy. Czy to, że żaden pies nie mógł zastąpić Karpata, czy że już siły nie dopisywały, po roku 1848^{m} ledwo para wzmianek znajduje się w listach o polowaniu.

Zakładając ogród na letnią rozrywkę, przezorny administrator swoich interesów pamiętał też razem o wyporządzenia mieszkania na zimę. « Od siedmiu dni mieszkam w wozowni — pisał w czerwcu; — kwatera moja maluje się : ściany zielono, a podłoga żółto. » W tak gustownie pomalowanym apartamencie, niezliczone mnóstwo sprzętów znalazło starannie dobrane sobie miejsce, a z różnoczesnych częściowych opisów można zrobić wyobrażenie, jaką to wszystko składało całość.

Nad łóżkiem pokrywała ścianę rozpięta skóra tygrysia « na którą nieboszczyk Karpat poglądał zawsze jak na żmiję. » Historya pochodzenia téj skóry « acz nieco może bajeczna » w swoim czasie posłana mamie, opiewała, jak jednego razu nad brzegami Bałchasza tygrys zrzuciwszy z siodła Kirgiza, zjadł mu konia, a przygłuszony Kirgiz odzyskawszy zmysły, uciekł chyłkiem, sprowadził hufiec swoich, i zabito tygrysa śpiącego smaczno po śniadaniu... Na téj skórze, nad nią i z obu jéj stron — trudno już zgadnąć w jakim porządku — wisiały : obraz Zbawiciela « cudnie pięknego pędzla » przysłany z Podola, obrazek najświętszéj Panny, przed

którym w dzieciństwie matka uczyła Adolfa mówić pacierze; potém wizerunek téj czcigodnéj matki, otoczony różnéj miary, a zawsze w ozdobnéj oprawie, olejnemi, litografowanemi i rysowanemi portretami, portrecikami i sylwetkami całéj litewskiéj i podolskiéj rodziny, tudzież wielu krajowych i sybirskich przyjaciół. Dziękując Januaremu za kwiecistą kamizelkę, Adolf dodał: « Będzie ona gotowa wraz z nowym czarnym surdutem jak w porę na imieniny mamy, żebym w tym dniu wystąpił zrana przed wizerunkami waszych drogich postaci, które posiadać mam szczęście. Czego do ich zbioru niedostaje, zastępuje mi tabliczka, przysłana przez mamę z wyliczeniem wszystkich jéj wnucząt i prawnucząt. Przepisałem ją kaligraficznie i przypiąłem nad mojém łóżkiem, żebym przy rannych i wieczornych modłach, mógł to nowe pokolenie polecać miłosierdziu Wszechmocnego. »

Zdaje się, że owa skarbnica pamiątek, co tak była cennym sprzętem w Iszymie, nie przywędrowała do Omska; ale właściciel jéj starał się nagrodzić tę niedogodność i chlubił się przed bratem: « Kiedy ty nowy dom budujesz, i ja także zajmuję się architekturą; zbudowałem bowiem sobie porządny stół do pisania, z zamczystemi szufladami, pokryty kazimirkiem zielonym, a do niego wspaniały *vaterstuhl* z poduszką, powleczoną suknem w kwiaty. » Nad tym stołem zawisła wkrótce *etażerka*, przysłana przez siostrzenicę Michasię i służyła wybornie do roztasowania niezliczonych drobnych, dawniejszych i świeższych pamiąteczek.

Oprócz bogatego zbioru drogich rupieci przypomi-

nających Europę, Sybirczyk nasz chciał mieć w swoich komnatkach i Azyą przed oczyma. Otrzymawszy od Januarego szczegółowe opisanie kątów w nowym domu, odpowiadał jemu : « Moje mieszkanie, wygląda trochę inaczéj. Gdyby kto z was, jakim cudem, zajrzał do niego, postrzegłby od razu, że jest w innéj części świata. Uderzyłby go widok ścian, na których wiszą symetrycznie poukładane : łuki i strzały mongolskie; strzelby, topory, pałki, noże, sztylety, fajki, cybuchy, kaletki, krzesiwa tatarskie i tureckie; kołczuga i siodło kirgizkie; malownicze, błyszczące różnemi paciórkami ubiory Tunguzów i tym podobne ciekawości azyatyckie. Patrząc nawet na mnie samego, możeby wziął mię raczéj za syna tych plemion, co niegdyś najeżdżały Europę, niżeli za byłego przed laty Europejczyka; bo najczęściéj siedzę sobie w semipołatyńskim chałacie, albo w kurcie i szerokich czembarach (spodniach), suto naszywanych jaskrawym jedwabiem, na głowie zaś mam to kołpak, to arakczyn (jarmułkę) kirgizki. Ale któż przyjedzie oglądać mnie i mój gabinecik, który swemu właścicielowi tyle rozrywki przynosi. »

Owoż, wróciły się zupełnie iszymskie czasy, szukania ulgi w rozrywkach. Na dopełnienie podobieństwa téj epoki, kiedy krzątanie się koło ogródka i zbiorów archeologicznych nie mogło pochłonąć całéj wrodzonéj ruchawości, odezwała się żyłka przemysłowo-handlowa. Wspólnik niegdyś Gajewa w handlu duhami, kupował teraz ze swoją gospodynią bydło na rznięcie i na téj spekulacyi zarobili we dwojgu 38 rubli. « I to dobre. »

Nie sama przytém łatwość mienia lekarstw i lekarzy, mówiły za pozostaniem w Omsku po wzięciu dymisyi. Nagromadziło się tu pomału dobrych znajomości, uprzejmych stosunków i bardzo przyjaznych związków. Wielką to było ulgą dla wygnańca, kiedy mógł mówić, że w kilku domach jest widziany i przyjmowany jak najbliższy krewny, kiedy w razie choroby znajdował się otoczonym troskliwością całych rodzin. Szczególniéj głęboka przyjaźń i scisła zażyłość łączyła go z rodziną towarzysza służby i podróży stepowéj Wiktora Iwaszkiewicza, którego czytelnik pozna bliżéj z listów kirgizkich. Gdy ten przedłużając daléj służbę, biegał często za sprawami rządowemi w odległe strony Hordy, dymisyonowany kolega pełnił w jego domu obowiązki wojskiego, z wielkim szacunkiem dla zacnéj swéj kumy, pani Wiktorowéj, a z serdeczném przywiązaniem do pół tuzina dziatwy, którą, koleją jak przychodziła na świat, trzymał do chrztu ze swoją kumeczką Zosią, starszą siostrzyczką szeregu poczynającego się od Wiktorka i Wiktosi. Gniazdo to weszło w poczet osób poznajomionych z Dziahylną i zagarniętych w obręb korespondencyi familijnéj. W każdym niemal liście, po zwykłéj formule : « sciskam całą rodzinę, wielką i drobną, bliższą i dalszą » następowało teraz : « Jazon, Wiktorstwo i moja gospodyni dziękują Mamie za pamięć, zasyłają najgorętsze życzenia zdrowia, i t. p. »

Co się tyczy korespondencyi, ta nie tracąc nic na rozległości, przybrała razem charakter niezmiernie szczegółowéj pogadanki. Stolik zielony pod etażerką

zapełnioną pamiątkami, był prawdziwie biórem centralném doniesień, za pomocą których, drodzy jednemu sercu, a rozsypani na Litwie, Podolu, w Królestwie, w Rossyi i Syberyi dowiadywali się jedni o drugich. Z Dziahyłny pisano do Omska zapytując, gdzie się obraca Tomasz, jaki jest adres Konstancyi w Petersburgu? Z Omska częstokroć najwięcéj dowiadywał się Paweł o Gustawie, Gustaw o Pawle, obadwa o swoich znajomych sybirskich i ci nawzajem o nich. Oprócz tego, szuflady stolika zielonego mogły dostarczyć porządny zbiór materyałów statystycznych, o urodzajach, cenach zboża, zarazach na bydło i ludzi, tak na Litwie jak w Syberyi, mianowicie z kilku lat ostatnich. Gubernia mińska i okręg omski stoją tu obok siebie. Adolf wymagał od brata najdrobniejszych wiadomości gospodarskich i sam w tym względzie odzywał się do niego jak sąsiad mieszkający o mil dziesiątek, w przyległym powiecie. « Dotknęły was grady; nam ulewy w czasie zbiorów siana i zboża narobiły wiele złego. » « Dziękuję za doniesienie o dożynkach : cieszę się z urodzajów u was; u nas też nie złe. » « Sprobuj January, posadzić kartofle na świeżém zupełnie miejscu, niegnojoném; tu udają się doskonale na nowinném polu, bez żadnego nawozu, i nie znamy, co to ich cholera. » Te i tym podobne zwroty myśli, niegdyś miotanéj ciągle wzruszeniami uczuć, pokazywały pewną jéj ociężałość ku ziemi i szukanie tego, na czémby spocząć lubiła. Zresztą, biuletyny zdrowia, nieskąpe zawsze, przybrały teraz nadzwyczajne rozmiary. Zdaje się, że z ostyganiem bolów moralnych, rozwijały się

dolegliwości ciała, a im więcéj chory zajmował się sobą, tém mniéj choroba znajdowała w nim siły odpornéj.

Historya bolu zębów, szczęki, gardła i lewéj strony głowy, zajmuje wyłącznie kilka miesięcy ostatnich 1850 i kilka początkowych 1851 roku. Jeżeli przykro w niéj widzieć jakieś rozpieszczenie się, niezgodne z tylekroć dowiedzioną mocą charakteru; to razem niemożna oddziwić się temu wdziękowi pióra, który przedmiotowi z siebie tak nudnemu, nadał niemal powabny i zajmujący interes.

Jeszcze hermetycznie zamknięty w swoim pokoju pacyent, opłakał na początku marca 1851, zgon wuja Ignacego; weselszy już konwalescent w pazdzierniku tegoż roku, przesłał na ręce matki Eustachemu i Eugenii powinszowania i błogosławieństwa z powodu ich małżeńskiego związku; w styczniu zaś 1852, pisał do nowéj bratowéj listek, który odbija wszystkie strony jego ówczesnych usposobień.

« Kochana i szanowna Eugenio,

« Dobra moja Mama pozwoliła mi w swoim liście przesłać Ci kilka wyrazów. Korzystając z tak miłéj dla mnie zręczności, spieszę powinszować Ci i całéj twojéj drogiéj rodzinie Nowego roku, życząc wam wszystkim z głębi serca zdrowia i wszelkiego dobra.

« Przekonany, że mocno was obchodzi moje zdrowie, mam przyjemność donieść, iż od kilku miesięcy pozbywszy się strasznych cierpień reumatyzmu w głowie, czuję się wcale nie źle. Jak na szczęście, nader łagodna tegoroczna zima cieszy mię nadzieją, że się

nie przeziębię i może nazawsze uwolnię się od choroby.

« O położeniu mojém wiecie od Mamy. Nie mam więc co pisać, zwłaszcza nie mając nic pomyślnego do powiedzenia. Nadzieja w Bogu! Miłosierdzie Jego może kiedyś nie zapomni i o mnie, a tymczasem staram się zasłużyć na nie, i jak przystało na chrześcianina, spełnić do dna gorzką czarę żywota.

« Spójrzawszy na mój liścik z Syberyi, ozdobiony bukietem, pomyślisz może : to to przypiął kwiatek do kożucha. Pomimo całéj niestosowności z klimatem, którego od lat dwudziestu jestem mieszkańcem, posyłam Ci go jednak, jako wyrażenie najmilszéj mojéj rozrywki, któréj się wyłącznie prawie oddaję latem, tak krótkiém w naszéj strefie. Przyjm go w zastępstwie prawdziwego bukietu, wraz z zapewnieniem najszczerszych i najgorętszych uczuć przyjaźni i przywiązania. »

Maj 1852, przyniósł dwie wielkie rocznice : *dwudziestą* przybycia na Sybir i *pięćdziesiątą* przyjścia na świat. Po tych jubileuszowych wspomnieniach « półwieczny syn » troszczył się tylko o to, że nieszczęśliwa matka, jak to widział z jéj listów, bolejąc nieustannie nad jego położeniem, niszczyła swoje stargane zdrowie. Zaklinał ją więc na wszystko, żeby wierzyła nadziei, która dla niego samego była jakimś zwietrzałym wyrazem, nie budzącym już żadnych wzruszeń. Tęsknota do powrotu, ze stanu zapalnego przeszła sobie w chorobę chroniczną, z którą żyć można, szukając chwilowych ulg w spokoju, w wygodkach. Dbałość o te

środki łagodzące dolegliwości, zajmowała głównie myśl cierpiącego.

W lecie « łamiąc sobie głowę, jakby się urządzić na zimę, żeby i jemu i jego *dziatkom-kwiatkom* ciepło było » doświadczając przytém coraz więcéj niepokoju od mnożącego się grona wnucząt gospodyni, zamierzał ściągnąć 500 r. sr. ze swego kapitału i znowu założyć osobno własne gospodarstwo. Ale « starucha Kuźmowna » wszelkiemi ofiarami ze swojéj strony, nie dopuściła do tego. Wyrugowawszy naprzód z chlewka na dziedzińcu, szanowną rodzinę kozią, zrzuciła chlewek i grunt przeznaczyła na powiększenie ogródka. Kupiwszy potém przyległą swemu domowi chałupę, przeniosła do niéj całą wrzeszczącą i płaczącą ludność, a oczyszczony po niéj pokoik, za małą cenę puściła swemu « uwielbianemu postojalcowi » który we wrześniu pisał do matki :

« Donoszę, że nie zmieniam kwatery, ale ta kwatera, po dziesięciu latach mojego w niéj mieszkania, powiększyła się jednym pokojem, z oknami wystawionemi na słońce. Mając teraz w rozporządzeniu dwie strefy, północną i południową, mogę przechować zimą nie małą liczbę kwiatów, i tym sposobem przedłużyć sobie, tak krótką tutaj letnią porę. Jakoż dziś, gdy od trzech dni wszystko zmarzło na podwórzu, u mnie w pokoju, przesadzone do wazonów georginie, astry, lewkonie, i t. d., kwitną jak najpiękniéj i poustawiane w klomby, tworzą niby zimowy ogródek, po którym z wielką przyjemnością przechadzam się w czasie długich już wieczorów jesiennych, przepędzanych samotniéj niż

l

kiedykolwiek. Skoro młode pokolenie wyniosło się z domu, wróciła spokojność, któréj od czasu pożenienia się synów gospodyni, pozbawiony byłem. Około mnie, od 7ej wieczorem do dnia białego taka cisza, że chyba tylko myszka przerwie niekiedy moje dumania... Powtarzam prośbę o nasiona; tylko niech na pakiecikach będzie zapisany kolor kwiatów, żebym mógł dobrze wykonać ogrodniczo-małowmicze plany, jakie sobie układam.

Tymczasem, wszystkie plany i widoki przywiązane do pobytu w Omsku, były już skasowane na karcie przeznaczenia. W stronie dalekiéj, w sposób nieprzewidziany i nieobjęty rachubą oczekiwań, zawiązał się nowy kierunek losu wygnańca, który miał sprawić dla niego zmianę miejsca, położenia i nietylko stopnia ale i rodzaju cierpień,

Na początku jesieni tegoż 1852 roku, Eustachy będąc w Karlsbadzie, zobaczył się tam z hr. Anatolem Demidowem, panem książęcej posiadłości San Donato pod Florencyą, i ogromnych zakładów Niżne-Tahilskich w Uralu. Rozmowa o kopalniach sybirskich, nie mogła obejść się bez wzmianki o bracie pokutującym na Sybirze. Demidow sam powziął i podał myśl, że jeśliby, jak spodziewa się, zgodziło się to z życzeniami Adolfa, mógłby wystarać się o przeniesienie jego do Niżne-Tahilska, gdzie obok wszystkich dogodności jakie można mieć w mieście już europejskiém, znalazłby zatrudnienie odpowiednie swoim upodobaniom i usposobieniom, a razem nastręczyłby sposobność do wyjednania mu z czasem dalszego posunięcia się w

głąb' Europy. Na wypełnienie w szczegółach dobréj woli hrabiego, można było rachować z tém większą pewnością, że głównym zarządcą jego interesów w Rossyi był natenczas ś. p. Antoni Kożuchowski, niegdyś kierujący interesami Radziwiłłowskiemi, serdeczny przyjaciel Eustachego i znajomy Adolfa. Uprzejma propozycya nie zostawiała najmniejszego powodu do zwłoki w jéj przyjęciu. Przyzwolenie najbardziéj interesowanego w téj sprawie, zdawało się należeć do formalności ceremonialnych tylko, i pierwiéj nim on mógł cóś wyrzec, cała rzecz była niemal skończona.

Właśnie kiedy Adolf, po tygodniowéj chorobie na silną gorączkę, otulał się jak najstaranniéj w swoim cichym kątku, nagle spadł na niego list z Dziahylny, donoszący o wszystkiém co zaszło i zakończony pytaniami : czy wie co to jest Niżne-Tahilsk, i czy życzy sobie być jego mieszkańcem?

Samo hasło powrotu do Europy, wystarczało na zbudzenie wszystkich w nim pragnień i nadziei. Z gotowością pielgrzyma, chwilowym snem zmorzonego w drodze, zerwał się ze swojéj pościeli kwiecistéj, i bez namysłu odpisał natychmiast, 20 grudnia.

« Przysyłacie mi bardzo radośną wiadomość i pytacie jak ją przyjmę : odpowiadam.

« Niżne-Tahilsk leży o 1,050 wiorst od Omska, a zatém o tyle bliżéj Dziahylny; o 150 wiorst od Ekaterinenburga w gubernii permskiéj, a więc w Europie, chociaż na azyatyckiéj stronie Uralu. Ma on przeszło 20 tysięcy mieszkańców, bogate kopalnie, z których wydobywają rocznie 25 pudów złota, krociami tysięcy

pudów czugunu, żelaza, miedzi, nie licząc platyny, malachitu i tym podobnych kosztowności; ma przytém rozmaite fabryki i warsztaty, żelazną drogę na swój użytek i własny parochod; jedném słowem, przedstawia w sobie wszystkie skarby natury, sztuki i przemysłu, jak to wiem z Jeografii w 1846 wydanéj.

« Klimat wprawdzie zimniejszy od tutejszego, gdyż położenie miejsca jest o 4 stopnie wyżéj ku północy; ale ponieważ góry i puszcze zasłaniają od Lodowatego morza, wszyscy co tam bywali utrzymują, że mrozy tameczne nie tyle czuć się dają, ile nasze nieznośne burjany omskie, dmące po płaszczyznie ze wszech stron odkrytéj.

« Jakżebym więc nie był rad z zamiany! Dałby tylko Bóg aby życzliwe starania pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały, a upewniam was, że nie oglądając się pożegnam Omsk, który mi już tyle zdrowia kosztuje i w którym niemasz nic, coby mogło zająć umysł człowieka. »

Obok tych wyrażeń, jako człowiek scisły w pełnieniu obowiązków, a przeto i oględny w ich przyjmowaniu, dodał. « Jedno mnie niepokoi, że nie wiem, jakiego rodzaju usług oczekuje odemnie mój szlachetny dobroczyńca. Boję się, żeby nie były one nad moje sposobności, bo jeśli kiedy i miałem jakie, to te leżąc dwadzieścia lat odłogiem, straciły prawie całą swoją wartość. Oto jest najszczersza odpowiedź, jaką teraz dać wam mogę. »

Rzeczy szły szybko. Na żądanie Demidowa zaniesione 11 pazdziernika, a poparte przedstawieniem

jenerał-adjutanta Orłowa, kancellarya przyboczna cesarska. w dniu 2 grudnia, dała już odpowiedź hrabiemu Anatolowi, że « odstawny kolezki regestrator Adolf Januszkiewicz, przebywający w Omsku, ma wolność przeniesienia się do Niżne-Tahiłska, o czém uwiadomiony minister spraw wewnętrznych, wyda stosowne rozporządzenia. »

Zaraz po wyprawieniu pierwszéj swéj odpowiedzi, otrzymał Adolf kopią powyższego pisma, i w dniu 1^m^ stycznia 1853, pisał znowu do Dziahylny.

« O jakże jestem szcześliwy, iż mogę nowy rok zacząć od udzielenia wam pożądanéj wiadomości, że życzenia nasze spełniły się i że wkrótce opuszczam Syberyą. Nie będę rozwodził się nad tém, co się téj chwili dzieje w mojém sercu; wolę wraz z wami wynurzyć wdzięczność Najwyższemu za doznane dobrodziejstwo i błagać go, aby raczył zlać wszelkie swoje dary na tych, którzy przyczynić się chcieli do zmiany w mojém położeniu.

« Którego dnia wyjadę z Omska, jeszcze z pewnością nie wiem, bo jenerał-gubernator zwiedza teraz okręgi północne i ledwo około 20° stycznia powróci. Zdaje się wszakże, iż pierwszych dni lutego wyruszę z miejsca. Nie piszcie więc już do mnie do Omska, ale do N.-Tahilska.

« Dziwi mię to mocno, że nie mam ani słowa od p. Antoniego (Kożuchowskiego). Przyjemnie byłoby mi być uprzedzonym przez niego, względem przyszłego mego położenia i zajęcia. Jadę do N.-Tahilska z radością, ale szczerze mówiąc, jak do lasu; bo tam nie

znam nikogo i nie wiem jaka ma być sfera mojego działania. »

Ostatni list z Omska, 2 lutego, zawierał te słowa. « Za dni kilka puszczam się w drogę, ciesząc się wielce, iż właśnie onegdaj przyjechał ksiądz z Tomska, którego obecność dozwoliła mi dzisiaj dopełnić obowiązków chrześcianina i u stóp ołtarza podziękować Bogu za Jego opiekę w ciągu tyloletniego pobytu mego w Syberyi, jak również za dzisiejszą zmianę w moim losie...

« Kończąc z górą dwudziestoletnią moją sybirską korespondencyą z wami, z głębi serca wynurzam wam moją wdzięczność za tę nieustanną troskliwość, jakiéj byłem przedmiotem, i zanosząc do Boga modły o zdrowie wasze, polecam się nadal błogosławieństwom najdroższéj Mamy. »

Dnia 11° lutego, po rzewnych pożegnaniach, podróżny nasz opuścił Omsk, i szczęśliwie przebywszy dwunastodniową drogę, 23° tegoż miesiąca stanął w Niżne-Tahilsku.

V

Od przybycia do nowego siedliska w Uralu, do końca wygnania było już tylko niezupełnie lat trzy i pół. Ostatni ten, najkrótszy, z widokami wszelkich ulg powitany okres niewoli, stał się jednak najcięższym,

najsmutniejszym, najdotkliwszym. Niedające się wytłumaczyć przeznaczenie nieszczęśliwego Adolfa tak chciało, żeby przez całe życie musiał żałować przeszłości, a szukając wyjścia z pokutniczego zamknięcia, spadał na coraz ciemniejsze stopnie, aż do grobu. W Omsku, z żalem oglądał się na Iszym; w Niżne-Tahilsku, daleko tęskniéj wzdychał po Omsku. Niemożna wszakże powiedzieć, żeby ktokolwięk, albo on sam był temu winien. Niczyja obietnica go nie zawiodła, niczém nie przyczynił się do pogorszenia swojéj doli. Otoczony zdaleka i zblizka największą życzliwością, dbały i przezorny w każdym kroku, czego tylko spodziewał się, znalazł; co tylko sobie zamierzył, dopiął. Nigdy mu niezabrakło silnéj podpory w ludziach, nigdy dla ludzi nie odstąpił surowych wymagań swego sumienia. Mimo to wszystko, jakaś fatalność zdawała się ciągle naigrawać się z niego. Na czémkolwiek się oparł, zaraz się to kruszyło; cokolwiek otrzymał, zaraz niespodziewana przyczyna, niszczyła całą ztąd uciechę. Gnębiony naprzemian to cierpieniami fizycznémi, to nieokreślonym smutkiem, doświadczył nakoniec téj najdotkliwszéj z wewnętrznych boleści, jaką sprawuje spotkana nagle sprzeczność uczuć na drodze jednego życzenia.

Początek był bardzo pomyślny. Na przyjeżdżającego z niepokojem « o sferę działania, » czekał sam wszechwładny zarządca tamecznych działań. « Niepodobny już do tego jakim był przed 25 laty w Petersburgu, znacznie postarzały, uskarżający się na cierpienia piersiowe, obarczony tysiącem interesów i kłopotów, a

mimo to zawsze żywy, czynny, niepozwalający sobie spoczynku, » pan Antoni, przyjął dawnego znajomego jak najuprzejmiéj, zapewnił go, że dobierze mu najstosowniejsze zatrudnienie, a tymczasem radził wytchnąć z trudów podróży, rozpatrzyć się w Niżne-Tahilsku i zapoznać się z jego mieszkańcami.

Przyjemność tych pierwszych chwil, pomięszała zaraz choroba, a do niéj przyłączyła się tęsknota, odzywająca się przy każdém z następnych doniesień, przesyłanych matce i bratu.

« Położenie miejsca wydało mi się niezmiernie piękne; ludzie, których dotąd miałem zręczność widzieć, są grzeczni i cywilizowani... Tyle tylko mogę wam donieść we dwa tygodnie od mojego tu przybycia, bo od dni dziesięciu nigdzie nie wychodzę... Z ostatniéj gorączki grudniowéj, odbytéj w Omsku, zostało cóś we mnie, co tu przywiezione, czy to skutkiem niewygód podróży, czy z łaski trzydziestostopniowych mrozów zdobiących marzec, rozwinęło się sobie bujnie. Na trzeci dzień po przyjeździe, byłem już kwaśny i cierpiący, późniéj ogarnęło mię straszne palenie ciała z nieznośnym świerzbem skóry, okropną nudą i bezsennością. Lekarz tutejszy, nasz ziomek Sokołowski, przez trzy dni dawał mi na silne poty, które sprawiły rodzaj wysypki na krzyżach i przyniosły wielką ulgę. Zaręcza on mię, że wkrótce będę mógł przejechać na moją kwaterę, wyporządzoną dla mnie z rozkazu pana Antoniego. Dotąd mieszkam w domu przeznaczonym dla gości zwiedzających zakłady. P. Antoni odwiedza mię często i ciągle daje dowody największéj przychylności.

Przeznaczył mi już pensyi rocznéj 1,400 r. as., a oprócz tego, z polecenia samego hrabiego, posłał mi do Omska na koszta podróży 700 r. as., które rozminęły się ze mną w drodze, ale powrócą tutaj. Hrabia pisząc znowu do niego z San-Donato, pamiętał o mnie i prosił go « aby mi zapewnił *une position convenable.* » Ile dotąd powiedzieć mogę, zdaje się, że zajmę posadę bibliotekarza, projektowanéj biblioteki. Będę więc miał płacę, zwłaszcza przy moich dochodach podolskich, aż nadto do utrzymania się dostateczną, mieszkanie skarbowe, zatrudnienie wolne od narażania się na ostrość klimatu i zabezpieczające droższą nad wszystko spokojność: czegoż mi więcéj potrzeba! Gdy przytém świeci mi nadzieja posuwania się coraz bliżéj ku wam, łatwiéj znoszę tę wielką stratę, jakiéj doznaję przez rozstanie się z kilką rodzinami w Omsku, z rodzinami, których przyjaźń i współczucie były taką osłodą mojego wygnania, na których wspomnienie od łez wstrzymać się nie mogę. Lecz dajmy pokój temu drażliwemu przedmiotowi, bo mogłby on mię zaprowadzić zbyt daleko, a ja tak jeszcze jestem osłabiony, że nie uszłoby mi bezkarnie dotykać tych bolesnych stron serca. »

« Od 18 marca mieszkam już we własnéj kwaterze, z łaski szanownego pana Antoniego jak najstaranniéj opatrzonéj i umeblowanéj. Jestto niewielki domek murowany, o jedném piętrze, położony niedaleko od tak zwanego *gospodzkiego dworu,* gdzie rezyduje pan Antoni z trzema swymi sekretarzami. Na dole sień, kuchnia, pokoj dla kucharki i spiżarnia; na górze przedpokoj, wielka sala pięcią oknami oświecona i gabinet :

wszystko jak z igły zdjęte, wymalowane, gustownęm obiciem wyklejone — pałac! w porównaniu ze skromną moją kwaterą u poczciwéj Kuźmowny, która mi pisze, że dotąd z całą swoją rodziną wypłakać się po mnie nię może. Rzadka to kobieta. Bogdajby Bóg czuwał nad nią i nad jéj liczném potomstwem. Jakżę byłbym szczęśliwy, gdybym tu znalazł choć w części podobne przywiązanie i usługę. Ale nadzieja w Bogu, może i tu z czasem zasłużę na życzliwe uczucia tych, co mię poznają bliżéj. Nateraz dość rad jestem z kucharki, jaką mi się znaleść udało. Pełni ona razem obowiązek praczki i lokaja, a wszystko porządnie i szybko, pomimo trudzącéj kommunikacyi między dołem a górą. Skoro tylko stuknę nogą w podłogę, natychmiast moja służebnica jawi się z samowarem, z obiadem lub z lichtarzami w ręku. Nie mogę jeszcze sądzić o jéj talencie gastronomicznym, bo ciągle żyję samemi rosołkami i kleikami. Pomimo dyety i leków, choroba dopieka niemiłosiernie; ogień co palił całe ciało, skupił się teraz w jedno miejsce na końcu kości pacierzowéj: ani siedzieć, ani leżeć! — chodzę ciągle po pokoju jak *Wieczny Żyd* Eugeniusza Sue... Przy własnych cierpieniach trapię się stanem zdrowia zacnego pana Antoniego. Coraz z nim gorzéj. Spazmy, których od pięciu lat doświadcza, chociaż szukał rady u najpierwszych lekarzy Europy, napastują go okropnie. Jeżeli czas wiosenny nie przyniesie ulgi, kto wie jak się to może skończyć...

« W Omsku smucą się po mnie, a ja po nich jeszcze bardziéj; bo oni tam mają swoje grono, a ja tu jeden.

Wiktorstwo w każdym liście kłaniają Mamie i Januaremu. Zosienka, moja kuma, już z kilkoma listami wystąpiła. Nie uwierzycie jak mi tęskno po nich. Była to druga moja rodzina, którą znalazłem w drugiéj części świata. »

« Pierwsze dni kwietnia mamy prześliczne, na słońcu 30 stopni ciepła. Od kilku dni już wychodzę z mieszkania, a za jaki tydzień wyjdę z opieki doktora. Jedno tylko, co mi truje wszelką przyjemność i odbiera spokojność, to że z panem Antonim źle bardzo. Aż żal patrzeć ile on cierpi i jak się zmienił... »

« Nie mogłem już oświadczyć waszych podziękowań panu Antoniemu za przyjęcie jakiego doznałem od niego. Niestety! przyszły nazajutrz po jego pogrzebie. Dnia 15 kwietnia oddaliśmy mu ostatnią posługę z okazałością, na jaką tylko Niżne-Tahilsk mógł się zdobyć. Ciało nabalsamowane i naprzód w ołowianéj, potém w drewnianéj trumnie zamknięte, złożone zostało na cmentarzu dla cudzoziemców przeznaczonym, w grobie tymczasowym; bo zapewne rodzina otrzyma pozwolenie przeniesienia go do majątku dziedzicznego nieboszczyka, Rybnicy na Podolu. Orszakowi pogrzebowemu przewodniczył ksiądz Łowcewicz, o 400 wiorst ze Złotousta sprowadzony. Za trumną szło kilkanaście tysięcy, tak miejscowego jak z okolic przybyłego ludu. Dzień ten na długo zostanie w pamięci mieszkańców tutejszych, opłakujących nieboszczyka i z wdzięcznością wychwalających jego uprzejmość, dobroć, sprawiedliwość, i tę energiczną czynność, z jaką pracował już to dla polepszenia ich bytu, już dla ciągłego

posuwania na wyższy stopień doskonałości tutejszych zakładów górniczych. Co zaś tego dnia działo się we mnie, nie potrzebuję wam mówić : znacie moje serce i wiecie ile ś. p. pan Antoni zobowiązał je pełną troskliwości o los mój przyjaźnią. »

Owoż, skruszyła się pierwsza podpora... Dotknięty bolesną stratą, ujrzał się znowu Adolf osamotnionym wśród obcych, bez ustalonego stanowiska, bez nikogo takiego w pobliżu, ktoby umiał rozumieć i wpływem swoim ochraniać delikatne jego położenie. Miał wprawdzie zaraz nowy dowód pamięci o nim hr. Demidowa w liście, który przyszedł już po śmierci Kożuchowskiego, ale zrażony i smutny, oddawał się raczéj niepokojącym myślom, niżeli ufności w lepszy obrót rzeczy.

« San Donato daleko — powiadał — nim to ztamtąd przyjdzie jakieś pewniejsze względem mnie postanowienie, a tymczasem nie wiem dobrze co z sobą robić. Musiałem przyjąć pensyą, naznaczoną mi przez nieboszczyka, bo mię słuszni ludzie zapewnili, że odmówienie jéj byłoby nieprzyjemném temu, który tak szlachetnie mną się zajmuje. Przykro to wszakże być obowiązanym, a nie mieć wyraźnego obowiązku. Żeby nie jeść darmo chleba, upatruję, czémbym na wszelki przypadek, gdyby moje widoki upadły, mógł być jeszcze użytecznym : poznaję miejscowość, zwiedzam kopalnie, przyglądam się wszelkiego rodzaju robotom; wiele zobaczyłem rzeczy zupełnie nowych dla mnie i bardzo ciekawych. »

W tym przeglądzie rychło wpadł pod oko przedmiot, który nie mógł ujść uwagi Adolfa. Niżne-Tahilsk, jako

rezydencya urządzona podług wszelkich wymagań przepychu, miał też i okazały ogród, opatrzony w oranżerye i ananasarnie, ale niezmiernie zaniedbany. Nietrzeba było daléj szukać namiętnemu miłośnikowi Flory. Udał się natychmiast do kogo z porządku należało, otrzymał zwierzchnią władzę nad tym wydziałem administracyi i z właściwą sobie gorliwością, na początku maja oddał się ulubionemu zatrudnieniu. Słabość zdrowia wszakże i troska o stałą posadę, mięszały wszelkie ztąd zadowolenie : pisał ciągle z ubolewaniem i narzekaniem.

« Rad jestem z mojego zajęcia się ogrodem, choć to wiele trudu i kłopotu przyczynia, bo przynajmniéj w jakikolwiek sposób wypłacam się za doświadczone względy. Gdyby przytém zdrowie! Ale pomimo tyle pochłoniętych lekarstw, nie mogę pozbyć się zupełnie choroby, która ciągle mi dokucza i sprawia, że nic mi nie miło, nawet piękna pogoda. Może zresztą wpływa na to i niespokojność umysłu z powodu niepewności mego położenia. Ufam ja w najlepsze chęci p. Demidowa, ale on nie znając mię osobiście, może się pomylić w wyborze właściwéj dla mnie posady, a to mię bardzo obchodzi. Przypatrzywszy się tu wszystkiemu w ciągu trzech miesięcy, zgłębiwszy ludzi i rzeczy, coraz bardziéj widzę, że dałem dowod niepospolitéj przenikliwości, gdy zaraz po przybyciu prosiłem ś. p. pana Antoniego, o skromny obowiązek bibliotekarza, który jak się przekonywam, jeden tylko może mi tu zapewnić spokojność i niezależność, jakiemi cieszyłem się w Omsku.

« Pisze mi January o jakiejś expedycyi uczonéj, wybierającéj się w nasze strony i powiada, czy nie mógłbym zostać przy niéj tłumaczem. Nie wiele ta expedycya uśmiecha się do mojéj wyobraźni. Naprzód, że wedle wszelkiego podobieństwa, nic z niéj nie będzie; powtóre, że nie z mojém to teraźniejszém zdrowiem włóczyć się po górach i lasach, narażać się może na mrozy Berezowa lub Turuchańska. Minęły te czasy, kiedy lubiłem i mogłem odbywać podróże; dziś mi potrzeba cichego kątka i ciepła. Dość już ja mam Syberyi. Kto Januaremu podał myśl téj dla mnie wędrówki po śniegach, lodach i tundrach Azyi północnéj, ten nie wiedział, albo zapomniał, że ja jutro kończę 50ty rok życia; że przeszło 20 lat ciesząc się klimatem sybirskim, miałem dziesiątek gorączek, dwa razy zapalenia płuc i gardła, przez trzy zimy ciągły reumatyzm, a wszystko to z przeziębienia.

« Szczególniejszy mój los! Ja tak lubię ciepło, organizacya moja, tak do ciepła stworzona, a on ciągle mię posuwa ku północy. Gdybym był marynarzem, mniemałbym, że przeznaczenie mię powołało do odkrycia bieguna północnego...

« Oglądając ze wszech stron smutne położenie, myślę jakby je zabezpieczyć od pogorszenia się i w tym celu zanoszę następną prośbę do najdroższéj Mamy... Trzeba wam wiedzieć, że osobą mającą wielki wpływ na zarząd Niżne-Tahilskich zawodów, jest pani Aurora Karamzin, która pierwéj była za Pawłem Demidowem i jest matką małoletniego jego syna Pawła, dziedzica połowy całego majątku. Wysoko ceniła ona

ś. p. pana Antoniego, i jak widać z pierwszéj jéj odezwy do tutejszéj administracyi, szczerze go żałuje. Bardzo więc mogłoby mi to posłużyć, gdyby kochana Mama napisała stosowny list do niéj, prosząc o względy i opiekę dla nieszczęśliwego syna swojego, który skutkiem łaskawego wstawienia się za nim hr. Anatola, przeniesiony tutaj, winien był trzydziestoletniéj przyjaźni nieboszczyka Kożuchowskiego, zapewnienie sobie skromnéj, ale najodpowiedniejszéj życzeniom posady, a dziś trwoży się o to, żeby nie widział się zmuszonym do wyboru innych zatrudnień, przeciwnych jego stanowi zdrowia i usposobieniom. Po téj prośbie może nastąpić druga, o przyłożenie się do starań celem mego powrotu na łono rodziny. List taki, siedemdziesiątletniéj matki, od lat dwudziestu bolejącéj nad losem syna, nie zdziwi pani Karamzin, owszem będzie pewno przyjęty wyrozumiale, bo ona sama jest matką, a przytém jak wszyscy mię zapewniają, ma to być niezmiernie zacna i dobra osoba. »

« Dziś, w sam dzień moich imienin, otrzymałem drogie wasze wyrazy... Dziwna rzecz, że listy od was idą prawie cały miesiąc, kiedy z Paryża przychodzą tu daleko prędzéj : nie wiele zyskaliśmy na zbliżeniu się do siebie o wiorst 1,000 z górą... Wdzięczen jestem synowcowi Michasiowi za przypisek... Cieszy się on, że stryj jego mieszka teraz w jednéj z nim części świata... Ach! i ja tak myślilem, i tak jest na pozor, bo Niżne-Tahilsk leży w gubernii permskiéj, należącéj do Europy; ale właściwie, Europa ma swoją granicę ztąd o wiorst przeszło 40 na zachod. Naturalny ten

przedział wskazują już same wody, spadające w dwie przeciwne strony. Nasz Tahil liczy się do rzek azyatyckich. Wszyscy mieszkańcy tutejsi nazywają siebie *Sybiriakami;* każdy się z nich wyraża: *u nas w Syberyi;* pan Demidow, w dziele swojém: *la Russie méridionale,* mówi: *mes propriétés sibériennes;* co zaś największa, klimat nie ustępujący w niczém sybirskiemu, przekonywa, że stary Herodot miał słuszność naznaczyć góry Ryfejskie za granicę między Europą, a Pół-Azyą. Jeżeli więc kochany Michaś pragnie, żebym był jak on europejczykiem, niech się często modli o to do Boga, a jego niewinne modły może wyproszą dla starego stryjaszka tę łaskę, że wszystkich swoich synowców uściśnie i dni ostatnie zakończy pod łagodniejszém niebem.»

«Tydzień temu, 13 czerwca, szczególném zdarzeniem w dzień świętego Antoniego, wyprawiono zwłoki ś. p. Kożuchowskiego w podróż wodą do Petersburga. Przy téj okoliczności, tak bolesnéj dla mnie, miałem sposobność, pierwszy raz po tylu latach, stanąć na ziemi europejskiéj; jezdziłem bowiem aż do przystani na rzece Cziusowéj i byłem przeszło o 50 wiorst za słupem, na którym napisano po rossyjsku: GRZBIET URALU, a wyżéj wielkiemi literami, z jednéj strony AZYA, z drugiéj EUROPA. Spójrzawszy z tego punktu na zachodnią stronę gór, zdjąłem czapkę i nie bez ściśnienia serca powitałem część świata, w któréj się urodziłem, a któréj tak dawno nie widziałem... Całéj podróży miałem wiorst 86 i ciągle jechałem po ziemi Demidowów, pomijając liczne, różnego nazwiska ich zakłady,

położone zwykle nad wielkiemi stawami. Miejscowość wszędzie cudowna; droga tylko najniegodziwsza przez góry porosłe bez przerwy sosnowym, jodłowym i modrzewiowym lasem. Napatrzyłem się na bogactwa wydobywane z wnętrza ziemi, ale nie ujrzałem nigdzie ani źdzbła zboża, i oko moje nie ucieszyło się upragnionym widokiem żytka lub pszeniczki, który dla mnie milszym byłby od widoku kruszcza, choćby przez to samo, że chleb jest darem Bożym nie kuszącym tak do złego jak kruszec. »

« Zdrowie moje cokolwiek się polepszyło, może skutkiem nieustannego ruchu. Od 5éj rano do 7éj wieczorem uwijam się po ogrodzie, naznaczając różne roboty i pilnując robotników. Ledwo na chwilkę wpadam do siebie, żeby wypić herbatę, albo zjeść obiad. Ale co namarzłem się przytém! Okropny to klimat: choć i słońce grzeje, za każdym krokiem czujesz chłód przed sobą jak z otwartéj lodowni... Od 1° do 4° czerwca padał śnieg, potém deszcz z lodem... Gdyby mię obsypywano całém złotem wydobywaném z tutejszych piasków, za nic w świecie nie zgodziłbym się z dobréj woli pozostać nazawsze w takim klimacie. To nie życie, ale powolna śmierć i męka, zwłaszcza dla mnie, gwałtownie potrzebującego ciepła. Dziwném zrządzeniem, zamiast łaski jaką wistocie chciano mi wyświadczyć, otrzymałem powiększenie kary. Cóż począć kiedy się tak stało! Ja nie mniéj jestem wdzięczen tym wszyskim, co przez życzliwość przyłożyli się do téj zmiany, a że jéj skutek nie odpowiada ich chęciom, to może w części i stan mego zdrowia jest winien... »

« Od połowy czerwca mamy dni śliczne, prawdziwe lato. Roboty moje w ogrodzie postępują olbrzymim krokiem. Mnóstwo dam, panien i dzieci odwiedza mnie wśród krzyżujących się w różnych kierunkach taczek z piaskiém i koszami ziemi. Na Ś. Piotr, mój ogród będzie jak lalka!... Otwarcie mówiąc wszakże, nigdzie i nigdy nie było mi tak smutno jak tutaj! »

Przy tych narzekaniach, pod koniec czerwca « horyzont przyszłości począł się rozjaśniać. » P. Benoist, francuz, jeden z sekretarzy nieboszczyka Kożuchowskiego, posiadający jego przyjaźń i zaufanie, wyjechał w maju do Petersburga, gdzie zajął miejsce sekretarza p. Karamzina i opieki, czyli ogólnie Demidowów. Rozsądny ten i zacny, a wielce Adolfowi życzliwy człowiek, troskliwie zajmował się jego losem, donosił mu o wszystkiém, co tylko miało związek z jego położeniem i mogło mu robić jaką nadzieję. Przysłał mu tedy naprzód wyjątki z listów od jednego ze swoich spółziomków będących przy Anatolu Demidowie, w których były słowa : « Powiedz panu J... niech będzie spokojny o swoją posadę. Nietylko książe Anatol, ale i p. Karamzin, który był teraz w Wenecyi dla rozmówienia się z księciem o interesach, są dla niego jak najlepiéj usposobieni, polecili go panu Le Play, wysłanemu przez nich do Niżne-Tahilska, jako człowieka, z którego zdolności i ukształcenia będzie mógł korzystać. » Do tego, nieoszacowany p. Benoist dodał od siebie : « Znając twój charakter i szlachetne przymioty (niech to będzie między nami bez komplementów), pozwoliłem sobie, mój przyjacielu, upewnić przybyłego

już do Petersburga pana Le Play, że będziesz mu służył za tłumacza, na którym może polegać z zaufaniem, nawet w najdelikatniejszych sprawach. » Druga wiadomość od tegoż troskliwego pocieszyciela była, że pani Aurora, bardzo dobrze przyjęła list matki i przesłała już jéj uprzejmą odpowiedź.

Le Play, uczony górnik francuzki, dziś członek Rady Stanu, uproszony do zwiedzenia i urządzenia zakładów Demidowowskich w Uralu, przybył do Niżne-Tahilska 29 czerwca, powitał swego tłumacza, jako już dobrze znajomego sobie, powtórzył mu wszystkie zapewnienia ze strony pryncypałów, oświadczył iż jest upoważniony zalecić rządzcy zakładów, aby mu dał takie zajęcie się jakiego sam będzie żądał, a nakoniec w imieniu Demidowa i Karamzina wyraził, iż lubo życzą aby Adolf upodobał sobie w Niżne-Tahilsku, bynajmniéj to nie umniejszy ich gorliwości w staraniach o jego powrot do rodziny.

Uradowany i pokrzepiony otuchą Adolf, opowiadając to wszystko matce na początku lipca, kończył list témi słowy: « Rzeczy stanęły na tém, że nim mi Bóg pozwoli opuścić góry Uralu, będę tu *bibliotekarzem* z pensyą 400 rubli sr., a *inspektorem ogrodu* przez miłość dla biédnéj Flory, która w tutejszym klimacie potrzebuje czułéj opieki. Za dni kilkanaście spodziewamy się tu pana Karamzina, którego obecność, jak mogę mniemać, jeszcze bardziéj umocni moje położenie, na czas daj Boże jak najkrótszy. »

W parę tygodni późniéj pisał: « Nie dość, że jestem bibliotekarzem i samowładzcą ogrodu, ale przyszło mi

jeszcze zostać astronomem! P. Le Play powziął takie o mnie wyobrażenie, że wszystko umiem i wszystko mogę. Kilka dni temu, zapytał mię w sposób nieprzypuszczający odpowiedzi odmównéj, czy nie chciałbym zająć się obserwacyami meteorologicznemi i wziąść pod mój zarząd termometrów, barometrów, hydrometrów i tym podobnych instrumentów. Jakkolwiek ta gałąź nauk mało mi jest znaną, musiałem podjąć się nowego obowiązku: bo naprzód, przekładał mi iż nie wymaga wielkiéj mądrości, nie święci garnki lepią, i mój poprzednik nie był Herszelem; powtóre, że obserwacye robią się dla samego pana Demidowa i sprawiłoby mu to przyjemność, gdybym nie dał im upaść; potrzecie, co bardzo przemówiło do mego przekonania, że moje bibliotekarstwo, właściwie mówiąc, jest jeszcze *in partibus*, bo biblioteka ma się dopiéro stworzyć czyli złożyć, a gdy jesień, która już nie za górami, każe zamknąć ogród, zostanę bez zatrudnienia. To wszystko wziąwszy na uwagę, rzekłem : niech i tak będzie!

« Dla spokojności Mamy, wyobrażającéj zawsze że się zabijam trudami, dodaję, iż do ogrodu mam tylko kilkadziesiąt kroków i chodzę przez ogródek mojego gospodarza, a obserwatoryum leży prawie obok mojéj kwatery.

« W dalszym ciągu uspokojeń donoszę, że z mojéj striapki bardzo jestem kontent, chociaż, jak to mówią, prochu nie wymyśli i gotuje jeść, at sobie. Byłem tylko w kłopocie przewidując, iż na jakich parę tygodni zostawi mię bez usługi, ponieważ miała wkrótce

obdarzyć swego męża potomkiem. Aż i to odbyło się jakoś w mgnieniu oka. W sobotę, pomywszy naczynia po obiedzie, o siódméj wieczorem powiła córkę, a w poniedziałek, kiedym się ani spodziewał, ani wiedział, zgotowała mi jak zwykle obiad. Gdym ją łajał za to, odpowiedziała : *niczewo bariń*. Życzę kochanym moim bratowym, żeby one w podobnych okolicznościach mogły mówić : *nic to nie znaczy*. »

« P. Le Play, około 20 sierpnia wyjeżdża ztąd i przez Petersburg wraca do Paryża. Tymczasem robią się przygotowania na okazałe przyjęcie p. Karamzina, którego przybycie tutaj ma wywrzeć wpływ stanowczy na wszystkich i wszystko. Od jego przyjazdu, będzie się liczyła nowa era rządów Niżne-Tahilska, zjawi się w nim bowiem jako główny i jedyny reprezentant rodziny Demidowów. Można więc sobie wyobrazić, jak tu każdy wygląda chwili, w któréj goniec z Permu doniesie, że powoz jego stanął już nad brzegami Kamy, a zatém wkrótce ujrzymy go nad Tahilem. »

Z rozjaśniającémi się widokami wracał Adolfowi dawny humor i listy jego przybierały coraz weselszy charakter.

« List dzisiejszy — pisał 2° sierpnia — napełnię samémi radośnémi nowinami. I tak naprzód, mam przyjemność donieść, że wszystkie ostatnie od was nowiny, tak dla mnie miłe, doszły mię rychło i razem. Żal mi tylko nóżek Mamy, które jéj nie służą, jak dawniéj. Ale cóż tu począć przeciw niezbędnym następstwom lat i tylu cierpień doznanych w życiu! Ja młodszy, a musiałem zarzucić polowanie, gdyż nie mogłem

już w ostatnich czasach chodzić ośmnaście godzin z rzędu po zaroślach i błotach, jak to bywało w Iszymie. Ale zkąd Mama raczyła wziąść sobie 74^y roczek? Podług mego rachunku, powinien być 72^i, a to na téj zasadzie: słyszałem zawsze, że przyszedłem na świat, kiedy Mama miała 21 lat; ponieważ zaś, jak stwierdza swiadectwo metryki nieulegające wątpliwości, zacząłem rok 51^y, rzecz więc bardzo prosta, że Mama jest dopiero w 72^m.

« Wczoraj spotkała mię także wielka przyjemność. Eugenia pisze, że 7° lipca Pan Bóg dał jéj córeczkę, która będzie nosiła imiona Maryi, Tekli, Leonilli: ostatnie z tych imion, nie wiem już na czyją pamiątkę. Matka, dziécię i uszczęśliwiony ojciec, są w jak najlepszém zdrowiu...

« Jakby na dopełnienie tych wszystkich radości, przybył do nas oddawna oczekiwany pan Karamzin. W dniu wczorajszym przedstawiłem się temu szanownemu mężowi. Przyjął mię jak tylko być może najlepiéj, i tak od Demidowa jak od siebie samego zapewnił wszelką względność i protekcyą, jakiéj wymaga moje położenie. Ale, co najważniejsza, tyle w serce moje wlał nadziei, iż zdaje mi się, że już lecę po trakcie Dziahylniańskim. Kilka słów jego przemieniło mię zupełnie; innémjuż nawet okiem patrzę na N.-Tahilsk, tak szkodliwy memu zdrowiu... P. Karamzin przywiozł mi wyborne brzytwy angielskie i przy pierwszém widzeniu się zaprosił mię na obiad. Długo potém rozmawiał ze mną, to o Omsku, to o stepie kirgizkim, którego miła pamięć tak się ożywiła we mnie, że jeśli tylko

zdrowie pozwoli, mam ochotę wszystkich moich Bikturów, Baraków, Kuczuk-Tobukli, Kyłdy-Nogajów i Kaksak-dem-bejów, przekazać potomności. »

Późniejsze listy, chociaż w miarę wzrastających słot i chłodów jesieni, coraz częściéj przeplatane użalaniem się na zdrowie, nosiły ciągle na sobie barwę uspokojonego i rozweselonego umysłu, a zawierały zawsze jakiś szczegół odnoszący się do nowo poznanych osób, których życzliwość była rękojmią nadziei, jak naprzykład:

« Ciekawy jestem czyście sadzili i czy się wam udały moje ogórki chińskie? Tu u mnie doszły arszyna długości i wzbudziły nawet zadziwienie pana Le Play, który tyle dziwnych rzeczy widział na świecie...

« Mieliśmy niedawno wesele jednego z głównych urzędników tutejszéj administracyi. P. Karamzin był tak zwanym *posadzonym* ojcem, a ja dostałem zaszczyt być *szafirem*, to jest asystentem, czy kawalerem panny młodéj, i musiałem przez pół godziny podczas ślubu trzymać koronę nad jéj głową. Pan ojciec dawał huczny obiad dla nowożeńców, na którym znajdowało się do 70 osób. « I ja tam byłem, miód wino piłem, po brodzie ciekło, w gębie nie miałem. » Co rzeczywiście mogę powiedzieć, bo chociaż dwanaście toastów spełniono szampanem, ja tak zręcznie umiałem manewrować, że tylko trzy kieliszki wypiłem...

« Od 2° pazdziernika, mamy już zimę zupełną, z należytym śniegiem i mrozem... Dałby Bóg, aby jak spodziewam się i przeczuwam, była ostatnią dla mnie w Syberyi. Przy najpomyślniejszych jednak spełnie-

niach nadziei, niepodobna abym się jeszcze nie doczekał tutaj nowego roku...

« Wdzięczen jestem mojéj kochanéj bratowéj, że na moje przyjęcie gotuje już kątek w Dziahylnie. Ale niech tylko ten kątek nie będzie taki, jaki widziałem we śnie. Wyobraźcie sobie : śni mi się, że lecę... przylątuję do was... Marylla wybiega na moje spotkanie, płacze z radości, a dziatwa jéj, wszystka w jakichś czekoladowych sukienkach, opada stryjaszka, czepia się na nim, ale taka zasmolona i zamurzana, że matka musiała kazać jakiejś Anieli, zapewne niańce, zabrać ich i obmyć; sama zaś chwyta mnie i prowadzi... zgadnijcie dokąd? Oto wprost do kuchni, gdzie wskazuje mi za łóżko jakiś chyrlawy zydel. Musiało mi być nader twardo na tym tapczanie, kiedy pomimo strudzeń tak długiéj podróży, zbudziłem się natychmiast. Będziecie się śmieli z tego snu, jak się i ja śmiałem, chociaż zostawił przytém na mnie jakieś nieprzyjemne wrażenie...

« Zapytuje Mama, czy wieść o kręcących się i gadających stołach doszła do moich uszu. Mnie się zdaje, że ta wieść, znana nam od kilku miesięcy na Uralu, musiała już dotąd sięgnąć Kamczatki, jak wszystko, co jest dziwném, nadzwyczajném. Lecz że nasze stoły, zapewne głupsze od europejskich, nietylko nie gadają, ale nawet i obracać się nie chcą, nie mogę więc osobiście być żadnym sędzią w téj rzeczy. Musi jednak być w tém cóś prawdziwego, kiedy tak uczony jak nieuczony świat zajmuje się tym przedmiotem. Niepodobna przypuścić, aby przy każdém doświadczeniu,

w jakiémkolwiek gronie robioném, znajdował się zawsze figlarz usiłujący i zdolny wszystkich oszukać. Zresztą, czyż nie ma — jak Szekspir powiedział — cudów na niebie i ziemi, o których ani się śniło filozofom? Ja tylko ciekawy jestem, co się stanie z naszém starém przysłowiem : « głupi jak stołowe nogi, » jeśli przyjdzie do tego, że owe nogi będą dawały rozumniejsze odpowiedzi, niż najmędrsze głowy ludzi uczonych?...

« Wasza nóżka stołowa bardzo mędra i wiele nagadała; gniewam się tylko na nią, że mi zakreśla jeszcze tak długi termin pobytu w tych stronach : pięć miesięcy! — to znaczy całą zimę. Mówiłem o tym terminie panu Karamzinowi; odpowiedział mi, iż radby z duszy i wszelkiémi sposobami będzie się starał go skrócić. Jest przy nim, osobistym jego sekretarzem, młody Litwin, z gubernii mińskiéj, pan Józefat Ohryzko. Poznaliśmy się i pokochaliśmy się wzajemnie. Obiecał on mi donosić ciągle z Petersburga o najmniejszéj okoliczności tyczącéj się mojego losu, a nawet, jeśliby co ważniejszego zaszło, przesłać wam wiadomość, którą prędzéj odbierzecie wprost, niżeli przez Tahilsk... »

« Szanowny Andrzej Nikołajewicz Karamzin z Józefatem Piotrowiczem Ohryzko, których załączam dokładne adresy, dnia 12 t. m. listopada opuścili Niżne-Tahilsk. Pan Karamzin żegnając mię, kazał kłaniać Mamie i zapewnić ją, że nie przestanie dokładać najusilniejszych starań, aby się spełniło nasze wspólne życzenie; na czas zaś mojego tu pobytu, zdał na mnie zupełny zarząd biblioteką i ogrodem. »

« Pan Józefat mi donosi, że 4 grudnia stanęli w stolicy, i w pięć dni potém p. Karamzin począł robić kroki w moim interesie; nie przedsiębierzcie więc żadnych zabiegów z waszéj strony, żeby się nie skrzyżowały z jego staraniami, aż chyba Ohryzko lub ja, powiemy wam co uczynić należy. Cierpliwość, ufność, nadzieja... »

Te wyrazy zakończyły historyą 1853° roku. Nadszedł rok 1854ʸ, ów rok pamiętny w dziejach nowożytnych świata, kiedy dwie jego połowy, albo raczéj dwa stronnictwa od dawna walczące w jego łonie, ujrzały swoje chorągwie zatknięte na dwóch potężnych obozach nad morzem Czarném. Wojna Wschodnia zawiodła wiele oczekiwań, omyliła wiele rachub, wystawiła na ciężką próbę wiele uczuć; ale czém była wistocie, to pokazały późniéj jéj następstwa, a gdzie czyje chyliły się życzenia, to nie tyle zależało od jego przenikliwości umysłowéj, ile od cechy jaką miał na duszy. Wszelka dusza prawdziwie polska, z natury swojéj, musiała ciążyć do obozu mocarstw zachodnich. Wynikło ztąd dla milionów narodu naszego straszliwie bolesne, w nieskończonych stopniach i odcieniach rozmaite położenie. Co wtedy działo się w duszy naszego wygnańca, pokutującéj za to, że była aż do ostatniéj głębi polską? Listy Adolfa, naturalnie, nie mogą w téj mierze nic wyraźnie powiedzieć, są jednak w nich wzmianki, prowadzące do niewątpliwych domysłów.

Wieść o zbrojnych poruszeniach Zachodu przeciw « kolosowi Północy » chociażby nie należała do rzędu niewstrzymanym biegiem sięgających Kamczatki, pręd-

ko zapewne doszła do Niżne-Tahilska i nie była tam tajemniczym ogólnikiem, dla tych przynajmniéj, którym wysocy goście mogli ją w szczegółach rozwinąć. Widocznie wszakże, ani Adolf, ani jego protektor nie przypuszczali z razu, aby wielki wypadek polityczny mógł mieć jakikolwiek wpływ na sprawy sybirskie i być przeszkodą do starań o uwolnienie jednego pokutnika. P. Karamzin, wyjeżdżając obiecywał odwiedzić znowu N.-Tahilsk w marcu, miał zamiar potém wyjechać na lato z żoną do jéj dóbr w Finlandyi; w styczniu własnoręcznym listem zapewniał swego pupila, że pamięta o nim i spodziewa się otrzymać dla niego co przyrzekł, lubo jeszcze nic stanowczego donieść nie może. Pierwsze więc miesiące rozpoczętego roku upływały w spokojném, chociaż zawsze tęskném oczekiwaniu i w zajęciu się obowiązkami.

Ustalony na swéj posadzie bibliotekarz, otrzymawszy przysłaną instrukcyą jak biblioteka ma być urządzoną, zgromadzał, ustawiał, katalogował z różnych kątów wydobyte jéj materyały, a przytém, jako również gorliwy dozorca ogrodu, dwa razy w dzień chodził do oranżeryi, pilnował przyrządzania « pościeli » pod ogórki i ananasy. Interes ananasów zabrał spory kawał korespondencyi. Na prośbę do matki o dostanie z Wilna najpraktyczniejszych rad obchodzenia się z niemi, przyszedł dokładny przepis, udzielony przez pewnego hortykultora. Ale ogrodnicy Niżne-Tahilscy wystąpili ze srogą krytyką i rzekli « że jemu sadzić cebule a nie ananasy! » Mianowicie stary Kuźma, który znajdował zawsze sposób, co dziesiąty wyraz wtrącić: « Ja 35 lat

służyłem u grafa Razumowskiego, było u nas po 4,000 ananasów » wyśmiewał niemiłosiernie metodę wileńską i powtarzał : « Nasypywać korą dębową... a zkąd kora, kiedy dębów niemasz? Dęby daleko od Uralu; tu trzeba poprzestać na *piłowej mące* (na trocinach).»

Obok zatrudnień na korzyść umysłową światłéj publiczności Niżne-Tahilska, ówczesny ruch literacki w kraju naszym nie był obcym Adolfowi. Przechodziły przez jego ręce pierwsze płody pióra Syrokomli, Deotymy, Zygmunta Kaczkowskiego. Dawał o nich swoje zdanie, ciesząc się z nowych talentów i trwożąc się « aby zbytnie pochwały ich nie popsuły. » Znaczną część tych nowości piśmiennictwa był winien nieustającéj pamięci przyjacielskiéj Gustawa Zielińskiego, o którym także znajduje się wzmianka ciekawa dla przyszłych historyografów naszéj literatury tegoczesnéj, ale wypada ją poprzedzić inną, objaśniającą stosunek dwóch przyjaciół.

« Miałem przyjemność — pisał Adolf do matki i brata — otrzymać list od Gustawa... Dzięki Bogu, wyzdrowiał już zupełnie ze swojéj kilkoletniéj febry i powodzi mu się wybornie. Żeby wam dać wyobrażenie o tym biédnym poecie, którego widzieliście wracającego z Syberyi z większym workiem rymów niż groszy, przytaczam tu koniec jego listu... « Jeszcze jedno, « mój drogi Adolfie. Czas płynie, z postępującym wie- « kiem potrzeba więcéj wygody, ubywają ci, na któ- « rych pomoc liczyć było można; słowem, wszystko « się zmienia : może i twoje fundusze znacznemu « zmniejszeniu uległy? Ja dziś pod względem finanso-

« wym, w bardzo korzystném jestem położeniu, mam « więcéj niżeli mi potrzeba, nie widzę żadnego powodu « powiększać i tak już znacznego majątku; jedyną więc « moją roskoszą, jeśli mogę być pomocą, lub zrobić « jaką dogodność moim przyjaciołom. Liczę przeto na « ciebie, mój drogi, że uważając mnie jak brata, jak « najszczerszego twego przyjaciela, odrzucisz wszelkie « szkrupuły i wprost mi napiszesz, ile ci potrzeba, choć« by tysiąc rubli srebrem, a w każdéj chwili możesz « mieć to sobie nadesłane. » — Co wy na to? Jak trzymacie o moim przyjacielu i o niżéj na podpisie wyrażonym, który na taką przyjaźń zasłużył? Może powiecie: wart pałac Paca, a Pac pałaca; cóżkolwiek bądź, list ten niezmiernie mię uszczęśliwił, bo słodka to rzecz, odebrać podobny dowód przyjaźni i pamięci serca za okazywane z mojéj strony przysługi, kiedy ja, choć również wygnaniec, w lepszém wszakże byłem położeniu. Odpisałem mu jak przystało i podziękowałem z głębi duszy, zapewniając go, że mię bynajmniéj nie zadziwił swoim postępkiem, jako zgodnym zupełnie z jego szlachetnym zawsze sposobem myślenia i czucia.»

Późniejsze listy zawierają następne słowa, schodzące stopniami do kwestyi czysto literackiéj: « Gustaw przysłał mi poezye Deotymy, o któréj musicie wiedzieć z pism publicznych. Nie wiem jak się ona wistocie nazywa; ale z kilku słów Gustawa widząc, że on zamierza znowu wstąpić w związek małżeński, zrobiłem, może niesprawiedliwy wniosek, czy nie owa Deotyma jest wyborem serca poety? Zapytuję go o to... Sam on nic nowego nie drukował w tych czasach. Pisze tylko,

że chce puścić w świat dalszy ciąg swych stepów. O téj nowéj pracy tak się wyraża: « Znasz część pier« wszą; w drugiéj jest Azya z kolosalną swoją przy« rodą i całą swoją kosmogonią; w trzeciéj, *Bajga* « *kirgizka*, owa uroczystość stepowa, którą tak pięknie « w jednym ze swoich listów opisałeś, którą żywcem « przeniosłem do mego poematu, a którą jeśliś ty « skomponował, to już nie moja wina: *si non e vero e* « *ben trovato*. Najpierwszy exemplarz tobie poświęcę, « bo się w znacznéj części do niego przyłożyłeś. » — Ja mu zaś odpisałem, że nic to wszystko nie pomoże, i jeśli po przeczytaniu znajdę co nie w duchu zwyczajów kochanych moich Kirgizów, natychmiast wypalę straszną krytykę i dowiodę poecie, że nie ma wyobrażenia o tym narodzie i jego poezyi. »

Zresztą, wszystko szło w Niżne-Tahilsku « jednostajnie i porządnie jak w regularnie nakręcanym zegarze. » Jeden tylko wypadek dał sposobność Adolfowi, do zwyczajnéj formuły: « u nas nic nowego » dodać: « najciekawsza rzecz ta, że kilka dni temu, tutejsi złodzieje okazali niepospolitą zręczność. Na publicznym placu stoi tutaj piękny pomnik, kosztujący przeszło 300,000 rubli as., poświęcony pamięci Mikołaja Demidowa. Potrafili oni, w noc dość jasną, w obec budki gdzie stróże spali snem sprawiedliwych, oderwać od podstawy i unieść posąg bronzowy tego męża, ważący najmniéj 30 pudów. Sprytna ta kradzież na nic się jednak im nie przydała: nazajutrz władza miejscowa wzięła poszlakę, a przypadek dopomógł dojść do kryjówki posągu zagrzebanego w śniegu. Widziałem go

nieboraka, jak zmarzły i ze złamaną ręką wracał do miasta leżąc na saniach. »

Wiadomości najwięcéj obchodzące rodzinę, były powtórzeniem doniesień otrzymanych z Petersburga. Jedna z nich zawierała wyrazy : « W téj chwili wyczytuję z listu, że p. Karamzin miał przypadek, który o mały włos nie pozbawił go życia. Pistolet wystrzelił mu w ręku, kula zadrasnęła powiekę i czoło. Dzięki Bogu, skończyło się na przestrachu osób przytomnych temu zdarzeniu i na lekkiéj ranie, która się prędko zagoi. » Przy każdéj wzmiance o Karamzinie, była wzmianka o jego troskliwych staraniach, a przy tém wszystkiém ponawiana przestroga, żeby żadną inną koleją nie trafiać do tego celu. Ale to nic nie pomogło. Na początku lutego odebrał Adolf wiadomość, że matka posłała prośbę do cesarza. Natychmiast więc pisał do Ohryzki, żeby — jeśli jeszcze czas — zapobiegł złemu, które ztąd wyniknąć mogło, a matce przekładając nanowo uwagi, kończył témi słowy :

« Nie uwierzy Mama, jak mię rozczuliły jéj wyrazy : « Ach ! przyjeżdżaj mój Adolfie co najprędzéj. » Boże ! cobym dał na to, gdybym mógł jéj i własne życzenia spełnić !... Lecz cóż począć, kiedy zaszły okoliczności, które kładą tamę naszemu szczęściu, a przynajmniéj odwlekają je na czas dalszy. »

W miesiąc późniéj pisał : « Spodziewam się, żeście już musieli przekonać się o niewłaściwości pory do podania prośby. Zapewne i p. Józefat wyłożył wam to w swoim liście. Bardzo rad jestem, że ta prośba została przejętą i wstrzymaną. Mama powiada, że « nikogo

nie powinno dziwić, iż matka w takim wieku, po tylu latach chce widzieć syna, » ja na to jednak muszę zrobić taką uwagę : rzeczywiście nikogoby to nie zadziwiło; ale coby było, gdyby nastąpiła odpowiedź odmówna? Wtedy bardzo długo trzeba byłoby czekać z podaniem nowéj prośby; że zaś taki nastąpiłby skutek, to wszelkie za tém mówi podobieństwo, i zapewne Mama teraz aż nadto widzi tego przyczyny. »

W tych niewielu wyrazach daje się już dostrzedz, i dramatyczność położenia Adolfa, i postawa jaką przybrał. « Okoliczności, » które mogły być szczęściem dla Polski, « kładły tamę » jedynemu szczęściu, o jakiém tylko przez lat dwadzieścia trzy mógł myśleć i marzyć. W chwili kiedy zdawał się być najbliższym brzegu, zawiał wiatr odwracający jego łódkę na morze nieokreślonych oczekiwań naszych. Przy ledwo świtającéj zorzy zmiłowania Bożego, zapadła w pomrokę gwiazda miłościwości carskiéj... i stało się ciemno, mglisto, bezdrożnie na widokręgu polskiego wygnańca w Sybirze. Nie zachwiał się wszakże, nie zgrzeszył najmniejszém narzekaniem, pełen godności i spokoju, jakich źródłem jest zapomnienie o sobie w obec rzeczy wyższych, stał z założonémi na piersiach rękami i patrzał cierpliwie w niezbadaną przyszłość. Serce jednak doświadczało ostrych bolów. Potrafił w niém uciszyć przemożną miłość rodzinną, a ta miłość, najświętsza i najczystsza z węzłów ziemskich, ale zawsze trwożna o czas poddanka śmierci, odezwała się do niego jękiem skołatanéj laty i cierpieniami matki. Nie mogąc i przed nią odkryć wnętrza swych uczuć i myśli, odpowiadał

tylko : « miejmy cierpliwość, nie traćmy ufności w Bogu, prośmy go o siły do wytrwania. »

Tymczasem bieg wypadków szedł coraz prędszym ruchem, i wkrótce dotkliwiéj jeszcze targnął struny zaczepione o serce znajdujące się na rozdróżu uczuciowém.

Karamzin, który służył dawniéj w artylleryi i od roku miał dymisyą, wszedł znowu do służby czynnéj, w połowie marca wyjechał z Petersburga nad Dunaj, a w maju, jako pułkownik huzarów, zginął w bitwie pod Kalafatą.

Czerwca 14°, pisał Adolf do matki i brata: « Wczorajsza poczta przyniosła nam smutną wiadomość o zgonie pana Karamzina. Opatrzność jakby na to ocaliła go od przypadku w lutym, żeby znalazł śmierć w pierwszém spotkaniu się z Turkami. Trudno wyrazić jaką żałobą ta wieść pokryła nasz N.-Tahilsk; a wyobraźcie sobie rozpacz nieszczęśliwéj żony. Piszą, iż nic nie może się zrównać z jéj boleścią. Chcąc jakąkolwiek ulgę przynieść swojemu sercu, posyła na brzegi Dunaju p. Ohryzkę, by użył wszelkich starań dla odszukania zwłok kochanego męża, a jeśli to będzie niepodobném, by przynajmniéj miejsce jego zgonu uczcił pomnikiem... Możeby wypadało Mamie napisać kilka słów do nieszczęśliwéj wdowy z wyrazem tego współczucia, jakie ona i jéj mąż okazali dla naszego nieszczęścia. On był głównym i najistotniejszym protektorem moim; jemu winienem wszystko co tu otrzymałem i na nim polegały najbardziéj nadzieje moje uściśnienia się z wami. Na samym wyjeździe ze stolicy pisał do

mnie ponawiając uprzejmie swoje obietnice i zapewnienia starań, zawieszonych do lepszéj pory. Zajmował się on mną szczerze i gorliwie, miałem sposobność poznać całą szlachetność jego charakteru i doświadczyłem od niego więcéj życzliwosści niżelim się mógł spodziewać; mam więc powod opłakiwać zgon najzacniejszego człowieka i stratę najużyteczniejszego dobroczyńcy... »

Po raz drugi tedy śmierć wydarła nagle Adolfowi opiekuna, na którego możném i przyjazném ramieniu oparł się z zupełném zaufaniem. Cios ten dotkliwy dla uczuć związanych szacunkiem i wdzięcznością, rzucał razem cień grobowy na widoki, które chociaż odsunięte w odległość, miały dotąd blask otuchy. Znowu chłód posępny ogarnął serce zmęczone przeciwieństwami. Było to zawsze w charakterze Adolfa, a z wiekiem zamieniło się w skłonność nałogową, że ilekroć zachmurzyła się atmosfera koło jego duszy, uciekał w jak najciaśniejszy obręb powszedniego życia i tam wytężoną czynnością zewnętrzną, bronił się od utrapień wewnętrznych. Właśnie jak w porę teraz przybył mu jeszcze jeden przedmiot zatrudnień.

Demidow, bawiący natenczas w Moskwie, napisał do niego list obszerny i bardzo uprzejmy. Wyraziwszy na wstępie ubolewanie, że nieprzewidziane wypadki nie dozwalają mu obecnie robić starań, jakie obiecał i ma w pamięci, dziękował za trudy bibliotekarskie i ogrodnicze, a prosił o zajęcie się przytém zgromadzeniem muzeum historyi naturalnéj, wedle załączonego planu. Rzeczywiście był to tylko krok delikatności ze strony

hrabiego. Uwiadomiony dokładnie o starganych siłach, a razem o niespokojnéj szkrupulatności Adolfa, chciał mu raczéj dostarczyć rozrywkę z pozorem funkcyi urzędowéj, niżeli obarczyć go ciężarem. Ale Adolf brał każdą rzecz na seryo i chwycił się nowego zatrudnienia z gorliwością dla siebie uciążliwą. Odtąd w listach jego przebija się nadewszystko jakieś dyszanie człowieka przycisniętego pracą i słabością zdrowia.

« Wybaczcie mi — pisał w połowie lipca do domu — że nie rozmawiam z wami, jakbym sobie życzył: ani chwili nie mam wolnéj; biblioteka i ogród zabierają mi codzień najmniéj 10 godzin. A przytém, nie mam już téj mocy co miałem. Trzydzieści sześć stopni schodów bibliotecznych więcéj mię męczy niżeli niegdyś sto wiorst przekłusowanych po stepie. Straszne upały przyłożyły się także do zwiększenia moich dolegliwości. Chwała Bogu zaszła zmiana, i znaczna, bo termometr od razu z 40^stu^ spadł na 4 stopnie ciepła. Orzeźwiło to mię trochę i mogłem nawet wczoraj odbyć wycieczkę o wiorst piętnaście, a co większa wdrapać się na tak zwany *Goły Kamień*, czyli *Niedźwiedzią górę*, panującą w okolicy i ztąd sławną, że jak niesie podanie, Jermak idąc na zawojowanie Syberyi, miał zimować u jéj podnoża. Piękne jest to miejsce. Z wierzchołka góry rozlega się daleki widok na krainę górzystą, lesną i przerzniętą wielą rzekami. Celem mojéj wyprawy było pomnożenie naszego zbioru roślin uralskich, który stosownie do życzenia pana Demidowa, pielęgnuję i chciałbym mieć jak najobfitszy na jego przybycie, jeśli wybierze się odwiedzić

swoje « zawody » których nigdy jeszcze nie widział. »

« Miałbym się nie źle — donosił na początku sierpnia — gdyby nie ból w nogach, który od niejakiego czasu mocno mi dokucza. Nacieram je spiritusem kanforowym, ale z małą nadzieją skutku, bo jestem z doświadczenia przekonany, że nogi wtedy chyba przestaną boleć, gdy inna część ciała cierpieć zacznie. Sprawuje to reumatyzm zwany latającym, który sobie jak mu się podoba przelatuje z nóg do głowy, a z głowy spada na ręce lub piersi... P. Demidow pragnie, abym zajął się (nie opuszczając ogrodu i biblioteki) kollekcyą mineralogiczną, geologiczną, palentologiczną, kruszców, roślin, zwierząt, ptaków, ryb, słowem wszystkiego, co Niżne-Tahilski okrąg posiada w ziemi i na ziemi, w powietrzu i w wodzie; poleca wszystkim tutejszym, uczonym i nieuczonym władzom, dawać mi pomoc, dostarczać środki i nie odnosić się w tém do niczyjéj więcéj jak mojéj powagi. Widzicie więc na jak wielkiego człowieka wyszedłem w N.-Tahilsku. Sam nie wiem jak podołam tylu różnorodnym zatrudnieniom i co na to powie moje biédne zdrowie. Ale jak to miło pomyśleć, że nie darmo cudzy chleb zjadam. »

Myśl ta nie była ani dostateczną ani trwałą pociechą; w liście 17° września, odezwały się znowu narzekania : « Niech to będzie między nami, położenie moje tutaj wcale nie do zazdrości. Kilka obowiązków nieokreślonych ściśle i niezgodnych z sobą; pracy wiele, bez podobieństwa należytego z niéj skutku. Nie mogę jednocześnie siedzieć w bibliotece i pilnować robot w ogrodzie, a gdy tam nie jestem, nie tak idzie jakby

należało, i to mię martwi bardzo; cóż tu jeszcze mówić o kollekcyach! Radbym porzucił wszystko, gdyby nie uwaga, że to jest potrzebne dla widoków mojego wybawienia. »

Pod tym ostatnim względem, poczęła naprawiać się pomału strata poniesiona w osobie Karamzina. Jeszcze na początku czerwca, przed wyjazdem do Bukarestu, pisał Ohryzko zapewniając Adolfa, że starania w jego interesie nie zostaną zupełnie opuszczone. Za powrotem zaś ze swojéj podróży, pomyślnym uwieńczonéj skutkiem, doniosł mu w imieniu saméj pani Karamzinowéj, iż ona przez pamięć na ukochanego męża, wzięła sobie za święty obowiązek być pomocą temu, którego los tak mocno go obchodził. Jakoż, wśród żalu odnowionego widokiem zwłok przywiezionych do stolicy i pomimo zajęcia się oddaniem ostatniéj im posługi, czyniła natychmiast ważne kroki w téj mierze, a nakoniec pisała osobiście do cesarza i oczekuje odpowiedzi.

Otrzymawszy taką odpowiedź w końcu września, nie łudził się Adolf nadzieją blizkiego szczęścia, ale uspokojony ile mógł na przyszłość, pogodził się tém więcéj ze swoją obecnością i starał się tylko koić ubolewania matki.

« Z Petersburga nic, a nic — pisał do niéj w pazdzierniku. — Wcale mię to nie dziwi. Czy podobna aby w terazniejszych okolicznościach, myślano tam o mnie biédaku! » « Błagam na wszystko — powtarzał w listopadzie — niech Mama nie smuci się bardzo z powodu zawiedzionych nadziei rychłego mego powrotu. Ani myślić teraz o tém. Pani Karamzinowa zrobiła co

mogła, i spodziewam się że Mama będzie wyrozumiałą: pisać znowu do niéj w tym smutnym interesie, byłoby tylko nadużywać jéj dobroci i bezużytecznie narażać ją na nieprzyjemność. Dla mnie rzecz jasna: trzeba czekać cierpliwie póki czas i wola Najwyższego nie rozwiąże naszych losów.»

Po tych ostatnich słowach rezygnacyi, przez całą zimę nie odezwał się z żadnym wyrazem tęsknoty, nie zrobił żadnéj wzmianki o swoim powrocie. Zanurzył się tak zupełnie w potok zatrudnień cichym i regularnym biegiem unoszący wszystkie chwile, że nawet korespondencya z rodziną i przyjaciółmi została tylko na szczupłym brzeżku godzin spoczynkowych, lub dorywczo chwytanych w ciągu urzędniczéj pracy. Listy jego poczęły być krótkie, pośpieszne i nadzwyczaj nieczytelne. Dopominając się od wszystkich jak najobszerniejszych i najczęstszych doniesień, wymawiając to temu, to owemu przydłuższe milczenie, sam najczęściéj, rzuciwszy na papier kilka prędkich odpowiedzi, albo zapytań i żądań, dodawał: « Nie wymagajcie po mnie więcéj, zgoła nie mam czasu. Przy natłoku roboty i częstém zapadaniu na zdrowiu, na dobitkę straciłem łatwość ruszania piórem, ręka mi nie służy. Widzicie sami jak piszę: nie wiem czy zdołacie wyczytać. Gdybym starał się napisać wyraźniéj, nie mógłbym i tyle wam powiedzieć, co teraz mówię.» Były wszakże rzeczy, nad któremi rozwodził się niekiedy dłużéj. Zdaje się, że do téj *służby*, co znowu jak niegdyś w Omsku, stała się na wszystkie dni hasłem naczelném, przywiązał się pewien rodzaj ambicyi i jakiéjś niewin-

néj, w ostatni kątek zapędzonéj miłości własnéj. Ilekroć wpadł na ten przedmiot, a wpadał z lada powodu, pióro mniéj stawiło oporu i odzyskiwało dawną swoją, miłą gadatliwość.

« Gustaw przysłał mi pyszny zegarek złoty, Patka w Genewie — powiadał jednego razu. — Bardzo jestem wdzięczen mojemu niegdyś towarzyszowi wygnania za ten dowód przyjaźni, bo moje oba stare zegarki iść przestały i niemasz komu ich tu naprawić, a dobry czasomiar jest niezbędny do pilnowania się w rozlicznych moich obowiązkach... Od pół do 9éj do 1éj rano, a od 6éj do 9éj i czasem, kiedy jest wiele roboty, do 10éj wieczorem, siedzę w bibliotece. Źle byłoby, gdybym chybił na oznaczoną godzinę, bo i tak zdarza się znaleść czytelników czekających już na mnie. Zrana szczególniéj nie mam ani minuty do stracenia i jestem prawdziwe *perpetuum mobile,* które przy dobrém urządzeniu biblioteki działa tak prędko, że każdemu żądaniu natychmiast staje się zadość. To też żebyście wiedzieli, w jakich jestem faworach u tutejszéj publiczności! Mianowicie jéj połowa piękna podwójnie jest mi wdzięczna : latem winna mi przyjemność przechadzek utworzonych dla niéj w ogrodzie; zimą, lekarstwo na nudy długich wieczorów, podawane jéj zawsze z uprzedzającą grzecznością. Rzadki dzień, żebym nie widział w bibliotece kilku miłych czytelniczek, a żadna nie odejdzie z próżnemi rękami. Dzisiejszego ranku naprzykład, przyszły dwie śliczne panienki, z których starsza ledwo ma lat 19, siedziały tu półtora godziny. Podałem im naprzód dziesięć świeżo przybyłych nume-

rów dziennika « Girlanda. » Nawybierały z niego sobie wzorków do haftowania kołnierzyków i chusteczek. Zajęły się potém przeglądaniem różnych rycin, i muszę je zdradzić, choć mimowolnie podsłuchałem, że w każdéj twarzy upatrywały podobieństwo do kogoś ze znajomych. Przerzucały późniéj nuty muzyczne. Jedna z nich wzięła do domu 7 nowych polek, 4 galopady i « Muzeum zagranicznéj literatury »; druga całe dzieło wydane niedawno po rossyjsku. Biblioteka coraz bardziéj wchodzi w modę : 1,107 ksiąg przeczytano w ciągu miesiąca. Macie więc i obrazek z barwą miejscową, jakiego nie spodziewaliście się zapewne w zakątku Uralu; ale bo trzeba pamiętać, że ten zakątek należy do szlachetnéj rodziny, która nie tak jak wiele innych, co myślą tylko o sobie i dochodach swojéj kieszeni, stara się gdzie może rozkrzewiać cywilizacyą i nie żałuje kosztów na to... Wybaczy Mama że tą razą nie zaspokoję jéj ciekawości co do stanu mojéj spiżarni. Muszę pierwéj dać rozkaz striapce, żeby mi w téj mierze złożyła raport. Gdzie mnie tam zajmować się tak ziemskiemi rzeczami jak jadło, mnie który rozdaję umysłowy pokarm tutejszym powagom i pięknościom! A zresztą wątpię, czy w moich zapasach znajdzie się co więcéj nad parę pudów mąki lub kartofli. »

Obrazek ten z uralskiego zakątka, daje najbardziéj wyobrażenie o położeniu, zajęciu się i usposobieniu tego, co go kreślił. Był to ów, przed dwudziestu czterma laty, pełen poświęcenia się i niepowściągnionego zapału żołnierz Legii Litewsko-Wołyńskiéj w Warszawie, a pisał w owym czasie, kiedy na półwyspie Krymu wytę-

żona walka, hukiem dział budziła niecierpliwość naszych oczekiwań... Koło niego i dla niego być musiało teraz głucho. Ale z wiosną zbliżały się wielkie zmiany dla świata, dla nas i dla biédnego wygnańca w Uralu.

Dnia 2° marca n. s. 1855 roku, car Mikołaj zakończył życie. Zgon tęn był szczęściem dla Rossyi, a zatém niewątpliwie już klęską dla Polski. Dawało się to zaraz przewidzieć, co późniéj następstwa stwierdziły, że odtąd szala przechyli się na stronę życzącą i potrzebującą pokoju, a więc życzenia i potrzeby strony zespolonéj z losem ojczyzny naszéj, przywali znowu kamień starego porządku rzeczy.

Dziwnym skutkiem tajemnéj mechaniki zdarzeń krzyżujących się na świecie, chwila przesilenia, złowroga dla oswobodzenia ziemi ojczystéj, była chwilą, kiedy pierwszy raz skruszyła się istotna zapora, nie dozwalająca wygnańcowi sybirskiemu złożyć głowę na niéj. Dopóki żył mściwy zwyciężca listopadowego powstania, nic go wyzwolić nie mogło. Mikołaj miał wszystkie cechy wielkich tyranów. Instynktem często odgadywał gdzie się krył czysty i silny zarodek przeciwnego jemu ducha. Wśród miliona ofiar, których imienne spisy przechodziły przez jego ręce, wybierał sobie niekiedy drobne na pozor, za przedmiot potężnéj swéj nienawiści. Czasem kilka słów protokółu śledczego, odkrywało mu w biédnym młodzieńcu strasznego wroga caratu; czasem samo brzmienie nieznanego nazwiska wstrzęsło go wewnątrz : a kogo raz pochwycił w szpony swego gniewu, ten nie powinien był spodziewać się odpuszczenia. Adolfowi dostał się zaszczyt być na pamięci i

na sercu u wiekopomnego cara. W latach bezpiecznego pastwienia się nad rodem polskim, nieubłagany prześladowca, ilekroć w podanym sobie do uwolnienia szeregu Sybirczyków postrzegł jego nazwisko, porywał za ołówek i przekreślał je z przyciskiem. Łatwo można wyobrazić, jak przyjmował prośby, listy i wstawienia się za nim w owych czasach, kiedy blady, rozmamany, zapieniony rzucał się na kuryerów, przywożących mu jedną po drugiéj złe nowiny z Krymu...

Między nieszczęśliwym wygnańcem, skazanym zamierać w tęsknocie, a potężnym władzcą, dumą wiedzionym do szaleństwa, był zapisany dokument na przeżycie. I znękany, zbolały, bezsilny więzień, przeżył swego koronowanego ciemiężcę...

Wszyscy, których obchodził los Adolfa, postrzegli od razu pomyślną dla niego zmianę; on sam tylko, bądź że przewidywał ile ta pomyślność miała w sobie niepomyślności, bądź że nic już przewidywać nie śmiał, nie okazał żadnego wzruszenia. Cała troskliwość jego obróciła się na stan zdrowia, który właśnie w tym czasie pogorszył się znacznie. Do innych cierpień przyłączył się kaszel takiego rodzaju, że chociaż z początku zdawał się być tylko skutkiem kataru z przeziębienia, widocznie później trzeba było w nim upatrywać objaw jakiéjś ważniejszéj i trwalszéj choroby. Czego wszakże nie schwyciła myśl, ostrzegło o tém przeczucie. Na początku kwietnia pisał do Dziahylny :

« Wstrzymałem się dni kilka z odpowiedzią na wasze listy, nie dla żadnéj innéj tylko dla następnéj przyczyny. Nie wiem zkąd nabiłem sobie głowę, że poczta

mająca przyjść 29 marca, jako w rocznicę dnia ważnego w mém życiu, musi mi przynieść dobrą nowinę, i czekałem żebym mógł podzielić się nią z wami. Jakoż przeczucie mię nie zawiodło. Istotnie w przeszły wtorek odebrałem z Petersburga wiadomość, że nieoszacowana nasza opiekunka, nie czekając na przypomnienie moje lub Mamy, zaraz jeszcze w marcu, skoro nowy monarcha wstąpił na tron, poczęła czynić usilne zabiegi o wyjednanie dla mnie powrotu do was. Piszą mi, że ma ona zupełną nadzieję pomyślnego skutku i powinienem spodziewać się wkrótce listu, który mi doniesie o spełnieniu się naszych tyłoletnich życzeń. »

Upłynął jednak cały miesiąc, a wyglądanego listu nie było : poczęły się znowu męki oczekiwania i skargi tém smutniejsze, że już w nich widać przerażające uczucie własnéj słabości. Strach żeby nieszczęśliwy rozbitek nie utonął przy samym brzegu, bo widocznie siły go opuszczają : idzie mu o to tylko, żeby uciec od klimatu pożerającego jego zdrowie i znaleść troskliwą koło siebie pieczołowitość ; ale « jeśli to rychło nie nastąpi, to już wszystko na nic się nie przyda. »

Do pogorszenia tego stanu zdrowia i umysłu, przyczyniało się powietrze nadzwyczaj nieznośne i zmienne. W drugiéj połowie maja, uderzyły zimowe mrozy, po nich kilka dni padał śnieg nawalny, nastąpiły ulewne deszcze, a nakoniec nagle termometr podskoczył do 42 stopni ciepła i tak stał dni kilka. « Wszystko naprzód zmarzło, potém utonęło w błocie, a wydobywając się z niego paliło się od słońca. » Na domiar zmartwień, zaszedł jakiś zamęt w korespondencyi. Od To-

masza przez trzy miesiące nie było nawet wiadomości czy żyje; Michasia, wedle wieści z Dziahylny, dawno pisała, a list jéj nie przybywał. Dogryziony tém biédny Adolf, wołał: « Kiedyżto u nas nauczą się porządnie adresować listy! Jak to nie przychodzi na myśl, że dla niestaranności w takiéj drobnostce, cała robota na nic i tyle ztąd udręczeń. Dość jest napisać niewyraźnie *Niżne-Tagilskij Zawod*, żeby list powędrował ni bliżéj ni daléj jak do Kamczatki, gdzie jest *Niżne-Tigilsk*. Jeżeli więc Misia tak napisała rossyjskie *a*, że je od *i* rozróżnić nie można, niech będzie pewną, że ani jéj wnuki nie doczekają się odpowiedzi. »

W czerwcu dopiero, lepsza pogoda, a mianowicie otrzymane wieści od Tomasza i z Petersburga, uśmierzyły cokolwiek niecierpliwość i kaszel, poprawiły zdrowie i humor. Doniesienia ze stolicy tłumaczyły dotychczasową zwłokę i uspakajały na dal. Ważne bowiem i znające stan rzeczy osoby, poradziły pani Karamzinowéj, żeby wstrzymała się jeszcze z podaniem prośby do cesarza; gdy przytém ona sama miała wyjechać na lato do Finlandyi, niczego nie należało spodziewać się przed jesienią. « Bądźmyż cierpliwi, jesień niedaleko » — powiadał rodzinie uspokojony Adolf, i potém dziękując za powtórnie otrzymane życzenia z powodu swoich imienin, dodał:

« Imieniny moje tego roku tém tylko będą pamiętne, iż w nocy przed ich dniem śniło mi się, jakobym był ze ś. p. kochaną siostrą Julią w Małyskowszczyznie: rankiem wyszliśmy z nią po rosie do ogrodu i zerwaliśmy kilkanaście róż białych i czerwonych na bukiet.

Sen ten tak żywe i tkliwe zrobił na mnie wrażenie, że dotąd stoi mi ciągle przed oczyma, a pierwszego dnia, kiedym chodził po tutejszym ogrodzie, każda roślina wydawała dla mnie zapach róży, który czułem jak najmocniéj... Jakby na powinszowanie moich imienin (o których tu nikt nie wie, a ja rozgłaszać nie mam potrzeby) dojrzał jeden ananas znacznéj wielkości; teraz jest już ich dojrzałych więcéj. Spodziewam się w tym roku mieć brzoskwinie, morele, gruszki, jabłka, śliwki; ale wolałbym nie doczekać się ich dojrzałości i pośpieszyć do was, choć na młodą rzepę. »

Donosił późniéj z radością, że w skutek jego żądania, Demidow uwolnił go od zajmowania się zbiorami historyi naturalnéj; że otrzymał z Podola zaległe procenta i ma zapas na przypadek powrotu « którego z taką stałością czeka, jak niegdyś Eugenia swego kochanka, tylko dłużéj niż ona »: że czuje się zdrowszym, i nawet jezdził raz z doktorem swoim na polowanie. Ale jesień zaczęła już sypać śniegiem, a jeszcze nie było pomyślnéj wieści z Petersburga.

We wrześniu, waliły się mury Sebastopola; w pazdzierniku cesarz Alexander zwiedzał Nikołajew : dla odłożonych do tego czasu starań nie zdarzała się przyjazna pora. Zaledwo pod koniec listopada otrzymał Adolf wiadomość, że przysłana od jego matki na ręce pani Karamzinowéj prośba, miała być podana w połowie tegoż miesiąca; ale wkrótce przyszło znowu doniesienie o zaszłéj małéj zwłoce.

Ostatni list Adolfa 1855 r. tém się kończył: « Pisze mi kochany Józefat, że dnia 6° grudnia miało być

ogłoszone ułaskawienie dla zesłanych z Królestwa Polskiego. Osoby znające lepiéj okoliczności, radziły szanownéj mojéj opiekunce, podać prośbę dopiero wtedy, gdy to ułaskawienie będzie ogłoszone publicznie. Prośba już musi być podana i miejmy dobrą nadzieję. »

Rok 1856, w którym ta nadzieja miała spełnić się nareszcie, długo jeszcze uchodził bezpociesznie. Przez cały styczeń i luty nie było z Petersburga ani słowa. « Co do mnie — powtarzał Adolf — zawsze jednakowa piosenka, i smutna jéj nuta, chyba się zmieni ze zmianą okoliczności. Tak przynajmniéj wnoszę z milczenia tych, którzy się interesują moim losem, bo niezawodnieby napisali, gdyby mieli co pomyślnego napisać.» Na początku marca, otrzymał wprawdzie od Ohryzki ponowienie wszystkich dawniejszych obietnic, ale zniecierpliwiony i zwątpiały, pod koniec tegoż miesiąca odpowiadał rodzinie : « Gorzko się zaśmiałem, przeczytawszy w liście Mamy życzenie, bym choć połowę drogi mógł przebyć w saniach. Widać z tego że mieliście nadzieję, nie wiem tylko na czém opartą, iż ja mógłbym ztąd wyjechać jeszcze w tym miesiącu. Dziś i zima już na odlocie, a ja przyznam się wam szczerze, że pomimo najgorętszych chęci, nie przygotowuję się wcale do podróży, mając ją jeszcze za bardzo i bardzo niepewną. Może wy macie powody do nadziei i daj Boże żeby ta was nie zawiodła; ale ja, co tu siedząc w głuszy uralskich lasów, nic takiego nie widzę coby zapowiadało rychłą zmianę w mojém położeniu, zmuszony jestem wątpić, aż póki nie przeczytam, jak to mówią, czarno na białém. »

W chwili wszakże kiedy to pisał, już owa zmiana, co miała zmienić « smutną nutę jednakowéj piosenki » była zaszła. Dnia 30 marca n. s. pełnomocnicy siedmiu mocarstw podpisali w Paryżu traktat zamykający wojnę wschodnią; tryumfalny huk dział ogłosił światu usadowienie Europy « na mocnych i trwałych fundamentach pokoju... »

Pożądana nowina była blizką, ale na nieszczęście, list pisany pod wrażeniem zwątpienia, zawierał jeszcze następne złowrogie słowa : « Nie wiem zkąd znowu przypytał się do mnie kaszel i słowo w słowo taki, jaki był roku przeszłego o téj saméj porze. Pozbędę się go zapewne chyba za nastaniem dni ciepłych i suchych, co jeszcze nie tak prędko nastąpi, a tymczasem męczy mię okropnie. Nietylko nie mogę palić cygara, ale i być tam gdzie palą : najmniejszy dymek tytuniowy sprawuje straszne krztuszenie, mnie, któremu był niezbędną potrzebą. »

Na początku kwietnia, ta sama poczta co przyniosła do Niżne-Tahilska wiadomość o zawartym pokoju, doręczyła Adolfowi list z Petersburga, ponawiający upewnienia, że nietylko pani Karamzinowa, ale i p. Demidow, chociaż nieobecny, dokładają wszelkich starań, aby podana już prośba wzięła rychły i pomyślny skutek. Donosząc o tém matce i bratu, dodał : « Tak więc możemy teraz niemal być pewni, że nareszcie życzenia nasze spełnione zostaną... To to, nagadamy się po tylu latach niewidzenia się. Panna Kasylda niech się nauczy jakiego marsza na mój wjazd w bramy Dziahylny, i nie zapomnijcie uprosić *smotrytela* (dozorcę)

poczty w Kojdanowie, żeby mnie we dwie sekundy wyprawił do was. Nim to nastąpi (jeśli ma nastąpić, bo cóż pewnego w rzeczach ludzkich), radbym mieć wyobrażenie tego kątka, który przeznaczyliście w domu dla tyloletniego tułacza po cudzych kątach. Chciałbym zawczasu poznać się z nim i marzyć o przyjemnościach, jakie mnie czekają w jego zaciszu. Napiszcie mi więc: czy to jest kwadrat czy prostokąt? Jaka jego długość, szerokość i wysokość? Czy będę miał okna na północ, jak przez dwanaście lat w Omsku i czwarty już rok tu w Niżne-Tahilsku? Czy będzie gdzie wygodnie postawić samowar? — gdyż nie wątpię, że nieodmówicie mi czasem zejść się do mnie na herbatę, jako do Azyanina, któremu ten napój stał się nieodbitą potrzebą. Na takie przyjęcia was, kupiłem wczoraj sześć nowych łyżeczek srebrnych, a w drodze kupię w Niżnym Nowogrodzie albo w Moskwie, najmniéj pud poczciwéj herbaty; bo jeżeli pijecie taką jak Paweł, to prędkobym się wyrzekł jéj nazawsze i wolałbym wrócić do piwa ze śmietaną i grzankami, jak to bywało za czasów ś. p. Symonowéj i cioci Hryniewieckiéj (co na paznogciu dawała nam masło do chleba), za których dusze codzień szlę moje westchnienia do Boga... Wierzcie mi moi najdrożsi, że jak jastrząb nad kurczętami, tak moja myśl ulata teraz w każdéj chwili nad ową Dziahylną, gdziebym pragnął jak najrychléj spaść w wasze objęcia... Widzę z listow twoich kochany January, że jeszcze nie możesz pocieszyć się po stracie poniesionéj w dziatkach i ciągle jesteś smutny. Cóż począć, kiedy taka była wola Najwyższego. Zaklinam cię na

miłość braterską, uspokój się mój drogi. Kiedy Bóg da, że ja przyjadę, nie wątpię iż nam zabłysną przyjemne chwile, a tymczasem staraj się rozpędzać twoje zmartwienia widokiem téj pięknéj przyszłości, która nas oczekuje. »

Obok tych słów, jakby od niechcenia rzucony następny dopisek, dziś nie daje się czytać bez ściśnienia serca... « Kaszel mój powiększa się ciągle, a z nim i ból piersi. Ale to nic. Przejdzie wszystko, byle kilka dni pogodniejszych, a mianowicie gdy dobra wiadomość, elektryczną iskrą wstrząśnie cały mój organizm. » Były to zresztą w ciągu listów z Sybiru ostatnie słowa zafarbowane jeszcze tém światełkiem tęczowém, w jakiém wspomnienia i marzenia malowały się na bańce nadziei, póki jéj rzeczywistość nie dotknęła.

W kwietniu zaszło rozwiązanie : wyrok uwolnienia został podpisany; ale tegoż samego czasu stan zdrowia Adolfa, pogorszył się nagle. Choroba rozwijająca się stopniami, przybrała charakter wyraźny i niebezpieczny. Jednocześnie, kiedy ręka cesarska dawała ułaskawienie, śmierć położyła swą rękę na ułaskawionym. Nieszczęśliwy, nie wiedział jeszcze o pierwszém, nie domyślał się drugiego. Dnia 1° maja v. s. pisał do domu : « Musiałem postawić sobie na piersiach ogromną wezykatoryą, która wielką mi ulgę przyniosła; że zaś i doktor mój to uważa i ja sam wiem z doświadczenia, iż nic mi tak nie szkodzi jak wychodzenie na służbę w czas chłodny, słotny lub wietrzny, ze względu więc na droższe nad wszystko zdrowie, i z obawy żeby słabość jego nie przeszkodziła mi wylecieć ztąd natych-

miast, skoro przyjdzie pozwolenie, postanowiłem prosić pana Zarządzającego, żeby komu drugiemu poruczył dotychczasowe moje obowiązki, których nie byłbym w stanie spełniać dzisiaj z należytą i zwykłą mi akuratnością. »

Nazajutrz posłał tę prośbę Zarządzającemu w Niżne-Tahilsku i zaraz potém otrzymał z Petersburga doniesienie o spełnieniu się najgorętszych życzeń...

W kilku listach, które jeszcze przed wyjazdem napisał do domu, niemasz nigdzie śladu téj elektrycznéj iskry, co miała ożywić stargany organizm. Zdaje się, że sama największa radość nie zdołała już wstrząsnąć zbolałych piersi i odbiła się głucho pod ich pruchniejącą deską, obłożoną plastrami.

Dnia 6/18 maja, w dwudziestą czwartą rocznicę przybycia do Tobolska, oznajmił tylko rodzinie krótko i po prostu, że jest już pewien uściśnienia jéj na rodzinnym progu.

W tydzień późniéj, uspakajał niecierpliwość matki pobieżném doniesieniem : « Nie mogę jeszcze wiedzieć kiedy wyjadę, bo dotąd władze tutejsze nie otrzymały urzędowego względem mnie rozporządzenia. Tymczasem śpieszę zdawać bibliotekę i już jestem przy końcu tego kłopotu, gotuję powóz, pakuję moje rzeczy i staram się o służącego na drogę, którego w każdym razie znajdę chyba tylko ztąd do Moskwy. »

W dziesiątek dni potém, donosił znowu : « Doczekałem się nareszcie urzędowego uwiadomienia o mojém uwolnieniu... Jestem już teraz zupełnie spokojny, gdyż własnémi oczyma czytałem najwyższy rozkaz, dozwala-

jący mi powrócić w domowe progi... Czekam tylko na tak zwany *pismienny wid*, czyli paszport, który wkrótce dostanę... W końcu tego miesiąca lub na początku przyszłego będę miał szczęście przycisnąć was do mojego serca i wraz z wami podziękować Bogu za mój powrót... P. Demidow, w liście do tutejszego Rządzcy, pisanym z Wiednia 9 maja, kazał mi powinszować doczekanego spełnienia się naszych życzeń, wyrazić jego serdeczne ztąd ukontentowanie, ofiarować mi (zapewne na koszta podróży) 1,000 r. as. i oświadczyć w jego imieniu, że jeślibym po zobaczeniu się z matką chciał wrócić do służby w Niżne-Tahilsku, będę przyjęty z największém zadowoleniem. Dzisiaj, w długim i czułym liście wynurzam memu szlachetnemu dobroczyńcy całą wdzięczność za wszystkie jego dla mnie względy. Przepraszam przytém, że mając od rodziny dostateczne środki do powrotu, pieniężnéj ofiary przyjąć nie mogę, tém bardziéj, iż nie miałbym sposobności odsłużyć się za nią, bo stan mój zdrowia nie pozwala mi korzystać z jego uprzejméj propozycyi wrócenia w góry Uralu, i nateraz jedyném życzeniem dla mnie być może, ostatnie dni życia przepędzić wśród rodziny, któréj troskliwa pieczołowitość jest niezbędną do ich zachowania i przedłużenia. » Przypisek na boku ołówkiem : « A zostawcie dla mnie choć jedną wiszeńkę na drzewie, żebym miał przyjemność sam ją zerwać. »

Ostatnia ćwiarteczka korespondencyi z Sybiru, mająca datę 9/21 czerwca, zawiera te słowa : « Rzecz już pewna, że w przyszłym tygodniu otrzymam pasz-

port i wyruszę z miejsca... Siedzę jak na szpilkach, ale za to jak siądę do pojazdu polecę dniem i nocą. Nie masz tego złego coby nie wyszło na dobre : z przewłoki ta korzyść, że drogi podeschną i czas będzie znośniejszy. Dotąd mieliśmy nieustanne zimna, śniegi i ulewy; dziś pierwszy dzień piękny... Po moim ztąd wyjeździe, napisze do was p. Wiszniewski, tutejszy aptekarz (bo Sokołowskiego tu nie będzie), którego dnia i o któréj godzinie wyjechałem. List jego zapewne prędzéj odemnie stanie w Dziahylnie, gdyż będę musiał zatrzymywać się w miastach gubernialnych, a w Moskwie może przyjdzie i parę dni zabawić, nim znajdę towarzysza podróży do Mińska, bez którego byłbym narażony na wiele przykrości i okradzenie w drodze... Do widzenia się wkrótce, moi najdrożsi! »

We wszystkich tych listach, zapowiadających blizki powrót, nie masz żadnéj wzmianki o postępie choroby, która objawiła się coraz groźniéj i dolegliwiéj. Biédny wygnaniec, co niegdyś nie chciał wierzyć żeby kto mógł chorować wracając do domu, taił przed rodziną swój smutny stan zdrowia, żeby choć na kilkanaście dni zostawić jéj niezaćmioną radość; ale jak to sam opowiedział późniéj, bardzo słaby i w ciężkich cierpieniach opuścił Niżne-Tahilsk, dnia 17/29 czerwca 1856 roku.

VI

Tak się skończyła historya ćwierćwiecznéj pokuty powstańca polskiego, który latem w roku 1831[m] szedł jako jeniec do Wiatki, a o téjże porze w 1856[m] wracał na ziemię rodzinną, żeby za rok późniéj głowę w niéj złożyć.

Historya dosyć pospolita, nie nacechowana ani piętnem krwawém, ani straszniejszą od krwi pleśnią więzień podziemnych, ani nawet żadnym cieniem nędzy; w treści swojéj jednak bardzo smutna, bolesna, żałobna, dorzucająca nie bladą kartkę do dziejów narodowego męczeństwa naszego. Skreślona, można powiedzieć, własną ręką pokutnika pod okiem straży, ma ona jedną stronę zupełnie zakrytą, stronę uczuć, myśli, męk moralnych nieszczęśliwego syna nieszczęśliwéj ojczyzny.

Pokutował on za to, że się urodził Polakiem i miał sobie za najświętszą powinność poświęcić się dla Polski, jak wielu, jak tysiące innych; ale w niezbadanych rachunkach przeznaczeń, dostał się jemu udział cięższy pomiędzy innémi : należał do tych, którym przypadło mieć żywot rozcięty na dwie połowy, błogą — dla złożenia jéj w ofierze, i gorzką — dla stwierdzenia wagi téj ofiary. Rodzinę, szczęśliwość domową, skłonność serca, cały raj ziemski życia, razem z życiem odważył

na wyjarzmienie ojczyzny, i byłoby to może zbyt lekkie, gdyby je razem z niém utracił; ale żyw i odarty ze wszystkiego, musiał wiele lat płakać i wzdychać po stratach, każdą kropelkę łez, każde westchnienie dając Bogu na próbę, czy były czyste, prawdziwie polskie, szczerze chrześciańskie, czy nie gasiły ognia miłości wyższéj nad miłość rzeczy, które i niewolnicy i poganie kochać umieją. W państwie niewoli, pod władzą pogańską, wolno mu było żałować i spodziewać się głośno tylko tego, po za obrębem czego dopiero rozciąga się z dalekiéj przeszłości na nieograniczoną przyszłość ta wielka dziedzina wrodzonych pragnień i nadziei Polaka, którą carowie nazwali zbrodniczém marzeniem. Wszystkie też narzekania i życzenia jego jakie mógł wyjawić, musiały być wstecz zwrócone i kończyć się na domowym progu. Skazany jak inni wspólnicy jego doli, mieć przed sobą jeden tylko widok powrotu na łono rodziny i jedną tylko drogę przez łaskę carską, był wszakże i w tém nieszczęśliwszy od wielu innych. Tylu z pomiędzy nich w zdrowiu i sile wieku wróciło do kraju; on starzejąc się i słabnąc, brnął w coraz dolegliwsze położenie. Nikt nie miał przemożniejszych wstawień się i starań za sobą, nikt sam nie przykładał się czynniéj do swego wybawienia; pomimo to, każda nadzieja przynosiła rozpaczliwszy zawod, każda zmiana większy ciężar. Wszystko przyjmował kornie, pobożnie, mężnie. Ow z urodzenia buntownik, co w dzieciństwie rumienił się i dumnie podnosił czoło na wzmiankę o Kościuszce, co w kwiecie lat męzkich śmiał porwać się do broni przeciw carowi, gdy mu przyszło być posie-

leńcem sybirskim, kancellarzystą rossyjskim, narzędziem władzy carskiéj, poddał się ulegle dopuszczeniu Bożemu; zachowując bez skazy swoją godność osobistą i narodową, odpowiadał wymaganiom każdego stanowiska na jakiém się znalazł: ściśle, gorliwie, sumiennie pełnił każdą służbę, do jakiéj kolej wygnania go przywiodła. Nigdzie i nigdy nie okazała się w nim zaciętość i nienawiść. Wszędzie i zawsze roztaczał koło siebie to ciepło piersi płonących w głębi jakimś ogniem wyższym, które łagodzi, pociąga, zniewala serca, nawet kierowane różnémi względami do odporu i nieprzyjaźni. Zwierzchnicy, równi i podwładni, musieli w końcu mieć dla niego jeśli nie miłość, to przychylność i szacunek. Rzadki człowiek, któryby we wszystkich stosunkach z ludźmi stał tak czysto. Nikomu nic nie zawinił, kogo tylko mógł zobowiązał; każdą uczynność szczerą wdzięcznością, każde uczucie szczerém współczuciem odpłacił. Ale był jakiś nie z ludźmi rachunek, którego zaspokoić i przeto z więzienia wyjść nie mógł. Zagadki podobnego rodzaju, chyba wtedy dopiero dadzą się tłumaczyć, gdy wielkie zagadnienie losów ojczyzny naszéj rozwiązane zostanie... To tylko widoczna, że są żywota pojedyncze, szczególniéj z pewnemi kolejami żywota narodowego spojone; są pokutnicy, dla których niemasz wyzwolenia na ziemi, póki ich rodzinna ziemia w niewoli; niemasz dozwolonéj radości, póki się ojczyzna nie uraduje. Bóg wie, komu z wygnańców i więźniów przeznaczono dożyć téj chwili, kiedy podnosząca się z grobu Polska poda im rękę; Adolfa oczekiwania spełniły się wtenczas, gdy nadzieje

Polski spadły do poziomu drogi sybirskiego wygnańca. Zostawił ją przytłoczoną zemstą Mikołaja, wracał do wydanéj na łaskawość Alexandra II°. Zemsta nie zdołała jéj zabić; łaska miała za warunek umorzenie się dobrowolne. Ojczyźnie, ułaskawienie obiecywało śmierć; jemu, pozwalało cieszyć się powrotem, kiedy już był umorzony...

Co z tego względu « przecierpiał w swych męczarniach dziennych, co przemyślił w swych nocach bezsennych » to zostało tajemnicą grobu.

« ... Jego pamięć zapisana cała,
Jak księga herkulańska pod ziemią spróchniała. »

Czytelnicy przypomną sobie zapewne te słowa, a z niémi i cały ustęp *Dziadów* *, gdzie Adolf Januszkiewicz, opowiada stan wypuszczonego więźnia. Opowiadanie to, włożone jemu w usta przez wieszcza, daje się dzisiaj stosować i do niego samego. Wieszcz przywołując go myślą do grona współtowarzyszy, którym wznosił pomnik, miał przed oczyma tylko takim, jakim niedawno pożegnał we Włoszech : młodym, swobodnym, współczującym męczeństwo narodu, ale jeszcze nie męczennikiem; czas dodał mu i ten tytuł.

Kartka uwieczniająca imie Adolfa w *Dziadach*, została najchlubniejszą pamiątką jego stosunków zawiązanych w latach młodzieńczych, uniwersyteckich, wi-

* Pisma Adama Mickiewicza. Wydanie zupełne. Paryż, 1860. Tom III, str. 275-280.

leńskich. Nie wielu ludzi miało równe jak on szczęście, tyle związków przyjaźni, od wiosny życia, na przekor wpływom czasu i oddalenia, utrzymać bez przerwy i ostygnienia aż do śmierci. Z litewskich jednak, po za obrębem pokrewieństwa i współmęczeństwa, nie widać żadnego, któryby zasługiwał na wzmiankę w pośmiertném wspomnieniu, a są takie, co przez cześć dla zmarłego, powinny być tu przemilczane; bo żywi, szczycący się jego przyjaźnią, odstąpili sprawy, dla któréj on umarł... Wcale inaczéj działo się z Podolem : tam, oprócz krewnych miał szczególniéj dwóch przyjacioł, którzy od początku do końca jego pobytu w Sybirze, składali mu nieustannie dowody najczulszego przywiązania i najstaranniejszéj troskliwości. W listach też jego do rodziny, znajduje się tysiąc wdzięcznych wyrazów wylanych dla nich z głębi serca. Pierwszym z nich był Tomasz Kulczykowski, drugim marszałek powiatu winnickiego, Alexander Russanowski. Nie mniéj pięknym i dla obu stron zaszczytnym przykładem jest to uczucie, jakie dochowali sobie nawzajem współtowarzysze wygnania. Z pomiędzy tych, co pierwéj powrócili do domów, mianowicie Gustaw Zieliński i Paweł Ciepliński, nie przestali kochać Adolfa i być od niego kochani jak bracia. Rodacy lekarze, Jazon Krupski w Omsku i Sokołowski w Niżne-Tahilsku, serdecznie traktowani przez swego pacyenta, pozamieniali się w serdecznych jego przyjaciół. Pierwszy z nich przesyłając mu pożegnanie, pisał : « Najmilsze uczucia przyjaźni dla ciebie zachowam na całe życie, bo od momentu naszéj znajomości, wiele miałem dowodów

dobrych twych życzeń, bo twój zobowiązujący charakter i światły rozum, każdego zmuszał być twoim przyjacielem. » Całe rodziny polskie i nie polskie, wykształcone i prostacze, przejęte mile grzejącemi promieniami szlachetnych i tęsknych jego piersi, otoczyły go tkliwém przywiązaniem. Na parę tygodni przed odjazdem, odebrał jeszcze z Omska wiadomość, że w domu gdzie niegdyś mieszkał, córki poczciwéj gospodyni, pielęgnują ogródek, jako drogą i świętą pamiątkę po nim. Pielgrzym skazany przebiedz szerokie kraje w dwóch częściach świata i nigdzie nie módz albo nie chcieć zostać, wszędzie « cząstkę swéj duszy zostawił. »

Przyszła nakoniec chwila jego powrotu do rodzinnego gniazda, chwila tak gorąco pragniona, tak niecierpliwie przez ćwierć wieku czekana, chwila co miała być « najszczęśliwszą ze szczęśliwych » co miała przynieść « zapomnienie wszystkich cierpień, radość niebieską, cudowne uzdrowienie, odżycie na nowo, zmartwychwstanie! » Przyszła... i czémże była wistocie, co przyniosła?

Zmartwychwstaniem, dla syna Polski, bez zmartwychwstania ojczyzny nigdy być nie mogła; wygnańcowi sybirskiemu jednak mogłaby przynieść wielkie szczęście i godziwą radość, gdyby była przyszła pierwéj, dawniéj, gdyby był doczekał się jéj w Tobolsku, w Iszymie, a nawet w Omsku; ale przyszła za późno, po czasie. Zwycięztwem, tryumfem sprawy, za którą daje się życie, można w skonaniu rozradować się na

wieki; dla ucieszenia się ziemią, choćby rok, choćby lat parę, trzeba zdrowia, a to już było niepowrotnie stracone.

Matka, rodzina, przyjaciele, domownicy wyciągnęli ręce do wracającego; włościanie gromadnie przyszli go powitać z chlebem i solą; on ujrzał, odzyskał to wszystko, do czego z taką męczarnią, lat tyle wyciągał tęskniącą duszę; ale z objęć drogich poszedł zaraz na łoże boleści, nieskończonych aż do śmierci. Ledwo w łzach rozrzewnienia zabłysł promyk radości, przyćmiły go chmury obawy, trosk i smutku. Stan uczuć w podobném położeniu, łatwiéj daje się odgadnąć niżeli opowiedzieć; sami nawet aktorowie takich scen życia, częstokroć zostawują wyrazy, z których więcéj domyślić się niżeli wyczytać można.

W tydzień po powitaniach, January donosząc o nich bratowéj Eugenii do Paryża, napisał:

« Brat Adolf, na dniu 9/21 lipca, o godzinie 7ᵈⁱ wieczorem przybył do nas, z wielką radością nas wszystkich, choć razem zasmucił, albowiem jest mocno chory. On sam dopisuje się i opowie swoje cierpienia, a my dołożymy wszelkich starań, jakie można, aby mu te cierpienia osłodzić. »

Dopisek Adolfa:

« Ów najukochańszy brat Adolf, rzeczywiście po 25ᶜⁱᵒ letniém z górą wygnaniu, wrócił na łono drogiéj mu rodziny, i w najautentyczniejszym oryginale znajduje się dzisiaj w Dziahylnie; ale cóż z tego, kiedy niestety! zamiast radości i pociechy przyniósł z sobą smutek i

niepokój. Krótkie nader były chwile naszego wspólnego szczęścia, gdyśmy po tak długiém rozłączeniu, we wzajemnych objęciach zapomnieli o przeszłości, albowiem nazajutrz trzeba było myśleć tylko o tém, by zapobiedz postępowi ważnéj choroby, znanéj w medycynie pod imieniem *caries*, i którą obowiązany jestem surowemu klimatowi Uralu. Choroba ta objawiła się początkowie jeszcze w marcu, a w kwietniu zaczęła mię już dręczyć do tego stopnia, że 2/14 maja nie będąc w stanie spełniać moich obowiązków bibliotekarza i hortykultora, zmuszony byłem prosić o uwolnienie mnie od nich. Dziwném zrządzeniem losu, w kwadrans po podaniu prośby o dymisyą, otrzymałem pierwszą wieść niepodlegającą żadnéj wątpliwości o mojém szczęściu. Zdawało się, że wpływ jego będzie skuteczniejszy na polepszenie stanu zdrowia, niż wszystkie rady miejscowéj medycyny. W kilka dni wszakże choroba wzięła górę i musiałem dla ocalenia życia pozwolić na przepalenie kawałka piersi. Po téj operacyi czas jakiś czułem się bardzo dobrze, rana goiła się pomyślnie i z każdym dniem zmniejszała. W tém nagle w sąsiedztwie jéj zjawił się nowy pagórek ukrywający w sobie ból i z boku jego zaczęła sączyć się materya na niezagojoną ranę. Jasna rzecz była, że choroba exystuje i że na długo się zanosi. Widząc więc iż mój wyjazd z Tahilska przeciągnąć się może, rozwiązałem węzeł gordyjski zagadki mego wyzdrowienia, oddaniem się w Boską opiekę i zdecydowaniem się opuścić jak najprędzéj Tahilsk, zwłaszcza że i sam doktor niewiele obiecywał skutku ze swoich leków w takim klimacie, i

radził bym puszczał się w drogę, twierdząc nie bez racyi, że ruch, świeże powietrze, posuwanie się w coraz cieplejsze strony, a co najważniejsza, nadzieja rychłego uściśnienia Mamy i rodziny, wpływać będą na mnie i że dosięgnąwszy celu życzeń, łatwiéj będzie wziąść się do kuracyi i oczekiwać od niéj pożądanego rezultatu. Wyjechałem więc 17/29 czerwca, i pomimo niewymownych cierpień, jakich doznałem w tak długiéj podróży, Bóg mi pozwolił stanąć szczęśliwie na rodzinnym progu. Dziś jestem w ręku biegłego lekarza, który w roku przeszłym ocalił życie Januarego; mam nadzieję, że przy pomocy Najwyższego i ja śmiercią swoją nie zasmucę kochanéj rodziny. Doktor nasz wszakże nie obiecuje prędkiego wyzdrowienia, które według jego opinii musi przeciągnąć się jeszcze najmniéj 3 lub 4 miesiące. W oczekiwaniu téj szczęśliwéj dla nas wszystkich chwili, z zupełną ufnością w Opatrzność, która dotąd czuwała nademną na wygnaniu i w podróży, i ze spokojnością umysłu, jaką w każdéj przeciwności powinien odznaczać się chrześcianin, spełniam wszystkie przepisy doktora, jakkolwiek niektóre z nich nader są uciążliwe. Dałby Bóg bym w następnym liście mógł ci droga i zacna Eugenio donieść coś bardziéj pocieszającego o mojém zdrowiu, a tymczasem życząc wam wszystkim tego największego skarbu człowieka, uściskam cię po milion razy wraz z twoją córą, kochanymi braćmi i całą twoją rodziną. Wasz na wieki.

ADOLF. »

Pomimo wszystkich zabiegów lekarskich, choroba czyniła coraz straszniejsze postępy, jesień i zima przeszły w ciągłych dolegliwościach, na końcu kwietnia 1857, pisał jeszcze do braci w Paryżu : « Boże! ilem ja w tych czasach wycierpiał, ile cierpię dotąd! » Nadzieja wszakże nie przestawała go łudzić : stała znowu przed nim ze swoją wieczną obietnicą powrotu — powrotu już tylko do zdrowia. Spodziewał się, że będzie mógł w maju do Ems wyjechać i znajdzie tam niechybną ulgę; słabość nie dozwoliła przedsiębrać téj podróży. Spodziewał się, że sprowadzone wody emskie, sprawią na miejscu pożądany skutek; sprawiły tylko pogorszenie. W czerwcu, widocznie już wszelki ratunek był niepodobnym. Na kilka dni przed rocznicą wyjazdu z Niżne-Tahilska, nieszczęśliwy wędrowiec stanął u kresu swéj ziemskiéj pielgrzymki. Opatrzony śś. sakramentami, straciwszy mowę i władzę w całém ciele, a nie pozbawiony czucia okropnych cierpień, po bolesném dogorywaniu przez całą dobę, dnia 6/18 czerwca, o godzinie 6[éj] i 50 minut rano, pożegnał się z tym światem.

Nazajutrz odbył się skromny, cichy, ale najżałobniejszy z żałobnych pogrzeb. Włościanie znowu tłumnie zeszli się do dworu i oddając ostatnią posługę temu, co przeszłego lata witali z powrotem jako « miłego hospodyna » zwłoki jego na swych ramionach zanieśli w progi dziahylniańskiego cmentarza.

Dom Dziahylny, w którym nie zabrzmiało oczekiwane wesele, okrył się teraz ciężkim i podwójnym ki-

rem. Nie dość że śmierć mu zabrała co odzyskał, musiał jeszcze i od siebie dać jéj ofiarę.

Z dwojga, po niedawnych stratach pozostałych Januaremu dzieci, zbliżająca się do wyjścia z pączka na kwiat córka, dostała w udziale być towarzyszką stryja u końca jego drogi. Więdła spółcześnie gdy on jęczał w boleściach, skonała skoro skonał. Wzrok wszystkich wlepiony w gasnące źrenice męczennika, nie postrzegł, że i niewinne dziewcze zabierało się odlecieć za nim z téj ziemi. Wracający z pogrzebu rodzice, znaleźli w domu drugie martwe ciało. Nieszczęśliwy ojciec nie miał już ni słów żalu, ni łez dla swéj jedynéj Kasylki. W milczeniu, z suchém okiem, zaniosł ją na cmentarz i złożył w mogile, obok mogiły Adolfa.

. . . .

W kilka dni po odprowadzeniu zwłok na miejsce ich spoczynku, odprawiły się za dusze zmarłych exekwie w parafialnym kościele Kojdanowskim. Bliższe i dalsze sąsiedztwo zjechało się licznie, smutek był powszechny i głęboki. Ksiądz Wiktor Malewicz przemówił z kazalnicy głosem poruszającym echo uczuć, które na ziemi niewoli muszą być nieme jak pod ziemią*.

. . . .

Na wiejskim cmentarzu w Dziahylnie, wzniosły się dwa nagrobki. Do tego, który miłość braterska stawiła

* Patrz *Dodatki*.

Adolfowi, przyłożyła się i ręka przyjacielska Gustawa Zielińskiego. Nosi on napisy :

Na ścianie od przodu :

ADOLF JANUSZKIEWICZ

UR. 1808 MAJA 28 DNIA. UM. 1857 CZERWCA 6 DNIA.

Z ducha, serca i myśli ; z cnót, ofiar i czynów,
Bóg nie miał sług wierniejszych, kraj godniejszych synów.
Obywatel, z wyznawcy niezachwianą siłą.
Przechodniu ! nie zań tylko nad jego mogiłą,
Lecz módl się i za siebie : By przezeń uprosić
Tak żyć, wierzyć i kochać ; tak cierpieć i znosić.

Na prawéj stronie z boku :

« Choć przed oczyma ludzkiémi męki cierpiał, wszakże nadzieja jego nieśmiertelności pełna jest. »

Sap. 3. 4.

. . . .

Po trzech upłynionych latach, przybyła do dwóch pierwszych trzecia mogiła. Tekla z Sokołowskich Januszkiewiczowa, matka męczennica, dnia 11/23 pazdziernika 1860 roku, mając lat 82 wieku, złożyła głowę obok najstarszego syna.

Od czasu kiedy ciężkie dopuszczenie Boże powiodło nas dwoma drogami pokutniczego pielgrzymstwa,

serce téj matki Polki rozdarte było na dwie połowy. Jedną, jawnie przebywała na Sybirze; drugą, tajemnie błąkała się po Zachodzie. Dożyła powrotu syna wygnańca, żeby martwe jego czoło oblać łzami; dożyć powrotu synów wychodźców nie miała pociechy...

W zakątku Litwy, na cmentarzu jednéj wsi, trzy grobowce stojące rzędem, przypominają żywot trzech pokoleń narodu polskiego pod uciskiem. Ileż to grobów na naszéj i obcéj ziemi zamknęło serca przebolałe cierpieniem narodowém! Ileż łez smutnych, gorzkich, żałobnych wsiękło w obcą i rodzinną ziemię!

Czytelniku! dodaj kroplę żywą do wyschłego morza, westchnij o miłosierdzie Boże nad Ojczyzną męczenników pomarłych i żywych.



LISTY ZE STEPÓW

I

WYJĄTKI Z DZIENNIKA PODROŻY

OBJASNIENIE.

Obok *Listów ze stepów kirgizkich* znajdzie czytelnik *Wyjątki z dziennika podróży :* to wymaga objaśnienia, które razem ułatwi objęcie całości przedmiotu.

W marcu 1846 r. przybyli do Omska posłowie Wielkiéj Hordy Kirgizów, z oświadczeniem chęci poddania się berłu rossyjskiemu. Powodowały ich do tego szczególniéj domowe niepokoje, jakie sprawiał jeden z tamecznych sułtanów, imieniem Kenesary, bohatér pustyni odegrywający rolę nakształt Abd-el-Kadera. Od lat kilkunastu był on niebezpiecznym przeciwnikiem władzy rossyjskiéj, coraz głębiéj rozszerzającéj się w stepy. Dobrowolnie lub przymusem gromadził rody kirgizkie, z niémi napadał wojskowe posterunki Rossyan, w pień je wycinał i nieraz rzucał postrach aż w granice Syberyi. Te jego zagony stawały się częstokroć dokuczliwémi i swoim : nie oszczędzał opornych jego woli, dopuszczał się rabunków i spustoszeń. Komendy rossyjskie w Omsku i Orenburgu, przeznaczone do czuwania nad podległymi Kirgizami, przemyśliwały ciągle o sposobach pozbycia się tak dolegliwego nieprzyjaciela ; ale trudna była rada z wodzem, który w nieszczęśliwym dla siebie razie, rozpraszał swoje siły w piasczystych i bezwodnych obszarach, a potém znowu je skupiał na innym punkcie stepu. Gdy więc przybycie posłów nastręczało dobrą sposobność, pograniczny zarząd

Średniéj Hordy, rezydujący w Omsku, zajął się skwapliwie wysłaniem wyprawy zbrojnéj nad rzekę Lepsę, tak dla przyjęcia w poddaństwo sułtanów Wielkiéj Hordy, jakoteż dla zadania z ich pomocą ostatecznego ciosu Kenesaremu, który zasiadł w wąwozach gór Ała-tau.

Dowództwo wyprawy objął sam pograniczny naczelnik, jenerał Wiszniewski. Do boku jego przydani byli dla spełnienia szczególnych poruczeń, oprócz tłumaczów i kancellarzystów, dwaj urzędnicy zarządu : wielekroć pierwéj obeznany ze stepami kirgizkiémi, Wiktor Iwaszkiewicz, i ścisłą z nim przyjaźnią złączony, młodszy w służbie, nasz autor listów.

Cała karawana wyszła z Omska 7 maja, traktem pocztowym na Semipołatyńsk do Ajaguzy, gdzie stanęła 25 t. m. Dowódzca inną drogą przez Kokbekty przybył tamże 10 czerwca, a 13, na czele siły zbrojnéj, złożonéj ze stu kozaków, jednego działa i hufca Kirgizów kokbektyńskich, ruszył daléj, i po sześciu dniach drogi stanął nad Lepsą w dolinie Oj-dżau-tau, przerzniętéj rzeką Sarym-saktą.

W ciągu dwudziestodniowego pobytu w tém miejscu zgromadzali się pomału sułtani i odbyła się ceremonia przyjęcia ich pod bèrło Rossyi. Przyrzekając wierność, dali oni jednak do zrozumienia, że nie chcą podnieść ręki na swego rodaka, potomka chanów, Kenesarego, który zresztą w takiém jest położeniu, że już nadal szkodliwym być nie może. Nie przyszło tedy do spotkania się krwawego, i wyprawa wojenna zawód swój skończyła : pozostały tylko czynności administracyjne.

Dnia 7 lipca, jenerał Wiszniewski z siłą zbrojną pociągnał napowrót ku Ajaguzie; urzędnicy zaś cywilni, pod zwierzchnictwem Iwaszkiewicza, pozostali w stepach, dla zrobienia popisu ludności i majątku różnych aułów kirgizkich. Udali się oni naprzód ku granicy chińskiéj, potém posuwali się zwolna w stronę Ajaguzy, nareszcie ku Omskowi, dokąd przybyli 12 października.

Przez całe te pięć miesięcy z górą, ś. p. Adolf utrzymywał *dziennik podróży,* dzień po dniu, bez przerwy, zapisując nietylko wypadki zachodzące, ale postrzeżenia i uczucia własne. Niekiedy, łatwe jego pióro pod wpływem świeżego wrażenia unosiło się rozległéj; zwykle jednak robił krótkie notatki dla wsparcia swojéj pamięci. Miał bowiem zamiar — jak o tém w jednym liście wyraźnie nadmienił — wolnym czasem wygotować porządny opis wyprawy. Zdaje się, że

opisowi temu chciał nadać formę na wzór korespondencyi Jacquemonta o Indyi. Tak przynajmniéj sądzić można z listów, mianowicie na początku podróży pisanych do rodziny i przyjaciół.

Listów tych wszystkich, jakie zebrać udało się, jest tu numerami oznaczonych XX. Kilka z nich (XI, XII i XV) było naprzód drukowanych w Warszawie, w *Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych;* zaraz potém *Biblioteka Warszawska*, w sposzytach swoich za styczeń, marzec i kwiecień 1859, umieściła ich cztérnaście (I-XII, XV i XVIII); inne znalazły się bądź w samym *dzienniku podróży*, bądź w zbiorze korespondencyi zachowanym przez rodzinę.

Wszystkim widocznie za podstawę służyły notatki codzienne. Początkowych kart 19 dziennika, przelanych w korespondencyą, sam autor wydarł z niego i zniszczył; na dalszych, okresy przeniesione do listów, poprzekreślał.

Karty wydarte obejmowały przeciąg czasu od 8 maja do 13 czerwca, czyli od wyjazdu z Omska do opuszczenia Ajaguzy. Właśnie ta pierwsza część wyprawy znajduje się zupełnie opisana w dwunastu początkowych listach. Dalsze listy, przedzielono znacznémi odstępami, nie składają już jednego ciągu opowiadania. Trudno byłoby z nich samych powziąść dokładne wyobrażenie drugiéj części podróży, dotyczącéj głównie jéj celu.

Wypadało tedy odstępy te zapełnić i treść listów połączyć Wyjątkami z dziennika podróży, które przytém mają swą własną wartość, zawierają mnóstwo ciekawych szczegółów i zajmujących opisów.

Daty wszędzie są podług kalendarza rzymskiego.

I

Omsk, 8 maja 1846. (Do matki.)

Jeszcze chwil kilka, już będziemy w drodze. Powóz, pocztowe konie, straż kozacka, wszystko stoi w gotowości. Płacz tylko żony, dziatwy, sług towarzysza mojéj podróży i łzy jego własne, zatrzymują nas w Omsku.

Nim się on wyrwie z objęć swojéj rodziny, chwytam pióro, by ci raz jeszcze, droga matko! przesłać moje pożegnanie i polecić się twemu błogosławieństwu.

Długa droga otwiera się przedemną, w ciągu jéj czekają mię wielkie trudy, niewygody i nie jedno może niebezpieczeństwo; bo nie jest to podróż, jaką przed laty odbywałem po cywilizowanéj Europie. Dziś jadę w strony nieznane jéj wcale, jadę w głąb' stepów kirgizkich; będę żył wśród hord koczujących z orężem w ręku; będę na dzikim koniu przepływał rzeki i wdzierał się na szczyty gór, nietkniętych stopą żadnego Polaka: ale ta podróż nie zatrważa bynajmniéj mojego serca, przedsiębiorę ją z zupełną ufnością w Bogu, bo

jestem aż nadto pewien, że w każdym kroku téj drogi, w każdéj przygodzie mojéj, błogosławieństwo najlepszéj z matek, spoczywać będzie nad głową jéj syna.

Nie dbam gdzie wiatr popędzi, gdzie koń zwróci wodze,
Ty tylko gwiazdo moja, przyświecaj méj drodze!
Ty gołąbko pokoju, przodkuj mojéj łodzi[1]!...

Żegnam cię raz jeszcze kochana matko! żegnam was wszystkich. Bywajcie zdrowi.

1. Byron, *The Bride of Abydos*; tłumaczenie Odyńca.

II

Semipałatyńsk, 14 maja. (Do P... M... P...

« Ay! let me like the ocean-patriarch roam!... »
BYRON[1].

« Obym mógł bujać jak ów patryarcha morza!... » Życzenie to, które od lat wielu gorzało w mém sercu i budziło nieraz ze snu, jak naszego wieszcza tryumf bohatéra Maratonu[2], zdaje się nareszcie przychodzić do skutku; powiadam: zdaje się, bo chociaż prawie jedną nogą stoję u celu mych życzeń, wiedząc jednak z doświadczenia, jak wszystkie moje chęci, wszystkie marzenia i nadzieje rozwiewał zawsze wiatr przeciwny fla-

1. *The Bride of Abydos;* tłumaczenie Odyńca.
2. « Kiedyś mię budził ze snu tryumf Milcyada. » *Dziady Mickiewicza.*

dze mojego żywota, lękam się aby i tą razą « żelazna ręka ślepego fatum » (iż użyję buńczucznéj frazy Gołuchowskiego), ciążąca od kolebki nad moją głową, nie wypłatała nowego psikusa i nie zwróciła mnie do Omska. Cóżkolwiek bądź, w téj chwili dużo jest podobieństwa iż za dni kilka, jak Noe po mokrym; tak ja bujać będę po suchym oceanie kirgizkiego stepu.

Puszczając się na tak śmiałe przedsięwzięcie, miałbym na sumieniu, gdybym najdawniejszym towarzyszom nie przesłał kilku wyrazów; gdybym nie pożegnał się z wami, co od lat piętnastu los mój dzielicie, i gdybym nie zapewnił, że gdzie mię tylko poniosą szybkie fale owego oceanu, wszędzie myśl moja będzie o was. Obyście i wy myślą waszą towarzyszyli żeglarzowi!

Nie sądźcie wszakże, ażeby celem mojéj wyprawy była tylko chęć pobujania po stepie! O nie! byłoby to dosyć dla jakiego Beduina, Farysa, lub angielskiego turysty, co się chce pozbyć splinu; dla mnie tego mało: ja chcę jeszcze przy téj zręczności odgrzebać w piasku kirgizkim drugą Niniwę.

Trzeba wam wiedzieć, że Rubruguiz, czy Ruibruguiz, i Plano Carpini, w swoich pamiętnikach czy dziennikach podróży (których wprawdzie nie miałem honoru czytać i czytać może nigdy nie będę) twierdzą, (jak zapewnił mię o tém jeden z Omskich, kirgizo-tatarsko-mongolskich oryentalistów), « że za Wołgą, o trzydzieści dni konnéj jazdy, leży wielkie miasto mongolskie Karakorum, stolica Dżingischana, w któréj oni nietylko byli sami osobiście, lecz jeszcze pili kumys i kurakumys. » Dziś uczeni europejscy smażą sobie łby nad

rozwiązaniem tego zadania: gdzie stał ów gród, z którego władzca Azyi ciskał swoje gromy jak Jowisz z Olimpu?.. Jedni utrzymują, że Karakorum na brzegach Jeniseja; drudzy, że nad Syr-Daryą, starym Jaxartem Herodotów i Strabonów; najuczeńsi zaś każą go szukać na pustyni Gobi, a jeśli tu niéma, to najniezawodniéj znajdzie się na dnie Bajkału. Ztąd straszny hałas, spór i wrzawa grożąca spokojności pięciu części świata.

Dla zapobieżenia więc rozlewowi krwi i atramentu, gruntując się na podaniu Kirgizów, którzy jako dziedzice cząstki mongolskiego państwa, mają pretensyą do lepszéj znajomości rzeczy i wręcz twierdzą, « że dżingischańska zimowa rezydencya była na ich stepie[1], » jadę szukać ruin tego potężnego grodu i okruszyn tronu wielkiego burzyciela świata. Nie przyznacież, że tego poświęcenia się z mojéj strony, wymaga dobro ludzkości i tak już cierpiącéj?... A ponieważ w bibliotekach sybirskiéj stolicy, bogatych tylko w « Tajemnice Paryża, Wiecznego Żyda i Kursa filozofii preferansa, » mało jest dzieł ważniejszych, zaklinam was w imie krwi ludzkiéj, w imie pokoju i przyszłych pokoleń, abyście przejrzeli tobolskie księgozbiory, i jeśliby się w nich znalazł jaki mammut w waszych lodach, Don Ruibruguiz lub Signor Carpini, przysłali mi niezwłócznie wyciąg z ich podróży do dżingischańskiéj rezydencyi.

Odszukano Niniwę, dlaczegożbym i ja nie mógł odszukać Karakorumu?

Bywajcie zdrowi.

1. Są góry Dżingistauskie.

III

Semipołatyńsk, 17 maja. (Do brata.)

Kochany bracie! Od dni kilku jesteśmy w Semipołatyńsku i tylko Irtysz przedziela nas od Kirgizów; Irtysz, ta potężna rzeka, nad któréj brzegami stoją na zamarzłych zwłokach przedpotopowych mieszkańców świata zimny Tobolsk i wietrzny Omsk, dwa znakomitsze grody Syberyi, których okolice zalewały niegdyś, jak świadczy Humboldt[1], fale oceanu. Krocie moich listów, pisanych z nad brzegów téj rzeki, zaznajomiły cię już dobrze ze starą dziedziną Kuczum-chana, zdobytą przed trzema wieki dzirytem prostego Kozaka, jak równie z dzisiejszą stolicą jenerał-gubernatora zachodniéj Syberyi. Nieznany ci jeszcze Semipołatyńsk,

1. W swojéj *Klimatologii*.

który acz mniejszy i skromniejszy swémi historycznémi wspomnieniami i politycznóm znaczeniem niżeli Tobolsk lub Omsk, zasługuje atoli na wzmiankę, jako punkt obszernego handlu, który Sybir prowadzi z Chinami, Taszkinią, Kokanią, Bucharyą, oraz Średnią i Wielką Hordą Kirgizów.

Semipołatyńsk, niegdyś miasto obwodowe tak zwanéj Omskiéj obłasti, dziś należące do okręgu bijskiego, gubernii tomskiéj, leży o 1,300 wiorst od Tobolska, a o 700 od Omska, przy ujściu rzeczki Semipołatynki do Irtysza. Założony czyli raczéj przeniesiony na dzisiejsze miejsce w drugiéj połowie przeszłego wieku; gdyż przedtém, od roku 1716 czy 1726, istniała forteczka tegoż nazwiska o dwadzieścia kilka wiorst niżéj, któréj częste wylewy Irtysza zagrażały zupełném zniszczeniem. Dzisiejszy Semipołatyńsk, wzniesiony na szczątkach ruin dawnéj twierdzy Dżungorcow, liczy do 7,000 ludności, w znacznéj części Tatarów, Taszkińców i Bucharów : ztąd jedna cerkiew, a 6 czy 7 meczetów. Język kirgizki w powszechném prawie używaniu. Płeć nawet piękna rossyjskiego plemienia mówi nim biegle, jak nasze damy po francuzku. Kupcy tutejsi w zamian rossyjskich towarów, sprowadzanych z Irbitska i Niżnego Nowogrodu, otrzymują z pogranicznych miast chińskich Czuguczuka i Kuldży, herbatę, materye jedwabne, porcelanę i różne drobnostki tego kraju; z Taszkanii, Kokanii i Bucharyi, chałaty, dywany, rozmaite wyroby bawełniane, ryż, suszone owoce, a ze stepów kirgizkich surowe skóry koni, bydła, owiec, lisów i innych zwierząt, wojłoki, i t. p. Cały ten handel

odbywa się za pomocą wielbłądów, których liczne karawany wychodzą ztąd w maju, a wracają w grudniu. Dochód tutejszéj komory wynosi czasem do 200,000 r. z górą. W liczbie zakazanych towarów najpierwsze miejsce trzyma opium, którego rząd nie pozwala wprowadzać do Chin, jakotéż sól kirgizka, któréj nie wolno wpuszczać do Syberyi, hojnie opatrzonéj w ten skarb przyrodzenia. Dwa bataliony piechoty, konna kozacka artylerya i pograniczni kozacy składają załogę Semipołatyńska. Tu kwatera dowódzcy kozackiéj brygady. Władza cywilna w ręku horodniczego. Klimat Semipołatyńska zdrowy : mrozy acz wielkie w zimie, nie bywają jednak tak silne i długotrwałe jak w Omsku; latem tylko nieznośne upały okropnie dają się we znaki, zwłaszcza z przyczyny straszliwych piasków pokrywających ulice miasta; lecz tę część afrykańską, że tak powiem, nieprzyjemności, wynagradzają w części melony, a szczególniéj kawony, nieznane prawie w innych stronach Syberyi, a przynajmniéj w tak dobrym gatunku. Kilka statków naładowanych niémi, jak bombami, przybywa w końcu sierpnia do naszego Omska, bogatego tylko w rzepę i kartofle. Semipołatyńsk i z tego jeszcze względu szczęśliwszy od Omska, że w blizkości ma lasy sosnowe, dostarczające podostatkiem jego mieszkańcom drzewa na opał i budowę; zwierzyny i ptastwa obfitość : zboże tylko nierównie droższe, jako w strefie leśnéj i piasczystéj. Przemysł tego handlowego miasta składa się prawie tylko z kilku garbarni i młynów. W jednym z tych ostatnich, widzieliśmy kamienie młyńskie sprowadzone aż z ki-

jowskiéj gubernii: zapłacone na miejscu 500 rubli za parę, ze sprowadzeniem kosztują właściciela 1,000 rubli asygnacyjnych. Są to sławne kamienie ze wsi mi znajoméj, z Żorniszcza.

O 7 wiorst od Semipołatyńska, w romantyczném położeniu, w części na dolinie przerzniętéj strumieniem, w części na pochyłości góry odzianéj lasem, z wierzchołka któréj odkrywa się pyszny widok na Irtysz, na step kirgizki i ciągnące się po nim pasmo gór Semitauskich[1], leży tak zwana *zaimka*, czyli futor kupca Popowa. Jestto jedno z najpiękniejszych miejsc w znanéj mi Syberyi. Czarowna oaza, jak gdyby cudem jakim przeniesiona ze szczęśliwych stron świata! Tu oko moje, znużone jednostajnym widokiem smutnych pustyń i nudnych krajobrazów, z jakąż rozkoszą powitało ten odległy zakąt północy, w którym, oprócz uroku zachwycającego położenia, uderza jeszcze widok klombów, ubranych w najrozmaitsze kwiaty. Błoga ta ustroń — nie utrzymywana wszakże jak zasługuje na to, dla braku środków teraźniejszego właściciela — przeniosła mię w inne strony, którem widział przed laty, i kilka chwil przemarzyłem w niéj tak mile, że pomimo niewielkiego szacunku jaki mam dla szampańskiego wina, zwłaszcza takiego jakiém handel zaopatruje obficie nasz Sybir, znajdując się w towarzystwie wielkich wielbicieli jego, wypiłem kilka kieliszków Montebello, które nietylko mię rozczuliło, lecz nawet do łez rozrzewniło. Tak to silna potęga widoku pięknéj i ożywionéj

1. *Tau*, po kirgizku góra.

natury!... bo nie sądzę, ażeby samo nazwisko nektaru, przywodzące na pamięć świetne zwycięztwo, co jak jutrzeńka przed słońcem błyszczy w dziejach przed świetniejszém jeszcze zwycięztwem otrzymaném na polach Marengo, lub wspomnienia krwawego boju pod Essling, były przyczyną tego wezbrania mojéj czułości.

A ponieważ mowa o szampańskiém winie, muszę ci powiedzieć, iż nie wiem czy w Szampanii, czy nawet gdziekolwiek na świecie, więcéj, w proporcyi do ludności (zważywszy zwłaszcza, iż wyznawcy Mahometa składają część jéj znaczną), piją go, jak w Semipołatyńsku. Wyobraź sobie, że od czterech dni, gdzieśmy tylko byli zaproszeni na śniadanie, obiad, herbatę, kawę lub preferansa, wszędzie Cliquot, Sillery i Montebello zastępowały kwas i wodę. Nawet we młynie, w garbarni, za przyszły pomyślny-odbyt mąki i skór spełniały się toasty szampanem : nareszcie, fakt historyczny, iż na weselu pewnego kupca, 1,500 butelek wypróżniono za zdrowie państwa młodych.

Widziałem tu pięć sztuk bydła rogatego, które w tych dniach przywędrowało z Tybetu i wypocząwszy po trudach podróży, ma iść do Petersburga. Bydło to, niewielkiego wzrostu, kosmate, z ogonem krótkim i szerokim, znane w tych stronach pod imieniem Kutasy, ma dużo i bardzo dobrego dostarczać mleka. Do rzędu także rzadkości, jakie szczególniéj ściągnęły moją uwagę, zaliczyć muszę : 1° własnoręczny rysunek Pallasa, wyobrażający tego sławnego wędrownika po Syberyi, rozmawiającego z Buriatami w ich jurcie; 2° kilka wyrazów, skreślonych w jednym albumie ręką

Humboldta, w czasie pobytu jego w tém mieście; 3° parę bażantów z nad brzegów Bałchasza; 4° parę archorów z gór Archackich; 5° maleńką monetę rzymską z roku 101 ery chrześciańskiéj. Oto jest wszystko, co tu, wraz z szampanem, reprezentuje świat stary i nowy, Azyą i Europę. Niewiele wprawdzie, lecz czy nie dosyć jednak, jak na sybirską osadę, leżącą na krańcach europejskiéj cywilizacyi?

Piękna pogoda uprzyjemnia nasz pobyt w Semipołatyńsku. Gościnni jego mieszkańcy kazali nam zapomnieć o chłodzie i trudach doznanych w czasie podróży z Omska; lecz oto w téj chwili odbieramy wiadomość, iż konie przypędzone z bliższych aułów kirgizkich, czekają na nas na drugiéj stronie Irtysza; jutro więc czynimy rozbrat z cywilizowaném życiem, i puszczamy się na wszystkie niewygody, przygody i niebezpieczeństwa koczowniczéj wędrówki, lecz *fortes fortuna iuvat!* Bądź zdrów.

1. *Archory*, o których autor często wspomina, zdają się być podobnie jak marały, gatunkiem łosi, albo prędzéj jeszcze rodzajem kozłów skalnych.

IV.

Kak (uroczysko), 22 maja. (Do brata.)

Kochany January! Skończywszy wszystkie nasze przygotowania do stepowéj podróży, dnia 19 o godzinie 1ᵉʲ po południu, stanęliśmy nad brzegiem Irtysza, który w tym roku, z przyczyny sparcia się lodów, podniosł się był do wysokości, jakiéj nie pamiętają mieszkańcy Semipołatyńska. Bogaty jeden kupiec kirgizki, mający swój dom na drugiéj stronie rzeki, w tak zwanéj tuszkińskiéj słobodzie, dowiedziawszy się o chwili naszego wyjazdu, przybył tu umyślnie dla poznania się z Wiktorem i zaproszenia go do siebie na herbatę. Po zwykłych frazach azyatyckiego powitania, powiedział mu: « Gdybym tyle dobrego nie słyszał o tobie, nigdybym nie wyjechał na spotkanie twoje; bo powiem ci szczerze, że chociaż u mnie bywają znakomite figury, jako to: esauły, pułkownicy, jenerałowie, lecz ja nie

zwykłem dla nich ruszać się z miejsca.» Po takim komplemencie, siadł w łódkę i popłynął do siebie; a my, pożegnawszy się ze znajomymi, Semipołatyńskiém i Syberyą (które to pożegnanie nie obeszło się, *comme de raison*, bez szampana), weszliśmy na prom utrzymywany przez Tatarów, i pomimo nadzwyczajnie jeszcze wielkiéj wody, po godzinnéj żegludze, któréj część znaczną przespałem, stanęliśmy na kirgizkim brzegu. Tu zastaliśmy tabun koni pod naszą karocę i kozaków, składających nasz zbrojny orszak. Oczekujące już na brzegu drążki, zawiozły nas do owego kupcą, u którego zabawiliśmy z godzinę, przyjęci gościnnie urukiem, kiszmysem[1], figami, i niestety! znowu szampanem. Znowu *Montebello*, wypchnąwszy tęgo zaszpuntowany swój korek i cisnąwszy go po za kotarę łoża, za którą kryły się skromnie czarnookie dziewice Mahometa, wpadł z szumem do długich kielichów, i my nieszczęśliwi musieliśmy wychylać je za zdrowie gospodarza, pomyślny powrót jego karawany z Taszkinii, nareszcie za zdrowie własne i szczęśliwą podróż. Po tych libacyach wsiedliśmy do powozu i piątka kirgizka poniosła nas w step po karawannym szlaku wiodącym do Czuguczuka, a Kirgizy i Kozacy, towarzyszący nam konno, puścili się cwałem. Mimowolnie przyszedł mi na pamięć wiersz: «Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu,» lecz nie mogłem go dopełnić następnym: «Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi[2];» gdyż przeciwnie,

1. Drobne rodzenki i rodzaj suszonych moreli.
2. Sonet Mickiewicza.

step żółty, równy, zarosły tylko lichą trawą i piołunem, rozciągał się na wszystkie strony. Napotkaliśmy wszakże kilka niw uprawnych. Trzy czy cztéry razy przemieniwszy konie, które nieprzyzwyczajone do chomąta, po kilku wiorstach jazdy ustawały i włokły się zaledwie, ku wieczorowi zdążyliśmy do pierwszego aułu [1], stojącego w blizkości mogiły Bazaja, na uroczysku Karawankul. W kwadrans postawiono nam jurtę, w któréj pierwszy raz w tym roku piliśmy kumys, ów szampan kirgizki, i pod osłoną jéj ruchomego sklepienia, pierwszą noc przepędziliśmy w stepie.

Nazajutrz krzyk bydła, owiec, kaczek, przepiórek i skowronków zbudził mię jeszcze przed wschodem słońca. Nim wstał Wiktor, wyszedłem ze strzelbą ku poblizkiemu jezioru. Jeden z okrążających mię Kirgizów, blady jak trup, uskarżał się, że mu «kursuk propał,» co miało znaczyć w jego kirgizko-rossyjskim języku, iż cierpi straszliwe bole w żołądku, i prosił mię o lekarstwo; lecz drudzy jego towarzysze twierdzili, że mu żadne lekarstwo nie pomoże, gdyż opętany jest od djabła. Po powrocie moim z jedną kaczką, zjadłszy bez chleba kęs baraniny na drogę, ruszyliśmy w dalszą podróż: ja, w assystencyi mego fligiel-adjutanta Amantaja [2], konno; a Wiktor, z rządzcą Uwak-kirejewskiéj włości, poważnym starcem, dużo przypominającym żydowskich rabinów, Kanajem, w powozie: co niezmiernie uszczęśliwiło naszego Kirgiza, który tę grzeczność Wiktora

1. Kilka lub kilkanaście jurt.
2. Młody Kirgiz służący u Wiktora.

uważał za zaszczyt, podnoszący go wysoko w oczach rodaków, jakkolwiek to zaspokojenie miłości własnéj musiało go niemało kosztować, bo sam późniéj przyznał się Wiktorowi z uśmiechem, że przez całą drogę siedział jak na torturach, nie znając w życiu swojém innéj jazdy prócz wierzchowéj.

Pierwszy to raz po sześciu latach siedzącéj pracy, siadłem na koń i w czas niesłychanie gorący puściłem się po stepie. Amantaj, nie mogąc ukryć swéj radości, że odetchnął świeżem powietrzem rodzinnéj pustyni, hasał na swym rumaku we wszystkie strony i cieszył się jak nasz student jadący na wakacye. Ja niemniéj przyjemnego doznawałem uczucia, pomimo tęsknych myśli, które na wspomnienie rodzinnego kraju cisnęły się tłumem. Jechaliśmy brzegiem jeziora Karawankul, na którego wysepkach ma być tyle gniazd kaczek, gęsi, łabędzi, że « niemasz wolnego miejsca dla stopy człowieka. » Kanaj, z tego względu, zrobił uwagę zdolną samego Geoffroy de Saint-Hilaire nabawić kłopotu: « Jakim sposobem ptak, wśród takiego mnóstwa, trafić może do swego gniazda? » Za jeziorem, w niewielkiéj odległości, błękitniały góry Dżelbigetau, w niektórych jeszcze miejscach upstrzone śniegiem. Grzązki grunt moczarów, znanych w Syberyi pod imieniem *sołońców*, niezmiernie utrudniał jazdę, zwłaszcza w terazniejszéj porze roku, i zmuszał nas często wstępować do aułów dla przemiany koni. Te odwiedziny niezawsze przypadały Kirgizom do smaku. W jednym aule cała ludność wyraziła swoje nieukontentowanie z tego powodu naszemu baszczy (przewodnikowi), który nas skierował

tamtędy; płeć nawet piękna łajała go bez litości, a jeden ze starszyn wystąpił z taką apostrofą : « Cożeś zrobił dobrego! czy się godziło tak wielkich panów narażać, w dzisiejszy upał, na pragnienie, wiodąc ich po drodze pozbawionéj dobréj wody, kiedy miałeś krótszą i lepszą.... » Nareszcie po kilkogodzinnéj podróży, przebywszy wpław bystry Czar, stanęliśmy na uroczysku Kak, w pośród koczowisk Ajkimbet-Siwan-Kirniejów[1]. Tu powitał nas ich rządzca Bijseke i wprowadził do obszernéj, od kilku już dni przygotowanéj dla nas jurty. Pierwsza ta galopadka tak mię zmęczyła, że zsiadłszy z konia i wychyliwszy dwie chińskie czasze kumysu, oblany krwawym potem, doznałem cóś nakształt mdłości. Nie mogąc utrzymać się na nogach, rozebrałem się do koszuli i palnąwszy znowu kumysu, rzuciłem się na koszwę, pragnąc we śnie znaleść pokrzepienie, lecz zbyteczna ustałość i upał długo mi zasnąć nie pozwoliły. Pod wieczor jednak uczułem się lepiéj; ręce tylko i nogi, odzwyczajone przez tyle lat od konnéj jazdy, bolały niemiłosiernie.

O zmroku wzięliśmy się do herbaty, lecz jakże gorzko przygotowania nasze do niéj skompromitowane zostały, kiedy Amantaj wbiegł z raportem, iż w studni wykopanéj na słonym gruncie, konie i bydło tak zmąciły wodę, że niepodobna jéj użyć do imbryka. Trzeba więc było czekać wieczerzy, w czasie któréj Wiktor, jako doskonały znawca kirgizkiéj etykiety, surowo mię zgromił za przestąpienie jéj prawideł : podstawiłem

1. Ród koczujący w ajaguzkim okręgu.

bowiem ręce razem z Wiktorem dla wspólnego oblania ich wodą; należało zaś, o czém nie wiedziałem, obmyć je każdemu zosobna, i to nie stojąc, lecz przysiadłszy na ziemi. I drugi również ważny błąd : poważyłem się, zgłodniały jak pies, i jak to zwierzę, ogryzać gnat barani, kiedy człowiek dobrze wychowany powinien obrzynać go psiakiem (nożykiem wiecznie dla téj potrzeby wiszącym u każdego Kirgiza przy pasie). Pomimo téj reprymandy, dziwnie mi się smacznémi wydały : i tiustiuk (opiekana pierś barania na węglach), i kunardyk (rodzaj zrazików podsmażonych w baraniéj tłustości), i biszburonak (siekaninka z baraniego mięsa, gotowana w szurpie to jest w zupie z baraniny), i kazy (końskie kiełbasy), i tym podobne delikatesy kirgizkiéj kuchni. W nocy śniły mi się wprawdzie forszmaki, bifsteki, blanc-manger, galarety i różne specyały semipołatyńskich obiadów; lecz ani te wspomnienia cywilizowanéj gastronomii, ani nawet bezskuteczny napad barantarzy (rabusiów) na tabun koni naszego gospodarza, nie zdołały mię zbudzić ze snu głębokiego, który do reszty pokrzepił moje siły.

Gdyśmy po wieczerzy zapalili cygara, Kirgiz jeden ciekawy zapytał Wiktora : « Co ty palisz? » — « Cygaro. » — « Co to jest cygaro? » — « Tytuń skręcony. » — « A ile on kosztuje? — « Pięć kopiejek. » — A ile w dzień tych cygar wypalisz? « — « Czasem piętnaście. » — « O głupcze! lepiejbyś te pieniądze schował do kieszeni. » Na takie *dictum acerbum* nie było co odpowiedzieć.

Nazajutrz zrana zawył wiatr straszliwy i deszcz lu-

nął, lecz około południa niebo się wyjaśniło, a słońce wiosny w oka mgnieniu prawie osuszyło rozmiękły step. Wyszedłem z jurty rozpatrzyć naszę okolicę. O jakże pusta, nudna, bezdrzewna!.. Gdzieniegdzie tylko kolące krzaki karagajniku[1] i siniejący w dáli Dżelbige-tau urozmaicały tę pustynię; ale jeżeli widok nieożywionéj niczém natury naprowadzał tęsknotę, za to z drugiéj strony, tłum Kirgizów przybyłych z sąsiedzkich aułów, odpędzał smutne myśli i nieskończenie mnie zajmował.

Powodem tego zgromadzenia się Kirgizów była sprawa, dla któréj właśnie tu przybyliśmy, a którą opowiem ci w krótkości :

Kilku Kirgizów, w imieniu własném, jakotéż czterdziestu pięciu swych spółbraci, podało prośbę do pogranicznego naczelnika, uskarżając się : iż Bijseke, z tytułu rządzcy włości, gnębi ich i uciemięża, i domagali się aby na miejsce jego pozwolił wybrać starszynę Kojczubaja. Pograniczny naczelnik, chcąc się przekonać o słuszności tych skarg, poruczył Wiktorowi wniknąć na miejscu w istotę rzeczy i zwrócić szczególniéj uwagę na to : azali te skargi nie są wymysłem Kojczubaja, który rok temu starał się sam o ten urząd, lecz większością głosów odepchniętym był od niego. Sprawa ta zabrała nam kilka dni czasu, albowiem dwa przeciwne i zawzięte na siebie stronnictwa stanęły do walki. Obudzone były wszystkie interesa i namiętności.

1. Z rodzaju strączkowych, dwa gatunki jego : jeden kwitnie różowo, a drugi żółto. Używa się powszechnie na opał.

Co chwila występowali mowcy, i niektórzy z tych stepowych Demostenesów zachwycali mię swoją jędrną i pełną energii wymową. Starszyna Toukumbaj i sam Bijseke, uginaliby swe czoła pod ciężarem laurów, gdyby żyli w dawnéj Grecyi lub Rzymie; lecz żebyś miał lepsze pojęcie o tych publicznych rozprawach wpółdzikiego ludu, skréślę ci je pobieżnie.

Skoro Kirgizy napełnili naszą jurtę, Wiktor zagaił posiedzenie stosowną przemową, i opowiedziawszy im treść prośby podanéj pogranicznemu naczelnikowi, zapytał: « kto ją układał i pisał? » Wszyscy jednozgodnie zawołali, że autorem jéj jest przyboczny sekretarz Kojczubaja, młody mułła, co ten ostatni potwierdził wyznaniem, że w rzeczy saméj projekt skargi ułożył podług słów starszyn, którzy na niéj wycisnęli swe pieczęcie, a plebs postawił swe tamgi (znaki rodów, jak naprzykład + o □ v, i t. p.); na prośbie zaś przepisanéj na czysto, sam wyręczył jak pierwszych tak drugich, kładąc ich pieczęcie i tamgi. W tém kilkudziesiąt Kirgizów, podpisanych na prośbie, wrzasnęło aż się jurta zatrzęsła, że nie mając najmniejszéj pretensyi do Bijseki, nigdy udanych swych znaków nie stawili przeciw niemu, i że nawet kilku z nich przed dziesięcią laty umarło. Po takiéj protestacyi, jeden ze starszyn, człowiek średniego wieku, biédny, lecz szlachetnéj powierzchowności, z bystremi i czarnemi jak węgiel oczyma, imieniem Toukumbaj, który dotąd milczał, nie mogąc dłużéj wytrzymać swego oburzenia i niecierpliwości, po kilkakroć splunąwszy i zatarłszy dłonie, powstał, i w zapale najżywszego uniesienia, przypisywał

intrygom Kojczubaja całą tę skargę na Bijseke: «Twoja to sprawka Kojczubaju!.. Tyś to pragnął oddawna zarządzać naszą włością, lecz my, znając dobrze twoje przymioty, odrzuciliśmy ciebie... Dzisiaj chcesz nam gwałtem narzucić się znowu... byś zasiał między nami niezgodę, zamącił pokój ludu i sprowadził śledztwo. Z twojéj to łaski tylu Kirgizów musiało rzucić swoje jurty, swoje tabuny, dzieci i żony, jechać w czas roboczy z dalekich aułów; niektórzy nawet przyszli pieszo: wszyscy muszą znosić trud i głód. Tu się zebrali i objedli biédny auł, niemający sam co jeść. Ty to, chcąc koniecznie zostać naszym ilbilanczym [1], latałeś do Omska lizać nogi i progi pogranicznego naczelnika Jurtubeka, i Kurbanaka [2]. Ty to, za Irtyszem, nie szczędzisz pochlebstw Rossyanom, a za dwadzieścia rubli kupioną szablę z felcechem przyczepiwszy do boku i powiesiwszy na szyi jakiś order drewniany, fanfaronujesz i grasz rolę wielkiéj figury przed Kirgizami... O ineine sigeim!... Ja twego ojca nieboszczyka.... » Tu posypał się rzęsisty grad komplementów, jakich nigdy moje ucho nie słyszało. Filippika ta sprawiła potężne wrażenie na umysłach słuchaczów. Toukumbaj wypalił ją bowiem z całą energią i gestykulacyą właściwą wielkim mowcom; raz nawet przedrzeźniał Kojczubaja, jak on łasi się przed rossyjskimi urzędnikami, i zakończył ją kilkakrotném: « o murder! murder! (plugawcze).» Poczém odetchnąwszy nieco, obrócił się do ludu i rzekł:

1. Rządzca włości, *Wolostnoj uprawitel.*

2. Pierwszy sowietnik pogranicznego rządu ze strony Kirgizów, a drugi tłumacz przy pogranicznym naczelniku.

« Mówcież, jakie macie skargi na Bijseke? » a kiedy wszyscy milczeli — « Cóż to! — krzyknął — czy wam pyski tezekiem (gnojem) pozalepiał Kojczubaj? Gadajcie! » Tu starszy wiekiem odezwał się: « My kontenci jesteśmy z Bijseki i nie chcemy innego ilbilanczy. » Kojczubaj zaś, zgromiony piorunującym napadem stepowego trybuna, widząc, iż nikt nie podtrzymuje jego strony, rumienił się tylko, co chwila odstrzeliwając się nieustanném w ustach Kirgiza: « o ineine sigeim. »

Zwycięztwo jednak przeciwnika jego nie było jeszcze zupełném: wkrótce bowiem na ten plac boju weszło z pięćdziesięciu Kirgizów, w liczbie których znajdowało się trzech starszyn ze stronnictwa Kojczubaja. Ci wszyscy rozwodzili się ze skargami na Bijseke. Powstał więc straszny hałas, wszyscy razem wrzeszczeli, aż trzeba było wyprosić niesforne zgromadzenie za jurtę, gdzie pod gołem niebem utworzyło koło, w pośrodku którego zasiadł Wiktor, a obok niego ja, mułła i Kanaj, który jako sąsiedzkiéj włości naczelnik i mąż powszechnie szanowany, grał rolę pośrednika, usiłującego pogodzić zwaśnione umysły. Tu strasznięjsza jeszcze zawrzała burza: jedni krzyczeli, żądając utrzymania Bijseki, a drudzy wrzeszczeli domagając się nowego obioru. Gdy niepodobna było uciszyć wzburzonych fal tego morza, i gdy naczelnicy partyj oświadczyli, że nie wszyscy jeszcze Kirgizy są obecni, Wiktor odroczył posiedzenie do jutra, a tymczasem oni kazali zarznąć po kobyle, każdy ze swojéj strony: medyator zaś używał wszelkich środków aby ich zbliżyć ku sobie. Przytomny téj dyplomatycznéj interwencyi uwak-kirejewskiego

rządzcy, Toukumbaj, znowu tak silnie powstał przeciw Kojczubajowi, że ten siadł przed nim, zdjął czapkę i prosił o przebaczenie. Resztę dnia i całą noc trwały szumne zgromadzenia i narady, już to pod namiotami, już po krzakach *à la belle étoile.*

Nazajutrz zaledwie około południa można było zacząć posiedzenie, gdyż lud pokrzepiony smacznémi kąskami biédnych kobył, spał jak zabity. Utworzyło się znowu ogromne koło, lecz już z samych tylko stronników Bijseki; przewódzcy bowiem przeciwnéj partyi, zmiarkowawszy, iż większość nie jest na ich stronie, postanowili wystąpić ze swémi skargami późniéj osobno. Całe koło jednogłośnie wrzasnęło: « My kontenci z Bijseki! on nasz dobroczyńca! chcemy go mieć i nadal! » A chociaż większa część ich figurowała na prośbie zaniesionéj przeciw niemu, wszyscy jednak oświadczyli, że podpisy mimo ich wiedzy i woli uczynione zostały. Wezwany sztats-sekretarz Kojczubaja, autor rzeczonéj prośby, okropnie się zmieszał, gdy Toukumbaj, wprowadziwszy go w koło, podprowadzał ku wielu Kirgizom, i z groźną miną i zaiskrzonym od gniewu wzrokiem, zapytywał: « Znasz ty tego?... znasz ty tego?... » A on, nietylko że ich nie znał, lecz pierwszy raz w życiu widząc przedstawione sobie facyaty, nie mógł wymienić ich nazwisk. Biédak zapomniał w gębie języka, a gdy mu jeszcze Wiktor zrobił maleńką uwagę, że takowy jego postępek, na zasadzie takiego to paragrafu prawa... pachnie karabinem, który mu będzie trzeba dźwigać całe życie, ledwie zdobyć się mógł na tę słabą obronę, iż temu wszystkiemu winni starszyny, którzy

mu pisać prośbę i kłaść tamgi kazali. Bijseke, w upojeniu radości, chodził wokoło zgromadzonego ludu, ściskając ręce każdego, jak nie jeden nasz marszałek, obwołany na drugie trzy lecie.

Kiedy to się działo, po drugiéj stronie naszéj jurty utworzyło się koło, czyli raczéj kółko, złożone z samych politycznych przyjaciół Kojczubaja. Na czele ich stał Eraty, starszyna, zawzięty przeciwnik Bijseki, młody i nadzwyczaj przystojny mężczyzna. Daremne wszakże były jego usiłowania, by ważniejszém jakiém oskarżeniem, mającém za sobą pozor słuszności, obciążyć Bijsekę. Wszystkie pretensye, jakie to kółko objawiło, były bezzasadne i widocznie wymyślone; najgłówniejsza: « my go nie lubimy. » Tymczasem pośrednik Kanaj chodził poważnie ze słowami pokoju i zgody, od jednego do drugiego koła: co chwila zdawało się, że mir nastąpi, ale co chwila przewódzcy burzyli się i przypominali sobie dawne nieukontentowania. Jeden drugiemu robił tysiączne przygryzki i wymówki, a gdy te wyczerpane zostały, Kojczubaj zaczął pysznić się swoimi przodkami: przybrawszy czupurną minę pawia, chwalił się, iż wiele zrobił przysług Padszy (cesarzowi), jak naprzykład, że na zarzecznéj stronie, gdzie zwykle koczuje, postawił młyn; że dawał siano kozackim koniom; że pomagał nieraz pieniędzmi wieśniakom i kozakom. Na takowe przechwałki, parsknąwszy od śmiechu Bijseke, rzekł: « O Kojczubaju! ojciec twój jadł tezek rossyjski, a mój łapał i jadł surki[1]; dajmy więc

1. *Arctomys mus*, podobno.

pokój prochom naszych ojców, a pomówmy raczéj o sobie. Kiedyś ty jeszcze był w pieluchach, ja kradłem już konie i u mnie je kradli: mój ojciec nie miał nic, a ja mam teraz tysiąc koni i kraść przestałem; ale nabycie ich kosztowało mię dużo trudów, niebezpieczeństw i narażania życia. Kiedy ty, wożąc dla Rossyan sosnowe kłody, możeś zaledwie dostał gałęzią po twarzy, ja mój łeb sto razy nadstawiałem żelazu. Nie w jednéj byłem bitwie. Patrz na moje blizny, wszystkie od ajbałty[1]. Zasłużyłem sobie na sławę u Kirgizów i dzisiaj jestem ich naczelnikiem. Zapytaj na téj stronie Irtysza, kto silniejszy, kto śmielszy odemnie? Twoje przysługi okazane Padszy są śmiesznością. Jeżeliś młyn wybudował, sam masz korzyść z niego; jeżeliś dał jakie dwadzieścia funtów siana dla kozackich koni, nie wielka to szczodrota; a jeżeli robisz jakie przysługi Rossyanom, robisz je obcym, którzy i od swoich mają pomoc: ja zaś robię swoim, którym nikt nie pomaga.» Tu obróciwszy się ku nam, rzekł: «Widzicie mój lud! moich *sans-cullotów* obdartych, obszarpanych; czy żyliby oni, gdyby nie ja? Widzieliście lud Kojczubaja! biédny, głodny!... kto go karmi?... nikt! Zapytajcie kogo chcecie od Semipołatyńska do Buchtarmy, kto Bijseke?... Wszyscy mię znają; wszyscy powiedzą, że dostatkiem moim dzielę się ze swoimi.... Mogą powiedzieć: «Bijseke złodziéj!» ale powiedzą także: «Bijseke poczciwy[2], Bijseke człowiek ludzki, dobroczynny!...» Osądźcież

1. Siekiera na długiéj rękojeści, broń używana w barancie.

2. Jak się podoba: poczciwy złodziéj?

teraz, kto większą robi przysługę Padszy: czy ja, który mu płacę z tysiąca koni 350 rub. as. jesaku; czy ja, co karmię Kirgizów, którzy są jego poddanymi i dzięki mojéj pomocy, płacą mu także jesak: czy Kojczubaj swoim młynem i sianem?» Zamilkł... i tylko kilka: «o ineine sigeim!...» coraz słabiéj rzuconych swemu przeciwnikowi, doleciało do naszych uszu; lecz gdy ten odezwał się, że i on, jak to mówią: nie wyleciał sroce z pod skrzydła, że on bywa w gościach u kozackiego pułkownika, że go dobrze przyjął jenerał, że ma od księcia w podarunku fajkę z cybuchem... Bijseke przerwał mu z zapałem: «Ściskaj się, obejmuj, brataj z twoimi pułkownikami, jenerałami, książętami; ja jestem Kirgiz i chcę nim być zawsze!» Nareszcie, obróciwszy się do Wiktora, rzekł: «Ty! albo mi wypuść krew, tak, ażeby żadna kropla nie pozostała w żyłach, albo zedrzyj skórę z Kojczubaja, tak, ażeby na niéj szerść nie rosła; inaczéj nigdy nie będzie ładu!» Po téj energicznéj perorze, ugruntowanéj na niepochlebném wcale dla mego towarzysza przypuszczeniu, że można jego trybunał zamienić w warsztat katowski, Kanaj poważnym głosem przemówił: «Słuchajcie... ja nie jadłem nigdy barana u ciebie Bijseke! Nie ugaszczałeś i ty mnie w swojéj jurcie Kojczubaju! Jestem tylko jako sąsiad, życzliwy wam obu i pragnę waszéj zgody! Czego się kłócić! Wasza kłótnia przywiedzie was do zguby!...» Korzystając z okoliczności, Wiktor przytoczył im powiastkę o umierającym ojcu, który, przywoławszy swoich synów, dawał każdemu z nich z osobna po pałeczce do łamania, co oni z łatwością uskutecznili; lecz kiedy

późniéj dał im kilka razem, żaden z nich złamać nie mógł, i z téj powiastki wyciagnął sens moralny. Barwa jéj w duchu azyatyckim, wielkie wrażenie zrobiła na Kirgizach: przymówienie się Wiktora przyjęli z aplauzem, krzycząc: « barekieldy! barekieldy! [1] » a Bijseke, chcąc zapewne w podobnym guście wystąpić, powolnym głosem rzekł: « Ja i Kojczubaj zarzuciliśmy każdy swą wędkę do studni... Oba siedzimy teraz nad jéj brzegiem... czas pokaże kto z nas wyciągnie szczupaka!... » Na pytanie nasze co ma znaczyć ta studnia i wędka? odpowiedział: « Studnią jesteś ty, Pulkundyku! (pułkowniku, bo tak Wiktora tytułują Kirgizy), a wędką pograniczny naczelnik! » Jakkolwiek ta alegorya wydała się mi zanadto ciemną i głęboką (może dlatego szczególniéj, żem nigdy w studni nie widział sczupaka), dziwnie wszakże podobała się słuchaczom; obsypali ją oznakami swego zadowolnienia, i mowca, wracając na swoje miejsce, miał zaszczyt, równie jak Thiers lub Guizot, po zejściu z trybuny, otrzymać powinszowania, nietylko swych zwolenników, ale i oppozycyi [2].

Myślałem, że już koniec sprawie, gdy w tém z płaczem, jękiem i rozczochranémi włosami, wpadła do jurty stara Kirgizka, straszna jak Megera, zanosząc skargę na Bijseke, iż robotnik jego Bajzan, z natchnienia swego pana, porwał jéj, wśród dnia białego, sauklę [3] i fan-

1. Wybornie! dobrze!

2. Wieczna fraza du *Journal des Débats*.

3. Ubiór damski na głowę, w kształcie głowy cukru, niekiedy dwa i trzy tysiące baranów kosztujący, osypany drogiémi kamieniami, perłami i monetą złotą.

zową koszulę[1]. Dla przekonania się o rzeczywistości téj skargi, wprowadziliśmy kilkudziesiąt Kirgizów, w liczbie ich posadziwszy Bajzana, wezwaliśmy ją ażeby go ukazała. Baba nasza, obszedłszy kilka razy koło, wybrała kogo innego, wcale niepodobnego do Bajzana, mówiąc wszakże: «oto jest Bajzan, który mnię ograbił!» I gdy tę wiedźmę wszyscy, a nawet, acz z wielkiém swojém upokorzeniem, przeciwnicy Bijseki, zapewniali że się myli, usprawiedliwiała się tą dziwną racyą, iż musiał przemienić chałat, kiedy go poznać nie mogła. Bijseke chciał jeszcze dowodzić, że ani jéj prababka saukli i fanzy nie posiadała, lecz nie miał zręczności popisać się ze swoją elokwencyą, albowiem skonfundowana prawnuczka opuściła forum, narzekając na niesprawiedliwość ludzką.

Kiedy więc i ten środek, użyty jak widać tylko na zasadzie: «gdzie djabeł nie pomoże tam poślij babę,» nie mógł obwinić Bijseki, Kojczubaj uroczyście oświadczył, iż na znak zgody chce z nim zamienić swój chałat; na jakową propozycyą, gdy przystał i Bijseke, oba zrzucili z siebie chałaty, i ten szczególny traktat przymierza cisnąwszy na nasze głowy, prosili abyśmy go przyjęli na pamiątkę tak ważnéj chwili; lecz kiedyśmy się wymówili od spełnienia ich prośby artykułem prawa «*o wziatkach*,» każdy z nich włożył na siebie chałat swego przeciwnika, i owa walka stronnictw skończyła się na tém, iż dwaj naczelnicy częstowali się kumysem z jednego naczynia, i znowu dwie biedne klacze

1. *Fanza*, jedwabna chińska tkań.

padły pod rzeźniczym nożem dla ugoszczenia zgłodniałéj gawiedzi. My zaś, opisawszy całą historyą, przedstawiliśmy ją « *po porjadku.* » Kto wyciągnie szczupaka, zdaje się rzecz niewątpliwa. Tymczasem, dla dopełnienia twego wyobrażenia o moich bohatérach, przytoczę jeszcze kilka szczegołów, które zarazem ukażą ci niektóre rysy z kirgizkiego życia.

Bijšeke i Kojczubáj, jako kurdasze, to jest : rówieśnicy, jednolatki, byli kiedyś wielkimi przyjaciółmi, i nieraz w młodości swojéj jeździli razem na barantę. Kurdaszom wolno jest gadać sobie nawzajem wszelkiego rodzaju największe głupstwa, za które żaden obrażać się nie ma prawa; lecz gdy ambicya wlazła im obudwóm w głowę i każdy z nich zapragnął być rządzcą włości, nienawiść zapaliła swoją pochodnię w braterskich dotąd sercach do tego stopnia, że gdy raz spotkawszy się z sobą, jeden drugiemu nie szczędził kolących słówek, Kojczubaj, niepomny na przywiléj kurdaszostwa, rozdarł go, płatnąwszy w łeb Bijsekę ajbałtą. Bijseke spadł z konia, ale powstawszy zbroczony we krwi, zaprzysiągł zemstę, któréj skutków niejednokrotnie już doznał jego przeciwnik i która, pomimo dzisiejszéj zamiany chałatów, wyda zapewne, przy najmniejszém zdarzeniu, krwawe swoje owoce, tém bardziéj, iż obadwa są dumni i gwałtownego charakteru. Bijseke opowiadał nam : że mając lat szesnaście, gdy kradł jeszcze konie, jak to robią wszyscy jego ziomkowie za młodu, poczytując to sobie za rodzaj odznaczenia się i ćwiczenia w rycerskiém rzemiośle, złapany został wsród cudzego tabunu. Przywiązany potém, czyli raczéj roz-

pięty na kieregach[1] jurty, tak był zbity zprzodu i ztyłu, iż nie wyobraża sobie aby kogo kiedy okropniéj bito, i nie pojmuje, jakim cudem Ałłach zostawił go przy życiu. Pomimo jednak téj operacyi, szerokiéj rany jaką mu zadał Kojczubaj i mnóstwa blizn świadczących o jego potyczkach na stepie, zdrowie jego nietylko nie szwankowało, lecz owszem siły całe rozwinęły się do tego stopnia, że słynie za Herkulesa w ajaguzkim okręgu. Straszne to kiedyś będzie jego spotkanie z Kojczubajem, zwłaszcza, że ten lew umie czasami przyczaić się lisem. Jakoż mówił nam : że pewnego razu przyjechało do niego dwóch Kirgizów z żądaniem, aby im wynagrodził za dziesięć koni ukradzionych. On, jak twierdzi, czując się w tym razie niewinnym, nie chciał płacić za cudzą kradzież. Ci, widząc jego upor, zaproponowali mu, aby jechał z nimi na dżygunę, tojest sąd bijów. Niewinny mój baranek chętnie zgodził się na to; ale powiada : « Pomyślałem sobie : dam ja wam dżygunę. » Siadł na koń, i wziąwszy z sobą towarzysza, wyruszył w drogę, lecz jadąc mimo mogiły sławnego niegdyś bija Tany, na którego mądrych i sprawiedliwych wyrokach wszyscy przestawali, wstrzymał konia, zsiadł, i wszedłszy na mogiłę, wezwał jednego z obżałowanych aby mu podał swą rękę, co w duchu kirgizkich zwyczajów miało znaczyć, iż wzywa go, aby uroczyście przysiągł nad martwémi zwłokami leżącémi pod nimi, iż on wistocie a nie kto inny ukradł konie u niego. Głupi Kirgiz dał się uwieść temu zaproszeniu, podał mu rękę,

1. Kratki drewniane, stanowiące dolną część jurty.

którą Bijseke ścisnąwszy w swoje żelazne kleszcze, kazał tymczasem towarzyszowi swemu łupić go kamczą (bizunem). Na wrzask jego, pozostały na koniu Kirgiz drapnął z placu co mu sił stało, a zbity na gorzkie jabłko oskarżyciel Bijseki, na wieki zapomniał o dżygunie i o swych dziesięciu koniach.

Lecz dosyć już nieskończonéj gawędy, którą pisać muszę na kolanach, jak wódz jaki redagujący swój raport z pola bitwy. Nieprzywykły do tego nowego dla mnie stolika, czuję się zmęczonym, jak Kanaj, kiedy wysiadł z naszego powozu; muszę pokrzepić siły spoczynkiem, a zatém bądź mi zdrów.

V

Kak (uroczysko), 23 maja. (Do brata.)

Kochany January! Nim opuszczę auły Akimbet-Kirejów, wpośród których czas daleko znośniéj mi upływa niżeli w Omsku, biorę raz jeszcze pióro do ręki, by ci przesłać braterskie uściśnienie i pomówić z tobą o otaczających mnie przedmiotach.

Kirgizy tutejszego okręgu od miesiąca już zgórą rzucili swoje kystawy, tojest koczowiska zimowe. Niemasz dla nich przyjemniejszego dnia w całym roku, jak ten, w którym, po kilkomiesięczném spoczywaniu na jedném miejscu, mogą przymarzłą do ziemi swoją jurtę włożyć na garby wielbląda, i z całym swoim dostatkiem, ze wszystkiémi swémi stadami koni, owiec i kóz, rozpocząć tę ciągłą wędrówkę, co się kończy dopiéro aż za nastaniem śniegów i mrozów.

Dzień ten jest dla nich dniem szczęścia i powszechnéj radości.

Smutny dotąd, nudny, okopcony dymem tezeku Kirgiz wsiada z wesołém licem na swego najlepszego bieguna, i z dzielną miną wywija na nim wpośród tabunów występujących w pochód.

Osmalona jego połowica przy nieustannie płonącém, jak nasz stary Znicz, ognisku, stroi się w najokazalszy chałat, w najbogatszą swoją sauklę, i jak karawanbasza prowadzi za sobą szereg wielbłądów, dźwigających na swych grzbietach ruchomy dom Kirgiza, wszelki sprzęt jego i dostatek.

Dziewczęta rade, że się wydobyły z pod okopconego sklepienia jurty, gdzie ich wdzięki więdniały jak kwiaty w ukryciu, rozpuściwszy na wiatr liczne sploty swych kruczych włosów, na zwinnych harcują rumakach pod przestronném sklepieniem niebios.

Dziarska i swawolna młodzież, nieobojętny wzrok topiąc w czarne oczy swych towarzyszek, puszcza się z niémi na wyścigi; lecz niełacny tryumf, bo hoże Amazonki pędzą po stepie jak strzały, i bolesny cios kamczy, częstokroć spadły na twarz, oddala najzuchwalszą pogoń.

Drobna dziatwa, co w czasie silnych mrozów leżała zagrzebana w popiele, uśmiecha się, krzyczy radośnie i wyglądając z kołysek przywiązanych do boków wielbłąda, zapomina o cierpieniach, jakich doznawała w tych pieluchach szczególniejszego rodzaju, których gorące uściski nie jedną pamiątkę zostawiły na jéj ciele. Tabuny wychudłe, wycieńczone po biédnym karmie

zimowym, który z wielkim trudem wygrzebywać sobie musiały kopytami z pod zaspów śniegu, nawalonego potęgą burjanu [1], różnotonnémi głosy podzielają radość swych panów.

Pies nawet, to wzgardzone i najnieszczęśliwsze stworzenie u Kirgiza, co za wierne usługi często dni kilka i kości nie widzi, ochoczo bieży za stadem, marząc o myszach polnych, swojém zwyczajném pożywieniu.

Jedném słowem: piérwsze to wyruszenie z miejsca na wiosnę, jest niejako zmartwychwstaniem Kirgiza, odrodzeniem się Fenixa z jego popiołów.

Sam step, którego dotąd głuche milczenie przerywał tylko czasami przeraźliwy świst zawieruchy, nagle na wszystkich punktach się ożywia; bo po niezmierzonéj jego przestrzeni rozlega się wszędzie uroczysta nuta pieśni kirgizkiéj.

Masz więc słaby zarys koczówki pasterskiego ludu.

Włość, któréj dziś gośćmi jesteśmy, koczuje już od czasu opuszczenia swoich zimowisk na trzeciém miejscu, i zajmuje w téj chwili obszar kilkudziesięciu wiorst, ciągnący się po obu brzegach Czaru. Korzystając z chwil wolnych od zatrudnień, zwiedzałem pobliższe auły, by się lepiéj zapoznać z tém życiem tak różném od naszego, z życiem, które wyobraźnia moja malowała sobie w najpiękniejszych barwach. Ale nie wszystko złoto, co się świeci zgóry! W każdéj jurcie spodziewałem się znaleść szczęśliwych pasterzy Arkadyi... niestety! rzadko w któréj nie spotkał wzrok mój smutnych obra-

1. Śnieżna zawierucha.

zów nędzy i chorób trapiących biedną ludzkość. We wszystkich prawie czarnych jurtach (bo majętniejsi mieszkają w białych) febra i straszniejsza od niéj *syphilis* liczyła swoje ofiary, a dotknięte nią osoby obojéj płci wyglądały jak widma lub szkielety; na dzieciach ospa, krosta, wrzody: i wszystko to własną tylko siłą musi pasować się z cierpieniem, bo nauka Eskulapa, złożona tutaj w ręku głupich i zabobonnych buksów[1], podaje środki ratunku po największéj części nacechowane piętném szarlatanizmu i guślarstwa. Serce się rozdziera na widok tylu męczenników wołających o pomoc. Na szczęście nasze, niektórym z nich mogliśmy przynieść ulgę. Wiktor bowiem, mając z sobą zapas proszków emetyku, chiny i jalapy, kilku chorym na febrę dał je do zażycia, nakazawszy zachowanie najściślejszéj dyety, a niezepsuta jeszcze natura tego ludu naszémi wymyślnémi pokarmami, przyłożyła się dzielnie do zwalczenia choroby.

Na wieść o tych cudownych lekarstwach mego improwizowanego Hipokratesa, zbiegały się tłumy chorych z okolicznych aułów. Przywożono ich na koniach, krowach, wielbłądach, a najsłabszych na dwukołowych taradajkach, arbami zwanych. Wszyscy prosili o te proszki, co większy skutek przyniosły niż modlitwy mułłów i zaklęcia buksów; uzdrowieni zaś składali swe dzięki w najczulszych wyrazach. Mąż nawet jednéj młodéj i wcale nieszpetnéj konwalescentki, posunął do tego stopnia uczucie wdzięczności, że na wyjezdzie

1. Rodzaj szamanów, guślarzy.

w drogę żegnając się z nami i dziękując Wiktorowi za pomoc okazaną żonie, prosił, aby w czasie nieobecności jego, nie robił sobie żadnéj ceremonii i raczył go zupełnie zastąpić.

Ta wielka liczba chorych na febrę niczém jest atoli w porównaniu z syfilityczną zarazą, któréj straszne spustoszenia ciągle się nam nasuwają przed oczy; zresztą febra, jak nas zapewniano, grasuje tu tylko z początku wiosny; latem zaś sam wpływ powietrza, ruch, kumys, uwalniają od niéj chorego i bez pomocy lekarskich środków; lecz ostatnia, nie znajdując żadnego hamulca, rozwija się swobodnie, okropnie i bez względu na pory roku, wiek i płeć, zatruwa jadem swoim całe rodziny. Buksy wprawdzie, postawiwszy w trójkąt parę kieregów i nakrywszy je wojłokiem, sadzają pod nim chorego i podkurzają go cynobrem; ale ta kuracya ledwie nie tyle pomaga co umarłemu kadzidło. Na ospę, od któréj mnóstwo ofiar pada co rok, żadnego środka nie zna kirgizka medycyna, a wielki wynalazek Jennera straszniejszy dla nich jeszcze niżeli sama choroba, gdyż wprowadzeniu jego w praktykę przesąd stawia niezwalczoną tamę. Kogo jad ospy owionie, może pożegnać się z tym światem; odłączony bowiem od zdrowych, żadnego od nich nie doznaje ratunku: krewni uciekają od niego jak od zapowietrzonego, i jeśli kto z litości przyniesie mu pokarm lub napój, to stawia go zdaleka. Nieszczęśliwy więc pacyent musi ginąć nieochybnie, jeśli go sam Ałłach nie ocali. O krostę zaś błyszczącą prawie na każdém ręku, Kirgizy tyle dbają, co my o piegi. Lecz dosyć już tych smutnych obrazów,

z którémi co chwila spotykałem się, zwiedzając obszarpane, podziurawione jak rzeszoto, pozbawione zgoła wszelkich wygód mieszkania uboższéj klasy tutejszych Kirgizów. O klasie bogatszéj na ten raz nic nie powiem, gdyż nie miałem zręczności zajrzéć pod jéj białe jurty: raz, że ich tu kilka zaledwie błyszczy wśród mnóstwa czarnych; powtóre, iż etykieta nie pozwala nietylko kafyrowi (niewiernemu), jak ja, lecz nawet rodakowi wejść do jurty Kirgiza grającego rolę dżentlemana, nie będąc wprzód zaproszonym od niego. Dżataki (to jest biédaki) jak wszyscy biédni na świecie, nie przestrzegają tak ściśle prawideł etykiety; téj to tolerancyi obowiązany jestem, że widziałem (jakkolwiek mię to bolało), kirgizką biédę w całém znaczeniu tego wyrazu, powiększoną jeszcze w oczach moich na widok pokarmów, jakichby im żaden pies twój nie pozazdrościł.

Przedostatniéj nocy, barantarze napadli znowu na tabun pasący się w blizkości naszego stanowiska. Krzyki: Aj! gaj! Abłaj! Abłaj! z jednéj, i wrzask pastuchów z drugiéj strony, postawiły wnet na nogach całą ludność aułu, która dopadłszy koni poprzywiązywanych na wszelki wypadek do jurt, puściła się na plac wrzawy; lecz nim nań zdążyła, już najezdnicy odbili ośm koni i korzystając z ciemności nocy, popędzili z sobą. Ostatnia noc przeszła spokojnie; ale (jeżeli słuszny domysł naszego gospodarza) dlatego jedynie, że wczorajszego dnia deszcz padał: *ergo*, banda złodziejów krążąca w téj chwili po okolicy, miałaby wielką trudność przebywać na swych zmęczonych ko-

niach grzązkie moczary, a co gorsza, zostawiłaby na nich wyraźne ślady, któreby ją zdradziły i dały możność wytropić. Niebezpieczeństwo wszakże wisi nad nami. Tylko co na spoconym koniu przybiegł Kirgiz, który przed kilką godzinami najechał trafunkiem na cztérdziestu zgórą barantarzy leżących w dolinie, niewięcéj jak o dwadzieścia wiorst od nas. Wszyscy uzbrojeni w dzidy, i cztérech z nich długo pędziło za nim. Kształt siodeł każe wnosić, że ci rabusie są Basentyńcy, z bajanaulskiego okręgu. Bijseke, spodziewając się ich napadu, rozesłał na wszystkie strony podjazdy, kazał być w gotowości sąsiednim aułom; a my, ze swojéj strony, przedsięwzięliśmy środki ostróżności. Życzyłbym sobie bardzo być świadkiem téj nocnéj walki, która, podług opowiadania Wiktora, przedstawiać ma najdoskonalszy obraz piekła z całym rykiem i wrzaskiem wściekłych jego obywateli. Niecierpliwie oczekując nocy, tymczasem rzucam pióro i nabijam broń.

24 maja.

Banda stepowych korsarzy musiała zwąchać proch wsypany do moich pistoletów pod ołowiane kulki, kiedy i téj nocy nie objawiła żadnych nieprzyjaznych pokuszeń. W oczekiwaniu jednak co chwila napadu, byliśmy *sur le qui vive!* przepędzając czas na gawędce z Kirgizami, którzy obsiadłszy dokoła ognisko, nie szczędzili nam pytań w różnych przedmiotach. Wiktor,

znający wybornie ich język, musiał na wszystko kategorycznie odpowiadać, a odpowiedzi jego słuchane były jak wyrocznie i przyjmowane z największym aplauzem, wśród nieustannych wykrzykników: « Oj! boj! o appermoj! » Dziwili się oni wszyscy głębokiéj jego mądrości i nie mogli pojąć w prostocie ducha, jak taka masa rozumu i wiadomości może pomieścić się w jednéj głowie. Lecz nic nie zrobiło na ich umysłach tak wielkiego wrażenia i nie dało tak wysokiego pojęcia o geniuszu mego towarzysza, jak kiedy, z powodu wszczętéj rozmowy o barancie, przedstawił im dramatycznie cały proceder tego szlachetnego rzemiosła: jakim sposobem Kirgiz zazwyczaj podkrada się do cudzego tabunu pieszo lub konno; jak, pełzając po ziemi, przysłuchuje się czy śpią pastuchy; jak, przekonawszy się o ich czujności i lękając się o swoje boki, rzuceniem w tył poza siebie czapki, naśladuje niby wzlot dropia lub żurawia; jak nareszcie, pomimo tych wszystkich i tym podobnych środków ostróżności i podstępu, złapany ptaszek gra rolę niewiniątka, i t. p. Scena ta, wykonana po artystowsku i z głęboką znajomością rzeczy, rozśmieszyła do łez najpoważniejszych Kirgizów, i nie wiem czy który parter na świecie bardziéj był zadowolony swoim najulubieńszym aktorem, jak słuchacze Wiktora. Jeden z nich wykrzyknął: « Pulkundyku! musiałeś ty sam jeździć na barantę i kraść konie, albo jesteś czarownikiem, kiedy znasz tak doskonale najskrytsze tajniki naszego życia stepowego. » Wiktor, nic nie odpowiedziawszy na ten komplement, wstał, i obszedłszy koło siedzące z rozdzia-

wionémi gębami z zadziwienia, wskazał palcem na jednego ze słuchaczy i rzekł: «oto jest złodziéj! On już nie jednego konia ukradł, i nie jednego jeszcze ukradnie!» Gdyby cały firmament niebios ze wszystkiémi swémi nowémi i starémi planetami, kometami i gwiazdami spadł na głowę tego Kirgiza, nie przeraziłby go potężniéj, jak te niespodziewane Wiktora słowa. Oniemiał, struchlał nieborak. Cała publiczność zawrzeszczała: «prawda! prawda!» a wielki mowca Toukumbaj dodał: «Co nam ukrywać przed tobą, kiedy ty wiesz co u nas jest, co było i co będzie!»

Domyślisz się zapewne, że Wiktor oparł swe twierdzenie na podejrzanéj fizyonomii Kirgiza, a traf zrządził, iż zgadł lepiéj, niż to się często zdarzało samemu Lawaterowi; wreszcie nietrudno było i zgadnąć, gdyż każdy z nich prawie jest, był lub będzie amatorem cudzych koników.

Kirgizy jednak innego byli w tym względzie przekonania; nie mogąc bowiem sobie objaśnić, jakim cudem człowiek, nie będący sam złodziejem lub czarownikiem, może tak nieomylny stanowić wyrok, wpadli na promienną myśl, że Wiktor udaje tylko kafyra, lecz rzeczywiście jest prawowiernym synem Mahometa. Jakoż jeden z bijów zaczepił go z téj strony, mówiąc: «Jak widzisz, wszyscyśmy z tobą otwarci; przyznaj się Pulkundyku! że nasza krew płynie w tobie.» — «Więcéj wam powiem, śmiejąc się odparł Wiktor; moja krew płynie w ostatnim potomku jednego z najznakomitszych waszych chanów.» — «Jakto? coto?» — mnóstwo głosów zawołało; — a że nadzwy-

czajnéj ich ciekawości niepodobna się było oprzeć, mój towarzysz opowiedział im następne zdarzenie.

« Czy słyszeliście o Jakóbie, synu chana Nurali? » — « O któż go nie zna w naszéj hordzie! » odezwało się kilka głosów. » — « Otóż, ciągnął daléj Wiktor, za dni moich młodszych, kiedy los rzucił mnie na stepy Małéj Hordy, poznałem się z Jakóbem. Polubił on mnie bardzo i nazywał swoim tamyrem [1]. Żyliśmy z sobą jak bracia: co jego, to było moje; co moje, to jego. Było mu naówczas ze 60 lat i miał dwie żony. Bajbicze [2], stara jak Mohodziarskie góry, i brzydka jak wielblądzica na skonaniu; lecz za to młodsza, piękna Ajdżanym, słynęła w całéj hordzie ze swojéj krasy. Od Emby do Tobola nie znalazłbyś piękniejszéj twarzy, żywszych i czarniejszych oczu. Nie szczupły téż i kałym zapłacił za nią mój przyjaciel. Bywałem często u niego, i często widząc Ajdżanym, pokochałem ją bardziéj jeszcze niż jéj męża: pozyskałem jéj wzajemność; stary dozorca żon Jakóba, w czasie jego niebytności, ułatwiał nam sposobność widywania się; koniec końców, następstwem tych *rendez-vous* był: syn, nanieszczęście tak podobny do ojca, że Jakób, zobaczywszy go po raz pierwszy, zaraz rzecz zmiarkował, i niezmiernie oburzywszy się na swego tamyra, ledwie że nie zabił żony. Po przejściu atoli pierwszéj chwili gniewu, uspokoił się i dał

1. Rodzaj braterstwa. Tamyr z tamyrem powinien dzielić się swoim majątkiem, jednėm słowėm być mu bratem.

2. Pierwsza żona Kirgiza nazywa się bajbicze; główną rolę gra w rodzinie i młodsze żony są dla niéj z uszanowaniem. Ona w czasie koczówki prowadzi pierwszego wielbląda.

mu imię Biktur. W kilka miesięcy przyjechałem znowu. Zrazu przyjął mnie kwaśno, i ani słowa nie odpowiedział na moje pozdrowienia i pytania; nareszcie chwyciwszy mnie za rękę, pociągnął za sobą do jurty Ajdżanymy. Tu skoro próg przestąpił, kazał jéj podać kindżał wiszący nad łożem i groźnym tonem rzekł do mnie: « Wybieraj! kogo chcesz, ażebym z was zabił: ciebie, żonę, czy waszego syna! » Nie straciwszy przytomności, powiedziałem mu: « Sułtanie! ja nie chcę, abyś tu kogokolwiek z nas zabijał; twoje postępowanie mnie zadziwia, gdyż podejrzenia twoje są niesprawiedliwe: dostałeś chyba pomieszania zmysłów. » Straszna to była chwila: sam myślałem, że już nie wyjdę z jurty; lecz czy wiecie, na czém to wszystko się skończyło? Sułtan, spójrzawszy mi raz jeszcze w oczy, rzekł: « Bądźcie spokojni! ja tylko chciałem się przekonać czyś ty tchórz, czy nie? Nastraszyłem was, lecz czyliż sądzisz, żebym zdolnym był zabić ciebie, żonę lub syna? On mi jest drogi, bo nie mam innego, a życzyłbym tylko, aby w sercu jego była śmiałość. Teraz pocałujcie się przy mnie i pamiętajcie, jeżeli mam mieć jeszcze potomków, warunek: niech tylko nie będą córki. » — Ze łzami wdzięczności w oczach spełniliśmy jego rozkaz; lecz z oddaleniem się mojém w inne strony, zastrzeżenie względem prokreacyi następców sułtana pozostało bez skutku. Tak więc mój Biktur jest teraz ostatnim potomkiem chańskiego rodu Małéj Hordy. W kilka lat po tém zdarzeniu widziałem go, dodał bohatér powieści, lecz gdy malcowi powiedziano, iż jestem jego ojcem, plunął mi w oczy, i nazwał mnie kafyrem. »

Te i tym podobne rozmowy zabrały nam większą część nocy. Niezmordowani nasi słuchacze chcieli je przedłużyć; lecz gdy sen zaczął kleić powieki, Wiktor kazał zagasić ognisko: Kirgizy rozeszli się, zapadł tunduk, nastąpiła głucha cisza, i tylko w oddaleniu długo jeszcze dawał się słyszeć śpiew pastuchów i uroczysty głos modlitwy: « Ałłach Akber! Ałłach Akber!.

25 maja.

Za kilka godzin opuszczamy Kak. Dziś zrana, o dziesięć kroków od naszéj jurty, z pod nóg mi prawie wyśliznęła się gadzina, długości z łokieć; być może, iż w nocy nawiedzała i nasze mieszkanie. Kirgizy powiadają, że ich tu « nie kupować, » a za sąsiednią górą ma być takie mnóstwo, iż kroku nie można stąpić, żeby nie spotkać się z niémi. Gadzina, po kirgizku dżiłan. Są tu wielkie i małe, i te ostatnie mają być bardziéj szkodliwe: niektóre bywają grubości ręki. Często kąsają ludzi i bydło. Na zapytanie moje, jakich używają środków przeciw strasznym skutkom ich jadu, odpowiedział mi jeden Kirgiz: « Najłepszy jest środek wezwać natychmiast mułłę, aby nad człowiekiem ukąszonym przez gadzinę, przeczytał: żmijskoje słowo (tak się wyraził po rossyjsku); ranę zaś samą posmarować końskim potem i dawać go choremu za napój. Jeśli pacyentem koń, należy położyć go pomiędzy owcami; ranę nacierać zasuszoną gadziną, a po trzech dniach puchlina ustąpi i koń

wstanie zupełnie zdrowym. Warunek tylko niezbędny, ażeby gadzina była zabitą ostatniéj wiosny, kameczą a nie czém inném, i ażeby była pierwszą którą Kirgiz téj wiosny zobaczy na stepie : dlatego staramy się zawsze o exemplarz takiéj gadziny; zresztą koński pot dajemy także pić koniom i bydłu. » Zostawiając ocenienie skutków téj kirgizkiéj recepty waszym uczonym medykom, nie od rzeczy będzie zwrócić ich uwagę na to, że żadna pałka tak rychło nie pozbawia życia gadziny jak kamcza, która, ma się rozumieć, ciągle dotykając się konia, wsiąka w siebie pot jego. O tém zapewniają mnie wszyscy Kirgizy i Kozacy. Musi więc w tym końskim pocie zawierać się jakiś antypatyczny pierwiastek dla tego stworzenia, który działać może nawet przeciw jadowitemu ukąszeniu jego. Ale wracając do rzeczy, z opowiadań Kirgizów przekonałem się, że prócz powyższych środków ratunku, uciekają się i do innych, bezwątpienia skuteczniejszych niżeli « żmijskoje słowo » lub zasuszona gadzina. Tak naprzykład, gdy raz córka naszego gospodarza została ukąszoną w rękę, przewiązano ją natychmiast w górze, ranę wypalono gorącém żelazem, a córka we trzy dni wyzdrowiała. Było takie zdarzenie u nich : młody jeden chłopiec spał i śniło mu się, że matka podaje mu kumys i że on go pije : zbudziwszy się, poczuł nadzwyczajny ruch w żołądku; nareszcie zaczął uskarżać się, że dżiłan krąży w jego wnętrznościach. Dano mu krowiego masła, herbaty, i jak zapewniał mnie sam ojciec nieboraka, nazajutrz gość nieproszony wyszedł.... Nie tak jednak szczęśliwą była dziéwka z sąsiedzkiego aułu,

którą także w czasie snu nawiedziła gadzina. Po użyciu rzeczonego środka, przez dwa dni nie było żadnego skutku; nakoniec w chwili, kiedy, prócz małego dziecięcia, nikt nie znajdował się w jurcie, gadzina pokazała swą głowę z pomiędzy ust cierpiącéj i zaczęła wychodzić powoli; na nieszczęście dziecię na tén widok krzyknęło; gadzina się zlękła, schowała się napowrót, i ukąsiwszy biedną dziéwkę, odebrała jéj wkrótce życie.

Środek ostróżności, jaki Kirgizy przedsiębiorą zwyczajnie przeciw żmijom i wężom, by nie zachodziły do ich mieszkań, jest bardzo prosty: bierze się arkan spleciony z szerści i końskich włosów; im nowszy tém lepszy, jako nie obtarty, i opasuje się nim jurta wokoło. Gad, bojąc się ostrych kolców powrozu, cofa się od tego zaklętego koła i zostawia człowieka w pokoju.

Jak bocian, Kirgiz ma sobie za święty obowiązek oczyszczać step. Nigdy on nie przepuści gadzinie; jeśli ją spotka, choćby miał najpilniejszy interes, zatrzymuje się i zabija kamczą. Jeśli przypadkiem nie ma téj ostatniéj z sobą, dopóty szuka pałki, póki nie znajdzie; wraca z nią w to miejsce gdzie zoczył swoją ofiarę, i odszukawszy, najczęściéj przytrzymuje ją pałką, tak, aby głowę podniosła do góry: wtedy w rozdziawioną gębę wsypuje szczyptę tabaki, od któréj gadzina ginąć ma niezwłócznie.

W téj chwili weszła żona naszego gospodarza wraz z kilką kobiétami i całą swoją drobną rodziną. Powinnością płci żeńskiéj jest zdjąć jurtę i opatrzyć czy wszystko w całości. Po raz pierwszy mieliśmy honor oglądać

te damy; oprócz saméj gospodyni, imieniem Nurczy, dość przystojnéj, reszta wyglądała jak grzech śmiertelny. Rozmawiały z nami swobodnie i były sobie bez żadnéj ceremonii; acz mówiąc prawdę, nietyleśmy je zajmowali, ile nasze rzeczy. Łóżka żelazne najbardziéj ściągnęły na siebie ich uwagę, i one to w szczególności dały im powód do różnych konceptów, nader lekko obwiniętych w bawełnę, z których śmieli się ich mężowie, a my jeszcze bardziéj.

Bądźcie zdrowi, bo już eskorta nasza siada na koń, i Amantaj czeka na kałamarz, by go schować do arby.

VI

Ajaguza, 28 maja. (Do brata.)

Kochany bracie! Dnia 25 o godzinie jedenastéj zrana opuściliśmy uroczysko Kak wśród błogosławieństw Kirgizów, którym china, jalapa i emetyk Wiktora przywróciły zdrowie. Ilbilanczy, z licznym orszakiem swych podkomendnych starszyn i ludu, przeprowadził nas konno kilka wiorst. Wszyscy wyrażali swą wdzięczność za uprzejme z nimi obchodzenie się, i przy pożegnaniu, nie było końca ściskaniom rąk i życzeniom szczęśliwéj podróży, rozpoczynającéj się niebardzo pomyślnie dla nas; albowiem wiatr chłodny, buszujący tego dnia po stepie, ostrym żwirem raził twarz i oczy, a tak był gwałtowny, że ledwie można było usiedzieć na koniu. Jak na dobitkę téj atmosferycznéj wrzawy, dostał mi się ajhyr (ogier) z pokąsaną mordą i pokaleczonym nosem, świadczącémi wymownie o jego dzielności i częstych walkach z towarzyszami swémi. Ten to prze-

klęty ajhyr, zaledwie gdzie zoczył pasący się na stronie tabun, natychmiast rżał, rwał się, pienił i chciał gwałtem, ażebym z nim leciał złożyć hołd płci pięknéj jego rodzaju; lecz przekonanie o obowiązku nieodstępowania od swéj karawany, mocno z dzieciństwa wkorzenione w umysły kirgizkich koni, bardziéj zapewne niż moje słabe siły, nie dopuściło go do żadnych szkodliwych dla bezpieczeństwa mojéj persony excesów. Więcéj nawet powiem, że pomimo swych romansowych zalotów i wybryków gorącéj krwi, wkrótce zasłużył u mnie na najwyższy szacunek i niewygasłe wspomnienie.

Zaledwieśmy wyminęli koczowiska Ajkimbet-Kirniejów, szaleniec mój, zamiast dolin ożywionych obecnością stad wesołych, widząc przed sobą samotną tylko pustynię, puścił się ze mną w głąb' jéj z sercem bohatera rzucającego swoją kochankę, by spieszyć na boje, i nie tak nagle przed arabskim rumakiem Farysa ustępowały z drogi lasy i góry, jak przed kirgizkim ajhyrem znikał step nieobjęty okiem. Nie wstrzymywał go ani wzdęty kilkodniowym deszczem mętny nurt Czaru, ani Dżelbige-tau ze swojémi dolinami napełnionémi gadem, ani wiatr coraz bardziéj wzmagający swą groźną potęgę: leciał, leciał, a mnie się zdawało, żem dosiadł orła, który w bystrym swoim locie odetchnie chyba na szczycie Himalaju, bym miał możność przypatrzyć się krwawemu pobojowisku, na którém cywilizacya europejska, przed niedawnémi dniami, zadała cios śmiertelny indyjskiemu światu [1].

1. Świeże zwycięztwa Anglików w Pendżabie.

A chociaż nie sięgnąłem tak daleko, tak wysoko, żałować mi przychodzi, że nie mogę skreślić ci w całym blasku poezyi téj bohatérskiéj jazdy, godnéj pędzla Mickiewicza lub Byrona.

Nie mając honoru być synem, ba! nawet kuzynem Apollina, bo zimna proza moim udziałem, czyliż podobna jéj szlacheckim, że tak się wyrażę, językiem, oddać te wszystkie uczucia, jakich doznawało moje serce, gdym, siedząc na grzbiecie orła kirgizkich stepów, powtarzał w uniesieniu:

Pędź latawcze białonogi!

To tylko psuło harmonią poetyckiego ideału, lecz temu koń nie winien, że jeździec zmokły do nitki w czasie przeprawy przez rzekę, przeziębły, przeszyty wskróś podmuchami Boreasza, silném dzwonieniem zębów wtórował jego gallopadzie.

Na szczęście, błysnęła na poblizkiém wzgórzu mołła, kryjąca zwłoki obywatela tych stepów. Poleciałem ku niéj jak błyskawica! A czy wiesz po co? Oto, by pod glinianém jéj sklepieniem odetchnąć chwilkę i ogrzać się choć trochę przy szczupłém ognisku cygara?

Zaśmiejesz się bez wątpienia z tego szczególnego sposobu ogrzewania się; ale cóż począć, kiedy na tych pustyniach niemasz ani wygodnych zagranicznych hotelów, ani nawet naszych polskich, czyli właściwiéj mówiąc, żydowskich karczem.

Gdy ognisko moje oświeciło wnętrze gościnnego zacisza śmierci, spostrzegłem tuż pod nogami świeży

otwór, przez który wyglądała mogiła Kirgiza; lecz Kirgiza w niéj już nie było, i tylko szczątki odzienia leżały rozrzucone po niéj. Gdzież się podział trup? — zapytałem Amantaja. — « Wołka taszczył Kirgiza, » odpowiedział mi obojętnie.

Smutny opuściłem mołłę. Żal mi się zrobiło biédnego Kirgiza, co całe życie żył jak zwierzę, i którego było przeznaczeniem dostać się po śmierci na pastwę głodnemu zwierzęciu.

Puściliśmy się znowu. Przed nami, za nami, na prawo, na lewo, jak daleko wzrok zasięgał, wszędzie okropna pustynia rozpościerała się wokoło, a na niéj nigdzie człowieka, nigdzie zwierzęcia; a nad nią, jak ponad wodami Umarłego morza, żadnego ptaka. O! jakby tu pięknie, pomyślałem sobie, wyglądały olbrzymie mammuty, mastodonty i owe stustopowe gady przedpotopowego świata! Jakby ich wielkość była w naturalnéj harmonii z wielkością tych obszarów! Jakby ten sam step, dzisiaj tak smutny, inaczéj wcale przedstawiał się oku wędrowca!... Zatopiony w tych myślach, Bóg wie jak wielką przestrzeń zostawiłem za sobą, nie spostrzegłszy nawet śladu Jego stworzenia: zdawało mi się, żeśmy przekroczyli granice żyjącego świata, gdy wtém z pod nóg końskich, z pośród krzaczka suchéj trawy, wyleciał, jakiś zabłąkany może, czarny, gdyby duch téj pustyni, skowronek[1], i wzbiwszy się w powietrze ponad nasze głowy, zdawał się ciekawie przypatrywać i pytać nas swą piosnką, poco-

1. Są tu czarne i nasze zwyczajne.

śmy tu przybyli? O! z jakiémże rozczuleniem ujrzałem tego posłańca wiosny, co jak pustelnik Tebaidy prowadzi tu życie samotne, i swoim śpiewem ożywia martwą naturę. Długo on nas przeprowadzał, aż nareszcie zmęczony lotem, czy obrażony milczeniem naszém, zawrócił w swoją stronę i znikł, jak spadająca po powietrzu gwiazda.

Po dwóch godzinach drogi, ujrzeliśmy nareszcie znaki życia w większych rozmiarach : dwa ogromne tabuny wielbłądów pasły się na dolinie, a w kwadrans późniéj ukazały się i auły, otoczone licznémi stadami koni, bydła i owiec. Była to włość Terestam-galińska, koczująca na uroczysku Sasyk-kul, pod wodzą swego naczelnika Tiurechana.

Tu, nie bez żalu pożegnałem się z moim niezmordowanym ajhyrem, na którym po raz pierwszy w życiu przebiegałem pustynię w całém znaczeniu tego wyrazu, i który, pierwszy z kirgizkich koni, dał mi prawdziwe pojęcie o ich szlachetnych przymiotach.

Cóż powiem o Sasyk-kulu, Terestam-gale i Tiurechanie, kiedyśmy tu nie zatrzymali się więcéj jak kilkanaście minut. Naprędce tylko, spełniając obowiązek historyografa naszéj podróży, dowiedziałem się, że uroczysko nazywa się od jeziora tegoż imienia, że harmonijnie wpadający do mego ucha wyraz, Terestamgała, oznacza krzywą tamgę, jaką się ten ród pieczętuje, i że Jaśnie Wielmożny Tiurechan cieszy się reputacyą wielkiego protektora wszystkich zwolenników baranty; reputacyą, która bynajmniéj nie ubliża jego honorowi, tak właśnie jak w feudalnych czasach

nic to wcale nie ubliżało dobremu imieniowi diuka de Montmorency, lub grafa von Kazellenbogen, jeżeli gronostajowe ich płaszcze pokrywały łotrowstwa lenniczéj drużyny.

Pokrzepiwszy siły kumysem i przemieniwszy konie, ruszyliśmy daléj. Droga była niegodziwa : same sołońce, w których grzęźliśmy po uszy jak w poleskich bagnach; aż nareszcie, około północy, przewodnik naszéj karawany zwiastował przyjemną wiadomość, żeśmy wyjechali na pocztowy gościniec, prowadzący z Semipołatyńska do Ajaguzy. Z niemałą radością powitaliśmy ten kommunikacyjny środek cywilizacyi, który zapowiadał nam możność prędszego dostania się pod dach drewniany. Jakoż niebawem zabłysnęło światełko, usłyszeliśmy głosy Kozaków pasących z bronią w ręku swój tabun, i w kilka minut potém głośne « kto idiot? » zapewniło nas, że jesteśmy przed arkałyckim pikietem.

O! z jakąż radością, strudzeni i przeziębieni, przestąpiliśmy próg téj schroni! Na szczęście nasze, dobra woda tutejsza pozwoliła ogrzać się herbatą, któréj w życiu mojém tak wielkiéj liczby szklanek nie wypiłem. W smacznym śnie zapomnieliśmy o trudach podróży, a nazajutrz udaliśmy się pocztowym traktem, w powózie, przez góry Arkatu, Aldżanu i Agadyru do Ajaguzy, gdzie powitały nas słowiki, i zkąd spoglądałem znowu na wspaniały Tarbogataj, który w roku przeszłym żegnałem na wieki.

VII

Ajaguza, 31 maja. (Do brata.)

Ajaguza, stolica jednego z siedmiu okręgów utworzonych w Średniéj Hordzie przed piętnastą już laty, istniała o 35 wiorst poniżéj nad rzeczką tegoż imienia; lecz położenie jéj nazbyt odległe od drogi po któréj zwykły chodzić karawany, zniewoliło rząd do przeniesienia jéj, czwarty rok temu, na dzisiejsze miejsce. Mamy więc młodą i starą Ajaguzę: ale téj ostatniéj wkrótce nie zostaną i ślady, i chyba na jéj spróchniałych ruinach osierociały słowik « zanuci podróżnym piosenkę żałoby; » gdy tymczasem młoda, rozwija się jak pączek róży. Już prócz rządowych zabudowań, przeznaczonych dla załogi wojskowéj i administracyi, liczy kilkadziesiąt chałup skleconych z topolowego drzewa, i jest wielkie podobieństwo, że kiedyś będzie jednym z najważniejszych punktów w stepie, gdzie,

mówiąc nawiasem, jak w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki (jeśli się godzi stawić obok siebie dziki step kirgizki i ojczyznę Washingtona) można jeszcze tylko być świadkiem zjawiska nieznanego staréj zaludnionéj Europie : rodzenia się czyli raczéj wyrastania nowych osad, gdyby grzybów z ziemi. Akmołły bowiem, przyszła stolica całego stepu, Aktau, Atbassar, Kokbekty, Kyszmuryn, są to wszystko stworzenia ostatnich czasów, co się porodziły i wzrosły w oczach moich.

Dziecię to stepów kirgizkich, Ajaguza, leży pod 47 st. sz. jeograficznéj, o 300 wiorst od Semipołatyńska, tyleż od Czuguczaku, a o 1,000 od Omska. Zabudowana na gruncie suchym, cieszy się zdrowym klimatem. Zima tu krótka; wielkie mrozy rzadkie, tak, że nawet niezawsze zamarza rzeka; lecz wichry i burjany każdego roku prawie zrywają dachy, a upały zaczynające się w maju, nie ustępują w swéj dzielności i afrykańskim, z tą tylko na szczęście różnicą, że tutaj, w czasie najsilniejszego skwaru, oddychasz lekkiém, czystém, orzeźwiającém powietrzem, które cię odmładniać zdaje się. Komarów i owadów, których chmury wprowadzają w rozpacz nieszczęśliwego podróżnego na sybirskich płaszczyznach, nader mało; lecz za to po domach pcheł, much i olbrzymich pluskiew taka moc niesłychana, że każdą noc muszę przepędzać *à la belle étoile*, z obawy, aby te niegodziwe żyjątka nie zjadły mię żywcem jak myszy ś. p. Popiela. W rzeczce płynącéj u stop twierdzy, woda wyborna, chłodna i czysta jak kryształ. Pomiędzy jéj rybami (których zresztą

szczupła liczba), zasługuje na szczególniejszą wzmiankę tak zwana marynka, o drobnéj zielonawo złocistéj łusce. Nie będąc ichtyologiem, nie mogę zadeterminować do jakiéj należy familii ryb, wiem tylko z doświadczenia, że marynka, biała jak marmur Parosu, tłusta jak baran kirgizki, i tak delikatnego smaku, że gdyby jéj ojczyzną były wody Duransy lub Klidy, oświecona europejska gastronomia dałaby jéj zaszczytne miejsce na królewskim lub Rotszyldowskim stole. Lecz jak nic na świecie nie jest bez ale, tak i pozłacana marynka ma swoje: vox populi albowiem twierdzi tu powszechnie, że ikra jéj sprawia okropne bole, grożące nawet życiu człowieka.

Brzegi szemrzącéj po kamykach rzeki, pokrywa silna wegetacya gęsto splecionych z sobą, jak w brazylijskich lasach krzewów, kwiatów, pasożytnych roślin, z pośród których gdzieniegdzie wznosi srebrne swe czoło rozłożysta topola, jedyne drzewo większego kalibru w tych stronach. W tymto gaiku zasadzonym od wieków ręką natury, ciągnącym się dwiema równoodległémi od siebie zielonémi wstęgami, odbijającémi mile od suchych gór i skał nagich, zwilżanym każdéj wiosny wylewem Ajaguzy, jednéj z córek Tarbogataju, często zdarza się widzieć gruchające turkawki ponad legowiskiem ponurego dzika, lub słyszeć słowiki wyśpiewujące swój koncert po nad kolosalnym krzakiem białéj róży, u stóp któréj pełza zdradliwie jadowita gadzina.

Pomimo dzików i gadzin, których wszakże własnémi oczyma nie widziałem, w parku tym, ledwie nie tak długim jak sama córka Tarbogataju, piękne Ajaguzanki znajdują nietylko romantyczną ochłodę w czasie

letnich znojów, lecz jeszcze najromantyczniejsze tajniki dla swych czułych marzeń.

Dzięki blizkości rzeki, mieszkańcy Ajaguzy mają warzywa, pierwszy raz zapewne od stworzenia świata uprawiane w tym zakącie Azyi, będącym zawsze w posiadaniu koczowniczych ludów.

Przednia straż cywilizacyi europejskiéj, zapuszczającéj się z téj strony w głąb' najmniéj znanych części centralnéj Azyi, mikroskopiczny prawie punkcik na oceanie stepu, Ajaguza, panuje nad obszernym krajem, rozciągającym się od Irtysza do Lepsy, i od gór Karkaralińskich do zachodniéj granicy Chin. Na téj przestrzeni, podług ostatniego, ma się rozumieć przybliżonego popisu, koczuje 50,000 Kirgizów. Cała ta ludność pochodząca w znaczniejszéj części z rodu Najmana, a w mniejszéj Kirnieja, protoplastów kirgizkich plemion, tworzy 15 włości, dzielących się na 150 aułów, i z cztérnastu tysiącami jurt odbywając swoje wędrówki, prowadzi życie pasterskie. Mała tylko jéj część, dla powiększenia swych wygód, zasiewa parę worków pszenicy lub kilka garści prosa, które w miejscach, gdzie obok dobrego gruntu, można urządzić systemat irrygacyi, assyryjskim prawie plonem wynagradzają trud rolnika; lecz niepodobna, ażeby rolnictwo stało się tu kiedyś powszechném: raz dlatego, że w ajaguzkim okręgu nader szczupła liczba gruntów zdatnych do uprawy [1], powtóre, że i te, z powodu silnych upa-

1. W kokbektyńskim okręgu, gdzie grunt zdatny do uprawy, wielka część Kirgizów zajmuje się rolnictwem i zbiera dużo pszenicy, zwanéj tu kałm nką.

łów i wiatrów, bez pomocy częstego polewania wodą, dość rzadko na tych bezleśnych obszarach i często nawet wysychającą zupełnie, niewiele albo i żadnéj nie przynoszą korzyści. Chów więc koni, bydła i owiec, jako stanowiący jedyny dochod i sposób utrzymania się tutejszych Kirgizów, zdaje się skazywać ich przez długie wieki jeszcze na błędną włoczęgę po stepie.

Od czasu naszego przybycia do Ajaguzy, codzień ciepło, czyli właściwiéj mówiąc gorąco, jakiego nawet w lipcu lub sierpniu nie doświadczacie nigdy w waszéj strefie, ogrzewa atmosferę. W téj chwili piąta godzina po południu, a termometr ukazuje jeszcze 30 stopni. Przed kwadransem chodziłem kąpać się, i czy uwierzysz temu, że wziąwszy kamyk w rękę leżący nad brzegiem rzeki, jednéj sekundy utrzymać go nie mogłem, bo mię tak piekł jak rozpalone żelazo. Pomimo jednak tego skwaru, noce tak chłodne, iż po zachodzie słońca ani rusz bez płaszcza, i nie pojmuję, jakim sposobem słowiki nie dostają kaszlu lub zapalenia płuc, śpiewając po całych nocach.

W oczekiwaniu pogranicznego naczelnika, z którym pociągniemy na granicę Wielkiéj Hordy dla politycznych z nią układów, a może i daléj dla wypłoszenia z jéj obrębów sułtana Kenesarego, grającego na mniejszą skalę rolę nowego Jugurty, tymczasem pędzimy dni nasze w najdoskonalszém rzymskiém *far niente*, które byłoby wcale przyjemném, gdyby komnata nasza od rana do nocy nie przedstawiała istotnego ula pszczół. Témi zaś są Kirgizy wszelkiego stanu i wieku, co jak one do swojéj królowéj, bezustannie cisną się jeden po

drugim całémi massami do Wiktora, ze złożeniem mu swych hołdów. Natrętni ci goście, nie mający względu ani na porę obiednią, ani poobiedni odpoczynek, już nam siedzą kością w gardle : ale jak pozbyć się ich lub nawet dać im poznać, iż te wizyty gromadne i w czas tak znojny są okropnym ciążarem, gdy nam, jako reprezentantom europejskiéj cywilizacyi, należy okazać ją w całym blasku przed tym ludem, by i on zczasem skorzystał z jéj nieocenionych dobrodziejstw. I rzeczywiście, nic tak wielkiego nie daje mu wyobrażenia o naszém oświeceniu, jak to uprzejme i cierpliwe przyjęcie, tyle nas kosztujące potów, i które gościnnego Wiktora podnosi w opinii Kirgizów na stopień jakiegoś półbożka, dla którego w swoim entuzyazmie gotowiby byli przynieść w ofierze nietylko kobyle mięso, lecz nawet kawał ludzkiéj pieczeni. Onegdaj, gdy nasi znajomi Ajkimbet-Kirnieje napełnili komnatę, Wiktor przepraszał, że nie mającbaranów, nie ma ich czém poczęstować. « Jakto, nie masz! — zawołał znany ci już mowca Toukumbaj, — alboż my nie twoje barany? Rznij, któregoz nas chcesz! »

Kirgiz niezmiernie jest czuły na dobre z nim obchodzenie się kafyra : dziś miałem tego dowod. Pośród tłumu sułtanów, bijów, starszyzny i obdartego plebsu, znajdował się biédny zgrzybiały starzec. Wiktor, przemówiwszy do niego kilka uprzejmych wyrazów, kazał go poczęstować kumysem, i gdy ten wychylał czaszę, jeden z obecnych rzekł : « Pij i pamiętaj, żeś pił u wielkiego człowieka; wielki on, kiedy nie pogardza ubogimi. » Rozczulony zaś dżatak, wzniosłszy ręce ku

niebu, tak wyraził swą wdzięczność: « Niech cię Bóg strzeże od miecza, ognia i wody, i zlewa błogosławieństwo na ciebie i na twój ród! »

Znużony tym nieustannym fluxem i refluxem Kirgizów, o zachodzie słońca wyszedłem na wały, i patrząc z nich na Tarbogatajskie góry, potężnym łańcuchem dążące ku Chinom, przypomniałem sobie, iż tak właśnie przed siedemnastą laty, z murów staréj Partenopy, rzucałem wzrok mój na Apeniny z ich wulkanem, co jak miecz Damoklesa wisi wiecznie po nad jéj głową, umajoną laurami i kwieciem. To wspomnienie przywiodło mi na myśl neapolitańskich lazaronów, co wówczas całémi rojami towarzyszyli nieodstępnie każdemu mojemu krokowi, i widokiem swego spodlenia zatruwali rozkosz, jakiéj doznawałem oddychając balsamiczném powietrzem owego kraju « niewiędnącéj wiosny i wiecznéj pogody. » Porównywając tych pseudocywilizowanych mieszkańców jednéj z europejskich stolic, z nawpół dzikim ludem, co mię dziś otacza, czuję niestety! że nie tak lekko było mojemu sercu w edenie Italii, jak w kirgizkiéj pustyni!

VIII

Ajaguza, 5 czerwca. (Do matki.)

Kochana mamo! Dotąd jeszcze jesteśmy w Ajaguzie. Wypocząwszy po trudach stepowéj podróży, oczekujemy tylko przybycia pogranicznego naczelnika, z którym razem wyruszyć mamy na brzegi Lepsy. Tymczasem Ajaguza przedstawia dla mnie w téj chwili nieskończenie różnobarwny i zajmujący widok. Kilkunastu sułtanów z najznakomitszych rodów, w téj liczbie kilku potomków chana Abłaja, rozbiło już swoje białe jurty lub kolorowe w pasy bucharskie szatry, obok naszéj topolowéj chałupy. Ubrani w pstre chałaty i biszmety, oddają nam etykietalne wizyty, piją u nas herbatę, palą cygara, mówią mało, jak zwykle arystokracya kirgizka, dla pokazania dobrego tonu. Mnóstwo bijów, aulnéj starszyzny i prostych Kirgizów ściąga się codzień z odległych uroczysk, aż żwirowy grunt tętni pod kopytami ich

dzielnych rumaków. Kilkaset koni przypędzonych z najmańskich tabunów, buja swobodnie wśród doliny zarosłéj karagajnikiem, nie przeczuwając, że wkrótce nieznane im dotąd wędzidło ukróci ich niepodległość. Obok téj dziczy pasą się ciche barany z ogromnémi kurdiukami (ogonami), przeznaczone na ugoszczenie kosztem rządu tylu przybylców, w ciągu bajgi, odbywającéj się co rok, podczas bytności pogranicznego naczelnika w stolicy okręgu. Ponad barany i konie wznoszą się garby wielbłądów, przygotowanych pod juki i żywność dla naszéj wyprawy. Oddział kozaków i artylerya stoi w gotowości, a ponad całą tą sceną pali słońce o 40 st. ciepła! Ale powietrze tak czyste, tak lekkie, tak zdrowe, że z prawdziwą rozkoszą niém oddycham.

IX

Ajaguza, 7 czerwca. (Do P... C...)

Kochany Pawle! Stąpając po niezatartych jeszcze śladach twoich w téj młodéj stolicy Najmanów, przenoszę się z rozrzewnieniem w epokę [1], przypominającą mi najszczęśliwsze chwile; chwile, w których nadzieja zdawała się uprzejmą ręką otwierać wrota Uralu, byśmy razem wrócić mogli na brzegi rodzinnego Niemna. Na skrzydłach tęsknéj myśli cofając się w tę błogą epokę, co jak świetny meteor, niestety, zabłysnęła na chmurném tle mojego losu i zniknęła, może na długo, może na zawsze, stawię cię, mój drogi przyjacielu, obok siebie; błąkam się z tobą po górach i dolinach pokrytych karagajnikiem o złotém i różowém kwieciu, przy-

1. Lipiec 1844.

słuchując się pośród klombów ocieniających kryształowe wody Ajaguzy pieniu kirgizkich słowików, lub z wałów lilipuckiéj twierdzy, spoglądając na olbrzymi Tarbogataj, co tu jak mur graniczny stoi na straży niebieskiego państwa. Tak widząc cię ciągle oczyma duszy mojéj, jakżebym mógł oprzeć się przyjemności przesłania ci kilku wyrazów z tego dalekiego zakątka Azyi; jakżebym nie chciał dać ci dowodu, iż wszędzie i zawsze obecny jesteś mojéj pamięci i sercu.

Piszę więc; lecz ty, co znasz Ajaguzę, darujesz mi zapewne, że nic ci więcéj o niéj nie powiem, prócz tego, iż od czasu twojéj bytności znacznie podrosła i jest na drodze postępu, zapowiadającego jéj z czasem świetną przyszłość w stepie. Rozprzestrzeniający się coraz bardziéj handel z Czuguczukiem i nadzieja otworzenia karawanom bezpieczniejszéj niż dotąd drogi do Kuldży i środkowéj Azyi, każą wnosić, że imie Ajaguzy, nieznane dziś Europie, przeciśnie się kiedyś i po za granice Syberyi. Zostawiając przeto jéj opis dla profanów niewtajemniczonych w nasz świat kirgizki, wolę ci, jako niegdyś wielkiemu luminarzowi pogranicznego rządu, którego gryzmoły przez wiele lat jeszcze służyć będą do oklejania okien kancelaryi[1], udzielić coś z naszych spraw publicznych, które dla drugich byłyby najdoskonalszém *du-grec*..

Masz więc naprzód wiedzieć, że Jusuny, niepodlegli Kirgizy Wielkiéj Hordy, koczujący pomiędzy Lepsą i

1. Właśnie będąc na wyjeździe, w kancelaryi pogranicznego naczelnika zauważyłem na jedném oknie twoją jakąś pracę.

Ilią, górami Ałatauskiémi i Bałchaszem, w krainie Dżite-su, to jest siedmiu rzek[1], trzeci miesiąc temu przysyłali do Omska poselstwo pod przewodnictwem niejakiego Mauke. Ów Talleyrand stepowy, ambasador o miedzianéj twarzy i wypukłych policzkach, dyplomata *sans gêne* w podróżnym chałacie, czambajach ze skóry marała[2] i z kamczą za pasem, na daném sobie posłuchaniu uroczyście w imieniu wszystkich rodów oświadczył, iż najgorętszém i niezmiennném jest życzeniem jego współziomków wstąpić w poddaństwo Rossyi, i otrzymać od niéj instytucye jakiémi cieszy się Średnia Horda. W tym celu prosił, ażeby pograniczny naczelnik, dla zawarcia ostatecznych z nimi układów, raczył przybyć w końcu maja lub na początku czerwca na brzegi Ak-su, płynącéj o dwa dni drogi od Lepsy, gdzie oczekiwać go będą naczelnicy rodów i deputowani z całego narodu. Nie pierwszy to już raz Jusuny wynurzali podobne żądanie. Przed dwudziestą laty sułtan Siuk, syn chana Abłaja, wchodził w stosunki z Rossyą, i ziomków swoich, szarpanych naówczas domowémi niezgodami, pragnął poddać rossyjskiemu berłu. W skutek propozycyi jego, posłany był nawet oddział kozaków za Lepsę, pod dowództwem podpułkownika Szubina, który miał poruczenie poznać kraj, jego ludność, zasoby, i przekonać się na miejscu, azali rzeczywiście życzenie jednego kirgizkiego możnowładcy było życzeniem całego narodu? Wyprawa Szubina, pod względ-

1. *Dzite* siedm, *su* woda : siedmiorzecze, jak Pendżab, pięć rzek
2. *Maral*, gatunek łosia; po kirgizku *buhu*.

dem jeograficznym i statystycznym, rzuciła wielkie i bardzo korzystne światło na tę odległą i mało znaną część stepów; lecz wykryła zarazem, że oprócz Siuka, którego wpływ rozciągał się tylko na Kirgizów koczujących od Lepsy do Karatału[1], są jeszcze inni naczelnicy rodów, posiadający nierównie większe znaczenie i zaufanie u rodaków, którzy niebardzo chętném okiem patrzą na politykę Siuka. Z drugiéj strony, zjawienie się obcego wojska na Siedmiu-rzekach, nie przypadało do smaku Chińczykom. Skoro tylko wieść o niém przeleciała przez pustynię Gobi, pekiński trybunał wystąpił z obszernym listem do petersburskiego senatu, usiłując w nim dowieść, że cała ta kraina należy do Jego Bogdachańskiéj Mości, i że byłoby jawném naruszeniem traktatu wiecznego pokoju i przyjaźni, zawartego pomiędzy dwoma państwami, jeżeliby Rossya przyłączyła ją do swych posiadłości. I chociaż dwór petersburski nie uznał tych pretensyj pekińskiéj dyplomacyi, i w odpowiedzi swojéj (1826 r.) wyraźnie oświadczył, że nie może inaczéj uważać Jusunów jak tylko za niezależnych od nikogo, rządzących się samémi sobą i mających niezaprzeczone prawo rozrządzić swoją niepodległością jak się im podoba, niemniéj jednak ze względu na stosunki staréj przyjaźni dla niebieskiego państwa, z którém pragnąłby wiecznie żyć w zgodzie i dobréj harmonii, zostawił rzeczy *in statu quo*. Sułtan Siuk i jego stronnicy musieli tą razą poprzestać na kosztownych podarunkach; lecz, nieodstręczeni odrzuceniem ich

1. Jedna z większych rzek kraju Dzite-su.

żądań, w następnych latach ponawiali je w imieniu coraz większéj części narodu. Mimo to jednak pograniczna władza, otrzymawszy rozkaz nieodmawiania im swojéj protekcyi, miała sobie najsurowiéj zaleconém, ażeby zbrojne oddziały nie ważyły się pod żadnym pozorem przechodzić Lepsy, która odtąd uważana była jak Rubikon pomiędzy dwoma najogromniejszemi mocarstwami w świecie. Ten stan rzeczy trwał dotychczas i trwa jeszcze, lecz zdaje się, że wkrótce Ilia będzie nowym Rubikonem; w skutek bowiem ostatniego poselstwa, rząd, przychylając się nareszcie do ogólnych życzeń Jusunów, dał rozkaz pogranicznemu naczelnikowi udać się na kongres nadaksuński, przyjąć w poddaństwo cały kraj, obiecać urządzenie w nim administracyi na wzór Średniéj Hordy, i nagradzając dobre chęci i przywiązanie do Rossyi, rozdać pięć złotych medali pomiędzy główniejszych naczelników rodów, a najznakomitszemu z nich wpływem i znaczeniem, sułtanowi Ali, wręczyć dyplom na stopień podpułkownika. W tych dniach spodziewany tu jest jenerał Wiszniewski, w którego orszaku pomaszerujemy na ów kongres; lecz czyli on dójdzie do skutku, i czy nie zerwie się tak nagle jak niegdyś wiedeński w czasie wylądowania we Francyi Napoleona, wielka jeszcze kwestya. Powodem téj wątpliwości jest następna okoliczność.

W marcu, w tym właśnie czasie kiedy poselstwo Jusunów znajdowało się w Omsku i traktowało o przyszłe swoje losy, nasz pseudo Abd-el-Kader, sułtan Kenesary, znużony kilkoletniém tułactwem po głodnych krawędziach Małéj i Średniéj Hordy, a głodniejszych

jeszcze piaskach Kara-kumu i Bid-pak-dały[1], niepokojony co rok przez oddziały wojsk wyprawianych przeciw niemu z orenburskiéj i sybirskiéj linii, utraciwszy nareszcie nadzieję otrzymania gór Ałatauskich w wieczne, jak tego domagał się, posiadanie, z zbrojnym orszakiem swoich sprzymierzeńców przeszedł Ilią po lodzie, i wkroczywszy w siedmiorzeczną krainę, rozesłał proklamacyą wzywającą Jusunów, ażeby zaniechali swych stosunków z Rossyą i uznali go chanem. A chociaż ten błędny bohatér stepu, kusząc się odzierżyć podobną władzę nad tak zwanémi Czarnymi Kirgizami, koczującymi w wyższym łańcuchu gór Ałatauskich, ciągnących się w głąb' Taszkinii ku Tybetowi, świeżo pobity został przez ten lud najmężniejszy ze wszystkich Kirgizów; jednakże, pomimo znacznéj straty jaką poniósł, wielu z naszych stepowych polityków twierdzi, że jeśli tylko uda się mu pozyskać zaufanie słabych Jusunów, ci ostatni mogą się zachwiać w swojém postanowieniu. Jakoż dochodzą nas wieści, iż przeciw swemu zwyczajowi, pierwsze kroki oznaczył łagodnością i umiarkowaniem; wyprawił posłów do kuldżyńskiego dżandżuna[2] i emisaryuszów do pogranicznych Kirgizów ajaguzkiego okręgu, i znaczniejszych Jusunów zaprosił do siebie na kenes (naradę). Być więc bardzo może, iż Jusuny, nie mogąc się pozbyć nieproszonego gościa, a przytém częścią z przekonania, częścią z obawy strasznéj zemsty Kenesarego, spolitykują

1. Tak zwany Głodny step.
2. Jenerał-gubernator miński.

z nami, i ja nie będę miał przyjemności znajdować się na kirgizkim kongresie.

W téj chwili przyleciał goniec znad brzegów Lepsy. Opowiadał on nam szczegóły o zwycięztwie odniesionéem przez Czarnych Kirgizów nad Kenesaryńcami. Wojenni ci górale wyższego Ała-tau, zasłyszawszy o zbliżeniu się nieprzyjaciela, dozwolili przednim'jego aułom zapuścić się w głąb' kraju, i gdy te długim szeregiem swoich tabunów niebacznie ciągnęły przez ciasny jakiś wąwóz, nagle zprzodu i ztyłu uderzyli na nie. Trudny był opór, walka krótka, lecz straszna klęska. Oprócz poległych na placu do tysiąca ludzi, dwa tysiące zgórą dostało się do niewoli : w téj liczbie i pięciu sułtanów, za których wykup zwyciężcy żądają teraz po 30 kałmuczek za głowę; wrazie zaś nieposiadania dostatecznéj ilości tego towaru, w miejsce każdéj niedostającéj sztuki, po pięć wielbłądów. Sam Kenesary nie znajdował się w téj bitwie; zmiarkowawszy wszakże, iż ma do czynienia z narodem gotowym stawić mu dzielny i niebezpieczny opór, uznał za rzecz przyzwoitą cofnąć się, zagroziwszy wprzód swoją zemstą nietylko ludziom, ale nawet i górom Ała-tau. O góry jestem zupełnie spokojny, bo to olbrzymy w niczém nieustępujące Alpom Szwajcaryi; ale i ludziom zdaje mi się nie wiele zrobi złego, bo w sercach ich płynie ogień męztwa, godny bohatérów Maratu. Naród ten nie ma wcale sułtanów: rodami ich rządzą obieralni manapy. W razie wojny, najzdolniejszy, najdzielniejszy z manapów, wybrany od całego ludu z dyktatorską władzą, dowodzi ogólném

powstaniem. Bije w wielkiém u niego poszanowaniu, podług zwyczajowych praw kraju, rozsądzają cywilne i kryminalne sprawy. Kodex ich karny srogi. Właściwe nazwisko tego ludu Kirgizy. Jeden z ich manapów, Burunbaj, przysyłał niedawnémi czasy z prośbą o opiekę Rossyi; lecz zdaje się, że to był tylko assumpt do otrzymania kosztownych podarunków, na które wszystkie te ludy bardzo są łakome, dobijając się o nie zarówno u Rossyi, jakoteż u sąsiadnich rządów Chin i Taszkinii. Z czasem wszakże zawiązać się muszą ściślejsze stosunki z mieszkańcami wyższego Ała-tau, lecz to nie może nastąpić aż wtenczas, kiedy Wielka Horda, która dziś przedziela od ich gór niedostępnych, uzna zupełnie zwierzchnictwo Rossyi.

9 czerwca.

Dzisiaj mieliśmy honor otrzymać wizytę sułtana Bulenia, z rodu chana Abłaja, który jako zastępca prezesa ajaguzkiego dywanu, przyjechał z dalekiéj swojéj koczówki na spotkanie pogranicznego naczelnika. Jestto człowiek około lat 50, łagodnego wyrazu twarzy, skromny i wcale nie głupi. Był niegdyś dość bogatym, lecz wydanie za mąż trzech siostr, z całą wystawą na jaką się tylko może zdobyć arystokrata stepowy, znacznie nadwerężyło jego majątek; dziś zaledwie ma 300 koni, których nie mała część pójdzie wkrótce na pogrzebowe

obchody po śmierci jego matki. Oddawna przychylny rządowi, mówił nam, że jak tylko dowiedział się o przejściu Kenesarego przez Ilią, natychmiast wyprawił dwóch swoich braci z listami do przedniejszych jusunowskich sułtanów, krewnych jego, Siuka i Ali, radząc im, aby dotrzymali swego słowa i nie zaniechali przybyć na czas umówiony do układów. Dziwi się jednak, iż dotąd nie ma żadnéj odpowiedzi, i lęka się nawet, czy bracia, którzy trzydzieści dni temu wyruszyli w podróż, nie wpadli w ręce Kenesarego. Ten ostatni pomknął się już ku rzece Kak-su. Jusuny przyjęli go dość obojętnie, i chociaż wielu z nich, i sam nawet poseł omski, Mauke, na wezwanie Kenesarego, pośpieszyło na kenes, wątpi, ażeby weszli z nim w bliższe stosunki i chcieli działać w jego widokach, znając dobrze dumę i gwałtowny charakter człowieka, mającego tylko na celu osobisty, nie zaś Kirgizów interes. Wszakże tego jest przekonania, iż obawa zemsty Kenesarego wstrzymać może Jusunów od przybycia w tym czasie na kenes z jenerałem.

10 czerwca.

Nasz polityczny horyzont rozjaśnia się. Dowódzca oddziału stojącego drugi już miesiąc z dwóma działami na brzegu Lepsy, donosi, że bracia sułtana Bulenia wrócili szczęśliwie ze swéj wyprawy. Kenes z Kenesarym trwał cały tydzień. Jusuny błagali swojego gościa,

aby oddalić się raczył z ich kraju, albowiem weszli oni w układy z Rossyą i prawie już poddali się jéj berłu. Kenesary nie zgadza się na odwrót, gdyż ten zgubiłby go doreszty w powszechnéj opinii i mógłby narazić na nowe klęski. Mimo to jednak sułtanowie Siuk i Ali przyrzekli, « w dziewięć dni po narodzeniu się księżyca, » przyjechać nad Ak-su.

Tymczasem my, gruntując się na téj odwiecznéj i bardzo rozumnéj zasadzie, *si vis pacem, para bellum*, ściągamy kozaków z kokbektyńskich, ajaguzkich i karkaralińskich pikiet, szykujemy konną artyleryą, przygotowujemy tabuny koni, wielblądy, jurty, żywność, i wzywamy, z tych trzech okręgów, starszych sułtanów, ażeby ze zbrojnémi orszakami swych Kirgizów pośpieszyli połączyć się z naszym oddziałem, który, pod osobistém dowództwem pogranicznego naczelnika, pociągnie na brzegi Lepsy. Stanąwszy z taką siłą na dotychczasowéj granicy rossyjskiego państwa, nietylko będziemy mogli okazać Kirgizom Wielkiéj Hordy w całym blasku jego potęgę, nadać większą wagę naszéj dyplomacyi w czasie kongresu, lecz nawet zaimponować samemu Kenesaremu, lub w razie gdyby tego wymagały okoliczności, wyparować go za ostatnią z siedmiu rzek.

Lecz oto i sam « dżenderał, » jak go Kirgizy tytułują, przybył do Ajaguzy: 13go wyruszamy w pochód; czekaj więc moich buletynów z nad wód Lepsy, Ak-su, Kuk-su, Buskanu lub Sarkanu, a tymczasem bywaj zdrów i kochaj mię po staremu.

X

Ajaguza, 11 czerwca, o północy. (Do M... i P..., w Tobolsku.)

Kochani towarzysze! Kiedy z was jeden stróżom skarbowéj izby wydaje nitki i świéce, a drugi rozsyła karty do wszystkich miast i miasteczek tobolskiéj gubernii, ja tymczasem gram rolę dyplomaty i błędnego rycerza. Dziś, naprzykład, pisałem traktat pokoju dla dwóch narodów, a jutro adłan! na koń, i z pistoletami za pasem, z dubeltówką przez plecy, z kamczą w ręku, marsz! na pogranicze Wielkiéj Hordy.

Jeśliście czytali Jaquemonta i pamiętacie opis pochodu wielkorządcy Indyi z Kalkuty na brzegi Sutledży, nasza wyprawa teraźniejsza wielce go przypomina. Cała tylko różnica, że tam były słonie i palankiny, a u nas wielblądy i jurty. Czy przejdziemy Rubikon? jeszcze niewiadomo. Cóżkolwiek bądź, to życie czynne, pełne

poetyckich wrażeń, wcale mi do gustu. Za tydzień będziemy nad Lepsą. Mamy do zrobienia jeden przechód, 80 wiorst piasku, gdzie ani kropelki wody. Poetyczne tam będzie pragnienie! zwłaszcza przy 40 stopniach ciepła; ale co wam gadać o tém, kiedy może w téj chwili jak Samojedy chodzicie w reniferowych jagach i kiedy pod waszym nosem płynie Irtysz! Bywajcie więc zdrowi.

XI

Ajaguza, 11 czerwca, w nocy. (Do G. Z...

Kochany Gustawie! Po długiém, długiém oczekiwaniu, powitaliśmy nareszcie pogranicznego naczelnika, który, pod osłoną 25 kozaków, przyleciał do nas z Kokbektów; mówię przyleciał, bo możeż być właściwszy wyraz dla jazdy mającéj na zawołanie całe stada koni rozstawione co kilka mil na stepie, i co cię jak wichry niosą przez góry, doliny, krzaki i rzeki. Przyjazd jego wielce mię uradował; przyśpieszając bowiem nasz pochód za Lepsę (w ów kraj złotych bażantów, i co ciekawsza, tygrysów, których dotąd widziałem w żelaznych klatkach, a z któremi teraz może mi się zdarzy spotkać oko w oko pod otwartém niebem), kładzie zarazem kres

temu nieczynnemu życiu, jakie tu od dni kilku pędzimy, a które straciło już dla mnie swój powab nowości.

Cicha i skromna Ajaguza, doczekawszy się tak znakomitego gościa, jakim jest rządca Średniéj Hordy Kirgizów, cała teraz w nadzwyczajnym ruchu, i wygląda jakby panna młoda w dzień ślubu. Nie wyobrazisz sobie, co za pstry plumpudding, có za jaskrawe *mixtum chaos* przedstawia się oczom moim na każdym kroku. Tu dygnitarstwo cywilne i wojenne różnéj broni, nieznające przez rok cały więzów ścisłéj formy, w świeżych jak z igły mundurach, w haftach świetniejszych od słońca, w niezaszarganych kapeluszach lub błyszczących kaskach, paraduje po placu twierdzy; tam arystokracya kirgizka, strojna w najbogatsze swoje chałaty lub manłyki o złotych lub srebrnych smokach, w czambarach szytych karmazynowym jedwabiem w różnowzore esy, floresy i gzygzaki, w spiczastych cukrogłowych czapkach, poważnym krokiem przechadza się wśród tłumów ludu siedzącego na ziemi, obok grup koni patrzących obojętnie na tę całą pompę; ówdzie płeć piękna i niepiękna, w żółtych, zielonych, błękitnych i pąsowych z chińskiéj kanfy mantylkach, lekkiémi stopy spaceruje po wałach; jedném słowem, jestto tysięczno-barwny i tysiączno-kształtny widok, jakiegobyś nie zobaczył w kalejdoskopie, choćbyś go nawet tysiąckroć obrócił.

Tymczasem kwatera nasza ciągle jak w oblężeniu, a wewnątrz ścisk jak na raucie londyńskim. Przez dwa dni ostatnie w szczególności nie mieliśmy chwili pokoju;

w skutek bowiem polecenia pogranicznego naczelnika, sąd bijów, ten improwizowany stepowy areopag, w obecności Wiktora, rozstrzygał ważną sprawę pomiędzy Taszkińcami i Bucharcami z jednéj, a Kirgizami z drugiéj strony. Kilku Taszkińców i Bucharców (vulgo zwanych przez Kirgizów Sartami), zamieszkałych dla handlu przed cztérdziestą laty w Semipołatyńsku, nieliczne swoje stada koni i wielbłądów składające karawany, pasło w kirgizkim stepie; a że step długi i szeroki jak ocean, Kirgizy nie żałując trawy, « którą Allah co rok zasiewa, » nie wzbraniali tych wypasów swym współwyznawcom; lecz gdy w późniejszym czasie przychodnie ci, wzrosłszy do liczby kilkuset, ogromnémi swémi tabunami okryli znaczne przestrzenie stepu, i nietylko ścieśniali kirgizkie koczówki (mianowicie zimowe, co najważniejsza), ale jeszcze, pod pozorem dawności, przyswajali sobie całe uroczyska Arkatu i Aldżanu, zajmujące do 60 w. kw., Kirgizy, prawi właściciele tych ostatnich, słusznie oburzeni przeciw chciwości wdzierców, poczęli stawić przeszkody, tak, że nieraz przychodziło między nimi do krwawych kłótni, zwłaszcza, iż Sarty, istne żydy i pijawki Kirgizów, nie chcieli nawet najlżéjszéj daniny płacić za użytek z cudzéj własności. Długoletni spór takowy, wytaczający się już niejednokrotnie przed wyższą władzą, ciągnął się dotąd, i dziś dopiero, po dwudniowych rozprawach i mowach bez końca, ostatecznie rozwiązany został. Oto jest krótka treść traktatu, który ja miałem honor układać, na zasadzie, ma się rozumieć, ustnego wyroku bijów z obu stron wybranych.

1. Naród Sartów, odtąd i aż do skończenia świata, będzie miał wolne i niezaprzeczone prawo koczować latem i zimą, ze swémi stadami na uroczyskach Arkatu i Ałdżanu.

2. Za udział tego prawa, naród Sartów obowiązuje się, wiecznémi czasy, co rok, płacić kirgizkiemu narodowi Średniéj Hordy daninę, składającą się ze stu dab[1] bucharskich, które, za pośrednictwem ilbiliańczych, rozdane będą pomiędzy dżataków Kuczuk-tobuklińskiéj i Dżangubek-siwanowskiéj włości, jako koczujących na wspomnionych ziemiach od niepamiętnych czasów, i

3. Pokój, zgoda i dobra harmonia trwać będą na wieki wieków pomiędzy dwóma narodami.

Krótko i węzłowato.

Pisząc te *pacta conventa*, dowodzące wspaniałomyślności kirgizkiego narodu, co tak hojnie rozszafował ziemią, na któréj obszernéj przestrzeni mogłoby najwygodniéj pomieścić się z pół tuzina niemieckich książąt z całą pompą swych pałaców, szambelanów, fraucymeru, ministrów i swych potężnych kontyngensów, pomyślałem sobie: o dziwne losy człowieka! czy mi się śniło kiedy, ażebym ja, w drugiéj części świata, grał rolę dyplomaty wpośród ludów, znanych mi ledwie z imienia.

Sprawa ta taszkińsko-bucharsko-kirgizka nastręczyła mi zręczność poznać dwóch mężów, mających wielkie znaczenie u swych rodaków, i którzy, jak dwie gwiazdy

1. Bawełniana tkanka na koszule.

piérwszéj wielkości, przyświecają plemionom stepu. Powiem ci więc słów kilka o sułtanie Baraku i biju Kunanbaju.

W kwiecie jeszcze wieku, potomek chanów, wyprowadzający swój ród od Dżingischana, sułtan Barak, jestto człowiek okazałéj postawy, szlachetnych rysów lica i nadzwyczajnéj siły. Hojna natura w uposażeniu tego stepowego Herkulesa, obok niepospolitych zdolności umysłowych, wlała weń tęgi charakter i nieustraszone męztwo. Wychowany po rycersku, jak syn barona z feudalnéj epoki: nikt trafniéj od niego nie strzeli z łuku, nie ujarzmi snadniéj dzikiego rumaka, nie dźwignie ogromniejszego głazu. Bajgi, owe kirgizkie turnieje, łowy i baranta, na których zawsze palma zwycięztwa wieńczyła skroń jego, szeroko po stepie rozniosły sławę młodzieńca. Pod zielone jego znamie cisnęła się zewsząd chciwa łupów i zdobyczy drużyna, a młody bohatér prowadził ją nieraz pod śnieżne szczyty Ałatau, zkąd, jak orzeł tych gór na ptaki, spadał na liczne stada Jusunów, których, mimo dziewięćkroć przeważniejszéj siły, zbiwszy na miazgę, z bogatym zawsze plonem wracał do swych aułów. Wyprawy te, przypominające napady góralskich klanów na płaszczyzny Szkocyi, imie jego, jak niegdyś bohatérów walterskotowych powieści, uczyniły straszném i opromieniły wieńcem narodowéj poezyi: niejedna bowiem banda stepowych korsarzy pierzchała na samo tylko imie Baraka, i niejeden ulanczi (poeta ludu) opiewał chwałę pogromcy zalepsańskich plemion. Dziś, ze zmianą okoliczności krajowych, złożył on swoje gromy, spoczywa

na laurach, i tylko z berkutem[1] na ręku, goni za wilkiem, lisem lub stadem lotnych sajg (antylop); lecz dosyć nań spojrzeć, aby się przekonać, że krew dżyngischańska nie zamarła w jego żyłach, i że skromna władza ilbilańczy, a nawet bramowany złotem pąsowy chałat, nie wystarcza dumie batyra Najmanów. Jakoż męzkie swe czoło, na którém błyszczy gwiazda mocy i geniuszu, wysoko on wznosi przed każdym, ktoby się go lekceważyć ośmielił. « Raz będąc w Czuguczaku — opowiadał mi — poszedłem z kilką innymi do tamecznego ałdaja (komendanta); towarzysze moi padli przed nim na kolana, jak nasze kobiéty przed starszymi: ja tylko jeden, na znak uszanowania, położyłem rękę na sercu. Niezgiętością mego karku zdziwiony ałdaj, zapytał: czemu nie padam na ziemię jak drudzy? — Bogu tylko taka cześć się należy, rzekłem, a ty nie jesteś Bogiem. Mój ałdaj, rozgniewany tą odpowiedzią, wrzasnął: Ja ci każę. — Ty, odparłem, nie masz prawa mi rozkazywać, i ja nie spełnię twojego rozkazu; lecz jeśli ci nie podoba się moja wizyta, bądź zdrów. — Słowa te zmiękczyły Czurczuta (Chińczyka), i nietylko prosił mię usiąść, lecz jeszcze przyjął lepiéj niż innych, częstował herbatą i różnémi potrawami, których wszakże dotknąć się nie mogłem, nie będąc przyzwyczajonym do gadzin i tym podobnych przysmaków chińskich kucharzy. »

Oto masz w słabych zarysach Bajronowską postać, obraz męża ze wszystkiémi pierwiastkami potężnego

1. Sokół czy inny jakiś ptak tego rodzaju używany do łowiectwa.

ducha, zdolnego pod moc swéj woli podbijać massy i naginać je ku swoim celom.

Niewielą laty starszy od sułtana Baraka, bij Kunanbaj, niemniéj jest także wielką znamienitością w stepie. Syn prostego Kirgiza, obdarzony z natury zdrowym rozsądkiem, zadziwiającą pamięcią i wymową, czynny, gorliwy o dobro swych ziomków, biegły w stepowém prawie i przepisach Alkoranu, znawca wszystkich ustaw rossyjskich tyczących się Kirgizów, nieposzlakowanéj bezstronności sędzia i przykładny muzułmanin, plebejusz Kunanbaj zjednał sobie sławę wyroczni, do któréj, z najodleglejszych aułów, młodzi i starzy, ubodzy i bogaci cisną się po radę. Zaufaniem możnego rodu Tobukli, powołany na stopień rządzcy, z rzadką prawością i energią piastuje władzę, a każdy jego rozkaz, każde słowo spełnia się na skinienie. Niegdyś przystojny mężczyzna, dziś, napiętnowany strasznémi bliznami ospy, co go przed kilką laty omal nie wtrąciła do grobu, jak Mirabeau, w zapale mowy każe zapominać słuchaczom o szpetności swéj meduziéj twarzy; okrutna zaś plaga jaką dotknięty został, obudza w nim samym słodkie wspomnienia współczucia ziomków, które ci może dać miarę jego zasług i znaczenia. « Tłumy ludu w rozpaczy — mówił mi z wzruszeniem i dumą — oblegały w dzień i w nocy moją jurtę, w któréj walczyłem ze śmiercią, wśród mąk nieznośnych. Łzy to jego zalały ogień co mię pożerał, i wymodliły u Ałłaha mój powrót do życia. » Nie takiémże współczuciem, w jednym z najoświeceńszych krajów Europy, otaczał lud ostatnie chwile umierającego trybuna, co równie jak Kunanbaj był tar-

czą jego przeciw niesprawiedliwości i gwałtom możnych; ów lud, co mniéj szczęśliwy od pół-dzikiego, nie mogąc dla swego obrońcy wypłakać życia u Boga, w uniesieniu wdzięczności dla umarłego wynalazł Panteon.

Tuzin sułtanów i z pół-kopy murzów było dzisiaj u nas na herbacie. Do całéj téj arystokracyi rodu i bogactw, wybornie zastosować można nasze przysłowie: wart pałac Paca, a Pac pałaca. Biała kość [1] (sułtany) bardziéj szarą niż białą wydawała się obok Baraka, a wszyscy baje (bogacze) niegodni rozwiązać rzemyka u obuwia Kunanbaja.

1. *Ak-sujuk*: tak Kirgizy nazywają sułtanów przenośnie.

XII

Ajaguza, 12 czerwca. (Do G. Z...)

Z kądże te nagłe wzruszenia?
Jakieżto imie świat głosi?
E. Słowacki.

Z przyłączeniem Średniéj Hordy kirgizkiéj do posiadłości rossyjskich w Azyi, ustała i władza chanów. Ze śmiercią ostatniego z nich, tytuł ten zniesiony na zawsze, i dziś żyjącą pamiątką kirgizkiego chaństwa jest stare babsko, znane pod imieniem Chanszy Waliewéj.

Na gruzach chańskiego rządu, Rossya utworzyła w Średniéj Hordzie władzę starszych sułtanów[1]. W szczupłych zawarta szrankach, władza ta, w ręku człowieka

1. *Aha-Sultan,* po kirgizku.

z głową i sercem, nie jest wszakże, jakby się zdawało na pozór, bez pewnego znaczenia i wpływu. Naczelnicy najznakomitszych rodzin, dumni potomkowie chanów, ubiegają się o nią, jak o najwyższy zaszczyt i szczebel wielkości; lecz rząd czuwa troskliwie nad tém, aby starszy sułtan nie pozwolił sobie zapomnieć, iż władza chańska należy już do przeszłości nigdy niepowrotnéj w stepie. Zresztą, chan był jeden, a dziś, w Średniéj Hordzie, mamy siedmiu starszych sułtanów.

Przed kilką godzinami byłem obecny obiorowi starszego sułtana ajaguzkiego okręgu. Po krótkich naradach sułtanów i ilbilańczych, odbytych pod otwartém niebem w obec licznie zgromadzonego ludu, został nim cichy i ubogi sułtan Buleń. Kandydatem zaś czyli zastępcą jego, jakby dlatego ażeby słaba trzcina oprzeć się mogła o dąb niezłomny, obrano znajomego ci już sułtana Baraka. Kirgizy, wierni zwyczajom przodków, zachowywanym niegdyś przy wyniesieniu swego ziomka na stopień chana, w oka mgnieniu rozszarpali pomiędzy siebie, na pamiątkę, skromny chałat nowego prezesa dywanu, którego zaszczytną stratę wynagrodził natychmiast pograniczny naczelnik, ofiarując mu, w imieniu rządu, pąsowy chałat, bogato lamowany złotem. Lecz zdaje mi się, nic tak nie uszczęśliwiło, nie pochlebiło bardziéj dumie, i nie podniosło go w oczach własnych i rodaków, jak ów huczny wiwat, który, na cześć jego tryumfu i wielkości, zagrzmiały działa ajaguzkiéj twierdzy.

W innych krajach, nowo obrany dygnitarz, pragnąc okazać swoją wdzięczność wyborcom, sprawia im

z własnéj kieszeni biesiadę; u nas w stepie rzecz się ma wcale inaczéj. Biesiadę tę, ucztę, czyli jak ją Kirgizy nazywają bajgę (gdyż zwykle towarzyszą jéj wyścigi konne), sprawia kosztem swoim rząd, w którego imieniu miejscowa władza [1] robi honory i ugoszcza tak wyborców jak i dignitarza zaszczyconego ich zaufaniem. Cały wprawdzie traktament składa się z herbaty i piławu [2] dla arystokracyi, a dla plebsu, z baraniny, koniny i kumysu; lecz czegoż więcéj potrzeba dla ludu, któremu obce są nasze trunki, a kawał gotowanego mięsiwa najpożądańszym przysmakiem?

W czasie dzisiejszéj uczty, pierwszy raz miałem sposobność słyszeć ulanczich. Są to trubadurowie kirgizcy, bardowie stepu, wieszcze, których improwizacya, również jak talent wymowy, często natrafiany u Kirgizów, znakomicie świadcząc o umysłowych zdolnościach tego ludu, przeniosła mię mimowolnie w średnie wieki; bo tam tylko, pod kamienném sklepieniem gotyckiego zamku, u możnego jakiego barona, biesiadującego wśród swych wasali, mógłbym znaleść to, czego dziś byłem świadkiem pod wełnianym dachem kirgizkiéj jurty.

Oto masz szkic téj uczty, jaki mogę zrobić naprędce, zajęty będąc przygotowaniami do jutrzejszego pochodu.

Po za wałami twierdzy jest plac obszerny, na którym w kilku jurtach rozbitych z powodu okoliczności, mieści się cała kirgizka publiczność zaproszona na ucztę.

1. *Prikaz* po rossyjsku, a po kirgizku Dywan.

2. Potrawa z baraniny z ryżem, dodaje się dla większego smaku uruk lub kuszmysz.

W okazalszéj z nich, wyższa klasa składająca się z sułtanów, bijów, mułłów, chodżów, murzów i starszyn, w całéj pstrokaciźnie swoich kostiumów, siedzi poważnie na dywanach pokrywających ziemię i oczekuje przybycia pogranicznego naczelnika.

O godzinie 12éj, pograniczny naczelnik, otoczony orszakiem rossyjsko-polsko-kozacko-tatarskich cywilnych i wojskowych urzędników, przybywa na miejsce uczty. U drzwi arystokratycznéj jurty, aha-sułtan, w towarzystwie kilkunastu stepowych lordów, wita go krótką przemową i wprowadza uroczyście na przygotowane dlań krzesło.

Z krzesła tego jak z tronu, po którego prawicy i lewicy stoi półkolem mundurowy orszak, pograniczny naczelnik przemawia kilka słów stosownych do zgromadzenia, które, po przetłumaczeniu na kirgizki język przez urzędowego drogmana, wzbudzają powszechny zapał.

Gdy się uciszyła wrzawa, mułła czyta modlitwę prosząc Ałłaha, ażeby pobłogosławił pokarmowi i napojowi, przygotowanemu dla nich; całe zgromadzenie, podniosłszy ręce do góry, w uroczystém milczeniu słucha modlitwy

Po tym pobożnym obrzędzie, kilku rossyjskich tłumaczów wnosi na ogromnych tacach herbatę: pierwszą jéj filiżankę uprzejmy dżenderał, jak Kirgizy tytułują pogranicznego naczelnika, ofiaruje nowo obranemu aha-sułtanowi; drugą bierze dla siebie i daje rozkaz częstować wszystkich z kolei.

Wtém, kiedy całe nasze grono trzyma w ręku fili-

żanki i pokrzepia się chińskim napojem, młody jeden minstrel, przystojny, z czarnym wąsikiem i bystrémi oczyma, uderza w struny swego niewdzięcznego brząkadła[1], i głosem śmiałym, mężkim, pełnym, przyjemnéj harmonii, zaczyna improwizacyą.

Pierwsze jéj strofy, ma się rozumieć, na cześć dżenderała.

Poeta wysławiał jego przymioty, « ciesząc się wraz z całym narodem, że uszczęśliwił go swojém przybyciem, którego co rok Kirgizy tak niecierpliwie oczekują, i które tém jest zawsze dla nich, czém wiosenne słońce dla stepu. Szczęście to — zapewniał w uniesieniu — byłoby jeszcze większém, jeszcze zupełniejszém, gdyby go nie mieszał wróg powszechnego bezpieczeństwa i pokoju; lecz ma nadzieję, że jedna wieść o zbliżeniu się dżenderala, przepędzi znowu Kenesarego na piasczysty step Kara-kumu... »

Po tym komplemencie zastosowanym zręcznie do okoliczności, młody Urunbaj (imie naszego ulanczi) wystąpił z pochwałami starszego sułtana Bulenia, karkaralińskiego mowcy Kunanbaja, i z kolei złożył hołd swego uwielbienia każdemu ze znakomitszych członków zgromadzenia; lecz nikt z nich nie wzbudził silniéj jego zapału jak sułtan Barak.

« O ty! — śpiewał on z wrastającém coraz bardziéj uniesieniem, dochodzącém pod koniec prawie do zachwycenia — o ty! krew Abułfaiza! potomku Dżingischana! sułtanie Baraku! słuchaj pieśni ulanczi Urunbaja.

1. Dumbra (bałałajka).

«O! słuchaj mojéj pieśni, choć to nie pierwsza i nie ostatnia dla twojego ucha; bo i któż z ulanczich nie śpiewał lub śpiewać nie będzie na cześć twoją?

«O! wielki nasz step; lecz czyliż jest jurta która nie słyszała, która nie powtarza pieśni o Baraku?

«O! bo czyjże ród świetniejszy, czyj dawniejszy, czyj szlachetniejszy, jak ród Baraka!..» (Ojciec i dziad Baraka rosną jak na drożdżach.)

«O! i któż mędrszą da radę na kenesie? któż w sądzie bijów sprawiedliwiéj spór rozstrzygnie jak Barak?

«O! któż na bajdze męztwem, siłą lub zręcznością przewyższy wszystkich szermierzy jak Barak?» (Barak skromnie patrzy w ziemię.)

«O! któż na łowach, kto na barancie tak się odznaczy jak Barak?... » (Barak nie rad z ostatniéj pochwały, brwi marszczy i łeb gładzi.)

«O! i któż hojniéj wynagrodzi biédnego ulanczi, jak sławny potomek chanów, sułtan Barak?» (Barak śmieje się.)

«O! wszędzie i zawsze wielki sułtan Barak! największy batyr w stepie jest — jeden Barak!...

«O! niedarmoż po całym stepie rozlega się tylko imie Barak!... Barak!... Barak!... »

Skończył, a nasz bohatér w zapale uniesienia dumy i zaspokojonéj miłości własnéj tylą pochlebstwami wieszcza, zerwał się ze swego miejsca, zrzucił chałat z siebie, i cisnąwszy mu go w oczy, rzekł: « Winienem ci wielbląda i konia bieguna. »

Naśladując hojność Baraka, acz w mniejszym stopniu, bo w miarę pochwał i kadzideł, każdy kto

tylko je otrzymał, chcąc niechcąc, musiał okazać swą wdzięczność. W oka mgnieniu pieniądze, chałaty i konie (te ostatnie rozumie się w obietnicy) posypały się ze wszech stron, zamiast laurów, na głowę poety, a huczne okrzyki zadowolenia zatrzęsły wątłą ścianą naszego gmachu.

·Gdy się to dzieje, i gdy nasz trubadur zabiera się improwizować podziękowanie zgromadzeniu za łaskawe ocenienie jego talentu, z szarego końca jurty dał się słyszéć złowieszczy dla ucha jego brzęk struny, i w téjże chwili, jak Filip z konopi, wyrywa się niepocieszna jakaś napozor figurka, przeskakuje przez kilka rzędów głów dostojnych sułtanów i poważnych chodżów, i z dumbrą w ręku siadłszy obok zdumionego Urunbaja, zuchwale mu powiada : « Zobaczym, kto z nas większy ułanczi ? »

Na takie *dictum acerbum*, spójrzał nań z pogardą Urunbaj, zaiskrzyły mu się oczy jak u kota w gniewie, jak rak poczerwieniał, i gdyby nie obecność dżenderała, bezwątpienia cisnąłby w ślepie zazdrośnemu poetycznéj jego sławy współzawodnikowi cały zapas energicznych wyrażeń kirgizkiéj złości, a może nawet na nienawistnym łbie jego połamałby swoją bandurkę; lecz związany przyzwoitością, nietylko wstrzymał się, ale jeszcze z tryumfującą miną przyjął wyzwanie.

Zaczęła się walka : nieme milczenie znowu objęło jurtę.

Jak na Olimpijskich igrzyskach, dwaj poeci ścierali się z sobą. Zaledwie jeden wystrzelił strofkę, wnet drugi odstrzeliwał na nią; pierwszy śmiało napadał,

drugi zręcznie się odcinał; zapał w obu coraz bardziéj się wzmagał i rozniecał zaciętą walkę: był to zajmujący widok!

Nie mając w pomoc sztuki stenografa, kilka tylko strofek zachwyconych pamięcią jednego z moich tłumaczów udzielić ci mogę, jako specymen poezyi nowego ulanczi.

« O, i ja ulanczi kirgizkiego narodu; i ja, nie pierwszy raz śpiewam w obec tak licznie zgromadzonych ludzi wielkich, ludzi sławnych!... I ja ulanczi, ale nie taki jak Urunbaj: pieśni Dżunaja nie takie jak pieśni Urunbaja... O! Urunbaju! tyś wysławiał dżenderała, czyliż i Dżunaj nie umiałby go pochwalić? Ale na cóż mu pochwały biédnego ulanczi, kiedy i bez nich on wielki, sławny i kochany w stepie!... Tyś wychwalał naszych sułtanów, bo lubisz ich chałaty i konie, a ja nie lubię nikomu pochlebiać jak nędzny musapyr (żebrak)... Ty się łasisz każdemu, bo jak pies głodny, chcesz aby ci kość rzucono: a ja nie chcę być nieczystém zwierzęciem... I ty śmiesz mianować się ulanczim! ty, co śpiewasz tylko tym co ci płacą!... Jeśliś ty prawdziwy ulanczi, czemuż nie śpiewasz umarłym?... czemuż nie chwalisz tych, co nie żyją?... czemuż nie głosisz naszych ojców, naszych przodków, co kiedyś żyli na tym stepie?... O! jak ich chwalić (przedrzeźniając głos i gestykulacyą Urunbaja); jak im śpiewać, kiedy nie dadzą ani konia, ani chałata, a choćby i dali swoje kości, i piesby ich nie jadł... Oj! ty Urunbaju!... o! ty sławny ulanczi! a znasz ty czém był step nasz za dawnych czasów? czém był dawny Kirgiz za chana Abłaja?... i t. d. »

Na dowod, iż zna to wszystko jak pacierz, i że jest w stanie śpiewać *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, Urunbaj skoczył ze swoją dumbrą nie bliżéj i nie daléj jak do stworzenia świata, i zacząwszy od Adama, jak wprzód obecnym sułtanom, nie darował żadnemu z patryarchów; potém w Korabiu Noego przepłynąwszy wody potopu, rzucił się z wierzchołka Araratu na całą starożytność biblijną, nie przepuszczając babilońskim Nabuchodonozorom ani Faraonom Egiptu; nareszcie, niepowstrzymany w furorze swojéj improwizacyi, jak wodospad Niagary, zaśpiewawszy każdemu, kogo tylko ze znakomitych mężów spotkał na drodze, i nie odetchnąwszy ani na chwilę w ciągu godziny, dojechał szczęśliwie aż do Mahometa. Ten uragan pieśni zagrażający ostatnim dziesięciu wiekom, już, już miał spaść na głowy bohatérów islamizmu i rozbić się w harmonijnych bryzgach ponad kirgizką hordą, gdy wtém..... o! traf nieszczęsny!... na samym wyjeździe z Mekki, na dumbrze naszego wieszcza-Farysa, urwała się struna.

Tą razą, rozpacz poety, zapomniawszy o prawach przyzwoitości, bez względu na dostojnego gościa stepu, wyrwała mu z głębi serca ciche, lecz bolesne o! ineine s.....!

Tymczasem, kiedy ten nawiązuje strunę, przeciwnik jego, nie chcąc dać za wygranę, przypuszcza nowy atak:

« Cóż znaczy ta długa historya? każdy mułła powie ją lepiéj od ciebie, bo i ty musiałeś się jéj wyuczyć od mułły i dzisiaj popisujesz się z nią, jak z ukradzioną

kobyłą!... Ale jeżeli chcesz dowieść, żeś wielki ulanczi, powiedz nam znaczenie każdéj liczby, zacząwszy od pierwszéj aż do dziesiątéj?... (Szło tu, jak mnie zapewniał tłumacz, o allegoryczne znaczenie liczb pod względem religijnym.)

Tego było i trzeba Urunbajowi. Widać, że ten przedmiot był jego mocną stroną, albowiem z wyraźném ukontentowaniem zawoławszy: « Tochte! tochte! » (poczekaj, cicho!) uderzył w struny i zaczął na wskazane sobie tema waryacye, które exekwował *con amore e splendore*. Wszyscy Kirgizy, dotąd zachowujący milczenie, przerywali go częstémi okrzykami i podziwiali talent z zapałem. W istocie musiało to być cóś bardzo pięknego, kiedy i ja, nieznający języka, odebrałem silne wrażenie. Usłyszawszy bowiem, uroczystym głosem odbity, jak gdyby dzwonem wieżowego zegaru, znajomy mi wyraz: Ber! (jeden)... i wkrótce po nim uroczyściéj jeszcze, z całą mocą ducha wiary, i jak gdyby ze szczytu wystrzelonego w niebo minaretu, pobożną nutą mułły oddany wyraz: Ałłah!... przeczułem sercem, że wieszcz śpiewa wielkość Boga, który jest najwyższą jednością, i wraz z nim zgiąłem moje czoło przed majestatem tego Ber! co stworzył światy. Dalsza zaś improwizacya została dla mnie ciemną jak noc allegoryą, i na nieszczęście mojéj ciekawości tak bystrą, tak gwałtowną lała się rzeką, że nikt nie mógł z niéj zaczerpnąć i jednéj kropelki; lała się ona długo, i nie wiem czy byłby koniec téj powodzi, gdyby nie wniesiono na plac boju antipoetycznych ogromnych mis z piławem, które powściągnęły furor natchnienia ulanczi. Zamilkł więc, lecz tą

razą uszczęśliwiony, gdyż cała arystokracya przyznała mu palmę zwycięztwa. Dżenderał zaś, lękając się może straszniejszéj jeszcze powodzi dzwięków i brzęków kirgizkiéj muzy, kilką pochwalnémi słowy i ofiarą manszestru na czambary, zaspokoił miłość własną współzawodnika, i tak skończyła się walka.

I jaż to wszystko, pomyślałem sobie, własnémi uszami słyszę na stepie, w pośród ludu, uważanego przez świat cały za dziki i barbarzyński!... Przed kilką dniami świadek ścierania się z sobą dwóch zawziętych stronnictw, z zadziwieniem przyklaskiwałem mowcom, co nie słyszeli nigdy o Demostenesie i Cyceronie; dziś występują przedemną poeci, co czytać i pisać nie umieją, a jednak podziwiam ich talent, bo pieśni ich przemawiają do mojéj duszy i serca. I toż są dzicy barbarzyńcy? Jestże to lud przeznaczony na wieczną nikczemność pastuchów, i pozbawiony wszelkiéj innéj przyszłości?... O! nie, zaiste! lud, który Stwórca obdarzył takiémi zdolnościami, nie może pozostać obcym cywilizacyi: duch jéj przeniknie kiedyś kirgizkie pustynie, roznieci tu iskrę światła, i przyjdzie czas, że i koczujący dziś nomada zaszczytne zajmie miejsce w pośrod ludów, co nań patrzą teraz z góry, jak wyższe kasty Indostanu na nieszczęśliwego paria....

Uczta krótko trwała, bo i krótki jéj szpejscettel. Na pierwsze danie piław, na drugie wołowina, na trzecie baranina — i basta. *Omne trinum perfectum!* Kumys zamiast szampana. Modlitwa jak była początkiem, tak i końcem uczty. Wszystko się odbyło z największą przyzwoitością; lecz gdy dżenderał pożegnał zgroma-

dzenie i wraz z swym orszakiem opuścił jurtę, porządek publiczny nieco naruszonym został: albowiem burzliwe fale plebsu nienasyconego swoją koniną, dobijając się o szczątki arystokratycznéj biesiady, obaliły gmach z koszmy, na głowy patrycyuszów. Mamy jednak szczęście zapewnić naszych czytelników, że nietylko nikt nie utracił życia w czasie tego strasznego wypadku, lecz nawet żadna głowa nie poniosła najmniejszego szwanku. Niech żyją Kirgizy!

Jutro opuszczamy Ajaguzę. Jak prędko znajdę możność przesłania ci wiadomości o sobie, przewidzieć niepodobna; bo Ajaguza tém jest dziś dla mnie, czém port dla żeglarza puszczającego się na ocean: jest to ostatni punkt, zkąd poczta dochodzi do Syberyi. Za ajaguzkiémi rogatkami « deskami zabito » — jak mówi przysłowie — koniec świata! Nim więc za témi słupami Herkulesa, za tą *ultima Thule*, nastręczy się pewna zręczność wyprawienia listu do ciebie, bywaj zdrów mój drogi! Jestto ostatni list pisany w chałupie, pod dachem; następny będę może pisał w jakiéj pieczarze, pod skorupą z ałatauskich lodów.

WYJĄTKI

Z DZIENNIKA PODRÓŻY.

---

18 czerwca 1846.

Wiatr silny zrana; przygotowania do wyjazdu. Uragan straszliwy; o godzinie 1éj wyszliśmy z Ajaguzy: oddział stu kozaków, działo jedno i Kirgizy kokbetyńscy, pod wodzą Kijsyka-tany, część uzbrojona w gwintówki, ajbałty i łuki. Prowadził nas starzec bij Bijbit, który wybrał się w drogę, aby odzyskać od Jusunów chałat, zabrany mu jeszcze w r. 1814.

Baszczi, bez którego nie można się obejść podróżującemu po stepie, jak bez Indyanina w amerykańskiéj puszczy, jest to pospolicie człowiek w wieku, bywały, doświadczony, który młodsze dni swoje przepędziwszy na barancie i włóczędze z jednego końca hordy w drugi,

częstokroć kosztem nie jednéj krésy na łbie, nabył tak dokładnéj znajomości miejsc, że jest w stanie lepiéj niż najdoskonalsza mappa — czy to w dzień, za wskazówką zatrzymanych w pamięci swego oka gór, strumieni, źródeł, mogił, skał; czy w nocy, za pomocą gwiazd lub wiatru — przeprowadzić cię w najodleglejszy punkt stepu najpewniejszym i najkrótszym szlakiem. Baszczi, posiadający zgruntu swój przedmiot, niezmiernie jest ceniony, i nieraz banda rabusiów, puszczając się na wyprawę do dalekich aułów, ofiarą znacznych korzyści z baranty, stara się pozyskać współdziałanie człowieka, którego topograficzne, mineralogiczne, astronomiczne, a szczególniéj hydrograficzne znajomości, rokują jéj pomyślny skutek przedsięwzięcia. Taką to uniwersalną nauką obdarzonego baszczę, szczególny fawor fortuny zesłał nam w osobie bija Bijbita, niegdyś batyra, miłośnika baranty i łowów, posła, dyplomatę, sędziego, a dziś (niech to nie będzie z ujmą jego sławy) pieczeniarza, który rzuciwszy na los szczęścia w swojéj jurcie starą, jak sam, połowicę i szczupły swój dostatek, włóczy się przez cały rok z aułu do aułu, od jednego do drugiego sułtana, przesiadując u nich po dni kilka i wraz z nimi asystując kenesom, dżygunom, bajgom, pogrzebowym obchodom, jedném słowem, tym wszystkim zgromadzeniom, *in gratiam* których Kirgiz, chcąc nie chcąc, musi rznąć barany i klacze. Wielki gaduła, jak wszyscy pieczeniarze i rezydenci na świecie, opowiadał mi, że przed 40 laty, jako członek kirgizkiéj ambasady będąc w Petersburgu, w czasie audyencyi u cesarza Alexandra, widział naraz sześciu królów (?).

Cesarz miał się odezwać do posłów Hordy: «Słuchajcie! Po moim ojcu, dziadzie i pradziadzie otrzymałem trzy rzeczy: Petersburg, wojsko i kupiectwo. Ja mieszkam od was daleko; wy więc ochraniajcie karawany moich kupców, przechodzące przez wasze stepy: bo jeśli nie będzie bezpieczeństwa dla handlu, przyszlę do was wojsko.» W późniejszéj epoce powtórnie jeżdżąc do stolicy, nie zastał cesarza, czekał nań jakoby 22 miesiące i dni 17, i nie doczekawszy się wrócił do swéj ojczyzny. Lecz monarcha Rossyi, przybywszy z zagranicy, skoro uwiadomiony został o jego bytności, przysłał mu przez sułtana Siuka-Abłajchanowa ukłon i pałasz wraz z bogatym chałatem. Pałasz ten dotąd w jego rękach, i dziś obszyty na głucho w koszmowy pokrowiec, wisi pompatycznie u boku ex-ambasadora; a chałata, pomimo całéj swojéj dyplomacyi, od r. 1814, odebrać nie może — i dlatego właśnie podjął się teraz obowiązku honorowego baszczi, ażeby przez wpływ i protekcyą dżenderała (jenerała), wydobyć z rąk Jusunów (pokolenia kirgizkiego Wielkiéj Hordy) ofiarowany mu od lat tylu monarszy upominek. Owoż ta pół-poważna, pół-pocieszna znamienitość stepowa, z przywiązaną czerwoną chustką do kilkosążniowéj włóczni, wystąpiwszy w chwili wymarszu przed naszą przednią straż na dzielnym bułanku, oświadczyła się z całą swoją jeografią, mineralogią, hydrografią, meteorologią i astronomią na usługi wyprawy. Za nią więc, jak flota za magnesową strzałką kompasu, posunęliśmy się na przód.

Uragan, doszedłszy zenitu swojéj wściekłości, słabięć

nareszcie zaczął, i wkrótce chmury oswobodzone z jego więzów, skropiły nas ulewnym deszczem, za który, po tak długiéj spiece i kurzawie oddech zabijającéj, wcaleśmy się nie gniewali, tém bardziéj, że obmywszy nam twarze i odświeżywszy powietrze, niedługo padał.

Karawana nasza, zostawiwszy po prawéj ręce rzekę Ajaguzę, dążącą do jeziora Bałchasza, szła brzegami Narymu, zamkniętego w skalistém łożu, drogą, którą karawany ciągną przez Tarbogataj (góry) na chiński jarmark do Czuguczuku. Żałowałem mocno, że włócznia naszego baszczi, oddalała się coraz bardziéj od kryształowych wód pierwszéj z tych rzeczek: już to, dla jéj brzegów ubranych na przestrzeni stu wiorst w miłą dla oka wędrówca zieloność; już dla jéj słowików, co po całych nocach śpiewały dla mnie jakieś dzikie, niezrozumiałe piosenki; już nareszcie dlatego, żem stracił sposobność zwiedzić mogiłę przykrywającą prochy kałmuckich kochanków Kuzukurpecza i Bajansuły, i widzieć na niéj kamienie, na których rylec stepowego Praxytelesa przekazał potomności wizerunki romansowéj pary.

Po sześciogodzinnym marszu, łańcuch wielbłądów z jurtami, szatrami i jukami, otrzymał rozkaz pójść na przód, i u stop góry Czynhozy, nad brzegiem Narymu, zbudować miasto.

W pół godziny stanęliśmy u Czynhozy i zastaliśmy rozkaz spełniony.

Nasz dowódzca zatrzymać się raczył na nocleg we wspaniałéj rezydencyi letniéj sułtana Usmana, a my, cywilno-wojskowy sztab i orszak jego, zajęliśmy obok

stojący kiosk, w którym, po bezsennych ajaguzkich nocach, wolni nareszcie od gorąca i przeklętego owadu, wśród szmeru mruczącego po kamieniach Naryńu i gruchania turkawek, pierwszy raz smacznośmy usnęli, i ledwie nie tak mocno, jak owa czuła para mongolskich gołąbków.

14 czerwca.

W czasie noclegu, koń jeden zaplątawszy się, nogę złamał. Kirgizy zaraz go dorznęli, i w marszu widzieliśmy członki poćwiertowanego konia u siodeł wiszące. Od godziny 4éj do 10éj zrana, ciągle piekliśmy się pod afrykańskiém prawie słońcem. Mała rzeczka Ai, nad którój brzegiem popasaliśmy do 2éj po południu, kryształową swoją wodą pokrzepiła nasze siły. Wieczorem przybyliśmy do źródła Kara-bułak, niedaleko Ammusu, idąc ciągle gruntem kamienistym; z pod stóp koni naszych co chwila wylatywały dropie, wyskakiwały jaszczurki, fałangi (podobno rodzaj skorpionów).

15 czerwca.

Trzeciego dnia ujrzeliśmy po lewéj Tarbogataj, a przed sobą Ałatauskie góry. Coraz nowe kwiaty.

Mnóstwo dropi : siedm młodych złapaliśmy ; gdzieniegdzie sajgi (antylopy). Popasaliśmy po cztérech godzinach marszu nad Karakołą : rzeczka w zielonéj, pysznéj dolinie, upał coraz większy. Tu już ciągle grunt piaszczysto-gliniasty, często sołońcy : ślady ustąpienia morza, które tam reprezentują ała-kule (jeziora). Pokazuje się krzew pięknéj zieloności, dżingil. Od 1éj do 8méj marsz ; nocleg w kamyszach (w trzcinach, w oczeretach) Ała-kula. Tam mają mieszkać dziki i tygrysy : pierwszych widzieliśmy tropy, drugich ani słychać ; ale zato krzyk kaczek, łabędzi i gęsi ogłuszający prawie.

16 czerwca.

Czwartego dnia nasz baszczi chciał nas przeprowadzić bliższą drogą, to jest przez oczerety ; ale tak się zanurzył w bagnie, że ledwo mógł się wydobyć, i byłby niesławną śmiercią zakończył swój dyplomatyczny, pełen chwały zawód. Wydobywszy się atoli z przepaści, co go żywcem pochłonąć chciała, nie stracił rozumu i tłumaczył się tém, że musiało morze podrosnąć, gdyż przed czterdziestu laty, nietylko błoto, ale i bród przebywał nieraz bez najmniejszéj szkody. Nie tracąc zatém czasu, udaliśmy się dłuższą, lecz pewniejszą drogą, mimo ostępów trzcinowéj puszczy, któréj obchód zabrał nam pięć godzin. W ciągu téj drogi Ała-kul był ciągle

niewidzialny. Nasłuchawszy się tyle od Kirgizów o morskiéj jego wielkości i nie mogąc ujrzeć jéj choćby jedną kropelkę, przypuszczałem, azali to morze nie jest złudzeniem wzroku na pustyni, jak i wszystkie wczorajsze jeziora, i nie wątpiłem, iż pozostanie dla mnie problematyczną zagadką, którą chyba rozwiążą późniejsi jeografowie: gdy w tém, rumak mój stanął wraz zemną na piasczystém wzgórzu Aj-tiube.

Boże! co za zachwycający widok! Cały nasz orszak krzyknął chórem w uniesieniu. Jestże co wspanialszego w świecie? Można-li cóś bardziéj olbrzymiego przedstawić sobie w wyobrażeniu?

Przed nami zwierciadło wód nieobjętych okiem: owe niewidzialne, zasłonione nieprzebytą puszczą trzcinisk, strzeżone od ciekawości wędrowca straszną paszczęką tygrysa morze Kirgizów — to Ała-kul! Ponad jego fale, drżące w ogniu promieni słońca, wznosi się dumnie jedyna wyspa, dźwigająca na swych barkach dziką, posępną, śpiczastą górę — to Arał-tiube. Rzekłbyś, że na zaczarowaném morzu, zaklęty zamek jakiego czarnoksiężnika lub ducha wód tych, nietkniętych wiosłem żadnego Kolumba. Z lewéj strony, w odległéj, zamierzchłéj dali, majestatyczne kolosy Tarbogataju; po prawéj, niebotyczna, kryształowa ściana wiecznych lodów Ała-tau: to ramy krajobrazu! A ponad tą całą pustynią i lądu i wody, przezroczysty, jasny błękit nieba, w który wzrok topiąc, wołasz z poetą:

Niebo czyste, tak wszystkie zdjęło chmury z siebie,
Że ledwie co nie widać Pana Boga w niebie.

Był czas, kiedym ze szczytów Apeninów za jednym razem patrzał na dwa morza: zaiste wielki to widok i czuło go moje serce; lecz zdaje mi się, że gdybym nawet na skrzydłach kondora wzleciał na najwyższy szczyt Kordylierów, i ztamtąd, za każdym rzutem oka, ujrzał u stóp swoich po jednym oceanie, nie uczułbym tyle, ile dziś, stojąc na lichém wzgórzu i widząc w około siebie takie pustynie, przed sobą takie wody, obok takie góry, a nad sobą takie niebo!

Ale jakkolwiek widok ten przeraził mnie szczytnością, że tak powiém, olbrzymiéj swojéj poezyi, wymowy, harmonii, pewien jestem, że stokroć potężniejsze sprawiłby wrażenie, gdybym — nie jak dziś, w tłumie i gwarze ludzi i zwierząt, lecz — sam jeden, w zapędzie Farysa, przelatującego na swym rumaku pustynię, stanął tu, i nagle, niespodzianie, ujrzał go wśród powszechnego milczenia natury. O! czuję, że jeślibym na ten widok w pierwszéj chwili nie skamieniał z zachwycenia, byłbym tylko obowiązany za życie łasce Tego, który stworzył to arcydzieło.

Zastępy nasze, błysnąwszy tylko na wyżynach Ajtiube, poszły na brzeg dostępnego w tym punkcie Ałakula, któremu, przez wzgląd na jego wielkość i wspaniałość, potwierdziliśmy w uniesieniu dyplomat na tytuł *dengis* (morze), nadany mu przez Kirgizów. Tu mieliśmy krótki odpoczynek, który nas wiele nie pokrzepił, gdyż upał, wzmagając się co chwila z postępem słońca, doszedł w tym dniu do tak niesłychanéj mocy, że nawet w cieniu, pod zasłoną jurty, niepodobna było dać sobie rady. Ludzie i konie szukali ochłody w nur-

tach Ała-kula; ale ten środek orzeźwienia sił był tylko chwilowy, i po użyciu jego, upał wydawał się daleko jeszcze nieznośniejszym niż wprzódy. W dodatku czekała nas miła perspektywa: przejście bezwodnéj pustyni Dały, długiéj 70 wiorst prawie; przejście, które trzeba było dokonać za jednym zamachem koniecznie, żeby się dostać do pierwszego źródła, znajdującego się u podnóża góry Sajkany, pierwszéj z cór Ała-tau w téj stronie, a która, jak gdyby morska latarnia, miała przyświecać naszéj przeprawie przez to ex-morze.

Jakoż, wódz nasz, nie zważając na *maximum* najpiekielniejszego upału, na którego wspomnienie dziś mnie jeszcze pot oblewa, o godzinie pierwszéj siadł na swego gniadosza, i dał rozkaz, śpiesznym marszem postępować szeregom. Szeregi poszły, i ja za niémi, z rezygnacyą Indyanki idącéj w płomienie.

Pierwszy widok, jaki nas zaraz na samym wstępie uderzył nieprzyjemnie, był to cmentarz kirgizki; smutny widok wszędzie, a cóż dopiéro w pustyni, w tym prawdziwym obrazie śmierci! Kilkadziesiąt mogił, o sklepieniach z sitowia oblepionego gliną, zaniesionych wczęści piaskiem, wczęści rozbitych wichrami, składały tu pośmiertny auł Kirgizów, i sterczały jak szkielety jego mieszkańców, którzy za życia, mieli tu w zimowéj porze swoje koczowiska u brzegów Ała-kula, lub przechodząc przez Dałę, przypadkowo zgon znaleźli. Jak gdyby dla zrobienia na umysłach naszych okropniejszego wrażenia, na kilku wznioślejszych grobowcach, siedziały krzykliwe atajki, które złowieszczym swym głosem żegnając oddalające się szeregi, zdawały

się miotać przekleństwa na nasze głowy za przelanie krwi ich dziatek.

Wkrótce trafiliśmy na tak zwaną Kuldżyńską karawanową drogę, lecz w istocie, jestto nic więcéj jak ślad drogi oznaczony stopami wielbłądów, i zbielałemi od słońca i czasu ich szczątkami, kośćmi koni, baranów, a może i ludzi; ślad, którego jednak nasz baszczi nie spuszczał z oka na chwilę. Ciągnął się on przez różno-kolorowe piaski, szare, żółte, białe, wszystkie słonawego smaku, lub przez potrzaskane warstwy iłu, pokrytego florą właściwą téj posępnéj okolicy, i jak zauważałem, przypadającą niezmiernie do gustu wielbłądom, które z chciwością szczypały jéj wierzchołki. W liczbie takowych roślin, są tu w wielkiéj obfitości jakieś krzaczki uzbrojonego kolcami zielska, znanego pod imieniem kokpok; jakiś wysmukły sacyk-kurai, o pustych drzewiastych dudach, rodzaj marchewnika, okrywajacego pospolicie sybirskie stepy, przydatny na opał w niedostatku drzewa; jakiś nareszcie kantak, kulistéj formy krzaczek, podobny zdaleka do okrągłego arbuza. Roślina ta, słabo trzymająca się ziemi, gdy zeschnie, odrywa się od niéj, i jakby stworzona była do ruchu, podróżuje sobie po stepie, tocząc się po nim w kierunku wiatru. W jesieni kilka, kilkanaście niekiedy tysięcy tych bomb, przewracających się obok siebie i toczących się z nieopisaną prędkością, nieprzyzwyczajonemu do do tego widowiska oku wydaje się zdaleka masą uciekających antylop. Mówiono mi, że tu rośnie rhumbarbarum, ale ja nie byłem ciekawy szukać go śród gadzin i jaszczurek różnych gatunków i kolorów, szkodliwych i

nieszkodliwych; śród tarantul i skorpionów, których moc ogromną zdybywaliśmy na każdym kroku. Jestto klasyczna ich ziemia; poczciwe te napozór stworzenia, lepsze może w duszy niżeli ich fama u Kirgizów, grzały się sobie swobodnie na słońcu, jak za owych błogosławionych czasów przedpotopowych, kiedy oprócz nich nikogo nie było na świecie. Dziś przyszedł człowiek, spójrzał ze wstrętem, z pogardą na ród padalców, jak gdyby sam był co lepszego; przeszedł po ich karkach, i długo, długo przechod ten pozioma populacya Dały pamiętać będzie. Sprzymierzeńcy nasi (Kirgizy) odznaczyli się szczególniejszą zawziętością w wytępianiu biednych *dziłan* i *kej-syrthe*: bili winnych i niewinnych; krocie ich padło pod ciosami kirgizkiego knuta, i jestem pewien, że nasza droga usłana trupami téj pełzającéj chałastry, za miesiąc jeszcze posłuży jakiéj karawanie za najlepszą skazówkę do przeprawienia się przez pustynię.

Tymczasem, na bezobłocznem niebie, słońce posuwało się zwolna, smagając nas ognistym swym biczem i piekąc skwarem, o jakim ten tylko moze mieć wyobrażenie, kto przebywał syryjskie lub saharskie piaski. Niewypowiedziane męki dręczyły nietylko ciało, ale i umysł: podobni do potępieńców piekła, jechaliśmy na naszych spienionych rumakach, w bezsilném ręku trzymając zaledwie wodze, i posępném, pomieszaném okiem spoglądając przed siebie. Jakaś uroczysta, przejmująca mimowolną trwogą cisza, zwykła zwiastunka trzęsienia ziemi lub uraganu, panowała w całéj naturze. Zamroczony wzrok, oślepiającym blaskiem światła

rozlanego w atmosferze, raziły jakieś złowieszcze fosforyczne błyski, wijące się jakby powietrzne wężyki: zdawało się, że już, już nadchodzi chwila, kiedy te błędne iskry niebieskiego ognia zapalą jaką zeschłą trawkę, i w okamgnieniu całą roślinność pustyni obleje pożar, w którego płomieniach i dymie zginiemy jak niegdyś obywatele Sodomy i Gomory. Pod wpływem tych gorączkowych wrażeń plątała się myśl w przepalonéj głowie, a w sercu rosła niespokojność, w miarę upadku sił i coraz nieznośniejszéj katuszy pragnienia, którego uśmierzyć nie było sposobu. Nareszcie sam widok hufców postępujących w grobowém milczeniu, ciche jak w puchu zapadanie kopyt koni i wielbłądów, głuchy obrót ciężkich kół artyleryi, szczątki niegdyś żyjących stworzeń rozrzucone po drodze, na każdym prawie kroku żmija lub obrzydliwa tarantuła, wszystko miało w sobie cóś niezwyczajnego, cóś szatańskiego i nakształt nocnéj zmory przykrém przejmując uczuciem, jeszcze bardziéj zwiększało udręczenia spieki, która w tym dniu, co do liczby swych stopni, śmiało mogła walczyć o pierwszeństwo z najbardziéj palącym obdorskim lub turuchańskim mrozem.

Zlani krwawym potem i omdleni na siłach, zmieniając co pół godziny, co kwadrans czasem, konie pod artyleryą i furgonami, zapuszczaliśmy się daléj i daléj w głąb' pustyni; ale nie każdy z nas był w stanie oprzeć się potędze owego bóstwa Gwebrów, siedzącego na swym złotym tronie w całym blasku majestatu. Przed tym strasznym majestatem, wątłego zdrowia, acz krzepki duchem, nasz przywódzca wyprawy ukląkł naj-

pierwszy, i jak najzapaleńszy zwolennik nauki Zoroastra, oddawszy mu hołd najgłębszego szacunku, skrył się z pokorą pod skrzydła tarantasu, które mu zastąpiły sklepienia pieczary Mitry. Za przykładem wodza, cały jego orszak, widząc taką cześć oddaną bóstwu światłości, szukał gdzie mógł schronienia dla swych głów, zanadto hojnie oświeconych jego promieniami. Ja tylko i lekarz nie chcieliśmy uderzyć czołem przed tém bałwochwalczém godłem Oromaza, pomimo wszelkich tentacyj: lecz Eskulapa naszego utrzymała na siodle sucha organizacya ciała, a może jakie tajemnicze *antidotum* gorąca; mnie zaś silna, niewzruszona niczém wola by nie dać za wygraną, i druga, wyznać muszę, nie tak szlachetna pobudka, chęć zemsty nad bohatérskim sztabem, który w Ajaguzie jeszcze zakładał się, że z pierwszego noclegu odprawią mnie do szpitala. Dziś z wysokości mego rumaka (którego przez wzgląd na jego dzielność przezwałem Barakiem, na cześć sułtana tego imienia), z tryumfującą miną spoglądałem na malowniczy widok głów moich zuchów, szukających ochłody pod cieniem, niestety! kotła, rądla, wiadra lub kojca kur, i wyrażałem żal, iż nadto daleko do Ajaguzy, aby ich ryczałtem odprawić do lazaretu. Kirgizy lepiéj sobie poradzili: arystokracya bowiem jechała pod parasolami; a lud prosty, mając na sobie szuby lub jerhaki, a na głowie lisie lub baranie małachaje, zdawał się bardziéj lękać mrozu niżeli upału, który z resztą w tym kostiumie nietak był nieznośnym, jak Europejczykowi w jego cienkim mundurze i lekkiéj czapeczce.

Lecz już zbliżała się chwila, która kilkadziesiąt temu wieków tak była straszną Jozuemu, iż pragnąc ją oddalić, nie wahał się złamać porządek natury, i zawoławszy: «*Sta sol! ne movearis*,» zatrzymał słońce. Dla nas, cośmy niczego więcéj nie pragnęli jak zachodu tego planety, owa chwila, w któréj zaczął on skłaniać ku ziemi swą paszczę buchającą ogniem, była tém, czém niegdyś dla rodziny Noego, zwiastująca kres potopu tęcza. I prędzéjby może niejeden bluźnierczy język wykrzyknął z rozpaczy: «*Vade retro Satanas*,» niżby miał powtórzyć owo zaklęcie starego wodza proroka.

O samym zachodzie słońca stanęliśmy na krawędzi Dały. Tworzy ją długi łańcuch pagórków piasczystych, ozdobionych zieloną koroną dżingilu, która dlatego tylko zdaje się błyszczeć na ich żółtych, martwych czołach, by duch pustyni mógł ofiarować skromny wieniec temu, kto z mężkiém sercem przebył jego okropną dzierżawę. Na widok tego wdzięcznego krzewu, zrozumiałem zaraz alegoryą, oderwałem całą gałąź, i zatknąwszy za białą chińską czapkę, która była mojém paladium podczas upału, przeleciałem dumnie mimo arb i taradajek, w których szarfy i axelbanty zaczynały już powracać do życia. Zwiastowawszy im zachód słońca, zapytałem, azali korzystając z lekkich powiewów zefirka i miłego chłodku, nie życzyliby sobie użyć szpaceru i orzeźwić się świeżém powietrzem, jeśli nie wstrzymuje ich obawa narażenia się na katar. Bohatérowie moi, jak węże na wiosnę, powysuwali głowy ze swych kryjówek; lecz, nie mając serc złośliwych, śmiechem tylko i żartami odbijali moje pociski, uszczę-

śliwieni wraz ze mną, że nadszedł wieczór, któregośmy wyglądali jak zbawienia. Byłto koniec cierpień, w tym dniu długim jak wieczność, ale nie marszu. Leżała bowiem przed nami obszerna dolina, gładka jak zwierciadło, niższa swym poziomem od Dały, rozciągająca się do samego podnóża gór. Przejechawszy wiorst 15, o godzinie 9éj wieczór, stanęliśmy u stóp Sajkany, pierwszéj góry z pasma Ałatauskiego. Tu znaleźliśmy źródło wyborne, obok mogił na wzgorzu stojących: na prawo mieliśmy górę Sary-bułak. Na noclegu musieliśmy dobyć łóżka żelazne, z powodu mnóstwa fałang i tarantuł, z których jedną zabiliśmy w naszéj jurcie.

17 czerwca.

Piątego dnia ruszywszy o 4éj rano, zaczęliśmy podnosić się w góry. Coraz pyszniéjszy widok gór lodowych. (Byłto dzień moich imienin.) O 10éj wyjechaliśmy na dolinę rzeki Czynczyły. Tu przybiegł goniec z doniesieniem, że wczoraj Kisajewcy, w liczbie sześciudziesięciu, ograbili jadącego na przedzie Bulenia, Tawkę Agadajewa i innych przeszło trzydziestu bezbronnych. Brat Bulenia uciekł. Buleniowi jednak, jak się dowiedzieli, że to on, wszystko oddali prócz czapki. Tu, nad brzegiem doliny, góry piasczyste, istne kryjówki złodziejskie, okryte pięknémi krzewami i w szczególności kwitnącym pięknie dżingilem, dżigdą. Na saméj do-

linie trawa ogromna, ale takie mnóstwo kobyłki (koników polnych), że wkrótce zniknie, jeśli deszcz ulewny jéj nie zaleje. Upał straszliwy. Pola uprawne za pomocą kanalizacyi i irrygacyi : sieją na nich proso. O 2éj godzinie poszliśmy daléj i znowu szliśmy wzdłuż rzeki, i nad nią téż nocowaliśmy.

18 czerwca.

Szóstego dnia wyruszyliśmy o 4éj. Zachwyceni na widok wschodzącego słońca, rzucającego swoje promienie na góry i na ich nieopisaną żadném piórem wspaniałość, zastanawialiśmy się patrząc, jak Kirgizy z dołu do góry wprowadzają wodę, dla poléwania swych niw. Szliśmy sześć godzin, i po popasie, zaczęliśmy znowu podnosić się w góry. Trudne były przeprawy, ale artylerzyści chwały wszystko przemogli. Nakoniec ujrzeliśmy Lepsę w topolowym wianku, i jabłonie pierwsze z owocem. Trawa bujna okrywa wszystkie góry i doliny. Spotkał nas Bekchoża, a przedtém jeszcze przysłany baszczi z piką. Późniéj przybyli Buleń, Ibak i kilku Jusunów. Nareszcie z jednéj góry ujrzeliśmy okazałe panorama cudownéj doliny Oj-dżau-tau, koczowisko Bulenia, na którą spuściwszy się, przebyliśmy bystry prąd Lepsy, i powitani zostaliśmy przez oddział Bozaczynina. O zachodzie słońca stanęliśmy na miejscu, zrobiwszy w ogóle werst 342. Kiedy jenerał zapytał Kunanbaja, jak mu się podoba widok Ała-tau,

rzekł: « Boże wielki! jakoś ty urządził? Na górze ludzie umierają od mrozu, a na dole schną z upału. » Drugi raz powiedział: « Wszystko piękne, wszystko jest, co potrzeba dla koni i bydła; ale cóż, kiedy to wszystko cudze i mnóstwo żmij. » Poeta zawołał: « Kiedy wjedziemy w obłoki? » i mówił nam, że wszystko zatrzymał w pamięci, by późniéj opiewać.

Tylko cośmy się położyli, wiatr zawył tak silny, że zaledwie utrzymaliśmy jurtę naprędce postawioną. Pierwszy deszcz padał, ale krótko. Zasnęliśmy tęgo przy szumie wiatru i szemraniu jednéj z odnóg Lepsy, rozdzielającéj nas od aułu Bulenia i gór pokrytych lasem pichtowym (jodłowym), topolowym, brzozowym.

19 czerwca.

Wstawszy, ujrzeliśmy w całym blasku piękności nasz Oj-dżau-tau. Rosa pokrywała trawę, świeżość powietrza niezrównana; lecz około 8éj już było gorąco, a żem wypił dużo kumysu, tak upiłem się, że musiałem położyć się spać nawet w obec 25 Kirgizów przybyłych z Kuszbekiem, starszym sułtanem karkaralińskim. Po południu grzmoty, i deszcz ulewny walił przez jurtę jak przez sito, ale wkrótce ustał i znowu pogoda. Kirgizy przyprowadzili małego niedźwiadka, którego na arkan złapali: było ich troje i matka; reszta uciekła na krzyk

dziesięciu Kirgizów jadących konno. Przynieśli nam także argaju. Spałem w ten dzień, to jest 19°, zrana i po obiedzie jak zabity: skutek kumysu czy podróży; czuję się z resztą doskonale, nogi tylko drżą jak galareta. Przebudziwszy się, śpieszyłem na łeb na szyję pisać do matki, żeby nie stracić sposobności przesłania listu.

XIII

Oj-dżau-tau, 19 czerwca. (Do matki.)

...Już późno stanęliśmy u źródła bijącego z pod góry Sajkany, pierwszéj na drodze naszéj z łańcucha Ałatauskiego. Tu zaczęły się pokazywać tarantuły i coraz więcéj fałang, które wszakże, pomimo brzydkiéj swojéj postaci i gorszéj jeszcze reputacyi, nic nam złego nie zrobiły. Spotykaliśmy często i gadziny, ale i na te skarżyć się nie możemy. Odtąd ciągle szliśmy wąwozami lub po grzbietach gór, odzianych dość bujną trawą, którą zjadały w téj chwili miryady małych koników nieznanych mi wcale, i jakiś krzew zwany po kirgizku dżingil, mający liście sosnowéj natury a kwiat podobny do malin wiszących. Nocowaliśmy wśród pól uprawnych i polewanych za pośrednictwem kanałów. W zadziwienie wprawiła nas cierpliwość i hydraulika Kirgizów, którzy z rzeczki płynącéj w dolinie sprowadzili wodę na wysokie góry. Wczoraj o wschodzie

słońca wszyscy byliśmy w zachwyceniu na widok olbrzymów Ała-tau, przykrytych wiecznym lodem. Miałbym co pisać na arkusze; ale w téj chwili każą mi kończyć, gdyż goniec leci do Ajaguzy; powiem więc tylko, że po sześciodniowéj podróży, nieopisanych trudach, wczoraj o samym zachodzie słońca stanęliśmy nad brzegami czarownéj Lepsy, na dolinie Oj-dżau-tau, u sułtana Bulenia. Żebym dał mamie wyobrażenie niezrównanéj piękności tego miejsca, powiem, że gdybym nawet przybył tu z Omska pieszo, nie żałowałbym poświęconych trudów. Żaden król w świecie nie mieszka w tak pięknéj, romantycznéj ustroni, jak nasz Kirgiz. Nad nami góry okryte pichtą, brzozą, topolami; w wąwozach jabłonie, dżigda, argaj, różne krzewy z jagodami. Po nad temi górami, wyższe jeszcze z lasem sosnowym, a po nad niemi jeszcze wyższe w obłokach, gdzie siedzi wieczna zima. Przed nami Lepsa, kilką korytami szemrząca po kamieniach: wszędzie trawa po kolana; konie, bydło, wielblądy po pagórkach. Raj ziemski: ach czemuż więcéj o nim pisać nie mogę? Zdrów jestem jak koń stepowy, i nie pojmuję jakim sposobem na tyle gór wjechałem i z tylu gór zjechałem konno. Ach jakie konie! Całą podróż na jednym koniu odbyłem i ani razu nie upadł: ucałowałem go stanąwszy na miejscu. W téj chwili Kirgizy złapali niedaleko od nas niedźwiadka, który o dwa kroki odemnie pije kumys jak mleko matki i wrzeszczy z całéj mocy. — O! jak ja teraz jestem daleko od was: w stronach, gdzie pewnie nikt z moich ziomków nigdy nie był.

20 czerwca.

Wstawszy o 7éj, chodziłem na górę przyległą. Co za widok na rzeczkę mruczącą po kamieniach i opasaną topolami. Znowu deszcz, po deszczu znowu pogoda i upał. Stoimy nad rzeczką Sarym-sakty. Oprócz niéj, w téj stronie wpadają do Lepsy: Dżundu-dżuriok, Agyny *v.* Ahana, Katły (bystro płynąca rzeka), Tomar-aszczu i Terek-ty. Kraj cały nazywa się Dzite-su (siedmiorzeczny), zamieszkały przez Kirgizów Wielkiéj Hordy. Rzeki wypływające z gór i ginące w Bałchaszu nazywają się: Lepsa, Sarkau, Baskau, Aksu, Kień, Kyzył-agacz, Karatał; Koksu (wpadająca do Karatału), i Mikanczy-aja nie dochodzą do Bałchasza, a Ilia, największa, jest granicą od Kara-Kirgizów (Burutów). Przyprowadzono młodego marała. Żółwie, wydry nad Lepsą. Przybył Bek sułtan Agadajew ze swym synem i orszakiem: przywiozł dla całego oddziału i dla nas kumysu. Dumne jego znalezienie się z Turtelakiem. Wszyscy śpiewacy byli z pozdrowieniem u Kuszbeka, którego sławili przymioty i wielkość. Każdy z nich otrzymał nagrodę, a największą Urunbaj: wielbląda, konia, dwa chałaty, dziesięć koszul i *łunę*, tojest *toguz*.

Marszruta nasza z Ajaguzy do Lepsy.

1. Poza rzece Narymie na uroczysko Czynchoży wiorst 30.

2. Poza rzece Ai wiorst 36. Do źródła Kara-bułak wiorst 33.

3. Nad rzeką-Kara-bułak wiorst 24. Mimo oczeretów Sacyk-kula, koło Bały-kula, a w ogóle Ała-kula wiorst 42.

4. Obchód trzcinisk do Aj-tiube wiorst 24. Do źródeł między dwiema górami przy Sajkanie wiorst 60.

5. Nad rzeczką Czynczyły wiorst 25. Do noclegu nad tąż rzeczką wiorst 25.

6. Uroczyskiem Kargały wiorst 23. Do oddziału na uroczysku Oj-dżaj-tau wiorst 20. W ogóle wiorst 342.

Wielka Horda *Ułu*, Średnia *Urta*, a Mała *Kszy*.

Mówili Tatarzy, że tu mnóstwo dżołbarsów (tygrysów), ale wyżéj, w lesie sosnowym. Niedźwiedzie nie napadają na ludzi, ale baranom nie dają pokoju. Dziki i tygrysy latem oddalają się w trzciniska Bałchasza. Ma być w górach dużo marałów, archorów i kozłów. Drzewo: pichta, jodła, brzoza; krzewy: malina, wisznia, porzeczki czarne i czerwone; na południowym grzbiecie dziki uruk (morele). Najwyższa góra ku granicom chińskim Koke-tau.

Sułtan karkaraliński Rustem mówił mi, że raz jadąc z kilkunastu Kirgizami, gdy wjechał w trzciny osłaniające brzegi rzeki Czu, wyskoczył dżołbars i rzucił się wprost na niego. Nie mając innéj broni w ręku prócz ajbałty, uderzył nią w nos tygrysa, blizko oczu, i ten padł natychmiast, a tymczasem leżącego dobili jego towarzysze. Tygrys był wielkości jednoletniego

byka. Skóra ta była w ręku p. Suchonalimowa. Trzeba być bez czucia, żeby się pozbyć takiéj pamiątki. Pytałem, czy kiedy więcéj zdarzyło mu się spotkać z tym zwierzem: mówił mi, że nigdy w życiu.

Wieczorem po capstrzyku i wypuszczeniu rakiety, która tą razą dość wysoko wzleciała w powietrze, siedzieliśmy do 12ej u esauła: jedliśmy kaszę z prosa, suchary, pili kumys i rozmawiali swobodnie. Życie jakie tu prowadzimy, jurta, oddalenie od miejsc zamieszkałych, jakoś zbliża ludzi, że wszyscy radzi być z sobą, choćby dlatego, aby rozmawiać o piękności otaczającéj nas natury.

21 czerwca.

Wyspawszy się tęgo, wstałem zrana, kiedy moi koledzy spali, i z cygarem w ręku poszedłem na górę sąsiednią. Kozak kopał piec, widziałem więc gatunek ziemi: czarnoziem na glinie. Pytałem: dlaczego nie sieją tu pszenicy? — Z obawy rannych szronów. Sieją ją jednak, ale po dolinach, ażeby bliżéj było polewać. Proso tak rodzi, iż z naczynia, w którém było 5 funtów, zebrali 30 worków kirgizkich, w każdym po 3 1/2 pudy. Patrzałem na swawolę młodego sułtanica, syna Bulenia, jak nad rzeczką, obok jurty swych robotników, igrał z *ukrinczyną*, swémi pół-gołémi ró-

wiennikami. Adjutanci Kuszbeka (tak sami siebie nazywają). Ranek pyszny. Naliczyłem 25 jurt w naszym obozie. O 8éj wyszliśmy z Czewkinem na górę nad Sarym-sakty. Ciągle ścieśniona dolina, na któréj rosną ogromne topole, gdzieniegdzie pichta, żywołost, brzoza, osiny małe, maliny, czarne porzeczki. Okropne gorąco na otwartych miejscach, chłodek miły w cieniu. Woda spada malenkiemi kaskadkami. W kilkunastu miejscach nie mogąc przejść, musieliśmy przechodzić z jednéj strony rzeki na drugą. Ptastwa żadnego, prócz wilg, kaczek i dzięciołów. Wiosną musi tu woda diable buszować, gdyż niejedna topola leży wyrwana z korzeniem, i w korzeniach zaplątane kamienie poszły z niémi do góry. Po całym tym wąwozie stoją jurty: w nich Kirgizki i ich dzieci nagie leżały. Obok mnóstwo bydła, wielbłądów, koni i źrebiąt przywiązanych do arkana. Wróciliśmy o 12éj tak zmęczeni, że ledwie kumys nas pokrzepił. Przybył dziś Barak z swym orszakiem. Poeta śpiewał Bek-sułtanowi; ten mu dał chałat i *tajtujak;* ale pokazuje się, że niewielki ma gust do poezyi, gdyż mówił jenerałowi, że przepędziłby go, gdyby nie wzgląd na to, że przybył w jego orszaku. Mówił murza, że w Ajaguzie i tutaj Kirgizom nie podobał się za to, że przymawia się do nagrody, ganiąc w swych śpiewach tych, którzy mu mało dali. Jenerał kazał mu przez tłumacza powiedzieć, że to nikczemnie.

Ku wieczorowi zaczęliśmy popis ludności Eseuguł-Sadyrowskiéj włości, któréj naczelnikiem Ibak-Dżebajew (koleżski asesor i kawaler); przy tym popisie, jeden ze starszyn, widząc obchodzenie się z nimi Wiktora i

nas wszystkich, rzekł: « Co to jest, że Rossyanie, którzy do nas przyjeżdżają, nie są tacy jak wy? Naucz ty ich, ażeby z nami tak delikatnie postępowali, jak ty. Przyjeżdżaj do naszego aułu: mam dwie żony — wybierzesz z nich sobie jedną.» Wiktor odpowiedział: « Wdzięczen ci jestém za twoje oświadzenie; ale boję się do was jechać, kiedy u was niedźwiedzie i tygrysy.» — « Nie bój się, my wszyscy wyjedziemy na twoje spotkanie i obronimy cię od źwierząt.»

Kirgizy niezmiernie są niedelikatni. Biada nam, z herbatą trzeba się kryć od nich, pijąc ją. Bek-sułtan, naprzykład, będąc wczoraj u Niuchałowa, nietylko że sam pił ile wlazło, ale jeszcze kazał podawać sobie czaszkami, kładł w nie po kilka kawałków cukru i rozdawał je swoim tiulengutom[1]. Brat jego Bubaj, który przyszedłszy do nas prosił aby go poczęstować herbatą, kiedy mu ją podali, traktował obok siedzących Kirgizów i zawołał jeszcze kilku będących za jurtą; a kiedy mu Wiktor zrobił uwagę, że prosił jego a nie drugich, rzekł: « Czyż żałujesz dla mnie? Przyjeżdżaj do mnie, ja ci nasypię na zakładkę.» Sami zaś rzadko mają herbatę. Bek-sułtan zupełnie jéj nie pija u siebie, i chociaż bogacz mający do 500 jurt i 3,000 koni, na których nigdy uzda nie była, nie doi nawet kobył, nie pije kumysu, poprzestając na ajranie. On i Kunar-Kuldży

1. Tiulenguty, są to Kirgizy osobiście niby należący do sułtanów. Częste bywają bogatsi od nich, i jedynie dla wykręcenia się od powinności ogólnych chronią się pod ich bezpośrednie zwierzchnictwo. Tiulengutów, we właściwém znaczeniu tego wyrazu, to jest prawdziwych poddanych, bardzo mało w stepie. Są nimi tylko tacy, którzy w spadku dostali się potomkom wielkich, dawnych arystokratów kirgizkich.

(sułtan akmoliński), najbogatsi w stepie i oba skąpcy. Konie u Beka mają być, głowa w głowę, warte po 250 rubli. Majątek zebrany z baranty.

Przyszła dziś wieść, że ten sułtan, dowiedziawszy się o napadnięciu Kisajewców na jego braci i Bulenia, posłał 200 Kirgizów, którzy dopędzili ich i napadli na nich, kiedy ci niespodziewając się pogoni, spokojnie sobie w wąwozach ałatauskich dzielili zdobycz. Słychać, że jeden tylko zdołał umknąć, reszta zaś wpadła w ich ręce: dziewięciu wzięto do niewoli, resztę zaś rozebrawszy do naga, puszczono na powrót do aułów. Teraz Kisajewcy, nietylko że postradali cudze i swoje, lecz jeszcze muszą wykupić drogo swoich towarzyszy, i drożéj jeszcze zapłacić za krzywdę wyrządzoną sułtanom, a mianowicie Buleniowi, jako starszemu sułtanowi.

W nocy obchodziliśmy dzień urodzin żony Wiktora, i wszyscy tak byliśmy weseli w naszéj jurcie, jak nigdy w Omsku, w malowanych komnatach, siedząc za głupim preferansem; w ogólności uważam, że pomimo trudów i wielu niewygód, piękna natura okolicy ma na wszystkich wpływ zbawienny: wszyscy się nią cieszą, o niéj ciągle mówią i są kontenci. Deszcz padał, ale krótko.

22 czerwca.

Wstałem zrana i z półtory godziny chodziłem z cygarem w ustach i bez czapki, aż póki około 7éj nie za-

częło parzyć i nie wstał jenerał. Na herbacie byłem u esauła, który dziś obchodzi swe imieniny: rozmawialiśmy o zdrowiu tutejszych Kirgizów; tu nie widzimy prawie chorych jak na pograniczu.

O 8[éj] chodziliśmy z jenerałem w góry; widzieliśmy całą dolinę Sarym-sakty, zarosłą gęsto różnémi drzewami; natrafialiśmy mnóstwo ogromnych jabłoni obsypanych owocem, z którego nikt prócz niedźwiedzi nie korzysta, gdyż Kirgizy w czasie jego dojrzewania koczują w innych miejscach.

Po południu przygotowywaliśmy się do polowania w dniu jutrzejszym: posłałem po mego Baraka (konia). Dzień piękny, wietrzyk, a deszcz chociaż padał w górach, nas pierwszy raz oszczędził. Przyprowadzono jenerałowi młodego marałka z centkami jeszcze białémi, które traci rosnąc. Z rogów marała, szczególniéj młodych, wyrabia się w Chinach jakiś olej, który ma służyć zamiast kantaryd. Znaczny handel prowadzi się tym artykułem w Czuguczuku i Kuldży. Rogi przedają się razem z głową i trzymają się tak, aby krew ściekała w rogi i ożywiała je. Marał nazywa się *buhu*.

Wieczorem, Buleń prosił na herbatę jenerała: był tam piław i kumys. Na wezwanie jenerała, przyszła z drugiéj jurty żona Bulenia i siadła przy drzwiach; a ponieważ to czas wspominków po zmarłéj matce, cały majątek rozwieszono w jurcie. Buleń ma jedną żonę i cztérech synów.

Odwiedzał nas ciągle Dżamankul, syn Beka sułtana: jestto pół waryata, wielki batyr i barantarz. Zebrawszy

szajkę, często napada nawet na swego ojca i odpędza jego konie, mówiąc, że potrzeba je wyjeździć, gdyż nie znając uzdy, nie dają się dosiąść nikomu. Mówią, że nawet nieraz porywał się nań z nożem : wszyscy się go boją.

23 czerwca.

Wstałem o godzinie 4éj, ale deszcz ulewny z grzmotem przeszkodził naszemu polowaniu : trzeba znowu czekać do jutra. O 8éj deszcz przestał i słońce się pokazało. W czasie musztry kozak zleciał z konia a drugi go przejechał; biédaka na koszmie do lazaretu zawieziono : mamy już 12 chorych Kozaków i Kirgizów. Deszcz znowu. O 5éj po obiedzie pojechaliśmy w orszaku zbrojnym w górę Lepsy; dolina jéj zarosła ogromnémi topolami : jedna z nich ma sześć sążni obwodu. W niektórych miejscach rzeka tak bystra, że niepodobna przejechać, kamienie przewraca. W czasie téj przejażdżki mieliśmy cudny widok tęczy, która przez górę formowała wielki łuk, łączący Lepsę z Sarym-saktą : w łuk ten jechaliśmy, jak w olbrzymią tryumfalną bramę. Jechaliśmy potém grzbietem wysokiéj góry : cała zarosła krzewami i wielką trawą. Ztąd widzieliśmy kozła dzikiego, jabłonie, dżigdy po drodze : po dwu i pół godzinach jazdy wróciliśmy do domu. Przez całą

noc grzmoty i błyskawice, ale jurta nasza ani kropli deszczu nie przepuściła. Był i grad dość spory.

24 czerwca.

Góry w chmurach. Kirgizy opowiadali nam, że tak wielkie znajdują się tu orły, że raz, kiedy zabili marała i ściągnęli z niego skórę, trzech orłów natychmiast się zjawiło i ścierw marała unieśli z sobą. Cały dzień deszcz kilkunastą powrótami. Powietrze się oziębiło tak, że pod wieczór musieliśmy nałożyć ognisko w jurcie, nie tak dla ciepła, jak dla wypędzenia wilgoci.

Był u nas Masłannikow, kupiec prowadzący handel z Kirgizami: wracał z gór od Kaptagajców, koczujących teraz ztąd o trzy dni drogi pod samémi śniegami. Przedawał im swój towar: kanfę, plis, perkale, za barany, a barany wymieniał na bydło. Mówił, że Kenesary między Ilią i Kateu-su, i że patrole swoje posyła aż nad Karatał. Skupują konie bieguny: po pięć wielbłądów dają za jednego. Był u niego kupiec petropawłowski Awrurem: musiał mu dać dziewiątkę za pozwolenie targowania, to jest dziewięć materyj różnych na dziewięć chałatów, i sprzedawał swój towar po cenie naznaczonéj przez samego Kenesarego, dosyć nizkiéj. Za to dał mu on cyrograf na swobodny przejazd przez jego koczowiska. Tojambek, jeden ze znakomitszych Kirgi-

zów Wielkiéj Hordy, wydał swą córkę za niego. Przyłącza się do niego chałastra kirgizka. W istocie Dzikokamienni znieśli mu do 2,000, tak, że reszta po trupach tylko uciekła. Ma być 200 wiorst do niego.

25 czerwca.

W noc już późną deszcz ustał. Zrana góry były w chmurach, ale za podniesieniem się słońca chmury zaczęły rozpierzchać się, i o 7éj, góry i doliny oczyściły się z tumanu : dzień piękny. Kirgizy skarżą się, że trawa tutejsza dla koni ajaguzkich, karkaralińskich i kokbektyńskich bardzo nie służy, gdyż sprawia rozwolnienie, i wszystkie konie pochudły, przywykłe do suchéj paszy stepowéj. Nadzieja polowania znika. Jenerał powiedział abyśmy o niém nie myśleli, czas już bowiem krótki. Deszcz przeklęty przeszkodził nam korzystać ze zręczności spotkania się z dzikim źwierzem. Karkaraliński Kirgiz jeździł wczoraj o kilka wiorst w góry, ale nie mógł dojechać dla zimna, śniegu i tak przykréj drogi, że, jak powiada, musiał siedzieć na koniu pod kątem prostym do boku góry. On i jego ziemianie mówią, że bardzo dziękują Bogu za to, że się nie urodzili matajami (zapewne góralami), i że nie mają potrzeby jeździć po takich górach, z których gdyby przyszło upaść, człowiekby poleciał o kilka wiorst na dół.

Około 12éj znowu deszczyk. Syn Alego, sułtana Wielkiéj Hordy, był ze swémi ziomkami u jenerała : przystojny, młody mężczyzna, dobrze ubrany, w haftowanych czambarach z rydykiulkiem zawieszonym przez plecy, w kanfowym czarnym chałacie. Przygotowania do podróży. Buleń w kłopotach : widocznie jego nie słuchają, a on boi się skarżyć, aby mu potém kurty nie skroili. Nudy ogromne : niepogoda i okoliczności nie pozwalają się oddalić. Mówią, że tu zajęcy nie masz. Jusunowcy zaczynają zbliżać się : musieli zwąchać pismo nosem, lub nie podobały im się działa; gdyż będąc o 7éj mówili, że oni mają w Buleniu zaufanie zupełne, i oprócz niego i Kuszbeka nikomu nie wierzą; że posłali do Ali i reszty swoich rodo-naczelników, aby prędzéj przybyli; że ich lada dzień oczekują. Prosili, aby im codzień wolno było oglądać jenerała.

Był u nas Urunbaj ulanczi (chamounier). Pytałem go ile ma lat i jak dawno zaczął śpiewać? Mówił mi, że ma lat trzydzieści, a od dziesiątego roku już śpiewa. Ojciec i dziad jego byli poetami ludu. Podobało mu się niezmiernie, gdym mu powiedział, że przetłumaczyłem jego niektóre śpiewki do jenerała i że je przeczytam damom omskim. Mówił, że chce zebrać wszystkie swoje śpiewki ałatauskie i poświęcić księciu.

Przybyli Dułaircy, i wkrótce spodziewany Siuk-Abłajchanow.

Dziwny skutek kumysu : śpi się po nim tak mocno, że trzeba gwałtem zmuszać siebie do rozbudzenia się. Dziś, po półtoragodzinnym śnie po obiedzie (co mi się w Omsku nigdy nie zdarza), zaledwie mogłem się roz-

budzić, i tak codzień, chociaż nie znamy od dni kilku fizycznych trudów. Kirgizom, obcym w tutejszéj okolicy, kumys ałatauski niebardzo się podoba, jak koniom trawa tych stron.

Po obiedzie jeździliśmy do ujścia Ahana-Katły w Lepsę. Jechaliśmy mimo dwóch olbrzymich mogił kamiennych, których początku nikt nie wie z tutejszych Kirgizów. Ztamtąd wróciliśmy takiémi górami i dróżkami, po jakich ani mój ojciec nie jeździł. Wieczór był piękny: zrobiliśmy wiorst 15. Noc zimna tak, że trzeba było dobrze się nakrywać.

26 czerwca.

Ranek chłodny, rosa wielka. Kirgizy zabili ajbałtą małego dzika. Jeździliśmy nad Lepsę i za ujścia Ahana-Katły na polowanie; ale, oprócz dwóch turpanów (kaczek) niezmiernie mądrych, nic nie widzieliśmy. Mnóstwo śladów dzikich świń i nawet marałów, które świeżo przebiegały do wody: *in persona* wszakże nikt się nam nie pokazał. Trawa po pas, krzewy i kwiaty bujne. Słowik nucił; czas złoty. Lepsa ogromne góry skaliste przerzyna.

Po południu przyjechał Siuk-Abłajchanow w orszaku stu Kirgizów. Kiedy spuszczał się z gór, muzyka kirgizka grała przed nim. Mówią, że gdy Siuk zachoro-

wał w drodze, a był wielki upał, muzykant harmonią swoją sprowadził deszcz. Siuk ma 76 lat i stracił już wiele na swojém znaczeniu. Nasi niebardzo gościnni: Jusuńcy skarżyli się, że zjadłszy swe zapasy, głodem mrą. Jenerał musiał rozkazać, aby ich karmili. Tutejsi w ogólności nie zalecają się gościnnością, a tacy skąpcy, że niektórzy z nich, nawet przy popisie ludności prosili nas, abyśmy im dali jeść. Na zapytanie, jak daleko mieszkają? powiedzieli, że z półtory wiorsty. A my o 1,500 od naszego domu — rzekliśmy — więc jakże chcecie, abyśmy mogli was nakarmić? Prawda, prawda — odpowiedzieli. — Kozacy chodzili na polowanie: widzieli trzech marałów i kilka archorów; ale po takich górach i skałach, że ani zbliżyć się do nich nie mogli. Noc była zimna. W nocy rozmowa z Barakiem: powiada, że Kenesary wie o wszystkiém, że uszedł w góry; że ośm dni drogi do niego i że się wzmocnił.

27 czerwca.

Dzień ciepły. O 10ej audyencya. Siuk z bogatą szablą; szal darowany, zamiast na sobie, powiesił na czapce. Hakim, prosty człowiek, dostał medal. Kirgizy jusuńscy mówili: « My psy, a Siuk i Kuszbek panowie: jeżeli oni z sobą w zgodzie, i psóm dobrze; jeżeli oni w przyjaźni, Kuszbek nakarmi psy Siuka, a Siuk

psy Kuszbeka: wszystkim dobrze!» O 6éj, dwudziestu pięciu znaczniejszych Jusuńców było na herbacie u jenerała. Siuk jest ostatni (i Abadilda w Aman-Karagajskim) potomek Abłaja chana. Urunbaj, przez dwie godziny zgórą, śpiewał wyrażając radość, że z łaski jenerała mógł być na tém zgromadzeniu narodów; że się cieszy widząc połączenie Średniéj z Wielką Hordą. Wychwalał Siuka i innych. Nareszcie kiedy ślepy kobyźnik, na swym instrumencie o dwóch strunach włosianych i dudce słomianéj, zaczął dzikie tony wydawać, on wpadł w taki zapał, że ledwo można go było wstrzymać od dalszéj i nieskończonéj improwizacyi. Nim ślepy zaczął, Urunbaj powiedział: «Ja Najman kończę me śpiewy; teraz niech wystąpi wasz śpiewak.» Jusuńcy prosili, aby sam jenerał pozwolił śpiewać. Kiedy jenerał dał ślepemu sztukę materyi, Urunbaj rzekł: «Śpiewak wasz nie popsuje mojéj reputacyi; mnie znają w całéj Średniéj Hordzie — muzyka jego, to nie moje śpiewy. Wszak i Kozacy grają na trąbach, a przecie nie są poetami.» Ślepy zaś odpowiedział: «Ja z tobą nie wojuję o pierwszeństwo: ty sobie śpiewaj, a ja gram.» Lecz i on podziękował śpiewem jenerałowi. Turtubek dał mu chałat, co niezmiernie podobało się Jusuńcom. Urunbaj wdawał się i w politykę; mówił Jusuńcom: «Wy teraz prosicie się w poddaństwo; ale pamiętajcie, że jeżeli zdradzicie, Bóg was ukarze.» Pod koniec improwizacyi, wśród najwyższego uniesienia, Jusun jeden wymowny przerwał mu i rzekł: «Ulanczi, my jesteśmy podróżni, nie mamy tu z sobą naszych dziewcząt, abyśmy tobie dali w nagrodę twych śpie-

wów; ale przychodź pod nasze szatry: mamy z sobą konie i chałaty, zrobimy ci z nich udział.» Sam nawet zgrzybiały Siuk wykrzyknął z zapałem, «barekieldy! barekieldy!»

28 czerwca.

Zrana upał — pierwsze truskawki. Bek-sułtan ma lat 55; tłusty, w dziewiętnastym roku życia zaczął być otyłym, i teraz, jak sam mówi, schudł. Powiada, że do lat cztérdziestu tylko żyje człowiek; po cztérdziestym roku nic niewart; co mający 39 lub 40 lat zrobi w godzinę, to ten, który ma lat 41, musi kilka godzin robić. Jusunowski Kirgiz przychodził skarżyć się, że nie mają co jeść (dano im cztéry barany tego dnia). «Wczoraj, rzekł, nie żałowaliście medalu, a dziś chcecie, żebyśmy poumierali z głodu?» Jak bogatsi pogardzają uboższymi, dał przykład Kirgiz jeden, zaproszony na herbatę do jenerała. Widząc, że mnóstwo jego ziomków stało około jurty i tak cisnęło się, że ledwo jéj nie obalili, obrócił się do nas i ze śmiechem i pogardą rzekł: «to szubrawcy.» Trzeba było widzieć jego dumę i głupotę. Jedliśmy chołodziec z lodem wiecznych śniegów i francuzkie ciasto! O 5éj była herbata u jenerała dla naszych sułtanów (wołostnych starszyn): dozwolono bawić się, tańczyć, grać, śpiewać, i. t. d. W czasie téj zabawy, kozacy wracający z polowania (na

którém przez cały dzień trzy kaczki zabili), napędzili na nasz obóz dwóch młodych dzików. Ze stu Kirgizów poleciało na ich spotkanie: piękny to był widok tego niespodziewanego polowania, które skończyło się na tém, że jednego dzika zakłóto, a drugiego złapano na ukrinczynę kirgizką i zarznięto pod jurtą jenerała. Kirgizy taki mają wstręt ku ciuszce (świni), że ukrinczynę zostawili na miejscu, a Amantajek wyrzucił ją jeszcze dalej.

Siuk przysłał pod sekretem prosić o pół butelki wódki, i prosił, żeby nikomu nie mówić. Jusuńcy dotąd za ziemie płacili dań Chińczykom; raz w rok przyjeżdżają do nich i biorą po 50 do 100 koni z rodu, w miarę jak ten ród wielki. Jusuńcy zaś uważają siebie za niepodległych, i jak twierdzą, za takich mają ich Chińczycy. Oprócz rodów mieszkających do rzeki Ilii, jeden ród koczuje jeszcze i za nią. Wieczorem rakiety doskonale się udały i jedna z nich spadła o krok od nas. Przyszła pierwsza poczta z Ajaguzy, lecz do mnie i do Wiktora ani słówka — długo zasnąć nie mogliśmy.

29 czerwca.

Wstałem o 5éj, i wszedłszy na górkę, długo marzyłem; i góry, które w pierwszych dniach wydawały mi się wielkiémi, dziś znacznie zmniejszyły się w oczach moich. Słychać, że Ali z Tojczubekiem w drodze. Mułła

doniosł, że Bek sułtan i jego bracia układają, aby nikt z Najmanów nie podniosł ręki na Kenesaryńców, w razie, gdyby Rossyanie poszli przeciw nim. Namawiają ku temu i Urgyków, o czém doniósł Kuszbek. Gdy się o tém dowiedział jenerał, posłał do niego prosząc, aby się nie oddalał ze swoim koszem i używał swego wpływu dla dobra rządu. On oświadczył, że nie ruszy, i że mu tylko przykro, że dotąd Kirgizy pod jego wpływem i braci znajdujący się, nie zebrali się; że on chce obejrzéć ich uzbrojenie, i t. d. *Wzajemna polityka* w guście azyatyckim. Mułła Siuka, starzec, zbieg jakiś baszkirski, twierdzi, że Kenesary zebrał do 17,000, i że nic mu nie zrobić z takim oddziałem, zwłaszcza, że stoi w bardzo górzystych miejscach. Siuk prosił o audyencyą, jak widać dlatego tylko, aby przymówić się do herbaty i nowych ze strony rządu podarunków; gdyż mówił jenerałowi, że wziął był z sobą trochę herbaty w papierach i ta zmokła w czasie deszczu; teraz nie ma, a nic nie je i nie pije prócz herbaty. Dostał funt w prezencie od jenerała. Daléj przekładał, że ponieważ podarki rządu, chałat i czapkę, stracił w przeprawie przez Ilią, gdy mu wielbląd niosący je utonął, sądzi, że wypadałoby donieść o tém księciu. Stary ogłupiał zupełnie : jedno i tożsamo kilka razy powtarzał. Pokazało się, że w jego rodzie bij Bijbit ma wpływ największy i wszystkiém zarządza. Synowie Siuka nie umieli sobie zrobić żadnego znaczenia. Hakim rządzi osobnym rodem Adbau, a syn niewielkim, jednak mającym do 2,000 jurt, rodem Sunau. Ali zaś Dułatowcami.

Przykład chińskiéj sprawiedliwości. Na granicy kokbektyńskiego okręgu, pikiet jeden zbuntowawszy się przeciwko swemu oficerowi, zabił go. Sąd wojenny skazał wszystkich żołnierzy na śmierć. Exekucya odbyła się tym sposobem: Przywiązano żołnierzy do drzew, a kaci chodzili od jednego do drugiego, i wyrznąwszy po kawałku ciała, karmili niém nieszczęśliwych; tak ich męczyli dni kilka, aż póki nie poumierali. Nareszcie poucinali im głowy i powsadzali na pale.

Bek sułtan coraz głębiéj zakrywa swe zamiary; dziś pisał do mułły, że ma 200 koni zbrojnych i że we wszystkiém gotów na usługi, że chciałby ten hufiec pokazać jenerałowi, ale czeka póki drudzy nie zbiorą swych orszaków; gdyż chce wprzódy je zobaczyć i porównać ze swojémi, aby się potém nie wstydzić. Zobaczywszy zaś, mógłby dopełnić uzbrojenia, jeśli jego nie tak dobre jak innych.

30 czerwca.

Znowu upał. Pierwszy raz czytałem *Inwalida* (dziennik rossyjski), z którego dowiedziałem się o strzelaniu Lecomta. Kirgizy karkaralińscy, ajaguzcy i kokbektyńscy pokończyli swoje wzajemne pretensye, i przy modlitwie obiecali sobie odtąd więcéj nie odpędzać tabunów. Obietnica ta zapewne potrwa długo! O trzy dni drogi w górach jest pyszna dolina Dżunke, mająca

70 wiorst obwodu, przerznięta rzeką Bijeń: na téj dolinie i ciepłe wody Arasau. Baszczi nasz, który tu przybył dla odebrania swego chałata, był wczoraj u Siuka, ale ten kazał go kamczą wypędzić. Dziś objawia pretensyą do Ajdara, i chce mu pokazać szablę i zapytać, gdzie jéj towarzyszka (czapka razem z szablą darowana mu jeszcze w 1801 czy 1803 roku).

O 3éj, jeździliśmy z jenerałem do źródła Sarymsakty: droga po jakiéj nigdy w życiu nie jeździłem; najmniéj sto razy musieliśmy przejeżdżać z jednéj strony rzeki na drugą, a często jechać samém korytem. Tutejsze tylko konie mogły jeźdzców wybawiać z niebezpieczeństw co chwila spotykanych. Tysiąc było zręczności złamać kark; do tego miejsca można zastosować: « Tu jeździec.....

« Końskiemu rozumowi swe życie powierza. »

Raz tylko mój nieoceniony Barak, zeskakując ze zbryzganego wodą brzegu w kamienistą rzekę, padł podemną, ale natychmiast podniosł się i ja wyszedłem bez szwanku. Trudy nasze nagrodziły cudne widoki gór okrytych wyniosłémi drzewami: co tu malin i porzeczek czarnych, i różnych krzewów, kwiatów, skał, topoli i brzóz! Wszystko to splątane chmielem przypomina brezylijskie lasy. Wszyscy byliśmy pełni uczucia i wszystkie niebezpieczne *przepaści* przebywaliśmy wesoło. Złapałem pięknego motyla i zabiłem turkawkę.

Po powrocie, zastaliśmy wiadomość od szpiega wysłanego przez Baraka, który był w aułach Kenesarego,

że on ma do trzech włości; że, podług wszelkiego podobieństwa, Ali nie przybędzie, i że siedmiu naprzód, a potém cztérech szpiegów wysłał do naszego obozu, i że ci znajdują się między Jusunami. Podwojono straże i ostrożność.

1 lipca.

Zrana upał. Chodziłem na turkawki, których z wielkim trudem parę zabiłem. Powróciłem tak spocony, że ledwo kumys nieco mnie orzeźwił. Słychać, że Kenesary ma nad Karatałem 50 Kirgizów dwukonnych, którym polecono, na wypadek pokazania się jenerała w téj stronie, natychmiast lecieć w jego auły.

Był u nas Urunbaj. Śpiewając prosił adjutanta, aby mu darował pierścień. Ten mu odrzekł, że pierścień ten jest dla niego drogi, że przywiązana pamiątka do niego. « Więc daj mi zegarek. » — « Zegarek potrzebny mi do służby. » — « Dobrze! kiedy pierścień taki ważny dla ciebie, to i ja go cenię; zegarek w istocie potrzebny tobie, więc go nie żądam; ale bajaderka tobie nietyle potrzebna, daj mi ją. » — « Nie mogę, bo ona mi służy do obwiązania się i ocalenia zdrowia; a oto, ponieważ u nas zwyczaj, że poetów nagradzamy laurami, wieńcami, więc ci ofiaruję bukiet kwiatów. » — « U wielkich naszych ludzi pastuchy pasą bydło: ty jesteś adjutantem u jenerała i dajesz mi kęs trawy. Ja nie

znam waszych zwyczajów; mnie dają konie i chałaty pastuchy wielkich naszych panów, a ty mnie nic dać nie chcesz.» Potém skarżył się, że od dni kilku nie śpiewa i że umiera z niecierpliwości. Kiedyśmy mu powiedzieli, aby wszedł na górę i śpiewał patrząc na Ała-tau, rzekł: «Kto mi zapłaci? Ała-tau nic mi nie da.»

Był Adamiat Ibaków, sułtan jusunowski, z którym widziałem się w roku zeszłym w Ajaguzie: poznał mnie i bardzo był rad temu. On z rodu Sunau. Mówił, że nie sądźcie, aby Jusuny ochotnie wam się poddawali; ale taki stan rzeczy, że muszą, gdyż są niezmiernie ściśnieni, gdyż wasi i obcy ich przyciskają, i coraz mniéj mają: wreszcie między sobą się drą ciągle. Góra u nich ma być największa Sue-dżiaryk u źródeł Karatału, gdzie jest jezioro na wierzchu. On i Jusuny dziwili się najmniejszéj naszéj rzeczy: wielka jeszcze dzicz. Prosili aby im pozwolić być przy puszczaniu rakiet i strzelaniu z działa; ale niezmiernie boją się strzałów: pytali, czy nie będzie jakiego przypadku? Kiedym mu pokazywał u strzelby mojéj zamki z pistonami, drżał cały i cisnął mnie za rękę, abym nie odmykał. Wszyscy osmaleni; wielu z nich po cichu prosi o wódeczkę — u siebie piją wódki chińskie.

2 lipca.

O 2éj w nocy wyjechaliśmy: ja, siedmiu kozaków,

Kuczkin i Kirgiz, na polowanie. Noc była piękna, gwiazdy świeciły, lecz dosyć ciemno[1].

Zmęczeni, ale nasyceni cudownémi widokami, wróciliśmy o 7éj, i z zadziwieniem zastaliśmy nasz oboz przeniesiony za rzekę Sarym-saktę, zkąd daleko wspanialszy rozciąga się widok. Przybywszy, dowiedzieliśmy się, iż przybył Ali, i że w poniedziałek opuszczamy Ała-tau. Szczęściem, że nie było bardzo gorąco i deszczyk cokolwiek kropił, inaczéj nie wytrzymałbym trudów drapania się po górach z dubeltówką i pistoletami.

3 Brca.

Ciepło — przygotowania na przyjęcie Ali. Wiktor mistrzem ceremonii. Kijsyk powiada, że nie włożył medalu, bo Kirgizy śmieją się z kawalerów medalowych; kładzie on go tylko kiedy idzie do Rossyan. O 10éj, zerwał się wiatr i cały widnokrąg okrył się jakby zasłoną. Przybyło konno z 800 Kirgizów Średniéj Hordy i ze 150 Wielkiéj. Posadzono ich naprzeciw siebie, a pośrodku na dywanie mułłę. Nareszcie Wiktor przyjechał z Alim, człowiekiem mającym lat 60, lecz dosyć jeszcze czerstwym. Po przywitaniu się z jenerałem i stosownéj do okoliczności rozmowie, jenerał wyszedł. Po odbytéj modlitwie (którą przerwał Kunanbaj

1. Opisanie téj wyprawy jest niżéj, w liście XIV.

a za nim nasi, że nie było wzmianki o Średniéj Hordzie), Kirgizy Wielkiéj Hordy przysięgli na poddaństwo Rossyi. Poczém, gdy jenerał kazał przeczytać Alemu patent na podporucznika i włożył mu medal, sześć wystrzałów z dział i trąby zagrzmiały. Jenerał winszował im połączenia się i życzył, aby odtąd żyli z sobą w zgodzie i składali jeden naród. Po téj ceremonii, jenerał wziął do siebie Alego, z którym rozmawiał dwie godziny, a cały naród rozjechał się w swe namioty i blizkie auły. Takiéj pstrokacizny ubiorów i czapek różnokształtnych i różnokolorowych, nigdy nie widziałem. Po południu wiatr i deszcz.

Dułaircy w ogóle nazywają się Tarak (jestto ród najgłówniejszy, z którego pochodzą Dułaircy), i dzielą się na 12 oddziałów. Tu najznakomitsi: Siuk, bij Bijbit, Kentukin i inni. Hakim, Kipłana syn, rządzi rodem Adbau; Adamiat-Ibak, Sunau; a Dułatowcami, Ali Adylew. Jest jeszcze ród jeden, Jusun-Abak, pod naczelnictwem Mansyr-luna Adyla. Każdy z rodów dzieli się na oddziały: wszystkich nazywają Jusunami, czyli Jusunowską Hordą. Mauke jest bij dułatowskiego rodu. Ali wistocie najrozumniejszy ze wszystkich. U Kirgizów jest przysłowie: « Kto chce pograć w kumałak (gra kirgizka), niech się uda do Kułana (brat starszy Alego, który miał wielkie znaczenie, już zmarły); po dobrą radę, do Alego; kto chce nagadać się, do Siuka; a kto chce roztrzygnąć pretensyą — do narodu. » Ali, w czasie rozmowy z jenerałem, cytował często Salomona; mówił, że cztérech tylko wielkich monarchów było na świecie (w liczbie których kładł Alexandra W. i Fa-

raonów egypskich), i że teraz największy ze wszystkich cesarz rossyjski; powiadał także, że Kenesary chce się oddalić do Chiwy; że Tojczubek (syn jego przybył), nie złączył się z nim, ale tylko pojechał do niego jako deputat, dla otrzymania wynagrodzenia za ograbienie niektórych Jusunów, w czasie jego koczowania za Ilią (zdaje się łgarstwo); że on gotów działać przeciwko niemu i ręczy za swoich — ale czy jenerał pewien jest swoich, zwłaszcza Kaptagajewców? Zdaniem jego, jenerał może tylko z pewnością rachować na Argynów; Tamke nie dotrzyma mu placu, i t. d. W rzeczy sàméj, Barak i drudzy nie ręczą za tego ostatniego. Tamke, z włości Dżembubeka, i chociaż nie wołostny, ma wielki wpływ i pierwszy barantarz. Była kwestya, co z nim robić? Posłano sekrętnie do Dżembubeka, żeby znaczniejszych z włości zapytać, czy ręczą za niego.

Po południu deszcz, z małémi przestankami cały czas padający. Była u nas kobiéta energicznie rozpowiadająca swoją sprawę. Lat tèmu kilka, Barak zachwycił ją u Jusuńców, potém wydali ją za mąż; ma teraz troje dzieci, jest brzemienną, i lubi swego męża. Jusuńcy chcą ją odebrać; prosiła, aby ją zostawić przy mężu, który także tego życzy sobie. Zdecydowano, aby mąż zapłacił za nią kałym, a zostawił ją przy sobie. Mąż i żona kontenci byli z téj decyzyi, a Jusuńcy poprzestali na niéj. Kobiéta, wchodząc do naszéj jurty, trzy zrobiła pokłony z założeniem rąk na piersi: jeden przed progiem jurty, a dwa w jurcie.

Sujunczi: jeśli kto przyniesie komu jaką dobrą nowinę, trzeba mu dać cokolwiek, i ten dar nazywa się

sujunczi. Jenerał, naprzykład, musiał dać temu kilka łokci perkalu, który mu pierwszy doniosł, że Ali przyjechał.

T. Was., opowiadając o kozakach, że oni, nie wchodząc w głąb' rzeczy i nie patrząc na jutro, spełniają tylko co im każą, wyraził się : albo im być astronomami!

Wenerya w tych stronach, jakotéż u Kisajewców, Bajdżigitców, w okolicach Czuguczuka, panuje powszechnie i daleko więcéj niż w innych częściach stepu.

Siuk i Hakim ciągle przymawiają się o róm lub balsam; wódka dla nich za słaba. Siuk wczoraj wyprosił u Baraka nóż, który natychmiast mu go oddał.

Ali koczował na taszkińskich ziemiach, i tam liznął trochę oświecenia; lecz gdy ich cisnęli, wrócił w te strony. Chińczycy biorą od nich dań, ile im sami jéj dadzą.

4 lipca.

Zrana pochmurno; około 9éj pokazało się słońce. O 10éj wielka rada z naszych trzech starszych sułtanów, Baraka i Alego złożona. Ali mówił, że Kenesary stracił 1,500 w zabitych, dwa działka i 500 dziéwek; że z kilkuset jeńców, oddano mu tylko dziesiątek, a resztę sprzedano Taszkińcom; że wojsko jego składało się z mnóstwa kobiét i dziéwek, przebranych za mężczyzn, jedynie dla pokazania większéj liczby; że chciał wprzódy zwal-

czyć Dzikokamiennych, ażeby tém zaimponować Jusuńcom, sądząc że oni, ujrzawszy jego siłę, złączą się z nim dobrowolnie; że wtedy przybył do nich, gdy ich posłowie byli w Omsku, i że przybywszy, prosił tylko o chwilowy pobyt.

Dziś zawarta umowa pomiędzy Kirgizami Wielkiéj i Średniéj Hordy, ażeby żyli z sobą w zgodzie i pokoju.

Ali, w czasie narady pokazał wielki rozum, wymowę, doświadczenie i takt. Wiktor i Burhan powiadają, że nie słyszeli nikogo z Kirgizów lepiéj mówiącego. Cywilizacyą swoją winien obeznaniu się, jak widać, z wyższą arystokracyą kokańską, gdzie koczował, i z dwóch tysięcy jurt sam brał podatek, będąc prawie chanem; ale zobaczywszy domowe ich wojny, w czasie których dostawało się i jego Kirgizom, wrócił nad Ilią. Zaczął swą mowę od tego: « My pochodzimy od Abłaja, Kenesary rodzi się z takiéjże matki i jest naszym krewnym; ale znany nam dobrze jego charakter: jestto wilk głodny, który i teraz przyszedłszy do nas, ograbił sto aułów. Możemyż go lubić i trzymać z nim za jedno? Nie; ja ręczę za siebie i za mój naród, że się z nim nie złączy; ale téż i nikt z nas nie podejmie ręki na niego. Ałłah go odrzucił od siebie. On tułacz i tak już ukarany, i znajdzie wkońcu człowieka, który go zabije; lecz my, co nam do niego? Wczoraj przysięgliśmy na wierność, i téj przysięgi nie mamy za żart, jednakże cóż ona znaczy? to, że my przyrzekliśmy być wiernymi Rossyi, nie zaś walczyć ze swoim krewnym. Czy mnie cesarz daje władzę nad moim narodem, czy nad Kenesarym? Ja odpowiadam tylko za swoich, a nie za niego.

My cesarza mamy za największego w świecie monarchę: co mu szkodzi jeden włoczęga tułający się po bezludnych stepach? My się od niego oddalili: jaki on sułtan bez narodu? Może już nawet i sam oddalił się teraz w stepy? Że jeszcze życzymy związku z Średnią Hordą, najlepszy dowód żeśmy tu przybyli, i t. d.» Ali pytał Wiktora, co mu rząd zrobi, jeżeli się nie oddali Kenesary? « Dziwię się, dodał, że mu żałujecie kawałka ziemi, mając jéj tyle.» Siuk także mówił, że Kenesary i do niego przysyłał brata, ale on go przepędził. Hakim milczał. Adamiat okazywał wielką radość i gotowość na wszystko. Jedném słowem, stanęło na tém, że pomocy przeciwko Kenesaremu dać nie oświadczyli się; ale zaręczyli, że się z nim nie złączą, i że on to ujrzawszy, musi się oddalić od nich. Pokój więc, i cała nasza wyprawa skończyła się bez przelewu krwi. Kaptagajcy przyznali się, że Kenesary do nich przysyłał, i że chwiali się w swojéj wierności.

Wieczorem herbata dla jusuńskiéj arystokracyi i naszych starszych sułtanów. Po niéj rakiety, muzyka i wystrzał z działa: co wszystko w zachwycenie ich wprawiało.

N. B. Ali ciągle mówi przenośnie; między innémi rozmowami rzekł jenerałowi: « Kiedy przychodzimy nad wodę, przebyć jéj nie możemy bez jakiéj łódki; wchodzimy na nią z obawą, lecz wsiadłszy w nią, powierzamy się jéj, i płyniemy; tak i my, szukamy brzegu — znaleźliśmy łodkę: ty jesteś nią — powierzamy się tobie i płyniemy.»

Zauważano, że tylko arystokracya kirgizka odbywa

modlitwy mahometańskie, lecz i z nich nikt nie rozumie wyrazów arabskich : prości zaś Kirgizy nie modlą się. Urunbaj zabawił nas przy kolacyi, wychwalając oficera kozackiego, że jest roztropny i ma 9 werszków wzrostu. Wieczorem pisałem do brata.

XIV

Znad Sarym-sakty, 4 lipca. (Do brata.)

Znalazłszy znowu zręczność przesłania mego listu do Ajaguzy, z radością chwytam pióro by was wszystkich przycisnąć do mego serca i cokolwiek donieść o sobie. Nie wątpię, że poprzednie moje listy z Ajaguzy i ostatnie z Oj-dżau-tau, dawno już są w waszém ręku; wiecie więc, że po sześciodniowéj konnéj podróży przybyłem szczęśliwie na brzegi Lepsy. Szesnasty dzień jesteśmy w tym pięknym kraju, który byłby jeszcze piękniejszy dla mnie, gdyby choć jedno słówko przyleciało znad Niemna zaspokoić mnie o zdrowiu was wszystkich. Ale podobno szczęście to nie spotka mię tutaj, gdyż za dwa dni opuszczamy góry Ała-tau, w któ-

rych skończywszy nasze poruczenie, jedziemy mimo jeziora Ała-kul na wyżyny Tarbogataju, gdzie koczują teraz Tumińcy i Bułatczyńcy, Kirgizy ajaguzkiego okręgu. Po skończeniu u nich popisu ludności, koni i bydła, zbliżymy się znowu ku Ajaguzie, i może nawet na dzień jeden do niéj wstąpimy. Tymczasem, w oczekiwaniu na wasze listy, oczy wypatrzyłem na ścieszkę wydeptaną stopami wielbłądów, która jak wąż wije się po górach i jest jedyną drogą łączącą mój oddalony zakątek z Ajaguzą, ostatnim punktem w stepie do którego przychodzi poczta z Omska. Wybaczcie mi, że pomimo najszczerszych chęci, zaledwie w kilku słowach mogę wam zdać sprawę z tego wszystkiego, co sam robię i co się przedstawia moim oczom. Może zimą, wróciwszy do Omska, obszerniejszémi listami będę mógł to wynagrodzić.

W chwilach wolnych od zatrudnień zwiedzamy okoliczne góry, rzeki, źródła, mogiły, auły, i na każdym kroku znajdujemy przedmioty lub widoki, które na zawsze zostaną w mojéj pamięci. Przejażdżki te wprawdzie połączone są z wielkiémi trudami, gdyż wszędzie kamienie, skały i miejsca, na które można tylko wdrapać się na tutejszych koniach, i to często z wielkiém do prawdy podobieństwem, że koń i jeździec polecą w przepaść bezdenną; ależ za to co za rozkosz, kiedy po przebyciu stu niebezpieczeństw, wjedziesz na jaką górę wyższą od innych, i z jéj szczytu ujrzysz pod swémi stopami krajobraz godny Alp i Apenin. W ciągu tych wypraw, koń mój cudów prawie dokazywał: wnosił mnie na olbrzymie góry, sprowadzał z gór spadzistych

na najgłębsze doliny, śmiałym krokiem stąpał ponad przepaściami po wązkich ścieszkach, któremi się tylko przemyka marał lub archor, i raz, raz tylko jeden, skacząc ze skalistego brzegu w rzeczkę o dnie kamienistém, potknął się i upadł podemną; za powściągnieniem jednak tręzli, powstał w oka mgnieniu, i jakby wstydząc się swojego upadku, piorunem przeleciał pieniący się nurt rzeki, wskoczył na jéj brzeg przeciwny i w kilka sekund połączył mnie z towarzyszami. Ja, dzięki Bogu, nie poniosłem najmniejszego szwanku i całą nieprzyjemnością tego *salto mortale* było zamoczenie czambarów. O! gdybym takiego konia mógł mieć na stare moje lata w rodzinnéj stronie, nie oddałbym go za wszystkie perskie, tureckie i arabskie rumaki; a tu, wiecie jaka jego cena? — zapłacony 50 rubli asygnacyjnych. Na nim jeździłem i na polowanie.

Kirgizy tyle mi nagadali o mnóstwie niedzwiedzi i tygrysów koczujących w tych górach, że ich « kop aju, kop dżołbars » budziło mnie ze snu i zapalało serce niepowściągnioną chęcią walczenia z niémi. Sułtan Rustem rozpowiadał mi nawet, jak raz spotkawszy się z tygrysem, tak go tęgo poczęstował w nos ajbałtą, że ten padł przed nim jak długi. Zebrawszy się więc w dziesięciu, o 2[iéj] godzinie w nocy wyruszyliśmy z miejsca. Miałem na sobie dubeltówkę i parę pistoletów czerkieskich za pasem. Noc była gwiaździsta. Powszechną cichość przerywał tylko szmer Lepsy i głos przepiórki. Z cygarami w ustach, jechaliśmy w uroczystém milczeniu, doliną zarosłą gęsto truskawkami.

O 3[ciéj] stanęliśmy u namiotów sławnego z męztwa i siły sułtana Baraka, prawnuka chana Abulfaiza, który obiecał nam dać za przewodnika swego strzelca Kirgiza. Widok obozu jego był nader malowniczy: wokoło łuki, strzały, piki, ajbałty, a on sam, czysty obraz jakiego naczelnika rozbojniczéj bandy w Apeninach. Wziąwszy przewodnika, zaczęliśmy się zagłębiać w coraz wyższe góry, zapuszczać się w wąwozy ciemne jak noc i z wielkim trudem przebywać pichtowe lasy, oplątane humieliną i różnémi krzewy. Nikt z nas tego dnia nie widział wschodu słońca, bośmy ciągle błąkali się po miejscach nieprzystępnych dla jego promieni. Tak cały dzień strawiwszy na śledzeniu dzikiego zwierza i nie znalazłszy nic więcéj, prócz kilku świeżych legowisk niedźwiedzia i dzika, strudzeni i spoceni wróciliśmy do naszych aułów z tém przekonaniem, że tygrys jestto bajeczny zwierz, taki jak Centaur lub Fenix. Co nas jeszcze bardziéj utwierdza w tém przekonaniu, to to, że i p. Jacquemont, który całe Indye wzdłuż i wszerz przejechał, i który chciał jeszcze widzieć tygrysa swobodnego, nigdzie się z nim spotkać nie mógł. Niech więc kochana Mama cieszy się, że ten zwierz nie exystuje na świecie, gdyż w przeciwnym razie spotkanie się z nim, mogłoby nie tak poszczęścić się każdemu jak sułtanowi Rustemowi, i niech niebardzo gniewa się na mnie, że raz w życiu narażałem się na niebezpieczeństwo bez potrzeby; lecz przyznam się, że w tym razie chciałem zawstydzić Anglików, którzy w Indyi wlazłszy sobie spokojnie na słonia, siedząc pod palankinem, otoczeni całym arse-

nałem broni, paląc cygara, jedząc bifsztyk i ochładzając się wodą sodową, z wszelkiém bezpieczeństwem strzelają do zwierząt, z któremi oko w oko zmierzyć się nie mieli dosyć odwagi.

5 lipca 1846.

Wstaliśmy rano. Chłodno do 7éj godziny, późniéj upał. Ruch wielki w całéj okolicy: zarznięte bydło, owce, konie, gotują się w kotłach na bajgę. Kirgizy latają na wszystkie strony. O 10éj była rewia kirgizkiego wojska. Wprzód jeszcze przyjechał bij, nasz baszczi, cały uzbrojony i ze swojém znamieniem, które zatknął w ziemię niedaleko jurty jenerała i sam przy niém stanął, a dobywszy pałasza, trzymał go zdala przed sobą. Gdyśmy chcieli z nim mówić, powiedział, że na służbie się nie gada; a gdy zrobiliśmy uwagę, że rewia jeszcze nieprędko nastąpi, rzekł: « Umrę, a nie zejdę. » Potniał stary, a stał. Nareszcie, gdy się wszyscy zebrali, wyszedł jenerał i stawiły się przed nim szyki każdéj włości pod wodzą swoich sułtanów. Witano ich trąbami. Po krótkiéj przemowie ze strony jenerała i oświadczeniu gotowości do boju z ich strony, wleciało kilkuset jezdzców na plac. Komenderował nimi paradnie wystrojony sułtan Barak, który na zakończenie manewrów wystrzelił ze swojéj turki (gwintówki), przepraszając jenerała, że u nich taki zwyczaj. Kunanbaj perorował zpod parasola, Siuk stał przy jenerale. Gdy jenerał dał bijowi pozłacaną tabakierkę, ten podziękował mu modlitwą za niego i za cesarza.

Doczekaliśmy się nareszcie listów: odebrałem od matki, brata, szwagra i innych.

Kisajewcy przysłali posła z prośbą, aby ich oszczędzić. Widać nasi rozpuścili pogłoskę, że te wszystkie przygotowania są na nich. Jenerał kazał dać im odpowiedź, że jeżeli usłyszy jeszcze o ich napadach i grabieżach, ruszy wszystkich Kirgizów i zniszczy ich doszczętu.

Upał straszny. O 4ej bajga.

(Obszerne opisanie téj bajgi i uroczystości całodziennéj, znajduje się w następującym liście, który tu umieszczamy, chociaż jest z daty późniejszéj; był bowiem pisany dopiéro 13 lipca, u podnoża gór Targobotajskich nad brzegiem rzeki Kara-su. W Bibliotece Warszawskiéj wydrukowano go pod mylnym napisem : *Oj-dżau-tau,* w górach Ałatauskich, 27 czerwca.)

XV

Znad Kara-su. (Do matki.)

W ostatnim liście pisanym znad brzegów Sarymsakty, uskarżałem się na długą przerwę w naszych europo-azyatyckich rozmowach, stanowiących jedyne szczęście, jakiém mi los cieszyć się pozwolił. Już zbliżała się chwila opuszczenia olbrzymiego Ała-tau; już straciłem nadzieję otrzymania droższych dla mnie nad wszystko wieści o zdrowiu waszém, gdy w tém, zwrócone moje oczy ku wierzchołkowi góry stojącéj na drodze do Ajaguzy, ujrzały pył i wkrótce potém kozaków spuszczających się na dolinę. Każdy z nas pobiegł na ich spotkanie, lecz wątpię czy kto wrócił pod swą jurtę z taką radością, jak ja, otrzymawszy list Mamy. Zaspokojony o jéj zdrowiu i reszty rodziny, zapomnia-

łem o wszystkiém co mię boli, i z weselszém sercem żegnałem kirgizkie Alpy, w których kilkanaście dni najprzyjemniéj przepędziłem i które przenosiły mię co chwila w błogie czasy podróży mojéj po Szwajcaryi i Italii.

Siedemnasty rok temu, znajdując się w Medyolanie, opisywałem Mamie igrzyska ludu, odbyte przy mnie na obszernéj arenie amfiteatru, pod błękitnym namiotem lombardzkiego nieba, w obec kilkunastu tysięcy kobiét i dziewic znad czarownych wybrzeży Como i Lago-Maggiore; dziś rzucony losem w odległe i nieznane Europie strony, skreślę, o ile mi czas pozwala, kirgizką bajgę, któréj byłem świadkiem w Dzite-su, to jest w siedmiorzecznym kraju.

Noc pokrywała jeszcze gęstym lasem obrosłe boki niższych piętr Ała-tau, kiedy już kilka dziesiątków baranów, bydła i koni padło pod nożem rzezników. Po cztérykroć w pięćdziesięciu kotłach gotowano mięsiwo, przeznaczone dla gminu. Bucharski kucharz urządzał pilaw z baranią tłustością, kiszmyszem i urukiem : pokarm wyższéj tylko klasy Kirgizow. W ogromnych skórzanych sabach i tursukach, z sąsiednich aułów zwożono kumys i ajran. Nareszcie wstało słońce i w całym blasku piękności uśmiechnęła się dolina, skropiona wodami pięcioramiennéj Lepsy, szumiącéj w cieniu stuletnich topoli. Z wierzchołków gór, z wąwozów, z każdego zakątka zaczęli ściągać się Kirgizy na swych małych, lecz dzielnych koniach, w różnobarwnych ubiorach i różnokształtnych czapkach i kołpakach. O 9éj, bij poważny wiekiem, odziany w kol-

czugę, przyjechał przed jurtę pogranicznego naczelnika i zsiadłszy z konia, zatknął w blizkości jéj chorągiew, obok któréj stanął na straży z dobytym pałaszem. Wkrótce na plac otaczający nasz oboz, z krzykiem rozdzierającym uszy: Aj gaj! i w największym nieporządku wleciało trzystu zgórą jezdzców uzbrojonych w piki na piętnaście stop długie, turki, mułtyki (strzelby), ajbałty, czopary, sujuły, łuki, i t. p. Dziczy téj przewodził sławny kirgizki batyr, sułtan Barak, mąż swoją postawą i twarzą przypominający dawnych hetmanów Zaporoża. Żylastego karku jego, żaden mistrz sprawiedliwości ściąćby nie zdołał. Cały jak z granitu wyciosany, w siedemnastym roku podnosił już głaz ogromny, leżący na mogile swego przzodka, a dziś w trzydziestym piątym, jedną ręką dźwiga forteczne działo wraz z kołami. Za pięknych dni swoich zebrawszy pięć tysięcy Kirgizów, zbił na miazgę Jusunów, ród Wielkiéj Hordy; w jednéj rozprawie sam siedmiu nieprzyjaciół położył trupem, a w roku przeszłym napadnięty przez trzech zbrojnych barantarzy, nie mając nic prócz kamczy, tak ich dzielnie poczęstował, że ledwie z życiem uciekli. Dziś ten bohatér stepowy cichy jak baranek, spokojnie rządzi Siwanowcami, odznacza się ścisłym wymiarem sprawiedliwości i celuje między innymi sułtanami zdrowym rozsądkiem, wymową, a nawet nauką, albowiem umie czytać i pisać po tatarsku. Pod wodzą jego, mimo zatkniętéj chorągwi przeciągały jeden po drugim oddziały różnych rodów kirgizkich, zatrzymywały się na kilka chwil przed pogranicznym naczelnikiem, a potém

puściwszy się w cwał, pędziły na złamanie karków, wrzeszcząc z całego gardła hasło swego rodu: naprzykład, Abłaj! Kaptagaj! Agadaj! Barak!.. Gdy ostatni oddział opuścił plac przeglądu, głównodowodzący sułtan, ubrany w pąsowy chałat bramowany złotem, w bogatéj czapce bobrowéj, zdjął wiszącą przez plecy długą jak sosna gwintówkę, wykrzesał ognia i zapaliwszy lont, wystrzelił z niéj na cześć rządcy Średniéj Hordy. Potém rozdzieliwszy swe wojsko na dwie połowy, dał nam obraz kirgizkiéj bitwy, odznaczającéj się dziwnym nieporządkiem i wrzaskiem, który przywiódł mi na pamięć te dwa wiersze z Walter-Scota:

Jakby djabłów trzoda wściekła,
Zaszczekała rykiem piekła.

Długo okoliczne góry odzywały się echem téj bitwy wpółdzikiego ludu. Tymczasem nadeszło południe, a z niém upał niedozwalający wychylić się z jurty. O godzinie 4[éj] zaledwie mogliśmy wyjechać na miejsce przeznaczone dla bajgi. U podnoża olbrzymiéj mogiły usypanéj z kamieni, kryjącéj zwłoki niewiadomego Kirgizom bohatéra, stało kilka jurt okazałych swoją wielkością i ozdobami, a obok nich w pośród pik symetrycznie zatkniętych w ziemię, kilkadziesiąt namiotów różnego wzrostu i koloru. Krocie Kirgizów okrywały mogiłę i całą przestrzeń zakreśloną dla igrzysk. W głównéj jurcie wysłanéj kobiercami i malowniczemi tekimetami, siedziała kołem arystokracya Średniéj i Wielkiéj Hordy. Po odmówionéj przez ośmdziesiąt-

letniego mułłę modlitwie, zaczął się traktament. Herbata, pilaw, baranina, kumys szły z kolei jedno po drugiém. Tymczasem z osobnéj jurty napełnionéj po wierzch prawię stosami końskiego i innego mięsiwa, dwudziestu Kirgizów bosych i wpół nagich, o miedzianéj piersi i twarzy, roznosiło dla gminu pokarm, z którego w okamgnieniu kupy tylko kości pozostały. Głodniejsi albo łakomsi kładli w zanadrza łeb barana lub nóżkę kobyły, upominając się o udział w powszechnéj biesiadzie po razy kilka. Tu krzyk, wrzawa, rwetes niepodobny do opisania : tam przeciwnie, poważne grono sułtanów i bijów, jak gdyby koło senatorów dawnego Rzymu, siedziało z całą godnością właściwą swemu wiekowi i znaczeniu w narodzie. Nie było tu prawie żadnéj rozmowy, albowiem całe zgromadzenie przysłuchiwało się improwizacyi młodego i przystojnego trubadura. Wieszcz ten z ojca i dziada, jak bard kaledońskich klanów, w dziesiątym już roku życia opiewał każdy przedmiot, który się jego oczom przedstawiał, a dziś wzbogacony wiadomościami, jakich mógł nabyć w stepie, pełen imaginacyi, z niesłychaną łatwością i wprawą, śmiałym i natchnionym głosem śpiewa po kilka godzin z rzędu w przedmiotach ważniejszéj treści; cały zajęty swoją improwizacyą wpada w zachwycenie prawie, a wszyscy słuchają go z uniesieniem. Głośne barekieldy! barekieldy! przerywa tylko jego śpiewy, i nim wyjdzie z jurty, konie i chałaty, zamiast laurów wieńczą skroń poety. Imie jego Urunbaj — lecz dość o nim.

Przypatrzmy się teraz konnym wyścigom. Oto na

pagórku wbita pika, oznacza początek mety; drugi jéj koniec o wiorst dziesięć : meta do przebieżenia niewielka, zwłaszcza dla kirgizkich biegunów, ale trzeba lecieć tam i napowrót po kamieniach, górach, wąwozach i to w upał, z którym tylko libijski walczyć śmiałby o pierwszeństwo. Dwudziestu malców na dwudziestu białych jak śnieg ałatauskich koniach, puściło się w zawód. Tuman kurzawy zakrył ich w oka mgnieniu przed naszémi oczyma : chwilkę tylko mignęli na szczycie przyległéj góry i jak błyskawica zniknęli. Nastąpiło powszechne, niecierpliwe oczekiwanie powrotu; lecz nim upłynęła godzina, znowu na górze mignął orszak lecących pygmeów i jak lawina spadł na dolinę. Znowu tuman kurzawy zakrył w swym ciemnym obłoku i jeźdzców i konie; lecz już blizko meta, już ich widać : któż z nich piérwszy dobieży piki? Wszystkich oczy zwrócone ku nim, wszystkich myśli zajęte jednym tylko przedmiotem: wygraną. Nakoniec staje u mety spieniony rumak, i okrzyk powszechny przyznaje palmę pierwszeństwa szczęśliwemu właścicielowi jego, sułtanowi Kuszbekowi, który natychmiast pierwszą pryzę otrzymał. Sułtan Buleń, bije : Tana i Kunanbaj, których konie w ślad za pierwszym doścignęły mety, mniejszych wartości pryzami cieszyć się musieli. O piątą wszczął się spór między dwóma właścicielami koni, z których każdy rościł sobie prawo do zwycięztwa; lecz wrzask okropny, jaki z tego powodu napełnił powietrze, uspokoił wkrótce sułtan Barak. Wysłuchawszy z najzimniejszą krwią obu Kirgizów, żelazną swą pięścią palnął w pysk jednemu z nich tak

dzielnie, że ten jakby piorunem rażony stanął w osłupieniu, a drugą ręką rozdarłszy na dwoje sztukę chińskiéj materyi, rzucił im pod nogi. Wyrok Herkulesa przyjęty był bez najmniejszego szemrania i apelacyi. Bajga ta zakończyła się walką o pierwszeństwo sił ciała i dostawanie zębami z misy nalanéj kumysem pieniędzy wrzuconych do niéj. Śmiech powszechny towarzyszył nieprzestannie téj ostatniéj operacyi, która aż do zachodu słońca rozweselała wyższą i niższą klasę Kirgizów. Gdy ostatnie jego promienie skryły się za góry, opuściliśmy plac igrzysk; tłumy ludu siadłszy na koń, rozpierzchły się na wszystkie strony: nastąpiła cichość przerywana tylko krzykiem orłów, kruków i jastrzębi kłócących się z sobą o szczątki narodowéj uczty kirgizkiéj; lecz i tych za nadejściem chwili modlitwy wieczornéj w naszym obozie, rozproszył w góry i lasy niesłychany tu nigdy grzmot dział i trzask rac ognistych pękających w powietrzu.

6 lipca.

Dzień przeznaczony do naszego wyjazdu. Rano jak tylko świt, począł się wielki ruch w naszym obozie. Wstałem o wschodzie słońca i po raz ostatni żegnając Ała-tau, zbierałem w pamięci com widział « czuł i myślił w tobie. » O 1ej wyszliśmy w upał, ale odświeżany wiatrem. Do Lepsy przeprowadzało nas mnóstwo Kirgizów : Buleń, Adamiat, Hakim ze znaczniejszych. Przebyliśmy szczęśliwie Lepsę, nadzwyczajnie bystrą w téj stronie, tak że nurtem swoim przewraca kamienie, i dla utrzymania się trzeba najmniéj trzem jechać obok siebie, a na wiosnę, lub podczas wylewu, ani myślić o przeprawie. W miarę podnoszenia się w góry, odkrywał się z nich przepyszny, dla nas ostatni widok na Oj-dżaj-tau, Sarym-saktę, Akanaraby i śnieżne szczyty. Chociaż wszyscy byliśmy radzi, że opuszczamy to miejsce, na którém tak długośmy stali, niepodobna jednak wyrazić téj tęsknoty, jaka mnie objęła, kiedy straciłem je z oczu : po razy kilka zwracałem się twarzą ku niemu, i zdawało mi się, że się rozstałem z najlepszym przyjacielem. Wkrótce zaczęliśmy spotykać doliny i wzgórza usłane białémi i różowémi malwami, złotą dziewanną (która mi przypominała czasy dzieciństwa), błękitną cykoryą i szafirowémi kociełkami. Nocowaliśmy nad rzeką Kargały. Wieczor ostatni z towarzyszami podróży.

7 lipca.

Wstaliśmy o pół do 3^{éj}. Już mieliśmy wyruszyć z miejsca, gdy w tém przybył Mauke i zatrzymał nas z godzinę. O wschodzie słońca pożegnaliśmy się z naszym naczelnikiem : on, z całym oddziałem pociągnął ku Ajaguzie ; my zaś, Wiktor i ja, mając przy sobie tylko piętnastu kozaków i trzech tłumaczów, udaliśmy się wkrótce ku granicy chińskiéj. Pozostało jeszcze przy nas mnóstwo Kirgizów wracających w różne swoje strony : niektórzy część drogi odbywali z nami.

Popas mieliśmy nad strumieniem wpadającym do Czynczyłów, w okolicy opustoszonéj przez niezmierne mnóstwo kobyłki (rodzaj koników polnych, po kirgizku czygertke). Ja, galopując, oglądałem się ciągle na Ałatau i rozmawiałem z tłumaczem Żerebiatiewem, który zwiedzał go ze Szrenkiem. Mówił mi on, że na górę gdzie się zaczyna Lepsa, szli od miejsca sniegów do szczytu sześć godzin, natrafiali na głębokie parowy, na wierzchu bardzo krótko wytrzymać mogli, orzeźwiając się spirytusem. Mają tam być ogromne skały, które Szrenk nazywał porfirem. Z boków skalistych widok tak daleki ku Ajaguzie, że widać nawet Arałtiube i Tarbogataj.

Postrzegliśmy człowieka na stepie. Baszczi nasz poleciał zaraz żeby go dopędzić : ten przeląkł się i daléj umykał, że aż czapkę stracił. Byłto, jak pokazało

się, robotnik pozostały wtyle za idącą karawaną. Z popasu, machnąwszy wiorst przeszło 70, przybyliśmy na noc do Sajkanu.

8 lipca.

O pierwszéj po północy wyruszyliśmy z Sajkanu, żeby nazajutrz jednego dnia przebyć pustynię bezwodną. Sami stanęliśmy na Kutinmałdach o 10éj, a wielblądy godziną późniéj. O z jakąż chciwością dorwaliśmy się do herbaty i spoczynku. O 4éj poszliśmy daléj a nasi najmany, muruny, i t. d., udali się traktem ajaguzkim. Zostali z nami tylko : Nogaj jadący w góry dla sprawy o ograbienie go na 30 jamb; Kokaniec samowtór prowadzący karawankę o trzech wielbłądach do Czuguczuka ze sznurami; Kirgiz karkaraliński, mający pretensyą do Tumińcow o trzy krowy, dla których zrobi 200 wiorst drogi; i kilku innych Kirgizów.

Szliśmy dawném dnem morza, którego bytność łatwo tu widzieć i bez Humboldta : jałowy piasek szary, szczeliny w ziemi, mnóstwo muszli. Falangi, jaszczurki, sajgi. Znaleźliśmy trzy młode kaczki w krzaku dżingilu, którego kupki rozrzucone tu po stepie, dziwnie upiękniają smutną jego jednostajność. Zieloność ich majowa przypomina igiełki cisowe, które widziałem w Karpatach.

Zrobiwszy wiorst 25, stanęliśmy nad brzegiem wy-

schłéj Dżanamy, zarosłéj wysoką trzciną, ale w jéj łożu znalazło się źródło z wyborną wodą. Palnąwszy po sześć szklanek herbaty, położyliśmy się na łóżkach żelaznych pod gołém niebem, i pomimo komarów zasnęliśmy snem bohatérskim.

Nogaj pił z nami herbatę : rozpowiadał o Dołonbaju bajdżygitońskim sułtanie, koczującym o dwie wiorsty od Czuguczuka, i bardzo go wychwalał. Namawiał nas żebyśmy byli w tém ostatniém miejscu, obiecując nas zaprowadzić do chińskiéj świątyni. Mówił także, że wielka ilość opium idzie do Czuguczuka przez Troick i Semipołatyńsk; że w roku przeszłym 200 pudów przez pierwszą, a ze 300 pewnie przez drugą komorę przemaszerowało szczęśliwie. Handel ten zyskowny nadzwyczaj, gdyż w Czuguczuku płaci się pud po 3,600 rubli, tojest 10 jamb. Sama władza czuguczucka pali opium i dopomaga do przemycania, wziąwszy chapes, naprzykład parę funtów od puda. Chińczycy tak je lubią, że rzucą przedaż towaru mogącą przynieść im 1,000 jamb zysku, kiédy tylko nadchodzi chwila palenia tego specyału. Chleb u nich bez soli i masła, ale na żądanie robią i taki. Był on i w Kuldży, gdzie kobiéty niesłychanie rozpustne.

9 lipca.

Ruch w obozie : juczenie wielbłądów zbudziło mnie

o 3ej. Kiedy Amantaj budził Wiktora, ten ze snu zapytał: a jenerał czy wstał? z czego śmieliśmy się w drodze. Przejeżdżaliśmy długo przez trzciniska, a nareszcie przez Karatał, który w tém miejscu taki błotnisty i cuchnący, że zapach jego długo nam swędził w nosie. Trawa wyborna, lecz wkrótce znowu step podobny do wczorajszego i tak rozległa równina, że nazwałem ją Napoleonowską, gdyż on mógłby tu z milionem wojska wydać bój nieprzyjacielowi, mającemu takąż lub większą siłę. Jechaliśmy z godzinę po tém dnie morskiém, aż nareszcie ziemia poczęła się podnosić ku górom. Pyszny był wschód słońca nad Tarbogataj: ujrzeliśmy znowu szczyty Ała-tau i Arał-tiube. Trawa coraz lepsza, piasek żółtszy; mnóstwo jagód zwanych kyzyłna, podobnych z koloru do malin: cztéry ich razem złączonych oblepia liść nakształt sosnowego, i to w kilku miejscach jego wysokości; widok ich przyjemny, a smak słodkowodnisty. Kirgizy jedzą je gotowane, a liść palony kładą do tabaki.

O 6ej rano był już upał nieznośny, a o 9ej szczęściem żeśmy trafili na źródło Topar, bobyśmy się spiekli na węgiel. Woda wyborna i dość jéj dużo; wokoło bujne trawy, zamiast krzaków rośliny ogromne. Na wzgórzu mogiła sułtana ośmiznajmanowskiego, bija Tekupaja, który tu umarł przed trzema laty. Przy źródle znaleźliśmy świeże ślady nocowania barantarzy, którzy jednak, jak widać, nie mieli z sobą koszów i ogniska nie rozkładali. Oaza ta, o 20 wiorst dobrych od przeszłego noclegu naszego, ma ze trzy wiorsty obwodu. Spać nie mogłem dla niesłychanego upału i przeklętéj

kobyłki, która na nas co chwila krociami padała: między nią były i wielkie zielone koniki; w powietrzu cichość przerywana tylko swierczeniem tego owadu dokuczającego niemiłosiernie: nigdy w życiu nie dałem tyle szczutek.

O w pół do 3ej ruszyliśmy daléj. Upał, o jakim w naszéj Litwie wyobrażenia nawet mieć nie można, doskwierał coraz mocniéj. Było pewnie więcéj 40 stopni gorąca. Zdawało mi się nieraz, że się zapalę płomieniem, lub że dostanę pomięszania zmysłów. Z poczerniałemi od słońca ustami, jechaliśmy obok siebie w głębokiém milczeniu, gdyż niepodobna było słowa wymówić. Wiktor, który bezustannie i ledwie że nie przez sen pali cygara, utracił wszelką do nich ochotę. Sodowy proszek nieco nas orzeźwiał; ale nieznośne pragnienie zwiększało się co chwila, a do wody było jeszcze bardzo daleko. Nareszcie, o szóstéj stanęliśmy nad brzegiem rzeczki Igeu-su... Lecz jakaż była nasza rozpacz, kiedyśmy ani kropli wody w niéj nie znaleźli! Kirgizy zmienili jéj koryto dla zalania swoich niw zasianych prosem. Szczęściem, że te niwy były niedaleko.

Wegetacya w téj okolicy zupełnie inna: mnóstwo roślin, jak naprzykład mięty, grochu z białemi strączkami, dziewanny, maku, cykoryi, i t. d. Po półgodzinnéj jeździe, nagle nasz baszczy zatknął pikę, i kiedym go zapytał czy daleko woda, on mi wskazał ręką i rzekł: « tu. » Byłto kanalik, obrosły trawą, którym bystro leciała woda z Igeu-su na role leżące w dolinie. Role te uprawiają Kirgizy Bek-choży. Jest ich trzy-

dziestu i mają 200 kóz na swoje utrzymanie: żyją ajranem. Zobaczywszy nas, zrazu się pochowali, lecz przekonawszy się żeśmy nie barantarze, przyodzieli się i wyszli witając nas z radością. Mówili, że onegdaj Kisajcy w liczbie pięćdziesięciu nadbiegli: jednego z nich obdarli i samego wytłukli; oni zaś wyszli przeciwko nim prawie pół-nadzy, z obawy żeby im nie zabrali odzienia. Pędzili oni 400 koni zrabowanych u Semiznajmanów; nocowali więc wistocie na naszym popasie przy Toparze. Rolnicy ci byli u nas wieczorem: częstowaliśmy ich kumysem i sucharami. Uszczęśliwieni przyjęciem, posłali do swego kosza skrytego w jarze, po ajran kozi. Piliśmy go rozprowadziwszy wodą: wielka nędzota, trąci nieprzyjemnie, ale ochładza. Spaliśmy jak żaden król, na żelaznych łóżkach pod otwartém niebem.

10 lipca.

Wstaliśmy o 2éj i o pół do 3éj, ruszyliśmy przez kanał, potém przez drugi, różne rowy i rowki, i jechaliśmy doliną między wzgórzami Tarbogataju. Tu mnóstwo brzoskwiń (*persico*, po kirgizku badam-cza), obsypanych owocem; wegetacya coraz bujniejsza, nareszcie kilku ramionami idący Urdżiar po kamieniach. Brzegi jego okryte gęsto krzewami i tak wielką trawą, że, naprzykład, marchewnik istny las, wyższy ode-

mnie siedzącego na koniu. Zapach mięty napełniał całe powietrze[1]. Tu wjechaliśmy na dolinę obfitą w trawę, i ujrzeliśmy auły Bułatryńców i Kirżyńców. Posłani wprzód tłumacze, natychmiast kazali postawić jurtę, do któréj z wielką rozkoszą weszliśmy około 7éj godziny rano. Dorwawszy się do kumysu niewidzianego od dni kilku, wypiłem kilka czaszek, tak że i herbaty pić nie mogłem. Usnąłem zaraz; gdym wstał, powitał nas piławem, urukiem, kiszmyszem i okrągłémi sucharkami Taszkieniec, idący do Czuguczuka z dywanami, różnemi materyami, jagodami, i t. d. Kiedy nas żegnał, rzekł do Wiktora : « Grzeczne przyjęcie i twoja rozmowa tyle znaczą, jak gdybym widział twarz Cesarza. » Powiadał że część Taszkinii należy teraz do Kokanii, a reszta do Bucharyi; że pierwszą rządzi z rodu Kirgizów, długi wzrostem, Kipczak-chan, a drugą Batyr-chan, i że ciągle z sobą wojują.

O 2éj po południu, w upał cokolwiek oświeżony wiatrem, pojechaliśmy daléj. Droga jak najgorsza przez rowy i strumienie wpadające do Urdżiaru. Z przyczyny przeklętego wrzodu, musiałem jechać na teledze. Tu konie kirgizkie dokazywały cudów, przewożąc nas przez takie miejsca, przez które żaden europejski woźnica nie pomyślałby nawet o przejeździe na swych uczonych i wyjeżdżonych koniach. Daléj jechaliśmy przez niwy wybornego prosa, wiorst ze trzy. Ciągle na wzgórzach *mołły* z gliny, ze wchodem nizkim, daléj

1. Ostatnie trele słowika, atajki po wszystkich wodach w tych stronach, przepiórka (bet-pół-dak).

doliny zarosłe brzoskwiniami, tarniem i kilką gatunkami groszków. Konopie wszędzie dziko rosną. Syn sułtana Usmana przybył powitać z listem od ojca. Po zrobieniu 24 wiorst, stanęliśmy na dolinie z bogatą wegetacyą, nad rzeczką Kara-su. Kilkanaście topoli; trzy góry pojedyncze o wiorst 20 i 30 ku Chinom: za jedną z nich zwaną Kszy-tiube, o 70 wiorst ztąd Czuguczuk, a o 50 wiorst pikiety. W rzeczce marynka i maleńka jakaś rybka. W nocy nie dały nam spać komary; musieliśmy je dusić dymem.

11 lipca

Na rozświcie przywieźli Kirgizy, uzbrojeni po swojemu, dwa namioty, rybę z kumysem i barana. Deszcz. O 4éj, zaczęła się koczówka Tumińców. Naprzód koszbaszczy jechał wyznaczać miejsca dla nowego aułu; za nim szły auły długim rzędem wielbłądów, obładowanych jurtami i wszelkiém mieniem; potém owce i kozy; bydła i koni nie było, bo stada ich szły stroną dla zmniejszenia pyłu. Kobiéty postrojone eskortowały wielblądy[1]; chłopcy popisywali się na koniach około dziewcząt; reszta jechała przy tabunach. Sześć godzin ciągnęła się ta koczówka, na blizkie ztąd brzegi Ur-

1. Żona, choćby samego chana, prowadzi pierwszego wielbląda; jest to jéj prawo i honor.

dżiaru, do którego wpada Kara-su. Jestto już kraj chiński, po którym jednak koczują bez zaprzeczenia nasze Kirgizy. O 9^{éj}, na prośbę samego Usmana, przybyłego do nas z młodszym swym synem, dwunastoletnim, tłustym i dzielnym malcem o mongolskiéj, jak i cała jego rodzina, twarzy, pokoczowaliśmy o półtory wiorsty w górę rzeki Kara-su do jurty ogromnéj, wystawionéj dla nas, przez rzeczkę tylko od jego aułu. Na wezwanie jego byliśmy w jego jurcie, piliśmy kumys, herbatę i jedliśmy rodzenki. Młodsza jego kochana małżonka siedziała w jurcie, a starsza, chociaż córka sułtańska, była w drugiéj. W jurcie leżał piękny chart słaby na suchoty. Tu widziałem pierwszy raz postument (kargaułdyn-kujruk), na którym są wetknięte cztéry kity z ogonów bażancich, ustrojone w dzwonki: stawia się on na wielbłądzie sułtańskim w czasie koczówki, i za ruchem zwierzęcia dzwonki głos wydają[1]. W koszmie pokrywającéj jurtę dziura, przez którą wytknięta pika oznacza jurtę sułtana naczelnika[2]. Życie dostatniego Kirgiza prawdziwie do zazdrości. Majątek jego w kilkunastu kufrach, obszytych w koszmę białą i w mnóstwie pak obwiązanych sznurami, leżał wokoło; na nich pod sufitem prawie jurty, kilka pohrebców, ogromna saba, tursuki, długa strzelba, szabla. Pół zarzniętego barana wisiało na kieregach. W pośrodku jurty niezmięte jeszcze malwy kwitnęły obok innych kwiatów.

1. Mają go i inne Kirgizy, a możni i po kilka sztuk.

2. Może tak dawniéj było; dziś każdy Kirgiz mający pikę tak ją stawia, żeby się nie złamała: gdyż jedna, którą sam mierzyłem, miała 15 stóp długości.

W czasie naszéj bytności u Usmana zagrzmiało i deszcz poszedł ulewny, lecz trwał tylko kilkanaście minut. Powietrze po tylu dniach spieki cokolwiek się odświeżyło: wkrótce wrócił upał, ale że wiatr zawiał, z rozkoszą odetchnęliśmy po trudach podróży w naszéj jurcie ogromnéj. Nie znam przyjemniejszego uczucia nad to, jakiego się doznaje wszedłszy po tylu dniach męczarni do jurty, zwłaszcza po oblaniu się chłodną wodą, lub wykąpaniu się. W téj chwili czuję się tak zadowolonym, jak nigdy nie byłem za powrotem do ciasnych ścian komnaty : tu mam na zawołanie wiatr i wszelkie *sans gêne*, czego nie można mieć w mieście. Mało tu nawet kobyłki, i komary szanują naszą spokojność. O jak słodki sen w perspektywie! Co za kumys doskonały ! Piliśmy i wódkę pędzoną z kumysu w kotle; ale dziwnie licha i niesmaczna. Usman widząc u mnie dobrą dubeltówkę, osądził że muszę umieć i zreparować jego zepsutą strzelbę, którą mu Biełasz darował; prosił mię więc, abym mu naprawił sprężynę, którą pan sułtanic złamał strzelając sroki.

Po południu położyliśmy się spać, ale tak było duszno, że nie mogliśmy zamknąć powiek. Wtém zawył wiatr, i o mały włos nie przewrócił jurty, naprędce ustawionéj przez mężczyzn. Z wielką trudnością utrzymaliśmy ją na nogach. Nareszcie deszcz lunął, i my korzystając z odświeżonego powietrza, zasnęliśmy szczęśliwie aż do 6éj. Wstawszy, byłem nad rzeczką, w któréj złowiłem parę marynek, a kozacy kilkadziesiąt sztuk. Przy herbacie przypomnieliśmy, że w ten dzień były szkolne popisy i koniec rocznych nauk. Gawę-

dziliśmy o naszych szlachciurach — uszczęśliwionych gdy im prefekt podał w rękę treść nauk dawanych ich synkom, którą zawiozłszy do domu, rok cały późniéj czytali wraz z kalendarzem, jedyną książką biblioteki domowéj, — o Jezuitach, Zygmuntach, i t. d. Gdyśmy zasiedli do wieczerzy, wszedł Usman ze swym przyjacielem Bulatryńcem, mówił: że w tym roku raz pierwszy siedział na teledze, i że mu się słabo robiło; że Chińczycy wielkie świnie, bo w jednéj czaszy, choćby ich było nawet kilkunastu, wszyscy w tejże saméj wodzie myją się i charkają, a potém pies to wypije, i oni nie wytarłszy piją z niéj znowu. Na pytanie, dlaczego syna swego nie odda gdzie ażeby cokolwiek się przetarł, dowodził: że to na nic nieprzydatne, bo jeśli Bóg dał rozum, to mu ludzie nic nie przydadzą; i trzeba było wielkich dowodów aby go przekonać, że można cóś nauczyć się i u ludzi. Musiał go Wiktor przekonywać stearynowemi swiécami.

O swatach u Kirgizów. Gdy ci mają przybyć, przy progu jurty kopie się dół zakryty trawą. Jak tylko swaty przez próg przestąpią, dziéwki i wszystka młodzież w jurcie ciskają na nich kwieciem jak kamieniami. Ci tymczasem wpadają w dół: śmiech, hałas. Wyrządzają im różne figle: dziéwczęta ich rozzuwają, targając i łoskocząc; sadzają na krowę lub byka, czasem nawet z nagą dziéwką, i związawszy razem puszczają w step, ale pilnują wszakże, aby nie było przypadku. Bachanalia te odbywają się w nocy. Nazajutrz ich ugoszczają, biorą i dają podarunki. Przez ten czas,

panna młoda, często sześć lub siedem lat mająca, siedzi w drugiéj jurcie.

Pogrzeb kirgizki krótki. Jak tylko Kirgiz umrze, baby w jurcie straszny krzyk podnoszą. Starają się potém jak najprędzéj go umyć, zawinąć w sawan biały bawełniany (bo w płócienny nie godzi się), kupiony zwykle zawczasu w Bucharyi, i niosą do dołu wykopanego niegłęboko. Tu, kładą trupa z rękami wyciągnionemi obok ciała, a przykrywszy trawą lub gałązkami drzew, zasypują ziemią. Pominki odbywają się późniéj, w sześć tygodni, w sześć miesięcy, lub w miarę możności przygotowania się do nich.

Amantaj powiadał, jak będąc dzieckiem spał raz na stepie : wtém podpełzł do niego wilk, i już go miał porwać, gdy on obudził się, i spójrzawszy w jego ślepie, zakrzyczał. Kirgiz znajdujący się niedaleko, na krzyk ten przybiegł i strzelił do wilka, który uszedłszy z pół wiorsty, zdechł. Ów obrońca był łotrzyk, który ciągle się włóczył i kradł dziéwki : uwiozł on z sobą Amantaja i trzymał go lat parę; lecz nareszcie jeden Kirgiz karkaraliński oswobodził go i zwrócił matce.

W nocy był deszcz ulewny. Spaliśmy aż do 7éj rano.

12 lipca.

Zrana upał, o 8éj deszcz krótki; znowu upał, ale z wiatrem. Przepiórki odzywają się naokoło, zresztą

oprócz mnóstwa kawek latających ogromnemi stadami, żadnego ptastwa nie słychać. Po południu nadeszła straszna chmura z Tarbogataju : taki wiatr zawył, że ledwo nasza jurta nie poszła w step. Deszcz lunął, i zostaliśmy bez szwanku. Zaczęliśmy dziś popis ludności. Prawie całą noc grzmiało i deszcz nieustannie padał : spaliśmy doskonale, tak że trzeba było przymusić siebie do zbudzenia się i wstania. Sniło mi się, że R... przeczytał mi uwolnienie.

13 lipca.

Trzeci już dzień stoimy tutaj nad Kara-su, po 250 wiorstach podróży od Lepsy. Po lewéj stronie naszéj jurty ciągnie się południowy łańcuch Tarbogataju; po prawéj, nieobjęty okiem step, przerznięty wodami Urdżiaru, a przed nami stoją trzy pojedyńcze góry, za któremi chińskie pikiety : za niemi zaś najbliższe ich handlowe miasto Czuguczuk.

Ambo czuguczucki bierze płacy 24 jamb, nie odrzuca jednak chapcydensów.

Przyniesiono nam jabłka z Tarbogataju, niedojrzałe jeszcze : rosną one tylko na południowéj stronie gór.

Usman w rozmowie wyraził się : « Zły język wszystko brudzi, a biały ręcznik wszystko wyciera. » Łowczy ałatauski przyszedł skarżyć się, że mu kozacy nie dają kiszek od rzniętego bydła : niezmiernie był uszczę-

śliwiony gdy mu je obiecano. Kiszki te, płóczą oni trochę i przypiekłszy w gorącym popiele, jedzą za specyał.

Pisałem dziś do matki, ale listu tego posłać zaraz nie mogłem[1].

14 lipca.

Cały dzień byliśmy zajęci. Upał porządny, ale nieco wiatru. Powietrze czyste pozwalało dobrze widzieć Tarbogataj : cały z kamienia, a plamy na nim, to zarośle lasu. Kirgizy mówili nam, że przed kilkadziesiąt laty w blizkości naszéj jurty stał dawny Czuguczuk, przeniesiony z powodu mnóstwa much i komarów. Ma być jeszcze na tém miejscu kamień młyński.

15 lipca.

Cały dzień liczyłem bydło, barany, i t. d. List od Dołonbaja, tuszem pisany. Ma on, jak mówili Tatarzy bardzo go wychwalający, « kamień w głowie », co znaczy, że jest urzędnikiem honorowym w Chinach.

1. List, Nr XV.

Mówili także, że on życzyłby przejść ze swémi Kirgizami pod panowanie Rossyi.

16 lipca.

Skończyliśmy popis ludności : pokazało się jéj do sześciu tysięcy płci obojéj. Koni 10,000, bydła do 4,000, baranów 62,480. Mieszkańcy uskarżali się na wielki upadek tych ostatnich i na zabor koni przez Kisajców.

Władza Usmana, jak widać, niebardzo straszna, gdyż przygotowania nasze do wyjazdu nie idą cóś z wielkim pośpiechem. A jednak, kiedy on podał się był do odstawki, Kirgizy nikogo innego wołostnym mieć nie chcieli, i musiał pozostać. Lubią go dlatego, że jest możnym przez siebie, swych krewnych i liczne stosunki, a umie silnie zastawiać się za swych podwładnych; ale kiedy idzie o spełnienie jakiego rozkazu jego, każdy ociąga się do ostatniéj chwili.

Dziwna ochota u Kirgizów do włóczenia się po stepie. Barak, naprzykład, zaniedbawszy rządy swojéj włości i gospodarstwo, długo jeździł z nami; dziś jedzie do Kisajców i Bajdżygitców w cudzych sprawach, a stary bij Bijbit wszędzie ciągnie się za nim, nie mając nawet żadnego interesu.

Po południu, o 3éj, wyjechaliśmy od Usmana. Droga szła przez niwy prosa, które polewali Kirgizy wpół-

nadzy ze swémi kopaczkami w ręku : czyste Negry w plantacyach. Nad Urdżiarem, po zrobieniu 25 wiorst, zdybaliśmy auł i stanęliśmy na nocleg. Kirgizy mówili, że w krzakach nad rzeką mnóstwo cietrzewi, a w górach Tarbogatajskich są marały, niedźwiedzie, dziki, lisy — nawet czarne, ale pośledniejszego gatunku. Auł ich po większéj części żywi się zwierzyną. Urdżiar kilkoramienny wypływa z góry Czaharaku. Oprócz téj rzeki, idą w południową stronę, Igeu-su i Katau-su, wypływające z Tarbogataju.

Odwiedzał nas starszyna z kółkiem od żony : znak ten wdzięczności daje się mężowi zrana za okazaną nadzwyczajną uprzejmość.

17 lipca.

Wyruszyliśmy o kwadrans na trzecią i długo szliśmy ciągle pod górę przez mnóstwo strumyków. Wszędzie pełno drzew brzoskwiniowych obsypanych owocem, humieliny, malw, róż, i t.d., aż do Igeu-su przerzynającéj skały i spadającéj na dolinę ocienioną topolami. Ztąd przez mniejsze góry widać Ała-kuł. Zaczęły się pokazywać sroki i ogromne stada szpaków kamiennych.

Uszedłszy najmniéj wiorst 30, po kamienistéj karawannéj drodze, natrafiliśmy na pierwsze auły Siwanowców. Jechałem pierwszy raz w życiu na inochodźcu :

koń dobry, ale niech go kaci z jego chodem. Popas przy strumieniu wpadającym do Igeu-su, w wąwozie z ogromną czerwoną skałą wznoszącą się nad opoczystą górą. Zastrzeliłem parę kamiennych szpaków, z czubkiem czarnym, z grzbietem i spodem lekko różowego koloru. Trzymając się miejsca, ciągle przelatywały masami z jednéj strony wąwozu na drugą.

Dowiedziawszy się tu od sułtana Adżi Robina, krewnego Baraka, że Semiznajmany koczują za Karakołem, niedaleko Ajaguzy, rzuciliśmy czuguczucką karawanną drogę, wiodącą przez *kotieł* (przejście między skalistémi, opalonémi od słońca górami) i wzięliśmy się wlewo, wjazdem niezmiernie przykrym na grzbiet wyżyn, z którego spuszczając się, jechaliśmy ciągle między górami mniejszego wzrostu, po dolinach wysmalonych od upałów i wyjedzionych przez kobyłkę. Wkrótce dała się nam widzieć w całéj swéj postawie wielka góra Akczauły, zupełnie prawie biała, chociaż w rozpadlinach zarosła lasem i krzakami. O półtora godziny drogi od popasu, zaczęliśmy niesłychanie trudny przejazd po skałach, ciasnémi wąwozami z piękną wegetacyą krzewów i kwiatów. Wszędzie po naszéj drodze przez Tarbogataj strumienie najczystszéj wody i co krok źródła. U wyjścia z przesmyku, spad tych strumieni był już w przeciwną stronę, brzoskwinie zniknęły i natura zupełnie insza. Spuściwszy się z gór wyższych, zjechaliśmy na piękną dolinę, którą Karakoł przerzyna. Ztąd stepem zarosłym karagajnikiem, i nakoniec przez dawne niwy, przybyliśmy do rzeki Izaman-Igeu-su, gdzie koczowiska stryjów Baraka, którzy, jak można wnosić,

z licznych stad wielbłądów, dzielnych koni i mnóstwa baranów, muszą być bardzo bogaci. Koczują osobno od swéj włości i otacza ich huk tiulengutów z różnych rodów.

Do tego miejsca zrobiliśmy wiorst najmniéj 35; ujechaliśmy więc w ciągu dnia wiorst przeszło 75 i przebyliśmy całą szerokość Tarbogataju. Na téj jego stronie płyną znaczniejsze rzeki: Karakoł, Ajaguza, Kurym, Bazak i Czykyrty.

O w pół do czwartéj rano, puściliśmy się daléj na nowych koniach. Dostał mi się kasztanek z białą gwiazdką i z takim kłusem, że mi przypomniał mojego *Baraka*, lekkością zaś biegu jeszcze go przewyższał. Zdawało mi się, że siedzę nie na koniu, ale na jakiémś piórku, i nie jadę, ale lecę. Zrobiwszy wiorst 30 po kamienistych drogach między różnémi odnogami Tarbogataju, stanęliśmy na popas przy źródle, a tymczasem wysłaliśmy Kirgizów na wzwiady o miejscu koczowisk Semiznajmanów.

Widok tego źródła wzbudził w nas żal, że lenistwo Kirgizów zaniedbuje tak drogi dar nieba. Gdzieindziéj podobne źródło byłoby ocembrowane, oczyszczone, nakryte. Kirgiz, choć go co rok w czasie koczowisk potrzebuje dla siebie, nie dba o nie bynajmniéj, zostawia jak je Bóg stworzył. Gdyby te źródła były należycie opatrzone, step miałby inną postać i pustynia inaczéj byłaby ożywiona; ale wiele jeszcze ich wyschnie i zniknie nazawsze, nim Kirgizy zechcą je małym kosztem i trudem ochronić. Dziwnie to leniwi ludzie, mianowicie bogaci, którzy wszystkie ciężary, nawet powinności

skarbowe, naprzykład podwody, zwalają na niższych. Biédak z musu całe lato jak Negr pracuje dla bogacza około roli, żyje koziém mlekiem, pali się na słońcu prawie nagi, z obawy żeby mu rabusic nie zdarli odzienia, — i cóż ma za to? Stary jaki wytarty chałat, kilka dziesiątków krutu (sérków) i garść prosa, aby je sobie posiał na rok przyszły.

Kirgiz, jeśli kradnie dziewkę, robi to zazwyczaj nie z miłości — jak mniema w swéj pięknéj powieści mój kochany Gustaw, — ale jedynie dlatego, żeby nie zapłacić za nią kałymu. Chociaż rodzina wykryje złodzieja i dopomni się o zwrót jéj albo o kałym, zawsze on dobrze na tém wychodzi; bo naprzód, najczęściéj długi czas upłynie nim się dowiedzą gdzie się ona znajduje, a on tymczasem ma z niéj wygodę i usługę, jak zwykle z niewolnicy; potém, może daleko taniéj i ratami za nią zapłacić. Nieraz zdarza się, że i czuły pan ojciec, w duszy bardzo rad, że mu córkę skradziono; gdyż uwalnia go to od kosztu na posag, wyprawę, podarunek siodła panu młodemu, ugoszczenie swatów, i t. d. Fałszywe ma ten wyobrażenie kto sądzi, że u nich znana jest miłość, jaką my pojmujemy. Nigdy tam tego niemasz, żeby mąż pieścił się z żoną po naszemu, albo żeby wziął córkę na kolana. Kobiéta u Kirgiza, w całém znaczeniu niewolnica: kiedy mu się podoba, woła ją jak psa do łoża, i na tém koniec; sprzykrzy się jedna, bierze drugą; tą się nasyci, jeśli bogaty, kupuje sobie trzecią, i tak daléj. Z tych różnych małżeństw rodzi się mnóstwo dzieci; jakże do nich wszystkich mieć przywiązanie, zwłaszcza, że przy częstych włoczęgach mał-

żonka, prawowitość ich niezawsze pewna. Wiadoma bowiem jest łatwość Kirgizek, i nie może być inaczéj w takim stanie ich stosunków z mężami.

Oprócz różnych chorób na biédne owce w stepie, często je niszczy tak zwany *tupałan*. Owca zupełnie zdrowa skubie sobie trawę; wtém nagle zamyśla się, okręca się wkoło, pada, drgnie nogami, i już po niéj. Choroba ta najczęściéj zjawia się latem i niekiedy po kilkaset sztuk na dzień zabija. U jednego Kirgiza, z dwunastu tysięcy owiec zostały tylko dwie maciory i jeden *kałtur* (baran). Kirgizy mają uprzedzenie, że w razie takiego *dżiutu* (upadku), potrzeba wezwać człowieka innéj wiary, któryby się pomodlił i pokropił barany wodą. Wiktor był raz wezwany do jednego aułu w tym celu, a chociaż tłumaczył się, że nie jest lekarzem i żadnego środka zaradzenia złemu nie zna, nic to nie pomogło: musiał modlić się i kropić. Trochę ocalało, ztąd bardziéj jeszcze ugruntował się przesąd.

Konie u Kirgizów najwięcéj zdychają z głodu i chłodu. Około wielbłądów, które są delikatniejsze (może dlatego że żyją w klimacie miewającym ciężkie zimy), chodzą bardzo starannie. Skoro się wielbłądziątko urodzi, okrywają je koszmami i nie pokazują nikomu z obawy uroku. Widziałem wczoraj starego wielbłąda dotkniętego jakąś słabością; leżał biédny na trawie z wyciągniętą szyją, którą co chwila ruszał z wyrazem boleści w oczach. Kosztowny namiot był rozpięty nad nim; kobiéty pielęgnowały go troskliwiéj, niż zwykle pielęgnują swoje dzieci, które jak małe Murzynki albo małpięta, hodują się sobie w stanie natury.

Doczekawszy się wieści o blizkości aułów Semiznajmanów, w wielki upał pojechaliśmy daléj. Ciągle rozbite w drobne szczątki kamienie pokrywają doliny i wzgórza. Przecięliśmy naszą drogę z Ajaguzy na Kutynmałdy, i wkrótce ujrzeliśmy na odległéj górze Kirgiza, który chcąc nam dać p oznać że naszoczył, zaczął kręcić się wokoło. Jestto znak wiadomy w stepie. Natychmiast polecieli ku niemu tłumacze, i zaraz dowiedzieliśmy się, że to był przewodnik, przysłany od sułtana Utiepa, wołostnego Semiznajmanów. Pociągnęliśmy za przewodnikiem i przybyliśmy do jego aułu na uroczysku Terekty, w dolinie przerzniętéj rzeczką, wśród gór nagich i tylko na pochyłościach okrytych karagajnikiem.

19 lipca.

W nocy zerwał się wiatr nagle i rozkrył nasz tunduk, tak że całe niebo przedstawiło się moim oczom jak ponad Panteonem rzymskim (który zupełnie podobny do jurty kirgizkiéj). Było chmurno i zdawało się że deszcz spadnie; ale przed rankiem wiatr ustał i znowu upał. O ósméj, miałem piękny widok tabunów koni, cwałem lecących pić do rzeki.

Wysłany wczoraj Kirgiz do Ajaguzy, przywiozł nam kupę listów. Ja, otrzymałem od brata i wielu przyjaciół. Co za szczęście mieć świeże wiadomości od drogich

osób, w stepie dzikim: nigdy takiéj radości z odebranych listów nie doświadczałem w Omsku. Znajomi nasi przysłali nam z Ajaguzy ogórków (kijar), sucharów, parę bułek chleba, butelkę octu i słoik musztardy. Ogórki, a szczególniéj chleb tak oddawna niewidziany pod naszą jurtą, wprawiły mię w zachwycenie!

Z powodu niedołężności sułtana Utiepa, starszyna Tanyzbaj ma wielki wpływ i rządzi prawie włością. Na jego zaskarżenie o nieposłuszeństwo, Wiktor kazał wziąść jednego Kirgiza w areszt, podług zwyczaju stepowego, któryśmy pierwszy raz widzieli. Kozacy postawili w kozły cztéry sztuki broni i między niemi posadzili obżałowanego; jeden z nich, chodząc z dobytą szaszką, straż odbywał. Nazywa się to u Kirgizów, siedzieć pod czarną piką (kara-naiza). Bardzo się téj kary boją i wstydzą. Areszt, naprzykład, syna Bek-sułtana, chociaż ten siedział tylko na odwachu w Oj-dżautau, ma odgłos po całym stepie. Kiedy Kirgiz, za wstawieniem się samegoż starszyny, został uwolniony, podziękował Wiktorowi, ale na starszynę ani spójrzał: będzie on jemu długo pamiętał wstyd (nat) jakiego doznał wobec licznie zgromadzonych ziomków.

Zaszła znowu skarga od starszyny na innego Kirgiza o nieposłuszeństwo. Wiktor gotów był mu przebaczyć, jeśli starszyna przebaczy. Kirgiz, złożywszy ręce na piersiach, kląkł przed nim i ciągle powtarzając « kułduk » (co znaczy razem i dziękuję i przebacz), prosił żeby mu « przeciął winę. » Wyrażenie to pochodzi z następnego zwyczaju. Gdy dwóch Kirgizów ma spór o co, przychodzą do bija, żeby ich rozsądził. Skoro on

wyda wyrok, wtedy strony sporne biorą sznurek, i trzymając za końce, podają mu go do rozcięcia, na znak, że sprawa rozstrzygnięta. Tą razą Tanyzbaj nie chiał przeciąć sprawy i prosił, żeby z oskarżonym postąpić « po rossyjsku. »

20 lipca.

Z powodu silnego wiatru, zagrażającego naszéj jurcie, w liczbie bab przyszła ściągać ją sznurami jedna z trzech żon pana sułtana, i spójrzawszy na mnie, zapytała, czy przypominam ją sobie. Pierwszy raz widząc ją w oczy, odpowiedziałem, że nie miałem honoru jéj znać, bo nigdy dawniéj nie odwiedzałem aułu jéj małżonka. « A przecież trzy lata temu darowaliśmy ci skórkę źrebięcą, » rzekła sułtanowa z największą pewnością. W żaden sposób nie zdołałem jéj przekonać, że przed trzema laty nietylko u nich, ale nawet w ajaguzkim okręgu nie byłem. Musiał jakiś Urus[1], długi jak ja, korzystać zręcznie z łask obojga państwa sułtaństwa, a ja zostałem pod zarzutem niewdzięczności... Śmieliśmy się długo z tego zdarzenia.

Kirgizy zaczęli zbierać się ledwo o dziewiątéj zrana, chociaż kazaliśmy im zjechać się o świcie, i Utiep nas zaręczał że będą *irteń-irte*. Nic trudniejszego maję-

1. *Urus*, tojest Rus, Rossyanin. U Kirgizów każdy przybyły do nich Europejczyk, Francuz, Niemiec, i t. d., zawsze Urus.

tniejszemu Kirgizowi jak wstać rano. Bogaci, dłużéj od naszych elegantek miejskich, wylegają się pod swojémi bucharskiémi kołdrami; biédni tylko robotnicy, stróże tabunów i kobiéty, na których karku największa część pracy, nie mają czasu spać długo.

21 lipca.

Całą prawie noc deszcz padał. Monotonny tętent kropel po dachu naszéj jurty dzielnie przyczyniał się do snu. Znudzeni całodziennym wczorajszym zgiełkiem, odpoczęliśmy wybornie. Kirgizy bogatsi, bardziéj niż ubodzy, tają prawdziwą liczbę swojego bydła i starają się podać do zapisu mniejszą. Jeśli któremu z nich umarł ojciec, boi się wymienić jego nazwisko, żeby czasem nie położono go na tabellę podatkową.

O drugiéj wrócił posłaniec z Ajaguzy, i znowu z ogórkami; przywiozł nam pakę listów. Niemasz czasu odpowiedzieć na nie: trzeba liczyć barany.

22 lipca.

Zaledwie wzięliśmy się do czynności, kilkadziesiąt krów otoczyło naszą jurtę. Ponieważ Kirgizy żalili się

na ich upadek, i odpowiadali zawsze że ich nie mają, *topte ohok*, powiedzieliśmy im, iż zapewne te krowy przyszły ze skargą na Utiepa i mówią : ma on z nas mléko, łój, i za skórę każdéj po pięć rubli bierze; nie jesteśmy gorsze od baranów i koni, a jednak nas nie zapisuje, i lękamy się, żeby rząd, zwróciwszy uwagę na to, nie kazał nas zapędzić do Syberyi. *Dictum* to niezmiernie podobało się Kirgizom: śmieli się serdecznie; ale oświadczyli, że te krowy przyszły z sąsiedniego aułu i są już zapisane, co *po sprawce* okazało się prawdą.

Zadziwiła nas pamięć jednego Kirgiza, który za stu może dyktował bydło, i ani razu się nie omylił co do liczby zapisanéj w rejestrach ostatniéj lustracyi.

Pod wieczór zgromadziły się chmury, błyskało, szumiało, ale skończyło się na tém, że noc zrobiła się czarna jak atrament. Gospodarz nasz, ostrzeżony że się barantarze niedaleko pokazali, rozesłał na wszystkie strony rozjazdy i umocował straż tabunu. Wszystko było skupione, a stróże śpiewali i krzyczeli na czém świat stoi. Nareszcie, jednym razem, okropny wrzask powstał; Kirgiz nasz poleciał do tabunu, a my, wyskoczywszy z jurty, kilka razy strzeliśmy na wiatr dla postrachu. Dowiedzieliśmy się wkrótce, że dwóch podkradało się pod tabun, ale przyjęci śmiałym odporem, drapnęli w nogi. Jeden ze straży wszakże został raniony.

23 lipca.

Skończywszy popis, w skutek którego okazało się do 4,000 ludności, 15,000 koni, bydła z przyczyny upadku nader mało, a baranów przeszło 80,000, wyjechaliśmy o godzinie 11éj. Zrobiwszy najmniéj 35 wiorst po drodze usypanéj rozbitémi na drobne i grubsze kawałki kamieniami, tak ostrémi niekiedy, że konie szły jak po szkle i często się potykały, stanęliśmy w aule Siwanowców przy źródle blizko wysokiego wzgórza kamiennego, zwanego *Berg-kara*, to jest twarda czarna góra. Jadąc, z jednéj wyżyny widzieliśmy Ajaguzę o kilkanaście wiorst odległą. Przejazd nasz liczą Kirgizy na półtory koczówki; ale koczówka jest wielka i mała: pierwsza, od 25 do 30 wiorst najwięcéj; druga, kiedy pędzą jagnięta, nie wynosi nad wiorst 15 lub 18.

Za przybyciem, dowiedzieliśmy się, że barantarze przeszłéj nocy, nie mogąc nic wskórać u Semiznajmanów, zachwycili tu kilkanaście koni.

Przybył kawaler po panienkę i stanął opodal aułu pod pięknym, białym w błękitne pasy namiotem. Zastanowiły nas krosna, na których robią się kobierce. Jestto osnowa z wązkich pasem rozpięta na ziemi, a kobiéty zaszywają je jak kanwę igliczkami. Widzieliśmy tu bardzo ładną, dwunastoletnią dziewczynę: dziwnie biała, z oczyma rzadkiéj piękności; ale jéj pochodzenie wielce podejrzane, bo oczy szafirowe i nie ukośne.

Wieczorem odwiedził nas poeta Tiubek. Przed siedmią laty miał on wielką sławę u Kirgizów i pieśniami swémi zrobił był sobie znaczny majątek; ale choroba zniszczyła go zupełnie; przyszedł do ubóstwa i nikt z ziomków o nim nie pamiętał, jeden tylko Barak darował mu wielbląda, który stanowi cały jego dobytek i służy mu do przewożenia nędznéj jurty w czasie koczówki. Kiedy Urunbaj jedynowładnie panując na Parnasie kirgizkim, zbierał obfite laury (chałaty i konie) w Ajaguzie, Barak chciał do walki z nim o palmę postawić swego ziomka Siwanówca i sprowadził był Tiubeka; ale znękany cierpieniem i wybladły wieszcz, musiał być tylko niemym świadkiem tryumfów swego współzawodnika, bo głos i pamięć utracił. Pytaliśmy się go, jak on sam uważa siebie w porównaniu z Urunbajem. Bez wahania się odpowiedział, że tak wyższa klasa jako i lud przenosi go nad Urunbaja; bo tamten wyuczył się tylko ich historyi świętéj i śpiewa stare rzeczy, on zaś maluje Kirgizów takich, jakimi są dzisiaj. Przyszedł nieborak żalić się nam, że mu jedynego wielbląda jego zabierają *w podwody*. My téż ze wspaniałomyślnością Alexandra Wielkiego, który kazał oszczędzić dom Pindara — podobno, oświadczyliśmy jemu, że przez szacunek dla jego talentu, wzbronimy brać wielbląda. Niezmiernie to go uradowało, i odchodząc prosił o kąwałek cukru. Biédak, miał głowę obwiązaną: pod płachtą dostrzegłem ślad rany, którą może w czasie jakiéj baranty otrzymał.

24 lipca.

Wstaliśmy o 4ᵉʲ zrana, i zrazu gołym, kamienistym stepem, potém wzgórzami i dolinkami spuszczaliśmy się nad rzekę Ajaguzę, któréj wody płynące w wianku topoli, wierzb i krzewów, powitaliśmy z rozkoszą po cztérdziestu dwóch dniach niewidzenia. Ranek był cudny, powietrze czyste, wczorajszym deszczem odświeżone; skowronek śpiewał i ja śpiewałem z Bohdanem:

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinach srebrzy rosa, i t. d.....

Wistocie, rosa nietylko się srebrzyła ale i złociła od promieni słonecznych. Za rzeką, w odległości przedstawiała się naszemu wzrokowi znacznie wysoka Bałto-góra. Śpiewałem sobie wyjechawszy na przód, wiersze z *Grażyny* i *Arki przymierza;* byłem w miłém uniesieniu, łzy mi w oczach stały, które jeden Bóg widział. Koń tylko męczył mię często, gdyż ciągle kręcił głową i przeciw zwyczajowi koni kirgizkich, które pod górę śpieszą ile im sił starczy, a zstępują powoli, on równie na górę jak z góry leciał jak waryat, co mi wielce było nie do smaku; spaśdź bowiem na ostre kamienie lub kolący karagajnik, wcale mi się nie chciało. Szczęściem, że po piętnastu wiorstach pasowania się z nim, stanęliśmy za Ajaguzą, tuż przy jéj brzegu na

uroczysku Udjar, gdzie zaraz przywieziono jurty dla nas, i jednocześnie przybył sułtan, a zarazem wołostny uprawa Kirżyńców, Dżaugir, syn Uwalego, który ma najlepsze konie i tak je lubi po amatorsku, że sam jest przy nich pastuchem i nigdy nie przedaje. Z sułtanem przyjechał i posłany po niego tłumacz Żerabiatiew, który od wczorajszego obiadu zrobił z nami wiorst 35, potém zaraz leciał do Dżaugira wiorst 50, i teraz z nim do nas najmniéj wiorst 30, ma się rozumieć, nie śpiąc ani godziny. Niechby się tu jaki kawalerzysta przechwalał ze swémi pochodami. Strach, ile ci tłumacze zawsze wylatać muszą!

Z niewypowiedzianą przyjemnością piliśmy herbatę z czystéj wody, i kazaliśmy ją sobie zrobić po europejsku, nie w wielkim ogólnym, ale w małym czajniku. Zasnąwszy potém kilka godzin, byliśmy w przedziwnym humorze. Kiedy na dworze palił upał straszliwy, myśmy sobie w cieniu bawili się gawędką o miłych dawnych i dalekich rzeczach. Wokoło nas góry skaliste i nagie, my w dolinie, jak w kotle wielkim, nad rzeczką, gdzie skupiła się cała zieloność i żywotność miejsca. Żadnego głosu prócz szmeru Ajaguzy, ledwo do połowy obmywającéj kamienie, między którémi w głębszych dołach siedlisko marynek. Kilka ich sztuk dużych i kilka młodych kaczek złapali kozacy. W naszéj jurcie doliny i wzgórza, trawa i kwiaty. Dziwno że Kirgizy nie dbają o tę przyjemność w swoich improwizowanych mieszkaniach. Wiktor mi mówił, że znał jednego tylko z nich, Jusupa, syna chana Nurali, który umyślnie szukał drzewa, krzewu lub kwiecistéj łączki, żeby je otoczyć swą

jurtą: na drzewie rozwieszał swą broń i cieszył się roślinami koło siebie. Kiedy się dowiedział, że do niego zajedzie jenerał gubernator permski, wystawił na jego przyjęcie trzy obszerne jurty, obejmujące tak piękne z przyrodzenia miejsce, że wewnątrz miały wejrzenie sztucznie urządzonych ogrodów.

Pod wieczor ożywiła się nasza okolica rykiem bydła, gdyż nadciągnęły auły ze swemi trzodami i poczęły rozkładać się nad Ajaguzą.

Sułtani stanowią jakby osobną klasę, *aksujuk*, (biała kość), i wyprowadzają siebie od dawnych chanów, a mianowicie od Dżingischana. Prości Kirgizy dzielą się na rody (*ru*), a te na oddziały (*taifa*) i poddziały do nieskończoności. Dżehałbaili, naprzykład, miał dwunastu synów: Manutana i innych; ród więc jest Dżehałbailiński, który podzielił się na taify: Manutański, i t. d. Ale Manutan miał także dzieci, od których poszły znowu poddziały noszące imie swojego protoplasty, jak Tarakliński, i t. d. Do starszeństwa zawsze cześć przywiązana. Dla potomków Manutana, potomkowie młodszych synów Dżehałbailego są z wielkiém uszanowaniem, czasem w obecności ich usiąść nie śmieją. Potomkowie Mahometa nazywają się Chodży, nie należą do innych rodów i bardzo są poważani.

Wieczorem był u nas Uwali, ojciec naszego gospodarza, który prowadząc życie patryarchalne, nie ma skłonności do Urusów. Raz tylko był w staréj Ajaguzie, i raz tylko w rok wyjeżdża na spotkanie jenerała; ale zainteresowany zapewne głośną u Kirgizów sławą Wiktora, a może podaniem do zapisu swoich koników,

raczył nas odwiedzić. Wszedłszy do jurty, po zwykłych krótkich komplementach, zwrócił zaraz uwagę na nasze łóżka, strzelby i inne sprzęty. Dziwił się że zmieniono Kanaja, i rzekł bez ogródek : « Potrzebujecie zapewne takich coby kradli, a jego usunęliście, że był najpoczciwszy. » Pytał jak się nazywają starsi sułtani po okręgach, gdyż obcy jest całéj polityce stepowéj. Przy herbacie, cukru nie kładł do czaszki, ale do kieszeni — zapewne dla pani sułtanowéj.

Kiedyśmy się położyli spać, zrobił się w aule tak straszny hałas pomięszany ze szczekaniem psów, żeśmy sądzili, że znowu barantarze przyszli ; ale tą razą niebezpieczeństwo nie groziło koniom, tylko baranom; podkradał się do nich kasker *vel* bure, to jest wilk, którego tym krzykiem odpędzono.

25 lipca.

Włożywszy do kumysu miodu i nieco rodzenek, robi się pò kilku dniach napój taki tęgi, że od dwóch czaszek upić się można.

Dziś zaczęliśmy popis ludności, cały dzień byliśmy zajęci, ledwo znalazłem chwilkę napisać parę listów do przyjaciół w rodzinnym kraju.

26 lipca.

Obrachunek roboty pokazał : jurt 653; mężczyzn 1,341; kobiét 1,082; koni 5,754; bydła 1,334; baranów 24,563.

Wiktor opowiadał mi następną anekdotę. Tatar jeden przybył do aułów sławnego w Małéj Hordzie rabusia Bikmurzy, i chciał przedawać swe towary. Ten, widząc u niego nankin, pyta się po czemu go przedaje. Tatar powiada, że za tyle a tyle arszynów bierze barana. — « Co mi tam twoje arszyny, odparł Kirgiz, ja nie znam téj miary; oto lepiéj powiedz mi co weźmiesz za nankin, jeśli mi opaszesz nim to jezioro, które leży przed nami. » Tatar powiedział, tyle a tyle. Bikmurza kazał mu palnąć sto kamcz i oprowadzić nankinem jezioro; potém dał mu jednego barana i rzekł: « Widzisz, że cię nie grabię, ale kupuję u ciebie; teraz, jeśli chcesz, możesz handlować w moim aule. » — Tatar, ma się rozumieć, drapnął jak najprędzéj, rad że się na tém skończyło.

Jeden z Kirżyńców, zapisanych w naszym popisie, nazywa się Pułkownik; a że i Wiktora wszyscy Kirgizy tytułują pułkownikiem, powstał między nimi wielki śmiech na wzmiankę tego nazwiska.

Kiedy Wiktor, będąc jeszcze żołnierzem, włóczył się po stepie orenburgskim, miał przyjaciela Kirgiza, z rodu

czyklińskiego, nazwiskiém Isan Rajudiłów, który niegdyś był bogatym i pełnił funkcyą karawanbaszczy, potém otrzymał od rządu rangę sotnika i medal. Widząc on, że Wiktor w Orenburgu nosi płaszcz żołnierski, a w stepie ubiera się jak inni urzędnicy lub oficerowie, nie mógł pojąć jaka była jego ranga i zapytał go raz o to. Wiktor powiedział mu szczerą prawdę, że jest żołnierzem. « A więc ja starszy od ciebie? » rzecze Kirgiz. — Starszy. — « Dlaczegóż tobie powierzają różne poruczenia, i ważne, a mnie nie? » — Boś głupi, a ja mam więcéj od ciebie oleju w głowie. — « Kiedy tak, to kup u mnie rangę i medal; jako przyjacielowi, rangę oddam za kobyłę, a medal za pięć koni. »

Jednego razu Wiktor jeździł z nim w Mohodziarskie góry. Nie znalazłszy aułu na tém miejscu gdzie się spodziewali go znaleść, głodni i zmęczeni w wielkim byli kłopocie. Wiktor tedy powiada do Isana: ja tu zostanę na téj górze, a ty ruszaj szukać aułu. Ten kopnął natychmiast z miejsca, odbiegłszy nieco stanął, podniosł nos w powietrze, wąchał czy nie poczuje w któréj stronie dymu i puścił się daléj. Ale nadszedł wieczor i noc zapadła, a jego z powrotem jak niemasz tak niemasz. Dla bezpieczniejszego noclegu Wiktor zszedł do jaru, a nazajutrz wrócił na stanowisko, gdzie nareszcie około południa doczekawszy się Isana, w pierwszem uniesieniu niecierpliwości wpadł na niego i począł go kamczą okładać. Kirgiz milczał przez cały czas operacyi, a potém powiedział tylko: « Do aułów bardzo daleko, chyba jutro tam dojedziemy. » Pojechali więc, nie wchodząc w dalsze rozprawy. Pod wieczor,

na popasie, Wiktor zasnął. Obudziwszy się postrzegł, że Isan tymczasem rozłożył ognisko i nastawił czajnik. Przy herbacie, w lepszym humorze, począł mu odpowiadać i powoli przyszło do rozmowy. Wtedy Isan rzekł: « Jesteś bez mozgu, i nic więcéj. Powiedz, czy miałeś rozum bić mnie, bić Kirgiza? Spałeś, mogłem cię zabić, zabrać twego konia i pojechać. Szczęście twoje, żem do ciebie przywiązany jak do własnego dziecka; ale przyjmij odemnie przestrogę: nigdy nie obrażaj niesprawiedliwie Kirgiza, bo on długo chowa pamięć krzywdy, a nie każdy będzie Isanem. » Odtąd najściślejsza przyjaźń trwała między nimi bez przerwy.

Isan jadł okropnie. Jednego razu, kiedy u Wiktora spożywali we dwóch barana i Wiktor rzucał kawałki swemu wyżłowi, który także miał apetyt kirgizki, bolało go to bardzo i nareszcie zawołał: « Cóż to, czy psa więcéj cenisz niżeli mnie? » — « Alboż ci mało? rzekł Wiktor. » — « A pewnie, jabym to zjadł co psu oddałeś. » Chcąc więc wyprobować ile on zjeść może, Wiktor zaproponował taki zakład, że każe zgotować dwa baranki i postawić jednego przed nim, a drugiego przed wyżłem: jeśli on pierwszy zje swoją porcyą, wygra dziesięć baranów; jeśli zaś pies jego wyprzedzi, dostanie dwadzieścia bizunów. Przyjął wyzwanie, ale pod warunkiem, że za trzy dni stanie do walki. Przez ten czas nic nie jadł, żył tylko herbatą; psa téż morzono głodem. Gdy przyszła godzina wyścigów, pies z początku łapczywie pożerał mięso, lecz prędko ustał i z łakomstwa tylko lizał; Isan zaś porządnie zmiotł wszystko i otrzymał palmę. Wypiwszy potém czaszę

kumysu, rzekł: «Jaka szkoda, że pies polizał resztę swojego mięsiwa, bo mi się jeszcze jeść chce.» Ale był to tylko żarcik, bo wyznał późniéj, że ledwie dotrzymał placu, i gdyby trzeba było zjeść choć kawałek więcéj, musiałby dać za wygranę. Sam żarłok, wypłatał on raz figla sławnym z obżarstwa Baszkirom. W czasie jednéj wyprawy z nimi, przychodzi do Wiktora i prosi o barana, mówiąc, że zrobił zakład z dwudziestu pięcią Baszkirami, którzy, jeśliby razem wszyscy tego barana zjeść nie zdołali, obowiązali się zapłacić jemu każdy po rublu. Pokazało się, że nie zjedli, a Isan pod sekretem zwierzył się Wiktorowi jakim fortelem wygrał 25 rubli: oto, do kotła gdzie się baran gotował, wrzucił kawałek mydła; znał zaś ten sposób, bo go używano przeciw niemu samemu, starając się w młodości odzwyczaić go od obżarstwa.

Przyjaźń Isana dla Wiktora zawiązała się od czasu, kiedy jadąc z nim spadł z konia i złamał obojczyk. Troskliwość, z jaką Wiktor chodził koło niego, obudziła w nim głębokie uczucie przywiązania; uleczył go zaś lekarz kirgizki, który oprócz modlitw używał następnego ratunku: wyciął kawałek skóry ze świeżo zarzniętego barana, wyrznął w nim dziurkę, i przyłożywszy do ciała, ustami wciągał przez nią i ściskał miejsce bolące, potém ten kawałek skóry do tegoż miejsca klejem przykleił, a odjął dopiero w dni kilkanaście, kiedy chory zupełnie ozdrowiał.

Kirgizy niezmiernie długo wytrzymują głód i potém nic im nie szkodzi gdy się nagle objedzą — istne wilki. Również znoszą zimno. Był przykład, że trzydziestu

barantarzy, w grudniu, trafiwszy na silny opór, sami zostali obdarci ze wszystkiego. Przeciwnicy zostawili na nich tylko koszule i dali im krzesiwo na drogę 150 wiorst do ich aułów. Ratowali się zbierając suchy piołun sterczący nad śniegem i zapalając z niego ogniska, koło których ogrzewali się skupieni. Kiedy jedno ognisko dogoréwało, kilku biegło na przód i gromadziło drugie. Tak przebyli odległą przestrzeń w mróz tęgi. Jeden tylko umarł; inni poodmrażali nogi lub ręce, ale tak nieszkodliwie, że się prędko wyleczyli.

Odwiedził nas ojciec Dżaugira ze swoim bratem. Pytał z jakiego jesteśmy narodu, i gdy się dowiedział, że my Polacy (Pelek), dopytywał się co to za rodzaj ludzi, czy biorą córki tatarskie za żony, i t. d. W całéj jego rodzinie przystojni mężczyzni, ale nie odznaczają się rozumem. Syn trochę mędrszy od ojca. Starego niezmiernie zaintrygowały siarniczki, śmiał się do rozpuku gdy mu Wiktor wystawiał, jak to byłoby doskonale, wkradłszy się do tabunu w noc ciemną, potrzeć tylko pręcikiem po odzieniu i módz wybrać najlepszego konia. Pożegnał nas przypominając właśnie, że koło jego tabunu widziano złodziei, i dlatego musi śpieszyć żeby porobić środki ostróżności.

Był u nas także starzec ośmdziesiątletni, któremu gdyśmy kazali dać kumysu, odprawił nad nim taką modlitwę: « Ałłachu! zachowaj lud od wojny, ognia i głodu; mnóż stada jego i obdarzaj go dostatkiem kumysu; a na tego kto mi go podał, niech zstąpi błogosławieństwo Twoje, niech mu daje tysiące koni, bydła i baranów. »

27 lipca.

Wyspawszy się wybornie, o 4éj rano ruszyliśmy w drogę. O wschodzie słońca mgły zaległy doliny, a gdy się późniéj rozeszły, upał zaczął dokuczać. Przebywszy rzeczkę, ciągle jechaliśmy to pod górę, to z góry, jak po falach morza. Wszędzie rozbity kamień pokrywa ziemię i tylko karagajnik zieleni suchą powierzchnię stepu. Przed moim koniem prześliznęła się półtorałokciowa żmija, któréj jednak nie mogliśmy zabić, bo skryła się w norę. Z tego powodu Taszkiniec jadący z nami, opowiadał, że téj wiosny robotnik jego spotkał sążniowego *ajgadyra*, króla gadzin, *padsza den dziłan*, który miał być biały jak mléko i pędził się za robotnikiem; a ten, choć był na koniu, zląkł się i uciekł. Zdaniem Taszkińca, gdyby on był rzucił przed żmiję swoją koszulę, a ta prześliznęła się po niéj i zostawiła na niéj swój ząb, robotnik byłby na całe życie szczęśliwym, przyszedłby do wielkich bogactw.

Dojechaliśmy szczęśliwie do aułów Banbek-Siwanów, których starszyny wyjechali na nasze spotkanie i zsiadłszy z koni, witali Wiktora. Przybył także, młody i bardzo przystojny, o pięknym nosie i arystokratycznych uszach (wedle definicyi Ali paszy Janiny, w pamiętnikach Byrona), syn sułtana Dżamantaja. Wystawiono nam jurty u zbiegu rzeki Kop z Ajagużą; wokoło suche wzgórza, a zieloność, wierzbołozy i krzewy tylko nad

wodą. Wkrótce zawitał do nas i sam sułtan, wołostny uprawa, Dżamantaj Ropin. Od dwóch miesięcy nie był on w domu: towarzyszył nam do Ała-tau, a ztamtąd jeździł do Chin, do sułtana Dołonbaja, i właśnie wracał z téj podróży. Uważałem jakie będzie przywitanie z synem, którego tak długo nie widział. Rodzicielska jego czułość objawiła się tylko zapytaniem o zdrowie tabunów; radości i uczuć nam zwyczajnych ani krzty. Zasiadł u nas, pił herbatę i ledwie po godzinie poszedł do swoich żon i dzieci, które powitał zapewne tak czule jak i syna, a żony musiały jeszcze wedle zwyczaju przyklęknąć i podnieść rękę do głowy, na znak czci dla swego pana. Opowiadał co spotkało naszego tłumacza Czerpanowa, który przybywszy do Sabeka, brata Dołonbaja, chciał zabrać jurtę jednego Kirgiza. Sabek tak go poczęstował kijami i kamczą, że nieborak leży zbity na gorzkie jabłko.

Przyjechał do nas Suchonalimow i przywiozł wiadomość, że po naszém odejściu Kenesary zjawił się nad Lepsą.

28 lipca.

O 4ej zrana goniec z Ajaguży przywiozł mi listy od matki, siostry i przyjaciół. Przysłano nam parę arbuzów; wolelibyśmy bułkę chleba. Suchonalimow wyjechał po obiedzie. Przystąpiliśmy do popisu ludności. Dżamantaj Ropin, czyli urzędowie Ropiejew, tak się nam

rekomendował : « Ja się nie chlubię, ale pytaj o mnie, każdy powie że jestem sprawiedliwy i kraść nie lubię; jedno tylko co przeciw mnie możesz posłyszeć, i do czego się przyznaję, to żem skąpy. »

Chodziłem z wędką nad Ajaguzę. Z wielkim trudem dostaliśmy się do brzegu rzeki przez straszne gęstwy krzewów i kolczastych roślin, wśród których trafiliśmy na legowisko dzików. Na ponętę z kobyłki wzięła się tak wielka marynka, że zerwała sznurek i z nim uciekła. Pod wieczor silny wiatr oziębił powietrze; w nocy kilka razy deszcz padał.

29 lipca.

Zrana cieplej, ciszej, deszczyk kropił; późniéj wiatr i takie zimno, że trzeba było na letni, watowany szlafrok włożyć. Pisałem listy do moich.

W tutejszéj włości, Sekunbaj gra taką rolę, jaką Tanyzbaj u Semiznajmanów, a Toukunbaj u Kirniejów. Przyszedł sułtan z synem jak raz na samą herbatę. Pytałem jego kto był Najman, ich protoplasta; odpowiedział mi : « Był jakiś naród zwany ała-ałasza (pstrokacizna), z którego wyszło trzystu naczelników rodzin, rozpierzchłych późniéj w różne strony. Z pomiędzy nich Jusun, Argyn i Alczyn założyli hordy : wielką, średnią i małą. Najman był starszym synem Argyna. Kirgizy przyszli tu lat temu 170 z górą, kiedy te strony zajmowali Kałmucy, nad którymi panował jakiś ich władzca,

niecierpiany bardzo, bo źle rządził, łupił, żony i córki zabierał. Kałmucy go zabili, i nie mogąc zgodzić się o następcę, prowadzili wojnę domową. Skutkiem tego, część ich jedna (Ojran) wyszła w Orenburgskie stepy, a Kirgizy i inne ludy, korzystając ze słabości reszty, poczęły zagarniać jéj ziemię.» Pochodzenie sułtanów tak wyprowadzał: «Któś, bardzo dawno, miał córkę jedynaczkę, któréj ciągle strzegła staruszka. Tymczasem, kiedy raz siedziały z sobą w ciemnéj jurcie, dziewczyna ujrzała wielkie światło i od jego promieni, jak powiadała, została brzemienną. Staruszka tego światła nie widziała, a gdy wszystko opowiedziano ojcu, ten kazał córkę zamknąć w złotą skrzynię, i zalutowawszy puścił na wodę. Skrzynia pływała trzy dni, aż jakiś człowiek ją zobaczył, wyciągnął na brzeg, a nie mogąc otworzyć inaczéj, odstrzelił róg jeden i następnie odbiwszy wieko, a znalazłszy dziewczynę bardzo piękną, wziął ją za żonę, i chociaż prosiła żeby się jéj nie dotykał, słuchać tego nie chciał. Po krótkim przeciągu czasu urodził się syn, i ten to syn — owoc promieni światła — był przodkiem sułtańskiego rodu. Powieść ta jednak nie jest pewna — dodał Dżamantaj; — ale to najpewniejsza, że wszyscy pochodzimy od Dżingischana, chociaż kto on był, gdzie i kiedy koczował, nie wiemy. Są Dżingistauskie góry; ale czy on w nich przebywał, któż wiedzieć może? *kem blede?* Musiał wszakże jakiś wielki mąż tego imienia koczować w tych stronach, kiedy takie nazwisko dano górom.»

Zimno, deszcz, w nocy krzyk: pokazało się że wilk skaleczył psa.

30 lipca.

Skończyliśmy popis. Będąc o 25 wiorst od Ajaguzy, wyjechaliśmy z Wiktorem przed naszą świtą, żeby tam zajechać. Po cztérdziestu ośmiu dniach jurtowego życia, ujrzeliśmy znowu dach, kobiéty naszego rodu i — preferansa. Ajaguza wydała się nam zmienioną: wszystko pożółkło, wody w rzece prawie nie zostało.

Rozmawiałem z doktorem Abakumowem, który mi powiadał wiele ciekawych rzeczy o zwiedzanych przez niego stepach. Notuję niektóre szczegóły. W Tarbogataju mają być częste trzęsienia ziemi. Długie, białe gadziny wcale nie są jadowite; tylko krótkie, czarne bardzo niebezpieczne. Od ukąszenia ich jedyny środek, ciało przewiązać mocno wyżéj miejsca ukąszonego, a samo miejsce wyrznąć i wypalić. Falangi, równie jak tarantuły, w tutejszym klimacie nie są szkodliwe; ukąszenie skorpionów zaś sprawuje tylko gorączkę na jedną dobę. Niedaleko ztąd, ku okręgowi Kokbektyńskiemu, znajdują się chalcedony, topazy i opale. Trzciny otaczające brzegi Ała-kula, Kirgizy często zapalają umyślnie, aby wykurzyć kryjące się tam dziki i tygrysy, które robią im wielkie szkody, mianowicie w czasie zimowych koczówek. Bałchasz ma wzdłuż 450 wiorst, a w najszerszém miejscu, od 150 do 200. Zimą zamarza, ale często robią się w lodzie ogromne rozpadliny. Jeden topograf nocował na zamarzłém jeziorze, gdy wtém dał

się słyszeć huk straszliwy i o kilkadziesiąt kroków od niego lód się rozstąpił na 10 sążni. Szczelina była długa na wiorst 15, głębokość zmierzyć się nie dała.

31 lipca.

Cały ten dzień przebyliśmy w Ajaguzie i pochowaliśmy komisarza Kurobiewa. Przy pogrzebie zastępował duchownego podoficer piechoty, która przybyła z Semipołatyńska i stoi w jurtach. Dzień był ciepły, w nocy jednak melony pomarzły. Pchły i pluskwy spać nam nie dały.

1 sierpnia.

Rano pocztarz znad Lepsy przywiozł wieść o Kenesarym. Stoi on między Kok-su i Karatałem. Przybywszy tam, kazał zaraz dać sobie bazarłyku 2,000 baranów, i pogroził jeśliby mu dobrowolnie nie dano.

O 11éj wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy mimo Agadyrskiego pikietu, daléj przez rzekę Kałhutty, potém górami Dżingistauskiémi aż do rzeki Sarybułak, gdzie po 60 wiorstach drogi stanęliśmy na nocleg pod gołém niebem. Ku rankowi diabelnie było zimno.

2 sierpnia.

Przeszło 20 wiorst ujechawszy między suchémi, kamienistémi górami, popasaliśmy nad rzeką Czet. Tu spotkał nas goniec donoszący o położeniu włości Baraka, do któréj zrobiliśmy jeszcze wiorst ze dwadzieścia, nim ją znaleźliśmy nad rzeką Koksały.

Barak przyjął nas z radością. Będąc w Chinach, kupił umyślnie na przybycie nasze ryżu, z którego zaraz kuchmistrzowi swemu kazał zrobić piław. Przedstawiał nam dwóch swoich synków. Starszy z nich ma lat dwanaście i jest zaręczony z córką Sabeka, sułtana Bajdżygitońców. Panna skończyła już rok dwudziesty. Sabek nie wziął za nią kałymu, owszem sam jeszcze daje posagu 25 jamb, i w zimie ma ją przysłać panu młodemu. Ten Sabek kocha się w jambach : uzbierał ich 500, i ciągle przedaje barany na pomnażanie swéj szkatuły. Brat jego Dołonbaj ma ich także 450. Obadwaj życzą sobie przejść pod rządy *nasze*, byleby im tylko dano ziemię.

Barak pytał nas, czyśmy widzieli wielki biały kamień, leżący na drodze do Agadyru. Gdyśmy powiedzieli, że tak, rzekł : « Przyniosłem go tam własnémi rękami, żeby pułkownik, złamawszy swoją arbę, zawołał : kto tu taki głaz ogromny położył wśród drogi ! » Rzeczywiście, kamień ten (kwarc biały jak śmietanka), ważący kilka pudów, leżał pierwéj o dwie wiorsty w stro-

nie. Barak, usiadłszy na ziemi, wtoczył go sobie na kolana, potém na piersi, i wstawszy z nim, przyniosł go na drogę : pokazywał nam ręce trochę obszarpane. Jest u Kirgizów mniemanie, że w tym kamieniu znajduje się złoto : wielu probowało go rozbić, ale daremnie.

Barak miał pierwéj za żonę jedną z córek Tursuna, teraz bierze drugą jego córkę i daje mu w podarunku jednego z najsławniejszych w stepie biegunów, którego nabył za trzy jamby u krewnego swego Usmana, władzcy Bucharyi. Konia tego trzyma u siebie we własnéj jurcie, i boi się nawet puścić go na bajgę, która ma wkrótce odbyć się w okręgu Kokbektyńskim, z powodu śmierci jednego bija, gdzie mają być ogromne stawki do wygrania : pierwsza sto koni i wielbłąd. Gońce oblatują już sąsiednie okręgi, Ajaguzki i Karkaraliński, spraszając gości na tę uroczystość.

Po południu, między kilku innymi był u nas Chodża, który, jako pochodzący od Mahometa, ma sobie za ujmę przestawać z Kirgizami, bo, jak powiada, « ich mięso paskudne, a on z czystéj krwi.... » Wszędzie głupie pretensye człowieka do lepszości pochodzenia! Barak przyniosł nam i czytał genealogią przodków swoich sułtanów. Dostał ją w excerpcie z wielkiéj księgi pisanéj i mającéj znajdować się u Tursuna, któremu była jakoby z Turcyi przysłana. Nocye historyczne Baraka, co do przyjścia Kirgizów w te strony, zgadzają się nieco z twierdzeniami Dżamantaja[1]. On także powiada, że

1. Obacz str. 198.

przed laty mniéj więcéj dwiestu, Kirgizy koczowali w Taszkinii koło Azretu, wyruszyli ztamtąd pod wodzą Abduł-Mahometa szukać lepszych pastwisk, i przybywszy na miejsca dziś przez nich zajmowane, bili się z Kałmukami, których nakoniec wypędzili. Na pytanie moje, co ich zmusiło do opuszczenia pobytu dawniejszego, i czy sami nie byli wyparci przez jaki naród, rzekł: « Wiadomo, że Kirgiz niespokojny, zawsze lubi odmieniać miejsce. » Nogaj, Kozak i Kirgiz, jak powiada, mieli to być trzéj bracia; ale kto był ich ojciec? — nie wie. Również nie wie kto był Edyge, któremu usypano mogiłę na Ała-tau; mówi wszakże, iż podobno Toktamysz go zabił i obadwaj być musieli Nogaje. Dopytywałem się o początek ich praw stepowych. Szerygat pierwotny, wedle którego « głowa za głowę, i t. d. » był ułożony przez jakiegoś Imana jeszcze przed Mahometem, kiedy żyli w Arabii; późniéj zaś gdy tu przybyli, bije widząc że możny mógłby wyniszczyć całe rody biédnych, wynaleźli *kuz* i teraźniejsze *aiby*, a zwyczaje te pomału weszły w prawo. O Dżingischanie żadnych podań: żadna tu rzeczka, żadne uroczysko nie nazywa się Karakorum.

Wiktor, korzystając z téj rozmowy, rzekł do Kirgizów: « Próżno wy ród swój wyprowadzacie z tak wysoka; właściwie wasze pochodzenie jest od trzech braci: wilka białego, szarego i czarnego. Życie wasze oddane saméj tylko zmysłowości i zaspokojeniu żołądka, ciągle przypomina początek wilczy. » Bynajmniéj tém nie obrażeni, śmieli się niezmiernie i zaraz wszyscy napadli na swego Chodżę, że on chociaż gra rolę świę-

tego i szczyci się pochodzeniem od Mahometa, przepisów jego nie spełnia i je co złapie. Radząc mu żeby czém prędzéj szedł do Mekki, rozeszli się weseli.

Dzień był pogodny i wietrzny, pod wieczor chłodny, noc zimna. Przez cały dzień nic nie robiliśmy z powodu, że Kirgizy nudzili i ściągali się powoli.

3 sierpnia.

Ranek przyjemny, wiatr lekki. Okolica nasza niezmiernie nudna, góry niewysokie i suche, lasów niemasz, drzewa tylko w wąwozach. Ożywia ją jedynie widok rozproszonych stad koni i bydła. Niedźwiedzie tu się nie trzymają; marały są liczne, ale tylko w zimie; zajęcy dużo.

Rozpoczęliśmy robotę. Przyszedł ojciec Baraka, Sałtybaj, i bez ceremonii prosił żebyśmy go poczęstowali herbatą. Otóż jeden z arystokratów kirgizkich w kanfowym chałacie nadęty jak paw', a żałuje sobie nawet biednéj herbaty.

Przybył syn Usmana z tłumaczem dla odebrania zbiegłéj żony jednego z swych krewnych; w drodze byli napadnięci przez sześciu rabusiów, ale zdołali umknąć.

Wieczorem, Kirejce Jabhyłyk ciągnął nam kabałę z cztérdziestu i jednego bobków baranich. Kładł je niby to na głowę, serce i nogi, potém się modlił; wypadło,

że nie pojedziemy do Dżite-su. Późniéj przyszedł buksa, który mówił, że sztukę swą dziedziczy z ojca i dziada, że ma diabła na swoje zawołanie, że byłby doszedł do wysokiego stopnia doskonałości, gdyby nie matka, która mu zakazuje wdawać się w sprawę ze złémi duchami, i gdyby nie drugi buksa, który mu odebrał jednego ducha; jednakże może i teraz najdzikszego konia wprowadzić do jurty i przepowiadać przyszłość. Gdyśmy więc zażądali żeby nam wywróżył kiedy będziemy w Omsku, i czy nie pojedziemy przeciwko Kenesaremu, obwinął kilka pałeczek szmatami zmoczonémi w łoju, i zapaliwszy z nich dwie, zaczął modlić się po cichu; wkrótce zapalił drugie dwie, i trzymając je w ręku ciągle się modlił; potém zamrużywszy oczy wstał, i chodząc gniewał się, przyzywał szatana powtarzając kilkakrotnie : « rzecz sprawiedliwa podoba się Bogu. » Nareszcie szatan wszedł w niego : wtedy zaczął wydawać straszne krzyki i łazić jak zwierz po jurcie. Szamotał się miedzy sprzętami, tłukł głowę o kieregi, rzucał ją naprzód i wtył kłapiąc zębami, kręcił się w lewo i w prawo tak mocno i prędko, że aż się zapienił. Wkońcu, gdy stopniami zwalniając ruchy, uspokoił się zupełnie, rzekł nam, że za siedemnaście tygodni będziemy w Omsku, dokąd pojedziemy przez Karkarały, bo nie widział żadnego zboczenia w naszéj drodze; a jak przyjdzie czas żniwa, Kozacy i Kirgizy siądą na koń i pojdą na wojnę.

4 sierpnia.

Po nocy ciepłéj, dzień piękny. Wiadomość o wyjeździe Niuchałowa do Omska. Listy od Januarego i Pawła. Natręctwo Kirgizów niecierpliwi nas okropnie.

5 sierpnia.

Ranek miły. O wschodzie słońca przyszedł Barak, a widząc że Wiktor jeszcze śpi, położył się sobie w jurcie czekać nim on wstanie. Korzystając z téj chwili, pisałem do Januarego, jak następuje[1].

Skończyliśmy popis w Dżaububek-siwanowskiéj włości. Jurt 1,138, ludności 4,500; koni 11,255, bydła 1,823, baranów 54,494. Wyjechaliśmy o godzinie 2éj; miejsca dzikie, kamieniste — źródła Baganasu. Nocowaliśmy w dolinie nad rzeczką. Naokoło góry, wieczor piękny, i taka cichość jakiéj nie pamiętam.

6 sierpnia.

Wyruszyliśmy o wschodzie słońca. Góry coraz większe i natura coraz bardziéj ożywiona; brzozy nad Ba-

1. Patrz niżéj, list XVI.

ganasem, po górach karagajniki. Z wielką przyjemnością jechałem na dzielnym czerwonym ogierze. Wkrótce spotkaliśmy pierwsze stada owiec tobuklińskich, a po dziewięciu godzinach kłusu, stanęliśmy na uroczysku Kurnynboj, u wołostnego uprawy Tobuklińców, Kunanbaja Unkenbejewa. Od Baraka do niego wiorst 90. Zastaliśmy tu trzech tłumaczów i cztérech kozaków. Deszcz zaraz lunął i padał do nocy, zrobiło się nieznośnie zimno. Kunanbaj mówił, że jedenaście dni temu była ulewa z grzmotami i gradem wielkości wielbłądziego łajna, który pozabijał ptaszki i myszy, bydło porozpędzał, a wszerz na wiorst 10 leżał dwa dni i dwie noce.

7 sierpnia.

Zrana wiatr wielki i zimno jeszcze większe: palce krzepną. Ledwo około południa, najadłszy się i wypiwszy kilka kropel wódki, mogłem pisać i przygotować listy do odesłania przez tłumaczów.

XVI

Kurnynboj, 7 sierpnia. (Do brata[1].)

Kochany bracie! Jesteśmy wpośród gór Dżingistauskich. Trzecie to góry w przeciągu dwóch miesięcy zwiedzam w kirgizkim stepie. Ała-tau, Tarbogataj, Dżingis-tau, azyatyckie siostry europejskich Alpów, Apeninów, Karpatów, jedne po drugich z kolei przedstawiały się mojemu oku w coraz niższych piętrach prowadzących z południa ku północy. Już Tarbogatajskie góry wydały mi się tylko karłami w porównaniu z Ała-tauskiemi; dziś Dżingistauskie wyglądają obok Tarbogatajskich jak barany postawione obok wielbłądów. Lecz jeżeli pierwsze zachwycały mię swoim ogromem i ró-

1. List ten był zaczęty nad Koksałą 5° sierpnia, a chociaż datowany 7°, wysłany dopiero został 9°.

8 sierpnia.

« Dni piękne w Aranchuez już na schyłku..... »
Wszystko się zmieniło za naszém przybyciem do karkaralińskiego okręgu. Od rana deszcz ulewny i tak zimno, że ręce marzną : a co to daléj będzie? Okropny klimat!

Popis bydła źle idzie. Powszechny tu wrzask na asesora W., który dał się Kirgizom we znaki podczas poprzedniego popisu. *Asesor*, straszne to imie w tutéjszych okolicach : matki, uciszając dzieci, straszą je asesorem. Kiedyśmy zgromadzonym z włości pokazali, że więcéj u nich bydła zapisano niżeli podają, jeden z obecnych zawołał: « Gdzieżbyśmy to bydło pomieścili, gdybyśmy je mieli; czemuż asesor nie kazał nam postawić zagród na taką ilość, jaką w rejestrze położył? » Cytowali przykład, że gdy nie wierząc jakiemuś Kirgizowi żeby miał tylko jednego konia, groził mu i łajał; starszyna, chcąc go uwolnić, podyktował za niego sztuk dziewięć. Asesor, na téj zasadzie, że jeśli pokazało się dziewięć, to może być i dziewięćdziesiąt, dodał zero. Używał przytém różnych środków przymusu, zamykał po kilkudziesięciu do jurty i trzymał pod strażą, póki nie zaczęli sami powiększać oświadczonéj zrazu liczby. Dziéwki nawet kazał w rzęd stawić i liczył. Kirgizy myśleli że skończenie świata, lub że już chcą ich brać w rekruty : małych chłopców chowali pod tunduk.

Żyje tu od lat kilkunastu w stepie mieszczanin semi-

połatyński, żonaty z Kirgizką ochrzczoną. Synowie jego dobrze umieją po tatarsku. Trudni się wyrabianiem kumysu, który rozwozi na wszystkie bajgi i pominki. Odwiedził nas i częstował swoim kumysem. Nigdy tak dobrego nie piłem u Kirgizów : smaczny, czysty, bez żadnéj nieprzyjemnéj woni, i tak mocny, że Kirgizy po wypiciu dwóch czaszek tracili władzę języka, a my, wypiwszy po czaszce, uczuliśmy silne rozgrzanie. Robi on go następnym sposobem. W sabę rzuca parę sucharów, lub garść krutu (sérków), i zwilżywszy kobylém mlekiem, zostawuje tak do cztérech lub pięciu dni na zakwaskę, czyli drożdże. Potém wlewa się na to kobyle mleko i ubija się jak najdłużéj, a jeśli jest gorąco, trzyma się w chłodzie. Do użycia kumys przecedza się przez czystą szmatkę i nigdy się nie wyczerpuje aż do gęstwiny. Kirgizy nie zachowują téj ostróżności, przez co osad zbyt kwaśnieje i nalany nań nowy kumys nabiera złego smaku.

Przyjechał wołostny uprawa Mumbetej-tobuklińskiéj włości, sułtan Czołkonbaj, człowiek młody, mający jak widać niewiele oleju w głowie i niewielkie znaczenie u swoich, z resztą *bon enfant*.

Tłumacz Chachłów zaręczał nam, że tu w Dżusenbaj-czekczekańskiéj włości jest buksa, który w rozpalony do czerwoności kocieł siada i gra w nim na kobzie, a wziąwszy najdzikszego konia, wjeżdża na nim do jurty i kieruje jak chce. Niestety nie zastaliśmy sławnego czarodzieja; pojechał w ajaguzki okrąg, i tak znikła nadzieja zaspokojenia mojéj ciekawości.

Kunanbaj, dziecko swe, cierpiące w téj chwili wiel-

kie bole żołądka, leczy takim sposobem : Zarznął czarną kozę i łojem jéj nasmarowawszy błękitną przepaskę, obwiązuje nią żołądek ; łój ten także wciera w ciało. Na pytanie moje czemu nie wzywa którego z buksów, odpowiedział, że w ich lekarstwa niebardzo wierzy.

Wychwala on charakter i szczególniéj gościnność karkaralińskich Kirgizów ; powiada, że u nich byle trzech, lub nawet dwóch gości przyjechało, natychmiast zarzynają barana, czego niemasz w innych stronach stepu.

Tobuklińscy Kirgizy wydali się nam zupełnie różnymi od ajaguzkich : twarze po większéj części długie, nosy długie, policzki wydatne, cera żółtawa — brzydcy. Tłumacze opowiadają niesłychane rzeczy o rozwiązłości ich kobiét.

Skończyliśmy robotę ajaguzką i przygotowaliśmy do oddania na pocztę. Ogół w sześciu włościach : 52,000 koni, 11,000 bydła, 283,000 baranów.

9 sierpnia.

Zrana chmury się rozbiły i słońce zabłysnęło — odżyliśmy. Tłumacze i kozacy nasi pojechali do Ajaguzy : wyprawiłem moje listy. Chodziłem na okoliczne wzgórza : ach jakaż pustynia ! Kamienie i suche grzbiety jak okiem zajrzeć. Całe Dżingistauskie góry bezlesne ; ze zwierząt najwięcéj lisów i wilków, a chociaż robią zna-

czne szkody, Kirgizy żelaz na nich nie stawią, z obawy żeby się jakie bydle nie skaleczyło. Surków niemasz, myszy mnóstwo ostatni grad wybił : która tylko nie pospieszyła umknąć do nory, zginęła.

Rzeczki w górach Dżingistauskich, w kierunku południowo-zachodnim ku Bałchaszowi płyną : Bokanas, Kałhutty, Koksała, Taj-uzeń, Kurnyn-boj, Dżajnanyn-boj; w kierunku północno-wschodnim, to jest ku Irtyszowi: Czagan, Dos-połaj, Tokorak, Bajhora, Bokonczi, Jezbałapan, Karauł, Takyr, Mukur, Kunduzdy, Kostun-boj, Czagan-czet'tyn-boj. W górach tych koczują Siwanowscy i Tobuklińscy Kirgizy.

Niedługo cieszyliśmy się pogodą; znowu grzmoty i deszcz ulewny : trzeba co moment tunduk spuszczać i wodę z naszych bucharskich dywanów zlewać.

10 sierpnia.

Kunanbaj powiada, że Tobukli był synem Argyna [1]. O Dżingischanie, czyli jak wymawia *Czyngiskanie*, twierdzi, że tu miał swoje zimowe koczowiska, i na dowod dodaje, że jest ztąd o dzień porządnéj jazdy góra Chan-Dżingis, czy Kan-Czyngis, na któréj dziad jego widział jeszcze sterczących, a on sam już powalonych ośm belek sosnowych, jakowe to belki, podług poda-

1. Ob. str. 108.

nia, dźwigały na sobie ową tajemniczą komnatkę, gdzie straszny pogromca przed każdą wyprawą odbywał swoje medytacye. Miał on być Kałmukiem i żyć lat 200. O Karakorum i tu nie słychać. Pochodzenie Kirgizów (Kozaków) tak wyprowadza:

Panował w Turcyi zwyczaj, że ludzi pstrokatych, to jest mających na ciele czerwone, żółte, lub innego koloru piętna, wypędzano z miasta. Otóż był pewien człowiek, potomek Jakóba proroka, pstrokaty (ałasz), którego sułtan kazał wypędzić. Ten wygnany bawił się łotrostwem i miał zebraną znaczną bandę włoczęgów. Wtém zdarzyło się, że ulubiony syn sułtana zachorował i umarł; wezwano z całego kraju lekarzy, żeby go wskrzesili, ale żaden tego nie mógł dokazać. Dowiedziawszy się o tém Ałasz, przyszedł i wskrzesił sułtanica. Ojciec przez wdzięczność dał mu dyplom na tarchaństwo, to jest szlachectwo. Ałasz jednak nie pozostał w kraju, lecz ze swą bandą wyszedł z Turcyi, i przez Persyą posunął się aż w sąsiedztwo Chiwy, gdzie nareszcie umarł. Synowie jego ze swą bandą, złożoną z trzystu ludzi[1], rabowali Chiwińczyków, i gdy stali koczówką po nad brzegami trzech rzeczek, władzca Chiwy, chcąc ich poskromić należycie, wyszedł sam przeciwko nim z wielką siłą. Banda posłyszawszy o tym zamachu, wysłała kilkunastu najrozumniejszych i najwymowniejszych ze swoich bijów, którzy ubrani w co mieli najlepszego, ruszyli na spotkanie gniewnego mocarza. Gdy ten nadjechał, zsiedli z koni i powitali go

1. Ała-ałasza i trzystu naczelników rodzin, figurują także w opowiadaniu Dżamantaja. (Str. 198.)

tak pięknemi słowy, tak długo i tak wymownie perorowali, że Chiwińczyk, zachwycony ich krasomowstwem i mądrością, zawołał: «A! to wy nie *kazap*, ale *kozaki!*» (nie wichrzyciele, łotry, ale dzielni ludzie, bo kozak znaczy tyle co tęgi, zuch; kiedy się kto łebsko spisze, mówi się: a, kozak!). — Ztąd poszło nazwanie Kozaków. Ponieważ zaś znalazł ich koczujących nad trzema rzekami, powiedział: «A, to wy hordy: wielka, średnia i mała.» — Ztąd trzy nazwy hord. Chiwińczyk miał od nich wtedy odebrać dyplom tarchaństwa. Późniéj zaczęli posuwać się daléj i długo koczowali na Turgajach; ale gdy się rozrodzili i było im ciasno, ogarnęli różne strony stepu, wyciskając z nich Kałmuków. Dziad Kunanbaja wykoczował także z Turgaju. Jusun, Argyn i Alczyn byli założycielami trzech hord, jako ich naczelnicy; lecz Jusun szedł od trzech rzek przez Taszkinią i zatrzymał się w Dżite-su.

Przykład rozgałęziania się rodów kirgizkich, można widzieć w tutejszych włościach. I tak, we włości Kuczuk-Tobuklińskiéj, ród Kuczuk; oddziały jego dwa: Ajdos i Kajdos; poddziały w pierwszym: 1 Menis, 2 Irgyzbaj, 3 Topaj, 4 Torpaj, 5 Dżezyge; poddziały w drugim: 1 Bokanczi, 2 Dżungubuł, 3 Bursak.

Co do początku sułtanów, Kunanbaj przytacza dwie powieści. Wedle pierwszéj, był chan, potomek Dżingischana, Berdybek, który z nieprawego związku z jakąś dziewczyną, miał syna; ten, gdy go ojciec odumarł małoletnim, zostawał pod opieką jednego bija, który zarządzał państwem. Chłopiec przyszedłszy do lat młodzieńczych, chciał swego opiekuna zabić i sam rządy

objąć, dowodząc, że ma prawo do tego jako następca; ale naród oburzył się i nie pozwolił na to, oświadczając jednak, że go uzna za następcę, jeśli ma trzy znaki na ciele, jakie miał ojciec. Znaleziono tylko znak jeden; naród wszakże poprzestał na tém i zrobił go chanem. Od niego poszli sułtani; ale nie lubią przypominać sobie tego źródła swego rodu trącącego bękarctwem. Druga powieść opiewa, że był u Turkomanów jakiś wróżbit z jedném okiem na łbie. Ten, przyszedłszy nad Amu-Daryą, przepowiedział że cóś przypłynie tą rzeką. Jakoż, towarzysze stojący obok niego ujrzeli wkrótce domek, który woda ku nim niosła. Wróżbit zrobił z nimi umowę, że co wewnątrz, to będzie należało do niego, a co zewnątrz, to do nich. Dla otworzenia tego domku, zamkniętego jak skrzynia, ulał ogromną kulę, i wystrzeliwszy nią, odbił kilka desek. Wyszła śliczna dziewczyna, ale w żaden sposób nie chciała powiedzieć co za jedna, i oświadczyła, że da się zabić, a nie powie kto była. Dostała się ona późniéj, w zupełnym stanie niewinności, Kozakowi Dombauł-Mirgieniowi, i z tego małżeństwa począł się ród sułtański. Ta powieść, mająca być dawniejszą od pierwszéj, zgadza się trochę z tém, co Dżamantaj prawił o dziewczynie w złotéj skrzyni [1].

Na pytanie moje o mogile Edygi, Kunanbaj rzekł: « Był on z rodu Uzbeka, i pokłóciwszy się z ojcem Nurali-chana, wyszedł aż nad Kubań, gdzie był jakiś chan, z którym zebrawszy wojsko, szczęśliwie wojował, i na-

1. Ob. str. 198.

koniec utworzył sobie państwo między Syr-Daryą, Ilią i Czujem. »

11 sierpnia.

Skończyliśmy popis, z którego się okazało: jurt 1,853, ludności 8,000, koni 22,000, bydła 2,000, baranów 155,000. Wypogodziło się zupełnie: słońce przygrzewa; różne owady, osobliwie jakieś żuki na sześciu nogach, z długim ostrym ogonem, wzdłuż pręgowane czarno, wyłażą z ziemi.

12 sierpnia.

Wyjechaliśmy o 3éj po południu. Towarzyszył nam z orszakiem Kirgizów Kunanbaj, który miał jakieś interesa do załatwienia u Mumbetéj-Tobuklińców. Upał był tak wielki, że Wiktor po trzech wiorstach jazdy konnéj, schował się do naszego dyliżansu; ja ledwie mogłem utrzymać się na koniu, którego ciągle kąsały muszki; Kunanbaj dostał bicia krwi do głowy, i gdyby nie ocet Wiktora, który na jego łeb ogolony i nos nieprzyzwyczajony do tego spirytusu, pierwszy raz spotkanego w życiu, poskutkował natychmiast, byłby został

na stepie. Wiktor wziął go z sobą do arby (jak Kirgizy nazywają nasz powoz) i szczęśliwie dowieźliśmy do pierwszych aułów Mumbetéj-Tobuklińców. Przybywszy tu wieczorem, z wielkiém podziwieniem znaleźliśmy siedm jurt wystawionych dla nas. Przyczyną tak okazałego przyjęcia był jakiś Kirgiz, który przybiegłszy naprzód, powiedział że jedzie Wiktor, a z nim mnóstwo Rossyan. Noc była tak ciepła żeśmy spali bez żadnych dodatków do kołder.

13 sierpnia.

O wschodzie słońca wyruszyliśmy z miejsca i pożegnaliśmy właściwe góry Dżingistauskie. Odtąd przejeżdżaliśmy ciągle wielkie, kamieniste doliny, otoczone wdali nieznanemi wzgórzami. Widać tu nieco więcéj karagajniku, gdzie niegdzie trzmielina, trawa trochę większa. W jedném miejscu ukazała się nawet zielona oaza, przypominająca sybirskie grywy, która razem przypomniała mi iszymskie czasy i nasze polowania. Jak na domiar tego, zerwała się przepiórka i przeleciała przed samym nosem mojego konia; skowronki czarne ulatywały nad głowami naszemi.

O 11éj spotkała nas arystokracya mumbetéj-tobuklińska, a nareszcie zostaliśmy powitani przez samego wołostnego uprawę, sułtana Czołkonbaja, który wystawił dla nas pyszną jurtę, z drzwiami obitémi czerwoném

suknem i ubronzowanémi w guście kirgizkim. Nadzwyczajnie zmęczeni jazdą w upał, mieliśmy słodką nadzieję, po odbytéj audyencyi Kirgizów, odpocząć sobie mile; ale zaledwieśmy zdrzemali pół godziny, zbudził nas wiatr gęsty i gorący, cóś niby *sirocco*, który przytém tak trząsł jurtą, że ledwie się utrzymała na nogach.

Miejsce gdzie jesteśmy nazywa się Ak-basz-tau, od góry tegoż nazwiska, stojącéj osobno od gór okolicznych i złożonéj całkiem z białych, nagich głazów, na których tylko tu i ówdzie zielenieje krzak karagajniku. Chachłów mi mówił, że znajduje się w stepie góra zwana Dul-dul, na którą niegdyś wyjeżdżał prorok kirgizki na swym ognistym rumaku, i stanąwszy na kamieniu, przepowiadał przyszłość. Kamień dotąd ma na sobie wycisk kopyta końskiego. Prorok miał jakoby nazywać się Azret-sułtan.

Bogatsi Kirgizy odsyłają do Azretu zwłoki, a czasem nawet kawałek ciała swych krewnych. Tak, dzieci sławnego Czona, w bajanaulskim okręgu, wyrznęli część ciała z nogi jego, i obwinąwszy w kosztowne materye, wyprawili do Azretu, dla złożenia obok zwłok ich świętych. Ma się rozumieć, że towarzyszyła temu znakomita ofiara dla stróżów świętego miejsca.

Ów Czon był wielki człowiek, acz nie sułtan. Żył on w ostatnich czasach przed wprowadzeniem rossyjskich rządów do jego kraju. Rozumem, sprawiedliwością i energią duszy nabył u swoich takiego znaczenia, że miał większą władzę niż gdyby był chanem. Karał przestępnych, często nawet śmiercią, i niekiedy okrutną, bo roztarganiem przez dzikie konie. O nim jest

podanie, że kiedy jeden ojciec skarżył się na Kirgiza, który jakoby zgwałcił mu córkę, wezwał on obwinionego i dziewczynę, a dawszy pierwszemu długi nóż, drugiéj zaś pochwę od noża, kazał żeby ten starał się włożyć nóż w pochwę, kiedy ta będzie nią wywijała na wszystkie strony. Gdy Kirgiz nie mógł swego dokazać, stepowy Solon uznał go niewinnym, a starego, po moralnéj i fizycznéj nauce, odprawił z niczém.

14 sierpnia.

Kunanbaj zakrawa nieco na fałszywego braciszka: wydał nam wielu bogatszych Kirgizów, którzy poukrywali swoje koniki i barany. Daliby oni jemu pfeferu, gdyby wiedzieli kto nam pomógł odkryć prawdę, czyli raczéj zbliżyć się do prawdy.

Kirgizy na dwie części dzielą swe bydło: białe (ak-mal) i czarne (kara-mal). Do pierwszéj należy tylko koń; do drugiéj wielbląd i wszystkie stworzenia domowe, które na zimę zapędzają do zagród. Koń zawsze zostaje pod otwartém niebem, wyjąwszy jeśli jest wielkiéj ceny i bardzo idzie o to żeby go nie skradziono; a wtedy już nie chlew, ale jurta samego pana służy mu za schronienie.

Pies, jako aram (nieczysty) nie ma prawa wchodzić do jurty; jeśli to wszakże chart, i doskonały, który sprawuje swemu panu rozrywkę i łapie lisy, wtedy on

nie odda go ani za dziesięć koni, trzyma w jurcie i nawet spi z nim razem. Taki przykład starcia plamy psiéj nieczystości przez psią zasługę, widzieliśmy u sułtana Usmana w Dzite-su.

Włosy związane w plecionkę i wiszące po bokach głowy, oznaczają ukochane dziecko — Beniaminka. Małemu rodzice je zaplatają; a późniéj, chociaż już i podrośnie, nosi ten znak szczególnéj miłości rodzicielskiéj. Był u nas dzisiaj chłopiec, mający lat około dwudziestu, z takiémi długiémi kosami na głowie.

Znowu ślad roboty naszego poprzednika, który przy popisie równie nie żałował kamczy jak pióra. Jednemu Kirgizowi, odwołującemu się do świadectwa całéj włości, że nic nie ma, Wiktor pokazał rejestr i rzekł: « Jakże nic nie masz, kiedy tu stoi sztuk ośmdziesiąt? » — « Ja miałem nie ośmdziesiąt ale cztérysta, tylko wtedy gdyś się ty jeszcze nie był urodził — odpowiedział z westchnieniem; — dziś mam tylko psa, mego towarzysza, i ten kij na którym się wspieram. »

Pomiędzy biédniejszémi Kirgizami, jeżeli ojciec familii umrze, pozostała żona z niedorosłą dziatwą najczęściéj przychodzi do zupełnéj nędzy; a jeśli jeszcze ospa, lub inna choroba wkradnie się do jurty, cała rodzina bez pomocy i wsparcia wymiera co do nogi. Często się zdarza, że na wspomnienie jakiego nazwiska, starszyna odpowiada: « Ani prochu jego nie pozostało; umrit, probal (umarł, przepadł), i miejsca już po nim nie znać. »

Kirgizy, bogatsi nawet, niezmiernie rujnują się na pominki. Kunanbaj, naprzykład, ceni swój ostatni ob-

chód po śmierci brata na 200 koni. Zarznął bowiem 63 koni i 200 baranów, a co kosztowały pryzy podczas bajgi, ile wyszło cukru, herbaty, ryżu, tego i obliczyć ściśle nie może.

Przyszedł do nas ubogi Kirgiz prosić o jałmużnę. Wiktor powiedział na to, że sam będąc u Kirgizów i zjadając ich barany, nie ma co mu dać — chyba kumysu, jeśli chce, ale z tym warunkiem, żeby wypił cztéry drewniane czasze; chciał bowiem wyprobować, ile téż może wypić Kirgiz, pospolicie chciwy na wszelki pokarm i napój, gdy się mu okoliczność zdarza zaspokoić głód lub pragnienie. Kirgiz nasz, niziutkim aż do ziemi kułdukiem podziękował za propozycyą i łapczywie począł łykać kobyli trunek. Duszkiem wychylił trzy czasze, ale zatrzymał się przed czwartą, i wielokrotném « kułduk, ałdża, taksyr » wypraszał się od hojności pańskiéj. Na nasze nalegania, pił resztę z widocznym wstrętem, spełnił jednak warunek co do joty. Poczęstowaliśmy go późniéj w nagrodę parą kości baraniny, które tak ogryzł jak żadenby pies nie potrafił.

15 sierpnia.

Wstawszy rano, chodziłem na górę białą i postrzegłem, że jest alabastrową. W szczelinach rozsciela się jałowiec, ale nie taki jak u nas. Gdzie niegdzie astry, dzwonki i karagajnik. Ztąd o cztéry noce, tojest że

trzeba cztéry razy przenocować żeby tam dojechać, leży Bałchasz. Niedaleko od naszego stanowiska mają się poczynać równiny ciągnące się aż do Bałchasza.

W czasie popisu przyszedł młody jeden Kirgiz, i wyprężywszy się jak struna, zdjął arakczyn z głowy: wszyscy się zaśmieli, a sułtan Czołkonbaj rzekł do niego: « Widać żeś niedawno przybył z za Irtysza; musieli cię Rossyanie nauczyć zdejmować czapkę i wyciągać się po sołdacku. »

Wielką znajdujemy różnicę w tutejszéj włości od Kuczuk-tobuklińskiéj. Tam, jeśli który łgał, Kunanbaj rzekł słowo i zamknął mu usta; kiedyśmy jedli, wszyscy wychodzili prócz niego: tu, powaga młodego Czołkonbaja nie ma takiego wpływu, a wszyscy, potrzebni czy niepotrzebni, napełniają naszą jurtę. Wielu między nimi w ozdobnych i kosztownych chałatach tybetańskich: widać że zamożniejsi od Kuczuków, mianowicie ajaguzkich. Lenistwo i przyzwyczajenie do próżniactwa w niektórych szczególniejszéj jest mocy. Zauważaliśmy pewnego mułłę, człowieka mającego żonę, dzieci, gospodarstwo, który od rana do nocy, nic nawet nie mówiąc, siedzi u nas, chociaż jeszcze pierwszego dnia bydło jego zapisano. Natłok ciągły, pomimo odsłonionego tunduka, otwartych drzwi i podniesionych wojłoków, sprawił taką zaduchę i nieznośną woń, prawdziwie kirgizką, że aż się nam mgło zrobiło. Musieliśmy wyprosić natrętnych gości, i zostawiwszy samą arystokracyą urzędową, po jednemu wpuszczać potrzebnych.

Między Mumbetej i Kuczuk Tobuklińcami zachodzi jakaś niechęć, usuwająca na bok same nawet prawa

gościnności, nakazanéj w Koranie. Przybyli z Kunanbajem muszą nocować na dworze, gdzie do późna przy ogniu głośno gawędzą; nie poczęstowano ich ani kawałkiem baraniny: Kunanbaj musiał kupić dla nich barana na obiad. Kiedy zajadali go, a miejscowi podchodzili do nich patrzeć na biesiadę, ci łajali ich wyrzucając im niegodziwość i mówiąc: « Przyjdźcie do nas, a zobaczycie czy pożałujemy kawałka mięsa. » Obowiązki gościnności wyprowadzają Kirgizy z następnego zdarzenia. Do jakiegoś proroka, imieniem Ibrahima, przyszedł gość łaknący, a on go przepędził. Bóg pokazał się Ibrahimowi i rzekł: jeśli go nie nakarmisz, będziesz przeklęty. Prorok przelękniony, pobiegł za głodnym owym gościem i błagał go aby wrócił, ofiarując się wieźć go na swoim wielbłądzie, nieść nawet na swoich barkach, byle tylko przyjął n niego biesiadę i dał mu przez to sposobność zgładzić winę; ale gość nie chciał wrócić i poszedł daléj. Gdyśmy tę legendę cytowali Czołkonbajowi, on z niegościnności swéj względem Kuczuk-Tobuklińców tłumaczył się tém, że cała jurta jego napełniona teraz krewnymi, i nie wystarczyło mu nawet wojłoków na podesłanie dla nich. Tłumaczenie się byłoby nie złe, gdyby sąsiedzi Kuczuki nie musieli żywić się kupionym baranem.

Kunanbaj, jestto czysto machina do mówienia, zegar, który wtenczas tylko nie idzie, kiedy nie nakręcony. Zaledwie się zbudzi, puszcza swój język w ruch i gada bezustannie póki nie zaśnie. Kirgizy co chwila przychodzą do niego po radę, a on jak wyrocznia jaka prawi ze swego trójnoga, często podparłszy się w boki;

co trzy słowa cytuje Szerygat, a pamięć ma tak wielką, że wszystkie ukazy i rozporządzenia rządowe przytacza jak gdyby czytał z książki.

Bakany służące do podpierania czeharaku, stają się straszną bronią w ręku kobiét w czasie napadu na jurty. Z krzykiem Meger i Furyi, wypadają one z bakanami przeciwko napastnikom, i śmieléj się bronią niżeli mężczyzni. Często rzucają swe dzieci pod nogi ich koniom, lub nadstawiają je pod ciosy, dla obudzenia miłosierdzia; niekiedy zasłoniwszy niemi swe piersi, same zadają razy. Jeśli napastnicy uprowadzają wielbłądy, uczepiają się ich szyi i tak wiszą przez kilka wiorst drogi, wrzeszcząc, klnąc i błagając o zwrót własności. Widział to sam Wiktor w czasie przygotowań do chiwińskiéj wyprawy. Gdy im oddano zabranego wielbłąda, całowały go z radości, a na znak ukontentowania chwytały do gęby ziemię i jadły, dziękując ze łzami i z załamanemi nad głową rękami wykrzykując swoje *kułduk*. Sądny to ma być dzień, kiedy Kirgizy wpadają na jurty, łamią je, tłuką wszelkie naczynia i wszystko w pień wycinają. Skoro jeden złapie rzecz jaką, a drugi jest tego świadkiem, zaraz dopomina się o podział zdobyczy; zawiązuje się ztąd spór, który zwykle kończy się na tém, że najpiękniejszy chałat lub dywan rozdzierają po połowie. Jeśli w któréj jurcie zdarzy się widzieć część rozciętego dywanu, to pewno łup z baranty.

Straszne też bywają widowiska pożaru od ognia zapuszczonego w suche trawy stepu. Płomie częstokroć ogarnia jurty tak szybko, że nic uratować niepodobna,

ledwie dorośli ludzie umknąć mogą, a niemało dzieci pada ofiarą.

Przypomniałem sobie, że to dziś wielkie u nas święto, i że w ten dzień 1812 roku byłem w Słucku, kiedy obchodzono imieniny tego, co inaczéj i silniéj niż Dzingischan wstrząsał światem. Ach, jakto już dawno! Jednak wszystko mi najwyraźniéj stanęło w pamięci: i żołnierze polscy z francuzkimi w kościele — i komendant Laroche — i kazanie księdza Dominikana — i bal z którego wyjechaliśmy śpiesznie do domu, bo nadeszła wieść, że Hertel zbliża się ku Słuckowi.

Przypomniałem także, że dziś rocznica dnia, kiedy w 1839 roku byłem z Gustawem na stepie w okolicach Iszymu i zachwyciła nas okropna burza. Straszna to była noc! Dotąd mi jeszcze na jéj wspomnienie grzmi w uszach, i zdaje się że czuję ciekące po twarzy strumienie wody z błotem ziemi pokrywającéj *izbuszkę* sybirską, w któréj znaleźliśmy niby schronienie. Dziś, mój dawny towarzysz wygnania i polowania, śpi zapewne spokojnie przy miłéj małżonce, a ja tułacz po bezdrożnych stepach, kiedyż złożę moją głowę pod rodzinnym dachem!...

Pisałem do Januarego i do Gustawa.

XVII

Ak-basz-tau, 15 sierpnia. (Do brata.)

W przeszłym liście pisanym z Kurnynboj, uskarżałem się na srogie zimno, które mię napełniało obawą rychłego zobaczenia zimy. Obawa ta, jak się pokazało, była zbyteczną : zimno owo musiało być tylko skutkiem gradu i kilkodniowéj słoty przy północnym wietrze; po ustaniu jéj bowiem, mieliśmy znowu straszliwy upał i dziś cieszymy się jak najpiękniejszą pogodą. Noce nawet tak ciepłe, że sypiamy tylko pod kołdrami.

Trzeci dzień stoimy u stóp alabastrowéj góry, zwanej Ak-basz-tau, przy źródle wybornéj wody; lecz tu kres już gór, których tyle zwiedziliśmy — i co gorsza — dobrych wód. Odtąd spuszczamy się na płaszczyzny

nieobjęte okiem i w smutnéj perspektywie mamy słone źródła, słone jeziora i słone rzeki. Herbatę zastąpi bulion. Nie wielka to byłaby jeszcze biéda, gdyby był do niego kawałek chleba; ale jestto specyał, o którym nam wolno tylko marzyć jak o migdałach niebieskich.

Dowiedziałem się tutaj dopiero, na jak nizkim stopniu stoi u Kirgizów płeć piękna. W liczbie mężczyzn przybyłych do naszego aułu dla popisu ludności, przybyła także i jedna kobiéta w zastępstwie swego chorego męża i pana. Biédne to stworzenie wszedłszy do jurty, ma się rozumieć z kamczą w ręku, siadło skromnie w najgłębszym zakątku. Kiedy podano nam herbatę i cała arystokracya obsiadła dokoła nasze chińskie filiżanki, poglądając łakomie na ulubiony napój, powiedziałem Wiktorowi, czy nie wypadałoby poczęstować damę? — A! broń Boże! — odpowiedział — obraziliby się śmiertelnie ci wszyscy, których nie poczęstowałem. (Nie wszystkich zaś można częstować, bo znowu obraziłaby się starszyzna, gdyby to odznaczenie i plebs spotkało). — Alboż to bydło siedzące koło drzwi ma się za cóś lepszego od téj cichéj kobiéciny? — Czyliż nie wiesz jeszcze — odrzekł — że u nich kobiéta niżéj stoi niżeli koń? — Jakto! zawołałem. — A tak; Kirgizy w następującym porządku kładą stworzenia Boże: naprzód człowiek, po człowieku koń, po koniu kobiéta, a daléj wielbląd, krowa, owca, koza i nakoniec najnieszczęśliwszy pies. — Niebardzo chciałem wierzyć w ten szczególny porządek, ale zapytani przezemnie poważniejsi z Kirgizów potwierdzili w zu-

pełności prawdę słów mego towarzysza, z tym jeszcze dodatkiem, że prędzéj gotowi oddać dziewczynę niż dobrego konia. Niech i tak będzie; ale co na to powiedziałaby pani Sand czy Dudevant? Tymczasem powinszuj twojéj żonie, że się nie urodziła w kirgizkim stepie.

List do Gustawa przeszlij.

XVIII

Ak-basz-tau, 15 sierpnia. (Do G. Z.)

Kochany Gustawie! Po trudach całodziennéj pracy, poświęconéj liczeniu, zapisywaniu i dodawaniu kirgizkich koni, bydła i owiec, rzuciłem się zmęczony na moje stepowe łoże i wsparłszy głowę o poduszkę siodła, już, już miałem usnąć snėm sybirskich wieśniaków, którzy, jak wiesz, śpią gdyby zabici, gdy w tém odezwał się wdali głos pastuchów, pilnujących stada koni naszego sułtana Czołkonbaja. Głos ten przywiódł mi na myśl twoje rymy :

O dziwna nuto pieśni kirgizkiéj!...
Melancholijna — jak te płaszczyzny;
Dzika — jak krwawéj zemsty pociski;
Rzewna — jak tęskność do pól ojczyzny, i t. d.

Niepodobna było spać; bo i nuta kirgizka i wspo-

mnienia o tobie, jakby iskrą elektryczną wstrząsnęły wszystkie moje nerwy.

Noc — w swe gwiaździste skryła kotary
Uśpioną ziemię...

Towarzysz mój złamany trudem;

... wysilony
Jak spadłéj bryły bezwładne brzemię,
Całym ciężarem gruchnął o ziemię.

« W jurcie nastało głuche milczenie. » Korzystając z téj uroczystéj i poetycznéj ciszy, wstałem i zapaliwszy cygaro, wziąłem w rękę twego *Kirgiza*, który w niedostatku pułek leżał zatknięty za kieregi, obok mych pistoletów, kamczy i chińskiéj czapki; lecz jakże przyjemne dla mnie było zdziwienie, kiedy na widok wyrazów skreślonych twojém piórem na początkowéj stronicy: « Na pamiątkę nocy 15 sierpnia 1839 roku i t. d. » przypomniałem sobie, że dziś właśnie rocznica owéj strasznéj i pamiętnéj nocy na Burłakowym stepie, którąśmy ledwie nie przypłacili życiem, a przynajmniéj zdrowiem.

To wspomnienie doreszty odpędziło mój sen, jak silny podmuch wiatru chmurę natrętnych komarów: chwyciłem pióro zapisujące przed godziną jeszcze dżiłke, syir, koj — i oto masz list niespodziewany z Akbasz-tau.

Lecz ponieważ w okularach nawet na nosie, próżnobyś szukał na kartach waszych uczonych jeografów, mojego Ak-basz-tau, muszę ci powiedzieć: że to miej-

sce leży w kirgizkim stepie Średniéj Hordy, w karkaralińskim okręgu, w pobliżu gór Dżingistauskich; a że nie jesteś Mitrydatem, ani Mezzofantim, mam sóbie za obowiązek objaśnić: iż Ak-basz-tau znaczy dosłownie, biało-głowa-góra; i wistocie nie można było właściwiéj nazwać olbrzymiéj masy alabastru panującéj nad rozległą równiną, chociaż nikt z tutejszych nomadów nie wie, że to jest i co jest alabastr.

Wątpię nawet, azali sam Dzingischan, którego pamięć została w tych stronach jak odgłos dalekiego gromu, bieglejszym był w nauce mineralogii, niżeli dzisiejsi Kirgizy, których sułtani dumnie ród swój wywodzą od niego. Nie widać bowiem żadnych kopalni świadczących o użytku, jaki dawne wieki mogły mieć z téj góry. Władca Azyi, zamiast ruin alabastrowego pałacu, pozostawił tylko po sobie na górze Chan-Dzingis ślady ośmiu spróchniałych belek z wysokiéj wieży, na któréj szczyt wstępował w chwilach swych zaborczych przedsięwzięć, i tam, zamknięty przez dni siedem lub ośm, modlił się i naradzał, niewiadomo z Bogiem czy szatanem, iść czy nie, na wojnę przeciwko jakiemu narodowi.

Historya wraz z tobą zaśmieje się może z autentyczności moich Dzingischańskich belek; lecz ja, com zwiedzał rzymską grotę, w któréj stary Numa schodził się z młodą nimfą Egeryą dla politycznych narad, i wierzyłem w prawdziwość poetycznego podania, całém sercem przykładam wiarę do słów kirgizkiego bija Kunanbaja, który onegdaj opowiadał mi o téj wieży.

W téj chwili ponad otwartym czeharakiem méj

jurty przesuwa się zwolna księżyc; na *Drodze Ptasiéj* błyszczą gwiazdy ogniem dyamentów; lekko-chłodne powietrze nocy napełnia atmosferę; cały auł śpi we śnie głębokim; ucicha nawet psów szczekanie... Poetyczna, Szekspirowska chwila!... Czuję to i żałuję, że nie mogę dłużéj pogawędzić z tobą; lecz sen morzy, jutro rano trzeba wsiąść na koń (adłau!): więc wybacz i bądź zdrów.

16 sierpnia.

Młody nasz sułtan przyszedł dziś ze skargą, że prawie wszystkie jego auły odkoczowały, i prosił o kozaków żeby je nazad sprowadzić. Taka to jego władza! Odmiana powietrza, zabierającego się z pogody na deszcz, sprawiła mi jakąś ociężałość w całém ciele: dla rozruszania się po kilku dniach siedzenia, wziąłem strzelbę i poszedłem z biegiem strumyka wypływającego zpod alabastrowéj góry i rozlewającego swe wody po dolinie zarosłéj osoką. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zaledwie stąpiłem na grzązką łąkę, wyrwał się krzyk..., za nim drugi, trzeci, dziesiąty... Paf! do jednego, paf! do drugiego: krzyki moje poleciały z krzykiem. Wtedy dopiero przypomniałem sobie, że jedna rurka była nabita kulą przeznaczoną niegdyś dla tygrysa, a druga szrotem grubym jak na wilka. Dawniéj gniewałbym się na siebie i na strzelbę; ale teraz przyszła mi natychmiast do głowy uwaga, że choćbym miał szrót stosowny i ubił nawet tuzin krzyków, cóżbym z niémi robił? Ani komu i jak ich upiec, ani z czém jeść: kucharza, masła i chleba nie mamy.

Czołkonbaj choć jeszcze nie skończył dwudziestu pięciu lat, ma już trzy żony; dzieci jednak mało, bo te biédne stworzenia, bez starannego pielęgnowania, najczęściéj tu w początku życia umierają. Kiedym powie-

dział Wiktorowi, że Czołkonbaj trzyma zapewne ten harem dla pompy, jako bogatszy od drugich i sułtan — « gdzie tam ! — odrzekł : — dla usługi. Ktoby mu doił krowy i chodził koło domowego gospodarstwa? Czyliż nie widżisz, że oni nie lubią sług najmować, a jeśli jaka biédna kobiéta służy u nich dlatego tylko żeby z głodu nie umrzeć, to gorzéj od psa utrzymana. »

Wytoczyła się przed Wiktora sprawa szczególniejszego rodzaju. Od lat kilku znajduje się w tutejszym okręgu stary Taszkiniec, Chodża, który przyniosłszy z Azretu różne świętości, za wiedzą starszego sułtana, sprawował swoją professyą : jednych przeklinał, drugich błogosławił ; tym czytał modlitwy, innym rozdawał poświęcone talizmany — i dobrze mu się z tém działo, bo miewał różne chapcydensiki od Kirgizów, zwłaszcza gdy jego wziętość urosła niezmiernie, kiedy obrażony przez jednego Kirgiza, zatrzymał mu język w gębie, tak że ten od trzech już lat ani słowa pisnąć nie może. Tymczasem dwóch innych szarlatanów przywędrowało z Taszkinii, i z Keranem w ręku, z zapasem świętości azretskich, poczęło krążyć w okolicy i dań pobierać. Dowiedziawszy się o tém nasz Chodża, mianujący się potomkiem samego Azret-sułtana (świętego taszkińskiego), pośpieszył z drugiego końca okręgu przeciwko swym współzawodnikom i tu właśnie spotkał się z nimi. Skoro tylko ich ujrzał, począł łajać i wyrzucać im, że są włoczęgi, że przywłaszczają sobie prawo... okpiwania Kirgizów. Starszy z przychodniów, zniecierpliwiony napaścią, dobył z worka Keran i pal-

nął nim w łeb potomka Azret-sułtana, a w dodatku porwał go za brodę. Ten ostatni plunął na jego Keran i jak mógł sędziwą swą pięścią odpłacał za zniewagę. Wszczął się krzyk straszliwy na przyległém wzgórzu, powiększony wrzawą Kirgizów otaczających plac boju. Nie wiem na czémby się to skończyło, gdybyśmy nie posłali przywołać strony sporne przed nasz areopag. Tu dopiero, żałujący i obżałowani zabrali razem głosy. Kiedy starszy z wędrowców wykładał swoją rzecz słowami, młodszy tymczasem rozwijał i ciągle pokazywał jakieś sążniste pismo. Po długim zgiełku, Wiktor kazał dwóch nowych Chodżów wziąść pod areszt, jako praktykujących bez pozwolenia od miejscowéj władzy i winnych pokrzywdzenia starego Chodży, który uradowany tym wyrokiem, zaraz sobie pojechał modlić się, i zapewne przeklinać swoich przeciwników.

Gdy się uczyniło zadość brodzie świętego, Wiktor kazał przyprowadzić do siebie aresztowanych cudzoziemców. Byli to ojciec i syn, który znowu rozwinął swój dokument pisany po persku, a świadczący o pochodzeniu jego ojca od brata Azret-sułtana. Zawierał się w nim i dowod, że przybyli oni razem z Imanem, znajdującym się w Semipołatyńsku. Reszta sprawy poszła pod rozpoznanie władz kirgizkich. Ciekawe postacie obudwóch; syn szczególniéj, swoją układną i pokorną miną przypominał naszych Jezuitów i abbacików włoskich.

Pytałem Kunanbaja i kilku innych roztropniejszych Kirgizów, czy prawda, że stary Chodża odebrał mowę jednemu Kirgizowi. Odpowiedzieli, że tak jest wistocie.

Kirgiz ten nazywa się Ajtpaj i żyje w aule Czołkonbaja. Oszukał on na czémś Chodżę, i kiedy ten dopominał się o restytucyą, utrzymywał ciągle że w niczém nie zawinił. Wtedy Chodża zawołał: « Boże! jeśli ja sprawiedliwie posądzam tego człowieka o krzywdę mi wyrządzoną, skręć mu język, żeby drugi raz nie gadał fałszu. » Ajtpaj nazajutrz oniemiał. Z tego wszystkiego co przytém Kirgizy mówili o Chodży, pokazuje się, że to nie jest zły człowiek, nie powoduje się chciwością, sam żyje ubogo, a co dostanie oddaje biédnym, i jak powiadają, gdyby miał tysiąc baranów, natychmiastby je rozdał. Pytałem więc, czemu nie przywróci mowy Ajtpajowi. « Bo na niego zły i chce go przykładnie ukarać » odpowiedział Kunanbaj. Pomimo swego rozumu, widocznie boi się on Chodży i wierzy w jego moc tajemniczą. Wiktor mu przekładał, że to niepodobna aby Bóg dawał władzę człowiekowi, wedle upodobania źle innym robić; nic to nie pomogło, zawsze powtarzał, że Chodża przez swoich świętych zrobi co zechce. Jakże tego rodzaju ludzie nie mają mieć tu wpływu na umysły pospólstwa!

Powiadał mi Wiktor o Kirgizie, którego Witkiewicz woził z sobą do Litwy. Tak mu się podobała nasza kraina, a szczególniéj pewna Antosia, służąca krewnych jego pana, że chciał zmienić wiarę, ożenić się i pozostać; ale pan nie zezwolił na to. Chodząc do gorzelni, widywał on świnie pijące brahę, i sądząc z zapachu mniemał, że im dają wódkę. Za powrotem mówił Kirgizom: « Wyobraźcie sobie jaki to kraj: świnie mają wódki wiele chcą i potém upiwszy się

śpią w błocie. » Był tam u kogoś koń bardzo zły i narowisty, trzymany na łańcuchach; właściciel tego konia obiecał mu kilka dukatów, jeśli usiedzi na nim. Kirgiz, bez wielkiego zachodu dosiadł konia, poleciał w pole i tak hasał, że aż z obawy żeby go nie zamęczył, musiano posłać za nim upewniając, iż dostatecznie wygrał zakład.

Kunanbaj zwiedzał znaczną część nadbrzeża Bałchasza. Wedle jego opowiadania, w niektórych miejscach można dojść do samego brzegu: wszędzie trzcina wielka, tak grubéj jednak jak bakan, nie widział. W czasie zimnym można pić wodę, i bydło ją pije; ale w dniach upału, wcale jest nie do picia: smak ma gorzki raczéj niżeli słony.

17 sierpnia.

Zrana tak zimno, że ledwo ogrzawszy się herbatą i w watowanym sziafroku mogłem siąść do roboty. Po południu poszedłem ze strzelbą, by znowu, jako myśliwy, pocieszyć się choć widokiem krzyków. Bliżéj jeszcze naszéj jurty niż wczoraj, znalazłem ich kilka, ale po wczorajszemu przestraszyłem tylko hukiem strzałów. Kręciły się czas niejaki w górze i pozapadały w błotku na drugiéj stronie strumienia. Nie mogąc uderzyć po lwie, uderzyłem po myszy, i ubiłem trzy kuliki, jedynie dlatego, żeby otaczającym mię zewsząd

Kirgizom dać dowod zręczności strzelania z mojego mułtyku, który wprawiał ich w podziwienie i wywoływał wykrzykniki: oj boj! appermoj! Jakoż, otrzymałem rzęsiste oklaski. Jeden z widzów, który na swoim koniu stał nieruchomy jak posąg, puścił się lotem błyskawicy ku mnie. Proszę zgadnąć po co? Oto żeby mi ofiarować swój psiak do zarznięcia moich biédnych kuliczków, dawno już nieżywych. Nie chcąc obrazić i jego i Mahometa, dobyłem je z kieszeni (bo nawet torby nie miałem z sobą) i podałem mu siedzącemu na koniu. Poprzerzynawszy im garełka, zapytał mię: czy dobrze, i kiedym mu odpowiedział: dżałuj! — zwrócił mi dwa, a trzeciego zatrzymał sobie, jakoby w nagrodę za dopełnioną operacyą. Nie mając ochoty płacić tak wielkiego procentu, powiedziałem mu, że owe *kusz* przeznaczone są dla pulkundyka. Na to magiczne słowo, zaraz mi oddał ptaszka, i ja z moją zdobyczą tryumfalnie powróciłem do jurty, a że mój pulkundyk spał, także się położyłem i zasnąłem.

Umieram ze śmiechu! Amałdyk, nasz improwizowany kuchmistrz, który już pierwéj wymyślił na miejsce pieczonéj baraniny jakieś gałuszki, wystąpił dziś, oprócz gałuszek, z pierożkami nadziewanémi mięsem, i chcąc nam zrobić większą siurpryzę, wziął pod sekretem cukru i posypał nim swój wynalazek. Mięso pocukrować! Coby na to powiedział paryzki Vefour, lub nawet Mazur, kucharz warszawski? On zaś tak pysznił się ze swego pomysłu, jak gdyby zwalił system Kopernika.

Wieczorem chodziliśmy z Wiktorem na sam szczyt

Ak-basz-tau. Otwiera się ztąd nieobjęty okiem widok równin, prawdziwe morze stepu. Postrzegliśmy na dole Kirgizów, klęczących rzędem i wznoszących swe modły do Ałłacha. Kunanbaj ze swoimi modlił się osobno, i raz wyszedłszy na przód, trzymał przez chwilę ręce wyciągnięte ku niebu. Pstre chałaty, jednostajne ruchy całéj gromady, przytém pustynia, cisza, robiły na nas wielkie wrażenie. Mahometanizm rozszerza się coraz bardziéj pomiędzy Kirgizami.

18 sierpnia.

Skończyliśmy robotę. Pod wieczor Kirgizy poczęli rozjeżdżać się na wszystkie strony; okolica dotąd ożywiona, przybierała stopniami charakter pustyni. Ogarnęła mię jakaś tęskność, i tych Kirgizów, co mi się tak naprzykrzyli, żałowałem jak niezbędnie potrzebnych do mojéj exystencyi. Wszyscy nas pożegnali oprócz samego sułtana Czołkonbaja, który także rad był rozstać się z nami czém prędzéj, bo i jemu pilno było odkoczować daléj z okolicy Ak-basz-tau, objedzionéj do szczętu przez trzody. Przyszedł on do nas na herbatę z młodszym swym bratem. Są oni potomkami wielkiego rodu, ale nie bogaci. Pomorek bydła w r. 1811 nadwerężył ich fortunę; późniéj pominki po ojcu i wydanie dwóch siostr za mąż, bardziéj jeszcze ją uszczupliły. Pominki kosztowały 200 sztuk koni; każdéj z siostr dali po 40 szub, 40 dywanów i 5 saukli wartości sie-

dmiu wielbłądów. Ojciec Czołkonbaja Birała, był synem Toka, a ten synem Abłaj-chana, po którym nawet dziedziczą tiulengutów. W liczbie ich znajduje się stary mułła, który pamięta jeszcze chana, a do jego prawnuka przywiązany jak do własnego dziecka, jest głównym jego doradzcą.

Abłaj za młodu miał się nazywać inaczéj i był członkiem znakomitéj rodziny, koczującéj w Chiwie; ale spłatawszy tam jakiegoś figla, zemknął bez słychu, i gdzieś w akmollińskich stronach, u jakiegoś bogatego Kirgiza został prostym robotnikiem. Zdarzyło się, że temu Kirgizowi ukradziono dziéwkę, i kiedy on kręcił głową jakby ją odzyskać, Abłaj podjął się tego dokazać : wybrawszy ze stada parę najlepszych koni, puścił się w step, szóstego dnia dognał złodzieja z dziéwką i oboje panu przyprowadził. Odtąd Kirgiz miał dla niego względy, odział go lepiéj i darował mu kusą kobyłę. Zbierała się w tym czasie wyprawa pod wodzą Kipczaka Sryma przeciwko Kirgizom Dziko-kamiennym. Abłaj na swéj kuséj kobyle, przyłączył się do szeregu dziesięciu tysięcy wojowników. W ciągu pochodu, Srym zbliżył się do niego i rzekł : « Czemu ty, syn wielkiego rodu, jedziesz na kuséj kobyle? » — Mylisz się, odpowiedział Abłaj, ja nie jestem synem wielkiego rodu, tylko prostym Kirgizem, robotnikiem, i nic więcéj. » Długo nadaremnie Srym nakłaniał go do przyznania się, powiadając, że go zna dobrze, że ma obowiązki dla jego familii, zaciągnięte jeszcze przez ojca czy dziada, że chce mu się wywdzięczyć i postawić go na szczeblu odpowiednim jego urodzeniu; na-

reszcie, zmiękczony naleganiem i błaganiem Abłaj, trzeciego dnia odsłonił swoją tajemnicę. Wtedy Srym rzekł do niego: « Słuchaj mnie, a ja cię zrobię wielkim człowiekiem. Jutro zwołam radę wojenną, i gdy otworzę moje zdanie jak mamy działać, ty powiedz śmiało, że moje zdanie głupie; a gdy się na to oburzę, porwij za kamczę i zamierz się mię uderzyć: ja będę uciekał wkoło namiotu, ty pędź się za mną. » Tak się i stało. Kirgizy z zadziwieniem wytrzeszczyli oczy, patrząc coby to było, że jakiś ciura śmie podnieść rękę na ich wodza, i rzucili się wszyscy wstrzymywać szaleńca. « Stójcie! zawołał Srym. Jestto syn takiego a takiego to rodu, i nic dziwnego, że się poważył tak postąpić. » Potém Kirgizy poglądali już z uszanowaniem na rycerza i kusą kobyłę. Tegoż dnia, Srym zbliżając się do nieprzyjaciela, rozdzielił swe wojsko na cztéry części, i jedną z nich, Karaulców, oddał Abłajowi, nauczywszy go *sub secreto*, jak ma sobie postąpić wczasie bitwy. Abłaj korzystał z téj rady, a że i sam przez się był mężny, tak się dzielnie spisał, że nabył u wszystkich wielkiéj wziętości i sławy. Późniéj, osobiste jego zasługi i znaczenie rodowe wyniosły go na dostojność chana.

Wielu sułtanów wywodzi się od Abłaja, co bardzo naturalnie, bo jak stary tiulengut mułła powiada, miał żon kilkadziesiąt, a żadna nie była bezpłodna. Jurty napełnione żonami stały po dziesięć rzędem: wchodził do pierwszéj wieczorem, a na modlitwę ranną wychodził z dziesiątéj; nazajutrz z kolei odwiedzał drugi dziesiątek, i tak daléj.

Imie Abłaja jest w wielkiéj czci u Kirgizów : podczas napadów na Rossyan służy im za okrzyk wojenny, będący razem wezwaniem pomocy wielkiego chana. Szanują drogę, którą on szedł od Uła-tau do Ała-tau : dotąd nosi ona nazwisko *Abłaimadżił*. Chińczycy nawet zachowują szacunek dla jego pamięci tak dalece, że niektórym z jego potomków przysyłają podarunki. Słyszałem od naszych tłumaczów, a im mówił to Kunanbaj, że Kenesary, który także jest potomkiem Abłaja, wyprawił w tym roku dwiestu Kirgizów w poselstwie do Kuldży, dopominając się, na mocy jakichś dawnych umów z rządem chińskim, o wyznaczenie jemu miejsc zajmowanych niegdyś przez Abłajchana. Władze tameczne miały dobrze przyjąć to poselstwo i posłały Kenesaremu znakomite dary ; rzecz zaś o miejsca, przedstawiły rządowi w Pekinie.

19 sierpnia.

O chłodnym, tutaj już jesiennym poranku, pożegnaliśmy Ak-basz-tau. W téj saméj chwili, kiedyśmy siadali na koń, gospodarze nasi wyruszali także w inną stronę. Pani sułtanowa prowadziła swoją koczówkę na dwudziestu wielbłądach : towarzyszyły jéj dwie drugie żony i kilka dziéwek. Na jednym wielbłądzie stały ogony bażancie, a pikę sułtańską niosła jakaś stara baba. Brat Czołkonbaja pokazywał mi palcem dwie

nieszpetne dziewczyny, z których jedną nazywał Chaksy, a drugą Chaman.

Równiną po za wzgórzach jechaliśmy kłusem trzy godziny i nakoniec spuściliśmy się na obszerną dolinę, przerzniętą rzeczką Dżahandele, wzdłuż którćj stały auły Taraklińców.

W drodze, powiadali mi tłumacze o Dżanaku, sławnym w tych stronach bajarzu i pieśniarzu, który niedawno umarł. Dostawał on za swoje powieści i pieśni czasem i po jambie, i po kilka wielbłądów, majątku jednak nie zebrał, żył jako poeta, co miał to przeżywał.

Kiedy zgadało się o Dżingischanie, Izmajłow mówił mi, że o wiarst 40 od gór Dżingistauskich, w których wielki chan, idąc do Bucharyi, miał dwie zimy zimować, jest miejsce, gdzie widać ślady jakby jurt okładanych w koło dużémi plitami kamieni. Po lepszém rozpytaniu się pokazało się, że te plity zamykały obwód ośmiokątny, w którym był drugi z nich ośmiokąt tak ułożony, że boki jego odpowiadały kątom pierwszego. Niedaleko od tych śladów znajduje się pewien rodzaj twierdzy. Miejsce to leży między Kuczuk i Mumbetéj Tobuklińcami, obejmuje przestrzeń wzdłuż i wszerz przeszło dwiestu sążni, i nazywa się Kanaugur, czyli poprawniéj Karaungur, co po prostu znaczyłoby pieczarę, którćj wszakże niemasz. Czy nie tu było Karakorum?

Auły taraklińskie są o 26 wiorst od Ak-basz-tau. Skorośmy zbliżyli się do nich, spotkała nas miejscowa — niby arystokracya. Kirgizy kiedy chcą kogo ugo-

ścić okazale, wyjeżdżają na jego spotkanie i pytają czy nie pozwoli fetować siebie bajgą. Tak włości przestraszone przyjmowały asesora, ale Wiktor odmówił téj pompy. U Taraklińców niemasz nikogo z sułtanów, prócz familii Keske Urmaka syna; ale ten zamięszany do sprawy o przestępstwo przeciwko rządowi, umarł w więzieniu; część jego rodziny za inne sprawki, siedzi pod aresztem w karkaralińskim hauptwachu, a reszta koczuje opodal swojéj włości, zapewne dla lepszego ukrywania swych wycieczek na barantę. Teraźniejszy wołostny nazywa się Boktabaj Dairbujatryn. Najbogatsza w całéj włości rodzina Tentieka, bo posiada do 400 koni; reszta, i sam wołostny, biédota. Na wszystkiém, co nam podpadło pod oczy, postrzegliśmy od razu jakieś przykre piętno nieładu i nędzy: włość niewielka, rozproszona, mieszkańcy obdarci i brudni. Jurta dla nas postawiona przy źródle pod skalistą górą, już nie biała i ozdobna, ale czarna, ciasna, o spróchniałych kieregach i w dwóch miejscach dziurawa. Między dywanami jednak, rzuconémi nam pod nogi, był jeden wcale piękny — niewątpliwie owoc baranty: zdziwili się, kiedyśmy kazali zwinąć go i wynieść, żeby się nie zwalał. Nie pojmują oni téj delikatności, zwłaszcza pomnąc na asesora, który, jak powiadają tłumacze, rozpędziłby ich wszystkich gdyby mu taką lichą jurtę wystawili. Ubóstwo włości dało się nam uczuć w każdéj rzeczy. Zapytaliśmy czy jest mléko krowie, kobiéta odpowiedziała *dżok*. « A jeśli pokaże się, że masz krowę? » — « Niech będę nieczystą. » Kumys i ajran cieniutki, *chałap* (pomyje),

jak powiada Amałdyk, który wkrótce zaraportował, że na naszą kuchnię przyprowadzili barany parszywe.

Taraklińcy mają reputacyą złodziejów, i za takich przedstawił ich nam sam wołostny Boktabaj. Zwykle Kirgizy stają do popisu w najlichszém swém odzieniu, żeby tém łatwiéj wmawiać, że są ubodzy i nie mają bydła; ale tutaj, co za hołota! Gdy się zebrali, można było mieć prawdziwe wyobrażenie bandy barantarzy. W żadnéj włości nie przychodziło tyle kobiét w zastępstwie swych mężów. U Kuczuk Tobuklińców, widzieliśmy tylko jedną; u Mumbetejów dwie: tu naliczyłem ich dziesiątek. Wszystkie obszarpane, w łachmanach, i jedna brzydsza od drugiéj. Jakaż przyczyna tego zastępstwa? Oto, jak Wiktor i tłumacze utrzymują, że mężulkowie są na swojéj wyprawie przemysłowéj; bo gdyby byli w domu, nie zaniedbaliby przyjechać, jeżeli nie dla popisu, to dla przyjemności zjazdu, gdzie można pogawronić na ludzi, pogawędzić, a czasem i pożywić się jakiémi ochłapami.

Kirgizy bawiący się kradzieżą koni, nabierają takiéj namiętności do tego rzemiosła, że często, nie mając na czém wyjechać w step, pożyczają konia, z warunkiem, że za powrótem dadzą tyle a tyle sztuk zdobytych. Zdarza się, że nadzieja zawodzi, i przedsiębierca obiecawszy pożyczającemu dwa konie, przyprowadza tylko jednego; musi więc i tego oddać, a za drugiego odrabiać. Skradzione konie, jeśli trudno je ukryć, idą pod nóż, na zachowanie w kazach, to jest w kiełbasach. Nigdzie też nie widać tyle kiełbas końskich, co u Taraklińców.

Straszono nas oddawna złémi wodami, ale dotąd nie możemy się jeszcze na to użalać. Pod bokiem mamy studnię, w któréj woda, mianowicie do herbaty, dobra.

O zachodzie słońca, wdrapaliśmy się z Wiktorem na najwyższy szczyt skały przyległéj naszéj jurcie. Przepyszny widok na okolicę i rozsypane po niéj auły. Nad głowami naszémi krążył ogromny jastrząb, jak gdyby robił przegląd doliny. W dali sterczą góry Kokczetau, Myziech, i ów Tołpar, tak nazwany od imienia rumaka Azret-sułtana, który zostawił na płaskim i skalistym jego wierzchołku ślady swych kopyt. Wołostny nasz mówił, że śladów tych, bardzo wyraźnych, jest do czterdziestu. Nazwisko zaś górze miał dać Abłajchan.

Gdyby tu przyprowadzić jakiego Europejczyka, osobliwie właściciela stada, i postawić gdzie jesteśmy, niewątpliwieby zawołał: « Co za step jałowy! Moje koniki pozdychałyby tutaj z głodu. » A jednak ta dolina, na pierwszy rzut oka tak sucha i naga, pokryta jest kupkami drobnéj trawy, zwanéj *bitege*, którą Kirgizy wielce cenią i konie ich bardzo lubią.

Zapaliwszy cygara, długośmy rozmawiali o naszéj młodości, o rodzinnych stronach, o zwyczajach i przyjemnościach naszego domowego życia. Wieczor był chłodny i taka cichość panowała, iż zdawało się, że cała natura wymarła. Tęskno... wspomnienia prędko bledną bez oświecającego je promyka nadziei...

20 sierpnia.

Około południa, chodziłem zwiedzić okolice nad rzeczką. Płynie ona chyba na wiosnę, teraz w jéj łożysku stoją tylko rzędem małe jeziorka i kałuże, rzadko które połączone z sobą strumykiem. Ptastwa żadnego nie widziałem; jakiś tylko mały, błękitny ptaszek, musnął po wodzie i w step poleciał: nie mogłem go już odszukać i przypatrzyć się mu lepiéj. W aułach wszystkie bez wyjątku jurty czarne, stare, obszarpane; w wielu jednak zatknięta pika — dowod rycerstwa, ograniczającego się na skradzeniu jakiego konia. Przy jednéj jurcie kobiéty tkały szerokie taśmy: za krośnami siedziała dość ładna dziewczyna w pół naga, i za mojém nadejściem nie pomyśliła nawet o zakryciu swych wdzięków. Przypomniały mi się Otaitki i mieszkanki wszystkich wysp oceanu Spokojnego, gdzie płeć piękna także żyje sobie *au naturel*. Chociaż one zgoła nie mają odzienia i nie znają ani kumysu ani ajranu, sądząc jednak z tego co Dumont-d'Urville powiada, zdaje się że byt ich przyjemniejszy niżeli Kirgizek.

Od dni kilkunastu zaczęliśmy pijać przed obiadem po trochu wódki. Gdy się szczupły zapas naszéj skończył, Wiktor przypomniał, że ma hlaczek chińskiéj, przywiezionéj z okolic Czuguczaku; zaprobowaliśmy jéj dzisiaj: od czwartej części kieliszka zawróciło mi się w głowie, zresztą dość smaczna.

Kuchmistrz nasz wczoraj zachorował: Wiktor dał

mu na womity, i dziś zdrów zupełnie. Zapytaliśmy go, co za przyczyna choroby, czy nie obżarstwo? — « Nie — odpowiedział : — *staroje serdce.* » Niechże odgadnie najbieglejszy doktor jaka to choroba. O! gdyby to można było tak za pomocą emetyku albo oliwy rycyńskiéj odmładzać stare serca.

Wielu z Kirgizów nie ma ani wyobrażenia o Dzingischanie. Wołostny nasz, gdym go pytał gdzie on umarł, myślił że mówię o Jursunie Czyngisewie, ojcu byłego starszego sułtana; o nim samym zaś nic nie wie. Zapytałem go, czy wie przynajmniéj kto był protoplastą Tarakli, odpowiedział : « Tam, tam, tam daleko... kto go wie!... wiem tylko, że my Argyny. »

21 sierpnia.

W nocy deszcz z wiatrem, psy głodne zaglądały często do naszéj jurty, budziłem się kilka razy i zawsze słyszałem jednotonny śpiew pastucha.

Kirgizy liczą czas, od chwili przywiązywania lub spuszczania źrebiąt. Zrana o dziesiątéj, przywiązuje się źrebie krótko, żeby nie ssało klaczy, którą tymczasem doją : u bogatszych trzy, u uboższych pięć, sześć i więcéj razy; za każdym razem klacz daje po dobréj czaszce gęstego mléka, doi się zaś w *kunek* skórzany, to jest tursuk z szyjką. O 6éj, lub późniéj, wedle pory roku, spuszcza się źrebie z uwięzi i razem z klaczą idzie na paszę. Przybyli do nas wczoraj o 9éj wieczo-

rem na przewodników Kirejewcy, mówili, że wyjechawszy po spuszczeniu źrebiąt, zrobili dwa kocze to jest wiorst 40.

. Była już 10* gdyśmy opuszczali Taraklińców zupełnie na czczo, bo oni sądząc, że wyjedziemy o świcie, nie dostarczyli barana. Wziąwszy więc w kieszeń jeden piernik, który znalazł się niezapakowany, przewidywałem smutną perspektywę kłusowania z próżnym żołądkiem przez długą przestrzeń dwóch kirgizkich koczów; ale przykre uczucie głodu wkrótce stłumiła przyjemność jazdy na dzielnym, jak śnieg białym rumaku, którego nazwałem orłem białym. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć, ale to jest fakt, którego doświadczyłem kilkanaście razy, że ilekroć zdarzy mi się w stepie kłusować na dobrym koniu, zawsze czuję jakąś nieopisaną radość, zbliżającą się prawie do uczucia szczęścia : wpadam w najlepszy humor, śpiewam, serce mi się rozgrzewa, z rozrzewnieniem wspominam całą moją rodzinę, marzę jak we śnie lat młodszych.

Droga szła przez sołońce, resztki byłego niegdyś jeziora, którego znaczny cały zarys z odnogami, zachodzącemi pomiędzy niewysokie góry. Zwiedziwszy sterczące opodal dwie kałmuckie mogiły, wjechaliśmy w wąwoz zarosły karagajnikiem, tarnią i dziką różą. Jagody téj ostatniéj tak bujne i przyjemnego smaku, że kazawszy nazbierać ich po garści, odpędziliśmy głód do reszty. Ledwo teraz dopiero pozbyliśmy się zgrai psów, która szła za nami od aułów taraklińskich. Z wąwozu wyjechaliśmy na dolinę przerzniętą rzeczką, którą widzieliśmy u Taraklińców, a pokrytą kupkami

bitegi i piołunkiem tak mocnego zapachu, że siedzącym na koniu zdawało się jak gdybyśmy mieli go pod nosem. Tu kilkanaście kaczek i pięć dropi ożywiło głuchą pustynię. Nakoniec, przebywszy góry Dżyłtyn, spuściliśmy się na uroczysko noszące ich imie, i stanęliśmy między wzgórzami u źródła Kaindy-su we włości Kirejewskiéj.

Pyszna jurta, bogate kobierce warte po wielbłądzie, narodu huk, to wszystko bardzo przyjemne zrobiło na nas wrażenie; głód tylko dokuczał, a baranina błyszczała jeszcze w dalekim widoku: w tém wchodzi Taszkiniec, handlujący w stepie od lat trzydziestu, a do tutejszéj włości przed miesiącem przybyły ze swoim towarem, który chcąc zaraz na wstępie uczcić Wiktora, wnosi czajnik z herbatą, a w chustce uruk, kiszmysz i bursak. Nie można było trafić lepiéj w porę z uprzejmą grzecznością. Rzuciliśmy się na jéj smaczne owoce, i łyknąwszy po hauście chińskiéj wódeczki, takeśmy się przekąską posilili, że mogliśmy już spokojnie wyglądać naszego obiadu.

Tymczasem przyszły i wielbłądy: roztasowaliśmy się na kilkodniowy pobyt i poszliśmy spać; ale niestety, ledwie z pół godziny mogliśmy zdrzemać, bo wiatr, który już w stepie buszował, wybił nas ze snu. Ledwieśmy wstali i zaczęli przechadzać się po naszym obszernym stepowym salonie, wpadł ów młody buksa, który u Baraka żalił się, że mu jakiś kolega jednego ducha zabrał. Teraz przybiegł on ze skargą na sąd bijów, w następnéj sprawie. Siostra jego zaręczona Kirgizowi z włości Kunanbaja, okazała się brzemienną,

a on, jako reprezentant rodziny (bo ojciec nie żyje), skàzany został za to na zapłacenie panu młodemu, zgadzającemu się ją wziąść, aibu złożonego z dziesięciu młodych koni, trojga źrebiąt dwulatków, jednego wielbląda z wielblądkiem i dziewięciu różnych sztuk odzienia. Ma się rozumieć, że ta sprawa, jako osądzona po kirgizku, nie mogła już podpadać pod juryzdykcyą Wiktora, co się bardzo niepodobało obżałowanemu bratu : powtarzał ciągle : « Co ja winien temu, że się ona zaprzyjaźniła z jakimś tłumaczem. » Ma słuszność nieborak, ale cóż począć, kiedy takie prawo kirgizkiego Szerygatu. Mówiono mi nawet, że wedle tego prawa należałoby się więcéj, tylko Kunanbaj z tutejszym wołostnym załatwiając rzecz w sposób polubowny, przyznali jak najścisléj określony aib. W razie niemożności zapłacenia takiéj nawiązki przez głowę rodziny, wszyscy krewni panny młodéj muszą się nań składać.

Ku wieczorowi chodziliśmy oglądać okolicę naszego aułu : małe wzgórza, wszystkie dzikim kamieniem najeżone, w dolinie gęsto zarosłéj trawą, źródło; widok zacieśniony i smutny. Gdyby nie kilka aułów i trzody baranów, byłby to obrazek Palestyny.

22 sierpnia.

Był u nas na herbacie Jusunbaj, tutejszy wołostny, człowiek już w wieku. Dziwiło nas wczoraj, że zaraz

za przybyciem nie byliśmy, jak zazwyczaj, napastowani od natłoku Kirgizów, chociaż ich niemało widzieliśmy stojących i siedzących na przyległych pagórkach. Teraz się pokazało, że Jusunbaj im zalecił nie turbować Wiktora pośpiechem odwiedzin i dać mu wytchnąć z drogi. Pierwszy to przykład takiéj wyrozumiałości w Kirgizie.

Do osobliwych wyjątków zapisać także muszę Kirgiza z garbem. Przez cały ciąg naszéj podróży nie spotkaliśmy takiego exemplarza, a Wiktor nawet powiada, że pierwszy raz widzi garbatego w stepie.

Rzadko w któréj włości znajduje się tłumacz, zkąd wielka niedogodność; a jeżeli w swojém wędrownèm krążeniu i zatrzyma się gdzie dłużéj, to mały dla Kirgizów z niego użytek, gdyż najczęściéj myśli tylko o własnych zyskach, o chapcydensach za lada nabazgrany papier, nieraz nawet przeciw ich interesowi, co pochodzi niekiedy ze złéj woli, niekiedy zaś prosto tylko z niedokładnéj znajomości ducha ich mowy.

Mieliśmy dziś obiad, jakim się już oddawna nasze żołądki nie cieszyły. Taszkiniec zgotował nam pyszny pilaw z urukiem i kiszmyszem. Ten wyraz *pilaw*, czyli raczéj *pilau*, jak go Kirgizy wymawiają, widać nie jest powszechnie znany. Gdyśmy prosili Taszkińca żeby nauczył naszego kuchmistrza sposobu przyrządzania pilawu, nie wiedział o co rzecz idzie, i dopiero zrozumiał kiedyśmy mu powiedzieli: *kurcz*, to jest ryż.

Odebraliśmy listy z Omska. Miła to rzecz listy w takiéj pustyni, ale to niemiła, że przyszedł z niémi rozkaz jenerała, żebyśmy ułatwili jeszcze jeden interes w ba-

janaulskim okręgu, co może zabrać z miesiąc czasu i dać nam skosztować zimy stepowéj — kłaniam uniżenie!

Powietrze się zmieniło, a z odmianą powietrza i depeszą jeneralską przejmującą nas zimnem, zmienił się nasz humor. Biédny Wiktor spodziewał się przynajmniéj w końcu października uścisnąć żonę i dzieci, a tu nowe poruczenie Bóg wie jak na długo jeszcze oddali tę szczęśliwą chwilę; ja, chociaż nie zostawiłem w Omsku ni żony ni dzieci, i rad byłem pożegnać go na całe lato, jednak z przyjemnością marzyłem o powrocie, obiecywałem sobie urządzić starannie moją komnatkę, ustroić ją w pamiątki rodziny i przyjaciół, wypocząć po trudach tylomiesięcznéj podróży i zająć się przywiedzeniem do ładu moich notatek: teraz zamiast tego wszystkiego, trzeba myślić o tém, jak najskuteczniéj zabezpieczyć się od zimna i nie stracić zdrowia. O! trzykroć przeklęty Karbyszewie ze swoim Karangapem i całą sprawą, która nam tyle zmartwień przyczynia.

U Kirgizów, jak to i Lewszyn pisze, władza rodziców nad dziećmi jest nieograniczona do pełnolecia: ojciec może syna dać, darować, przedać; późniéj zaś nie ma prawa bez wiedzy i zgody dzieci majątku zbyć, ani raz im wydzielonego odebrać. Młodszy syn bierze we dwoje od starszych. Jeśli jest trzech synów, wtedy majątek dzieli się na cztéry części: jedna dla ojca, a trzy dla nich; ale najmłodszy sam tylko bierze w spadku część ojcowską. Pamiątki zaszczytne, jak naprzykład znaki honorowe od rządu, medale i t. d. oddają

się starszemu do przechowania na wieki w rodzinie. Dzieci nieprawe muszą poprzestać na tém, co im ojciec da za życia; lecz w razie nagłéj jego śmierci, bije przysądzają im wydział z pozostałości po nim, a jeśli nie ma dzieci prawych, zabierają wszystko.

Tenże Lewszyn pisze, że nad brzegami Kara-kingiru miał być dworzec jednego z potomków Dżingis-chana. Pytałem się tutejszych Kirgizów, ale nic o tém nie wiedzą; niektórzy tylko mówią, że Kara-kingir podobno w akmollińskiém. Na mojéj głupiéj mappie stepu, nic znaleść nie można. Mają tam być ruiny; jeśli tak jest rzeczywiście, to najpodobniéj że nad tą rzeczką było i owe zagadkowe Karakorum.

Nieszczęście mnie prześladuje: nigdzie nie mogę złapać owego sławnego buksy, co to ma nawskróś przebijać się długim nożem i przez wierzch jurty wylatywać w powietrze. Spodziewałem się zastać go u Taraklińców: wyjechał; przybywamy do Kirejewców: wyjechał! Lękam się żeby tak nie było i ze ślepą dziewczyną poetką, którą zapowiadają nam u Tiulengutowców; a żałowałbym, bo Chachłów cytował mi kilka jéj wierszy, istotnie zasługujących na uwagę.

Kirejewcy byli niegdyś jednymi z najbogatszych, ale ostatni upadek bydła okropnie ich podciął. Nie ma u nich żądnych sułtanów: był jeden, lecz i ten odkoczował z ich włości. Bardzo to nam na rękę, bo przynajmniéj w chwilach wolnych od zatrudnień, nie musimy znosić natręctwa téj arystokracyi, która przesiaduje u nas dlatego tylko, żeby napić się herbaty i zjeść kęs baraniny.

Widać że tutaj armiaczyna w wielkiéj modzie, gdyż cała prawie ludność ubrana w chałaty z téj materyi. Zaglądaliśmy kilku Kirgizom pod ich arakczyny: u każdego prawie głęboka blizna na łbie, u niektórych po kilka. Dziwna rzecz, jak oni mogą wytrzymywać takie ciosy. Każdy, któregośmy tylko pytali o przyczynę rany, powiadał że w pogoni za barantarzami dostał od nich tę pamiątkę; żaden zaś, ma się rozumieć, nie jeździł sam na barantę.

23 sierpnia.

Noc była chłodna, spaliśmy jednak doskonale; tylko kasker podkradający się do baranów, narobił hałasu, który mię raz przebudził. Ranek pyszny, zdaje się obiecywać stałą pogodę.

Przy herbacie rozmawialiśmy z Wiktorem o sposobach polepszenia bytu Kirgizów. Są włości, po sześć i dziesięć tysięcy mieszkańców liczące, w których niemasz nikogo, coby umiał czytać i utrzymywać ich stosunki z prykazem: potrzeba żeby w każdéj był stały tłumacz, człowiek porządny, dobrze płatny, dla którego należałoby domek wystawić. Potrzeba także koniecznie, żeby włość każda miała felczera, umiejącego coś więcéj niżeli krew puścić i wezykatoryą przyłożyć, a opatrzonego w aptekę i mieszkanie na zimę. Ospa, wenerya, febra, gorączki niezmiernie gubiące ludność, szerzą się i grasują sobie teraz bez żadnéj

zawady. Kirgizy widząc skuteczność pomocy lekarskiéj, powoli zaczęliby pozbywać się swych uprzedzeń, nabierać wiary w medycynę, a odstrychać się od tych szarlatanów buksów, mułłów, chodżów. Proste środki wieleby dobrego zdziałały przy téj silnéj i nieznarowionéj naturze. Nie wzdragają się oni przyjmować lekarstw z rąk *kafyra* (niewiernego), jeśli mają w nim zaufanie : przecież tylekroć prosili o nie Wiktora, a wiemy, że tacy lekarze, jak naprzykład Sokoliński, Jerzykowski, którzy delikatném obchodzeniem się z nimi i bezinteresownością potrafili zjednać ich ufność, mieli zawsze u siebie pełno chorych przychodzących po radę, byli nawet wzywani i wożeni do miejsc odległych. Zważywszy, że główném bogactwem Kirgizów są stada i trzody, należałoby do każdéj włości przysłać po kilka ogierów lepszéj rasy; możeby także z korzyścią dało się zaprowadzić u nich bydło tybetańskie, szczególniéj kozy i owce cienkowełniste. Dla lepszéj administracyi, wypadałoby żeby ilbilanczy czyli wołostny, zarządzający tak znaczną ludnością, miał przy sobie radę (sowiet), któraby wespół z nim zajmowała się sprawami zależnémi od jego władzy; sądownicza zaś niechby została jak jest w ręku bijów. Widać że obecny stan rzeczy musi być z wielu względów im niedogodny, kiedy najrozumniejsi z pomiędzy ich nam mówią : « Z tego że tu koczujemy, nie sądźcie żebyśmy byli zadowoleni z waszych rządów i urzędników. O! gdybyśmy wiedzieli, że gdziekolwiek na świecie jest kątek ziemi zdolny nasze stada i trzody wyżywić, wszyscybyśmy was rzucili, i aniby prochu po nas nie

zostało.» Narzekania te stały się już głosem powszechnym, odzywają się w pieśniach ludu. Ależ bo co to za urzędnicy bywali tutaj! Istni łupieżcy, barantarze. Wiele spraw przechodziło przez moje ręce, z których mogłem przekonać się co oni dokazywali. Nieraz aż serce boli słuchając opowiadania jak się odbywały popisy, które po kirgizku nazywają się *sau*, co znaczy także kawał mięsa. Każdy niemal z tych prokonsulów, czynność mu poruczoną uważał tylko za środek zrobienia sobie majątku: przylatywał otoczony kozakami, rzucał postrach na całe okolice i nie przebierał w sposobach zdzierstwa. Na jego rozkaz, tabuny i trzody musiały ściągać się w jedno miejsce z koczowisk o 150 i więcéj wiorst odległych, zostawując po drodze ślady nagłego pochodu: kobyły i krowy zrzucały, wielblądy, konie, owce padały; za skupieniem potém ogromnego natłoku, liczba trupa mnożyła się codzień z niedostatku żywności i wody. Pan urzędnik kazał sobie płacić za to, że sztuk upadłych za żywe nie rachował; kazał sobie płacić za mniemane utajenie liczb istotnych i za różne niby łaski, a potém, żeby okazać się gorliwym w służbie i nie być podejrzanym o *wziatki*, w oczach Kirgizów napisał cyfry inne, a przybywszy do prykazu podał inne. Ileż to obok tego trzeba było kosztu na utrzymanie i uraczenie wysokiego gościa. Barany przyprowadzane na kuchnią brakowano bez końca: nie dlatego żeby jeden był tłustszy od drugiego, ale żeby została po nim piękniejsza skóra, czarna lub kasztanowata. W każdym razie *ultima ratio* była kamcza, spadająca na plecy nietylko prostych Kirgizów, ale i

dostojników, wołostnych i starszyn. Jeden z tych groźnych władzców, dostał nawet tytuł: Kamcza-major, i dotąd słynie pod tém imieniem.

Kirgizy tak są nieprzyzwyczajeni do ludzkiego obchodzenia się z nimi i sprawiedliwości, że nie mogąc pojąć postępowania Wiktora, pytali wczoraj Amałdyka: « Powiedz nam, czy to on żartuje, czy istotnie jest dla nas tak dobry. Pierwszy to taki urzędnik rossyjski: nie krzyczy, nie łaje, nie stawi przy swojéj jurcie kozaków z kamczami żeby nas odpędzali. Inaczéj robił ten, ów, tamten. Od czasu jak wyszliśmy z łona matek, nie widzieliśmy, nie słyszeliśmy, ani wyobrażaliśmy sobie takiego urzędnika rossyjskiego. »

Przybył do nas z Karauł-kambarańskiéj włości Dżapałak, znakomity niegdyś batyr, człowiek już w wieku: twarz patryarchalna, oczy niezmiernie ogniste, wspaniała broda biała. Wszedł on do naszéj jurty kiedyśmy odpoczywali, i zapewne zwiedziony widokiem kobierca rozwieszonego nad mojém łóżkiem dla zasłony od ciągu powietrza, wziął mnie za Wiktora; ten zaś powiedział mi żebym go przez czas niejaki nie wywodził z błędu. Zapytałem więc: « Cóż tam u was mówią o mnie? » — « O tobie, rzekł, mówią dobrze, ale Asesor, to nam duszę wyciągnął. »

Coraz bardziéj przekonywam się, że Kirgizy mają wielkie zdolności umysłowe. Co za łatwość mówienia! Jak umieją każdy swój interes objaśnić i zbijać zręcznie zarzuty przeciwnika! U dzieci nawet umysł rozwija się bardzo prędko. Dziś kiedym był zajęty robotą, jeden malec, syn tutejszego bogacza, ciągle siedział przy

mnie i zaglądał w księgę. Ciekawy byłem na czém się to skończy; aż nareszcie poprosił mię o pióro i napisał cóś po tatarsku, na pokazanie że i on umie pisać. Bardzo go uszczęśliwiła moja pochwała téj jego umiejętności; ale kupiłem sobie biédę : odtąd jeszcze bardziéj zaczął opierać się o moje łóżko, trącać mię w łokieć, i jak lis do kurnika wtykać swój mongolski nosek w moje pisanie. Dowiedziałem się od niego, że w tych dniach sprowadza do siebie żonę, a małżeństwo nietylko jest *ratum*, ale i *consumatum*. Cóż było robić z tak uczonym i żonatym malcem, używającym razem wszystkich praw rozpieszczonego dziecka? Pozbyłem się go jednym pistonkiem. Nie tyle się zląkł wystrzału, ile się przeraził, gdym powiedział, że to trucizna : zbladł i źle mu się zrobiło.

Kirgizy miewają czasem szczególniejsze nazwiska : dawniéj spotkaliśmy Pułkownika, a dziś był przed nami jeden Kapitan, drugi Jesak, trzeci Pan. Skoro tylko przyszła koléj popisu na auł niejakiego Czurczuta, starca, bogacza, będącego w śmiertelnéj nienawiści z wołostnym, wszyscy prawie jego podwładni wznieśli głos przeciw niemu, że ich ciemięży i że rodzina jego, chociaż bogatsza od innych, do żadnych powinności nie chce należeć. Czurczut (co znaczy Chińczyk) nie szczędził także wyrzutów i prosił o przyłączenie go do innéj włości. Gdy Wiktor uczynił zadość obu stronom, przenosząc wielmożnego Czurczuta do włości starszego sułtana, rozległ się gromko dziękczynny kułduk za ten wymiar sprawiedliwości; a byli podwładni Czurczutowi, obrócili się z prośbą ku dru-

giemu starszynie, imieniem Pan, żeby ich raczył przyjąć pod swoją zwierzchność. Ten pan Pan musi być u nich wielce popularnym, bo gdy się zgodził na żądanie, okazali żywą radość, i dziękowali mu zdejmując nietylko czapki ale i arakczyny.

Po obiedzie, przyjechali Tiulengutowcy dowiedzieć się kiedy będziemy u nich. Po zwykłych przywitaniach, tutejszy ilbilanczy Jusunbaj, tak im rekomendował Wiktora : « Dawno już zostajemy pod rządem Padszy, ale dotychczas nie widzieliśmy jego człowieka — wszyscy, których nam dotąd przysyłał, nie byli to ludzie.» — Wiktor mu na to : « Chwalicie mię teraz w oczy, a potém może powiecie to samo co o Asesorze. » — « O! nie bój się. Asesor duszy nam nawet nie zostawił, a ty trzeci dzień jesteś u nas, i czy zrobiłeś komu jaką krzywdę. Gadasz z nami, śmiejesz się, żartujesz, jak gdyby nasz ziomek. Narod koło twojéj jurty krzyczy, kłóci się, spać ci może nie daje, a ty nie każesz kozakom rozpędzać kamczami. Od czasu naszego wejścia pod rządy Padszy, nie jedna już przeminęła wiosna, nie jedno lato, nie jedna jesień i zima, ale tak miłego, łagodnego, spokojnego lata nigdyśmy jeszcze nie mieli. Tyś nam je przyniosł z sobą. Ty jesteś naszém jasném słońcem. Tyś nam kazał przykoczować bliżéj do Taraklińców : myśmy twego rozkazu nie spełnili, bo tam nie było wody; lękaliśmy się twego gniewu, a ty za przybyciem wszedłszy w rzecz, ani przykrego słowa nam nie rzekłeś. Jakżeż nie mamy cię chwalić! Kiedyśmy byli nad Lepsą, któż nam był ojcem i matką, jeżeli nie ty? Byliśmy tam u swoich, a oni nas nie kar-

mili i nie poili; jurta zaś twoja stała dla nas otworem: w niéj mieliśmy i kumys, i herbatę, i przytułek.»

Chodziliśmy na przechadzkę i nawiedziliśmy koczujący kram Taszkińca. Oprócz mat nic więcéj nie miał: wozi z sobą dżołomiéj czyli kosz. Dama jakaś, ciekawa nas widzieć, pod pozorem kupna przyszła do kosza. Były z nią dwie jéj siostry: jedna podrostek, druga dziecko z pięknémi oczami. Kiedyśmy potraktowali je urukiem, dama przyjęła śmiało, a starsza z dziewcząt, w koszuli i o kilku kruczych kosach, zakrywszy twarz dłonią i odwracając głowę, wyciągnęła drugą rączkę. Przy rozejściu się dama ścisnęła Wiktora za rękę, w dowod zadowolenia, a może gotowości służenia mu swémi wdziękami, które są dość *passables*.

Dla Kirgizów wielki wstyd, gdy kto włość ich opuszcza i przenosi się do drugiéj, bo to znak, że z nimi żyć nie mógł. Jusunbaj i niektórzy ze znakomitszych Kirejewców, prosili przeto przybyłych Tiulengutowców, żeby pojechali do Czurczuta i starali się odwieść go od przenosin, chociaż to człowiek tak im uciążliwy. Tiulengutowcy uczynili co im obyczaj nakazywał, ale Czurczut nie dał się ubłagać.

24 sierpnia.

Gotowanie jedzenia do kobiét nie należy; a jeśli czasem ten honor je spotyka, to biorą się z wielką

obawą, bo byleby w czém mężowi niedogodziły, kamcza w robocie. Ich obowiązkiem, ogień rozłożyć, kasan wyczyścić i mięso przygotować; potém mężczyzni sami gotują, i zgotowawszy, sami obsiadają misę, a biédnym kobiétom ledwo się kosteczki dostają, i to jednéj tylko bajbicze. Są one wszakże litościwsze od mężczyzn. Jeńcy, którzy byli u Kirgizów w niewoli, opowiadali Wiktorowi, że kiedy leżąc związani, nie mogli u mężczyzn doprosić się kawałka krutu lub kropli wody, kobiéty ukradkiem dawały im jeść i pić, a wstając w nocy, żeby mężowie nie widzieli, przynosiły im kumys. Po śmierci mężów nie bardzo się one smucą : krzyk żałośny jaki zwykle wydają za przybyciem każdego obcego człowieka, na oznakę nieutulonéj boleści po stracie, jest tylko dopełnieniem obowiązku. Wiktor raz odwiedził wdowę po zmarłym wielkim swoim przyjacielu, drugiego dnia jéj żałoby. Natychmiast zawrzeszczała że aż się jurta zatrzęsła, ale dopełniwszy téj formalności, przybrała postać zupełnie spokojną i zaraz mu powiedziała, że brat męża chce ją zaślubić, ona zaś woli pójść za kogo innego. Kobiéta, jeśli kto z godnych uszanowania znajdzie się w jurcie, powinna siedzieć i na podniesioném prawém kolanie trzymając oparty łokieć, ręką dotykać swéj skroni. Takiémże dotknięciem skroni powinna uszanować każdego z wyższych i starszych, gdy spotka prowadząc wielbląda albo jadąc konno.

Dostaliśmy psa imieniem Kilahoj. Nazwiska psów bywają : Majnak, Ak-majnak, Czułak, Ak-czułak, Kara-czułak, Dżybdajak, Kaska-basz, Dżyt'-kujan.

Ilbilanczy widząc że naszego Kilahoja karmimy, rzekł: « Nie dawajcie mu dużo jeść, bo jutro nie będzie jadł.» Tak oni troskliwi o umiarkowanie psiego apetytu, ale ze swoim wcale się nie miarkują. Wczoraj rozpoczęli swój post, *uraza :* cały dzień nie jedzą i kumysu nawet nie piją, ale w nocy wynagradzają sobie. Był dziś u nas jakiś Chodża : gdy Wiktor zapraszał go do baraniny, odpowiedział : « Już ja moje usta zamknąłem. » Nie wszyscy jednego dnia robią to zamknięcie : religijniejsi zawczoraj już suszyli, inni dzisiaj jeszcze mają usta niezamknięte, zwłaszcza ci, którzy nie chcą stracić zręczności zjedzenia u nas barana i wypicia herbaty.

Pogoda zmienna, deszcz kilką nawrotami, wietrzno i chłodno. Skończyliśmy robotę ; jutro wyjeżdżamy ztąd do Tiulengutowców.

25 sierpnia.

Po ulewnym deszczu w nocy, rozpogodziło się zrana. Wyjechaliśmy o pół do 8éj. Czas był prześliczny, grunt tylko rozmokły psuł przyjemność podróży. Koń mój, chociaż niezrównanéj doskonałości inochodziec, utykał się często, raz nawet biegąc z góry, przypadł na kolana i o mało mię nie zrzucił. Jechaliśmy bardzo prędko, przelecieliśmy drogę jeneralską, wiodącą z Karkarałów do Ajaguzy, na któréj stały dawniéj pikiety, przebiegliśmy okolicę górzystą i we cztery go-

dziny stanęliśmy u Tiulengutowców na uroczysku zwaném Kuksakdenbui albo Uzuny. Przyjął nas ich ilbilanczy, Chudajmenła sułtan, który zaraz na wstępie, na wzmiankę o Asesorze wykrzyknął: « Oby on przepadł ztąd na dziewiątéj ziemi! »

Słysząc oddawna, że w tutejszéj włości znajduje się ślepa dziewczyna improwizatorka, przedewszystkiém byliśmy ciekawi ją poznać, i pan sułtan natychmiast ją sprowadził. Nazywa się ona Dżazyk, nie widzi od urodzenia, liczy sobie lat dwadzieścia, chociaż wygląda na więcéj i rzeczywiście podobno ma dwadzieścia dziewięć; twarzy dość przyjemnéj, nieco ospowata, wyróżowana. Poprosiwszy o kumys, zaczęła swoje śpiewy od tego: « Wezwana przez Buleke (półkownika), stawię się z radością by opiewać czasy jego błogie dla nas, nie takie jak Asesora, który niech będzie trzykroć przeklęty. Co tylko umiem wszystko zaśpiewam, ale proszę o wzgląd, że przyszedłszy na świat ciemna i przez dwadzieścia lat niemająca ulgi w mojém nieszczęściu. nie mogę tak śpiewać jak drudzy. Gdyby nie ta kara Boska, nie byłabym gorszą od innych... »

Prosiliśmy jéj żeby nam zaśpiewała « Ałatau-densu » pieśn opowiadającą czasowy pobyt jéj rodu w górach Ałatauskich. Zaśpiewała więc jak następuje:

« Od wieków zajmowaliśmy tutejsze ziemie, ziemie najlepsze w świecie, bo nigdzie niemasz takiego powietrza, takiéj wody, takich pastwisk jak w naszéj Karkarąlińskiéj krainie; nigdzie takich stad koni, bydła i baranów, takich kierkej (kóz) cienkowełnistych, takiego kumysu.

« Żyliśmy wolni, spokojni, niezależni od nikogo, pod rządem własnych naszych bijów. Ale sułtani zaczęli nas ciemiężyć : jadły nas te kaskery (wilki), coraz większe nakładając podatki. Czon nie dozwalał im gnębić biédnego ludu i nawet był ich wypędził z Bajan-aulskiéj ziemi; lecz Czon umarł, a sułtani chcąc nas zdzierać i spodziewając się tém łatwiéj ugiąć, poczęli porozumiewać się z Urusami, i olśnieni blaskiem ich złota, zaprzedali im nas niewinnych.

« Urusy zbudowali sobie miasto w Karkaralińskich górach, zabrali nam najlepsze miejsca na swoje pikiety, i postawili w nich ludzi złych, dla trzymania nas w poddaństwie. Wielblądy nasze musiały zwłóczyć belki sosnowe na ich budowle. Żeby nałożyć jesak, liczyli nasze konie, bydło i barany. Gdzie wisiał ogon koński, zapisali konia; na kim postrzegli łachman kożucha, nie chcieli wierzyć że nie ma ukrytych owiec. A Dżamantaj, ten chciwiec bogactw niesyty, jeszcze pomagał do gnębienia nas...

« Do żywego dojęci uciskiem, nie mogliśmy wytrzymać w naszéj ukochanéj ziemi. Powoli, powoli oddalaliśmy się od niéj, i drogą zalaną naszemi łzami zaszliśmy aż w Ała-tau, w smutną krainę naszego wygnania, bo tam wszystko inaczéj : i powietrze mgliste; i góry tak wysokie a strome, że często z nich ludzie i konie w przepaść padają; i wody gwałtowne; i zły owad *biju* (tarantuła), który gdy ukąsi, człowiek wrzeszczy jak wielbląd; i zły kumys; i zła pasza; i gorszy nad wszystko, drapieżny sąsiad Sadyr-Mataj, który codzień nam dokuczał.

« Żyliśmy tam, lecz ciągle wzdychaliśmy i tęskniliśmy do naszéj Karkaralińskiéj ziemi. Żal po niéj zmusił nas do powrotu, bo nigdzie niemasz takiego powietrza, takiéj wody, takiej paszy, i t. d. »

Dulcis humus patriæ!

Poetka nasza jest śmiała : na wszystko odpowiada rozsądnie, z uprzejmym uśmiechem. Kiedyśmy zapytali, kto ją nauczył śpiewać, rzekła : « Bóg mnie upośledził, ale dał mi ducha; on mi wynagradza kalectwo, nim natchniona śpiewam. » Piła z nami herbatę, co jéj dozwolono jako nieszczęśliwéj, gdy tymczasem nikt, ani sułtan, nie śmiał złamać postu i tknąć się podanéj filiżanki. Po herbacie śpiewała znowu :

« Ja ślepa, upośledzona, losem moim znękana, przychodzę przed oblicze wysokiéj osoby i blasku jego widzieć nie mogę. Nie mogę widzieć twéj jasnéj twarzy, Buleke! bo mi Bóg oczu nie dał; ale mam słuch i czucie. Słyszę głos narodu, żeś wielki, rozumny, sprawiedliwy, łaskawy, opiekun biédnych i uciśnionych. Śmiało zbliżam się do ciebie, wchodzę do twojéj jurty jak pióro do kałamarza, siadam przy tobie, boś ty niedorównany między Urusami! Przybyłeś spisywać nasz narod i kłaść liczbę naszego bydła. Przybyłeś, a na spotkanie twoje wybiegło wszystko : starcy, kobiéty i dzieci. Nie tak było kiedy przyjeżdżał trzykroć trzy razy przeklęty Asesor : wszystko się przed nim kryło i uciekało. On nam przynosił smutek i łzy; ty przynosisz wesele i radość. Sprawiedliwy człowieku, postępuj z nami jak postępowałeś z innymi : głos narodu dójdzie uszu Boga, Bóg cię na téj ziemi uszczęśliwi

dziećmi, majątkiem, a na tamtym świecie przygotuje wielką, wspaniałą komnatę dla twego odpoczynku. Nie mam ja oczu, nie widzę światła Boskiego, lecz sercem wymodlę błogosławieństwo Boże dla ciebie. Asesor przeklęty od całego narodu, nie będzie miał snu spokojnego, pomyślnéj drogi, łzy nasze pociekną za nim wszędy, uschnie on i zginie; ty, błogosławiony przez cały narod, szczęśliwie odbędziesz twą podróż, wrócisz na łono twéj żony, uścisniesz twe dziatki. O Buleke! bądź zdrów i niech wszystko tak się stanie jak sobie życzysz!»

Na zapytanie, czy nie zaśpiewa nam czego o Kenesarym, odpowiedziała, że jeszcze nie ułożyła żadnéj pieśni o nim; ale zdaje się że skłamała, bo jak widać było, starszyna kirgizka ostrzegała ją po cichu żeby nie wyjeżdżała na plac ze wszystkiemi swemi pieśniami dotyczącemi Rossyan, zwłaszcza gdy postrzegli, że sztrofy o Dżamantaju poczęliśmy spisywać. Wywołali ją nawet za jurtę i tam jéj cóś gadali.

Uradowana z naszego przyjęcia i wynagrodzona, wychodząc improwizowała jeszcze pożegnanie. Nas także niemało zajął jéj talent. Wszystkie jéj pieśni i improwizacye są rymowane. Widać wielką łatwość władania swoją mową, a w głosie przebija się jakaś dziwna czułość, właściwa tylko kobiécie. Słuchałem jéj ze wzruszeniem, jakiegoby mi nie sprawił śpiew najsławniejszéj *prima-donny*. Wściekałem się na moją nieznajomość kirgizkiego języka, tém bardziéj, że nasi tłumacze nie są w stanie schwycić i oddać piękności wyrażeń poetycznych. Im nawet pieśni Dżazyki wydają

się w ogóle zagmatwane i niejasne; ale cóż można wymagać od ludzi, którzy nigdy nie czytają. I oni jednak przyznają, że wyraża swoje myśli bardzo mocno i czule, a co osobliwsza że w rymach.

Sułtani zaraz nam dali dowód charakteru, w jakim ich poezya przedstawia. Skoro przyszło do popisu, za przyrzeczenie że im tyle zapiszemy ile powiedzą, obiecali nam dopilnować ścisle innych; prosili tylko, żeby nie dozwolić Kirgizom słyszeć, jakie oni będą podawali liczby. Cóż dziwnego że narod ich tak nie lubi, kiedy ci arystokraci wszędzie i zawsze dbają tylko o siebie.

Nareszcie choć w tej włości znaleźliśmy buksę. Posłaliśmy więc po niego późno wieczorem i stawił się wkrótce ze swoją kobzą. Gdy stroił ten instrument, a stojący wokoło Kirgizy zachwalali jego umiejętność, rzekł: « Nie chwalcie mnie, bo szatan nie przyjdzie. » Wiktor powiedział mu żeby « pobuksił » jak i kiedy skończymy naszą podróż. Zaczął tedy rzępolić i w długim, coraz głośniejszym, a tak niesłychanie szybkim śpiewie, że nie wiem jak mu język zdołał nastarczyć obrotu, wzywał różnych bogów, świętych i aniołów, między którymi figurowali Izrael i Gabryel. Przy tym śpiewie ruszał ramionami, odstawiał przed siebie kobzę ustrojoną w brzękadełka, a nakoniec, pchnąwszy się niby w brzuch nożem, przewrócił się kilka razy po jurcie i rzekł, że wszystko pójdzie jak najlepiéj i za cztéry dni otrzymamy rozkaz kończyć czémprędzéj robotę. Prosiliśmy go potém, żeby nam pokazał jaką sztukę, żeby naprzykład wyleciał przez czeharak. Na to pokręcił głową i odpowiedział: « dżok, » to jest że tego nie

umie, ale dodał: « Dajcie mi sto nożów (zapewne będąc pewnym, że tyle się u nas nie znajdzie), a ja poigram niemi. Zebraliśmy naprędce cztéry noże, które on położywszy sobie na plecach, kazał obwiązać się pasem, i tak spowity tarzał się po całéj jurcie, a potém wydobywszy je z pod obwiązki, wbijał sobie w ciało tak nieszkodliwie, że ani kropla krwi nie popłynęła. Widząc że partacz, poszedłem spać; ale postać tego szarlatana w czerwonéj czapce i z kozią bródką, jego dzika muzyka i śpiew djabelski, jurta oświecona mdłym płomykiem świéczki, cały ten piekielny obrazek, powtarzał mi się we śnie i męczył jak marzenie gorączkowe.

26 sierpnia.

Wstałem o 7ej z bolem głowy. Dzień piękny. Okolica nasza jest ogromną równiną, zarosłą długiemi powojami i drobną trawą; woda gdzieniegdzie w niższych miejscach, ale niedobra : cała ta płaszczyzna musiała być dnem jeziora, bo i namuł gliniasty wyraźny. Widokręg w kilkunastu punktach zakreślają górki, z których największa nazywa się Temir-czy, to jest *żelazna*, chociaż wyraz ten dosłównie znaczy *kowal*. W jéj skalistych, ostro jeżących się wierzchołkach mieszkają archory. Pierwszy raz widziałem tu u Tiulengutowców, łyżki z rozparzonego rogu archora, służące do nalewa-

nia kumysu z wielkich czasz drewnianych do małych czaszek. W tych stronach dają się już widzieć kułany, czyli dzikie konie. Kirgizy bardzo cenią ich skóry, wywożą ich wiele do Taszkinii, gdzie są dobrze płacone, a u siebie robią z nich saby, tłómoki i różne rzeczy; mianowicie zaś wyprawiają na swoje kalosze zielonego koloru w jaszczur, który nadaje się posypując rozmiękczoną skórę prosem i przyciskając ciężarem. Młody kułan, jak tylko się urodzi, może już biedz za matką. Złapany i przyprowadzony pod kobyłę domową, chociaż ją ssie i ta przyjmuje go za swoje dziecko, pasie się jednak opodal od innych, i skoro tylko cokolwiek podrośnie, drapie w step na swobodę. Koń swojski zabłąkawszy się czasem pomiędzy kułany, dziczeje. Chętnie one dają mu współobywatelstwo, jeżeli nawet ma pęta na nogach, to je rozgryzają. Stada ich składają się niekiedy z tysiąców, i gdzie są zasiewy, robią wielkie szkody: tego lata wyjadły pszenicę Tiulengutowcom.

Jeden starszyna opowiadał, że Asesor bawił tu dni dziewiętnaście i przez ten czas zjadł 150 baranów; dokazywał przytém niesłychanych rzeczy. Kiedy odjeżdżał, przeprowadzali go chcąc nie chcąc, ze strachu. Przy pożegnaniu odezwał się: « No, powinniście być kontenci ze mnie: nic wam złego nie zrobiłem; a spodziewam się, macie to za szczęście, że tak długo u was gościłem. » Kirgizy zdobywszy się na odwagę, odpowiedzieli mu: « Cóż chcesz żebyśmy ci w oczy mówili; ale skoro się ztąd oddalisz, bądź pewien, że krzywdy nasze zostaną nam w pamięci, i ślady twoje przeklniemy. » Zamilkł i poleciał cwałem.

27 sierpnia.

Wczoraj, niedoczekawszy się poczty, na któréj spotkanie chodziliśmy ze dwie wiorsty, położyliśmy się o 9éj, i nic do siebie nie mówiąc, zasnęliśmy smutni. Dziś odebraliśmy pocieszającą wiadomość, że poczta przeszła już przez Karkarały, a zatém może jeszcze przed nocą odeszlą nam Kirejewcy, co dla nas wiezie.

Otrzymujemy zażalenia na Czurczuta, który oddalając się od Kirejewców, różne breweryе porobił: tym co nie chcieli z nim iść, pozabierał wielblądy, a kiedy jeden z nich udał się do niego po swojego wielbląda, kazał go uwięzić jako złodzieja; miał nawet uderzyć po koniu Jusunbaja, gdy ten pojechał mu perswadować, żeby się opamiętał i niewinnych nie krzywdził. Ci bogacze stepowi, ufni w swój majątek, obchodzą się z ubogimi jak sami chcą.

Przyszedł jakiś młody pastuch skarżyć się na swego pana, że mu urznął kawałek ucha i łeb przeciął. Nie liczy on na sprawiedliwość kirgizkiéj władzy i powiada, że chociaż teraz, póki my tu jesteśmy, przyrzeką upomnieć się o jego krzywdę, to po wyjeździe naszym, jeszcze go wyszturchają za skargę. Do uszu, jak widzę, mają oni szczególniejszą skłonność: często one figurują w sprawach, które rozpatrywałem. Wiktor powiadał, że kiedy był na wyprawie z Manzurowem,

przyprowadzono raz do obozu kilku Kirgizów złapanych z ich przedniéj straży. Razem z jenerałem i jego sztabem, otoczyli ich dla przypatrzenia się Kirgizy, znajdujący się przy Rossyanach jako przewodnicy. Wtém nagle jeden z przewodników, dobywa nożyk, rzuca się na jednego z jeńców, i urznąwszy mu ucho, poczyna je gryźć zębami. Zdumiony jenerał, kazał go wstrzymać, i zapytał co to znaczy. « O ineine sigein! — zawołał sprawca — to bor (złodziéj): on wtedy a wtedy ukradł u mnie dziesięć koni; ja go teraz poznałem. » Ucho schował do kadby i odszedł zadowolony.

O południu było ciepło i nawet gorąco, wieczorem przejmujące zimno. Już noc: poczty jak niemasz tak niemasz, a jutro o świtaniu trzeba ztąd wyjechać.

28 sierpnia.

Noc była nieznośnie zimna, ranek nie lepszy: wiatr słotny buszował po otworzystéj płaszczyznie, upstrzonéj aułami Tiulengutowców. Nie doczekawszy się poczty, zabieraliśmy się do wyjazdu w kwaśnym humorze. Już staliśmy z kamczami w ręku, poglądając smutnie na śnieżne chmury okrywające skalistą Temir-czy, kiedy Kirgiz o dwu-koń przybyły z Karkarałów, przyniosł kilka zleceń rządowych i paczkę listów, w liczbie których znalazłem dwa do mnie od rodziny, chociaż da-

wnéj daty, bo jeszcze w maju i czerwcu pisane. Aż mi się cieplej zrobiło i zdawało się że horyzont rozjaśniał. Przeczytawszy je, siadłem z Wiktorem do arby, żeby o ich treści pomowić i oswoić się cokolwiek z chłodem. Po godzinie kołowéj jazdy, kazałem podać sobie konia przygotowanego dla mnie, który tą razą był inochodziec popielaty w białe pręgi. Nigdy nie jechaliśmy tak prędko. Zrazu było mi zimno, ale potém ledwie nie gorąco, czego zapewne i mój koń doznawał, bo często gęsto musiałem go zachęcać kamczą, żeby nie został w tyle od piątki niosącéj arbę na złamanie szyi, zwłaszcza gdyśmy wpadli na jeneralską drogę. Cała przestrzeń wiorst przeszło czterdziestu, którąśmy przelecieli, ciągnęła się między górami dość znacznemi, zwanemi Kiczubaj. Mnóstwo ich szczytów, ostro prawie zakończonych, kryło się w chmurach co chwila grożących deszczem ; nie spadła jednak ani kropla, i przybyliśmy szczęśliwie na dolinę przerzniętą rzeczką Karangap, która teraz zupełnie sucha, i jak wiele rzeczek u Kirgizów, w różnych miejscach różne ma nazwiska : u początku Kysz-murna, w środku swego biegu Karangap, a daléj Aktaj-łak (młody wielblądek), od imienia góry sterczącéj nad jéj korytem. Właśnie pod tą górą spotkaliśmy pierwsze stada baranów Nadau-Tobuklińców, a za nią, jak daleko sięgała dolina wciskająca się między pasma wyżyn, ukazały się wzdłuż rzeczki auły otoczone stadami koni i wielbłądów, krów zaś prawie nie było. Gdzie niegdzie mogiły ze swemi narożnikami. Żadna włość nie wydała mi się tak piękną jak ta : gdyby tylko słońce nad ostremi szczytami skał,

myśliłbym że jestem w Arabii i mam przed sobą namioty Beduinów.

O kwadrans na drugą zatrzymaliśmy się u progu jurty, postawionéj dla nas w blizkości gór Kiczubaj, dających swoje nazwisko temu miejscu. Powitał nas bij Sarmantaj, który niedawno został ilbilanczym, po usuniętym sułtanie Akanie ; ztąd dwie partye u Nadau-Tobuklińców, ale sułtańska bardzo słaba. Sarmantaj człowiek znaczącego spójrzenia, miłéj postawy i wcale nie głupi. Jurta chociaż mała, ale za to tak zawieszana i zasłana dywanami, że zupełnie przypomniała mi czasy szkolne, kiedy bywało ubieraliśmy klasę w dzień imienin którego z naszych profesorów Dominikanów.

We dwie godziny dopiéro późniéj przybył nasz oboz, to jest wielblądy i Kilahoj. *A propos* wielblądów, przypomniałem, że zimą wielki z niemi kłopot. Nietylko trzeba je ubierać w chodaki i całe prawie obszywać, ale gdy przyjdą w karawanie na nocleg, dla każdego rozgrzebać śnieg aż do ziemi i podłożyć koszmę. Karmienie także wymaga wielkich ostróżności : pospolicie robią gałki z mąki z solą i takich trzy lub cztéry dają zrana ; trawą zaś tylko wtedy można karmić, gdy karawana zatrzyma się na czas dłuższy albo odbywa dniówkę.

Wieczorem ilbilanczy i starszyny prosili o audyencyą. Mówili oni, że nie ufają Akanowi i mając go w podejrzeniu, iż dlatego namawiał koczować coraz daléj, żeby ich wydać Kenesaremu, złożyli go z urzędu.

Tiulengutowcy, Nadau-Tobuklińcy, Ałtyke-Sarymowcy, Karson-Kirniejewcy i Kunajczy-Tagajewcy

największy prawie dochod mają z lisów, których tu mnóstwo. Łapią je w żelaza i różne kapkany, szczwają chartami i sokołami, doganiają końmi. Charty mają wyborne, a sokoły bardzo cenią: za dobrego berkuta dają wielbląda i więcéj. Każda jurta dostaje co rok około stu skórek lisich, które przedają się po trzy, pięć a czasem i pięćdziesiąt rubli. Przez dwa ostatnie lata niewiele było lisów, w tym roku zaś spodziewają się ich dużo: wnoszą to z ukazania się niezmiernéj ilości myszy, za którémi, jako za swoją żywnością, pośpieszą i lisy. Nadau-Tobuklińcy trudnią się także łapaniem i strzelaniem kułanów.

29 sierpnia.

Niech mi panna Dżazyk daruje, ale jéj przechwalony klimat, okropny. Zawczoraj i w letnich chałatach było zbyt ciepło; wczoraj musiałem czterdzieści wiorst lecieć cwałem żeby nie zmarznąć na koniu: téj nocy, w najwygodniejszéj jurcie jaką można znaleść na stepie, długo dzwoniliśmy zębami nim sen skleił nam powieki, a tłumacze nasi zasnąć nawet nie mogli od zimna, chociaż rozłożyli ognisko; dziś o 9éj zrana, woda stała jeszcze zamarzła w korytach, gdzie poją konie. Około południa słońce grzało trochę, ale wiatr ciągle zimny. Natłok Kirgizów, tak nam dawniéj nieznośny, teraz był na rękę, bo ciepło sprawiał; inaczéj

trudno byłoby obejść się bez ognia. Pod wieczor chodziliśmy na przechadzkę, i widzieliśmy w łożysku rzeczki bite rowy przez szukających złota. Zimno nie dało długo zastanawiać się nad widokami.

Pisząc do Januarego, muszę znowu ujmować się za reputacyą Kirgizów. Kochana mama codzień wznosi modły do Boga, aby ta dzicz-nie zjadła mię żywcem, jak to często bywa u wyśpiarzy Spokojnego oceanu, którzy niezmiernie lubią bifsztyk z mięsa Europejczyków. Tymczasem, jakkolwiek wdzięczen jestem za jéj macierzyńską troskliwość o mnie, śmiało ją zaręczyć mogę, że życie moje w tutejszych stepach tak jest bezpieczne, przynajmniéj ze strony Kirgizów, jak w każdym innym, najcywilizowańszym narodzie. Szczerze nawet mówiąc, z większą obawą chodziłem po ludnych ulicach Neapolu, niżeli po tutejszych pustyniach. Od czasu naszego wyjazdu z Omska najmniejszego cienia niebezpieczeństwa nie widziały nasze oczy. Oddaliwszy się od granic chińskich, gdzie koczują niepodległe plemiona, nie mamy nawet więcéj jak cztérech kozaków w eskorcie, a i tych obecność bardziéj potrzebna dla posyłek z rozkazami niżeli dla zabezpieczenia naszych osob. Zpoczątku, pistolety moje i dubeltówka zawsze były nabite i zawsze napodorędziu, a teraz, piérwsze leżą w tłómoku żeby niezerdzawiały, druga spoczywa sobie w futerale. Przy jurcie naszéj nigdy żadna straż nie stoi, a oprócz psów głodnych nikt do niéj nie zajrzy w nocy. W przeciągu tylu miesięcy, na jeden denar nic nam nie zginęło. Słowem, pomimo swoich wad, wypływających częścią z braku oświece-

nia, częścią z religii zamąconéj przesądami i zabobonami, jest to narod nie gorszy od drugich. Nasze niższe klasy w porównaniu z Kirgizami bardzoby się źle wydały.

Pisałem do Michała, i dla rozgrzania się natarłem uszy moim tobolskim przyjaciołom.

XIX

Kiczubaj, 29 sierpnia. (Do Michała *** w Tobolsku.)

Dla waszéj ciekawości udzielam improwizacyą kirgizkiéj dziewczyny Dżazyk. Posyłam ją abyście mieli wyobrażenie, co to jest kirgizka poezya i co znaczy Wiktor w stepie. Stolicę Dżingischana odkryłem w dzisiejszym Kara-ungur. Dwudziesto arkuszową rozprawą dowiodę uczonemu światu, że Karakorum panów Rubruguiz i Plano Carpini jest to samo co Kara-ungur. Milczenie wasze nietylko mnie dziwi, ale nawet zachwyca! Za wszystkie moje wylewania się z uczuciami najgorętszéj przyjaźni i najognistszego przywiązania; za wszystkie dowody mojéj pamięci o was w górach Ałatauskich, Tarbogatajskich, Dżingistauskich, Akbasztauskich; za wszystkie moje listki i świstki z Oj-

dżau-tau, Kok-su, Kurnyn-boj, Kaindy-su i t. d. : od ciebie dwa tylko wyrazy, od Antoniego jeden, od Onufrego żadnego. Prawdziwie, takiém milczeniem niemém, głuchém, głupiém mogły tylko odpowiadać Napoleonowi dzikie skały Świętéj-Heleny, lub Mickiewiczowi zmarzły szczyt Czatyrdahu, kiedy jeden rozpowiadał pierwszym o swéj minionéj wielkości, rzucając im w oczy nieśmiertelne imiona Marengo, Abukiru, Wagramu, Jeny... a drugi poświęcał ostatniemu niezrównany swój sonet. Milczcie sobie jak skały i lody. Dam wam pokoj i nigdy odtąd nie usłyszycie mego głosu. Nie będę się starał przebudzić was z grobowego uśpienia, ani listownie ani osobiście. Przesiękły czułością dla was, chciałem na święta Bożego Narodzenia przylecieć do Tobolska; bo cóżby mi znaczyło zrobić dla przyjacioł w krytych saniach jaki tysiąc wiorst, kiedy mogę tysiące ich cwałować na koniu dlatego tylko, żeby spalić sobie twarz w ogniu pięćdziesiątstopniowego upału, wywędzić członki na chłodnym wietrze pustyni, lub odmrozić kawałek nosa narażając go na zimno kirgizkiéj strefy. Ale dziś doświadczywszy waszéj czułości anorganicznéj natury, nie głupim! Wrócę do Omska i będę w nim siedział jak motyl « gdy w bursztyn utonie. » Żadne wasze prośby i groźby nie wywołają mnie z mojego ukrycia. W zaciszu mojéj komnatki będę pisał dzieje naszéj podróży, i jak więzień Wielkiéj Brytanii zapomniał o Europie, tak ja zapomnę o was. *Dixi.*

30 sierpnia.

Wstawszy o 9éj, z przyjemnością ujrzeliśmy słońce, ciepłemi swemi promieniami oświecające naszą romantyczną, arabską okolicę, choć cała błyszczała od szronu; ale wkrótce znowu wiatr zimny zaświstał, że aż boki jurty się zatrzęsły. Nim jednak wzięliśmy się do roboty, pogodniéj i cieplej się zrobiło. Wiktor z radości poczęstował mnie dwoma cygarami *regalia*, przysłanemi od żony. Łyknęliśmy po hauście wódki zrobionéj ze spirytusu, i byliśmy w dobrym humorze.

Przy popisie, gdy chodziło o liczbę bydła zapisanego *in plus* jednemu starszynie, i Wiktor oświadczył, iż w téj mierze zawierzy słowu Sarmantaja, podniosły się zewsząd okrzyki : kułduk! barekieldy! Ach! co to za miła rzecz miłość narodu : żaden odtąd nie śmiał skłamać. Téj chwili nigdy nie zapomnę.

Po południu, gdy Wiktor zasnął, wyszedłem z cygarem w ustach żeby się ogrzać na słońcu, bo w jurcie, zwłaszcza przy spuszczonym tunduku, daleko zimniéj niż na dworze. Siedząc sobie zasłoniony jurtą od wiatru, z przyjemnością przyjmowałem w moje ciało ciepłe promienie, i patrząc na Kirgizów rozjeżdżających się we wszystkie strony, zazdrościłem im łatwości znoszenia wszelkich zmian powietrza, co nam wychowanym w starannie opalanych pokojach tak tru-

dno, a częstokroć nawet przy najsilniejszéj woli i mocy ducha niepodobna, bez przypłacenia zdrowiem. Kirgizom dzisiejsze zimno ani w głowie, jadą sobie w swych letnich chałatach, kiedy my musieliśmy wydobyć z tłómoków nasze kaftaniki, szaliki, futra, słowem cały arsenał przeciwmrozowy. Zanurzony w tych myślach, postanowiłem pierwszą pocztą pisać do brata, aby swych Gustawków i Witołdków wychowywał po kirgizku; bo kto wie jaka ich przyszłość czeka: a jeśli kiedy los niespodziany zapędzi ich, tak jak stryja, na sybirskie lub kirgizkie pustynie, to będą mogli bez wielkiéj przykrości stawić nos przeciw wiatrom i mrozom.

31 sierpnia.

O 1éj po południu wyjechaliśmy od Nadau-Tobuklińców. Wielki był kłopot z końmi. Kozacy musieli im kąsać uszy nim zdołali cokolwiek uśmierzyć. Ryczały, warczały, kwiczały, a skoro tylko je zaprzężono, ruszyły z kopyta. Trzeba było całéj zręczności i odwagi kozaków, żeby im dać radę; nie obeszło się wszakże bez zerwania kilku sznurów, a jeden swoją uzdę przegryzł. Mój koń, masłowatéj szerści, posłyszawszy krzyk i hałas, podniosł uszy do góry i chciał także lecieć w step : wiele odbyłem z nim korowodów, nimem go nakłonił do umiarkowanego biegu; ale wstrzymywany

w zapędzie, potykał się o kamienie co chwila, i kilka razy ledwiem mu przez łeb nie zleciał. Okropnie zmęczyłem sobie ręce; nie chciałem jednak go zmienić dlatego, że niosł lekko, a trochę i dla fałszywego wstydu.

Przeprowadzał nas liczny orszak Tobuklińców. Sarmantaj pytał, czy nie chcemy wziąść kumysu na drogę. « Każę — mówił — włożyć kilka sab na wielblądy i dać choć dziesiątek baranów : wyście u nas nie tyle zjedli co poprzednicy wasi. »

Pominąwszy dawny pikiet, z którego tylko zostały słupy i część mieszkania, wjechaliśmy na drogę wiodącą do Karkarałów szerokim wąwozem pomiędzy górami. W parę godzin wzięliśmy się na lewo i ciągle przebywając góry kamieniste, zatrzymaliśmy się przy jedném z mnogich tu źródeł na nocleg; bo chociaż ujechaliśmy zaledwie wiorst cztérdzieści, ale tłumacze mówili, że jesteśmy w miejscach trochę niebezpiecznych, i nie chcieliśmy zostawić naszych wielbłądów zbyt daleko za nami.

1 września.

Noc była ciepła, spaliśmy pod szatrem spokojnie, nie przebudzeni ani krzykiem wielbląda lub konia. Wstawszy o wschodzie słońca, po herbacie ruszyliśmy w dalszą podróż. Z miejsca naszego noclegu widać

była góra Karkarały, za którą zaraz i prykaz kąrkalińskiego obwodu, ztąd nie daléj jak o wiorst cztérdzieści. Popasywaliśmy nad jedną z rzeczek tworzących rzekę Dżerłę. Dnia tego byliśmy dwanaście godzin w drodze, i najmniéj 110 wiorst zrobiłem konno. W arbie z dziesięć razy przemieniano konie i wszystkie ustawały. Nie wiem nawet jakbyśmy dojechali, gdyby Sarymowcy nie wysłali na nasze spotkanie świeżych swoich pociągów; bo góry a góry bez przerwy, a wszędzie zasypane kamieniami jakby umyślnie w ostre kanty rzniętémi. Trudno pojąć jak nasze koła wytrzymały. W niektórych miejscach droga szła wąwozem tak ciasnym i zawalonym głazami, że trzeba było za pomocą rąk i arkanów windować arbę na górę i grzbietem jéj objeżdżać ten przesmyk. Spuszczanie się z gór najbardziéj przykre i i niebezpieczne, zwłaszcza mając w zaprzęgu piątkę waryatów. Raz poniosły z wysokiego szczytu i nie obeszłoby się bez przypadku, gdyby kozak nie wskoczył na swym koniu pomiędzy zaprzężne, i nie palnął w łeb kamczą dyszlowego tak dzielnie, że wszystko zatrzymało się w połowie spadzistości.

Cała przestrzeń, którąśmy przebyli, dość malownicza: wszędzie skały w różnych kształtach; dużo kirgizkich i kałmuckich mogił kamiennych z wyobrażeniami zatartych twarzy; wody częste i dobre, brakuje tylko lasu, ledwo trochę rokit i brzoz widzieliśmy w drugiéj połowie podróży. Na dolinach ziemia poryta od kretów, myszy i lisów: nieraz konie zapadały w kretowiska i nory. Po górach zdybywaliśmy archory, które znikały nam z przed oczu jak błyskawica: pełno

ich rogów wala się na miejscach gdzie dawniéj stały auły. O kilkanaście kroków odemnie pomknął młody wilczek : Kirgiz puścił się za nim, ale gdy koń wpadł w jamę, zleciał o sążeń i na tém skończyła się pogoń. W odległości widzieliśmy góry Kyzył-raj, ciągnące się wiorst ze cztérdzieści, pokryte lasem sosnowym i mającym mnóstwo źwierza : archorów, marałów i wszystkiego « kop kop. » Widzieliśmy także górę Bergkarę, gdzie doskonała ruda ołowiu : dobywa ją Popow i wozi przetapiać do swojéj fabryki w Ku.

Koń mój cudów dokazywał : trzy kwadranse ledwie odpoczywaliśmy na popasie, a on nietylko że nie ustał, ale ostatnich wiorst trzydzieści leciał jak opętany. Wyprzedziłem Wiktora o całą godzinę, który przyjechał w swéj arbie daleko więcéj niż ja zmęczony i stłuczony. Stanęliśmy na noc u Ałtyke-Sarymowców w dolinie nad rzeką Tokran pomiędzy górami, z których największa Kuczuku. Ilbilanczy Dżaugutty, prosty, niedostatni Kirgiz.

Mówił mi tłumacz Izmajłow, że improwizatorka śpiewając w ich jurcie, użyła wyrazu *Karakorum,* a gdy się jéj zapytali co przezeń rozumie, odpowiedziała, że to znaczy « miejsce pozostałe po spaleniu trzcinisk nad brzegami Bałchasza » gdzie Tiulengutowcy pò opuszczeniu karkaralińskiego kraju koczowali u Jusunów. Osmalony wojłok nazywa się podobnież. Być może tedy, że Dżingischan koczował gdzieś na wypalonym stepie, lub na wypalonych trzciniskach nad jaką rzeczką albo jakiém jeziorem. *Urum* wistocie znaczy miejsce.

Cały dzień była pogoda, tylko z wiatrem, jak zwyczajnie na górach zimnym, na dolinach ciepłym.

2 września.

Spaliśmy wybornie. Nade dniem, zdawało się nam niezupełnie przebudzonym, że kilkadziesiąt gwiazd błyszczy w naszéj jurcie : było to światło przedzierające się przez małe dziurki w koszmie pokrywającéj przednią część jurty niedość starannie opatrzonéj.

Pierwszy raz piłem herbatę z niby śmietanką kirgizką. Czysta herbata tak mi się uprzykrzyła, że i ta pseudo śmietanka sprawiła mi przyjemność. Zrana był u nas Dżaugutty ze swą starszyzną. Mówili że oczekują starszego sułtana Kuszbeka, lecz gdy Wiktor zapytał czy postawili dla niego jurtę, wzięli się za głowę i zaczęli się kłopotać. Wiktor im powiedział, że jeśli mają trudność w zebraniu naprędce dywanów, mogą je wziąść z naszéj jurty. Niezmiernie mu dziękowali, wykrzykując : « O! co to za człowiek, bo to i niewymagający i dobry do porady. » Dżaugutty zaś dodał : « O! z innego on rodu jak nasi urzędnicy; on Belek : ród jego ten sam co żony Karatochty. » Była to Polka, żona jednego z zasiedatieli, podobno Ewsiejewa.

Wiktor utrzymuje, że prości Kirgizy, którzy nigdy nikogo z obcych nie widzieli, daleko lepsi są od tych, co przyjąwszy wiele cudzego od sąsiadów, odstąpili od

dawnéj swojéj prostoty. Opowiadał mi zabawne rzeczy o dwóch Kirgizach, którzy byli u niego w Orenburgu. Zaprowadził raz ich na teatr woltyżerów. Widząc konia robiącego sztuki, w głos krzyczeli; a gdy ten padł niby nieżywy, rzucili się ze swemi nożykami dorznąć go, żeby nie zdychał po pogańsku. Wstrzymano ich od téj usługi, ale chodzili potém przekonać się czy to rzeczywiście był koń : dotykali się go palcami, mierzyli piędzią, a przeświadczeni o niezaprzeczonéj jego końskiéj istocie, zdecydowali że miał w sobie djabła.

Mnóstwo skarg zanoszą do nas ubodzy na swych braci lub krewnych bogatszych, którzy nietylko nie dają im żadnego wsparcia, ale jeszcze jak mogą uciskają.

Asesor i tu słynie powszechnie. Nazywają go Aseke, z dodatkiem przeklęstwa : *den artyk sałganem*. Wyrazy obce prawie zawsze przeinaczają się w ustach Kirgizów : z wołostnego zrobił się *bołost'*.

Pod wieczor, gdy się wiatr uciszył, poszliśmy na przechadzkę. O kilkadziesiąt kroków od naszéj jurty, znaleźliśmy na wzgórzu kilkanaście kamiennych mogił kałmuckich, zarosłych trawą i poczerniałych od niepogod. Niektóre są bardzo obszerne : śpią w nich może naczelnicy rodzin, a nikt ich teraz nie odwiedza, oprócz myszy, które pod każdym prawie kamieniem powyrabiały sobie nory. Widok z tego miejsca na całą okolicę wspaniały. Spuściliśmy się ztąd na dolinę, gdzie stały auły. Zimno tak się wzmogło, że palce krzepły i nie można było w jednéj ręce długo utrzymać cygara. Pomimo to, Kirgizki przed swemi jurtami, już

przy świetle księżyca, tkały armiaczynę z wielbłądziéj szerści, a inne z malutkiemi dziećmi nosiły się po podworzu. Bębny te, w jednych tylko koszulkach, nie okazywały najmniejszego cierpienia od mrozu. Pogłaskaliśmy jednego z nich, imieniem Ali; nietylko się nie skurczył od dotknięcia zimnéj dłoni, ale jeszcze się uśmiechnął. Zwyczajem jest Kirgizów dodawać lata swoim małym dzieciom, jak gdyby z radości, że je dochowali do tego wieku. Na zapytanie ile lat ma Ali, chociaż zaledwie mógł mieć rok, matka odpowiedziała że ma dwa lata. Dojono przy nas owce. Stawią je do dojenia przywiązane powrozkami za szyje po dziesiątck rzędem w taki sposob, że jeden dziesiątek ma głowy obrócone w tę, a drugi w przeciwną stronę. Kirgizka ze skórzaném wiaderkiem usiada ztyłu owcy, i uderzywszy ją mocno pięścią, poczyna doić. Jeśli owca mléka nie daje, powtarza razy naśladując uderzenia jagnięcia. Na widok naszego przybycia zbiegła się cała ludność i niezmiernie była uszczęśliwiona, że kto chciał mógł rozmawiać z Wiktorem. W zgromadzeniu panowała wielka swoboda i wesołość. Młodzież żartowała z dziewcząt, pozwalając sobie wyrażeń i konceptów bardzo śmiałych, co bynajmniéj nie oburzając płci pięknéj, wywoływało śmiech powszechny.

Wróciwszy do jurty wypiliśmy dla rozgrzania się po czaszce gorącego mléka, i radzi z tak wybornego środka, sami sobie nie mogąc zdać sprawy czemu nam dotąd nie przyszedł na myśl, cieszyliśmy się odkryciem nowego posiłku w stepie. Wkrótce przybiegł Kożemsagur, adjutant Kuszbeka z doniesieniem, że już on

jest u Karson-Kirniejewców. Tęgi chłopiec, niezmiernie żwawy i wesołego humoru. Naśmieszył nas, przedziwnie naśladując z dowcipną przesadą Urunbaja: jego miny, giesta, pochlebstwa pochwalne i sposoby przymawiania się do podarunków. Nie śpieszyliśmy iść spać, bo niemasz po co rano wstawać. Póki słońce nie ogrzeje powietrza, nie chce się wychodzić z jurty, a Kirgizy ledwo po 9ej zbierać się zaczynają: na nic wszystkie rozkazy żeby stawili się do popisu wcześniéj; będąc całą noc *sur le qui vive* na zawołanie pastuchów, potém śpią długo.

Pisałem dzisiaj do Anzelma Iwaszkiewicza, który siedząc sobie w Odessie, ani się domyśla, że tu jego towarzysz i jego imiennik ziębną w stepie.

XX

Znad Tokranu, 2 września. (Do A. J.)

Żebyś się nie przyzwyczaił do zapomnienia o dawnym twym towarzyszu, który cię zawsze jednostajuie kocha pomimo upływu lat i odległości coraz bardziéj nas rozdzielającéj, przypominam się twojéj pamięci z głębi kirgizkich stepów, których przelotnym mieszkańcem jestem już kilka miesięcy. W téj chwili, przybywszy wraz z twoim imiennikiem, szanownym Wiktorem, nad brzegi rzeki Tokran, płynącéj u stóp ogromnéj góry Kuczuku, korzystam z kilka godzin odpoczynku, by ci przesłać uściśnienie i donieść, że zdrowie moje nadwerężone w Omsku, szczególniéj téj zimy, znacznie się poprawiło na świeżém powietrzu. Pomyślną tę odmianę w sobie zawdzięczam także codziennemu używaniu kumysu, prostym ale niebardzo przy-

jemnym pokarmom, i ciągłéj prawie jezdzie konnéj, do któréj tak przywykłem, że teraz sto wiorst przelecieć po górach i stepach daleko łatwiéj mi przychodzi, niżeli za naszych iszymskich czasów odbyć podróż do Gagarynéj lub Strechninéj. Zdziwisz się zapewne czego tak latam jak arabski Beduin po swéj ulubionéj pustyni; powiem ci więc, że z polecenia rządu jestem tu urzędnikiem pogranicznego naczelnictwa, dla spisania ludności i bydła w ajaguzkim i karkaralińskim okręgu. W pierwszym z nich skończyliśmy już szczęśliwie nasze poruczenie, a teraz drugi miesiąc włóczymy się po ostatnim z aułu do aułu, i pomimo najusilniejszych starań i chęci wrócenia do Omska przed zimą, nie spodziewamy się prędzéj zapisać na naszych kartach ostatniego barana, jak w połowie pazdziernika. Smutna to bardzo perspektywa dla nas, bo już i teraz zimno często dokucza, a cóż to dopiero będzie za miesiąc i daléj? Boję się bardzo, abym marznąc codzień po trochu, nie wrócił do Omska zmarzły zupełnie jak sterlet jadący w zimie z Tobolska do Moskwy lub Petersburga; ale cóż robić kiedy inaczéj być nie może! — « Przyjemnieby to jednak było, po tak długiéj i trudzącéj podróży, wrócić żywym i zdrowym do ciepłéj komnaty, i pędzić w niéj zimowe wieczory, paląc dobry turecki tytuń. » Temi słowy odezwał się dzisiaj do mnie Wiktor, i na wspomnienie tureckiego tytuniu, którego wielkim jest miłośnikiem, a którego w Omsku za żadne pieniądze dostać nie można, łzy nam prawie rozczulenia błysnęły w oczach. Długośmy gadali i marzyli o tych niebieskich dla nas migdałach,

aż naroszcie rzekłem z uśmiechem: A czy wiesz, że dzisiejsze nasze marzenia mogą się urzeczywistnić, i że jeszcze w tym roku poczęstuję cię fajką najpyszniejszego diubeku. — « A to jakim cudem? » wykrzyknął i spójrzał na mnie jak na wilka. — Na co tu cud, odpowiedziałem; mam ja bardzo prosty sposób: napiszę tylko do mego kochanego Anzelma, który w téj chwili mieszkając w Odessie i paląc codzień najlepszy tytuń na świecie, gdy się dowie, że jego imiennik i dawny towarzysz wygnania tak czule wzdychają do niego, niezawodnie przyszle po funcie dla nich tytuniu, i jeszcze gotów w dodatku przyłączyć parę stambułek. — « To bardzo pięknie — rzekł znowu Wiktor, — ale cóż my Sybiracy poszlemy jemu nawzajem? » — Ma się rozumieć, nic — odpowiedziałem; cóżbyśmy mu ofiarowali z naszéj zimnéj północy, chyba pud cedrowych orzeszków lub brusznic! Zresztą, jest to taki człowiek, że przykroby mu było bardzo, gdybyśmy się starali odpłacić za jego przysługę, którą, nadto jestem pewien, poczyta sobie za największą przyjemność. — « Kiedy tak, pisz! — rzekł, — i poleć mię jego znajomości. » Piszę więc i polecam nietylko znajomości ale i przyjaźni twojéj, w tém przekonaniu, iż na moje słowo uwierzysz, że zasługuje na jedną i drugą. Bądź zdrów.

3 września.

Dziś rocznica przybycia mego z Pawłem do Omska na służbę. Któżby się wtedy spodziewał, że się ona tak długo przeciągnie, i że w pięć lat potém będę wędrował po kirgizkim stepie. I on pewno w téj chwili (jeżeli nie śpi po obiedzie) przypomina sobie ten dzień pamiętny w dziejach naszego wygnania, i może łza mu staje w oczach na myśl, że towarzysz jego dotąd wzdycha w oddaleniu od rodziny.

Tylko co przyleciał drugi adjutant Kuszbeka z doniesieniem, że już on jedzie. Natychmiast mnóstwo Kirgizów pod dowództwem swego bołost'a, niezmiernie podobnego do niedzwiedzia, dosiadło koni i poleciało na jego spotkanie, a tymczasem przyprowadzono młodego konia i o kilka kroków przed jego jurtą zarznięto na przyjęcie tak wysokiéj osoby. Wkrótce pokazał się i sam Kuszbek, jadący noga za nogą, w czarnym kanfowym chałacie, otoczony mnogim orszakiem swych krewnych, w liczbie których było kilku młodych sułtanów : wszyscy w czapkach z powiewającemi piórkami. Zajechał wprost do Wiktora, i po zwykłych przywitaniach, położywszy się na łóżku oświadczył, że się bardzo czuje zmęczonym. Kazał potém odejść całéj otaczającéj go zgrai i zaczął rozmowę o Kenesarym. Powiadał, że on teraz jest przy ujściu Ilii, i że z nami jechało

od Nadau-Tobuklińców dwóch Kirgizów, którzy niedawno jeżdżąc do Jusunów, byli koło niego.

Wielki taki magnat jak Kuszbek, nie ma nawet z sobą herbaty i kawałka cukru. Oprócz tego, że mu Wiktor kazał zanieść do jurty jedno i drugie, przysyłał znowu potém prosząc o herbatę i cukier dla ugoszczenia przybyłych swych krewnych, a przytém jeszcze i o suchary, które Kirgizy bardzo lubią, chociaż nigdy nie mają własnych. Będąc u nas, w sposob żartu powiadał, iż mocno żałuje, że na wyjezdném z Oj-dżau-tau, nie odbarantował Wiktorowi żelaznego łóżka. « Bo wyobrazcie sobie — dodał, — zaraz na drugim noclegu wlazła do mojego kosza ogromna żmija; tylko co ją zabili, przychodzi Jusunbaj i powiada, że u niego dwie zabito; ktoś inny także uskarża się na podobne odwiedziny : ja niezmiernie drażliwy, kręciłem się całą noc, nareszcie ledwom zamknął oczy, aż tu mój adjutant znowu krzyknął i znowu zabito żmiję. »

Nasz Amantaj coraz bardziéj na pana choruje : już mu się chce chałata i powiada, że mu wstyd usługiwać sułtanom w obdartém odzieniu, a naturalne kirgizkie lenistwo nie dozwala mu dziur pozaszywać.

Wieczor cichy piękny, ale chłodny.

4 września.

Ranek zimny, cała ziemia i jurta pobielona szronem. W nocy długo dochodziły nas spiewy i muzyka Kożem-

sagura, adjutanta Kuszbeka. Spiewał z zapałem i coś politycznego; często obijały się nam o uszy wyrazy: « Kenesary, Kenesary-tarżan. »

Przyjechał sułtan Gazy, ojciec sławnego Chudajmenły, znajdującego się teraz przy Kenesarym, poważny i przystojny starzec. Sam on lęka się swego syna żeby go niezrabował, i dlatego koczuje z Kuszbekiem bliżéj Karkarałów niżeli Bałchasza.

Słońce się podniosło i dzień jak najpiękniejszy.

Kirgizy nazywają Omsk, *Om;* Semipołatyńsk, *Semiej;* Petropawłowsk, *Kyzył-Dżar.*

Wieczorem byliśmy u Kuszbeka, którego Kirgizy tytułują chanem. Cały dzień sądził on sprawy i rozsądził ich sto pięćdziesiąt, za pomocą bijów siedzących w jego jurcie. Zastaliśmy tu mnóstwo ludu i nawet kilka kobiét: wszystko to gadało i piło kumys po modlitwie. Na pierwszém miejscu, jako najstarszy wiekiem, mający lat 68, siedział sułtan Gazy; ja usiadłem między nim, a zwycięzcą tygrysa Rustemem. Kiedy przyniesiono końskie mięso, Gazy podał mi jeden, a Rustem drugi kawałek: byłoby niezłe, gdyby z solą. Odbyła się przy nas ceremonia przebaczenia tiulengutowi przez jego pana. Gazy aresztował swego tiulenguta, ale na wstawienie się Wiktora wypuścił go, przyzwał do siebie, i wziąwszy czaszkę kumysu, podał mu do picia. Tiulengut wypiwszy, nalał czaszkę i podał nawzajem panu; ten dotknął się jéj ustami i znowu mu zwrócił: ta koléj powtórzyła się kilka razy, potém pan dał jeszcze ułaskawionemu kawał koniny.

Gdy zciemnało, przyniesiono niby lampę z tłustością,

która na kosturze utkwiona w ziemię, oświeciła cokolwiek jurtę, a ta wydała mi się wtedy czémś nakształt pieczary apenińskiéj z biesiadującą bandą rozbojników.

Wszedł Kirgiz z czybyrgą, z dudką o kilku dziurkach i dudlił na niéj z godzinę. Oprócz niego, bawił nas adjutant Kuszbeka swojém małpowaniem Urunbaja. Pomiędzy innemi pieśniami śpiewał o bracie Kenesarego Sadżami, który, gdy go Taszkińcy złapali i i oświadczyli mu, że go powieszą, rzekł gryząc sobie palec: « O gdybym miał prochownicę, mułtyk i mojego konia, nie zostałby tu z was ani jeden. »

Gazy pytał mnie, czy daleko moja « dżurta? » Kiedym mu powiedział, że pięć tysięcy wiorst, pytał czy Wołga (Ajgadyl albo Ajgabyl) dochodzi do mego kraju, i jakie są rzeki w Polsce. Gadał mi, że był w Petersburgu i widział Kronsztad wybudowany w morzu, « z którego Rossya patrzy na cudzoziemców. »

Wróciwszy do naszéj jurty, obaczyłem duże kostki baranie zawieszone na kieregach, i dowiedziałem się, że to ma być na to, aby barany nie wywodziły się u gospodarza.

5 września.

Chociaż ranek był chłodny, dzień zrobił się jak najpiękniejszy. Skoro tylko chan wstał, natychmiast ruszyliśmy do Karson-Kirniejewców. W drodze pomija-

liśmy mnóstwo mogił kałmuckich, z których kilka było ogromnéj wielkości. Spotkaliśmy koczówkę : damy jechały postrojone, jedna z nich w pąsowych, pysznie haftowanych czambarach (spodniach). Ładna dziewczyna, w kanfowym czarnym chałacie, cała w kółkach, z kluczami za pasem, hasała na pięknym karym koniku. Łebki drobnych dzieci wyglądały z kołysek postawionych na wielbłądach; małe chłopaczki siedziały na koniach.

Zrobiwszy wiorst cztérdzieści, stanęliśmy nad brzegami rzeki Nury, na uroczysku zwaném Karadżał. Ilbilanczy Espurgeń. Jurta jak nigdzie: czysta, obszerna, bogato ustrojona. Tu powitał nas Suchonalimow obiadem, nalewką z malin, świeżemi kołaczami, a co najosobliwsza dla nas, kartoflami, które raz pierwszy jedliśmy w tym roku. Michał przysłał nam z Tobolska parę bułek chleba i słoik konfitur; ale najdroższą z otrzymanych posyłek był dla mnie pakiet listów od matki, brata, siostry i kilku przyjaciół. Przeczytawszy je, musiałem trochę zasnąć, bo niegodziwy koń strasznie mnie zmęczył w drodze.

Przybył późniéj oficer kozacki Karbyszew, dowódzca oddziału stojącego przeciw Kenesaremu.

Wieczorem była u nas herbata dla chana i starszyzny kirniejewskiéj. Bawił zgromadzenie ulanczy Kożemżar, który oprócz wielu podarunków dostał kilkanaście rubli. Kuszbek i inni przekładają go nad Urunbaja; ale podług mnie, nawet głosem równać się z nim nie może : tamtemu ujmują tylko wartości grymasy i ciągłe przymawianie się do datków. Na prośbę Kusz-

beka, Wiktor jednemu z gości wyrznął trzy proszki jalapy w herbacie, ale on djable z ich obu zadrwił, bo po proszkach i cztérech czaszkach herbaty, dosiedział spokojnie do końca i wyszedł razem z innymi o północy.

6 września.

Ranek bardzo chłódny, tak że z wielką biédą, chuchając w palce i zacierając ręce, mogłem pisać listy do matki, brata i przyjaciół; ale gdy się słońce podniosło, dzień był śliczny, a koło 2éj po południu nawet gorący.

Zabawna była sprawa. Podczas przeszłego popisu, jeden Kirgiz zapisał się pod imieniem pewnego starca; gdy ten reklamował teraz, Kirgiz wyznał, że zrobił to dlatego, żeby wziąść po nim sukcesyą, jako po blizkim zgonu. Starzec wpadł w złość, krzyczał, że ani jednego barana nie zostawi przywłaszczycielowi jego imienia, który zupełnie jest mu obcym i na jego śmierć rachował.

Włość tutejsza bogatsza od innych, mianowicie ma piękne konie.

7 września.

Dwóch Kirgizów rozmawiało z sobą : « Dwadzieścia pięć lat jesteśmy już pod panowaniem rossyjskiém, a nigdy jeszcze nie było takiego spokojnego popisu. Dawniéj zawsze nas bito; dostawało się nietylko starszynom ale i wołostnym. Przyjdziesz — pytają ile masz? Powiesz pięć — krzyczą łżesz! W pysk, i piszą dziesięć. Terazniejszy urzędnik musi być z innego rodu. » W skutek téj cichéj rozmowy, jeden z nich przybliżył się do Wiktora, i chcąc dyplomatycznie dowiedzieć się co zacz on jest, zapytał : « Ty mieszkasz w Omsku? » — Tak. « A twój ojciec tam mieszka? » Nie : dom mój daleko. « Z jakiegoż jesteś narodu? » Gdy mu Wiktor powiedział, że Polak — « A, to wszyscy Polacy muszą być tacy, zawołał : jenerał także Polak; my od czasu jego poczuliśmy dopiéro, że żyjemy. »

Pocieszną mieliśmy scenę. Starszyna jeden ujrzawszy pierwszy raz w życiu szczypce, pytał Wiktora, do czego one służą. Do ucierania nosa, zamiast chustki, odpowiedział Wiktor. — « Au! A co kosztują? » — Pięć rubli. — « Au! » Wkrótce potém Wiktor wziął szczypce i z lekka utarł sobie nos. Ledwo upłynęło parę minut, starszyna mając potrzebę zrobić toż samo, ujął szczypcami swój nos i dobrze pocisnał, a gdy go zabolało, rzekł do towarzysza : « Ta żelazna chustka ból

sprawuje. » Ten zaś mu na to : « Bo widać, że nie umiesz z nią się obchodzić : trzeba było naprzód ręką nos utrzeć, a potém zamknąć go w szczypce. »

Wieczorem był traktament herbatą Kuszbeka i starszyn. Jednemu z nich, znowu na usilne prośby chana, Wiktor dał dwa proszki na womity; ale ten podobnicż zawiodł oczekiwania i przez cztéry godziny ani mu się ckliwo nie zrobiło.

Kuszbek rozpowiadał o sławnym poecie Dżenaju, który sobie wielblądy i bogate podarunki wyśpiewywał. A był także u Sadyr-Matajewców wielki poeta, walczący z nim o pierwszeństwo. Emulacya ich wydała raz na jaw długo ukrytą sprawę; gdy bowiem jeden w imieniu Argynów, drugi w imieniu Najmanów poczęli chlubiąc się wyliczać, co którzy którym zrobili, Argyny dowiedzieli się, że bydło im porwane zabrali Najmany. Powiadał także, jak w wielu miejscach Kirgizy zasypywali ślady Asesora, złorzecząc jego pamięci. Rozsyłał on w nocy kozaków, żeby poodpędzawszy na stronę części tabunów, sami nazajutrz znajdowali je, jako niby ukryte, i albo jemu donosili, albo za niedoniesienie ściągali chapes od Kirgizów. Matki z obawy żeby która z ich córek nie wpadła w oko jasnemu panu, chowały je do skrzyń i mogił.

8 września.

Ranek piękny, ciepły, dzień cudowny, i co osobliwsza, cichy. Kirgizy kąpią się w rzece. Opowiadano

nam, że Asesor kazał rozstawiać dla siebie po drodze konie i kumys, a pijąc go na jednéj górze, rzekł do Kirgizów, że na pamiątkę tego zaszczytu powinni ją nazwać *Aseke kumys inede* (Asesor kumys pił).

9 września.

Ranek zimniejszy niż wczoraj, ale dzień ciepły i piękny, po obiedzie nawet upał. Wyjechaliśmy z Karadżału do Kunajczy-Tagajewców, o wiorst 16 tylko odległych. Przybywszy pod górę Konur-tiube, znaleźliśmy postawione dla nas jurty. Bołost' Kadyr. Kirgizy z coraz piękniejszemi występują jurtami. U Espurgenia była jurta z czyjami okręcanemi w różne wzory jedwabiem, tutaj obłożona ośmią dywanami, a na podłodze leży ich dziewięć; kołdra jedwabna, basztur i szlaki misternie tkane i wyszywane. Takaż jurta, tylko mniejsza, dla majora kozackiego; toż dla chana, którego wszędzie z wielkiém uszanowaniem przyjmują, rzną kobyły i barany na jego stół otwarty dla całéj towarzyszącéj mu czeredy i dla wszystkich przychodzących z interesami.

Kobiéty noszą tu tylko dwie kosy, które związują na głowie i przykrywają białą płachtą; dziewczęta zaś splatają swe włosy bardzo starannie w kilkadziesiąt drobnych kosek.

Za przybyciem naszém, zmieniło się powietrze, zda-

wało się że deszcz spadnie; noc jednak była ciepła, jak najcieplejsza z nocy letnich.

10 września.

O 3ᵉʲ rano, zbudził nas kozak przybyły z listami. Wstaliśmy je czytać i jeść pierożki z Ajaguzy nam przysłane. Mgła wisiała na górach, ranek był posępny, wypogodziło się jednak około 10ᵉʲ. Poszedłem ze strzelbą, spodziewając się znaleść kaczki, ale uszedłszy ze trzy wiorsty brzegiem rzeki ani piórka ptasiego nie widziałem; postrzegłem tylko stadko kamiennych jarząbków czyli kuropatw, grzebiących się w piasku na polu, lecz te podejść się nie dały.

Dowiedzieliśmy się że Kirgizy napadli pocztarza jadącego z Karkarałów, obdarli go zupełnie, zabrali mu konie i nawet blachę z herbem nowo ustanowionym.

Widziałem jednego z najsławniejszych w całym okręgu przewodników. Najlepszymi przewodnikami bywają ci, którzy całe swe życie spędzają na barantarstwie. Tak naprzykład Tunkat, który od piętnastu do pięćdziesiąt pięciu lat wieku co rok jeździł na barantę, okazuje niezwykłą znajomość i pamięć miejsc. Razu jednego wiodąc oddział przez Głodny step, chociaż noc była ciemniuteńka, jak żóraw trafił do źródła, a kiedy rozświtało, rzekł: « Byłem ja tu, lat temu

piętnaście, i niedaleko od tego źródła, przy pagórku, zostawiłem nożyk; muszę pójść go poszukać. » Poszedł i znalazł.

11 września.

Włość tutejsza dość zamożna : wielu jest takich co mają liczne stada baranów; jeden ich ma przeszło 1,500. Kunajczy, Karsony i Sarymowcy przed rozdzieleniem się byli bardzo bogaci. Wszystkie te włości beszetyńskie słyną z ochoty i zręczności do barant.

Zrana było pochmurno, ale nie chłodno; późniéj wiatr straszliwy i kilka razy deszcz. Wysłaliśmy wielblądy nasze naprzód, a sami jutro jedziemy do Karkarałów.

12 września.

Dziś rocznica oswobodzenia Wiednia... Ileż z tém wspomnieniem ciśnie mi się myśli do głowy na stepie kirgizkim! — Całe niebo w chmurach. Droga z początku górzysta aż do drogi aktauskiéj, ztąd dolinami aż do rzeczki Dżerły, daléj przez góry karkaralińskie, skaliste i pokryte lasem sosnowym, do samych Karkarałów : wszystkiego wiorst 90.

Kilkanaście razy był deszcz z gradem i znowu słońce błyskało. Leciałem ciągle kłusem i galopem; raz tylko zsiadłem dla wypicia pół kieliszka wódki i zakąszenia bułeczką. Koń mój coraz bardziéj ustawał i ledwo przy pomocy kamczy doniosł mnie zmęczonego na miejsce.

W drodze zabiliśmy młodego berkuta, którego zgon Kirgizy opłakiwali niezmiernie. Nad Dżerlą widzieliśmy ślady roli uprawnéj. Widoki z gór karkaralińskich prześliczne; Karkarały w piękném położeniu między górami nad rzeczką.

Nigdy nie piłem herbaty z takim smakiem i tak wiele jak dzisiaj. Wieczorem poszliśmy do łaźni i położyliśmy się spać wcześnie, ale do ranka prawie zasnąć nie mogłem: skutek zapewne zmiany powietrza i kąpieli.

13, 14, 15 września.

Pierwszy i drugi dzień przepędziliśmy w Karkarałach ciągle jedząc i pijąc kawę, herbatę, nalewki i t. d. Trzeciego dnia, to jest 15 września, wyjechaliśmy rano w czas najpiękniejszy i przybyliśmy na noc do Dżusenbaj-Czekczekańców.

Na samém wyjezdném odebrałem listy matki, brata i siostrzenicy. Mama boi się żebym się nie spalił w czasie zwykłych pożarów stepu, i rzecz dziwna, właśnie

po otrzymaniu tego listu, o mały włos co nie spłonąłem z przyczyny cygara, które niedobrze zgaszone włożyłem do kieszeni.

16 września.

Widać że już pomału zamieniam się w Kirgiza i jurta staje się dla mnie właściwém mieszkaniem. W Karkarałach spać nie mogłem; tu, na świeżém powietrzu w jurcie spałem przewybornie. Okolica pusta, trawa wielka, opodal resztki spalonego niedawno pikietu. Włość tutejsza pół-sułtańska, pół-kirgizka w ciągłych jest waśniach : ładu w niczém niemasz. Sułtani uciemiężają biédnych. Samych Czyngisów naliczyłem dziewięciu : wszyscy psa warci, cierpieć nie mogą Kuszbeka, chociaż i on ich krewny.

Syn Jusuna umarł będąc u Baraka. Przywieziono teraz tutaj jego rzeczy, na których spotkanie wyjechali Kirgizy. Rzeczy te rozwieszono w osobno wystawionéj na to jurcie : stérczy nad nią złamana pika z czarną płachtą, a wewnątrz rozlega się płacz zgromadzonych kobiét.

17 września.

Przeczytawszy kilkadziesiąt numerów *Siewiernéj Pszczoły*, dowiedziałem się o ucieczce Ludwika Napo-

leona z Ham (nie wiem jakim sposobem, bo numera czerwcowe); o nowym Papieżu i o zmianie Peela. Czytam teraz w rossyjskiém tłumaczeniu pamiętniki o pobycie Napoleona na wyspie Świętéj-Heleny. Podobały mi się słowa : « Dni jego upływały w ciągłéj i zabójczéj jednostajności. Wspomnienia i tęsknota były mu najniebezpieczniejszémi wrogami : praca jedyną ucieczką i pociechą. » Ach! gdyby nie praca, czyżbym wytrzymał szesnaście lat wygnania?

18 września.

Noc była nadzwyczaj ciepła, zrana gęsty tuman okrywał doliny i powietrze niezmiernie było ciężkie : wstaliśmy z ciężarem w głowie. Nie dziw, że Anglicy w swojéj mglistéj krainie doświadczają splinu.

Napoleon, kiedy mu gadano o powszechnéj jego sławie, powiedział : « Mimo to, jestem pewien, że w samym Paryżu nie jeden mnie nie widział, a w innych krajach znajduje się mnóstwo takich, co ani imienia mego nie słyszeli. » Prawdę powiedział, bo i nasi Kirgizy zgoła nic nie wiedzą o nim.

Po południu wyjechaliśmy o wiorst piętnaście do Karaul-Kambarańców i stanęliśmy u nich na uroczysku Karasor. Równina obszerna, a daléj po za aułami jezioro tegoż imienia, rozległe na wiorst kilkanaście i z wodą słoną. Cały ten przestwor musiał być kiedyś

dnem ogromniejszego niż obecne jeziora, bo wszędzie sołońcy i ziemia często jeszcze grzązka. Widać ztąd karkaralińskie góry i to miejsce, które było teatrem sprawy Ełgina z sułtanem Kuntajem-Abułgasinem, zabicia kozaka Biełajewa i t. d.

Późniéj od nas przyciągnął Kuszbek ze swoim wielkim orszakiem. Piękny był widok jego pochodu, nakształt marszu szwadronów. Cały plac wydawał się polem bitwy, jurty jakby namioty, a ruch Kirgizów latających na wszystkie strony, przypominał adjutantów rozsyłanych z rozkazem wodza.

Kuszbek przyszedł do nas wieczorem i mówił, że w dżusenbaj-czekczekańskiéj włości, Kirgizy pytali o mnie: kto to ten, co siedzi zamyślony w jurcie pułkownika? On powiedział im, że to brat Asesora. « O ineine sigeim! — wykrzyknęli. Niech go djabli wezmą. » Oświadczyłem mu, że nie jestem wdzięczen za taką rekomendacyą, bo owszem chciałbym zostawić po sobie u Kirgizów inną pamięć niżeli Asesor. — « Nie bój się, rzekł, ja ich zaraz wyprowadziłem z błędu. Jakże możesz myślić żebym chciał oczernić towarzysza podróży. Jeśli się jedzie i z wilkiem, to i o nim dobrze się mówi, a cóż dopiero o godnym człowieku. »

Bołost' i tłumacz mieszkający w tutejszéj włości nie przedstawili się starszemu sułtanowi: ci panowie grają tu wielką rolę i ani znać nie chcą, że ten Kirgiz jest prezesem.

19 września.

Dowiedzieliśmy się, że Barak poszedł z Kirgizami nad Lepsę przeciw Kenesaremu. Dziwno nam, że dotąd nie spotkaliśmy żadnego Kirgiza tego imienia.

Frołow mi mówił, żę w Ałatauskich górach, wielblądy przy końcu lipca lub na początku sierpnia doznają strasznéj choroby, zwanéj *burma*, która im wykręca tylne nogi i nazajutrz życie odbiera, a okropnie jest zaraźliwa. Gdy Kirgizy usłyszą, że jeden wielbląd zdechł u kogo na tę chorobę, wnet jak potoki ze wszystkich gór spadają na doliny. Widział on sam, jak raz z podobnéj przyczyny, nagle mrówisko Kirgizów okryło całą równinę od Ała-tau do Bałchasza. Mówił także, że dolina między Kara-su i Karatałem nadzwyczaj piękna i cała uprawna za pomocą kanałów.

Dziś gdy czytając list znalazłem wzmiankę o Stefanii, krewnéj jednéj ze znajomych nam osób, przyszła mi na pamięć moja Stefania Podolanka, którą tak kochałem. Czy też ona pamięta mię jeszcze?... Ach, ach!...

20 września.

Kuszbek rozwodził się z ubolewaniem nad niegodziwemi postępkami tłumaczów i sułtanów. Powiadał,

że nauczony od ojca i sam nie cierpiąc kradzieży, przekładał sułtanom żeby nie kradli i byli dobrym przykładem dla Kirgizow. To ich oburza na niego, Dżamantaj go nienawidzi i głosi między swémi stronnikami, że on uciemięża narod jego ojca. Tutejszy sułtan Szergałaj, brat Abliwy, wołostnego Czekczekańców, także z Czyngisów, tyleż znaczy co i tamten: nikt go nie słucha.

W dzień nadzwyczaj piękny, orzeźwiony ciepłym wietrzykiem, opuściliśmy włość karauł-kambarańską. Gdy mi podano konia, cóś mię piknęło w serce i z obawą nań siadłem. Jadąc poczułem zaraz, że mam sprawę ze stworzeniem silniejszém odemnie, z którém niemasz co żartować. Siwak mój co chwila zagryzał wędzidło i utulał uszy. Szło jeszcze wszystko nie źle, póki byliśmy osobno; ale gdy ukazała się lecąca arba, i jakiś Kirgiz zakrzyczał swoje hi! ha! — kopnął wnet z kopyta, tylko co mnie nie zrzucił i sam nie rozbił się o arbę. Nie wiem jak nad wszelkie moje spodziewanie utrzymałem się na siodle, i zdołałem go osadzić przy samych kołach powozu. Przesiadłem do arby, a mego rumaka oddałem tłumaczowi Izmajłowi, który przyzwyczajony do takich waryatów i silny jak dąb, dał jemu radę, chociaż nieraz zdawało się że i koń i jezdziec złamią szyję.

Ujechawszy dziesięć wiorst, przecięliśmy trakt pocztowy właśnie w tém miejscu, gdzie jesak był zrabowany i Biełajew zabity; jechaliśmy ciągle równiną napotykając tu i ówdzie jeziorka pełne soli, a prawie bez wody. Po czterdziestu wiorstach ciągłéj jazdy,

późno wieczorem przybyliśmy do aułów Kara-Ajkimbetców, gdzie siedlisko starszego sułtana, Kuszbeka. Tu byliśmy przyjęci jak nigdzie. Jurta wspaniała, drzwi do niéj powleczone jakimś niby futerałem z pięknie haftowaną obszywką i upstrzonym blaszkami perłowéj muszli z pozatykanemi za nie piórkami puhacza; zewnątrz zasłona do drzwi pysznie haftowana jedwabiem, wewnątrz pełno kosztownych dywanów, basztur i t. d. Przysłano nam samowar z herbatą. Sułtan sam nie przyjechał przez delikatność, żeby nas nie trudzić po podróży, ale zaprosił na jutro do siebie.

21 września.

Noc była ciepła, spać nam tylko nie dali stróże przystawieni do naszéj jurty. Dobrze tu widać pilnują swoich tabunów, bo ciągle słyszeliśmy głosy pastuchów. O 9éj mgły się rozeszły i słońce zaświeciło: ujrzałem okoliczne wzgórza i rzeczkę Jałdę, o kilkanaście kroków od naszéj jurty toczącą swą przezroczystą nitkę wody. Wkrótce przybiegł adjutant z zapytaniem, czy chcemy jechać do sułtana; w ślad za nim przyszły i konie.

O dwie wiorsty stał auł sułtański, a o kilkanaście kroków od niego bucharski namiocik w kształcie altanki, dokąd przyniesiono nam herbatę, arak i pilaw. Kuszbek przybył wtenczas gdyśmy skończyli sniadanie,

bo z powodu postu nie chciał znajdować się przy niém. Wszedłszy, zaraz powiedział do mnie : « Ja z Wiktorem i Karaczakiem dawną mam znajomość : oni byli już u mnie; ale ty ponieważ pierwszy raz jesteś moim gościem, powiedz mi, czém każesz sobie służyć. Może zarznąć ci barana, konia, wielbląda? » Gdym mu za wszystko złożył podziękowanie odmówne, rzekł ze śmiechem : « A może chciałbyś mieć co na noc; bo widzę żeś się nawet ogolił na pokazanie się u Ajkimbetców : powiedz, wybiorę ci taką długą jak ty parę; o wydatku nie myśl, ja sam koszt poniosę. » — Przedstawiając nam potém swego infanta (przyjętego za syna, gdyż mu dzieci powymierały), rzekł : « Jest to mój poeta, pisarz, myśliwy, kowal i wszystko co chcecie. » Sułtan ma trzy żony, ale żyje tylko z najmłodszą, a średnia mieszka przy starszéj odrzucona od jego łoża, bo wkrótce po zaślubinach przekonał się o jéj złém prowadzeniu się. Posiedziawszy z godzinę, przeprosił że się oddala dla zmówienia modlitwy nad źrebięciem przyprowadzoném do zabicia, czego obowiązek wymaga po gospodarzu. Gdy przyprowadzą na ten cel pod jurtę barana lub inne jakie bydle, rzeźnik trzyma głowę pod lewem ramieniem, a gospodarz dziękując Bogu, że ma dobytek i może czém gości uczęstować, błogosławi skazaną pod nóż ofiarę i daje znak zarżnięcia.

Wróciwszy do Kuszbeka zaczęliśmy popis, na który i on sam zaraz przyjechał. Tu pokazało się najdobitniéj co to jest arystokracya kirgizka. Każdy z jéj członków, a tych włość tutejsza posiada kilkudziesiąt, starał się

zmniejszyć liczbę swojego bydła i targował się nawet o jednego barana. Jaka przytém zwłoka w odpowiedziach, jakie zsyłanie się na świadectwo to tego to owego! Ilbilanczy milczał; starszy sułtan zapytawszy po kilka razy ile było zapisano, a ile pokazuje przywołany, ze względów na pokrewieństwo lub sułtaństwo nie decydował się przeciąć gordyjskiego węzła, i po długiém milczeniu powiadał: *chudaj blede* (trudno wiedzieć). Kilka godzin straciliśmy na zapisanie tego parszywstwa, jak Wiktor nazywał. Trzeba było całéj jego krwi zimnéj, żeby nie wyjść z granic cierpliwości i nie powiedzieć im jakiego głupstwa. A co czasu zeszło nim obrali nareszcie starszynę, którym miał zaszczyt zostać jeden z adjutantów Kuszbeka, Kożemsagur poeta. Ciekawy jestem jak on da sobie radę z tém butném tałałajstwem.

Skorośmy odbyli sułtanów, zaraz poszło jak po mydle z prostymi Kirgizami. I ci panowie sułtani, co tak dbali o siebie, wcale nie myśleli ich ochraniać.

Pierwszy raz nareszcie trafiliśmy na imie Kenesary, ale i te nosił ojciec bohatéra Chudajmenła.

Dziś początek jesieni, dzień nadzwyczaj ciepły i cichy, Kirgizy kąpią się w Jałdzie, chociaż w niéj wody ledwie dla kur. Ptastwa żadnego nie widać. Kilkanaście kaczek przelatywało, ale to z odleglejszych okolic.

22 września.

Skończyliśmy popis Kara-Ajkimbetców, a poczęliśmy Kyrgyzowców, wcielonych do tutejszéj włości.

W roku przeszłym, gdy mi się oś złamała, Kirgiz związał ją końskiemi włosami i dojechałem na niéj wiorst dwadzieścia pięć. Teraz, nadwerężony obwód koła Kirgizy poradzili zamiast urwantów wzmocnić paskami skóry ze świeżo zabitego konia, i ręczą że wytrzyma wiorst kilkaset. Obaczymy! Komuby z nas cywilizowanych taki koncept przyszedł do głowy?

Cały dzień upał.

23 września.

Dziś imieniny mojéj matki! Pisałem do niéj i do mojéj siostrzenicy Michalinki, któréj posłałem błogosławieństwo zamążpójścia. Dzień najpiękniejszy. Wiktor chcąc mi go jeszcze bardziéj uprzyjemnić, dał cztéry regalia: paląc je i myśląc o najlepszéj z matek, nie chciałem pojechać do sułtana na herbatę.

24 września.

Skończywszy robotę, po południu pożegnaliśmy Ajkimbetców. Droga nasza szła dolinami sołońcowatemi, nad które, jak utrzymują Kirgizy, nigdzie niemasz lepszych pastwisk, tak obfita i bujna pokrywa je trawa bitege. Jechaliśmy w jednych tylko letnich chałatach, a jednak od gorąca pot lał się z nas strumieniami. Zbliżyliśmy się do gór Kuskich, w których Popow przetapia swój ołów, sprowadzając węgiel z bajanaulskiego okręgu. Widok tych gór bardzo malowniczy: szczyty ich zdają się być zawalone ruinami zamków rycerskich. Ujechawszy wiorst 40, zanocowaliśmy u Dżataków.

25 września.

Wstawszy rano, ruszyliśmy daléj, naprzód równiną, potém wzgórzami, częścią po drodze prowadzącéj z Ku do linii granicznéj, częścią stepem. Zrobiwszy znowu wiorst 40, dociągnęliśmy do brzegów Tiundiuka, gdzie przyjął nas Tatimbet, bołost' Nurlike-Czanczarowców. Cały ten dzień byliśmy prawie rozto-

pieni od upału zwiastującego zmianę powietrza: orzeźwił nas cień jurty postawionéj nad szemrzącą rzeczką.

Doszła nas wieść o wyprawie Kenesarego na Dzikokamiennych Kirgizów. Słychać że 700 jurt zniszczył; przyczém miały dziać się okrucieństwa: przywiązywano jakoby kobiéty brzemienne do kieregów i płatano im brzuchy. Kirgizy nasi powiadają, że Kenesary jak srogi zwierz postąpił.

Wieczorem był u nas jeden Kirgiz, który tak doskonale udawał głosy, miny i ruchy różnych zwierząt i ptaków, a szczególnie wielbłąda, kułana i berkuta, że trudno lepiéj naśladować.

26 września.

Zmieniła się pogoda: chłodno, deszcz — nudy okropne; chodzić nie można, a niemasz co czytać. Na dobitkę jurta ciasna i pełna Kirgizów. Żadna nowa materya nie przybywa do dziennika: wszystko jedno a jedno.

Pod wieczór deszcz jesienny. Gdy wyszli Kirgizy jeszcze się zimniéj zrobiło: musieliśmy rozłożyć ognisko i przy niém gawędząc przesiedzieliśmy do dziewiątéj.

27 września.

Zrana rozjaśniało cokolwiek, ale zimno: trzeba było rozłożyć ogień; po południu pokazało się słońce: mogliśmy wyjść trochę na przechadzkę.

Zabawił nas Kuszbek chwaląc się, że posłał trzydziestu ludzi kosić siano. W końcu września kosić siano! — ktoby temu u nas uwierzył. Na pytanie, dlaczego wtedy nie kazał kosić kiedy cały świat kosi i trawa zielona, dawał dwadzieścia cztéry przyczyn, a mianowicie, że wtedy nie było czasu i że teraz lepiéj, bo trawa sucha nie wymaga tyle zachodu; prawdziwą zaś przyczyną jest kirgizkie lenistwo i odkładanie z dnia na dzień.

Wkoło nas siedzi mnóstwo Kirgizów i cały dzień gapi się na owego Kirgiza, co tak wybornie małpuje źwierzęta i śpiew ptasi.

W tutejszéj włości wielu bardzo ubogich, a to najczęściéj z powodu złodziejstwa, bo gdy za ukradzione konie przyjdzie oddać we dwoje lub w troje, tracą wszystkie swoje mienie.

28 września.

Kasker podkradający się do tabunu narobił hałasu i przebudził nas w nocy. Zrana mroźno: męka wsta-

wać. Na nieszczęście niemasz w tutejszéj okolicy ani drzewa, ani nawet karagajniku, a używany na opał różnego rodzaju gnój: tezek, dżapu i kij, dymi niezmiernie i wydaje zapach nieznośny. Najlepszy tezek krowi. Roznieciwszy ognisko tezekowe, dusiliśmy się w dymie do 9éj, nim słońce nie zajrzało wewnątrz naszéj jurty.

Pod wieczor wyjechaliśmy do Ajbike-Czanczarowców, koczujących o wiorst piętnaście nad tąż samą rzeczką Tiundiukiem. Przybyliśmy na miejsce w noc gwiazdzistą. Bołost' Ałczynbaj. Zastaliśmy w jurcie dwa łóżka porządnie wysłane, zapaliliśmy tezek i bawiliśmy się rozmową do 10éj, a że po przejażdce znalazł się apetyt, zjadłszy misę kunardyku i zapiwszy kumysem poszliśmy spać.

29 września.

Nim wstaliśmy, rozłożono nam ogień, co bardzo się przydało, bo mróz bardziéj może niż wczoraj pobielił trawę i do 9éj z niéj nie schodził.

Wyszedłszy z jurty, zachwyciłem się widokiem okolicy. Jurta nasza stoi na wysokiém, zaokrągloném wzgórzu; u podnoża jego winie się po dolinie Tiundiuk; nad rzeczką rozsypane auły ze swemi stadami: to wszystko opasane półkolem gor, na szczycie których daleko sterczy mogiła kirgizka. Miejsce to nazywa się

Arnatyk, odległe od Bajanaułu wiorst 90, od linii wiorst 150 i tyleż od Karkarałow.

Kuszbek przysłał prosząc o chleb i cukier. Przyszedłszy sam późniéj między innemi rzeczami mówił: « My sobie wyobrażamy w stepie, że jesteśmy wielcy ludzie: wołostny, zasiedatel, starszy sułtan! A my nic więcéj tylko pastuchy Padszy: pasiemy jego bydło, i gdy co zginie, odpowiadamy za ubytek. »

Z powodu imienin żony i córki, Wiktor dał nam po pięć cygar regaliów. Jakby dla uczczenia dnia tego, mróz spadł i pogoda najpiękniejsza. Kirgizy tylko wyprowadzili nas z cierpliwości, pomimo wszelkich napędzań i rozkazów zbierając się pomału, tak że ledwie o 11éj mogliśmy przystąpić do popisu. Tu, jak i wszędzie gdzie są sułtani, lud dzieli się na partye, a ztąd waśnie i nieposłuszeństwo.

Kuchmistrz nasz wyjechał, a berło *Caremów* przeszło w ręce jego braciszka Amantaja. Przez dwa miesiące przypatrywał się jak tamten warzył nam zupę z baraniny, a pierwszém jego zapytaniem było: ile kawałków cukru włożyć do niéj? Na takie *dictum acerbum*, podziękowawszy jemu, że się przynajmniéj zapytał, zwątpiliśmy o naszym obiedzie. Jednakże, jak na pierwszą próbę wystąpił dość nieźle.

30 września.

Wiktor kazał Amantajowi żeby nie wpuszczał Kirgizów póki herbaty nie wypijemy. Gdzie tam! ledwo

się ten na chwilę od drzwi oddalił, już ich z tuzin nalazło. Dzień zrobił się najpiękniejszy : cicho i ciepło. Wieczorem chodziliśmy ku mogiłom, wydającym się w odległości jak stosy rozrzuconego tezeku.

1. paździérnika.

Był u nas Dżaugutty. Zaczął pytać się czy nie mamy ajranu, potém kumysu, ale to wszystko było przymówką do herbaty. Łajdakerya wielka w téj włości, mianowicie między Kara-Kemsurowcami. Wczoraj obdarli jedną sułtanowę jadącą do męża; u innego sułtana ukradli kilka koni i wielbłądów : posłanych do nich od Kuszbeka Kirgizów wybili.

Odwiedził nas ośmdziesiątletni starzec, który niegdyś był właścicielem Ku. W ciągu rozmowy rzekł do Wiktora : « Długo żyję na świecie, a pierwszy raz widzę takiego jak ty Rossyanina. » Potém wskazując na tłumaczów, dodał : « Tłumacze i kozacy, to opętani od djabłów; urzędnicy, to same djabły. Sądząc podług nich, trzeba wnosić, że cała Rossya zaludniona djabłami. »

Kirgizy powinni zrana tylko obrzynać paznogcie, a golić się i strzydz włosy po zachodzie słońca. Oberznięte paznogcie zakopują w ziemię.

2 pazdziernika.

Wyjechaliśmy do Jałynbuszewców, doliną pomiędzy odległemi górami, i zrobiwszy wiorst 60, stanęliśmy na Kyzył-Adyr. Wołostny Dżanhys. Syn jego we cztéry dni dość dobrze nauczył się czytać po rossyjsku. Ranek był wietrzny, dzień pogodny, pod wieczor śnieg począł padać.

3 pazdziernika.

Gdyśmy wstali uderzył nas smutny widok : cała dolina i góry przyległe pokryte śniegiem. Co gorsza, zimno dotkliwe : musieliśmy ciągle siedzieć przy ogniu i to jak najniżéj, bo dym napełniający jurtę gryzł oczy.

4 pazdziernika.

Dowiedziałem się że Kuszbek ma wróżbita, który mu przepowiada przyszłość. Znamie Kuszbeka białe,

Baraka czerwone, a Kenesarego zielone. Pod wieczor wiatr ustał.

5 pazdziernika.

Cicho ale chłodno. Po południu wyjechaliśmy do Bajburyńców na uroczysko Kara-bułak. Droga zwyczajna, grunt kamienisty, pagórki częste, odległość wiorst 30. Wołostny Ałdabergeń.

Doszła wiadomość że Ałteke-Sarymowcom odbito znaczną ilość koni. Kuszbek mówił, że Nadany to w jego okręgu najodważniejszy ród, i jeśli oni dowiedzieli się wczas o napaści na Sarymowców, pewnie puścili się w pogoń za barantarzami.

Dziś ślub mojéj Michalinki : to wspomnienie łzy mi wycisnęło. Woda nędzna; ani herbaty nie można wypić za jéj zdrowie.

6 pazdziernika.

Cały dzień wiatr straszliwy; nie można wyjść, bo z nóg wali : ale to ma wróżyć pogodę.

Bajburyńcy byli niegdyś najbogatsi w okręgu, a chociaż Rossyanie dwa razy ich *czabaryli*, jak mówią

tłumacze, dosyć jeszcze są zamożni w bydło, co winni wybornéj paszy i zwykle małym sniegom u nich.

7 pazdziernika.

W nocy wiatr tylko co nie przewrócił jurty, zrana burza, potém okropne zimno. Probowałem wyjść o kilkadziesiąt kroków i ledwiem zdołał wrócić. Bogu tylko wiadomo cośmy przez cały ten dzień ucierpieli.

8 pazdziernika.

Suchonalimow przysłał chleba i wódki; ale nad to wszystko milszy mi był widok tezeku dżapu przywiezionego nam podostatkiem w czambarach. Dzień przebyliśmy lepiej, bez wielkiego trudu i drżenia.

9 pazdziernika.

W nocy wszystkie wody zamarzły, dzień pochmurny i trochę wietrzny, przestankami śnieg pada. Slizgałem się na strumieniu po lodzie grubości półtory cala. Dym

nam tak dokuczył, że woleliśmy siedzieć bez ognia, grzejąc się tylko nadzieją skończenia jutro roboty. Dziś właśnie, z niewypowiedzianą radością zaczynamy spisywać siedemnastą i ostatnią włość kuczumurską, Biegajsar. Szczęściem dla nas, Kuczumurcy zgodzili się odbyć popis tu na miejscu razem z Bajburyńcami. Byli i oni kilka razy *czabareni;* pierwéj sami pasy darli z Rossyan, a potém stali się bardzo bojaźliwi.

W rozmowie o Alim, Kuszbek wychwalając go powiedział, iż mu się z tego tylko nie podoba, że kładzie tytuń w usta. Wiktor na to odezwał się poważnie : « W Alkoranie napisano, aby nie kłaść tytuniu w usta, bo niemi wymawia się słowo Ałłach. » Nie przyszło Kirgizom na myśl że Mahomet ani wiedział o tytuniu, wszyscy razem z Kuszbekiem zawołali : « Huj! haj! hoj! jaki rozumny. » Któryś jeszcze dodał : « Niedarmo Kunanbaj, który wiadomo jaki mądry, powiadał : chociaż ja jestem cięty, ale z pulkundykiem trudna sprawa; co odezwę się, to tak mnie zerznie, że muszę milczeć. »

10 pazdziernika.

Noc była nadzwyczajnie cicha i ciepła, mogliśmy spać rozebrani do koszuli; ale niestety, za to znikła nadzieja wyjechania ztąd jutro, bo właśnie ta cichość powietrza sprawiła, że w jurcie tłumaczów dym nie

mogąc przez czeharak wychodzić, nie dozwolił im pisać w nocy. Widoczny smutek na twarzach całéj naszéj gromadki. Cóż robić. Pocieszamy się tém, że przecierpiawszy tyle, przecierpimy jeszcze dzień jeden i po jutrze puścimy się w drogę. Do Karkarałów wiorst tylko 170 : tam wypoczniemy sobie pod dachem, a ztamtąd choć jeszcze wiorst przeszło 900, ale już pojazdem, i za jakich dni dwadzieścia będziemy w Omsku.

KONIEC.

DODATKI.

I. — Do str. XVIII.

W Warszawie dnia 21 miesiąca lipca r. 1831.

RZĄD NARODOWY

Z wielkiém ukontentowaniem przyjął relacyą o powstaniu brac naszych na Litwie, na Wołyniu i na Podolu, którą mu podał Eustachy Januszkiewicz. Wyczytuje w niéj to wielkie poświęcenie się jakiém się odznaczyli bracia nasi województw za-Niemeńskich i za-Bużańskich, a przeświadczony, jak dalece Eustachy Januszkiewicz zaufanie ziomków swoich pozyskał: wzywa niniejszém, władze tak cywilne jak wojskowe, aby w przedsięwzięciach jego do rozwinięcia powstania narodowego zmierzających w Litwie wspierały go i wszelką mu pomoc udzielały:

Prezes Rządu,
A. Czartoryski.

Na pieczęci herb z napisem Królestwo polskie. Rząd narodowy.

Radca Sekretarz jeneralny Rządu,
A. Plichta.

Lelewel Joachim,
P. Ptu Ż. C. R. N.

N° 7,815.

II. — Do str. CCXXXIX.

KAZANIE

Księdza WIKTORA MALEWICZA

Miane podczas exekwii w kościele parafialnym w Kojdanowie, po zmarłych : Adolfie Januszkiewiczu i synowicy jego Kasyldzie Januszkiewiczównie, w czerwcu 1857 roku.

« *Słowa moje są boleści, albowiem strzały pańskie we mnie są, których gniew wypił ducha mego. Cóż bowiem za moc moja, żebym wytrwał?... Ani moc kamienna moc moja, ani ciało moje miedziane.* » (Księgi Hioba, Roz. VI, w. 3, 4, 11, 12.) Taki jęk boleści, taka mimowolna skarga, takie w rozdartéj boleścią duszy narzekanie, wyrywa się z piersi sprawiedliwemu Hiobowi, nad którym zawisła ciężka ręka boża, w niezasłużonych, srogich utrapieniach, którego Bóg za wzór nam postawił, jak mamy znosić wszelkie boleści, uciski, dopuszczenia boże. Tak ten wielki mąż boży, umiał powitać chorobę, ubóstwo, zawody i sroższą nad wszystko, żałobę ojcowskiego serca, témi wiekuiście pamiętnémi słowy : « Pan dał, Pan wziął; niech będzie imie pańskie błogosławione! » Tenże mąż boży, pod ogromem cierpienia nie może się odjąć skardze rozdartego serca, i woła złamany : « Słowa moje pełne są boleści. Strzały pań-
« skie we mnie są, których gniew wypił ducha mojego! Cóż bowiem
« za moc moja, żebym wytrwał?... Ani moc kamienna moc moja,
« ani ciało moje miedziane. »

Najmilsi! przed nami obraz prawdziwie hiobowych cierpień. Dwie zarazem żałoby, z których każda ogromem boleści przygniata. W jednéj oto rodzinie, pod jednym dachem, umiera ozdoba rodu, człowiek poświęcenia się, wygnaniec, który po długiém oderwaniu, niedawno wrócony do rodzinnéj ziemi, ledwie się napił jéj powietrza, ledwie popatrzył na jéj drogie oblicze, ledwie spójrzał w oblicza i

w sumienia ukochanéj braci... już go zawołał Pan, i przyłożył do prochów ojców, godne starych ojców prochy pielgrzyma tułacza!... I w tymże domu, pod jednym dachem, jednocześnie, umiera pielgrzyma synowica, dzieweczka-aniołek, ukochane dziecię rodziców! U nich nie zabliźnione jeszcze rany po niedawnéj okropnéj stracie dorastających synaczków; a teraz, z pięciorga dziatek, tracą już czwartą, rozkwitającą we wdzięk i cnoty, nadzieję swoją, dzieweczkę, córkę. I w téj rodzinie, jest wiekowa matka i babka; matka umarłego wygnańca, matka dwóch innych synów tułaczy, matka syna co swą dzieweczkę dziś grzebie; jest serce młodszéj matki i bratowéj, siostry; jest braterskie, jest ojcowe serce... O! któż ogarnie to morze boleści co się w jakiémś zagniewaniu bożém na nich biédnych wylało?... I kiedy nabożeństwo dzisiejsze jest żywém tych boleści wypowiedzeniem, i kiedy na mnie pada dziś powinność wpatrzyć się w ten ogrom cierpienia dotknionych ręką bożą, i podnieść z téj żałoby, i podać wam najmilsi, myśl bożą, która jak wszędzie, tak i tutaj jest: cóż za dziw, że nim tę myśl bożą podejmę, przerażony, złamany ogromem dopuszczeń bożych, wołam tu do was, najmilsi: « Słowa moje pełne są boleści, bowiem strzały pańskie « we mnie są, których gniew wypił ducha mego. Cóż bowiem za « moc we mnie żebym wytrwał? Ani moc kamienna moc moja, ani « ciało moje miedziane! »

I nie ma w tém grzechu dla mnie. Kojenie boleści, jest boleści podział. Zresztą, na toż Bóg boleść zsyła, byśmy ją naprzód poczuli, a dopiero poczuwszy do Boga odnieśli. Hołd największy, ofiara największa, jaką człowiek z téj ziemi Bogu oddać może, to hołd i ofiara boleści. Cóż bowiem z doli naszéj dajemy Bogu, kiedy Opatrzność boża doczesném szczęściem nas darzy, kiedy życie wśród wesela i pociech upływa? — tylko podziękę, tylko wdzięczną radość serca. Ofiara poddania się Bogu, dopiero wtenczas się zaczyna, gdy Bóg cierpieniem nas nawiedzi. Kogo więc krzyże Boże ucisną: to nie ucisną, to go poświęcą; to wybrany boży, wybrany na hołd, na uwielbienie boże. — Przyjmować więc cierpienia bezmyślnie, grzechem, nierozumem jest; przyjmować w odrętwieniu ducha, słabością, marnowaniem zawołania bożego jest. Dlatego, ja muszę, ja czuję, że powinienem z tego morza cierpienia, co dzisiejszą żałobę oblewa, całą gorycz i boleść wynieść i do serca przyjąć — dlatego wołałem i wołam: « Słowa moje pełne są boleści, strzały pańskie we mnie

« są, których gniew wypił ducha mego! » Ja muszę, ja czuję, że powinienem z tym całym ogromem boleści stanąć przed Bogiem, i za was których Bóg dotknął, i od was, i z wami razem, tę boleść przed Bogiem położyć. Niech ją Pan przyjmie jako ofiarę, jako hołd poddaństwa naszego, niech nas owionie łaska Jego, niech wzmocni Jego wsparcie, byśmy po pod boleścią naszą poczuli, co usta nasze zmuszone wyjąkać: *Ojcze, bądź wola Twoja!*

A teraz, najmilsi! w poddaniu się woli bożéj, w tych świętych słowach naszéj świętéj modlitwy, wziąwszy ducha i siły, wpatrzmy się wszyscy, a bliżéj, w żałobę dzisiejszą. To dwie żałoby: na jednéj, krwią zapisane leży słowo: *Zasługa;* na drugiéj, usypane kwieciem leży słowo: *Niewinność.* O pierwszéj mówić wam będę. Boże! sił mi dodaj.

Komu z was najmilsi, znajomy żywot zgasłego pomiędzy nami wygnańca, który jakby w nagrodę przywiązania do rodzinnéj ziemi, po długich leciech oderwania od niéj, ręką bożą odprowadzony na powrót, tu swoje kości położył: ten wie ile tam było wysokiéj zacności, ile poświęcenia się bez granic, ile ofiar, cierpienia, na ile naszéj wdzięczności zasłużył męczennik miłości swéj dla nas. Na małe dusze nasze, za wielkie to jest słowo: *poświęcenie się bez granic!* — Cnoty wygnańca, szczegóły żywota tego człowieka ofiary, jak droga tajemnica, jak świętość któréj dotknąć nie wolno, zostaną wiadome wszystko widzącemu Bogu i niewielu ludziom wtajemniczonym w te cienie i skrytości, któremi wielkie prześladowanie obwieszcza wielkie zasługi. — My to tylko powiémy, że kiedy trzeba było krwi i życia, on krew swoją i życie dawał za nas, a zato, kiedy z nas każdy hodował się, wzrastał albo starzał na ojcowych łanach; kiedy nas owiewało nieustannie to słodkie rodzinnego powietrza tchnienie; kiedy nas obrzmiewał ciągle, nad wszystko milszy, dźwięk rodzinnéj mowy; kiedyśmy byli szczęśliwi oglądać codzień drogie oblicze naszych rodziców, spółbraci: on, tęskniąc do tego całą duszą, żył w dalekiém oddaleniu, w głodzie i w pragnieniu wieści od drogich, od swoich. — I kiedy zaparciem się prawdy mógł się okupić tęsknocie, cierpieniom; on prawdę bożą uczcił w sobie i cierpiał jako wyznawca swéj wiary. Cierpienie wypiękniło go. Chrystus z całą pełnością błogosławieństw położył się na duszę jego. Wykształcone pod łaską bożą umysł i serce, wyróżniały go od wielu, od nas wszystkich. On pomiędzy nami był to jako dąb wie-

kowy nad krzewiną, nad chróściem. On się łączył, on brątał, on żył z imionami naszych olbrzymów duchowych, bo duch jego sprostał, dorównywał im. Zawsze dzielny na duchu, choć nieszczęściem złamany, schorzały, do ostatka duchem był młodszym od wielu, choć młodszych latami. A przytém szczera skromność była cnotą jego. — *Był to sługa boży, wybrany boży, nad nim był duch boży* (Jeremiasz). Była to chluba nasza, duchowa znakomitość nasza, naszéj ziemi, naszego ludu wybrany, ukochany syn!

I kiedy po długiéj tułaczce, za zmiłowaniem bożém do swoich powrócił, to wrócił jakby na skonanie tylko, jakby na to, aby w błogosławieństwie swych zasług, prochy swoje przyłożyć do ludu swego. Tak Jakób patryarcha umiera, a ostatnie jego słowo: *Ja się przyłączam do ludu mego, pogrzebcież mię z ojcy mojémi.* A Pismo święte dodaje: *I Jakób umarł, i przyłożon jest do ludu swego.*

Najmilsi! tak, on jest przyłożon do nas, do ludu swego. On łączy nas, on nas wiąże i godzi z przeszłością, z ojcy naszymi. On przyłożon, by nasze uwielbienie, i wdzięczność i miłość, które się budzą z poznania jego zasług, cierpień, ofiar, podniosły nas ku niemu. Bracia najmilsi! Ta chwila żałoby naszéj, to jakby ostatnie jeszcze drgnienie zgasłego żywota, niech będzie chwilą wiekuistego związku pomiędzy duchem co od nas ulata i duszą naszą co żyje wiecznie w łonie nas wszystkich, w łonie ludu naszego. Niech się ten duch przeleje, zatrzyma i zjednoczy z nami!... tak sprawdzą się te słowa patryarsze, a w nich święte pragnienia zmarłego: *Ja się przyłączam do ludu mego, pogrzebcież mię z ojcy mojémi,* i sprawdzą się słowa boże: *On umarł i przyłożon jest do ludu swego.*

Dziwne, niepojęte są sprawy boże!! Czemuż z tą uroczystą wygnańca żałobą łączy się żałoba tak rzewna po dzieweczce niewinnéj?... Czy to Bóg zerwany śliczny kwiatek chciał rzucić przy mogile męża? Czy duchowi wygnańca chciał dać towarzysza? Czy chciał dzisiejszéj żałobie, na któréj leży ciężka, krwawa i łzawa, potem oblana i trudem skuta zasługa, chciał przypiąć anielskie niewinności skrzydła? Dość, że jest dziwna, tajemnicza, uroczysta i święta ta żałoba nasza. Bóg ją nam dał niezbadany w wyrokach, w sądach niepojęty... Tu mąż boży woła na nas o ducha bożego, że zmarniał w rękach naszych; o ducha miłości, ofiary, że wygasł

pomiędzy nami, a na jego miejscu wyrosł u nas i rozbujał duch samolubstwa, ciemnoty, i zabił w nas poznanie i pożądanie wszystkiego co wyższe, co piękne — i ta dziewczynka-aniołek odlata od nas, może dla tego by się nieskazić zarazą naszą.

Pochylmy czoło przed tą dwoistą, tajemniczą, uroczystą żałobą naszą. Niechaj zbawienna zaduma nad sobą samémi, smutna i tęskna, gorzka i bolesna, będzie żałobnym od nas wieńcem, którym opaszmy dwie świeże mogiły : a kiedy Kościół nas wzywa do wspólnéj żałobnéj modlitwy, wypełnijmy wiernych powinność. Modląc się o ducha bożego nad nami, módlmy się za dusze umarłych; pokój im wieczny! — Amen.

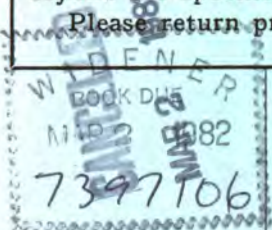


SPIS PRZEDMIOTÓW.

ŻYWOT ADOLFA JANUSZKIEWICZA.

LISTY ZE STEPÓW KIRGIZKICH.

PARYŻ. — DRUKARNIA J. CLAYE, PRZY ULICY ŚWIĘTEGO BENEDYKTA, Nr 7.


WIDENER
BOOK DUE
MAR 2 1982
7397106